

Magiczne opowieści mistrzów współczesnej fantazy

CZARNOKSIĘŻNICY

Opracowali - Jack Dann i Gardner Dozois

Przełożył - Jarosław Rybski

Tytuł oryginału - *Wizards. Magical Tales from the Masters of Modern Fantasy.*

ISBN 978-83-7510-204-8

DOM WYDAWNICZY REBIS

www.rebis.com.pl

Poznań 2009

Dla Merrilee Heifetz,

która doprowadziła to do końca

Spis treści

Przedmowa

Nagrobek czarownicy Neil Gaiman

Ostrokrzew i żelazo Garth Nix

Barwna wizja Mary Rosenblum

Nieskazitelny rubin Kage Baker

Ptasia opowieść Eoin Colfer

Prześlizgując się bokiem przez wieczność Jane Yolen

Ręce obcego Tad Williams

Dzień Nadania Imienia Patricia A. McKillip

Żona Zima Elizabeth Hand

Diorama Krain Piekielnych, czyli dziewiąte pytanie diabła Andy Duncan

Taniec w Barrens Peter S. Beagle

Kamienny człowiek Nancy Kress

Zakłęcie Mantykory Jeffrey Ford

Zinder Tanith Lee

Billy i czarodziej Terry Bisson

Magycy Terry Dowling

Magiczne zwierzę Gene Wolfe

Ojciec kamienia Orson Scott Card

PRZEDMOWA

Czarodzieje nawiedzali wyobraźnię ludzką od tysięcy lat, być może już w czasach, w których nie byliśmy jeszcze ludźmi w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Na prehistorycznych stanowiskach archeologicznych odnajdywano ślady neandertalskich rytuałów - siedem niedźwiedzych czaszek w kamiennym kręgu, zwróconych w jednym kierunku, ludzką czaszkę otoczoną kręgiem głązów na kamiennym kopcu. Dziesiątki tysięcy lat później w głębokich jaskiniach Lascaux, Altamiry czy Rouffignac kromaniończyk również praktykował magię, której być może nauczył się od schodzącego ze sceny neandertalczyka, i zapętniał kolejne ściany w najdalszych i najbardziej oddalonych zakamarkach żywymi, symbolicznymi postaciami zwierząt epoki lodowcowej oraz abstrakcyjnymi, przeplatającymi się zarysami dłoni (nie ma wątpliwości, że te malowidła naskalne miały związek z rytuałami magicznymi, szczególnie dlatego, że wiele z tych malowideł zostało rytualnie „zabitych”, co najprawdopodobniej miało zapewnić powodzenie na polowaniu). Te rysunki naskalne zawierają również być może pierwsze symboliczne przedstawienia czarownika w historii człowieka - zwalistą, owłosioną tajemniczą postać z głową jelenia, która spogląda na jasne, płaskie malowane zwierzęta brykające po skalnej powierzchni.

Czarownicy, czarodzieje, czarnoksiężnicy, szamani, wiedźmy, zna-chorzy, jasnowidze, zielarki, magicy - każdy wiek i każda kultura, począwszy od czasów prehistorycznych, miała swoją wizję wyznawcy magii, osoby, która utrzymywała kontakt z duchami, której nieobce były starożytne sekrety, która wzywała na pomoc ukryte moce, która widziała zarówno to, co widzialne, jak i to, co niewidzialne, i była w stanie poruszać się w tych dwóch światach. Czasami były to osoby mądre i dobre, czasem oszalałe i złe, a w niektórych przypadkach skupiały w sobie dobre i złe cechy. Nawet współcześnie, w dwudziestym pierwszym wieku, kiedy stacje kosmiczne i satelity wirują nad naszymi głowami, kiedy można porozumieć się z drugą osobą na końcu świata i w ciągu kilku godzin znaleźć się na drugim krańcu kontynentu (co jeszcze kilkaset lat temu stanowiłoby przejaw największej magii), postać czarodzieja wciąż jest niezwykle istotna, jest archetypem obecnym w sztuce, reklamie, literaturze, folklorze, komiksach, filmach i nawet w naszych snach i marzeniach.

Poprosiliśmy grupę najlepszych współczesnych autorów fantasy - Neila Gaimana, Gartha Niksa, Elizabeth Hand, Eoina Colfera, Jane Yolen, Petera S. Beaglea, Kage Baker, Tada Williama, Orsona Scotta Carda, Genea Wolfea, Patricię A. McKillip, Terryego Bissona, Nancy Kress, Andy'ego Duncana, Mary Rosenblum, Jeffa Forda, Tanith Lee, Terryego Dowlinga - żeby napisali opowiadania o jednym z najpotężniejszych archetypów fantasy - Czarnoksiężniku. W wyniku tego powstała niniejsza książka, w której można znaleźć opowieści o czarodziejach złych i dobrych, młodych i starych, żyjących w zamierzcztych czasach i współcześnie oraz w światach fantasy, których nigdy nie było... O dzieciach, które potrafią rozmawiać ze zwierzętami, oraz zwierzętach, które gotowe są oddać życie, by pokonać złą magię; chłopcach wychowywanych przez umarłych oraz dziewczynkach, które

zaprzyjaźniają się z duchami z nawiedzonego domu; chłopcach, którzy nakrywają samego diabła na grzebaniu w starych magazynach w przydomowym garażu, czy takich, którzy mają moc równą bogom; mających wiedzę tajemną kobietach, które poślubiły Zima; młodych mężczyznach i kobietach, którzy walczą za pomocą Magii Ostrokrzewu z Magią Żelaza w arturiańskiej Brytanii czy też zmagają się z śmiertelnie groźnym magicznym spiskiem na swoim podwórku; gadających kurczakach i potwornych mantykorach; kamiennych ludziach, tajemniczych nieznanym, niezrównanym rubinie, czarownikach mrocznych jak noc oraz jasnych i łagodnych jak letni poranek... a także kilku czarownikach, którzy nie mogą się zdecydować!

Mamy nadzieję, że będziecie się dobrze bawić.

NAGROBEK CZAROWNICY

NEIL GAIMAN

Jedna z największych gwiazd współczesnej science fiction, fantasy i horroru, Neil Gaiman zdobył trzy nagrody Hugo, dwie nagrody Nebula, jedną World Fantasy Award, sześć nagród Locusa, cztery nagrody im. Brama Stokera, trzy nagrody im. Geffena, i dwie Mythopoeic Fantasy Awards. Zasłynął jako scenarzysta powieści graficznej Sandman, która pozostaje jedną z najbardziej cenionych serii komiksowych wszech czasów. Gaiman wciąż jest na tym polu supergwiazdą. Wśród jego powieści graficznych, z których wiele powstało we współpracy z Dave'em McKeanem, są Czarna Orchidea, Drastyczne przypadki, Sygnał do szumu, Komedia tragiczna czy tragedia komiczna, czyli Mr. Punch, a wśród książek dla dzieci - Wilki w ścianach i Dzień, w którym wymieniałem tatę na dwie złote rybki.

W ostatnich latach odnosi podobne sukcesy na polu science fiction i fantasy dzięki wydaniu bestsellerowej powieści Amerykańscy bogowie, która zdobyła w 2002 roku nagrody Hugo i Nebula oraz nagrodę im. Brama Stokera, Koraliny, która przyniosła mu nagrody Hugo i Nebula w 2003 roku, oraz opowiadania Studium w szmaragdzie, za które otrzymał nagrodę Hugo w 2004. Otrzymał również wraz z Charlesem Vessem World Fantasy Award za opowieść Sen nocy letniej oraz zdobył International Horror Critics Guild Award za zbiór Angels and Visitations: A Miscellany. Do innych powieści Gaimana należą Dobry omen (napisany z Terryem Pratchettem), Nigdziebądź i Chłopaki Anansiego. Poza tomem Angels and Visitations jego krótkie formy literackie zostały zebrane w Dymie i lustrach oraz Rzeczach ulotnych. Napisał również Don't Panic: The Official Hitchiker's Guide to the Galaxy Companion, A Walking Tour of the Shambles (z Gene'em Wolfe'em) oraz był redaktorem Ghastly Beyond Belief (z Kimem Newmanem), Book of Dreams (z Edwardem Kramerem) i Now We Are Sick: An Anthology of Nasty Verse (ze Stephenem Jonesem).

W poniższym lirycznym opowiadaniu zacierą podział między „szybkim” i „martwym” - oraz pokazuje, że tak naprawdę liczy się tylko uprzejmość, bez względu na to, po której stronie człowiek się znajduje...

Na skraju cmentarza pochowano niegdyś czarownicę, wszyscy to wiedzieli. Pani Owens powtarzała Bodowi wielokrotnie, żeby trzymał się od tego miejsca z daleka.

- Ale dlaczego? - pytał.

- Bo panuje tam klimat niezdrowy dla ludzi - mówiła pani Owens. - Tam już jest tylko bagno, w którym kończy się życie. Normalne moczary, mówię ci, chłopcze. Tam diabeł mówi dobranoc.

Pan Owens natomiast był bardziej enigmatyczny i mniej obrazowy.

- To nie jest dobre miejsce - mówił tylko.

Teren cmentarza kończył się u zbocza wzgórza przy starej jabłoni ogrodzeniem z żelaznych sztachet, pobrązowiałych od rdzy, zakończonych niewielkim porzewiałym ostrzem w kształcie włóczni, za którymi rozciągał się ugór z płataniną pokrzyw i wszelakiego zielska, jeżyn i jesiennych badyli. Bod, który w ogóle był grzecznym i posłusznym chłopcem, nie przeciskał się nigdy pomiędzy nimi, a tylko przychodził sobie przez nie popatrzeć. Wiedział, że nie mówią mu wszystkiego, i irytowało go to niepomierne.

Bod wrócił na wzgórze, do zapomnianego kościółka na szczycie, pośrodku cmentarza, i czekał, aż zrobi się ciemno. Kiedy pasmo za-chodzącego słońca zabarwiło szary horyzont na czerwono, z wieży kościoła dobiegł jakby trzepot grubej płachty i Silas opuścił miejsce swojego spoczynku na dzwonnicy, złącząc głowę w dół po strzelistym dachu.

- Co tam jest w odległym zakątku cmentarza? - zapytał Bod. - Za Harrisonem Westwoodem, Piekarzem Parafii, i jego żonami, Marion i Joan?

- A czemu pytasz? - powiedział jego opiekun, poźółkłymi palcami strzepując kurz z czarnego surduta.

Bod wzruszył ramionami.

- Tak się tylko zastanawiałem.

- To niepoświęcona ziemia - odparł Silas. - Wiesz, co to znaczy?

- Nie bardzo - powiedział Bod.

Silas podszedł ścieżką, nie unosząc z ziemi nawet jednego zwiędłego liścia, po czym usiadł na kamiennej ławce obok Boda.

- Są tacy - zaczął swym aksamitnym głosem - którzy wierzą, że cała ziemia jest święta. Ze była taka, zanim myśmy się na niej pojawili, i że będzie święta, kiedy z niej znikniemy. Ale tutaj, w twoim kraju, poświęcają kościoły i ziemię wokół nich, żeby chować w nich ludzi, żeby była święta. Ale obok tej poświęconej zostawiają fragment niepoświęconej, tu, na Potter's Field, żeby chować w niej przestępców, samobójców i niewierzących.

- A więc ludzie pochowani po drugiej stronie płotu byli źli?
Silas uniósł brew.

- Hmm? O, nie, wcale nie. Zobaczmy, dawno tam nie byłem. Nie przypominam sobie nikogo szczególnie paskudnego. Pamiętaj, że w minionych czasach można było powiesić kogoś za kradzież szylinga. A zawsze znajdą się ludzie, którzy stwierdzą, że życie już ich zawiodło i uważają, że powinni zrobić, co w ich mocy, by przyspieszyć przejście na inną płaszczyznę egzystencji.

- Znaczą: zabijają się, tak? - upewnił się Bod.

Miał osiem lat, chłonał świat szeroko otwartymi oczami i z całą pewnością nie był głupi.

- A juści.

- I co, udaje im się? Są szczęśliwsi po śmierci?

Silas błyskawicznie uśmiechnął się tak szeroko, że pokazał cały garnitur kłów.

- Czasami. Przeważnie nie. Tak jak w przypadku tych, którzy myślą, że gdzie indziej będzie im lepiej, i na własnej skórze przekonują się, że to ułuda. Dokądkolwiek człowiek idzie, zabiera siebie. Jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

- Trochę tak - odparł Bod.

Silas wyciągnął dłoń i zmierzwił włosy chłopca.

- A co z tą wiedźmą? - zapytał Bod.

- No tak. W rzeczy samej - odparł Silas. - Samobójcy, przestępcy i wiedźmy. Ci, co zmarli bez spowiedzi.

Wstał, cień nocy w poświacie.

- Gadamy tu i gadamy - powiedział - a ja nawet jeszcze śniadania nie jadłem. A ty się spóźnisz na lekcje.

W półmroku przy grobowcu rozległ się stłumiony odgłos implozji, trzepot aksamitnej ciemności i Silas zniknął.

Kiedy Bod dochodził do mauzoleum pana Pennywortha, na niebie pojawił się już księżyc i Thomas Pennyworth („leszy tu w nadsiei na fskszeszenie duszy jego”) już na niego czekał, i to nie w szampańskim nastroju.

- Spóźniłeś się - powiedział.

- Przepraszam, panie Pennyworth.

Pennyworth cmoknął. W zeszłym tygodniu pan Pennyworth uczył Boda na temat Żywiołów i Humorów, ale Bod zapomniał, które są które. Spodziewał się sprawdzianu, ale zamiast tego pan Pennyworth powiedział:

- Czas na ćwiczenia praktyczne. W końcu czas ucieka.

- A ucieka? - zapytał Bod.

- Mam takie obawy, paniczu Owens. No to jak u pana z Przygasaniem?

Bod miał nadzieję, że to pytanie jednak nie padnie.

- Wszystko w normie - odparł. - No, wie pan.

- Nie, paniczu Owens. Nie wiem. Może mi pan zademonstruje?

- Dlaczego nie?

Panna Borrowws uśmiechnęła się prostolinijnym trupim uśmiechem.

- To ludzie zupełnie nie z naszej sfery - powiedziała.

- Ale to przecież też cmentarz, prawda? Przecież mógłbym tam pójść, gdybym chciał?

- Szczerze mówiąc, odradzałabym - powiedziała panna Borrowws.

Bod był posłuszny, lecz ciekawy, i tak po lekcjach minął Harrisona Westwooda, Piekarza, i rodzinny grobowiec z figurą bezgłowego anioła, ale nie zszedł w dół na Potter's Field. Wspiął się na zbocze wzgórza, gdzie po pikniku sprzed trzydziestu lat został ślad w postaci jabłoni.

Z niektórych zdarzeń Bod potrafił wynieść właściwą naukę. Zjadł kiedyś mnóstwo niedojrzałych jabłek, kwaśnych, z białymi pestkami, i odpokutował za to okrutnie. Związał się z bólu, a pani Owens zrobiła mu wykład o tym, czego nie należy jeść. Teraz już czekał, aż jabłka dojrzeją, i nigdy nie jadł więcej niż dwa, trzy na noc. Co prawda, tydzień temu spałaszował ostatnie owoce, ale i tak lubił przychodzić pod jabłoni, żeby zebrać myśli.

Wspiął się po pniu na swoje ulubione miejsce między dwiema gałęziami i patrzył na rozciągające się pod nim Potter's Field, najeżony kolcami pas chaszczki i bujnej trawy, skrzący się w blasku księżyca. Zastanawiał się, czy wiedźma ma żelazne zęby i podróżuje w domku na kurzych łapach, czy też jest chuda i ściska miotłę.

Zgłodniał nagle. Teraz żałował, że pożarł wszystkie owoce na jabłoni. Ze nie zostawił ani jednego...

Spojrzał w górę i wydawało mu się, że coś dostrzegł. Popatrzył raz i drugi, żeby się upewnić. Jabłko, czerwone, dojrzałe jabłko.

Bod szczyił się tym, że wspaniale wspinał się po drzewach. Podciągnął się wyżej, przechodził z gałęzi na gałąź i wyobrażał sobie, że zmienia się w Silasa, który gładko i bez wysiłku potrafił wspiąć się po ceglanych murze. Jabłko, którego czerwień sprawiała wrażenie niemal czerni w blasku księżyca, wciąż wisiąco poza jego zasięgiem.

Bod przesunął się wolno wzdłuż gałęzi, aż znalazł się tuż pod nim. Wyciągnął rękę i koniuszkami palców dotknął doskonałego tworu natury.

Nie dane mu było go skosztować.

Rozległ się trzask, jakby wypaliła strzelba, i gałąź załamała się pod nim.

*

Ostry przenikliwy ból błysnął mu pod powiekami barwą gromu przetaczającego się po niebie w ciemną letnią noc.

Ziemia pod nim była stosunkowo miękka i dziwnie ciepła. Wetknął w nią dłoń i poczuł coś na kształt ciepłej sierści. Wylądował na stercie trawy, którą cmentarny ogrodnik wyrzucił tu po koszeniu i która złagodziła jego upadek. A jednak bolało go w piersiach, a noga rwała tak, jakby to na niej wylądował, i do tego jeszcze krzywo.

Bod jęknął.

- Ciiiicho, pacholę moje - rozległo się za jego plecami. - Skąd się tu wziąłeś? Spadłeś jak kamień. Czy tak się zachowuje grzeczny chłopiec?

- Siedziałem na jabłoni - powiedział Bod.

- Ach. Pokaż mi tę nogę. Złamana jak witka, założę się. - Chłodne palce dotknęły jego lewej nogi. - Nie jest złamana. Zwichnięta, tak, może nawet skręcona. Miałeś więcej szczęścia niż sam diabeł, żeś tak walnął w ten kompost. Nic takiego się nie stało.

- Och, to dobrze - powiedział Bod. - Ale boli.

Odwrócił głowę i spojrzał za siebie. Była od niego starsza, ale jeszcze nie dorosła i nie wyglądała ani przyjaźnie, ani wrogo. Za to była czujna. Miała inteligentną twarz, na której nie było nawet cienia urody.

- Jestem Bod - powiedział.

- Żywy chłopiec? - zapytała.

Bod pokiwał głową.

- Tak sobie myślałam - powiedziała. - Słyszeliśmy o was, nawet tutaj, na Potter's Field. Jak cię zwą?

- Owens - odparł. - Nobody Owens. Czyli Bod.

- No jak tam zdrowie szanownego panicza?

Bod obrzucił ją spojrzeniem. Jej strój stanowiła prosta, biała sukienka. Miała długie, myszowate włosy i coś w twarzy, co sugerowało pokrewieństwo z goblinami - cień uśmiechu, który zawsze był obecny na jej obliczu, bez względu na to, co robiła reszta.

- Jesteś samobójczynią? - zapytał. - Ukradłaś szylinga?

- Nigdy niczego nie ukradła - odparła. - Nawet giezła ni zapinki. Ale, ale - dodała z szelmowskim uśmiechem - samobójcy są tam, po drugiej stronie tego ostrokrzewu, szubienicznicy w jeżynach, obaj. Jeden bił trefną monetę, a drugi rabował na rozstajach dróg, tak twierdzi, choć moim skromnym zdaniem był z niego zwykły rzezimieszek i nicpoń.

- Aha - skwitował to Bod. I nagle zaczęło się w nim rodzić nie- dające spokoju podejrzenie. - Mówią, że gdzieś tu leży wiedźma.

Pokiwała głową.

- Pławiona i spalona, a bidulka nawet nagrobka nie ma.

- Pławili cię i do tego spalili?

Przysiadła na wprost niego przy kupie ściętej trawy i objęła chłodnymi dłońmi tętniącą bólem nogę.

- Przyszli do mojej chatki o świcie, zanim się dobrze obudziłam, i zaciągnęli mnie na błonia. „Wiedźma, czarownica!” - darła się opasła, świeżo wyszorowana na różowo tłuszcza, przypominająca wymyte do czysta prosiaki w dzień targowy. Jedno po drugim przekrzykiwali się, że tej to mleko kwaśniało, temu chabeta się ochwaciła i w końcu podniosła się jejmość Jemima, najtłustsza, najbardziej różowa, najlepiej wyszorowana z nich wszystkich, i mówi, jak to Solomon Porritt teraz się od niej odwrócił i kręci się tylko przy pralni jak pszczoła przy garncu miodu, i mówi ci ona, że to moja wina, że zaczarowałam tego młodego biedaka. No i przywiązują mnie do drąga i wpychają do stawu, żeby sprawdzić, czym nie wiedźma.

Ani mnie to nie utopi, ani nie zmoże, ale jeśli nie wiedźma, to a juści poczyję. Ojciec jejmościanki Jemimy daje każdemu z oprawców sztukę srebra, coby mnie przytrzymali długo w zielonej brei, ażem się zadławiła.

- I zadławiłaś się?

- O tak. Nałykałam się wody, że hej. I załatwili mnie.

- Ojej. Znaczy, nie byłaś wiedźmą.

Dziewczyna wbiła w niego spojrzenie paciorkowatych, trupich ślepi i uśmiechnęła się półgębkiem. Wciąż przypominała goblina, ale teraz wyglądała jak ładny goblin i Bod uświadomił sobie, że wcale nie musiała magią kusić młodego Solomona Porritta, nie musiała, skoro potrafiła się tak uśmiechać.

- Co za bzdury. Pewnie, żem wiedźma. Dowiedzieli się, kiedy wyciągnęli mnie z wody i rozłożyli na murawie, a ja trzy ćwierci od samej śmierci leżałam tak w zielsku, pokryta mułem ze stawu. Wywróciłam ino ślepiami i przeklęłam każdego z osobna i wszystkich, co byli tam tego dnia na błoniach, żeby żadne z nich nie mogło zaznać spokoju w grobie. Alem się zdziwiła, że tak łatwo mi poszło to przeklinanie. Jakbym rzuciła się w tany, kładąc pierwsze kroki do dźwięków, com nigdy nie słyszała, a potem pląsałabym do samiuśkiego rana.

Wstała, zakręciła młynka i tylko błysnęła stopami w blasku księżycowej poświaty.

- I tak ich przeklęłam ostatnim bulgoczącym tchnieniem, cuchnącym mulistym szlamem ze stawu. I wyzionęłam ducha. Spalili moje ciało na błoniach na czarny węgiel i smołę i wrzucili mnie w dziurę na Potters Field nawet bez nagrobka z imieniem.

Była to jedyna chwila, w której zamilkła i opanował ją wyraźny smutek.

- Czy któreś pochowano na tym cmentarzu? - zapytał Bod.

- Ani jedno tu nie leży - powiedziała dziewczyna, mrugając filuternie. - W sobotę po tym, jak mnie pławili i spalili, do mistrza Porringera przywieziono kobierzec aż z Londynu, a była to piękna robota. Ale okazało się, że w kobiercu były nie tylko sploty cnej wełny, bo w jego włóknach przywleczono zarazę, i o poniedziałku już cała piątka plwała juchą, a ich skóra poczerniała tak jak moja, kiedy mnie wyciągali z płomienia. W niedzielę później zaraza zabrała większość mieszkańców wioski i wrzucili ich ciała do zbiorowej mogiły za rogatkami, którą potem zasypano.

- Zginęli wszyscy ze wsi?

Wzruszyła ramionami.

- Wszyscy, którzy patrzyli, jak mnie pławią i palą. Jak noga, lepiej już?

- Lepiej - powiedział. - Dzięki.

Bod wstał wolno i, kuśtykając, zlął ze stogu trawy. Oparł się o żelazne pręty ogrodzenia.

- A więc zawsze byłaś czarownicą? - zapytał. - No, zanim ich wszystkich przeklęłaś?

- Jakby potrzeba było jakiejś specjalnej magii - powiedziała, pociągając nosem - żeby Solomon Porritt łaził jak struty koło mojej chaty.

Nie była to, jak sobie pomyślał Bod, choć nic nie powiedział, odpowiedź na zadane przez niego pytanie, zupełnie nie.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Nagrobka nie mam - powiedziała, wykrzywając usta w podkówkę. - Mogę być kimkolwiek. Prawda, że mogę?

- Ale musisz mieć jakieś imię.

- Liza Hempstock, do usług - powiedziała z szelmowskim zacięciem. Po chwili dodała: - Chyba nie proszę o jakieś cuda, co? Chcę mieć tylko coś, co zaznaczy miejsce mego pochówku. O tam leżę, widzisz? I tylko te pokrzywy znaczą miejsce, w którym mnie złożono do ziemi. - Przez krótką chwilę wyglądała na tak bardzo zasmuconą, że Bod miał ochotę ją objąć i pocieszyć. Wpadł na to, kiedy przeciskał się między prętami ogrodzenia. Znajdzie nagrobek dla Lizy Hempstock, będzie na nim widniało jej nazwisko. Przywoła uśmiech na jej twarz.

Kiedy zaczął wspinać się na zbocze wzgórza, odwrócił się, żeby pomachać jej na pożegnanie, ale już nie było po niej nawet śladu.

*

Na cmentarzu walały się połamane płyty nagrobne i fragmenty pomników, ale Bod wiedział, że poważnym błędem byłoby przyniesienie ich na miejsce spoczynku szarookiej czarownicy na Potter's Field. Trzeba było się nieco bardziej wysilić. Postanowił nie wtajemniczać nikogo w swoje plany, kierując się nie całkiem niedorzeczną przesłanką, że niechybnie zabroniliby mu to zrobić, gdyby im powiedział.

Przez kilka kolejnych dni w głowie kłębiły mu się rozmaite pomysły, każdy kolejny bardziej skomplikowany i ekstrawagancki niż poprzedni. Pan Pennyworth był zrozpaczony.

- Uważam - oznajmił, drapiąc się po przyprószonych siwizną jasnych wąsach - że z panem jest z dnia na dzień gorzej. Pan nie przygasa. Jesteś tak oczywisty, że aż mdli, chłopcze. Trudno cię nie zauważyć. Gdybyś przyjechał do mnie w towarzystwie fioletowego lwa, zielonego słonia, na oklep na szkarłatnym jednorożcu, który byłby angielskim królem w szatach koronacyjnych, to ludzie przede wszystkim zobaczyliby ciebie i wybałuszali gały, traktując resztę orszaku jako nieistotne dodatki.

Bod wpatrywał się tylko w niego bez słowa. Zastanawiał się, czy w miejscach, w których żyją ludzie, istnieją specjalne sklepy sprzedające jedynie nagrobki, i czy mógłby jakoś do takiego miejsca trafić, dlatego też Przygasa nie było jego najmniejszym zmartwieniem.

Wykorzystał skłonności panny Borrowa do odbiegania od tematów ćwiczeń gramatycznych i ćwiczeń w pisaniu, żeby zapytać ją o pieniądze - jak to było z tymi pieniędzmi, co trzeba było z nimi zrobić, żeby dostać to, co się chciało. Bod miał wiele monet gromadzonych od wielu lat (dowiedział się, że najlepiej ich szukać w miejscach, w których pary przychodziły na trawę cmentarną, żeby tam się obściskiwać, obmacywać, całować i tarzać. Zwykle znajdował tam metalowe monety na ziemi, w miejscach opuszczonych już przez pary) i pomyślał, że może wreszcie znajdzie dla nich jakieś zastosowanie.

- Ile może kosztować taki nagrobek? - zapytał pannę Borrowa.

- Za moich czasów - powiedziała - kosztował piętnaście gwinei. Nie mam pojęcia, ile kosztowałby dzisiaj. Więcej, jak sądzę. Dużo, dużo więcej.

Bod miał pięćdziesiąt trzy pensy. Na pewno nie wystarczy.

Minęły już cztery lata, niemal pół życia, odkąd Bod ostatni raz odwiedził grobowiec Człowieka w Kolorze Indygo. Ale wciąż pamiętał, gdzie się znajduje. Wspiął się na szczyt wzgórza, aż zobaczył całe miasteczko w dole. Stał wyżej nawet od szczytu jabłoni, wyżej niż sięgała wieża rozlatującego się kościółka, w miejscu, w którym Krypta Frobishera sterczała jak zepsuty ząb. Wśliznął się do środka, w dół, dalej w dół, ciągle w dół, aż dotarł do niewielkich kamiennych stopni schodzących do wnętrza wzgórza, a potem doszedł do kamiennej komory u podnóża wzniesienia. W grobowcu panował mrok, ciemno było tu jak w kopalni, ale Bod widział to samo, co widzieli zmarli, i komnata nie miała przed nim tajemnic.

Ślizgun płożył się wzdłuż ściany kurhanu. Było tak, jak Bod sobie to zapamiętał - dymne smugi emanowały nienawiścią i zachłannością. Tym razem jednak nie bał się go.

ZATRWÓŻ SIĘ, wyszeptał Ślizgun. GDYŻ STRZEGĘ DROGOCENNYCH, NIGDY NIEZAGRABIONYCH SKARBÓW.

- Nie boję się ciebie - powiedział Bod. - Pamiętasz mnie? Muszę coś stąd zabrać.

NIC NIE OPUŚCI TEJ KOMNATY - padła odpowiedź stwora w ciemności. ANI SZTYLET, ANI BROSZA, ANI KIELICH. STRZEGĘ ICH W CIEMNOŚCIACH. CZEKAM.

Pośrodku komnaty znajdowała się kamienna płyta, na której leżały: kamienny sztylet, brosza i kielich.

- Przepraszam, że pytam - odezwał się Bod. - Ale czy to twój grób?

MISTRZ POSTAWIŁ NAS TU NA STRAŻY, POCHOWAŁ NASZE CZASZKI POD KAMIENIEM NA RÓWNINIE, WIEMY, CO MAMY ROBIĆ. STRZEŻEMY SKARBÓW AŻ DO DNIA POWROTU MISTRZA.

- Myślę, że już o tobie zapomniał - podpowiedział Bod. - Jestem pewien, że sam już nie żyje od wieków.

JESTEŚMY ŚLIZGUNEM. STRZEŻEMY

Bod zastanawiał się, ile czasu minęło od dnia, w którym krypta znajdowała się na równinie, i wiedział, że musiało być to bardzo dawno temu. Czuł, jak macki Ślizguna oplatają go splotami lęku na podobieństwo pędów drapieżnej rośliny. Zaczął odczuwać chłód i odrętwienie, jakby arktyczna żmija ukąsiła go w samo serce i sączyła mroźny jad w jego ciało. Zrobił krok naprzód ku kamiennej płycie, sięgnął do niej i zacisnął palce na chłodnej broszy.

PREEEECZ!, wyszeptał Ślizgun. STRZEŻEMY ICH DLA MISTRZA.

- Nie będzie miał nic przeciwko temu - powiedział Bod.

Cofnął się i ruszył w stronę kamiennych stopni, uważając, żeby nie nadepnąć porozrzucanych na posadzce szczątków ludzi i zwierząt.

Ślizgun zawirował z wściekłością, kołując po komnacie jak trupi opar. Nagle zwolnił. TO WRÓCI, powiedział Ślizgun splątanym głosem trojga ludzi. ZAWSZE WRACA.

Bod przeskakiwał kamienne stopnie wewnątrz wzgórze tak szybko, jak tylko mógł. W pewnym momencie wydawało mu się, że coś podąża jego śladem, ale kiedy wydostał się na zewnątrz i znalazł się w grobowcu Frobishera, odetchnął chłodnym porannym powietrzem i stwierdził, że nic się za nim nie pojawiło ani też nic się wokół nie poruszało.

Bod usiadł na zewnątrz na szczycie pagórka, trzymając w dłoni broszę. Z początku wydawało mu się, że jest cała czarna, ale kiedy pojawiły się pierwsze promienie słońca, zobaczył, że osadzony w czarnym metalu kamień zamigotał na czerwono. Był wielkości jaja drozda i Bod, wpatrując się w kamień z duszą zatopioną w karmazynowym świetle, zaczął się zastanawiać czy coś przypadkiem nie porusza się w sercu klejnotu. Gdyby Bod był mniejszy, ogarnęłaby go przemożna chęć włożenia sobie klejnotu do ust.

Kamień przytrzymywała obejma z czarnego metalu, która przypominała z wyglądu szpony wijącego się wokół stworzenia. To coś przywodziło na myśl węża, ale miało za dużo głów. Bod zastanawiał się, czy tak właśnie wygląda Ślizgun w świetle dnia.

Schodził ze wzgórza, starając się wykorzystać swoją wiedzę o skrótach w terenie, przez płataninę bluszczu pokrywającą grobowiec rodzinny Bartlebych (z wnętrza dobiegły go pomruki Bartlebych, którzy szykowali się do snu) i dalej do ogrodzenia i przez jego pręty prosto na Potter's Field.

- Liza! Liza! - zawołał i rozejrzał się wokół.

- Witam mości paniczka, młodego głupka - rozległ się głos Lizy. Bod nie widział jej, ale pod krzakiem głogu dostrzegł dodatkowy cień, układający się w perlistą, półprzejrzystą formę w świetle poranka. Coś na kształt dziewczyny. Coś o szarych oczach. - Powinnam już smacznie spać - stwierdziła. - O co ten cały rwetes?

- Chodzi o twój nagrobek - powiedział. - Chciałem się dowiedzieć, co ma na nim być.

- Imię i nazwisko - powiedziała. - Musi być na nim moje imię, duże E, czyli Elizabeth, jak u tej starej królowej, która zeszła, kiedy się urodziłam, i nazwisko, to znaczy duże H, czyli Hempstock. O więcej nie dbam, bom nie miała czasu ani głowy do nauki.

- A daty? - zapytał Bod.

- Wilhelm Bękart zwany Zdobycą, tysiąc sześćdziesiąt sześć - zaśpiewała szeptem porannej bryzy buszującej w krzaku głogu. - I żeby było duże E, bardzo proszę. I duże H.

- Zajmowałaś się czymś? - zapytał Bod. - Co robiłaś, jak nie wiedźmowałaś?

- Praniem robiła - powiedziała martwa dziewczyna i w tej chwili promienie słońca padły na ugor i Bod został sam.

Była dziewiąta rano, a cały świat wokół spał już mocno. Bod postanowił nie spać. W końcu miał zadanie do wypełnienia. Miał osiem lat i trupi świat nie przerażał go ani trochę. Ubranie. Będzie potrzebował ubrania. Wiedział, że jego codzienne odzienie - szary całun - nie nadawało się na wyjście. Pasował do cmentarza, bo miał ten sam kolor, co kamień i cienie. Ale jeśli miał ruszyć w świat, za cmentarnym murem musiał włożyć coś, co pozwoliłoby mu wmieścić się w tłum.

W krypcie pod walącym się kościołem znajdowały się jakieś ubrania, ale Bod nie chciał tam iść nawet w świetle dnia. I o ile był gotów usprawiedliwić się przed panem i panią Owens, to nie zamierzał tłumaczyć się przed Silasem - sama myśl, że mógłby zobaczyć gniew w jego czarnych oczach, albo co gorsza zawód, przywoływała falę wstydu.

Na krańcu cmentarza znajdowała się szopa ogrodnika, niewielki, zielony budynek przesączony zapachem ropy, w którym rdzewiała stara kosiarka do trawy oraz inne staromodne narzędzia ogrodnicze. Domek stał pusty, od kiedy ostatni ogrodnik przeszedł na emeryturę, przed urodzeniem Boda, i zadanie utrzymywania porządku na cmentarzu dzielili między siebie urząd miejski (który posyłał raz w miesiącu kogoś do ścinania trawy od kwietnia do września) oraz miejscowi ochotnicy.

Wielka kłódka na drzwiach stała na straży sprzętów szopy, ale Bod już dawno odkrył poluzowaną deskę w tylnej ścianie budynku. Czasami szedł do szopy ogrodnika i siedział tak i rozmyślał, kiedy chciał побыć trochę sam.

Za każdym razem kiedy tam przychodził, widział wiszącą na drzwiach brązową marynarkę robotnika, zapomnianą i porzuconą lata temu, wraz z poplamioną na zielono od trawy parą starych dżinsów. Spodnie były o wiele za duże na niego, ale podwinął nogawki, aż

pokazały się stopy, a następnie przewiązał je w pasie brązowym szpagatem. W rogu stały też buty i je też przymierzył, ale były tak duże i powalane zaschniętym błotem i cementem, że ledwo je przesuwiał po podłodze, a gdyby spróbował zrobić krok, nie oderwałby ich od podłogi. Wypchnął marynarkę przez dziurę w obłuzowanej desce na zewnątrz, sam przecisnął się przez otwór, po czym ją włożył. Stwierdził, że jak podwinie rękawy, to będzie całkiem znośnie. Marynarka miała wielkie kieszenie, więc wbił w nie dłonie i od razu poczuł się jak jakiś strojniś.

Bod podszedł do głównej bramy cmentarza i wyrzął przez pręty. Rozklekotany autobus przejechał po ulicy - były tu samochody, hałas i sklepy. Za nim chłodny, zielony cień porośnięty drzewami i bluszczem - dom.

Z dudniącym sercem Bod wyszedł na świat.

*

Abanazer Bolger widywał już różnych dziwaków - jeśli jest się właścicielem takiego sklepu, jaki miał Abanazer, to widuje się ich często. Sklep zatopiony w uliczkach Starego Miasta - trochę antykwariat, trochę mydło i powidło, trochę lombard (nawet sam Abanazer nie był do końca pewny, jak można było scharakteryzować jego sklep) - ściągał przedziwne typy i różnych dziwaków, z których jedni chcieli coś kupić, inni zaś musieli coś sprzedać. Abanazer Bolger uwijał się za ladą, kupując i sprzedając, ale dużo lepszy handel odchodził na zapleczu, gdzie nabywał przedmioty, delikatnie mówiąc, niezbyt legalnie pozyskane, które po cichu puszczał dalej w obieg. Jego interes przypominał górę lodową. Na powierzchni widoczny był jedynie mały sklepik z rupieciami. Reszta kryła się pod spodem i Abanazer chciał, żeby tak właśnie pozostało.

Abanazer Bolger nosił grube okulary, a na jego twarzy permanentnie gościł wyraz lekkiego niesmaku, jakby właśnie uświadomił sobie, że mleko mu się w herbacie zważyło i nie mógł się pozbyć ab- smaku z ust. Ta mina doskonale spełniała swoją rolę, kiedy przychodził klient, który chciał coś sprzedać. - Proszę mi wierzyć - mówił do takich z kwaśną miną - to naprawdę nie jest wiele warte. Dam, co będę mógł, jedynie ze względów sentymentalnych. - Można się było uważać za szczęściarza, jeśli udało się cokolwiek uzyskać od Abanazera Bolgera.

Interes, jaki prowadził Abanazer Bolger, ściągał przedziwnych klientów, ale takiego chłopaka, jaki wszedł tego ranka do jego sklepiku, Abanazer nie widział w całym swoim życiu, które płynęło mu na oszukiwaniu ludzi i ograbianiu ich z precjozów. Miał na oko jakieś siedem lat i ubranie po dziadku. Jechało od niego oborą. Miał długie poskręcane włosy i wyglądał na śmiertelnie poważnego. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach zakurzonej brązowej marynarki, ale pomimo tego Abanazer widział, że chłopiec ściska coś niezwykle mocno - jakby chciał coś ustrzec - w prawej dłoni.

- Przepraszam bardzo - odezwał się chłopiec.

- No słucham, słucham, chłopaczku - powiedział ostrożnie Abanazer.

„Bachory - pomyślał. - Podwędzi coś taki albo chce sprzedać ukochaną zabawkę". Tak czy siak, zawsze odmawiał. Kupi człowiek kradziony towar od brzdąca, a za chwilę wpadnie tu rozwścieczony rodzic małego Johnniego czy Matildy, oskarżając, że wycygał od niego obrączkę ślubną za dychę. Więcej kłopotów niż pożytku z tego, bachory.

- Potrzebuję coś dla mojej znajomej - powiedział chłopak. - I pomyślałem sobie, że mógłby pan kupić coś ode mnie.

- Nie kupuję towaru od dzieci - powiedział beznamiętnie Abanazer Bolger.

Bod wyjął dłoń z kieszeni i położył broszę na usmolonej ladzie. Bolger rzucił na nią okiem, po czym przyjrzał się dokładniej. Zdjął okulary, wyjął lupę spod lady i wkręcił ją sobie w oczodół. Włączył lampkę i w jej świetle przyjrzał się broszy.

- Wężowy kamień? - powiedział raczej do siebie niż do chłopca.

Następnie wyjął lupę, włożył ponownie okulary i utkwiał w chłopcu cierpkie, podejrzliwe spojrzenie.

- Skąd to masz? - zapytał Abanazer Bolger.

Bod odparł:

- Chce pan to ode mnie kupić?

- Ukradłeś to. Zwędziłeś z muzeum czy diabli wiedzą skąd, prawda?

- Nie - odparł Bod beznamiętnie. - Chce pan kupić czy mam iść do kogoś innego?

Wtedy kwaśny nastrój Abanazera Bolgera zniknął bez śladu. Nagle mężczyzna stał się czystą życzliwością. Uśmiechnął się szeroko.

- Przepraszam - powiedział. - Chodziło mi tylko o to, że nieczęsto widuje się coś takiego. A już na pewno nie u mnie w sklepie. Chyba że w muzeum. Ale oczywiście jestem zainteresowany. Posłuchaj. Może usiądziemy sobie przy herbacie i ciasteczkach - mam pudełko czekoladowych ciastek na zapleczu - i dogadamy się co do ceny? Zgoda?

Bodowi ulżyło, kiedy ten mężczyzna zaczął w końcu zachowywać się przyjaźnie.

- Potrzebuję tyle, żeby kupić nagrobek - powiedział. - Nagrobek dla mojej przyjaciółki. No, może nie przyjaciółki. Znajomej. Widzi pan, to pewnie ona wyleczyła mi nogę.

Abanazer Bolger nie zwracał uwagi na paplaninę chłopca. Przepuścił go przez ladę i otworzył drzwi do magazynu, niewielkiego pomieszczenia bez okien, którego każdy centymetr był zapełniony rozerwanymi kartonowymi pudłami z rupieciami. Był tam też w rogu sejf, jedna z tych starych dużych szaf pancernych. Stało tu pudło wypełnione skrzypcami, spora liczba wypchanych zwierząt, krzesła bez siedzeń, książki i druki.

Przy drzwiach zobaczył niewielkie biurko. Abanazer Bolger przysunął sobie jedyne dobre krzesło i usiadł, zostawiając Boda na stojąco. Zaczął przetrząsać szufladę, w której Bod zauważył opróżnioną do połowy butelkę whisky, i wyciągnął niemal puste pudełko czekoladowych chrupek i poczęstował chłopca. Włączył lampkę na biurku, ponownie spojrzał na broszę, w czerwono-pomarańczowy wir wewnątrz kamienia, przyjrzał się też czarnemu metalowi otaczającemu kamień, tłumiąc w sobie dreszcz niepokoju na widok głów wężowego stwora.

- Jest stara - stwierdził. - Jest... - „bezcenna" - pomyślał - ...pewnie niewiele warta, ale mogę się mylić.

Bodowi zrzęda mina. Abanazer Bolger starał się zachować stateczną postawę.

- Zanim zapłacę ci choćby grosz, muszę się tylko upewnić, czy nie jest kradziona. Wyciągnąłeś ją mamie z szafki? Zwędziłeś w muzeum? Mnie możesz powiedzieć. Nikomu nie powiem. Sam muszę wiedzieć.

Bod pokręcił głową. Pałaszował ciastko.

- No to skąd to masz?

Bod milczał.

Abanazer Bolger nie chciał wypuszczać broszy z rąk, ale pchnął ją po blacie w stronę chłopca.

- Skoro nie chcesz mówić - powiedział - to lepiej zabierz to stąd. W końcu między handlującymi musi panować wzajemne zaufanie. Miło było cię poznać. Szkoda, że nie dobijemy targu.

Bod wyglądał na zmartwionego.

- Znalazłem ją w starym grobie - powiedział po chwili. - Ale nie mogę powiedzieć gdzie.

I zamilkł, bo na twarzy Abanazera Bolgera przymilność ustąpiła miejsca niczym nie skrywanej zachłanności i podnieceniu.

- I są tam jeszcze inne takie przedmioty?

Bod odparł:

- Jak nie chce pan kupić, to zapytam gdzie indziej. Dziękuję za ciastko.

Bolger zapytał:

- Nie spieszysz się chyba, co? Jak sądzę, mama i tata czekają na ciebie?

Chłopiec pokręcił przecząco głową, choć od razu tego pożałował.

- Nikt nie czeka. To dobrze. - Abanazer Bolger zacisnął dłoń na broszy. - A teraz powiesz mi dokładnie, gdzie ją znalazłeś, co?

- Nie pamiętam - odparł Bod.

- Już za późno na wykręty - powiedział Abanazer Bolger. - Może powinieneś się chwilę zastanowić, skąd to wzięłeś. Później, jak sobie to przemyślisz, to pogawędzimy sobie na ten temat i powiesz, powiesz.

Wstał i wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi wielkim, żelaznym kluczem. Otworzył dłoń i spojrzał na broszę, po czym uśmiechnął się zachłannie.

Przy drzwiach wejściowych rozległo się „ding”, co znaczyło, że ktoś wszedł do sklepiku. Podniósł wzrok, jakby coś przeskrobał, ale nie spostrzegł nikogo. A jednak drzwi uchyliły się nieznacznie, więc Bolger musiał je domknąć, a następnie dla pewności odwrócił kartkę w drzwiach z napisem ZAMKNIĘTE. Zasunął rygiel. Nie chciał, żeby teraz jakiś wścibski klient wsadzał nos w nie swoje sprawy.

Jesienny słoneczny dzień zasnuła szarość, a krople deszczu zabębniły o zapuszczoną witrynę sklepu.

Abanazer Bolger podniósł słuchawkę telefonu z lady i wybił numer, opanowując drżenie palców.

- Mam tu frajera, Tom - powiedział do słuchawki. - Przychodź, jak najszybciej możesz.

*

Bod uświadomił sobie, że znalazł się w pułapce, kiedy tylko usłyszał chrobot klucza w zamku. Chwycił za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Poczuł się idiotycznie, bo dał się zwabić do środka i jak głupiec zignorował pierwsze wrażenie podpowiadające mu, że należy jak najszybciej opuścić przybytek mężczyzny z kwaśną miną. Złamał wszystkie cmentarne zasady i wszystko poszło źle. Co by na to powiedział Silas? Albo Owensowie? Poczuł, że ogarnia go panika, i zdławił ją w sobie, chowając głęboko niepokój. Wszystko będzie dobrze. Wiedział o tym. Oczywiście musiał się stąd wydostać...

Rozejrzał się po swoim więzieniu. Był to składzik z biurkiem w środku. Jedyne wyjście prowadziło przez drzwi.

Otworzył szufladę w biurku, gdzie znalazł tylko niewielkie słoiczki z farbami (do odświeżania antyków) i pędzel. Zastanawia! się, czy udałoby mu się chlusnąć farbą w twarz sklepikarza i w ten sposób uciec. Odkręcił nakrętkę w jednym słoiczku i zanurzył palec w farbie.

- Co ty wyrabiasz? - rozległ się głos tuż przy jego uchu.

- Nic nie wyrabiam - odparł Bod i zakręcił puszkę z farbą, po czym włożył ją sobie do przepastnej kieszeni marynarki.

Liza Hempstock spojrzała na niego bez większego podziwu.

- Jakeś tu trafił? - zapytała. - I co to za beka smalcu?

- To jest sklep. Staralem się mu coś sprzedać.

- Po co?

- Nos w sos, nogi w pierogi.

Pociągnęła nosem.

- No to teraz - stwierdziła - powinieneś wracać na cmentarz.

- Nie mogę. Zamknął mnie.

- Jasne, że możesz. Po prostu przejdź przez tę ścianę...

Pokręcił głową.

- Nie potrafię. Mogę zrobić to w domu, bo kiedy byłem mały, na cmentarzu dali mi pełną swobodę. - Podniósł na nią wzrok w elektrycznym świetle. Trudno było ją dokładnie zobaczyć, ale Bod rozmawiał z umarłymi całe swoje życie. - A co ty tu w ogóle robisz? Co robisz poza cmentarzem? Jest dzień. Nie jesteś taka jak Silas. Nie powinnaś opuszczać cmentarza.

Odparła:

- Dla tych z cmentarza są pewne zasady, ale nie obowiązują tych pochowanych w niepoświęconej ziemi. Nikt mi nie mówi, co mam robić, a czego nie, ani dokąd mam iść. - Obrzuciła drzwi niechętnym spojrzeniem. - Nie podoba mi się ten facet - powiedziała. - Sprawdzę, co teraz kombinuje.

W okamgnieniu Bod został ponownie sam w pomieszczeniu. Usłyszał z oddali odgłos gromu.

W zagraconym półmroku antykwariatu Abanazer Bolger podniósł podejrzliwie wzrok, odnosząc wrażenie, że ktoś go obserwuje, ale skarcił się w myślach za swoją głupotę.

- Chłopak jest zamknięty - mruknął do siebie. - Drzwi wejściowe są zamknięte.

Polerował metalową obejmę węzowego kamienia tak delikatnie i troskliwie jak archeolog na wykopaliskach, ścierając czarną warstwę, aż błyszczące srebro zaczęło pokazywać się spod spodu.

Zaczął żałować, że zadzwonił do Toma Hustingsa, chociaż ten był wielki i nadawał się do zastraszania ludzi. Zaczynał również żałować, że kiedy skończy, będzie zmuszony sprzedać broszę. Była niezwykła. Im mocniej błyszczała w skąnym świetle nad kontuarem, tym mocniej pragnął, żeby należała wyłącznie do niego.

Jednak tam, skąd pochodziła, było tego więcej. Chłopak powie. Zaprowadzi go tam i... Rozległo się pukanie do wewnętrznych drzwi sklepu.

Bolger podszedł do drzwi i wyjrzał na deszczowe popołudnie.

- Pospiesz się - ponaglił go Tom Hustings. - Paskudna pogoda. Leje. Przemokłem do suchej nitki.

Bolger otworzył drzwi i Tom Hustings wepchnął się do środka, chlapiąc wodą z płaszcza i zmokniętych włosów.

- Co to za tak ważna sprawa, że nie można o niej pogadać przez telefon?

- Fortuna, która kołem się toczy - odparł Bolger z charakterystyczną kwaśną miną. - Ot co.

Hustings zdjął przeciwdeszczowy płaszcz i zawiesił go na drzwiach wejściowych.

- No co tam masz? Coś znów spadło z ciężarówki?

- Skarb - odparł Abanazer Bolger.

Zaprowadził kolegę do lady i pokazał mu broszę pod lampki

- Stara jest, co?

- Z czasów pogańskich - odparł Abanazer. - Nieściśle. Z czasów druidów. Zanim przybyli tu Rzymianie. Nazywa się to węzowy kamień. Widziałem takie w muzeum. Nigdy jednak nie widziałem takiej oprawy, tak wspaniałej oprawy. Musiała należeć do jakiego króla. Chłopak, który ją znalazł, mówi, że pochodzi z grobu - pomyśl sobie tylko, co może jeszcze być w takim kopczyku.

- Może nawet opłacałoby się zrobić wszystko na legalu - powie dział Hustings w zamyśleniu. - Zgłosić to jako skarb kultury narodowej. Musieliby nam zapłacić za to cenę rynkową i mogliby nawet nazwać to znalezisko na naszą cześć. Dziedzictwo Hustingsa-Bolgera

- Bolgera-Hustingsa - skorygował odruchowo Abanazer. Poczym dodał: - Jest garstka ludzi, których znam, ludzi z prawdziwe forszą, którzy zapłacą więcej, niż wynosi wartość rynkowa, żeby tylko móc sobie to trzymać w dłoniach, tak jak ty teraz - Tom Hustings delikatnie gładził broszę, jakby gładził kotka - i nikt nie będzie zadawał zbędnych pytań.

Wyciągnął dłoń w jego kierunku i Tom Hustings niechętnie oddał mu broszę.

Dwaj mężczyźni rozważali wszystkie za i przeciw zgłoszenia znaleziska jako części dziedzictwa narodowego oraz wymuszenia na chłopcu podania miejsca znaleziska, które w

ich umysłach zaczęło się jawić jako wielka podziemna jaskinia, wypełniona drogocennymi przedmiotami. Abanazer Bolger wyciągnął nawet butelkę tarninówki zza kontuaru i nalał po sporej porcji, żeby „wspomóc wysiłek intelektualny”.

Lizę po chwili znudziły ich dyskusje, które kręciły się wciąż wokół tego samego i do niczego nie prowadziły, więc wróciła do składziku, gdzie zastała Boda, który stał z zamkniętymi oczami, zaciśniętymi piąstkami i twarzą tak wykrzywioną, jakby bolał go ząb, i był już purpurowy od wstrzymywania oddechu.

- Cóż ty wyrabiasz? - zapytała go, niezbyt zachwycona.

Otworzył oczy i odetchnął z ulgą.

- Staram się przeniknąć - odparł.

Liza pociągnęła nosem.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała.

Spróbował, jeszcze dłużej wstrzymując oddech.

- Przestań - powiedziała. - Bo pęknieś.

Bod wziął głęboki wdech i westchnął.

- Nie działa - stwierdził. - Może powinienem go walnąć kamulcem i dać nogę.

Nigdzie nie było żadnego „kamulca”, więc wziął do ręki przycisk do papieru z kolorowanego szkła i zaczął go ważyć w dłoni, jakby chciał się przekonać, czy ma dość siły, żeby powalić nim Abanazera Bolgera.

- Teraz jest ich tam dwóch - powiedziała Liza. - I nawet jak pierwszy cię nie złapie, to drugi zrobi to bez trudu. Mówili, że chcą cię zmusić, żebyś im powiedział, gdzie znalazłeś broszę, żeby mogli rozkopać grób i zabrać skarb. - Pokręciła głową. - Dlaczego w ogóle zrobiłeś coś tak głupiego? Znasz zasady opuszczania cmentarza. Aż prosisz się o kłopoty.

Bod poczuł się bardzo malutki i głupi.

- Chciałem kupić dla ciebie nagrobek - przyznał słabym głosem. - I pomyślałem, że taki nagrobek sporo kosztuje. Dlatego chciałem sprzedać mu broszę.

Nie odezwała się.

- Zła jesteś na mnie?

Pokręciła głową.

- To pierwsza miła rzecz, jaka spotkała mnie od pięciuset lat - powiedziała ze śladem uśmiechu goblina na twarzy. - Dlaczego niby miałabym się złościć? - Po czym spytała: - Co robisz, kiedy starasz się przygasnąć?

- To, co przykazał mi pan Pennyworth. „Jestem opustoszałą aleją parkową. Staję się pustką we framudze drzwi. Jestem pustką samą w sobie. Oczy mnie nie dostrzegą. Umysł mnie nie ogarnie. Tam gdzie jestem, nie ma niczego ani nikogo”. Ale nie udaje mi się.

- To dlatego, że żyjesz - powiedziała Liza, pociągając nosem. Te rzeczy działają na nas, martwych, którzy musimy usilnie się starać, żeby w ogóle nas było widać, ale nigdy nie zadziałają na was.

Objęła się mocno ramionami, po czym zaczęła się kotłować w przód i w tył, jakby mocno nad czymś rozmyślała. Po chwili odezwa się:

- To ja cię w to wpakowałam... Chodź tutaj, Nobody Owensie.

Zrobił krok w jej stronę w malutkim pomieszczeniu, a ona przyłożyła mu chłodną dłoń do czoła. Jakby ktoś przystawił mu do skóry wilgotną, jedwabną chustkę.

- No - powiedziała. - Może coś mi się uda dla ciebie zrobić. Zaczęła mrużyć coś do siebie, artykułując słowa, których Bod nie był w stanie rozpoznać. Następnie jasno i wyraźnie wypowiedziała zaklęcie.

*Wiatr, mrok, zmierzch i brzask,
Bądź jak noc, jak tony blask,
Niewidziany iskry trzask,
Pośród, wzdłuż, pod i na płask.*

Dotknęło go coś dużego, omiotło od głowy do stóp, aż zadrżał. Włosy stanęły mu dęba, a na całym ciele miał gęsią skórę. Cos się zmieniło.

- Co zrobiłaś? - zapytał.

- Podałam ci tylko pomocną dłoń - odparła. - Może i jestem martwa, ale jestem też czarownicą, pamiętasz? I lepiej nie zapominaj.

- Ale...

- Ciiicho! - ostrzegła go. - Wracają. Klucz zachrobotał w zamku.

- No, kolego - rozległ się głos, którego Bod wcześniej nie słyszał. - Na pewno się zakolegujemy - z tymi słowami Tom Hustings otworzył drzwi. Stanął przy wejściu i rozejrzał się po pomieszczeniu ze zdziwioną miną. Był dużym, wielkim mężczyzną z szopą rudych włosów i czerwonym nosem. - Ejże, Abanazer? Mówiłeś, zdaje się, że go tu zamknąłeś?

- Bo zamknąłem - odparł Bolger za jego plecami.

- No to ja chyba ślepy jestem, bo go tu nie widzę.

Zza pleców czerstwego mężczyzny wyłoniła się twarz Bolgera, który omiół pomieszczenie baczny spojrzeniem.

- Schował się - powiedział, wpatrując się w miejsce, w którym stał Bod. - Nie chowaj się, mały - rzucił głośno. - Widzę cię. Wychodź, no już.

Dwaj mężczyźni weszli do miniaturowego pomieszczenia, a Bod stał bez ruchu, przypominając sobie nauki pana Pennywortha. Nie reagował, nie drgnął nawet. Spojrzenia mężczyzn padały na niego i spływały po nim.

- Jeszcze pożałujesz, żeś nie wyszedł, jak cię wołałem - powiedział Bolger i zatrzasnął drzwi. - No dobra - rzekł do Toma Hustingsa. - Ty stań przy drzwiach, żeby się nie prześliznął.

Zaczął chodzić po pomieszczeniu, zaglądał pod sprzęty i schylił się niezgrabnie, by zajrzeć pod biurko. Przeszedł tuż koło Boda i otworzył szafkę.

- Widzę cię! - wykrzyknął. - Wyłaź!

Liza zachichotała.

- Co to było? - zapytał Tom Hustings, obracając się na pięcie.

- Ja tam nic nie słyszałem - powiedział Abanazer Bolger.

Liza znów zachichotała. Następnie wydeła usta i wypuściła powietrze, wydając odgłos podobny do gwizdu, który brzmiał jak świst wichru z oddali. Żarówki w pokoiku przygasły i rozległo się elektryczne brzęczenie. I nagle zgasły.

- Cholerne korki - zaklął Abanazer Bolger. - Chodź już. Tracimy tylko czas.

Klucz zazgrzytał w zamku i Liza i Bod zostali sami w pokoju.

*

- On uciekł - powiedział Abanazer Bolger.

Bod słyszał jego głos przez drzwi.

- W takim pokoju nie mógł się nigdzie schować. Zobaczylibyśmy go, gdyby tam był.

Milczenie.

- Słuchaj, Hustings. Gdzie jest brosza?

- Hmm? A brosza! Tutaj. Wziąłem ją, żeby nie zginęła.

- Żeby nie zginęła? Do swojej kieszeni? Moim zdaniem to trochę dziwne miejsce. Może raczej chciałeś się z nią ulotnić - może chciałeś sobie zatrzymać moją broszę.

- Twoją broszę, Abanazer? Twoją broszę? Masz na myśli naszą broszę.

- Akurat, naszą. Jakoś sobie nie przypominam, żebyś tu był, kiedy zabrałem ją temu smarkaczowi.

Znów zaległa chwila ciszy, po której Abanazer Bolger stwierdził:

- No popatrz, tarninówka się skończyła - może walnąłbyś dobrej whisky? Mam whisky w składziku. Poczekaj chwileczkę.

Drzwi do magazynu otworzyły się, do środka wszedł Abanazer Bolger, trzymając w jednym ręku laskę, a w drugiej latarkę, z jeszcze bardziej kwaśną miną niż poprzednio.

- Jeśli tu jeszcze jesteś - powiedział cierpkim głosem - to nawet nie wyobrażaj sobie, że uda ci się uciec. Zadzwoiłem po policję, tak właśnie zrobiłem - przyjadą po ciebie.

Po chwili poszukiwań w szufladzie wyciągnął pół butelki whisky oraz niewielką czarną fiolkę. Abanazer nalał kilka kropli z fiolki do butelki i schował fiolkę do kieszeni.

- To moja brosza i tylko moja - wymamrotał, po czym warknął głośno: - Już idę, Tom! Rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu, omiatając Boda spojrzeniem, po czym wyszedł z butelką whisky w ręce. Zamknął za sobą drzwi.

- No proszę - głos Abanazera Bolgera dobiegał znów przez drzwi. - Daj swoją szklanę, Tom. Kieliszeczek dobrej whisky poprawi ci humor. Powiedz kiedy.

Cisza.

- Tanie świństwo. Ty nie pijesz?

- Załatwiła mnie ta tarninówka. Muszę dać chwilę odetchnąć moim bebechom... - Po chwili: - Proszę... Tom! Co zrobiłeś z moją broszą?

- A więc jednak twoją broszą? Cooo... co ty... Dodałeś coś do mojej whisky, ty łajdaku!

- A jeśli nawet? Na twarzy miałeś wypisane, co ci po łbie chodziło, Hustings. Ty złodzieju!

Z pomieszczenia za drzwiami zaczęły dobiegać krzyki, odgłosy szamotaniny i głośne uderzenia, jakby przewracano meble...

*

...a potem nastąpiła cisza.

Liza powiedziała:

- A teraz szybko. Wychodzimy stąd.

- Ale drzwi są zamknięte. - Spojrzył na nią. - Możesz coś na to poradzić?

- Ja? Nie znam takich zakłęk, które mogłyby nas wydostać z zamkniętego pokoju, mały.

Bod kucnął i spojrzał przez dziurkę od klucza. Była zablokowana - tkwił w niej klucz. Bod pomyślał chwilę, po czym się uśmiechnął i twarz mu pojaśniała przy tym jak halogen. Z jednego z pudeł wyciągnął zmiętą gazetę, wyprostował ją, jak umiał najlepiej, i wepchnął pod drzwi, zostawiając jedynie niewielką lukę od swojej strony.

- Co ty znowu wymyśliłeś? - zapytała niecierpliwie Liza.

- Potrzebuję czegoś takiego jak ołówek. Tylko żeby był cieńszy... - powiedział. - No i proszę.

Wziął ze stołu pędzelek, wepchnął go drugą stroną w dziurkę od klucza, poruszył nim i popchnął dalej.

Rozległ się stłumiony brzęk, z którym klucz upadł na pod; wioną gazetę. Bod wciągnął papier do środka pod drzwiami w z kluczem.

Liza zaśmiała się uradowana.

- To się nazywa pomysłuńek, młody paniczu - powiedziała To się nazywa mądrość.

Bod włożył klucz w zamek, przekręcił go i otworzył drzwi t magazynu.

Na podłodze zagraconego antykwariatu leżało dwóch mężczyzn. I naprawdę przewracali meble - całe pomieszczenie zmieniło się w chaotyczne rumowisko zegarów i krzesel, a pośrodku tego cielsko Toma Hustingsa leżało na mniejszej postaci Abanazera Bolgera. Żaden się nie ruszał.

- Nie żyją? - zapytał Bod.

- Tak dobrze to nie ma - odparła Liza.

Na podłodze obok mężczyzn leżała błyszcząca srebrna brosza - karmazynowo-pomarańczowy kamień trzymały szpony wokół węzowych, przepojonych triumfem pysków, z których wydawały się emanować zachłanność i zadowolenie.

Bod wsunął broszę do kieszeni, gdzie spoczęła obok ciężkiego przycisku do papieru i niewielkiej puszeki z farbą.

*

Błyskawica rozświetliła uliczkę z kocimi łbami.

Bod biegł w deszczu przez Stare Miasto, kierując się ku cmentarzowi na wzgórzu. Podczas jego pobytu w składziku szary dzień zmienił się we wczesny wieczór, dlatego też nie zaskoczył go widok znajomego cienia, który zawirował w świetle lampy ulicznej. Bod zatrzymał się w pół kroku i wtedy ciemny jak noc aksamitny cień uformował się w postać człowieka.

Silas stał na wprost niego z założonymi rękami. Podszedł do niego niecierpliwym krokiem.

- No i? - zapytał.

- Przepraszam, Silas - odezwał się Bod.

- Zawiodłem się na tobie, Bod - powiedział Silas i pokręcił głową. - Szukam cię, od kiedy się obudziłem. Otacza cię aura kłopotów. I wiesz, że nie wolno ci przychodzić tutaj, do świata żywych.

- Wiem, przepraszam. - Po twarzy chłopaka krople deszczu ściekały jak łzy.

- Po pierwsze, musimy zaprowadzić cię w bezpieczne miejsce. - Silas machnął połą płaszczą, żeby skryć żywego chłopca, i Bod poczuł, jak odrywa się od podłoża.

- Silas - zaczął.

Silas nie reagował.

- Trochę się bałem - mówił dalej. - Ale wiedziałem, że jak się zrobi bardzo źle, to po mnie przyjdiesz. I Liza tu była. Bardzo mi pomogła.

- Liza? - zapytał Silas ostrym głosem.

- Wiedźma. Z Potters Field.

- I mówisz, że ci pomogła?

- Tak. Bardzo pomogła mi w Przenikaniu. Myślę, że teraz już to potrafię.

Silas mruknął.

- Powiesz mi o tym, kiedy znajdziemy się w domu.

I Bod już nic nie mówił, aż wylądowali koło kościoła. Weszli do środka, do pustego wnętrza, a deszcz na zewnątrz rozpadał się na dobre, rozpryskując kałuże na ziemi.

- Opowiedz mi wszystko - polecił.

Bod powiedział mu wszystko, co zapamiętał z tego dnia. Na koniec Silas wolno pokręcił głową w zamyśleniu.

- Mam przechlapane? - zapytał Bod.

- Nobody Owens - powiedział Silas - naprawdę wpadłeś po uszy. Myślę jednak, że zostawię twoim przybranym rodzicom wybór formy i rodzaj kary.

I nagle, tak jak to robiła każda podobna do niego istota, zniknął jak kamfora.

Bod naciągnął marynarkę na głowę i śliską dróżką powędrował na szczyt wzgórza do grobowca Frobishera, a później w dół schodami i jeszcze niżej.

Położył broszę obok sztyletu i kielicha.

- Proszę bardzo - powiedział. - Wypolerowana. Ślicznie wygląda.

TO WRACA, odezwał się Ślizgun z zadowoleniem w splątanym głosie. TO ZAWSZE WRACA.

*

Noc była bardzo długa, ale już zbliżał się świt.

Senny Bod szedł nieco zbyt ostrożnym krokiem obok miejsca ostatniego spoczynku Harrisona Westwooda, Piekarza Parafii, i jego żon, Marion i Joan, do Potter's Field. Państwo Owens zmarli kilkaset lat przed tym, nim ustalono, że nie można bić dzieci, i niestety, pan Owens tej nocy zrobił to, co mu nakazywał obowiązek, więc Boda bardzo bolał tyłek. Jednakże wyraz troski na twarzy pani Owens bolał go bardziej niż wszystkie te pasy.

Dotarł do żelaznego płotu otaczającego Potter's Field i prześliznął się przez pręty na drugą stronę.

- Halo? - zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. W krzaku głogu nawet nie pojawił się dodatkowy cień.

- Mam nadzieję, że przynajmniej tobie nie przysporzyłem kłopotów - powiedział.

Cisza.

Zostawił już dzinsy w domku ogrodnika - o wiele wygodniej czuł się w szarym całunie - ale zatrzymał sobie marynarkę. Podobało mu się, że ma kieszenie.

Kiedy wracał do szopy, żeby oddać spodnie, zabrał stamtąd ręczną kosę ze ściany i nią właśnie zaatakował kępę pokrzyw na Potter's Field, tak że łodygi latały w powietrzu, ciął je i patroszył, aż zostało z nich tylko parzące ściernisko zielska pod cmentarzem.

Z kieszeni wyjął duży przycisk do papieru, z feerią jaskrawych barw zatopionych w szkłe, oraz puszkę z farbą i pędzel.

Zanurzył pędzel w puszcze i starannie wypisał brązową farbą na szkłe litery:

EH

A pod spodem dopisał:

MY NIE ZAPOMINAMY

Już prawie świtało. Wkrótce nadejdzie czas spoczynku i póki co byłoby nierozsądnie się spóźniać.

Położył przycisk do papieru na ziemi, którą do niedawna porastała kępa pokrzyw, i ustawił w miejscu, gdzie powinna spoczywać jej głowa. Stał przez chwilę, patrząc na swoje dzieło, po czym przeszedł przez ogrodzenie i ruszył w swoją drogę pod górę, już bardziej beztrosko niż poprzednio.

- Nieźle - rozległ się za jego plecami łobuzerski głos z Potters Hill. - Całkiem nieźle. Ale kiedy się odwrócił, nikogo tam nie spostrzegł.

OSTROKRZEW I ŻELAZO

Garth Nix

Oto niesamowita, pełna napięcia i emocji przygoda osadzona w czasach, w których dwa światy i dwie rasy dwóch starożytnych szkół magii stanęły na swojej drodze i wdały się w śmiertelny spór - z zaskakującymi skutkami.

Australijski pisarz Garth Nix pracował jako specjalista od reklamy w wydawnictwie, redaktor, konsultant od marketingu i public relations oraz agent literacki i jednocześnie pisał książki - między innymi z bestsellerowej serii „Stare Królestwo”, na którą składają się: Sabriel, Lirael, Abhorsen i The Creature in the Case. Opublikował także m.in. serię „Siódma Wieża”, na którą składają się: Upadek, Wieża, Aenir, Above the Veil, Into the Battle i The Violet Keystone, serię „Klucze do Królestwa”, na którą składają się: Pan Poniedziałek, Ponury Wtorek, Utopiona Środa, Książę Czwartek, Pani Piątek, Superior Saturday i Lord Sunday, powieści The Ragwitch i Shade's Children oraz zbiór opowiadań Across the Wall: A Tale of Abhorsen and Other Stories. Urodził się w Melbourne, dorastał w Canberrze, obecnie mieszka w Sydney w Australii.

Sześciu zbrojnych na koniach - doniósł Jack. Przerwał, żeby wypluć skorupki orzechów laskowych - pozostałość po transformacji z wiewiórki do postaci ludzkiej - po czym dodał: - Trzech przed lektyką, trzech za.

- A kto niesie lektykę? - zapytała Merewyn.

Nie patrzyła na Jacka, kiedy ponownie nakładał odzienie, bo jej bystre niebieskie oczy wpatrywały się w grupę zmierzającą w tę stronę starą rzymską drogą, która przecinała dolinę, jedynie sto metrów poniżej ich kryjówek na gęsto zadrzewionym stoku wzgórza.

- Niewolnicy - odparł Jack. - Wyglądają na naszych ludzi. Wszyscy mają plecionki z ostrokrzewu na kostkach. Nie skrywa się więc między nimi mistrz żelaza.

- Mistrz żelaza może znieść dotyk ostrokrzewu jedynie przez krótki czas, może go nosić dłużej, jak nie styka się z jego skórą - skorygowała Merewyn. - Ale mogli zrobić podrabiany ostrokrzew z papieru czy malowanego drewna. Jesteś całkowicie pewien?

Jack pokiwiał głową. Był dużym, szerokim w barach mężczyzną, mierzącym prawie dwa metry, i potrafił zmienić się zarówno w dziką, jak i w niedźwiedzia. Pomimo to był o głowę niższy i jakieś trzydzieści kilogramów lżejszy od swego młodszego brata, znanego pod imieniem Dubeltowego Jacka, który stał w milczeniu, czekając na polecenia od Merewyn. Dubeltowy Jack pewnie przybierze postać psa cralle - wielkiej bestii o wielkości kuca - jeśli zaatakują tego Normana w lektyce i jego straż.

Jack i Dubeltowy Jack byli jedynymi w grupie Merewyn, którzy potrafili zmieniać kształt. Była to niezwykle rzadka umiejętność, nieczęsto wykorzystywana, gdyż zmieniający kształt musieli pochłaniać olbrzymie ilości świeżego mięsa przy powrocie do normalnej postaci, a nie było o to łatwo. Nawet teraz Jack spozierał łakomym wzrokiem na świeżo oskórowanego jelenia, zawieszono go za tylne nogi na pobliskiej gałęzi. Przemiana w mniejsze zwierzę wywoływała mniejszy głód niż przemiana w większe, ale i tak spałaszuje udziec, a może dwa, zostawiając resztę na żer Dubeltowemu.

- Sześciu zbrojnych - rozmyślała na głos Merewyn. - Dziwna liczba. Dlaczego tylko sześciu? Wszyscy wiedzą, że siedzimy w tym lesie. I do tego smagli, pewnie zamorscy najemnicy... to nie jest wojsko stąd, co również jest ciekawe. I coś dziwnego jest w tej lektyce. Nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że coś wyczuwam, ale podejrzewam, że to jakaś normańska magia. Jakby dotyk chłodnego żelaza... może się mylę... Robin?

Robin potrząsnęła niecierpliwie głową, co miało oznaczać, że ona nie wyczuwa wpływu żadnej normańskiej magii. Nie chciała jej poczuć, dlatego nie skupiła uwagi na lektyce.

- No to atakujemy czy nie? - zapytała niecierpliwie Robin.

Podobnie jak mężczyźni i jej przyrodnia siostra Merewyn, Robin miała na sobie ciężką wełnianą tunikę i skórzane nogawice zakończone butami, ale pomimo tego stroju ani ona, ani Merewyn nie były w stanie ukryć swej kobiecości. Obie miały długie włosy zaplecione w warkocz i spięte srebrną broszą z bursztynem, co zapewniało jako taką ochronę przed normańskimi sztuczkami magicznymi i wspierało ich własną, brytońską magię.

Srebro i jantar wyglądały zupełnie normalnie na tle jasnych włosów Merewyn. Była typową Brytonką, wysoką i muskularną, wojowniczką o jasnej twarzy, która była w stanie

powalić jelenia i wbić mu sztylet w szyję czy też posłać długą na łokieć strzałę z łuku na dwieście metrów i wrazić ją w normański kark na stojącej u brzegu brygantynie.

Robin, ku swej wiecznej zgrzocie i sromocie, wyglądała bardziej jak Normanka niż Brytonka. Była niższa i masywniejsza niż jej siostra, z ciemnymi włosami i szarymi oczami, ogorzała od życia w lesie. Nabyła te cechy po matce, drugiej żonie swego ojca. Tej, którą wykradł jej normańskiemu ojcu, nierozważnie pieczętując nie tylko swą śmierć, ale również utratę królestwa za sprawą tego samego Normana oraz ciąg wypadków, który doprowadził do tego, że jego dwie córki gnieździły się teraz w zagajniku nad doliną, a starsza przewodziła grupie, którą można było określić mianem bandytów, buntowników, czy też ostatków armii prawdziwego króla Brytów.

- Niespokojnam - powiedziała Merewyn.

Spojrzała w niebo. Słońce wciąż wisiąco, świeciło, ale już niżej i bliżej zachodnich wzgórz. Nad ich głowami krążyły dwa kruki, których czarne sylwetki odcinały się na tle ciemniejącego nieba.

- Wkrótce zrobi się ciemno, a my wciąż nie wiemy, kto siedzi w tej lektyce.

- Jest tylko sześciu strażników - powiedziała Robin. - Może to być ktoś nieznaczny... albo niebezpieczny.

- Może to być ktoś na tyle pewny swego, że nie potrzebuje liczniejszej eskorty - dodała Merewyn. - Mistrz żelaza co do ostatniej chwili chowa swoje uroki i czary.

- Zaatakujmy, zanim zrobi się naprawdę ciemno - nalegała Robin. - Od wielu niedziel nie mieliśmy takiej okazji.

Merewyn nie odpowiedziała. Robin zmarszczyła brwi i pociągnęła siostrę za rękaw.

- Jak nie dasz rozkazu, to będzie trzeci Norman, którego przepuścimy! Co się z tobą dzieje?

- Nic się nie dzieje, Robin - odparła łagodnie Merewyn. - Przywódca musi wiedzieć, kiedy trzeba iść, machając mieczem, a kiedy trzeba powstrzymać atak.

- Nie na tym polega dowodzenie - warknęła Robin. - Tak się dowodzi!

Porwała róg z ramienia Merewyn i zanim jej siostra zdołała ją powstrzymać, zadęła sygnał, aż rozniósł się po całej dolinie. Kiedy wybrzmiał, rzuciła się w dół, wyciągając miecz z pochwy.

Sygnał zaalarmował wszystkich przy uprzednio przygotowanej zasadzce. Przed grupą Normanów rozległy się głucho uderzenia topora o drewno. Kilka chwil później na ścieżkę spadło wielkie drzewo, okręcając się przy upadku, świadectwo kunsztu drwali, którzy potrafili przez całe popołudnie utrzymać wielki pień na cienkim wyciętym stożku.

Kiedy drzewo zostało powalone, łucznicy wyszli z kryjówek na otwartą przestrzeń przy szlaku i zaczęli strzelać do koni zbrojnych. Straż natarła na łuczników, krzycząc i miotając przekleństwa. Co niezwykle, niewolnicy niosący lektykę nie rozpierzchli się w popłochu, przewracając ją, ale ostrożnie posadzili ją na ziemi, zanim znikli w lesie.

Robin biegła tuż za włochoatym psem z pianą na pysku, który sięgał jej powyżej ramion. Merewyn i Jack byli tuż za nią z tuzinem ludzi zbrojnych we włócznie, miecze i

zakrzywione ostrza na drzewcach. Mieli zablokować trasę ucieczki po leśnym trakcie w przeciwną stronę do powalonego drzewa.

Ale nikt nie uciekał. Jednego ze strażników zabito na ziemi - dostał strzałą, która znalazła lukę w misiurce. Dwóch innych uwięzło pod ciałami konających koni. Kiedy pozostali trzej zdali sobie sprawę, że nie ujdą przed gradem strzał rzędu łuczników na skraju lasu, zawrócili.

- Złóż broń! - krzyknęła Robin. Brakło jej tchu po szaleńczym natarciu w dół zbocza, więc musiała powtórzyć żądanie: - Złóż broń!

Trzej zbrojni spojrzeli w stronę łuczników, którzy ponownie wyszli z zielonego cienia, na wielkiego psa, który akurat w tej chwili zawył, oraz na piętnaście postaci zbliżających się w ich kierunku.

- Zginiecie, jak będziecie chcieli się przebić - zawołała głośno Merewyn, właściwie odgadując intencje strażników, którzy spięli mięśnie i zawracali już konie. - Złóżcie broń, a poniechamy was.

Dwaj zbrojni spojrzeli na trzeciego, a ten skinął głową i odrzucił miecz. Jego towarzysze poszli w jego ślady. Następnie zsiadli z koni i stanęli obok nich, obrzucając gniewnymi spojrzeniami Robin i Merewyn oraz z niepokojem spoglądając na Dubeltowego Jacka, który węszył przy lektyce.

Merewyn dała znak i łucznicy zbliżyli się do nich wciąż z cięciwą na strzałach. Sześciu jej ludzi podbiegło naprzód i cisnęli zbrojną straż na ziemię, związali im ręce i pozbawili ich sztyletów, noży, a dowódcę - także niewielkiej mizerykordii skrytej w rękawicy.

- Kogo wieziecie w tej lektyce? - zapytała Robin.

Z wnętrza nie dobiegał najmniejszy nawet odgłos, nawet kotara nie drgnęła. Dubeltowy Jack wciąż kręcił się wokół niej, marszcząc wielki nos na podobieństwo czoła zamyślnego człowieka.

- To stary normański kupiec - odparł jeden ze zbrojnych, ten, którego posłuchali dwaj pozostali. Na jego policzku widniała dawno już zagojona blizna w kształcie półksiężyca po tatuażu niewolnika. - Jedziemy do łaźni w Aquae Sulis.

- Nie pojedziecie, zanim kupiec nie zapłaci myta - odparła Robin.

Podeszła energicznym krokiem do lektyki, przecięła węzły sznurów mocujących kotarę do framugi, zerwała strojne, lecz brudne od podróży kotary i podeptała je.

W lektyce siedział wyprostowany mężczyzna, zawinięty w granatową, pilśniową opończę z nasuniętym kapturem na twarz, tak że była ledwo widoczna. Przed nim stała szachownica z mahoniu i kości słoniowej. Gra rozpoczęła się już dawno, choć nikt nie siedział po drugiej stronie. Figury z szarego kamienia toczyły walkę z mniejszymi i subtelniejszymi, wykonanymi z drzewa wiśniowego.

- Jesteś naszym więźniem - powiedziała Robin. Wyciągnęła miecz, zatrzymując ostrze o kilka centymetrów od zakapturzonej twarzy. - I dostaniemy za ciebie słony okup. Jak cię zwą?

Mężczyzna nie odpowiedział, a jedynie uniósł jednego z szarych skoczków z szachownicy. Robin zauważyła tylko, że wszystkie szare figury na szachownicy to skoczki,

kiedy jakaś siła wykręciła jej miecz, wyrwała go z ręki i cisnęła za nią, tak że niemal przyszpilił Dubeltowego Jacka do ziemi.

Robin momentalnie sięgnęła do pasa po garotę wykonaną ze świętych paciorków, ale zanim cokolwiek zdołała z nią zrobić, Norman cisnął na ziemię szarego skoczka. Kiedy padł na ziemię, rozległ się huk grzmotu, który niesamowicie zadudnił pod spokojnym niebem. Fala gorąca zalała Robin, jakby weszła do dymarki, i między nią a palankinem nie leżała już figura szachowa, ale wielki jak stodoła wojownik, cały z żelaza, dzierżący w jednej dłoni miecz błyskający błękitnymi błyskawicami, a w drugiej trójkątną zaśnieżoną tarczę.

Żelazny wojownik pchnął Robin zieloną tarczą z siłą, która by ją przewróciła, gdyby wcześniej sama nie poddała się impetowi. Podczas upadku wypadła jej garota. Przekręciła się i przeturlała po ziemi, unikając zdeptania przez żelaznego wojownika, którego stopy zostawiały głębokie ślady na miękkiej leśnej ściółce.

Robin usłyszała krzyk Merewyn: - Uciekać! - ale jej siostra nie słuchała własnych poleceń. Ruszyła, żeby pomóc Robin wstać. Grunt był podmokły, a ściółka z liści i igieł śliska, więc kiedy Merewyn pomogła w końcu Robin się podnieść, sama straciła równowagę i zachwiała się.

W jednej chwili żelazny wojownik znalazł się przy nich. Merewyn starała się uchylić przed żelazną tarczą, która pędziła błyskawicznie w jej kierunku, ale napastnik był zbyt szybki. Żelazne okucie tarczy trzasnęło ją prosto w szyję. Rozległ się ohydny trzask, bardzo podobny do odgłosu pękającej gałęzi, i Merewyn padła na ziemię. Zległa nieopodal z nienaturalnie skręconą szyją.

Robin musiała uciekać. Wszędzie wokół rozlegały się metaliczne trzaski, kiedy mistrz żelaza rozrzucał swoje figury szachowe, na których miejsce z ziemi podnosili się wojownicy z żelaza. Robin uchylała się, jak mogła, i zakosami pędziła w stronę lasu, słysząc, że w pogoni za nią wojowie z żelaza tną i sieką krzaki oraz zarośla po drodze.

Zatrzymała się, kiedy dotarła do linii drzew, i odwróciła się, by spojrzeć za siebie. Najbliższy z żelaznych wojowników znajdował się kilkanaście kroków za nią, co pozwoliło jej ogarnąć wzrokiem całą połać w dole, zanim znów zerwała się do biegu.

Polanę we władanie wzięło tuzin żelaznych wojów, dwóch jeszcze stało z uniesionymi tarczami na straży palankinu, żeby ustrzec swego pana przed strzałami. Nikt jednak do niego nie strzelał. Grupa Merewyn zniknęła jak letni deszcz. O ich niedawnej obecności świadczyła jedynie obecność straży mocującej się z pętami na rękach i ciało Merewyn leżące o tuzin kroków od palankinu.

Robin nie mogła nie poczekać jeszcze sekundy, by sprawdzić, czy jej siostra się nie porusza, czy nie wstanie nagle i nie umknie w las. Ale nawet nie drgnęła. Głęboko w duszy, wbrew wszelkiej nadziei, Robin wiedziała, że Merewyn nie wstanie teraz ani nigdy. Zbyt mocny był to cios.

Żelazny wojownik utknął przy drzewie na wprost Robin, a jego miecz przedzierał się przez grube na dłoń gałęzie, wyrzucając fontanny drewnianych drzazg, które spadały na Robin, kiedy mknęła głębiej w las.

*

Niedługo przed świtem następnego dnia, zostawiwszy za sobą kilka godzin temu niezwykle upartych i wytrzymałych żelaznych wojowników (a przynajmniej jeden z nich przedzierał się przez rozległe moczary w kniei), Robin wspięła się ciężko na szeroką, sięgającą do ziemi gałąź prastarego dębu i przeszła po niej przez wąski jar do miejsca, które miejscowi nazywali Hammerbite.

Wzrokiem starała się odszukać dwóch strażników na wyższych konarach, ale nikogo nie dostrzegła. W obozie też żadnego nie było, kiedy obeszła pień i spojrzała zza mniejszych drzew na rząd skórzanych namiotów, starannie ustawionych nad skarpą wyrobiska łupków u podnóża szarej góry, której łysa korona wystawała nad knieją sto metrów nad obozem.

Robin gwizdnęła zawiedziona, nie spodziewając się wyjaśnienia tego faktu, i nie była też zdziwiona, kiedy nie potrafiła znaleźć przyczyny. Przedarła się do jamy z paleniskiem i spojrzała w dół. Ognisko rozpalano w dole, by dym nie zdradził tego miejsca, i do ognia dokładano jedynie dobre, suche drewno, żeby się paliło, a nie dymiło. Płonęło stale, ponieważ nie wiadomo było, kiedy będzie potrzebny ogień.

Ale teraz dogasało. Robin podniosła wygięty z dwóch stron żelazny pręt, który służył jako pogrzebacz i hak do zawieszania kotła, i rozgarnęła popiół, ale nie pojawił się ani jeden rozżarzony węgielek.

Rozgarniała popiół, aż oczyściła całe palenisko, z braku lepszego zajęcia. Rozgarnianie obumarłego popiołu, pozostałości po niegdyś jasnym płomieniu, wydawało się mieć symboliczne znaczenie. Merewyn zginęła i była to wina Robin. To ona posłała siostrę na śmierć. To, że nikt z grupy nie wrócił do obozu, świadczyło o tym, że oni również tak myśleli, a do tego jeszcze jej normańskie pochodzenie zawsze tkwiło w ich świadomości i rzucało cień na zaufanie, dlatego trzymał ich w ryzach jedynie autorytet Merewyn.

Dźgnęła mocno popiół w palenisku, jakby było to serce normańskiego mistrza żelaza. Nagle z obumarłych popiołów strzelił płomień i Robin odskoczyła. Nie bała się płomieni, ale tego, co nieświadomie uczyniła.

- Tak właśnie. Normańska sztuczka. Magia żelaza - powiedział Jack, a zaskoczona Robin wpadła tym razem niemal w środek paleniska.

- Ja... niechący... ja nie...

Jack pokręcił głową i kucnął, by podnieść poskręcany konar starej brzozy, który następnie wrzucił do ognia.

- Niepotrzebnie się boisz, moja panno - powiedział. - Zawsze wiedziałem, że masz po matce zdolności w magii żelaza. Nie ma tu nikogo poza mną i Dubeltowym Jackiem, ale i tak jest jeszcze za jarem i pożera udziec czy też coś, na co nawet spojrzeć bym nie chciał.

- Widziałeś... - zapytała cicho Robin. - Czy Merewyn...

Jack wziął do ręki pogrzebacz i wzniecił rój iskier. Nie patrzył na Robin.

- Księżniczka nie żyje - powiedział w końcu. - Żeby się upewnić, zamieniłem się w wiewiórkę i wróciłem tam, chociaż Ferramenta mnie przegoniły. Miała złamany kark. Ciało zabrali.

- Ja ją zabiłam - wyszeptwała Robin. Wzięła do ręki popiół i rozsmarowała go sobie na twarzy, po czym wstała i krzyknęła, a jej krzyk wrócił do niej, odbity od nawisu skalnego. - Zabiłam moją siostrę!

Sięgnęła po rozżarzone węgle i byłaby je wzięła w obie dłonie, gdyby nie Jack, który zamknął ją w swoim niedźwiedzim uścisku i uniósł do góry, krzyżując, kopiąc i oszalał z rozpacz, żalu i wyczerpania. Zaniósł ją do namiotu, w którym znajdowało się pomieszczenie medyka i leże i gładził ją po głowie, szepcząc bezsensowne słowa, jakimi dawno temu uspokajał szczeniaki, kiedy był jeszcze mistrzem psiarczyków króla Brytów.

Kiedy przestała się miotać i krzyżeć i zamknęła się w sobie w otępieniu, położył ją na postaniu, wyciągnął zza pazuchy niewielki skórzany bukłak z nalewką dwale i wlał ją jej do gardła. W kilka minut silnie działająca mikstura cykuty, włoskiej mandragory, makowego mlecza, wilczego łyka i wina uspokoiła ją i chwilę później zasnęła bez koszmarów.

Kiedy się obudziła, poczuła się dziwnie spokojna i nieobecna, jakby od śmierci Merewyn oddzielał ją wielomiesięczny woal zapomnienia. Wiedziała jednak, że ów świt jest młodszym bratem wczorajszego zmierzchu, w którym rozpoczął się koszmar żelaznych ludzi. Nawet narkotyczny sen wywaru dwale nie był w stanie trwać dłużej niż dziewięć, dziesięć godzin.

W ustach wciąż miała jeszcze smak ziołowej mieszanki, a jej oddech cuchnął, jakby wymiotowała, choć nie było żadnych śladów.

Umyła jej dłonie, a rany przetarła miksturą z krwawnika. Robin wpatrywała się w szramy, przez chwilę nie mogąc sobie przypomnieć, jak się pojawiły na jej skórze. Siedziała przez minutę czy dwie, zastanawiając się nad wszystkim, po czym wolno rozpięła swe ciemne normańskie loki i odcięła je sztyletem, tak krótko, że zaczęła krwawić i trzeba było jej przyłożyć opatrunek.

Jack i Dubeltowy Jack siedzieli przy goni, podając sobie od czasu do czasu bukłak z winem i wymieniając zdawkowe uwagi. Obejrzeli się za siebie, kiedy Robin wyłoniła się z namiotu, popatrzyli na jej nową fryzurę, następnie wstali i się pokłonili. Był to głęboki, dworski ukłon, zupełnie niepasujący do wyjętych spod prawa ludzi w leśnej kryjówce.

- Nie kłaniajcie mi się - powiedziała Robin. - Nie należą mi się pokłony.

- Teraz jesteś, pani, księżniczką - odparł Jack. - Dziedziczką tronu Brytów.

- Władczynią tego królestwa - wymamrotała Robin, wskazując na opustoszały obóz.

Wyciągnęła rękę po bukłak z winem i wlała sobie do gardła spory łyk.

- Jesteś, pani, córką króla Harolda - dodał Jack. Dubeltowy Jack żarliwie pokiwał głową, niemal oblewając się winem. - Jesteś, pani, prawowitą królową Brytanii.

Robin wybuchnęła gorzkim śmiechem.

- Królową ugorów - powiedziała. - Powinniśmy byli znaleźć inny sposób, a nie chować się jak złoczyńcy w lasach, kryć w konarach, kiedy władza księcia Wilhelma umacnia się w kraju.

- Próbowaliśmy przeczekać - odparł Jack. Słowa te łatwo mu przychodziły, bo już nieraz przekonywał nimi wątpiących. - Książę jest podeszłego wieku i nie ma synów. Kiedy

zemrze, Normanowie będą walczyć ze sobą o schedę i wtedy będziemy mieli sposobność. Wszyscy prawdziwi Bryci zgromadzą się pod twoimi sztandarami, pani...

- Nie - ucięła Robin. - Nie zgromadzą się. Może Merewyn byłaby ich w stanie zjednoczyć. Nie będą służyć pod moją komendą. Poza tym ksiązę Wilhelm wyglądał kwitnąco wczoraj wieczorem. Może cieszyć się dobrym zdrowiem jeszcze wiele lat i nawet spłodzić synów.

- To był ksiązę? - zdziwił się Jack. - Zastanawiałem się...

- Z pewnością - odparła Robin. - Czternastu Ferramenta, którzy godzinami bez wytchnienia wykonują swoje zadanie. Ksiązę Wilhelm jest jedynym tak potężnym mistrzem żelaza. To był on. Mój dziadek stał się zgubą mej siostry. Chociaż i ja nie jestem bez winy...

- Bajanie to ino - przerwał jej pospiesznie Jack, widząc, jak rozpacz ponownie wykrzywia twarz Robin. - Żaden nie ujdzie swego losu. Księżniczce była pisana zguba i jej nie uszła.

Robin nie odzywała się dłuższą chwilę, wpatrując się tylko w płomienie. Kiedy w końcu uniosła brodę, zobaczyli zaczerwienione oczy, w których nie było jednak łez. Plan - czy też może jeszcze na tym etapie pomysł - zaczął kiełkować w najmroczniejszych zakamarkach jej duszy.

- Kto będzie dziedziczył po księciu Wilhelmie, gdyby teraz zginął? - zapytała.

Merewyn zawsze była na bieżąco we wszystkich machinacjach i spiskach normańskiej szlachty, ale Robin wolała o nich nie wiedzieć, odrzucając tę część swego dziedzictwa.

- Myślę, że trzech z ośmiu siostrzanych wnuków wciąż żyje, synowie synów jego siostry - odparł Jack. - I syn z lędźwi jego brata, Bękart Aurillac, wysuwa roszczenia do samej Normandii.

Zawahał się, po czym dodał:

- Żaden z waszych kuzynów nie ma większych praw do dziedzictwa po księciu niż wy, wasza wysokość.

- Nie jestem normańską dziedziczką! - wykrzyknęła Robin. - Moje prawa pochodzą od mego ojca i prawdziwego króla Brytów! Poza tym ksiązę już próbował mnie zabić, tak jak jego żelazne sługusy zabiły Merewyn!

Jack przechylił odrobinę głowę, aby dać do zrozumienia, że wątpi w to, iż istotnie Ferrementa starali się zabić Robin. Ale nie dostrzegła tego, gdyż wbijała wzrok w płomienie, zatopiona w myślach.

- Jack, jeśli zginę, to kto będzie następny w kolejce do tronu?

Jack popatrzył na nią, starając się dociec, w którym kierunku biegły jej myśli. Znał ją od urodzenia, ale nawet kiedy była małą dziewczynką, trudno było odgadnąć jej myśli czy zapobiec temu, co sobie zaplanowała. Zawsze była uparta, co jest wadą zwykle korygowaną przez inteligencję. Nigdy nie popełniała tych samych głupich, pochopnych pomyłek. Choć czasem jedna wystarczała, by mieć czego żałować przez całe życie.

- Nikt nie ma wystarczających praw - odparł wolno Jack. - Potomek żony brata waszego ojca, pani, z Jutlandii. Król Swen mógłby się ubiegać o koronę, jak sądzę. Ale nie ma poparcia u naszych w kraju...

- Więc nie ma żadnego brytońskiego następcy?

- Są dalecy kuzyni w waszej rodzinie, ale żaden z nazwiskiem czy pochodzeniem zdolnym poruszyć serca poddanych. A tych biegłych w magii ostrokrzewu czy jarzębiny jak wasza miłość jest jeszcze mniej.

Nie wspomniał, że Robin posługiwała się równie dobrze magią żelaza. Magia ostrokrzewu i jarzębiny była brytońska, zrodzona z tej ziemi i pielęgnowana w rodzinie królewskiej. Magia żelaza nie zrodziła się w wyspiarskim królestwie - była to obca siła, tak samo jak normańscy najeźdźcy. Była to również magia przydająca się najlepiej na wojnie i przy podbojach.

- Co zamierzasz, wasza wysokość? - zapytał Jack.

Robin nie odpowiedziała.

- Wiem... jak sądzę... chcesz pani odprawić ceremonię żałobną dla księżniczki Merewyn. Ale nie możemy ściągnąć tu kapłana ani sami nie możemy się tu dalej kręcić. Ferramenta mogą nie przejść do Hammerbite, ale zbrojni tak, a to miejsce jest znane... miejscowi mogą nie strzymać przestuchania.

- Bo teraz Merewyn nie żyje - dodała Robin z goryczą w głosie. - Powiedz mi, czy ten tłusty klecha wciąż mieszka w jaskini koło polany białego kamienia?

Jack spojrzał pytająco na Dubeltowego Jacka.

- A juści - odparł wielki mężczyzna.

- A jakiemu bogu służy?

Dubeltowy Jack wzruszył ramionami.

- Trzyma to dla siebie. Stawiałbym na Ojca Wszechrzeczy.

- Nie jest to najlepszy pomysł... - zaczął Jack.

- A śpiewa pieśni żałobne? - przerwała mu Robin.

- Śpiewał dla Wata, syna młynarza - powiedział Dubeltowy Jack. - Ale nie w swojej jaskini.

- Jej śmierć powinna być opłakiwana w High Chapel w Winchester - stwierdziła z goryczą Robin. - Ale nie możemy tam pójść, tak samo jak nie możemy pójść do żadnego znanego mi kościoła czy kaplicy. Pójdziemy więc do tego grubego kapłana, bez względu na boga, którego czci.

Jack i Dubeltowy Jack skłonili się, choć było oczywiste, że Jack spierałby się jeszcze, gdyby Robin na to pozwoliła.

- Wasza wysokość, musimy zabrać stąd wszystko, co się da - odparł Jack. - Nie będziemy mogli już tu wrócić.

- Zabiorę, co będę mogła, z naszego... z mojego namiotu - powiedziała Robin.

Podeszła do niewielkiego, skórzanego namiotu, który przez wiele lat dzieliła z Merewyn. W środku nie było wielu rzeczy do pakowania. Zabrała drugi po najlepszym łuk Merewyn, który i tak był lepszy od jej łuku, ale zostawiła wszystko inne. Ze swoich rzeczy zabrała kołczan, w którym jedna strzała z czarnymi piórami i grotem z kości słoniowej, była przeznaczona do zabijania normańskich mistrzów żelaza, niewielki trzos srebrnych monet i odzienie.

Następnie sięgnęła pod słomiane postanie i wyciągnęła skórzaną skrzynkę. Zawierała dwie księgi. Jedna, oprawna w błękitnąwą cielęcą skórę, była zbiorem brytońskich zaklęć ostrokrzewu, jarzębiny i dębu. Druga, w mdłej, brązowo-czarnej oprawie, zawierała demonariusz jej matki, kompendium wiedzy magicznej mistrza żelaza.

Robin wyciągnęła wszystko przed namiot, by zrobić przegląd rzeczy i je zapakować. Znów poczuła smutek i świeżo rozdrapaną ranę, która zaczęła brać górę nad ostatkami ziołowego napoju wciąż krążącego w jej żyłach. Ale opanowała narastającą mieszaninę poczucia winy, wściekłości i rozpacz i skoncentrowała się na spakowaniu skrzynki, łuku, kołczanu i worka z odzieniem. Zabrało jej to ledwo kilka chwil, gdyż pospieszne wyruszenie w drogę stało się jej chlebem powszednim od ponad czterech lat. Pomimo tego Jack i Dubeltowy Jack byli już dawno gotowi z koszami na plecach, w których zabrali wszystko, co mogło im się przydać.

*

Był to długi marsz przez najbardziej skryte w listowiu szlaki w kniei. Noc była odpowiednio jasna na podróżowanie, bo księżyc stał niemal w pełni, a na niebie oprócz ciemnej chmury na horyzoncie jasno świeciły gwiazdy. Robin ani nie zastanawiała się, gdzie stąpa, ani nie zaprzętała sobie uwagi otaczającą ją zielonością. Szła po prostu śladem Jacka, mając za plecami Dubeltowego Jacka, a jej umysł krążył po własnych meandrach, wracając do leśnego traktu, na którym Ferramenta ruszył do przodu i zamachnął się tarczą na Merewyn.

Żeby oderwać się od tych myśli, Robin starała się skupić na planie, który z wolna przybierał konkretny kształt w jej głowie. Było to zamierzenie, które, jeśli się powiedzie, może po części zadośćuczynić pamięci Merewyn, jej ojca i wszystkim Brytom.

Do jaskini dotarli, kiedy zbliżała się północ. Chociaż zachowywali się cicho i przyszli późno, kapłan czekał już na nich na skalnej półce nad wejściem do jaskini.

Ludzie Merewyn poznali go jako tłustego klechę, bo gdy pierwszy raz pojawił się w kniei, miał więcej niż słuszny wygląd. Ale minęły już dwa lata i kapłan był teraz wręcz wymizerowany, jedynie fałdy na twarzy i wokół szyi dawały świadectwo dawnej otyłości. To nie-prawdopodobne, żeby ktokolwiek z jego przeszłości sprzed pobytu w jaskini był w stanie go teraz rozpoznać. Szczególnie że pomimo znacznej utraty wagi, postanowił również wyłupić sobie lewe oko na chwałę swego boga.

Kapłan przykląkł na jedno kolano, kiedy Robin wchodziła po kamiennych schodach do jaskini, a Jack precyzyjnie się przodem koło niego, by sprawdzić, czy ktoś nie czai się w jej wnętrzu.

- Witam waszą królewską mość w imieniu Ojca Wszechrzeczy - zaintonował cicho duchowny.

- Jestem zaszczycona - odparła Robin. Lepiej było zachowywać się poprawnie wobec kapłanów, szczególnie tych służących Ojcu Wszechrzeczy. - Skoro wiesz, kim jestem, to domyślasz się pewnie, czego od ciebie oczekuję.

- By wyprowadzić księżniczkę Merewyn z tego świata - odparł kapłan. - Świtem przyleciał do mnie kruk z wieścią o jej śmierci i o tym, czego się będzie ode mnie oczekiwać. Ale wejdź, pani, zrzuć swe bagaże. Przygotowałem piwo i podpłomyki z owsa na wasze przyjęcie.

- Nie czcimy Ojca Wszechrzeczy - odparła Robin. - I nie życzymy sobie zawdzięczać mu niczego. Złożymy tu nasze rzeczy, usiądziemy na tych stopniach, posilimy się naszym chlebem i wodą, a ty będziesz śpiewał pieśni żałobne.

- Jak sobie życzysz - odparł kapłan.

Wstał niezgrabnie z kolan i wszedł do jaskini, po czym po kilku chwilach wyłonił się z niej z harfą, która miała jedynie cztery struny, kubkiem pszenicznego piwa, podpłomykiem i rogiem wołka ze srebrnymi okuciami. Wszystko to, oprócz harfy, położył na ziemi. Wziął instrument pod pachę, spojrzął w gwiazdzone niebo i z wolna zagrał melodię. Zaczęła się prosto, ale z każdą chwilą robiła się coraz bardziej skomplikowana i Robin była pewna, że słyszy uderzenia w struny, których w instrumencie nie było.

Nagle kapłan zaczął też śpiewać. Miał schrypnięty, acz mocny głos i po kilku pierwszych słowach melodia rozniosła się dziwnym echem po okolicy, niemal jakby ktoś z daleka dołączył do chóru.

Robin wzdrygnęła się, bo pieśń potężniała i narastała, a głos niewidocznego śpiewaka zaczął zagłuszać głos duchownego. Nagle w meandrach melodii Robin usłyszała głos samej Merewyn, przedostający się spod dźwięków harfy:

- Robin! Szukaj nowych początków!

Robin skoczyła na równe nogi i podbiegła do kapłana, ale kiedy chwyciła go mocno, krzyząc: - Merewyn! Merewyn! - głos jej siostry zniknął, podobnie jak wszystkie inne. Był tu tylko kapłan, który już w milczeniu grał ostatnie akordy żałobnej pieśni.

- Odeszła - powiedział duchowny. Wyswobodził się z chwytu Robin. Nie starała się go ponownie złapać. - Lepiej ruszaj w drogę, wasza wysokość, zanim wasi ludzie się przebudzą. Robin spojrziała za siebie. Jack i Dubeltowy Jack leżeli na wznak na stopniach, a ich piersi unosiły się w wolnym miarowym rytmie głębokiego snu.

- Książę Wilhelm przebywa w Winchester - powiedział kapłan. W świetle księżyca jego jedno oko połyskiwało na czerwono, jakby na niebie pojawiła się krwawa łuna. - Chcesz go, pani, zabić, prawda to? Zemścić się na nim?

- Tak - odparła ostrożnie Robin.

Nie była pewna, do kogo teraz mówi, czy jest to kapłan, czy też ten, któremu służy. Poczuli nagłą obecność dębów z kniei. Nie nachylałyby się, by wysłuchać śmiertelnika. Ale niebezpiecznie było skorzystać z przysługi Ojca Wszechrzeczy. Był bóstwem, które pławiło się w rzezi i odstępstwach, które radowała spontaniczna zdrada.

- Twoi słudzy, pani, nie będą chcieli dopuścić, żebyś wyruszyła do Winchester - powiedział kapłan. - Ale będą tu spali do świtu, a wtedy staniesz już u bram Winchester ze swą czarną strzałą.

- Nie chcę twej pomocy, kimkolwiek czy czymkolwiek jesteś - warknęła Robin. - Obudź moich ludzi!

- Ja chcę tylko wyświadczyć pani przysługę - zwodził ją kapłan. - Księżę Wilhelm to groźny przeciwnik. Jak go chcesz ugodzić bez potężnych sprzymierzeńców?

- Prosiłam tylko o to, o co może prosić kapłana każdy krewny zmarłej osoby - byś zaśpiewał żałobną pieśń dla mej siostry - powiedziała Robin. - Nie przyjmę niczego więcej i nie będę nikomu niczego dłużna. Obudź mych ludzi!

- Bardzo proszę - powiedział kapłan. - Już ich budzę.

Gwałtownym ruchem porwał z ziemi bawoli róg i zadął weń ze straszną siłą, a echo tego dźwięku rozległo się w całej puszczy. Odpowiedziały mu nie tylko złorzeczenia przebudzonych Jacka i Dubeltowego Jacka, ale również głosy na szlaku poniżej, szczęk broni, zbroi i brzęk końskich uzd.

Robin spojrzała w dół i zobaczyła kolumnę zbrojnych w dole. Ich hełmy błyszcząły w świetle księżyca. Jechali konno i byli tam ich ze dwa oddziały, może więcej.

Kiedy Robin się odwróciła, kapłana już nie było, zniknął wraz z rogiem, kubkiem i podpłomykiem. Krzyki z dołu świadczyły o tym, że ich dostrzeżono. W kilka chwil normańscy zbrojni rozpoczęli natarcie na kamiennych stopniach.

- Wasza wysokość, do jaskini! - wykrzyknął Jack. Wypchnął Robin z oświetlonego światłem księżyca wejścia do jaskini w ciemność. - Wasza miłość, uchodź!

Robin wiedziała, że w tyle jaskini znajduje się szeroki, naturalny komin, ale nie widziała go i nawet nie starała się go odszukać. Odwróciła się ponownie w stronę Jacka i Dubeltowego Jacka. Dwie sylwetki odcinające się w świetle księżyca stały u wylotu jaskini z mieczami w dłoniach. Za nimi oddział normańskich wojów rozpoczynał natarcie i nagle w jaskini rozległy się echem wojenne okrzyki.

- Uchodź! - krzyknął Jack.

Nie odwrócił się. Chwilę później wraz z Dubeltowym Jackiem odpierał atak trzech Normanów, którzy jednocześnie natarli na wejście do jaskini. Na poziomie lasu jednak, kilka stopni niżej, cała ich ciżba czekała na swoją kolej.

Robin starała się przypomnieć sobie jakieś zaklęcie, coś, co mogłoby powstrzymać Normanów na tyle długo, żeby Jack i Dubeltowy Jack zdążyli im uciec. Ale nie przyszło jej do głowy żadne brytońskie zaklęcie, które udałoby się rzucić w kamiennej jaskini. Nie miała też żadnego przedmiotu ani przygotowanego czaru, by przywołać jakąś poważną normańską magię.

Ale miała miecz. Podbiegła i kucając za plecami swych sług, dźgnęła w kolano jednego ze zbrojnych. Cios dosięgł celu, prześliznąwszy się pod kolczą tuniką. Zatoczył się, zachwiały na tarasie przed jaskinią i zepchnięty ciosem miecza Jacka poleciał w dół. Jeden z pozostałych zbrojnych leżał już bez ducha na ziemi. Trzeci cofnął się do schodów. Z dołu rozległa się dudniąca komenda:

- Łucznicy wystąp!

- Bierz księżniczkę i uchodźcie! - nakazał Jack bratu.

Dubeltowy Jack tylko pokręcił głową. Na początku była to ludzka głowa, a pod koniec już psia. Potargane odzienie i kosz spadły na ziemię i już wielki pies cralle szykował się do skoku. Z potężnym warczeniem, które Robin odczuła od palców stóp do piersi, wielka bestia

natarła na przerażonych napastników, którzy starali się odskoczyć, przewracając przy okazji wszystkich stojących na schodach.

Jack przyglądał się temu przez długie dwie sekundy, po czym odwrócił się na pięcie i chwycił ramię Robin ze znaczną siłą.

- Do komina!

Robin starała się wyrwać z jego uścisku, kiedy wbiegali do jaskini. Nic nie widziała, ale Jack najwyraźniej widział wszystko, bo nie wpadli na nic po drodze.

- Musimy wrócić! Dubeltowy Jack...

- Wystrzelają nas jak kaczki. Nie marnuj pani jego poświęcenia!

Robin przestała się szarpać. Jack pociągnął ją kilkanaście stopni w górę, a następnie bezceremonialnie podniósł. Przekrzywiwszy głowę, Robin dostrzegła błyśnięcie światła nad głową.

- Są tu żelazne klamry - powiedział Jack. - Taką mam nadzieję.

- Są - odparła Robin.

Wiedziała, gdzie są, bez patrzenia. Żelazo wołało ją - głęboko w kościach czuła jego zew. Sięgnęła na oślep i palce zacisnęły się na pierwszej z nich - zaczęła się wspinać.

Komin miał kilkanaście metrów wysokości. Robin wyłoniła się po drugiej stronie na stromym zboczu między karłowatymi drzewami, które wpijały się w skałę poskręcanymi, sękatymi, odsłoniętymi korzeniami. Jack piął się za nią.

Spojrzeni w dół. Nie widzieli wejścia do jaskini, ale zobaczyli przynajmniej cztery dziesiątki Normanów gotujących się do boju na ścieżce poniżej, łącznie z tuzinem łuczników, którzy stali w półkolu, żartując i dowcipkując. Z ich triumfalnego zachowania i urywków rozmów, które docierały na szczyt wzgórza, wynikało, że wściekły atak Dubeltowego Jacka został powstrzymany gradem strzał.

- Dubeltowy...

- Nie żyje - odparł Jack. - Chodźmy. Wcześniej czy później jakiś odważny głupek zechce wejść tym kominem, a ktoś mądrzejszy wejdzie tu na górę łatwiejszą drogą.

Chwyając się korzeni drzew i klamer, Jack ruszył po skosie zboczem i dalej pod górę. Robin podążała za nim nieco wolniej. Jack nie miał już kosza na plecach, który by go tylko spowalniał, ale Robin wciąż miała ze sobą swój skórzany wojłok i kołczan, choć łuk Merewyn leżał na dole, na stopniach wiodących do jaskini.

Wspinaczka na sam szczyt góry nie należała do najłatwiejszych, ponieważ wymagała ostrożnych uników, przechodzenia pod, nad i wokół drzew rosnących na grani, z Normanami za plecami, którzy wybrali łatwiejszą drogę na górę. Na szczęście byli o wiele wolniejsi niż Robin i Jack i nienawykli do kniei, a nie mogli też przeć taranem przez gąszcz, tak jak to robili Ferramenta.

W końcu, kiedy ucichły odgłosy ich prześladowców i wokół słychać było jedynie dźwięki kniei nocą, Jack zatrzymał się przed olbrzymim kikutem pnia dębu powalonego przez piorun. Rozszczepił się w kilku miejscach, ukazując pustą przestrzeń w środku, ale żaden z otworów nie był nawet na tyle duży, by mogło przezeń przejść dziecko.

- Wasza wysokość, mogę liczyć na pomocną dłoń?

Robin dotknęła dębu, przykładając dłoń do starożytnego pnia. Gdyby drzewo było żywe, od razu poczułaby jego zieloną iskrę istnienia. Ale ten dąb był od dawna martwy. Pozostał jedynie jego cień jako świadectwo zbiorowej pamięci kniei.

Robin wstrzymała oddech i znieruchomiła. Poczula, jak z wolna świadomość puszczy kiełkuje w jej głowie na podobieństwo mgły płożącej się po trzęsawisku. Czula, jak młode pędy zwracają się ku promieniom słonecznym, jak liście drżą pod ciężkimi kroplami deszczu, jak wyrastają gałęzie i rozdzielają się wielokrotnie, jak pień potężnieje z roku na rok, wiek za wiekiem.

Stała się dębem, zajęła jego miejsce w pamięci kniei. Wokół jej dłoni pojawiły się młode pędy. Stary suchy pień ożył pod jej dotykiem. Jeden z otworów dębu zaskrzypiał i rozdzielił się jeszcze bardziej, a z boku strzeliła pierwsza zielona gałązka. Otwór poszerzył się, a gałązka zmieniła się w gałąź, na jej końcach pojawiły się młode pędy i z zielonych pąków strzeliły liście.

- Dość - powiedział Jack.

Robin słyszała jego głos jakby z oddali. Ale nie miała zamiaru dać za wygraną, nie chciała opuszczać lasu. Była dębem i cały jej ludzki ból, poczucie winy, strach znajdowały się gdzie indziej, obce i odległe.

Kolejne gałęzie pojawiły się przy szczelinie i rosły dalej.

- Dość! - powiedział Jack już ostrzejszym głosem.

Robin wdrygnęła się, cofnęła dłoń i potarła skórę w miejscu, w którym pojawiła się kora, między kciukiem i nasadą dłoni.

Possała zadrapanie i schylając się, weszła do ciepłej, suchej, niezwykle obszernej komnaty, która zajmowała niemal jedną czwartą martwego pnia drzewa. Wnętrze wyścielone było grubym kobiercem z mchu, na którym Robin położyła się z ulgą, poddając się długo powstrzymywanej fali wyczerpania.

Po kilku minutach wyglądania przez szczelinę Jack powiedział:

- Będziemy tu bezpieczni do świtu. Później najlepiej będzie udać się do klasztoru w Avington. Możesz, pani, prosić tam o schronienie.

- Nie - odparła Robin. - Nie będę biegła od Ojca Wszechrzeczy do Chrystusa Syna Bożego.

- No to co tedy zrobisz, wasza wysokość? - zapytał Jack.

Mówił znużonym głosem, tak znużonym, że plątał mu się język.

Robin spojrzała na niego i po raz pierwszy w swym młodym życiu dostrzegła, że Jack jest stary. Miał przynajmniej czterdzieści wiosen, a może nawet więcej. Nie zauważyła, że jest aż siny ze zmęczenia, bo do tej pory myślała wyłącznie o sobie.

- Przepraszam cię, Jack - powiedziała łagodnie. - Za wszystko. Gdybym nie rwała się tak do ataku, nie stałoby się to z... Merewyn... z Dubeltowym...

- Jak nie teraz, to i tak za chwilę byłoby tak samo - odparł Jack. Znikła gdzieś jego zwykła pewność siebie i uderzył w tony zupełnie Robin nieznane. - Księżniczka Merewyn to wiedziała. W miesiącach po Senlac Hill mieliśmy ponad dwa tysiące mężów. Ile z nami poszło

dwa dni temu? Trzydziestu czterech! Obawiam się wypowiedzieć te słowa, wasza wysokość, ale uważam, że nadszedł czas, by paktować z pani dziadkiem.

- Co takiego? - warknęła Robin.

Jack miał przez chwilę zamknięte oczy, po czym otworzył je z wyraźną trudnością.

- Porozmawiajmy o tym za dnia, wasza wysokość - wyszeptał. - Strudzonym, bardzo strudzonym... może przemawia przeze mnie to strudzenie i rozpacz. Porozmawiajmy rankiem...

Głos mu się załamał i jego głowa opadła mu na bok, a zmieniony oddech świadczył bez wątpienia o tym, że zapadł w głęboki sen po całodziennym wyczerpaniu.

Robin nie mogła zasnąć i choć gniew wciąż w niej buzował, nie była w stanie utrzymać niedawnej furii. Jack wiernie służył jej ojcu i siostrze, zanim jeszcze przyszła na świat. Naturalnie był w błędzie.

Mogło się wydawać, że Brytowie zostali pokonani, ale Robin nie miała najmniejszej ochoty padać na kolana i błagać o litość swego dziadka. Miała inne plany.

Inne plany wymagały od niej całonocnego czuwania i wymknięcia się cichcem z dębowej szczeliny, kiedy Jack jeszcze spał. Patrzyła na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy dobrze robi, i już sięgała ręką, żeby go obudzić. Ale nie, jej dłoń zatrzymała się tuż przed jego ramieniem. Jack nie pozwoliłby jej zrobić tego, co zamierzała.

Pomimo to wiedziała, że nie może odejść, nie powiadamiając go, że poszła z własnej woli, a nie została zabrana przez wrogów. Dlatego też wbiła w mech swoją srebrną zapinkę do włosów z bursztynem, bo i tak już miała za krótkie włosy, by ją nosić.

*

Kiedy słońce stało już wysoko i robiło się przyjemnie ciepło, Robin leżała schowana w wysokiej trawie i obserwowała rzymską drogę prowadzącą z Newbury do Winchester. Tuż przed świtem przejechał nią samotny jeździec, ale Robin czekała na dużą grupę wędrowców, by się w nią wmieszać. W tym celu zostawiła kołczan i miała przy sobie jedynie strzałę z grotem z kości słoniowej, która teraz uwierała ją, przymocowana pod tuniką. Skróciła ją, odłamując lotki, ponieważ nie miała zamiaru z niej strzelać.

W godzinę po tym, jak świt zmienił się w słoneczny dzień, w ślad za jeźdźcem nadeszła niewielka grupa pielgrzymów w kapeluszach z szerokimi rondami, podpierających się kosturami. Robin też ich zignorowała. Wśród pielgrzymów wyróżniałaby się jak muchomor w koszu prawdziwków.

Kolejna grupa była o wiele bardziej obiecująca. Wyglądali, jak cała wioska idąca na targ w Winchester, by sprzedać swoje płody rolne. Więcej niż trzydzieścioro kobiet i mężczyzn, pół tuzina ręcznie ciągniętych wózków i trzy wozy zaprzężone w woły.

Robin wyłoniła się zza drzew, podciągając tunikę, jakby właśnie wracała na drogę po załatwieniu swojej potrzeby w rowie.

Trzydzieści par podejrzliwych oczu przyglądało się, jak się zbliża. Ale kiedy zobaczyli, że nie ma ani miecza, ani łuku, i nie jest awangardą bandy zbrojnych rzezimieszków,

powitano ja przyjaznymi okrzykami, których jednakowoż nie można było dokładnie zrozumieć.

Byli to mieszkańcy dwóch wiosek, o czym Robin dowiedziała się, idąc i rozmawiając z nimi. Myślała, że będą wobec niej nieufni, ujrawszy jej normańskie rysy, ale nawet jeśli tak było, to wędrowcy nie dali tego po sobie poznać. Po jakimś czasie jakaś babulinka nawet zaprosiła Robin, by usiadła na wozie, a jednej ze swoich wnuczek kazała zsiąść. Robin przyjęła zaproszenie z wdzięcznością, gdyż była bardzo zmęczona.

Na początku jechały bez słowa. Ale po jakiejś mili przebytej w ciszy, jeśli nie liczyć turkotu kół wozu, skrzypienia drewna i porykiwania wołu, kobieta zadała jej pytanie. Miała ciężki akcent, ale Robin rozumiała ją doskonale.

- Skąd jesteś, chłopcze? Kto jest twoim panem?

- Z Winchester - odparła Robin, zadowolona, że biorą ją za chłopca. - Jestem wolnego stanu. Na imię mam... Wulf.

Kobieta skinęła trzykrotnie głową, jakby chciała dobrze zapamiętać tę informację.

- Ja jestem Aelva - powiedziała. - Wdowa. Moi synowie to też wolni ludzie, dzierżawią kawałek ziemi od Henryka Molyneux.

- Czy jest dobrym panem? - zapytała Robin.

- A juści, lepszym niż poprzedni.

- Wśród Normanów jest wielu złych panów - rzekła Robin. Dostrzegła, iż wzrok kobiety zatrzymał się na jej włosach, więc dodała: - Mój ojciec był Brytem, a matka Normanką.

- Przed sir Henrykiem panem był Bryt. Kiedy wybiła jego godzina, tańczyliśmy na Senlac Hill.

Robin wbiła w nią wzrok i już miała zeskoczyć z wozu. Kobieta jednak chwyciła ją za łokieć.

- Nie chciałam cię dotknąć, chłopaczku. Bryt czy Norman, nie ma dla mnie większej różnicy, ale dość już o tym.

Robin wolno wróciła na miejsce. Już nie rozmawiały, ale po chwili spojrzały na siebie bardziej przyjaźnie, a napięcie zostało gdzieś tam na drodze za nimi.

Nie rozmawiając, Robin mogła teraz przyglądać się krajobrazowi i radować się świeżym powietrzem i słońcem. Lata minęły, odkąd za dnia opuściła las. Kraj wyglądał dostatniej niż ten, który zapamiętała. Na stokach wzgórz pasło się więcej owiec, widać było nowe zabudowania gospodarcze i naprawiono drogę.

Wieśniacy zatrzymali się, by dać odpocząć wołom i sobie, kiedy słońce stało już bardzo wysoko. Robin podziękowała Aelvie i życzyła jej pomyślności, po czym ruszyła dalej sama. Jej ciało odpoczęło, lecz umysł zaprzętały nowe myśli, które pojawiły się na sielskiej drodze wśród zadowolonych chłopów i kwitnącego kraju wokół. Starła się sobie wytłumaczyć, że właśnie tak tuczy się owce na ubój, ale nie zgadzało się to z tym, co widziała, i z nastrojami ludzi.

Milę dalej spostrzegła kontury miasta Winchester, starożytnej stolicy Brytów. Kiedyś był to jej dom, ale nie była tu od ponad trzech lat. Spodziewała się zobaczyć znajome widoki,

gdyż miasto nie zmieniało się przez pierwsze dwanaście lat jej życia. Ale teraz było inne, bardzo się różniło od tego dawnego i Robin aż zatrzymała się na drodze, by mu się przyjrzeć.

Zniknął drewniany ostrokół i został zastąpiony przez o wiele wyższy mur z białego kamienia, w który wkomponowano trzy stare wieże i dodano cztery nowe. Z początku wydawało się, że nic nie pozostało z pałacu królewskiego, wielkiej hali górującej nad miastem na niskim wzgórzu, ale potem uświadomiła sobie, że został włączony w skład nowego zamku, fortyfikacji, która zdominowałaby całkowicie miasto, gdyby nie przeciwwaga opactwa z dzwonnicy, która była równie wysoka, choć nie miała charakteru militarnego. Opactwo również zostało rozbudowane od czasów, kiedy Robin widziała je po raz ostatni. Harold nie darzył wiernych Chrystusa Syna Bożego sympatią, ale o Wilhelmie mówiło się, że bardzo szanuje jego kapłanów.

Kiedy Robin przeszła przez nową bramę, przy której wciąż uwijali się jeszcze murarze, i wchodziła się w tłum, opanowała ją fala nagłego, nienazwanego lęku. Nie przywykła do gwaru i rwetesu dużego miasta i do ludzi, którzy przechodząc obok niej, ocierali się o nią bezwiednie. Parła jednak naprzód w stronę rynku, na którym powinno być więcej przestrzeni. Z pewnością, powtarzała sobie w myślach, targ nie mógł się aż tak zmienić.

Jednak kiedy do niego dotarła, stwierdziła, że rynek również całkowicie odbiegał od jej oczekiwań, gdyż nie był to ani pusty plac, jak kiedyś przez siedem dni na czternaście, ani też nie wypełniali go sprzedający, kupujący, towary i mniejsze zwierzęta, jak podczas siedmiu dni targowych.

Cały plac był otoczony burocz czerwonym powrozem, zawieszonym na wbitych w ziemię żelaznych słupkach. W każdym rogu placu stały grupki zbrojnych, a w samym jego środku postawiono grubo ciosany blok z piaskowca, który wyglądał jak przewrócony menhir. W środek kamienia wbito miecz. Nawet ze znacznej odległości Robin poczuła magię żelaza. Miecz wrażono w kamień za pomocą wielkiej magii.

Ale poczuła również ślad magii brytońskiej. Robin nie mogła dokładnie rozpoznać, co to było, ale koło kamienia coś leżało. Sterta gałązek, coś na kształt ptasiego gniazda, która jednak emanowała niezwykle mocno magią ostrokrzewu i głogu. Tak niezwykła bliskość dwóch magii wywołała u niej lekkie nudności.

- Dziwne, nie? - zaszeptał głos koło jej łokcia. - Ucałuj dłoń moją srebrem, a opowiem ci historię.

Robin spojrzała w dół i cofnęła się o krok. Kaleka pozbawiony nóg poniżej kolan szczyrzył do niej zębami w uśmiechu i wyciągał dłoń w jej stronę. Kiedyś może nawet był wysoki i silny, Robin widziała to wyraźnie, i był przystojnym Brytem. Teraz był tylko żebrakiem, choć sądząc po w miarę czystym odzieniu i nowych podkładkach pod kikuty, wiodło mu się niezgorzej.

- Straciłeś nogi pod Sentac? - zapytała.

Pomyślała, że jeśli jest jednym z dawnych żołnierzy jej ojca, da mu monetę.

- Nie. - Mężczyzna się uśmiechnął. - To był wypadek przy budowie zamku. Królewski rządca wypłacił mi kikutowe, ale pieniądze dawno się rozeszły. No dalej, dawaj sztukę srebra, a opowiem ci o tym mieczu.

- Nie - odparła Robin.

Odwróciła się i skierowała w stronę zatłoczonych ulic, przylegających do placu. Kaleka wykrzykiwał coś za nią, ale nic obraźliwego. Coś o tym, że taka historia warta jest odpowiedniej ceny, ale tylko wtedy, kiedy ktoś ma dar opowiadania.

Tłum wchłonął Robin i ją ogłuszył. Minęła chwila, zanim doszła do siebie, starając się znaleźć strumień ludzki, który poniósłby ją w wybranym kierunku i uniknąć przepychania i wypchnięcia w boczne zaułki.

Robin z każdego miejsca widziała cel swej podróży bez względu na plątaninę uliczek czy tłoczących się wokół ludzi. Zamek widać było zewsząd, a jego wieże górowały nad dachami domów.

W końcu dotarła do bramy i stanęła między miejską ciżbą i wartownikami, którzy obrzucili ją zdawkowymi spojrzeniami. Budynek bramy był nowy, zbudowany z tego samego białego kamienia, co miejskie mury. Odrzwia bramy były jednak stare, zrobione z prastarego dębu, z wyciętymi na nich imionami wszystkich władców Brytanii aż od czasów Alfreda.

Robin zobaczyła na nich imię swego ojca. Książę Wilhelm nie usunął go, chociaż sądziła, że tak zrobi. Jego własne imię jednak było tam również wycięte jasnymi literami na starym drewnie nad imionami Haroldów, Edwardów, Edgarów, Edmundów i całej plejady innych zacierających się pod wpływem czasu.

Robin odkaszlnęła i strażnicy znów zaszczylicili ją spojrzeniem. Nie opuściła wzroku, nagle uświadamiając sobie, że jest to chwila podobna do tej, w której chwyciła za róg Merewyn. Gdyby podeszła do nich i odezwała się, jej plan zacząłby się nieodwracalnie realizować. Jej los zależałby od sukcesu czy porażki, podobnie jak los księcia Wilhelma, los całego królestwa Brytanii i być może całego świata.

Gdyby podeszła i się odezwała.

Jeden ze strażników wymownym gestem położył dłoń na rękojeści miecza. Obserwowała ją teraz cała trójka, zastanawiając się, dlaczego nie przestaje się gapić i nie odchodzi jak wszyscy inni.

Robin zrobiła krok naprzód. Jednocześnie wyciągnęła dłoń do żelaznych mieczy, hełmów i kolczug strażników, czując ich ciężar, prądy przyciągania i odpychania krążące w metalu. Wykonała dłonią rytualny gest, zaciskając pięść i potrząsając nią. Kiedy jej dłoń wykonała ten gest, całe żelastwo na wartownikach wydało przenikliwy jęk, wysoki zgrzyt na tyle głośny, że najmłodszy strażnik skrzywił się z bólu i zachwiał na swoim stanowisku.

Był to zew żelaza, znak, że oto pojawił się szlachetnie urodzony normański mistrz żelaza. Słyszeli go wszyscy obecni na zamku. Ale nawet mistrzowie żelaza nie rozpoznaliby tego wołania metalu, bo Robin nigdy wcześniej go nie używała. Poczawszy od samego księcia, wszyscy pewnie się teraz zastanawiają, kto mógł wywołać tak głośny i klarowny dźwięk.

Wartownicy zareagowali instynktownie i wyprostowali się, prezentując broń. Może Robin wyglądała jak mały włóczykij, ale zew żelaza był czysty i wyraźny. Podeszła do nich, zatrzymała się przy bramie i przemówiła:

- Jestem księżniczka Robin. Żądam, żeby eskorta zaprowadziła mnie do mego dziadka, księcia... króla Wilhelma.

Kolejni strażnicy przeżyli broń, ustawiając się za bramą w dwóch rzędach. Za nimi pojawił się jakiś rycerz i zapinając pas z mieczem, zbliżył się do Robin. Przykląkł na jedno kolano, po czym szybko się podniósł, a na jego twarzy zagościł radosny, szczerzy uśmiech, pozbawiony choćby cienia normańskiej dwulicowości, o którą Robin zawsze ich podejrzewała.

- Witam waszą wysokość. Jestem Geoffrey de Manduc. Król spodziewał się pani i oczekuje na nią w Wielkiej Sali. Tędy proszę.

- Spodziewał się... mnie? - zapytała zmieszana Robin, a strach błyskawicznie chwycił ją za gardło, więc te słowa zabrzmiały dość ochryple.

- W rzeczy samej, wszyscy dziedzice królewscy już tam są - odparł radośnie Geoffrey krok przed nią, wciąż szamocząc się z klamrą od pasa. Przypominał Robin jej psa myśliwskiego, którego miała dawno temu, kiedy jeszcze żył jej ojciec. Był to pies myśliwski wyłącznie z nazwy, który w rozradowaniu potykał się o własne łapy i skakał wokół niej, wykonując akrobacje i piruety. - Kiedy król wrócił wczoraj wieczorem z kniei, ogłosił na dworze, że czas zakończyć wygnanie waszej miłości, które sama sobie panienka wybrała. Witamy serdecznie na dworze, wasza wysokość.

- Ale to nie... - zaczęła Robin. Już starała się dociec, co kombinował książę i jaki może mieć to wpływ na jej plany. - Nieważne. Mówiłeś, waszmość, że są tu wszyscy królewscy dziedzice?

- Tak, zostali wezwani, choć nikt nie wie, w jakim celu - wymamrotał Geoffrey. - Król nic nie mówił, ale wielu uważa, że ma to coś wspólnego z mieczem, który wbił w kamień pierwszego dnia po objęciu władzy.

- Jakiś żebrak mówił mi, że może mi opowiedzieć coś o tym mieczu - rzuciła Robin, choć miała wrażenie, że powiedział to ktoś inny. Większość uwagi skupiała na pasażu w bramie i dalej na odkrytej przestrzeni zewnętrznego dziedzińca. Zapamiętała stanowiska straży i szukała teraz bocznej furty czy też innego sposobu, żeby ująć z zamku.

- O, z całą pewnością! - Geoffrey wybuchnął śmiechem. - Żebracy mają opowieść na każdy temat. Ale wasza wysokość pewnie sama ma co opowiadać. Życie kaptanki Bogini Księżycy z pewnością obfitowało w wiele ciekawych wydarzeń wartych opowieści...

- Co takiego? - wykrzyknęła Robin. - Nie byłam kaptanką żadnego boga, a już na pewno nie Bogini Księżycy. Byłam...

Geoffrey nachylił się, by wyraźnie usłyszeć, i Robin uświadomiła sobie, że prawdopodobnie nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Miał w sobie coś z urzędnika, ale urzędnika dworu królewskiego, i już starał się zdobyć przewagę nad innymi i posiąść sekretną wiedzę na temat królewskiej wnuczki.

- Nikt nie wie, gdzie przebywałam przez ostatnie trzy lata? - zapytała cichym głosem, kiedy okrążali wzgórze zamkowe, mijając schody prowadzące do donżonu i kierując się do Wielkiej Sali.

- Nie, wasza wysokość - odparł Geoffrey. - Ale krążyło wiele opowieści.

- A co z... co z moją siostrą, księżniczką Merewyn? Co się mówi o niej?

Geoffrey wyglądał na zaskoczonego.

- O księżniczce Merewyn? Dostała gorączki i zmarła w trzy dni po Senlac Hill, tak?

Robin pokręciła tylko głową, bo nie była w stanie wypowiedzieć jednego słowa. Zaczęło do niej docierać, że jej życie w ciągu ostatnich czterech lat było w dużej mierze nieistotne dla Normanów, nieistotne dla pobratymców, dla... każdej osoby żyjącej poza lasem. Stanowili dla nich wyłącznie kolejną grupę rzezimieszków, którzy kryli się w lasach, jak to rzezimieszki. Nie stanowili nawet na tyle dużego zagrożenia, żeby lud opowiadał o ich wyczynach.

Olbrzymie odrzwia do Wielkiej Sali stały otworem. Kiedy się zbliżyli, Robin usłyszała podniesione głosy, przez które nagle przebił się trzask mieczy uderzanych o tarcze przez Ferramenta.

- Zdaje się, że król wyjaśnił właśnie kwestię miecza - powiedział Geoffrey.

Wydużył krok, jakby nagle zaczął się dokądś spieszyć. Pomimo dudnienia metalu o metal krzyki i podniesione głosy wewnątrz nie cichły.

W sali było o wiele głośniejsze. Przepastny budynek z wysokim stropem wypełniali krzyczący mężczyźni i nie mniej głośna grupa kobiet. Na drugim końcu pomieszczenia rząd dwudziestu Ferramenta odgradzał tłum od podwyższenia, na którym stał prosty, drewniany tron. Jedynie czterech z nich uderzało w tarcze, a natarczywy brzęk z wolna wyciszał rwetes panujący w sali. Za Ferramenta stała drużyna łuczników w barwach straży księcia Wilhelma.

Sam książę stał przed tronem, spokojnie czekając, aż zrobi się cicho. Nawet jeśli dostrzegł Robin, to nie dał tego po sobie poznać. Kiedy Geoffrey prowadził ją do tronu, Robin uświadomiła sobie, że każda osoba w sali była popiecznikiem jednego bądź drugiego pretendenta do tronu Wilhelma. Sala była wypełniona normańskimi wielmożami oraz najznakomitszymi rycerzami i damami dworu Wilhelma. Większość z nich była wściekła, zaskoczona albo podekscytowana i stąd brał się ten hałas.

Robin nie odzywała się do żadnego z nich, ale co kilka kroków Geoffrey łąpał ją za łokieć i rzucał kilka słów, i dzięki temu Robin mogła się przecisnąć dalej.

Znajdowali się w połowie zgromadzonego tłumu, kiedy Robin nagle poczuła chłód, dokuczliwy ból za prawym okiem. Trwało to tylko chwilę, ale zdołało wywołać dziwny przypływ gniewu, który zaczął w niej narastać. Gniewu skierowanego przeciwko księciu Wilhelmowi. Zarzwał jej ojca, siostrę i uzurpował sobie prawo do korony, która prawowicie należała się jej. Musiał zginąć!

Robin zatrzymała się. Odczuła bardzo wyraźny gniew na księcia. To prawda, planowała go zabić, ale była to wyrachowana decyzja, nie zrodzona z gniewu. Nagła furia wydawała się zupełnie irracjonalna, jakby wynikała z czegoś zupełnie innego. Rozejrzała się wokół i spostrzegła jedynie Normanów, spoglądających w stronę tronu.

Wtedy podniosła wzrok i zobaczyła kruka wpatrującego się w nią z krokwi. Jego paciorkowate ślepia wbijały się w nią, ale nie było to spojrzenie ptaka. Poczula je jak powiew wiatru, jak coś niewidocznego, lecz potężnego i przepojonego chłodem.

Robin potrząsnęła głową i wbiła wzrok w podłogę, w błoto i słomę pokrywającą podłogę z białych płyt. Wciąż czuła wściekłość, ale wiedziała, że nie swoją. Był to Ojciec Wszechrzeczy, który starał się zmusić ją do pochopnych działań.

- Dobrze się czujesz, wasza wysokość? - wyszeptał Geoffrey.

Robin gwałtownie uniosła głowę, nagle uświadomiwszy sobie, że Ferramenta przestali walić w tarcze, ludzie przestali krzyżeć, a w sali zaległa cisza. Wzięła głęboki oddech, starając się poskromić gniew, który na nic by się jej nie przydał.

- Tak - odparła. - Ale zanim pójdziemy dalej, wytłumacz mi, co wznieciło ten rwetes?

- Król oznajmił, że zgodnie z jego wolą...

Geoffrey zamilkł nagle, kiedy król przemówił mocnym, donośnym głosem, który poszybował nad głową Robin.

- Rzekłem. Tak będzie. Kto pierwszy z mej krwi zechce się poddać sprawdzianowi?

Przez kilka dobrych chwil jedyną odpowiedzią na królewskie słowa była cisza. Wtedy niewysoki mężczyzna z szerokimi barami i podgoloną na karku głową przepchnął się do przodu i przeszedł przez rząd Ferramenta. Żelaźni wojowie dali mu przejść, a odziani na czarno łucznicy tylko spoglądali, jak zbliża się do podium. Nie wykonał pokłonu, a jedynie skłonił odrobinę głowę.

- Aurillac - wyszeptał Geoffrey do Robin.

- Muszę zaprotestować, stryju! - parsknął Bękart Aurillac. - Nie powinno być żadnej próby! Prawem krwi należy mi się scheda po tobie. Nie ma sensu bawić się w tą głupią grę z mieczem...

- Są jeszcze inni, którzy podług krwi mają takie same czy nie lepsze prawa od ciebie - odparł Wilhelm. - Wiele wymagań musi spełnić wspólny władca Anglii i Normandii. Rzekłem, jak postanowiłem. Jeśli nie masz odwagi, by poddać się sprawdzianowi...

Aurillac parsknął jak buhaj.

- Jestem największym mistrzem żelaza w tej sali krom ciebie, stryju. Pójdę teraz i wyciągnę miecz z tego kamienia!

Nie czekając na przyzwolenie, ponownie skłonił lekko głowę, następnie odwrócił się i skierował do drzwi. Jego baronowie i rycerze, jakieś ćwierć sali, ruszyli za nim. Znów rozległy się okrzyki i pomstowania spotęgowane odgłosami, jakie wydawali woje z żelaza, którzy sformowali klin i zamykając w nim króla wraz z łucznikami, pomaszerowali do drzwi.

Geoffrey ostrożnie złapał Robin za rękaw, uważając, żeby jej nie dotknąć, i starał się ją odciągnąć na bok.

- Najlepiej będzie, jeśli poczekamy i ruszymy za królem - powiedział. - Jest za dużo ludzi, żeby się do niego zbliżyć.

Robin pokiwała głową i zygzakiem, omijając ludzi, ruszyła za nim. Czuła wbijającą się w jej bok strzałę z grotem z kości słoniowej i aż ją ręka świerzbiła, żeby ją wyciągnąć i wrazić ją Wilhelmowi w pierś. Ale teraz nie miała do niego dostępu. Później będzie miała okazję.

Robin wiedziała, że zaraz potem zostanie rozsieczona, ale przynajmniej zginie, wiedząc, że pomściła śmierć ojca i siostry i że spadkobiercy Wilhelma wywołają wojnę między Anglią i Normandią. Jednak wyglądało na to, że mógł ją wygrać Aurillac, ponieważ

miął masę stronników, którzy sprawiali wrażenie niezwykle wojowniczych. Poza tym jest na miejscu, w stolicy...

Cień zwątpienia niepostrzeżenie wśliznął się do myśli Robin. Jeśli zabije Wilhelma, to tym czynem może oddać Brytanię Aurillacowi, który, jak wszystko na to wskazuje, będzie o wiele gorszym panem niż książę. I czy naprawdę pragnęła wpędzić kraj w kolejną wojnę? Poczwała się jak zdrajca, bo myśli te kłóciły się z czystą nienawiścią, jaką czwała w stosunku do Wilhelma. Ale były to myśli niezwykle natrętne i zaprzętały jej umysł całkowicie, kiedy wyszła wraz z tłumem z zamku i ruszyła przez miasto na rynek.

Zamieszanie wokół zamku, przemarsz króla w otoczeniu Ferramenta i ponad czterystu normańskich notabli, wywołało olbrzymie poruszenie w mieście. Robin wydawało się, że każda osoba przebywająca w obrębie murów obronnych miasta znalazła się na placu targowym, gdzie mieszkańcy i goście tłoczyli się na krawędziach wychodzącej z pałacu procesji.

Z pomocą Geofifreya, który szeptał coś do idących przed nią baronów i rycerzy, Robin dotarła do placu, gdzie znalazła się tuż za rzędem żelaznych wojów. Tam zmienili szyk, podobnie jak łucznicy, wzmocnieni siłami straży, która była już obecna na placu, i uformowali kordon o trzydzieści kroków od kamienia z mieczem, powstrzymując napór tłumów, które Robin szacowała na kilka tysięcy.

We wnętrzu kordonu stali tylko Wilhelm i Aurillac. Geoffrey pociągnął Robin za tunikę i zręcznie wymanewrował ją tak, że stanęła z przodu i mogła widzieć wszystko między dwoma żelaznymi wojownikami. Zadrżała, kiedy stanęła koło nich i zamrugwała powiekami, czując, jak ich niespokojne duchy skryte wewnątrz pancerzy próbują dotrzeć do jej umysłu. Metalowy dotyk odrzucał ją i jednocześnie przyciągał. Nie czwała czegoś takiego od wielu lat, od kiedy uczyła ją wszystkiego matka. Dwa dni temu była zbyt pochłonięta ucieczką przed metalowymi wojownikami, żeby to poczuć.

Aurillac wykrzykiwał coś do Wilhelma. Robin siłą woli oderwała się od żelaznych wojowników, żeby wyłowić słowa Bękart.

- ...odprawić hołotę! Nie będę robił z siebie pośmiewiska na oczach mierzwy!

Wilhelm powiedział coś, czego Robin nie usłyszała, i wskazał na miecz. Aurillac warknął i ruszył w jego kierunku. Wspiął się na kamień, postawił stopy po obu stronach ostrza i chwycił za rękojeść. Napiął muskuły i w jednej chwili Robin poczuła emanującą z niego falę magii żelaza. Starał się poskromić zarówno metal, jak i kamień, które zespolił Wilhelm.

- Musisz mieć na głowie koronę! - zawołał Wilhelm.

Wskazał to, co Robin uznała za ptasie gniazdo, nieregularną koronę z gałązek i jagód, zanim wyczuła jej magię.

- Co takiego? - wykrzyknął Aurillac, a nos i policzki zbieleły mu z wściekłości i wysiłku. - Za daleko się posuwasz! Nie założę jakiejś błazeńskiej koro...

- To korona króla Alfreda - oznajmił Wilhelm i chociaż nie krzyczał, jego głos dotarł do tłumy, przedarł się przez gniew Aurillaca i uspokoił wszystkich. - Zaginęła na dwa stulecia, ale

oto jest. Załóż koronę z ostrokrzewu, Aurillac, i wyciągnij żelazny miecz, a zostaniesz po mnie królem Anglii i Normandii.

- Czy to kolejna zniewaga? - zapytał Aurillac. - Jestem czystej krwi Normanem, bez względu na to, czy moi rodzice mieli ślub czy nie. Nie mogę nosić korony z ostrokrzewu!

- To bzdura zrodzona z plotek i przesądów - odparł Wilhelm.

Podszedł do kamienia i podniósł z czią starożytną koronę. Trzymał ją przez chwilę w górze, a potem delikatnie nałożył ją sobie na głowę. Tłum jęknął, ale Wilhelm ani nie zaczął broczyć krwią, ani nie zemdłał, ani nie wykazywał żadnych innych symptomów, jakie powinien mieć normański mistrz żelaza w zetknięciu z brytońskim ostrokrzewem.

Aurillac wpatrywał się w Wilhelma, po czym na jego twarzy z wolna pojawił się uśmiech. Robin wiedziała, iż wydało mu się, że to jakaś sztuczka z tą koroną, że jagody i gałązki są sztuczne. Ale ona też czuła jej moc, jak chłodny, oddzielony od reszty staw pośród gorących strumieni metalowej magii, płynących między Ferramenta, Wilhelmem, Aurillakiem i... nią samą.

- Daj mi tę koronę! - zażądał Aurillac.

Wyciągnął rękę, ale Wilhelm zrobił krok w tył i ponownie uniósł koronę w górę.

- Niech korona króla Alfreda wybierze mego następcę! - zaintonował.

Aurillac mruknął coś i zlął z kamienia. Nachylił nieznacznie głowę, by Wilhelm mógł założyć mu na nią koronę, po czym się wyprostował.

Uśmiech spełził mu z zaczerwienionej twarzy, bo z ostrokrzewu błyskawicznie wyrosły ciernie, długie wijące się szpikulce, które na podobieństwo szpon sunęły do jego oczu. Nagle krew trysnęła mu z nosa, a oddech stał się urywany i chrapliwy. Opadł na kolana z dłońmi przyciśniętymi do oczu, by chronić je przed cierniami.

Wilhelm podszedł do niego i zdjął mu koronę z głowy, a ciernie schowały się w jednej chwili.

Robin podskoczyła. Poczowała przyływ magii ostrokrzewu, a spokój zmaćił chłodny powiew jak mroźny wicher na morzu. Ale wyczuła również, że korona nie zareagowała na normańską krew Aurillaca, tylko na innego rodzaju skazę. Pamiętała piąte przez dziesiąte, jak jej matka mówiła, że wyolbrzymiano niechęć Normanów do ostrokrzewu i dębu, ale był to powszechny przesąd - i jak każdy przesąd miał swoją moc. Rzadko pojawiali się ludzie - jeszcze rzadziej niż ci, którzy potrafili zmieniać kształt - którzy w ogóle nie wierzyli w magię i wykazywali niezwykłą odporność na zaklęcia, a czasem nawet potrafili zapobiec wszelkim działaniom magii. Erudyci twierdzili, że był to pewien rodzaj magii sam w sobie.

Dwóch rycerzy Aurillaca pomogło mu się podnieść. Bękart otarł krew z twarzy, wbił wzrok w Wilhelma, a następnie obrócił się na pięcie i dołączył do swoich stronników. Odbyli pospieszny naradę i jego ludzie zaczęli spychać prostaczków, by zrobić przejście.

- Aurillac! - zawołał Wilhelm. - Nie pozwolę ci odejść. Są tu inni krewni. Jeśli któremuś się powiedzie, wszyscy inni będą musieli przyrzec wierność dziedzicowi tronu.

Kiedy Wilhelm mówił, czterech Ferramenta skierowało się do Aurillaca, a ten zatrzymał się w miejscu, zaciskając pięści z wściekłości i dysząc ciężko, ale odwrócił się w stronę miecza w kamieniu.

Wilhelm spojrzął na kolejną grupę rycerzy i zbrojnych za trzema młodymi mężczyznami, którzy stali wpatrzeni w kamień. W odróżnieniu od Aurillaca nie nosili kolczug, a ich jasne stroje odcinały się od większości zgromadzonych.

- No, bratankowie?

- My poczekamy, aż umrzesz, stryjeczny dziadku - powiedział jeden z nich w jasnoniebieskiej tunice i czepcu ze srebrną lamówką. Spojrzął w stronę Aurillaca i dodał: - A potem podzielimy się wszystkim po równo.

Wilhelm wybuchnął śmiechem.

- Szczery jak zwykle, Jean. Ale ja się jeszcze nie wybieram na tamten świat. Myślę, że dziś wyłonimy mojego spadkobiercę - i złożycie mu pokłon.

- Kogo? - zapytał Jean. - Aurillac nie potrafił wyciągnąć miecza, a ja i moi bracia nie pragniemy nawet tego spróbować. Nie ma nikogo więcej.

Wilhelm uśmiechnął się ponownie i stanął twarzą do tłumu. Nie odzywał się, a jedynie czekał. Tłum zaczął milknąć, zalegała coraz większa cisza, aż w końcu Robin słyszała jedynie bicie własnego serca, a tętnienie krwi rozbrzmiewało w jej uszach jak wojenny bęben.

- Żelazny zew przed zamkiem - przemówił nagle Jean głosem, który wydał się dziwnie drżący na tle obezwładniającej ciszy. - Kto to był?

Z oddali dobiegło krakanie kruka i po chwili ptaszysko pojawiło się nad placem. Pewien jednooki mężczyzna przepchnął się przez tłum i stanął tuż za Robin i Geoffreyem.

Robin sięgnęła w głąb tuniki i chwyciła ułamany koniec strzały z grotem z kości słoniowej, ale wciąż się wahała. Nie będzie miała lepszej szansy na zabicie Wilhelma, ale mimo to...

Jednooki dotknął Geoffreya małym palcem w okolicach krzyża z siłą, która nie zabiłaby muchy. Ale normański dworzanin padł i byłby przewrócił Robin, gdyby nie to, że ona już ruszyła do przodu i wypadła na pustą przestrzeń, na której wyłoniła się zza Ferramenta jak diabeł z pudełka.

Tłum jęknął jak jeden mąż, a Robin wolno podchodziła do Wilhelma. W oczach zgromadzonych był to biedny normański chłopiec, chłop, który zbliżał się do króla Anglii i Normandii - trzymając głowę wysoko.

- Księżniczka Robin - powiedział Wilhelm.

- Dziadku.

Kiedy przemówiła, tłum zakrzyknął i wybuchnął nerwowym śmiechem, uciszonym przez pojedyncze głosy. Aurillac ruszył do przodu, ale Ferramenta zagrodzili mu drogę. Wilhelm gestem dłoni postawił w stan gotowości swoich łuczników, którzy zaczęli bacznie obserwować Bękartę i jego popleczników.

- No to jak będzie? - zapytał Wilhelm tak cicho, że nikt inny go nie słyszał. - Co tam trzymasz? Osikowy kotek? Może najpierw mnie posłuchasz?

Robin pokiwała głową, choć w tej samej chwili odniosła wrażenie, że popełnia błąd. Jej odwaga i wściekłość, napięte jak postronki, nie mogły długo czekać. Wzmocniła uścisk na

drzewcu strzały, wmawiając sobie, że tę parę chwil nie ma znaczenia. Wilhelm po prostu zginie trochę później.

- Zginiesz, jeśli mnie zabijesz - powiedział król. - Anglię ogarnie pożoga wojenna. Wszystko drogie sercu twego ojca przepadnie...

- Zarznięć mego ojca! - wyszeptała Robin ochryłym głosem, a wszyscy w tłumie nachylili się z ciekawością, starając się wyłowić sens słów.

- Zginął w bitwie, z mieczem w dłoni, tak jak twoja siostra. Żałuję, że tak się stało, szczególnie żal mi Merewyn. Moja śmierć nie przywróci im życia, Robin. Twoja śmierć też pójdzie na marne. Nałóż koronę i wyciągnij miecz, a najdalej za rok czy dwa będziesz królową Anglii i Normandii!

Wilhelm przemawiał żarliwie i chwycił Robin za ramiona. Zadrżała pod jego dotykiem i wysunęła lekko strzałę. Był tak blisko, z taką łatwością dźgnęłaby go w starcze żebra i dotarła do serca. Wszystkie zaklęcia i ochrona, jakimi otaczał się mistrz żelaza, nie poradziłyby sobie z ostrym grotem z kości słoniowej.

Robin uniosła łokieć i zaczęła wysuwać strzałę przez otwór w tunice.

- Jesteś moją wnuczką - wyszeptał Wilhelm. Zamknął oczy i przysunął się, jakby chciał ją objąć. - Rób, co uważasz za słuszne.

- Szukaj nowych początków - rozległ się szept Merewyn.

Pomimo to, że ten głos tonął w głośnym krakaniu kruków nad ich głowami, brzmiał tak, jakby siostra stała tuż koło Robin.

Ale jej tam nie było. Był tylko jej stary dziadek, wciąż z zamkniętymi powiekami i dłońmi na jej ramionach. Był też tłum opanowany gorączkowym oczekiwaniem, świadomy, iż jest świadkiem niezwykłego wydarzenia. Trzej bratankowie wpatrywali się w nią, jakby była jakimś przedziwnym stworzeniem. Aurillac obrzucał ją wrogimi spojrzeniami i trzymał się w karchach, osadzony tymczasową niemocą.

Robin przypomniała sobie, jak porwała róg Merewyn. Pamiętała, jak ruszyła do ataku w dół wzgórza. Przypomniała sobie odgłos uderzenia, kiedy Merewyn legła od ciosu żelaznego woja.

„Przywódca musi wiedzieć, kiedy trzeba powstrzymać atak... szukać nowych początków...” Głos Merewyn rozbrzmiewał jej w głowie i pewnie miało tak być aż do kresu dni Robin.

Wolno wepchnęła ponownie strzałę pod tunikę, pod pas, i puściła ją.

- Nigdy ci nie wybaczę - wyszeptała. - Ale wezmę twój miecz.

I odezwała się na tyle głośno, że usłyszał ją tłum:

- Daj mi koronę.

W tłumie gapiów rozległy się okrzyki radości, choć Robin nie była pewna, czy wiwatują na jej cześć, czy też oczekują powtórkę tego, co było udziałem Aurillaca.

Wilhelm uniosł koronę wysoko nad głowę, a Robin poczuła drżącą w niej magię. Była jak kłosa, trzos wielkiej mocy, która tylko czekała na właściwy moment, by się uwolnić.

Robin skłoniła głowę i poczuła surowy dotyk kłujących liści ostrokrzewu. Zamarła, czekając na ułtucia cierni czy też nagły napad nudności. Ale korona tkwiła na jej skroniach jak gdyby nigdy nic i dlatego też opuściła ją lek, który od jakiegoś czasu ścisnął jej żołądek.

- Miecz! - krzyknął ktoś z tłumu, a po chwili wszyscy podjęli okrzyk, który zmienił się w skandowanie tysięcy głosów.

- Miecz! Miecz!

Robin poprawiła koronę na głowie i pod palcami wyczuła kwiaty i młode pędy, zamiast zdrewniałych cierni i zwiędłych jagód. Była jeszcze bardziej zaskoczona, kiedy spostrzegła, że nie miała już powycinanego kołtuna na głowie. Jej włosy rosły niezwykle szybko i były już długie na dwa palce.

- Miecz - odezwał się Wilhelm.

Choć Robin nie słyszała go przez skandowanie tłumu, to wiedziała, co powiedział. Opuściła dłoń, puszczając rosnące włosy i kwiecistą koronę, roztarta palce i wspięła się na kamień.

Miecz emanował magią żelaza jak miniaturowe słońce. Robin poczuła gorąco owiewające jej twarz i wypływające z jej ust. Wiedziała jednak, że nie jest to prawdziwy żar i że nie spali jej, o ile nie będzie się tego obawiała.

Bez wahania chwyciła rękojeść miecza dłońmi, przyjmując gorąco i magię, pozwalając, by owiały jej ciało i dodały moc żelaza do jej własnej mocy.

Nie poczuła sprzeciwu korony, a raczej przyzwolenie, jako że to też stanowiło część jej samej. Jej dziedzictwem była zarówno zielona knieja, jak i tkwiący głęboko w jej sercu rozgrzany kamień, które nie kolidowały ze sobą.

Krzyk tłumu potężniał z każdą chwilą i osiągnął poziom szaleństwa, kiedy Robin padła na kolana, koncentrując się zarówno na swej woli, jak i na mocy miecza w kamieniu. Czuła, w jaki sposób Wilhelm scalał jedno i drugie, ale niełatwo było odwrócić to, co zostało zrobione. Z wolna sprawiła, że żelazo i kamień się oddzieliły, i ze zgrzytem, jaki mogła wydać jedynie legendarna bestia, wyciągała broń z kamienia cal za cal.

Pot pokrył twarz Robin, a ból targnął jej krzyżem i ramionami, ale w ostatnim akcie jej siły i zdecydowania kamień oddał zazdrośnie strzeżoną nagrodę. Robin machnęła mieczem i wzniosła go do góry, choć brak jej było tchu, by coś powiedzieć czy wydać triumfalny okrzyk. I tak nie byłoby go słychać w harmidrze, jaki zapanował na placu.

Wilhelm wznosił dłoń, by uciszyć zebranych, a Ferramenta walili w tarcze, by go w tym wspomóc. Kiedy tłum się uspokoił, Wilhelm zwrócił się w stronę kamienia i przeszedł kilka kroków w stronę Robin.

W tej samej chwili ludzie Aurillaca na znak swego pana przypuścili niespodziewany atak, a sam Bękart skoczył na kamień, wyszarpując swój szeroki miecz z pochwy.

Robin uchyliła się przed jego pierwszym ciosem, a ostrze miecza Aurillaca uderzyło w kamień, wzniesając fontannę iskier. Odparowała kolejny cios, który jednakowoż był tak silny, że wytrącił miecz Wilhelma z jej nagle odrętwiałych palców.

Trzy strzały odbiły się od Bękart, którego chroniły zaklęcia, a on sam natarł ponownie. Robin zeskoczyła tyłem z kamienia, wylądowała zgrabnie na ziemi i cofnęła się, a tłum rozstał się jak morskie fale.

Rzuciła spojrzenie w stronę Wilhelma i dostrzegła, że jej dziadek wraz z ludźmi i żelaznymi wojami sieje spustoszenie w szeregach popleczników Aurillaca i że to skazane na porażkę starcie nie potrwa dłużej niż kilka minut.

Ale tyle wystarczyłoby Bękartowi, by ją zabić.

On też zeskoczył z kamienia i natarł na nią, a Robin starała się wyciągnąć lewą ręką strzałę zza pasa. Stężała, gotując się do uniku, a strzała wciąż tkwiła pomiędzy fałdami jej tuniki. Ale kiedy Aurillac uniósł miecz, nagle coś wyskoczyło z tłumy i Bękart został zaatakowany od tyłu przez warczący kłęb futra, pazurów i kłów, który wyglądał jak mały niedźwiedź czy też duży pies.

W tej samej chwili ponad tuzin nieuzbrojonych ludzi - mieszczan i prostych chłopów - zaatakował go od przodu. Jeden padł od miecza Aurillaca, ale pozostali skoczyli na niego, kiedy niedźwiedź powalił ryczącego Aurillaca na ziemię. Z tłumy wyłonili się inni, mężczyźni i kobiety, tworząc ludzką tarczę wokół Robin.

Wszyscy krzydzeli to samo.

- Anglia! Anglia! Anglia!

Ktoś podniósł Robin, posadził ją na ramionach najwyższych mężczyzn. Aurillac leżał martwy nieopodal, a ośmiu ludzi dźgało go nożami, cięło toporami i waliło pięściami. Niedźwiedź przysiadł na zadzie i lizał rany, a tłum rozstał się wokół niego.

Robin spojrziała na niedźwiedzia i napotkała mądry ludzki wzrok.

- Dziękuję ci, Jack - powiedziała cicho.

Niedźwiedź wstał i stanął na dwóch łapach. Następnie wolno opadł na jedno kolano i skłonił łeb. Wszyscy wokół poszli za jego przykładem. Wyglądało to tak, jakby podmuch wiatru położył łan zboża i wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, przyklękali, skłaniając głowy. Pierwsi zrobili to mieszczanie i chłopci, ale po chwili normańscy zbrojni poszli w ich ślady, następnie rycerze, damy i szlachta, wszyscy klękali w zakrwawionym błocie, w którym leżeli martwi i ranni ludzie Aurillaca.

Stał jedynie Wilhelm. Nawet ci, którzy unieśli Robin, opadli na kolana, choć dalej siedziała na ich ramionach. Miała już długie włosy, które okalały jej twarz, a kwiaty ostrokrzewu rozwinęły swoje płatki, tworząc długi, kwietny tren spadający jej na plecy jak królewski płaszcz.

Wilhelm podszedł do niej. W połowie drogi wyciągnął dłoń i miecz sam wrócił do niego. Odwrócił go, trzymając za główkę. Następnie wyciągnął go w kierunku Robin, a ona przyjęła go i uniosła wysoko nad głowę.

I tak księżniczka Robin odziedziczyła to, czego nie spodziewała się odziedziczyć - pośród juchy, lecz nie z własnego wyboru, za aprobatą dziadka, którego zawsze nienawidziła i się bała, wśród wyglądających tak jak ona, wiwatujących na jej cześć Normanów oraz Brytów, których zawsze uważała za swoich.

Nad głowami tłumu dwa kruki zakrakały raz jeszcze z oburzeniem i poleciały na północny wschód, dziobiąc się i kottując w locie. Kiedy odleciały, jednooki mężczyzna zakaszłał, i padł martwy pomiędzy ludźmi Aurillaca, ze zbłąkaną strzałą głęboko wbitą w pierś.

BARWNA WIZJA

MARY ROSENBLUM

Jeśli chodzi o czarowników, to niektórzy patrzą na nich z czymś więcej niż sympatią...

Mary Rosenblum, jedna z najbardziej znanych i cenionych nowych pisarek z lat dziewięćdziesiątych, opublikowała pierwszy tekst w „Asimov's Science Fiction” w 1990 roku i od tamtej pory stała się filarem i jedną z czołowych współpracowniczek tego pisma, która zamieściła tam niemal trzydzieści opowiadań. Pisywała również do „The Magazine of Fantasy & Science Fiction”, „Sci Fiction”, „Science Fiction Age”, „Pulphouse”, „New Legends” i wielu innych magazynów. Rosenblum stworzyła niezwykle barwne, emocjonujące i poruszające opowiadania z lat dziewięćdziesiątych, takie jak The Stone Garden, Synthesis, Flight, California Dreamer, Casting at Pegasus, Entrada, Rat, The Centaur Garden, Skin Deep, Songs the Siren Sings i wiele, wiele innych. Nowela Gas Fish przyniosła jej nagrodę czytelników „Asimov's Science Fiction” w 1996 roku i weszła do finału nagrody Hugo. Jej pierwsza powieść The Drylands została wydana w 1993 roku i spotkała się z ciepłym przyjęciem krytyki, przyniosła jej też nagrodę im. Comptona Crooka za najlepszy debiut pisarski roku. Wkrótce potem ukazała się druga powieść, Chimera, i trzecia, Kamienny ogród. Jej pierwszy zbiór opowiadań, Synthesis and Other Virtual Realities, został okrzyknięty przez krytykę jedną z najlepszych antologii 1996 roku. W ostatnich latach opublikowała serię powieści kryminalnych pod nazwiskiem Mary Freeman i nową powieść science fiction, Horizons. Absolwentka kursu Clarion West, Mary Rosenblum mieszka w Portland w stanie Oregon.

Wpatruję się w pana Beasleya, a pani Banks monotonnym głosem gędzi o ułamkach. Pan Beasley jest pytonem, nie mogę sobie przypomnieć jakiego gatunku. Pani Banks to moja nauczycielka. Jej słowa zlewają się w wyblakłą, szarawą zieloność z niebieskawym odcieniem, jak tafla oceanu tuż przed sztormem. Ten kolor pasuje do ułamków. Pan Beasley syczy do mnie czystą purpurą. Chyba mnie nie lubi. Ale w końcu ja jego też nie darzę sympatią. Cieszę się, kiedy wydusza życie z biednych myszek, jakimi karmi go pani Banks. Węże nie powinny się cieszyć.

- Ej, jakiego jestem teraz koloru? - Jeremy nachyla się do mnie przez ławkę. - Staram się mówić na zielono.

Mama Jeremy'ego jest szkolnym psychologiem. Ale i tak go lubię.

- Zamknij się - odpowiadam, bo pani B. tylko czeka, żeby nas zostawić w szkole po lekcjach. Wydaje mi się, że ona też się cieszy, kiedy to robi, tak samo jak pan Beasley, kiedy dusi mysz. - Zawsze jesteś żółty - szepczę do Jeremy'ego, żeby się tylko zamknął.

Wie o tym, bo już setki razy mówiłam mu, jak funkcjonują dane zmysłowe. Ale jemu się wydaje, że jest spoko, a ja mam to gdzieś. Mój tato boi się tego jak ognia, nie wiem właściwie dlaczego. Myślę, że to dlatego, iż boi się, że będę podobna do matki. Ale ten lekarz powiedział, że to tylko skutek czegoś w moim mózgu jestem trochę splątana i dźwięk zmienia mi się w kolor. Ale i tak się tego boi. Lubię pana doktora, ale jego głos miał ohydny, zielonkawy kolor rzygów, więc zaraz po tym się przeprowadziliśmy. W ogóle często się przeprowadzamy. Nawet jeśli nikt nie porusza kwestii synestezji.

- Możecie teraz odłożyć książki - mówi pani B., patrząc na zegarek, a jej dłonie zaczynają jakoś tak dziwnie latać. - Odwiedzi nas teraz nasz nowy dyrektor. Pan Teleomara prowadził bardzo ekskluzywną prywatną szkołę w Nowym Jorku i mamy niezwykle szczęście, że zaczął pracować u nas.

Przygląda włosy i zerka na swoje odbicie w terrarium pana Beasleya. Czyżby szminka? Nie mogę w to uwierzyć, ale tak, smaruje się nią ukradkiem, jakbyśmy nie widzieli, co robi, bo stoi tyłem do nas. Musi mieć koło setki. No, przynajmniej pięćdziesiąt.

- Chcę, żebyście się zachowywali jak najlepiej - mówi i przygwaźdza Jeremyego i mnie spojrzeniem Trupiego Ślepie. - Jak ktoś będzie rozrabiał, to przez cały tydzień będziemy mieć kartkówki z ułamków.

Wspaniale, teraz wszyscy gapią się na nas. Jeremy robi tę swoją minę niewiniątka, która rozbawia wszystkich, a ja po prostu wbijam wzrok w zeszyt. Bardzo się staram wyglądać na grzeczną. Nikt jeszcze nie widział nowego dyrektora. Podobno jest bardzo surowy i prawdopodobnie zjada noworodki na śniadanie. Sami wiecie, jak to jest. Udaję, że bardzo interesują mnie ułamki w zeszytce, a pani B. pieje na bezdechu z zachwytu, witając go w drzwiach.

- Dzień dobry, dzieci. Miło was poznać. - Głęboki głos.

Srebrny?

Mrugam. Rozprzestrzenia się wokół, jakby błyszczał. Czegoś takiego nigdy nie widziałam. Podnoszę więc wzrok i widzę, że jest wysoki i wygląda jak gwiazdor filmowy, co chyba wyjaśnia szminkowanie się pani B. Ta znów poprawia włosy, uśmiecha się głupkowato

i jej głos znów ma zielonkawy poład. Nawet pan Beasley włącza się do dyskusji, sycząc purpurą po całej sali. Patrzę raz, drugi. Teraz widzę jasnoblękitny klejnot na jego czole, który wygląda jak ludzkie oko, no wiecie, takie z siatkówką i źrenicą.

Owszem, on też mnie nie lubi.

Coś tu jest nie tak.

- A, miłośniczka gadów.

Pan Beasley syczy czystą purpurą, a ja wracam do zeszytu, ale jest już za późno. Nowy dyrektor podchodzi do mnie i staje tuż przy mojej ławce. Uśmiecha się i wiecie co? Jego uśmiech przypomina paszczę pana Beasleya. Najpierw również mnie nie lubi.

- Melanie ma problemy z koncentracją - ćwierka pani B. - Jest dzieckiem specjalnej troski.

Catherine Summers, przywódczyni Elity Klasowej, rży jak klacz, a ja czuję, że robię się czerwona. Ale wtedy spostrzegam tę paskudną miskę na biurku pani B., w której trzyma ona swoje spinacze.

Jest złota. A w środku coś... jakby rubiny.

Taa... coś tu naprawdę jest nie tak.

- Bardzo się cieszę, że będę miał pod swoją pieczę wszystkich uczniów w tej szkole - mówi pan Teleomara i jego błyszczące, srebrne słowa unoszą się przez chwilę w powietrzu. Jak mgła. I to też nie jest synestezja. Dryfują wokół mnie i czuję je jak ostrza brzytwy czy coś podobnego. Kłują mnie.

Pan Teleomara uśmiecha się nawet szerzej niż pan Beasley.

- Melanie Dreyling, dawnośmy się nie widzieli.

Aha. Dreyling, tak się nazywam naprawdę.

Nie ma prawa tego wiedzieć. Ale uśmiecha się wprost do mnie, a srebrny brzytwyny pył jest tak gęsty, że ledwo widzę zaskoczoną minę Jeremiego. Muszę stąd wyjść. Muszę powiedzieć tacie. Albo nie, lepiej Crisowi. On będzie wiedział, co się stało z panem Beasleyem i miską.

Ale nie mogę się ruszyć. Nie mogę oddychać. Srebrny pył wypełnia całe pomieszczenie.

- Znam twoją matkę - mówi. - Jesteś wykapaną mamą.

W uszach słyszę brzęczenie i przychodzi mi na myśl pan Beasley, który dopada myszy, i to, jak krzyczą po mysiemu, zanim je zadusi. W uszach mam bzyczenie, żołądek robi koziołki, być może od wdychania tego srebrnego brzytwynego pyłu. Pani B. mówi coś o moim nazwisku, a ja zaraz zemdleję, albo...

...zwymiotuję.

Na zeszyt, podręcznik. Na ławkę. I na podłogę.

Srebro odpływa. Pani B. miota jakieś ohydne, słowa o barwie burzy, wszyscy krzyczą „teeee”, barwy rozmywają się i robią nieprzyjemne. Zaraz znów rzygnę, więc wypadam z klasy jak z procy. Za drzwiami, korytarzem. Za żadne skarby tam nie wrócę.

Pan Teleomara bawi się setnie, tak samo jak pan Beasley duszący myszy.

- Ej, poczekaj! - Jeremy dogania mnie, kiedy chowam się za drzwi przeciwpożarowe w końcu korytarza. - Nic ci nie jest? - Ma zmartwiony głos, jakiś taki pomarańczowy.

- Nic, już dobrze. - Wcale nie. Spoglądam za siebie, ale nikt na nas nie naciera z korytarza. - Idę do domu. Ty lepiej wracaj do klasy, zanim cię zostawi po lekcjach.

- Co się stało? - Nie wraca. - Dlaczego nazwał cię Dreyling? Dlaczego zwymiotowałaś?

- Zatruta żywność.

Idę przez boisko i czekam, aż ktoś się na mnie wydrze. Jestem w stanie sobie wytłumaczyć, że wszystko to zmyśliłam, taki srebrny głos... ale czuję go i to boli. I do tego jeszcze pan Beasley i złota miska.

I pan Teleomara.

Muszę porozmawiać z Crisem.

- Ja też jadłem w bufecie. - Jeremy dogania mnie. - Ale nie rzygam. A o co chodzi z twoją mamą? Moja mama mówiła, że twoja nie żyje. Mówiła, żeby o niej nie mówić, bo nie możesz się z tym jeszcze pogodzić.

- Właśnie że żyje. - Naprawdę warczę na niego i czuję się z tym podle. Jeremy stanął w mojej obronie, kiedy tylko pojawiłam się w tej klasie zeszłej zimy. Rozmawia ze mną, a Elita nie. - Przepraszam. - Wzdycham ciężko. - Słuchaj, muszę się z kimś zobaczyć i porozmawiać. To bardzo ważne.

Stoimy teraz na końcu boiska, ale nikt się na nas nie drze. Nie mogę uwierzyć, jak łatwo jest dać nogę ze szkoły. Chowam się za żywopłotem przed huśtawkami oraz małym gajem i wychodzę na podwórko, gdzie mieszka szczekający szczeniaczek, ale teraz pewnie jest w środku. Jeremy wciąż idzie za mną.

Powinam mu powiedzieć, żeby spadał. No i co z tego, że będzie mu przykro? Ale nie chcę. On uważa, że słyszenie barw jest fajne, chociaż jego mama jest psychologiem szkolnym i uważa, że to oznaka niepokojenia się ze śmiercią bliskiej osoby. I zastanawiam się, czy może, tylko może, Crisowi nie będzie przeszkadzać jego obecność. Nie mówię więc nic, a on przechodzi wraz ze mną przez stary płot ze sztachet, po czym przecinamy zarośnięty plac i kierujemy się dalej Fir Street, która po chwili zamienia się w wyboistą zwirową drogę prowadzącą do lasu i nory, którą wynajmujemy. Nie idę jednak do domu. Muszę najpierw porozmawiać z Crisem, bo kiedy tylko powiem tacie o panu Teleomarze, znajdziemy się w samochodzie i ruszymy do innego stanu.

I nagle to sobie uświadamiam. Ze się przeprowadzimy. No bo zawsze się przeprowadzamy, ale tym razem będzie mi bardzo brakowało Crisa, bo zanim go poznałam, nie miałam o niczym pojęcia. I zaczyna mnie coś ścisnąć w gardle, bo byliśmy tu ledwo kilka miesięcy, i naprawdę lubię Jeremy'ego, a zwykle nie zawieram przyjacieli. Teraz mam dwóch przyjaciół i muszę wyjechać. Kosiarka do trawy byczy na czerwono-pomarańczowo, a ptasi śpiew rozbrzmiewa błękitną, różową i złotą barwą w koronach drzew, i byłby to naprawdę piękny dzień, gdyby nie pojawił się pan Paskuda Teleomara.

Wszystko jest teraz ciemne i ciche w nieskazitelnej miejscowości Sitka na Alasce, gdzie rosną zimnolubne jeżyny - jest ciemno niemal jak o zmierzchu. W mulistym stawie kotłuje się stara ropucha.

- Ej, a jaki to ma kolor? - pyta Jeremy. - Założę się, że ciemnofioletowy.
Zawsze pyta, a ja zawsze się uśmiecham.

- Źle - mówię. - Jest ciemnobrązowe jak czekolada.

- No dobrze, może mi powiesz, co jest nie tak? - Idzie koło mnie. - O co chodzi z tobą i nowym dyrektorem, panem Telecośtam?

- Nie wiem. - Wzruszam ramionami. - Stało się coś dziwnego. Myślę, że chodzi tu o kolor jego głosu.

- A jakiego był koloru?

- Był srebrny. Ale nie... nie tak srebrny jak zwykle. Kiedy słyszę słowa, widzę granatowy, żółty czy inny. I nie przeszkadza mi to w patrzeniu na inne rzeczy. Wiesz, o czym mówię?

- A teraz tak było?

- Tak, tak było. - Obserwuję go kątem oka... czekam, aż przestanie mi wierzyć. - Poczułam to... i zabołało. I zrobiło mi się niedobrze. - Pomińmy pana Beasleya i misę.

- Ale jak? - I marszczy czoło, ale nie tak, jakby mi nie wierzył.

Cóż mam do stracenia? Jak tylko powiem tacie, to ruszymy w drogę, więc kogo obchodzi, czy Jeremy pomyśli, że jestem wariatką czy nie?

No, chyba mnie obchodzi.

Więc milczę i tylko przyspieszam tak, że musi mnie dogonić.

- Chodzisz taki kawał codziennie? - Dyszy ciężko. - Ojej, to niedobrze. Autobus po ciebie nie przyjeżdża?

Autobus może by i przyjechał, ale w autobusie jest gorzej niż w klasie - odkryłam to już dawno temu.

- Lubię spacerować.

Zanim dojdziemy do domu, trzeba przejść przez ścieżkę wśród drzew. Tato może być w domu i w jednej chwili będzie wiedział, że coś jest nie tak. Nigdy nie okłamuję taty, więc kieruję się na ścieżkę, na której pierwszy raz spotkałam Crisa.

- Dokąd idziemy? - Jeremy rozgląda się wokół. - Chcesz pójść do mnie? Moja mama pracuje dziś w ogólniaku i wróci dopiero po piątej. Możemy pograć w moją nową grę. Zanim moja mama ją zobaczy i mi zabierze. Jest naprawdę fajna, więc z pewnością jest również psychicznie szkodliwa.

- Już prawie jesteśmy - mówię. Chyba naprawdę chcę, żeby poznał Crisa. - Mam... takiego przyjaciela. Muszę z nim o tym wszystkim pogadać.

- Jak chcesz. - Jeremy wzrusza ramionami. - A potem możemy pójść do mnie. On też może pójść z nami.

- Nie może. Jest na wózku inwalidzkim i... po prostu nie może. Tędy.

Idziemy ścieżką w lewo, zbliżamy się do oceanu. Czuję go i słyszę fale bijące w oddali o brzeg. Tego też mi będzie brakowało.

- Przecież nikt tu nie mieszka. - Jeremy jęknął, kiedy smagnęła go witka jeżyny. - Tu nie ma żadnego domu. Ja chyba krwawię.

- Nie, nie krwawisz. - Odrywam ciernie z jego koszulki. No, może troszkę. - To tu, na wprost.

- Lepiej, żeby to było... - Milknie, kiedy przedzieramy się przez gęstą ścianę ostrokrzewów i jakichś rzepów. - Ojej! - Wpatruje się przez chwilę. - Nie wiem, jak mogłem tego nie zauważyć!

No cóż, to prawda, wygląda to jak zamek śpiącej królowny z szarym kamiennym murem, porośniętym łożdżami jeżyn. To naprawdę przypomina zamek śpiącej królowny. Ja też krwawię i wysysam sobie zadrapanie na nadgarstku.

- Melanie, zaczekaj. - Słowa Jeremy'ego emanują ciemną żółcią. - Ja wiem, co to za miejsce. Ten facet, co zbudował tartak... no, ten już zamknięty... wybudował sobie tutaj posiadłość. Ale to było wieki temu i popadła w ruinę. Mój kuzyn i jego koledzy trafili tu kiedyś i wszystko było zarośnięte jeżynami. Nawet nie mogli wejść do środka. Mówił, że to strata czasu. - Wpatrywał się w wysoki kamienny mur. - Nie mówił nic o murze. Ani o zamku. Tu było całkiem inaczej.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - Uśmiecham się do niego.

- Bo mój kuzyn... - Znów spojrzał na mur. Dotknął go, jakby się bał, że go ugryzie. Nie ugryzł. - Powiedziałby mi. Gdyby to tu było.

Czekam. Żeby zrozumiał. Pewnie nie zrozumie, ale wiecie co? Ja naprawdę chcę, żeby to wszystko pojął.

- A gdzie jest droga? - Rozgląda się wokół. - Jak dostarczają im zakupy? Którędy idą do kościoła? Melanie, nikt nie mógłby tu mieszkać.

Mam dość czekania i idę w stronę starej jabłoni, jednej z tych, co to kładą się na murach jak leżący na ladzie staruszkowie, których można zobaczyć przez drzwi tawerny w południe. Zaczynam się wspinać.

- Poczekaj. Zaczekaj na mnie.

Jeremy drapie się tuż za mną, a jest lepszym wspinaczem niż ja. I wiecie co? Nie obchodzi mnie to nic a nic.

Cieszę się, że nie poszedł sobie do domu.

Gałęzie jabłoni tworzą taką jakby jaskinię na górze, a jedna z grubych, poskręcanych gałęzi wystaje poziomo, żeby nie spaść przy wspinaczce. Zabawne. Pewnie nigdy nie poznałabym Crisa, gdyby nie ta jabłoń. Ale wspięłam się na nią i zobaczyłem Crisa. Jeremy opiera się na gałęzi, jakby nic innego w życiu nie robił.

- Jak się tu znalazł ten zamek? Nie ma tu żadnej drogi. - Wciąż marudził. - Ej, popatrz! - Wskazał na coś palcem. - Czy to ten twój przyjaciel? Na wózku?

- Taa, to Cris.

Chwyając się gałęzi jabłoni, zaczęłam się opuszczać na dół i ześlizgiwać po murze.

- Cześć, Melanie.

Cris stara się podjechać wózkiem bliżej, ale pnącza na ziemi zawsze wplątują mu się w koła. Przypominają mi chudych zielonych bratanków pana Beasleya i chyba tak samo mnie nie lubią jak on. Zawsze próbują przynajmniej owinąć mi się wokół kostek, żeby mnie

powstrzymać. Nie mam pojęcia, jak on wieczorami dociera do zamku. Może wuj go wnosi do środka. Ciekawe, dlaczego nie kupią sobie kosiarki Weed Eater i nie zetną tego zielska.

Cris nie wygląda za dobrze. Jego brązowe ramiona są bardzo chude, a czarne włosy przylepiają mu się do czoła, jakby się pocił, ale przecież jest dopiero maj i nie jest wcale gorąco. Jego słowa mają kolor psiej kupki.

- Nie mogę sobie poradzić z tym zielskiem. - Daje za wygraną i zatapia się w fotel. - Cześć - mówi, kiedy Jeremy zeskakuje z muru na ziemię. - Miło mi cię poznać. Jestem Cris.

- Cześć, jestem Jeremy. - Jeremy strząsa z czupryny coś, co wygląda jak ptasie gniazdo. - Mieszkam tu od urodzenia i nie słyszałem nigdy o żadnym zamku. - Rozgląda się dookoła. - Ale tu fajnie.

- Och, to prawdziwy kształt. - Cris wzrusza ramionami. - Pewnie widziałeś tu coś innego. No wiesz... dom, stodołę albo coś takiego.

Jeremy nie wie, co o tym myśleć. Mówi tylko:

- Okej.

- To magia, Jeremy - mówię. - Cały ten świat istnieje wokół nas, a my nie mamy o tym bladego pojęcia. - Wiecie, kiedyś uważałam, że sobie to wszystko wymyślam, tak jak mówili nauczyciele, wszystko to, co widziałam, kiedy mieszkała z nami moja mama. Ale potem poznałam Crisa i on mi powiedział, że niczego sobie nie wymyślam. - Po prostu zwykle się tego nie widzi - wyjaśniam Jeremy'emu. - Chyba że jest koło nas ktoś magiczny.

- Dooooobra - mówi w końcu bardzo rozwlekle Jeremy.

Posyła mi to swoje spojrzenie, jakby podejrzewał, że go znów robię w balona. Mogłabym poprosić Crisa, żeby mu pokazał, ale jestem zbyt zmartwiona.

- Przyszedł dziś do nas nowy dyrektor - wyrzucam z siebie. - Cris, on jest podobny do ciebie. Kiedy wszedł do klasy, zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

- Rzyganie jest dziwne? - Jeremy znów zerka na mnie podejrzliwie.

- Widziałam prawdziwe kształty, Cris. I pan Teleomara znał moje nazwisko. To znaczy nazwisko mojej mamy. Moje prawdziwe.

- Zoroan. - Wygląda na to, że Cris się przestraszył. - Twoja mama musiała być jedną z Pierworodnych. Co oznacza, że on także i ciebie chce dopaść. Jesteś pierworodna, czy tak?

- Taa, ale...

- Dobra, to bardzo fajny klub. - Słowa Jeremy'ego są żółte jak tabletki. - Ale ja nie mówię po waszemu. Idę do domu pograć sobie na Xboksie.

I rusza w stronę muru.

- Czekać chwilę - mówię, bo naprawdę chcę, żeby został. Ale nagle te głupie zielska naprawdę zaczynają mi się owijać wokół kostek.

- Szybko, schowajcie się! - Cris spogląda na zamek przez ramię. - Nadchodzi mój wujek. Nikomu nie wolno mnie odwiedzać.

Jeremy już jest na szczycie muru, więc zaczynam się gramolić jego śladem. Nie wiem, czemu jego wujek ma taką obsesję na punkcie odwiedzin. Cris mówi, że to dlatego, że jego wujek myśli, że czai się tu gdzieś Zoroan. Doganiam Jeremy'ego na szczycie muru i łapię go za nogę, kiedy zaczyna przechodzić na drugą stronę.

- Połóż się płasko na murze - szepczę do niego. - Nadchodzi wujek Crisa, a nam nie wolno tu być.

- Och, naprawdę pięknie. - Jeremy jest rzeczywiście wkurzony. - No to może jeszcze przez ciebie mnie zamkną za wchodzenie na czyjś teren, hm?

- Zamknij się po prostu.

Popycham go i pada płasko na mur tuż pod gałęzią jabłoni, skaczę na niego i przyciskam go do muru, bo i tak już nie ma na nic czasu, i nagle widzę srebrną mgiełkę z drugiej strony ogrodu i wszystkie pnącza rozstępują się jak na rysunkach z lekcji religii Morze Czerwone, kiedy przechodził przez nie Mojżesz.

Och, w mordę.

- Po prostu zsuńmy się z tego muru i dajmy nogę - mruczy Jeremy.

- Zamknij się - szepczę i tym razem go szczypię. Mocno.

Srebrny obłok sunie przez Morze Czerwone winorośli i owija się wokół wózka inwalidzkiego Crisa, jakby mógł to zrobić pan Beasley. Gdyby był tak wielki. Myślę, że Cris nawet tego nie widzi, i po prostu spogląda w stronę drzwi na końcu ścieżki pnączy. A ja nie wiem, czy mam krzyżeć, wracać czy co innego. Chcę się podnieść, ale zahaczam o gałąź jabłoni i nie mogę się wyzwolić.

Drzwi się otwierają.

- To pan Teleomara - syczy mi do ucha Jeremy. - Co on tutaj robi?

A ja patrzę na Crisa, który wygląda, jakby zamienił się w kamień na tym swoim wózku. Po prostu tak siedzi, nie rusza się i nie odzywa. Pan Teleomara idzie ścieżką, a pnącza rozsuwają się przed nim. Potem nachyla się nad Crisem. Chcę krzyżeć i boję się, że znów zwymiotuje, przyciska mnie gałąź jabłoni, ale nawet Jeremy siedzi cicho, bo wbite w Crisa spojrzenie pana Teleomary jest naprawdę paskudne.

Następnie pan Teleomara kładzie rękę na grdyce Crisa i ten zaczyna krzyżeć.

Nie głośno, ale tak jak się krzyży, kiedy śni się o czymś strasznym i chce się rozedrzeć na całego, ale nie można, bo brakuje tchu. Niemniej jest to straszliwy krzyk, Cris ma zamknięte oczy i się wyrывa, jakby starał się obudzić czy coś takiego. I cały czas krzyży.

Naprawdę chce mi się rzygać.

Wygląda na to, że Jeremy'emu też.

- Jeszcze trochę - mówi cicho pan Teleomara, a brzytewna mgła kłębi się wokół Crisa.
- Jeszcze kilka sesji i skończę z tobą. Będziesz jak pusta łupina. Wyprany ze wszystkiego. Jeszcze kilku Pierworodnych i będę miał wszystko. - Następnie gładzi Crisa po twarzy, naprawdę z czułością, a mnie wielkie ciarki chodzą po plecach. - Śpij słodko, moja dziecino - mówi. - Nie chcemy, żeby ci się coś przytrafiło. Na razie.

Następnie wybuchą śmiechem i odchodzi. Zmierza w stronę drzwi wśród pokurczonych winorośli.

I te drzwi zamykają się za nim.

- Jasna cholera, o co tu biega? - Głos Jeremy'ego ma barwę limonki. - Co on zrobił Crisowi?

- Nic dobrego. - Zaczynam zsuwać się po murze.

- Zwariowałaś? - Jeremy nachyla się w moją stronę. - A jak wróci? Tu wszystko jest jak w filmie o wampirach z kina nocnego.

- Nie ukąsił Crisa.

Ale tak, właściwie ma rację. Wpatrując się jednym okiem w drzwi, przedzieram się przez te głupie pnącza.

- Cris, Cris, obudź się.

Potrząsam nim naprawdę przestraszona.

- Nic mu nie jest? - Jeremy nachyla się nad moim ramieniem.

Myślałam, że już poszedł do domu.

- Nie wiem.

Ale wtedy Cris mruga, ziewa i uśmiecha się do nas.

- Przepraszam. Chyba zdrzemnąłem się, czekając na ciebie. Jak było dziś w szkole? Znów widziałaś tego dziwnego dyrektora?

Patrzemy z Jeremym po sobie.

- Wciąż jest dzisiaj - mówi Jeremy. - Nie poszliśmy jeszcze.

Już chyba nie chce pójść do domu i zająć się grą.

- Był tu pan Teleomara - mówię Crisowi. - Ten dziwny dyrektor.

- Niemożliwe. - Cris jest nieco skołowany, jakby się właśnie obudził. - Był tu przed chwilą mój wujek. Zobaczyłby go. Nie wpuszczamy nikogo z powodu Zoroana.

- Właśnie widzieliśmy naszego nowego dyrektora tu z tobą - mówię mu.

- Mój wujek tu był. - Cris naprawdę nie wie, co ma o tym wszystkim myśleć. - I...

- Co robiłeś z wujkiem, kiedy tu był? - przerywa mu Jeremy. - Co jadłeś wczoraj na kolację? O czym rozmawialiście?

- No, my... - Cris ma ten swój dziwny wyraz twarzy. - Ja... nie pamiętam. No bo wiecie... Wiem, że mieszkam tu z wujkiem. Że pilnuje mojego bezpieczeństwa. Ale ja nie... - Teraz naprawdę go wzięto. - Nie mogę sobie przypomnieć, co... co robiliśmy wczoraj wieczorem. Tylko tyle.

Jeremy i ja znów spoglądamy na siebie.

- Myślę, że twój „wujek” to Zoroan, Cris - zgaduję, ale wspomnienie Teleomary nachylającego się nad Crisem wciąż wywołuje u mnie nudności. - Cris, musisz iść z nami. - Zachodzę go z drugiej strony i łapię za uchwyty wózka. - Nie możesz tu zostać. On wróci.

- Ale mój wujek...

- Nieważne, kto to był, robił ci krzywdę.

Napieram na uchwyty wózka, ale winorośl wkręciła się w szprychy. I opanowuje mnie przerażająca wizja Crisa, siedzącego tu w nocy, w deszczu, i zamarzniętego w srebrzystej mgle.

- Myślę, że można to podciągnąć pod porwanie - odzywa się Jeremy.

I zaczyna nogami rozgarniać winoroślą i rękami szarpać za pędy, odrywając je od kół. Ja też ruszam do akcji i przysięgam, że zaczynają się owijać wokół wózka szybciej, niż jesteśmy je w stanie odrywać. Ale w końcu udaje nam się ruszyć wózkiem, bo Jeremy pcha, a ja depczę pędy przed kołami.

- Ale jak my się stąd wydostaniemy? - dyszy Jeremy.

Na pewno nie przez drzwi, przez które wszedł pan Teleomara, to pewne.

- Czy można stąd jakoś wyjść, Cris? - pytam.

Kręci głową. Wciąż nie doszedł w pełni do siebie. Podjeżdżamy z wózkiem do miejsca, w którym gałęzie jabłoni zwisają zza muru.

- Ty się wspinaj - mówi do mnie Jeremy. - Ja podsadzę Crisa i będziesz mogła złapać go za rękę. Potem ja się wespnę i razem go zsuniemy na dół. Robiliśmy tak w skautingu. Cris, w porządku?

- Jasne - mówi, ale widać, że jest przerażony.

Nigdy nie byłam skautem i patrzę teraz na ten mur. Naprawdę jest wysoki. Ale drapię się do góry. Nie wiem, czy uda nam się poradzić sobie z Crisem bez względu na to, jaki jest chudy. Ale nic innego nie przychodzi mi do głowy, więc zapieram się i siadam okrakiem na gałęzi.

- No dalej, Cris, teraz cię podsadzę. - Jeremy unosi Crisa z wózka. - Stary, ważysz mniej niż moja młodsza siostra. Trzymaj się. Spróbuję stanąć na wózku.

Jeremy stęka i bardzo ostrożnie staje na siedzeniu wózka. To się nie uda.

- Jesteś gotowa, Melanie? - Chwieje się, a ja wstrzymuję oddech. - Dobra, Cris, wyciągnij ręce. Złap się Melanie. Łap Crisa, Mel.

Nie sięgam.

- Wychył się tak nisko, jak potrafisz - dyszy Jeremy kanarkowymi słowami. - Możesz się jeszcze wyciągnąć, Cris?

- Nie mogę... nie... nie sięgam. Zoroan, pan Teleomara, może wrócić w każdej chwili.

Gałąź wysuwa się spode mnie. Pisnęłam i złapałam się jej, twarz Crisa jest teraz na wysokości mojej.

- Złap go, złap go za nadgarstki! - krzyczy Jeremy.

Robię to i dłonie Crisa też zamykają się na moich nadgarstkach. Ramiona chcą mi wyskoczyć ze stawów i nagle lecimy gdzieś, czuję ból w żebrach, widzę liście, niebo, liście i nagle...

...padam plecami na trawę i nie mogę złapać tchu. Niebo. Liście. Niebo. Siadam, ale nic mnie nie boli, a Cris leży na plecach i chichocze sobie.

- Co się, do diabła, stało? - Głowa Jeremy ego wychyla się zza muru i w chwilę później jest już na dole. - Nic wam nie jest? Jak bonie dydy, gałąź przerzuciła was na drugą stronę. Nie żartuję! Żebyście mogli to zobaczyć.

- To jabłoń. - Cris siada. - Moje drzewo urodzinowe. Musimy stąd zniknąć. To była pułapka. Pułapka Zoroana. Uwięził mnie w niej i wysysał moją moc Pierworodnego.

- Teraz wierzę. - Jeremy spogląda na zamek. - Hej, patrzcie.

Spoglądam na zamek i już go nie widzę. To jedynie wielki, walący się dom, tak jak mówił Jeremy.

- Co to jest ta moc Pierworodnego i dlaczego chce ci ją wyssać? - pyta Jeremy.

- Słuchajcie, może pogadamy o tym potem - ucinam. - Jak już będziemy daleko stąd.

- Taa, musimy stąd zniknąć - mówi Cris. - Myślę... myślę, że mogę chodzić. Ten cały wózek... to była część pułapki, jak sądzę.

Musimy mu pomóc we dwójkę, ale tak, potrafi chodzić. Nie za dobrze, jest bardzo słaby i przewraca się cały czas pomimo naszej pomocy. Wygląda jednak lepiej. I co zauważam, starzej. Myślałam, że jest młodszy od nas, ale teraz widzę, że ma z piętnaście, szesnaście lat. I jego słowa już nie mają barwy psiej kupy. Są złote i błyszczące, trochę jak słowa pana Teleomary, tyle że nie sprawiają bólu. Wciąż jest bardzo chudy. Chyba każdy by taki był, gdyby ktoś wysysał z niego życie.

- Dokąd idziemy? - Nie pytam, po prostu zastanawiam się na głos.

- Na policję? - podpowiada Jeremy.

Rzucam mu spojrzenie.

- Panie policjancie - odzywam się słodko. - Temu chłopcu nasz dyrektor szkoły wysysał żywotne siły. Czy może pan aresztować naszego dyrektora, bardzo pana proszę?

- Zrozumiałem - odzywa się Jeremy kolorem kwaśnym jak cytryna. - A twój tato?

Mam ochotę odwrócić wzrok.

- Nie wiem. - Przetykam ślinę. - Chyba... nie możemy zabrać Crisa do niego. - Spoglądają na mnie obydwaj, a ja nie potrafię powiedzieć nic więcej.

- Dobra. Musimy coś wymyśleć - wzdycha Jeremy. - Jeśli pan Teleomara jest w prawdziwym świecie takim strażnikiem, to od razu mu go oddadzą. - Marszczy brwi i zastanawia się nad czymś usilnie. - Mój tato jest prawnikiem, więc wiem, jak to działa. Prędzej uwierzą dorosłemu niż dziecku. Cris, a twoja rodzina?

- Byli Pierworodnymi - mówi tak cicho, że ledwo go słyszę. - Zoroan ich dopadł.

Milczymy przez chwilę. Pod drzewami robi się ciemno. Sowa pohukuje na ciemnozielono i nagle osiada na ścieżkę na wprost nas. Jej oczy lśnią żółtym światłem i nigdy nie widziałam takiej sowy. Pohukiwała stonowaną zielenią, a Cris powiedział coś do niej w języku, którego nie znałam.

- Zoroan wie, że uciekłem. - Cris oparł się na nas, jakby za chwilę miał się przewrócić.

- Możemy pójść do mojego fortu na drzewie - powiedział Jeremy z powątpiewaniem w głosie. - Mogę was tam przeprowadzić i nikt nie będzie wiedział, że tam się schowaliśmy. Może będzie się bał coś zrobić na obcym podwórku. Ludzie, ale oberwę, jeśli mnie złapią.

Myślę, że nie chce, żebyśmy tam poszli, ale żadne inne miejsce nie przychodzi nam do głowy. I może ma rację, może Zoroan będzie się bał cokolwiek zrobić w pobliżu domów i ludzi. Nie sądzę, żeby mu to specjalnie przeszkadzało, ale, jak mówiłam, nic lepszego nie wpada nam do głowy. Idziemy więc.

Bardzo dziwny jest to spacer. Niektóre drzewa, głównie te najstarsze, wyglądają tak, jakby w środku ktoś siedział. Wydają się zrobione ze szkła i ktoś siedzi w środku, ale szkło nie jest przejrzyste, więc nie można dostrzec twarzy. I jestem więcej niż pewna, że widziałam małych ludków, których widywałam w obecności mojej mamy... Płochliwi, tak ich nazywała. I Jeremy też ich widzi - poznają to po tym, jak spogląda i się gapi. Myślę, że to dlatego, że idziemy w towarzystwie Crisa.

Jest mi trochę przykro, kiedy docieramy do domu Jeremy ego. Znajduje się na jednych z tych ładnych osiedli, z pięknymi domami, porządnie utrzymanymi podwórkami, z huśtawkami i kwiatami. Dom Jeremy ego stoi na skraju osiedla i podwórko kończy mu się tuż przy lesie. Tam znajduje się jego fort, trochę na uboczu. Założę się, że jego mama trochę się tego wstydzi, bo fort składa się z desek, które sterczą w różnych kierunkach, gdyż Jeremy sam go zbudował. Siadamy tam czasami i rozmawiamy o szkole albo słuchamy kompaktów, które jego mama uważa za nieodpowiednie dla nas.

Nie wygląda na to, żeby można było tu się bronić przed Zoroanem. Ale sowa ze świecącymi oczami przysiadła na gałęzi starej jabłoni, na której Jeremy zbudował fort, więc może lepszy rydz niż nic. Pomagamy Crisowi wejść do fortu i drapiemy się za nim, a ja rozglądam się wszędzie za srebrnym blaskiem, ale nic nie widzę.

Podoba mi się w środku. Jest tu zwykła drewniana podłoga i fajne półki, pomimo, że zostały zrobione z poszarzałych, powykręcanych od deszczów starych skrzynek na jabłka. Stoi na nich pełno kompaktów, książek i takich różnych rupieci. Bardziej mi się tu podoba niż w niektórych norach, które wynajmowaliśmy z tatą. Cris pada na sofę i opiera się o miękkie poduszki dostawione do ściany.

- W porządku? - pyta Jeremy.

- Chyba tak - odpowiada Cris. - Jestem tylko trochę zmęczony.

- Słuchajcie, lepiej zamelduję się w domu. - Jeremy spogląda przez ramię. - Będę miał przerąbane za to, że się spóźniłem, nawet jeśli nie zadzwonili ze szkoły, że urwałem się z lekcji. Zobaczą, czy będę mógł tu spać dziś w nocy. Jest niby środek tygodnia, ale mama i tak czasami mi na to pozwala. Przyniosę wam coś na ząb.

- Ale wodę też przynieś, dobrze? - Kiedy wypowiadam te słowa, czuję, że zaraz umrę z pragnienia. Myślę, że Cris tak samo.

- Mam tu jakieś napoje. Ukryłem kilka puszek przed mamą w zeszłym tygodniu. - Jeremy przedziera się przez szpargały w skrzynkach na jabłka i wyjmuję puszkę z colą. - Tu jest latarka, na wypadek gdybym od razu nie wrócił. Nie świećcie po oknie, bo mama zobaczy. Wróć, kiedy tylko będę mógł. - Jeremy zeskakuje z drzewa i biegnie do domu.

Zaczyna mi być trochę zimno. Otwieram puszkę z colą i siadam koło Crisa. Podaję mu ją i bierze z niej kilka łyków. Ta ciepła cola to najlepszy napój, jaki piłam w życiu, dlatego opróżniamy puszkę w kilka chwil. Ptaki zaczynają swoje nocne trele - bladorożowe, błękitne i zielone, małe rozbłyśki światła jak robaczki wielkanocne, które pamiętam z pobytu w Ohio.

- Jak możesz być Pierworodna i nie wiedzieć nic o magii? - pyta mnie Cris.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

- Ja nie wiedziałam, że to magia, tak mi się zdaje. - Wzruszam ramionami. - Po prostu taki był dla mnie świat... byli w nim Płochliwi, jednorożce, niektóre zwierzęta rozmawiały z mamą, a niektóre nie. Znów wzruszam ramionami.

- A jak... jak ją dopadł Zoroan?

Przełykam ślinę. Wciąż mi się to śni. W koszmarach.

- Ona... wypadła przez drzwi, które otworzyły się pewnego dnia. Spacerowaliśmy po lesie. Byłam bardzo mała. - Wzruszam ramionami, choć wciąż widzę te drzwi i nicość za nimi

oraz jej minę, kiedy wpadła w nie tyłem. - Tato zakazał mi więcej o tym wspominać. I nic nie mówiłam. Dopiero kiedy poznałam ciebie - mówię do niego. - I nie wiem... - Spoglądam na puszkę po coli. - Myślę, że zaczynałam podejrzewać... no wiesz... że może nie było to tak, jak sobie to zapamiętałam.

Ani śladu po Jeremym. Pewnie mama się dowiedziała i Jeremy ma naprawdę duży problem. Ciekawe, czy nas sypnie. Może i tak, jak zrobi się naprawdę gorąco. Nie chciał przecież, żebyśmy tu przyszli. Czy wezwą policję? Wydadzą Crisa panu Teleomarze, tak jak sądził Jeremy? Wypatruję ziemistoszarego dźwięku syreny policyjnej oraz srebrnego dźwięku, ale nawet jakbym je zobaczyła, to co? Co możemy na to poradzić? Przypomina mi się, jak krzyczał Cris, i w jednej chwili uświadamiam sobie, że Zoroan to samo zrobił mojej mamie. I wtedy spostrzegam, że Cris płacze, bardzo cicho, a barwa ciemnego złota zasmuca mnie jeszcze bardziej.

Obejmuję go ramieniem, bo wiem, że myśli o tym samym.

- Ej, jesteście tam jeszcze?

Szept Jeremy ego brzmi wspaniale.

- Taa, jesteśmy. - I aż chcę go objąć, kiedy gramoli się do fortu, ciągnąc za sobą plecak.

- Nie wygadałeś się.

- O co ci chodzi? Naprawdę myślisz, że byłbym do tego zdolny?

- Piękne dzięki, Melanie. Ja nie opuszczam przyjaciół w potrzebie. - Jego słowa dochodzą do mnie w paskudnym pomarańczowym kolorze.

- Przepraszam. - Naprawdę jest mi przykro. - Chyba... chodzi o to, że nigdy wcześniej nie miałam prawdziwego przyjaciela. Nie wiem, jak to jest. Miałaś jakieś kłopoty?

- Całe mnóstwo. Daj mi tę latarkę. - Kładzie plecak na podłodze i włącza światło. - Za zerwanie się z lekcji uziemili mnie na zawsze i twój tato chyba zadzwonił na policję. Bo nie zjawiałaś się w domu. A ktoś widział, jak wychodziliśmy razem. Powiedziałem, że byłaś bardzo przybita i chciałem cię tylko pocieszyć, a ty nie chciałaś ze mną rozmawiać, więc pomyślałem sobie, że jak już się zerwałem, to mogę sobie robić, co chcę. Mojej mamie podobało się, że chciałem cię pocieszyć, więc chyba mi uwierzyła. Chyba. Przyniosłem wam wody - nalałem ją do dzbanka na mleko - i wykradłem co nieco ze spiżarni w garażu. Nie odważyłem się wejść do kuchni... musiałbym przejść koło sypialni mamy i taty. Teraz kłócą się, kto mnie tak wychował. - Uśmiecha się szeroko, choć dość niepewnie. - Myślę, że mama jest górą i to jest wina taty.

Woda smakuje nieco kwaśnym mlekiem, ale nie narzekam, podobnie jak Cris. Jeremy przyniósł masło orzechowe i pudełko Saltines.

- Tyle tylko mogłem wziąć. - Robi minę. - Wszystko inne jest w puszkach. No dobrze. - Wyciąga z jednej ze skrzynek po jabłkach sfatygowany nóż z zastawy i zaczyna rozsmarowywać masło na krakersach. - Powiesz mi, co się dzieje, Cris? Zanim przyjedzie policja i wszystkich nas aresztują?

- Nie przejmuj się policją. - Cris zaczyna pakować krakersy do ust, a ja znów myślę, jak to siedział na tym fotelu dzień i noc, owinięty pnączami. - Martw się Zoroanem - mówi Cris z pełnymi ustami. - Chce przejąć moc wszystkich Pierworodnych. - Łyka głośno wodę. - Staje

się coraz bardziej skoncentrowana. Moc Pierworodnych. Kiedyś było ich dużo. Ale wiesz, że niektórzy nie mają dzieci do końca życia? Więc mają jej coraz mniej. Gdyby kiedykolwiek zdobył ją całą... - Cris wzrusza ramionami. - Myślę że... nasz świat mógłby zniknąć albo coś podobnego. A może Zoroan zmieniłby go albo wykorzystał moc, żeby wam wszystkim dokopać. Ja po prostu... nie wiem. Ale porywa wszystkich Pierworodnych od jakiegoś, no... od jakiegoś tysiąca lat. Ludzie po jakimś czasie się zorientowali i staliśmy się bardzo ostrożni. Ale teraz ma tyle mocy, że nie można z nim skutecznie walczyć. Raczej chodzi tu o to, żeby unikać jego pułapek. Jak tej, w której tkwiłem.

Cris odwraca wzrok.

- Trochę to trwa, zanim wysie moc Pierworodnych z jednego z nas.

Drzę całą, a Jeremy ma oczy jak spodki.

- A co się dzieje, jak... zabierze już wam całą? - pyta w końcu.

- Nie wiem. - Cris spogląda na krakersa w dłoni. - Chyba się umiera. Znaczący... nikt nigdy nie wrócił. Jest taka przepowiednia... że może go zniszczyć tylko Pierworodny, który posługuje się bronią z prawdziwego kształtu. I jak myślę... była to jakaś pułapka. - Wpatruje się w krakersa, który w jego dłoni zmienił się w garść okruszków. - Chyba... miałem nadzieję... myślałem... Co miałem do stracenia? - mówi otępiąłym głosem metalowej barwy. - Myślałem, że... mogę ich ponownie sprowadzić.

Ja też bym spróbowała. Gdybym wiedziała, że moja mama może wrócić.

- Dobra, chwileczkę, zrobmy małą przerwę. - Jeremy zaczyna wymachiwać rękami. - Teraz wierzę w magię. Za ucieczkę z lekcji jestem uziemiony do końca szkoły. Jak znam życie, to mnie jeszcze aresztują za porwanie. Za to wszystko chciałbym usłyszeć, o co tu chodzi, i to po angielsku, dobrze? - Spogląda na Crisa. - O co chodzi z tymi Pierworodnymi? Co widzieliśmy, kiedy poszliśmy do tego domu... te dziwaczne rośliny i drzewa? Gdzie jest wasz świat?

- Właśnie tutaj. - Cris wzrusza ramionami. - Chyba widziałeś to wszystko w prawdziwych kształtach, bo byłeś w moim towarzystwie. To jest tak - co by było, gdybyś mógł dostrzegać tylko kolory czerwone, niebieskie i zielone, ale cała żółć byłaby dla ciebie niewidzialna?

- Wtedy człowiek wpadałby pod szkolne autobusy.

- Ale nie byłbyś w stanie również czuć żółtych przedmiotów. Nie wiedziałbyś, że tam są. Przechodziłbyś przez żółte przedmioty jak przez powietrze.

- Świat byłby bardzo dziwny. - Jeremy marszczy brwi. - Nie byłoby słońca, tylko światło. Żadnych słoneczników, kaczeńców ani żółtych M&M-ów.

Przypominają mi się Płochliwi i jednorożce, które widywałam w towarzystwie mamy. - Nie wiedzielibyśmy, że istnieje żółty kolor?

- Och, to tylko taki przykład. - Cris wzrusza ramionami. - Nie, to bardziej przypomina sytuację, kiedy widzicie żółty. Ale nie widzicie innych kolorów. - Podnosi stary nóż, którym Jeremy smarował masło orzechowe na krakersach.

W jego dłoni zmienia się w fajowski sztylet z błękitnymi klejnotami na rękojeści.

- Niech mnie! - Jeremy wytrzeszcza oczy. Cóż, trzeba przyznać, sztylet jest naprawdę super.

- Jak to zrobisz? - Jeremy dotyka sztyletu, syczy z bólu i zaczyna ssać palec. - Znalazłem go na starym wysypisku, głęboko w lesie. Umyłem go dokładnie przed użyciem, słowo.

- Myślę, że wy możecie widzieć prawdziwe kształty w obecności jednego z nas. - Cris spogląda na nóż. - Nie wiem, co widziałeś - czy też czego nie widziałeś - po drodze tutaj, ale to pewnie dlatego. Bo byłeś ze mną.

Myślę o panu Beasleyu z klejnotem na czole. Ciekawe, czy powiedział panu Teleomarze, że jestem w klasie pani Banks? Cris spogląda na mnie.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie widzisz wszystkiego, Melanie. Jesteś przecież Pierworodna.

- No... - Obaj wpatrują się we mnie. - Chyba dlatego że... mój tato nie ma nic wspólnego z magią. - I nigdy, przenigdy nie chce rozmawiać na ten temat.

Cris wygląda na wstrząśniętego.

- To nie powinno tak być.

- Cóż, taka jestem. Co w tym takiego dziwnego? - Spoglądam na niego wyzywająco.

- Ale zaraz... dlaczego w takim razie mój fort nie zmienił się w zamek czy coś podobnego? - wtrąca się Jeremy. - Dlaczego wygląda tak jak zwykle?

- Bo jest zrobiony z martwego drewna. - Cris nieco wydyma wargi. - To jest jego prawdziwy kształt.

- Dobra. - Jeremy marszczy czoło. - Ale dlaczego ocierałem sobie łokcie na tym murze, a potem, kiedy we trójkę się wspieliśmy, po drugiej stronie widziałem już tylko stary nawiedzony dom, taki sam jak kiedyś?

- Bo mnie już tam nie było, nie było też Zoroana. - Cris marszczy czoło. - Przede wszystkim nie wiem, dlaczego ty go zobaczyłaś, Melanie. Skoro nie potrafisz widzieć prawdziwego świata.

Wzruszam ramionami, bo jestem na niego nieco zła. Przede wszystkim najpierw zobaczyłam jabłoń, teraz sobie przypominam. A później spostrzegłam mur. Co jest nieco dziwne, bo gałąź opierała się na murze. Pamiętam, jak tego dnia poszłam na spacer do lasu, użalając się nad sobą. Znow ta Elita. I tak sobie szłam i rozmyślałam o mojej mamie i tych wszystkich zabawnych przygodach, które się nam przytrafiały, kiedy szłyśmy razem do lasu, i jak bardzo bym chciała, żeby mój tatuś o niej ze mną porozmawiał. I wtedy zobaczyłam jabłoń i chciałam urwać trochę kwiatów. I wciąż myślałam o niej, kiedy dostrzegłam mur, wspięłam się na niego, no i... resztę już znacie.

No i tak... zastanawiam się, czy może... może świat się nie zmienił. Może to ja. Ze to nie jest tak, że nie mogę zobaczyć Płochliwych, jednoroźców i ludzi w drzewach, tak jak to pamiętam. Może... po prostu tego nie widzę. No bo jak się powie komuś o spotkaniu z jednoroźcem czy Płochliwym, to on pomyśli, że zwariowałam. Zastanawiam się, czy przypadkiem, no... nie zaczęłam im wierzyć? Ze zwariowałam? Tak gdzieś w głębi?

I to mnie bardzo zasmuciło, czułam się, jakbym zdradziła moją mamę. I nie chodzi o to, że tatuś powiedział, że to nie były prawdziwe obrazy. On po prostu zakazał mi o tym mówić. Ale może za bardzo go słucham. W ogóle ludzi, którzy mówią, że to nie ma miejsca. Jeremy wciąż gada o magii i o tym, czego nie widzi, a co dostrzega Cris, ale ja nie zwracam na to uwagi. Czuję tylko smutek i spoglądam w ciemność podwórka Jeremy ego.

Tylko że... to nie jest ciemność.

O cholera.

- Patrz - mówię, chwytając Crisa za ramię. - Patrz tam. Widzisz? Nie... tam!

Srebro. Sproszkowane brzytwy. Sowa, którą widzieliśmy wcześniej, lotem koszącym znika w ciemności, pohukując na zielono i okrążając drzewo.

- Na co mam patrzeć? - Jeremy mruga powiekami. - Na tego ptaka?

Cris też nie wie, o co chodzi.

- Pan Teleomara... Zoroan. - Nagle sztywnieję i zaczynam cała drzeć. - Nie widzicie tej srebrnej mgiełki nad domem? On tam jest.

- Aura Zoroana? - Cris wpatruje się we mnie, a ja dotąd nie zauważyłam, że ma zielone oczy, który fosforyzują jak oczy sowy. - Wyczuwam go - odpowiada. - Jest blisko. Chcesz powiedzieć, że to widzisz?

- Nie wiem. Co to za aura? Widzę, kiedy mówi. Tak jak ty mówisz na złoto, a Jeremy na żółto. Może powinniśmy stąd zniknąć?

Za późno. Strumień srebra, brzytwana mgła, wije się po podwórku, okręcając się wokół huśtawki, i znika pod fortem, gdzie nie możemy jej już dostrzec. Srebro wystrzeliwuje oślepiającym błyskiem, owijając się wokół sowy, jak to zrobiłby pan Beasley. Ptak wydaje przenikliwy, pojedynczy wysoki krzyk i nagle pęka jak balon z gumy do żucia, po czym... znika. I wtedy - tak szybko, że nie sposób tego zobaczyć - brzytwana mgła staje w drzwiach na podobieństwo olbrzymiego srebrnego pana Beasleya. I jak pan Beasley goni za myszą, ona dopada Crisa.

Staję jej na drodze.

Wali mnie z całej siły jak wąż naprężony mocno od wody. Jakby była zrobiona z brzytwy i nie mogę nic na to poradzić, krzyczę i staram się ją złapać, ale również przypomina samą wodę i moje dłonie przechodzą przez nią bez najmniejszego trudu. Jakby paliła mi skórę, zamykam oczy, bo już nie mogę tego dłużej znieść i...

...znika. Cris stoi przede mną ze złotym sztyletem, z którego końca ściekają resztki srebrzystej mgły.

- Huuura, Cris, tak trzymać! - Jeremy klepie Crisa po plecach, który chwieje się, jakby sztylet stanowił dla niego wielki ciężar, jakby ważył tonę.

- Co się stało? - Spoglądam na siebie. Nic mi nie jest. Nie mam oparzeń, nawet takich od słońca. - Bolało.

- Jest naprawdę silny. - Cris gwałtownie siada na podłodze. - Być może dzięki mocy, którą zabrał tym wszystkim Pierworodnym. Myślę... myślę, że sobie z nim nie poradzę.

I jego słowa znów mają taką barwę, jakby były nieco uwalane psią kupą. Sądzę, że to niedobrze. Patrzy na mnie.

- Melanie, to naprawdę świetnie, że potrafisz to zobaczyć... jego aurę. Powiedz mi, gdzie jest. Jeśli zdołam ją przeciąć, nie będzie miała już takiej mocy.

- Jesteś Pierworodnym, może zabięś go, kiedy tak dźgnąłeś go tym sztyletem, co? - Jeremy siada koło Crisa. - Ja nic nie widziałem, ale czy nie tak było w tej przepowiedni?

- Muszę wbić w jego ciało broń o prawdziwym kształcie, dźganie aury nie wystarczy. - Cris spuścił głowę. - Nie pozwolę mi podejść tak blisko i nie sądzę, żebym miał tyle siły, by się przedrzeć przez jego zaporę. - Spogląda na mnie. - Byłaś bardzo dzielna, Melanie. Starłaś się powstrzymać jego aurę. Mogła cię zabić. Masz szczęście - mówi. - I odwagę.

Szczęście, tak. Odwagę, nie. Głupia jestem po prostu. Pocieram ramiona. Jeremy patrzy na mnie z podziwem. Wykrzywiam się do niego.

- Co z tego wynika, Cris? - Mój głos jest nieco drżący. - Czy jest jakiś sposób, by wykończyć to coś?

- Niczym innym nie jestem w stanie tego powstrzymać. - Rozgląda się po forcie. - Gdyby był tu jeszcze jeden Pierworodny, to moglibyśmy zebrać tyle siły, by trzymać go z dala. Może.

Cóż, ja się nie liczę, skoro mój tato nie ma w sobie magii, tak samo jak ja.

- No, Cris. - Jeremy podskakuje w górę i w dół. - Melanie widzi tę całą aurę. Mamy sztylet. Musimy nad tym popracować. Nie możesz tak siedzieć i czekać na niego.

Jeremy cały czas nadaje, a ja wyglądam na podwórzu. Zrobiło się naprawdę późno i podwórzu jest opustoszałe, pośród tej chłodnej nocnej pory, kiedy się budzisz i czujesz, że jesteś jedyną żyjącą istotą na świecie. No i proszę, jest. Wchodzi na podwórzu, tak jak wcześniej wszedł do klasy. I widzę go wyraźnie, pomimo że jest ciemno i nawet księżyc nie świeci. Ta srebrna poświata wlecze się za nim i krąży wokół niego, jakby miał swoją prywatną mgłę.

- Witaj, Melanie. - Patrzy do góry i uśmiecha się jak pobłażliwy nauczyciel, który tak naprawdę nie rozgniewał się na niezbyt grzecznego ucznia. - Jeremy, a co ty tutaj robisz? - mówi. - Narobisz sobie sporo kłopotów, a twoi rodzice już nigdy ci nie zaufają. Jeśli teraz wrócisz chyłkiem do domu, nie obudzą się. A ja nie zawieszę cię za wagary. Zrobiłeś to w trosce o koleżankę, a to chwalebne. Idź teraz do łóżka i zobaczymy się rano.

Ma taki ciepły głos. Z taką troską mówi o Jeremym. Patrzą na Jeremy'ego i widzę, że się wije. Nawet ja mam ochotę pójść do łóżka i zobaczyć się z nim rano.

- Melanie, musisz zaraz iść do domu. Sama wiesz, jak twój tato martwi się o ciebie. Mógłby... cóż, sama wiesz, że gdyby myślał, że cię stracił tak jak twoją mamę, mógłby zrobić sobie coś straszego.

Zrywam się na równe nogi. Tato. Nie pomyślałam w ogóle o nim i pan Teleomara ma rację...

- Przestań, Zoroan. - Głos Crisa przypomina skrzek żaby, ale złoto w jego słowach lśni i mieni się bardzo silnym blaskiem. - Nie próbuj na nich swoich sztuczek.

Mam wrażenie, że ktoś wylał mi na głowę wiadro zimnej wody.

- On kłamie, Jeremy. - Mój głos też brzmi ohydnie. - Nie słuchaj go.

- To nie jest wasze zmartwienie, dzieci. - Wciąż się uśmiecha. - To nie jest wasz świat. To, co się wydarzyło, nie ma z wami nic wspólnego. Idźcie do domu. Idźcie spać. Rano wszystko będzie w porządku.

Słodko pachną te srebrne słowa. Słowa nie pachną. Źle, źle, niedobrze.

- Nie rób tego, Jeremy. - Łapię go, kiedy zaczyna się przesuwać w stronę wyjścia. - To naprawdę jakaś sztuczka czy urok.

Ale on mnie nie słyszy i wyrывa się, a ja też w głębi duszy chcę zrobić to, co każe pan Teleomara.

I nagle... z lasu wychodzi mój tato.

- Melanie? - woła do mnie. Zatrzymuje się na skraju podwórka. Co on tu robi? - Melanie? - znów mnie woła. Jego zielone słowa rozbrzmiewają... przerażeniem.

- Tato! - wołam, ale brzmi to tak, jakby zapiszczała myszka. Jednak usłyszał.

- Nic ci nie jest? - Kieruje się w stronę fortu na drzewie, jakby pan Teleomara stał się niewidzialny. - Nic ci nie jest, kochanie?

Pan Teleomara staje przed nim i zagradza mu drogę.

- Idź do domu - mówi i to srebrne paskudztwo gęstnieje wokół mego taty. - Idź już do domu.

A ja nagle uświadamiam sobie, że nie zamierzał mnie nigdzie wypuścić, że Cris ma rację, że na mnie też poluje.

- Widzę cię. Wiem, czym jesteś. - Mój tato ani drgnie. - Ona nie należy do twego świata. Zejdź mi z drogi.

Nigdy nie słyszałam, żeby tato tak do kogoś mówił.

- Za późno. - Pan Teleomara uśmiecha się. - Teraz ona też jest moja.

Mój tato wali go w szczękę.

Jeremy wydaje okrzyk zachwyty, a pan Teleomara pada na tyłek, całe jego srebro znika i przez chwilę myślę, że wszystko się dobrze skończy.

I wtedy ten srebrny dym jakby wyłania się z trawy i okręca się wokół mego taty. Tato zatacza się w tył, otwierając usta, jakby krzyczał, ale ja niczego nie słyszę, a on stoi wygięty do tyłu, jakby zaraz miał upaść, ale też jakby zamienił się w kamień.

I zaraz umrze, pęknie jak balon i zniknie. Jak sowa. Wiem to, jakby ktoś mi o tym powiedział.

Jestem Pierworodna. Jestem pierwotnym dzieckiem mojej matki. Wyrывam Crisowi sztylet z ręki, drze się na mnie, ale mam to gdzieś. Zeskakuję z fortu i ląduję na czworakach. Zoroan nie zauważa tego, bo wpatruje się w mego tatę i bawi się tak dobrze, jak pan Beasley z myszą. Podpełzam do niego i wciąż na kolanach, trzymając sztylet obiema rękami, dźgam go w nogę.

Sztylet topi się.

Tak po prostu.

A pan Teleomara spogląda na mnie i się uśmiecha.

- Mieszaniec - mówi.

I coś na kształt wielkiej łapy wali mnie na odlew, aż odbijam się od pnia jabłoni.

Jestem pierwotnym dzieckiem, nie tylko mojej mamy, ale i taty. Może ma rację. I może nie dla mnie ten cały prawdziwy świat.

- Melanie, Melanie. - Jeremy zeskakuje z fortu, biegnie do mnie i podnosi. - Nic ci się nie stało? Co to było?

Wstaję. Mam przynajmniej taką nadzieję. Podnoszę wzrok na fort i widzę miejsce, w którym pękły deski. Chwytam za coś.

Mam w dłoniach ostry kawałek drewna, mniej więcej długości palca.

- Dźgnij go tym. - Wpycham mu kawałek drewna w rękę. - Jesteś Pierwotny, prawda? Zrób to, Jeremy. To jest twoja broń prawdziwego kształtu. Dźgnij go!

I nie czekam na jego odpowiedź, tylko rzucam się na Zoroana, staram się podrapać mu oczy, walę go pięściami. A srebrny woal owija się wokół mnie jak rozżarzona łąpa, nie mogę oddychać, i tak, myliłam się, a Zoroan śmieje się i ja też zaraz umrę...

...ale za jego ramieniem, przez cały blask i ból dostrzegam, jak Jeremy z szaleństwem w oczach dźga go tą głupią drewnianą drzazgą i wbija ją w jego plecy.

Wchodzi jak w masło, z taką łatwością, że Jeremy potyka się i pada jak długi. Wszystko zaczyna drżeć, jakby nagle zaczęło się trzęsienie ziemi. A ja leżę na ziemi i patrzę w górę, a Cris wypada z fortu i niemal ląduje wprost na mnie. Fort rozpada się na kawałki. Wszystkie gałęzie miotają się jak opętane. Przeturlałam się po ziemi i widzę, jak Zoroan stoi z rękami wzniesionymi ku górze i nigdzie nie ma nawet śladu po srebrnej mgle. Ma zmienioną twarz, która stapia się w inną, i znów inną, w twarze młode, stare, męskie, kobiece, nawet dziecięce, coraz szybciej i szybciej, aż zamazuje się kompletnie. I nagle zaczyna wiać lodowaty wicher, jak w zimie, śmierzący jak zdechły opos, którego znalazłam pod werandą naszego domu w dniu naszego przyjazdu tutaj.

I otwiera się dziura. Coraz głębiej i głębiej, i właśnie stamtąd wydobywa się smród i lodowaty wicher. Ostatki z fortu, książki, płyty i deski wpadają do dziury i ja też ześlizguję się w jej stronę, jakby mnie tam wciągał ten wiatr, i Jeremy już jest na krawędzi i zapada się, więc łapię go, a Cris też się tam zsuwa, i...

...coś mocno owija się wokół mojej talii i ciągnie w tył, i nagle siedzę na jabłoni. I wiatr milknie. I dziura znika. Kolejna gałąź trzyma Jeremy'ego, a Cris siedzi już w rozgałęzieniu drzewa, gdzie poprzednio był fort. Nic z niego nie zostało.

Mój tato leży na trawie, jakby spał, i nagle gałąź pode mną się ugina i zrzuca mnie na trawę. Podbiegam do taty, który zaczyna się podnosić i siadać, jestem tak rozradowana, że nie mogę mówić, płaczę tylko i wtulam się w jego ramiona. A on ściska mnie tak mocno, że aż boli, ale mi to nie przeszkadza.

- Niech mnie. - Głos Jeremy'ego jest teraz naprawdę blady. Wciąż siedzi na drzewie. - Ale było fajnie. - Śmieje się nieco drżącym głosem. - Jak zakończenie w horrorze.

- Nie ma go. Został zniszczony. Zoroan nigdy tu nie wróci. Wypełniłeś proroctwo. Jak to zrobiłeś? - Cris ześlizguje się na ziemię i wygląda na zdezorientowanego. - Nie jesteś... nie jesteś jednym z nas. Nie wiem, jak ci się to udało.

- On też jest Pierwotnym - mówię, wciąż przytulona do taty. - A w proroctwie była mowa o prawdziwym kształcie. Mówiłeś, że drewno z fortu ma dla nas prawdziwy kształt...

dla Jeremy'ego. Myślę, że sztylet się stopił, bo ja nie należę... do tego drugiego świata. - Bardzo trudno zdobyć się na te słowa i nie patrzę na tatę.

Wstaje z ziemi, ciągnąc mnie za sobą, następnie odwraca mnie i zmusza, bym na niego spojrzała.

- Jesteś częścią obu światów - mówi bardzo cicho. - Wraz z twoją mamą chcieliśmy, by tak było. - Głośno przełyka ślinę. - Kiedy on... ją zabrał, bałem się. Chciałem, żebyś była... bezpieczna. - Odgarnia mi szorstkim gestem włosy z twarzy. - Myliłem się - powiedział. - Powinienem być ci wszystko o niej powiedzieć... o twoim świecie. Kiedy przyleciała sowa, zobaczyłem, że to taki sam ptak, z jakimi rozmawiała twoja mama. I wiedziałem, że zrobiłem błąd. Więc poszedłem za nią.

Sowa z fosforyzującymi oczami?

- Zoroan ją zabił - wyszeptałam. - Nie wiedziałam... - Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Wiem. - Przyciąga mnie do siebie. - Przykro mi.

- Aua - jęczy Jeremy, kiedy jabłko zrzuca go na ziemię. - Dobra już, przepraszam, że wybudowałem na tobie mój fort. Ej, uważaj. - Uchyła się przed giętką gałązką, która przejechała mu po włosach. - No, daj już spokój.

- Naprawdę nie mogę uwierzyć, że ci się udało. - Cris wyciąga dłoń do Jeremy'ego. - Każda prawdziwa istota winna ci dziękować. Już nigdy nie powiem złego słowa na was. Ze jesteście gorsi, bo nie widzicie prawdziwego świata. Mógł cię zabić w mgnieniu oka.

- To dobrze, że tego nie wiedziałem. - I Jeremy spogląda na mnie spode łba, ale jego słowa mają słoneczną barwę. - Jesteś w porządku, Cris. - Wysuptykuje gałązki i liście z włosów. - Ej, no to teraz zostanieie u nas, co? No, ale kiedy rodzice mi odpuszczą to uziemienie? Naprawdę chciałbym zobaczyć, jak wygląda wasz świat. Pokażecie mi?

Cały Jeremy. Uśmiecham się.

- Zadzwon do mnie. Kiedy tylko ci odwieszą to uziemienie. - Cris wybucha śmiechem. - Usłyszę cię. - I wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał. - Może powinienem się czegoś więcej dowiedzieć o waszym świecie. Bo ja wiem... nigdy nie sądziłem, że może to mieć jakieś znaczenie. Może ma.

- No ja myślę. - Jeremy robi minę. - Słuchaj, możesz pójść z nami na mecz baseballu. Na pewno ci się spodoba.

- Załatwione. - Cris uśmiecha się. - A ja mam kilku przyjaciół, którzy nas oprowadzą, i wtedy dopiero zobaczysz mnóstwo rzeczy.

- Fajnie, a jacy to przyjaciele? Mam nadzieję, że potrafią latać. O rany, spójrzcie. - Jeremy pokazuje na niebo. - Robi się jasno. Jejku, lepiej już pójde, bo mnie uziemią dwa razy na zawsze. Idziesz do szkoły, Mel? - Już kieruje się do domu. - Założę się, że z chorobą nie przejdzie.

- Przyjde - mówię mu. Chyba chcę się przekonać, że nie zastanę tam pana Teleomary, że naprawdę go zniszczyliśmy. - A co ty będziesz robić, Cris?

Wzrusza ramionami.

- Odnajdę naszych... powiem im, co się stało. - Posyła mi nieśmiały uśmiech. - Powiem im o tobie, Melanie. I o Jeremym. Myślę, że od tej chwili będziemy was trochę inaczej traktować. - I wyciąga do mnie dłoń. - Mogę kiedyś wpaść z wizytą?

- Jasne, że tak. - I spoglądam na tatę. - Eee... zostaniemy tu na nieco dłużej?

- Dlaczego nie? - Ale uśmiecha się jakoś tak smutno. - Chyba już nie musimy uciekać. To równie dobre miejsce do zamieszkania jak każde inne, a do tego masz tu przyjaciół.

Cris odwraca się i odchodzi, a ja zauważam, że nie zostawia za sobą śladów na mokrej od rosy trawie. Następnie znika w cieniach drzew. Jeremy już jest w domu. Zostaliśmy tu tylko we dwoje, a wschodzące słońce sprawia, że krople rosy zaczynają błyszczeć jak brylanty. I nagle dostrzegam, że na źdźbłach trawy i na gałązkach krzewów wiszą prawdziwe brylanty. Ale po chwili znów zamieniają się w rosę.

Tatusz spogląda na mnie i ma taką... cóż... nieśmiałą minę.

- Już dobrze - mówię mu. - Rozumiem. Bałeś się, że ktoś będzie na mnie polował. I tak było.

- Nie. - Obejmuje mnie ramieniem. - Chodzi o coś więcej. Byłem zły. Na jej świat. Bo mi ją... zabrał.

On też nie może tego wypowiedzieć... że mama nie żyje. Jak to nazywała mama Jeremy'ego?

- Ja też chyba bym się wściekła - mówię, ale on tylko kręci głową.

- To jest też twój świat. Ta jabłoń, która was uratowała... jabłoń jest twoim drzewem urodzinowym.

Moim też? I teraz przypominam sobie, jak stara jabłoń pomogła mi przejść przez mur, kiedy znalazłam Crisa.

- Myślę, że odkryjesz, że bardziej należysz do świata swojej mamy, niż sądzisz. - Tato wzdycha. - Może Cris ci pomoże.

W domach zapalają się światła, ludzie wypuszczają psy na podwórka i jakiś chłopiec pedałuje na rowerze po ulicy, rzucając gazety na przydomowe trawniki z torby zawieszanej na kierownicy. Znam go. Jest w tej drugiej szóstej klasie i miesiąc temu włożył sobie zieloną fasolkę do nosa na stołówce. Mówi na jasnorożowo.

- Może zdołam żyć pomiędzy - mówię.

Wypróbuję swoje słowa, ale brzmią jak zwykle. Jak słowa mieszkańca. Może to dobrze. Milknę, bo w cieniu drzew dostrzegam jednego z Płochliwych. Zauważa, że na niego patrzę, i macha mi bladą dłonią. Jejku.

- Czy to ci przeszkadza? - pyta mnie tata. - Że jesteś... między światami?

- Nie - mówię to po raz pierwszy, dla niego, ale potem zastanawiam się nad tym. Naprawdę mi to nie przeszkadza. Cris wydaje się być taki... no... samotny. Dlaczego Pierworodni od początku nie skrzyknęli się przeciwko Zoroanowi? Dlaczego nikt mu nie pomógł ani go nie szukał, kiedy Zoroan go uwięził? Przypomina mi się to, co zrobił Jeremy, i myślę sobie, że lubię nasz świat. Ale jednorożce były fajowskie. Uśmiecham się do taty. - To dobrze, że jestem częścią obydwu. - I tak jest naprawdę.

- Twoja mama byłaby... - Odchrząknął. - Twoja mama byłaby z ciebie bardzo dumna. - Rozgląda się wokół. - Lepiej chodźmy do domu, jeśli naprawdę chcesz iść dzisiaj do szkoły. Jak tu zostaniemy, to aresztują nas za przebywanie na cudzym podwórku.

Wybuchamy obydwójce śmiechem, tato mnie obejmuje i idziemy ścieżką przez las do wynajętej nory, w której mieszkamy. Możemy zostać. Ta myśl jest trochę jak... no, jak prezent urodzinowy. No wiecie, taki, którego się nie chce odwinąć z papieru, bo wie się, co jest w środku, ale będzie tak wspinały, że nie ma się ochoty niczego przyspieszać i chce się to uczucie zatrzymać na dłużej.

Tato wciąż mnie obejmuje i to też jest bardzo przyjemne uczucie.

Kiedy docieramy do domu, dostrzegam jednoroźca. Nie za blisko, tylko jak sobie sunie przez las niczym błądy jeleni z jednym rogiem. Jejku. Jakby to powiedział Jeremy. Może Zoroan wraz ze swoją śmiercią uwolnił całą moc Pierworodnych. A może to za moją sprawą, ale wcześniej nie chciałam tego przyjąć. Widzę nasz dom w cieniu i wysoki krzak jeżyn, który jakby się na nim płoczył.

Tato zostawił włączone światło.

- Nie zostawiłem światła w domu - mówi tato.

Obydwójce zatrzymujemy się pod gałęziami krzewu. Tato wstrzymuje oddech i jest tak przerażony jak ja. Drzwi się otwierają. Wychodzi z nich kobieta. Z czarnymi włosami, jak u mnie, których gęste loki okalają jej twarz. Ma na sobie białą suknię. Jest niższa, niż to zapamiętałam. No, może dlatego, że teraz ja jestem wyższa. Jestem do niej podobna. Wywołuje to u mnie wstrząs. Tego nie wiedziałam.

Tato puszcza mnie i rzuca się do przodu przez paprocie. Ona otwiera ramiona ku niemu i widzę brylanty, które są pewnie łzami w jej oczach. A może to brylanty? Wygląda tak, jak ją zapamiętałam.

Och, Cris, myślę sobie. Mam nadzieję, że też tego doświadczasz. I nagle przestaję się zastanawiać.

- Mamo! - krzyczę z całych sił i rzuca się za tatą.

NIESKAZITELNY RUBIN

KAGE BAKER

*Jedna z najpłodniejszych autorek, które pojawiły się pod koniec lat dziewięćdziesiątych, Kage Baker zadebiutowała w 1997 roku w magazynie „Asimov's Science Fiction” i od tego momentu stała się jedną z najczęściej pojawiających się w nim pisarek za sprawą fascynujących, zgrabnych opowiadań o dolach i niedolach podróżujących w czasie agentów Company; później rozpoczęła jeszcze dwie inne serie opowieści, z których jedna została osadzona w bujnym i ekscentrycznym środowisku high fantasy. Jej opowiadania pojawiły się również w „Realms of Fantasy”, „Sci Fiction”, „Amazing” i innych czasopismach. Pierwsza powieść o Company, *In the Garden of Eden*, została opublikowana także w 1997 roku i momentalnie stała się jedną z najbardziej uznanych i szeroko recenzowanych debiutów roku. W ślad za nią pojawiły się kolejne powieści z cyklu „The Company”, takie jak *Sky Coyote*, *Mendoza in Hollywood*, *The Graveyard Game*, *The Life of the World to Come*, a także nowela *The Empress of Mars* i jej pierwsza powieść fantasy *The Anvil of the World*. Jej liczne opowiadania zostały zebrane w zbiorach *Black Projects*, *White Knights*, *Mother Aegypt and Other Stories*, *Dark Mondays* oraz zbiorze opowiadań o Company, *The Children of the Company*. Najnowsze powieści o Company noszą tytuły *The Machine s Child* i *The Sons of Heaven*. Ponadto Baker jest artystką, aktorką, reżyserką w *Living History Center* i naucza elżbietańskiego angielskiego. Mieszka w Pismo Beach w stanie Kalifornia.*

Kiedy najczystsze Zło i najczystsze Dobro łączą się węzłem małżeńskim, nie można się spodziewać, że będzie to spokojny związek - ale czasami może zaowocować niespodziewanymi konsekwencjami, które zaskoczą obie strony.

Dziewczynka zaskoczyła wszystkich.

Po pierwsze, nikt w nowym świecie poniżej nie spodziewał się, że jej rodzice będą mieli jeszcze dzieci. Ich małżeństwo wywołało niezły skandal, głęboki wstrząs filozoficznych przeciwności, gdyż jej ojcem był Pan Góry, rabuś i czarownik, który zaniósł Świętą Świata do swej niedostępnej fortecy. Robi się wystarczająco paskudnie, gdy bogini, która ma moc uzdrawiania i wskrzeszania umarłych, wiąże się z zapięktym mrocznym panem (w czarnej zbroi, z armią potworów i innymi atrybutami). Ale cóż mają myśleć szacowni obywatele, kiedy taka para zamieszkuje razem i najwyraźniej ma zamiar założyć rodzinę?

Yendri w swoich osadach w kniei aż zawyli, kiedy okazało się, że pierwszy na świat przyszedł chłopiec. Nawet w kołysce jego diabelskie skłonności były aż nadto widoczne. Był śliczny jak aniołek, jeśli pominąć krzykliwy charakter i fakt, że potrafił przekształcić się w gigantyczną larwę, małe wilczki czy kałuże bulgoczącego śluzu.

Yendri w swoich wioskach i Dzieci Słońca w kamiennych miastach radowali się wspólnie, kiedy dowiedzieli się o drugim chłopcu. Również był śliczny, ale najwyraźniej miał dobry charakter. Od czasu do czasu na jego czole jaśniała gwiazda. Ludzie mówili, że wyleczył ból zęba piastunki jednym dotknięciem i nie płakał jak inne dzieci podczas ząbkowania.

Szamani Yendri i kapłani świętyń Dzieci Słońca kiwali głowami i mówili:

- Cóż, przynajmniej teraz uzyskaliśmy równowagę. Dwaj chłop będą dorastać, później będą konkurować, aż w końcu stoczą wali na śmierć i życie, bo tak to się zwykle dzieje. Zawyrokowawszy niniejsze, zaczęli spokojnie wyczekiwać tej starcia, ale można sobie wyobrazić wstrząs, jakiego doznali, kiedy Święta Świata powiła trzecie dziecko! I do tego dziewczynkę. Je domek z kart runęły wszystkie kalkulacje i bardzo ich to zdenerwowało.

Pan i jego Pani również byli zaskoczeni, ponieważ ich maleństw wyskoczyło na ten świat brzydkie jak mały kartofelek, w odróżnieniu od elfickiej urody swych braci. W końcu uradzili, że ma śliczne oczka, ciemne po ojcu, oraz że posiada uroczy, zgodny charakter i dali jej na imię Svnae.

I tak Pan Góry zawinął ją w purpurowy jedwab i na wysokim tarasie zamku pokazał swoim oddziałom, którzy taktownie zaryczeli, zakrzyknęli i zawyli. Tego wieczoru w koszarach i w salach dla służby skupieni wokół beczek z czarnym jak smoła winem poddani świętowali i podczas tych uroczystości doszli do wspólnego wniosku, że księżniczka nie byłaby taka brzydka, gdyby twarz urosła jej proporcjonalnie do noska i gdyby nie była taka łysa.

I w końcu ich konkluzje okazały się prawdziwe, gdyż rok później Svnae stała się uroczym dzieckiem.

*

Rankiem w piąte urodziny Svnae Pan wkroczył do komnaty i chwycił córkę. Zabrał ją na obchód flanków, pod którymi rozpościerał się cały świat. Wartownicy z kłami i zębiskami, wielcy i straszni w swych zbrojach, wyprężyli się na bacność i oddawali mu honory. Uroczyste wyczarował z niczego dużą, czerwoną różę i dał j Svnae.

- Dzisiaj - powiedział - moja Ciemnooka kończy pięć lat. Córeczko, co chciałabyś najbardziej dostać?

Svnae podniosła na niego swe błyszczące oczęta. Bardzo wyraźnie odparła:

- Moc.

Spojrzał na nią zadziwiony, ale ona spokojnie wpatrywała się w niego, ściskając czerwoną różę. Ukląkł przy niej.

- A wiesz ty, czym jest Moc? - zapytał.

- Tak - odparła. - Moc polega na tym, że stoi się tu na górze i zbiera się wszystkie chmury z nieba, a potem wywołuje się błyskawice i ogłuszające gromy. Tego właśnie bym chciała.

- Mogę to dla ciebie wyczarować - powiedział, po czym machnął prawicą w rękawicy, stwarzając trzy drobne wcielenia żywiołów ognia w szkarłatnych, błękitnych i żółtych strojach, które zapląsały czarownie przed Svnae, po czym znikły w obłoczku dymu.

- Dziękuję, tatusiu - powiedziała - ale nie. Chciałabym sama umieć to zrobić.

Wolno pokiwał głową.

- Moc masz od urodzenia, jesteś moim dzieckiem. Ale musisz nauczyć się jej używać, a to nie jest ani proste, ani łatwe. Czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

- Tak - odparła bez wahania.

- Nie chcesz żadnych czarodziejskich zabawek? Żadnych pięknych strojów? Łakoci?

- Jak poznam Moc, to i tak będę mogła sobie te rzeczy sama zrobić - zauważyła Svnae. Zadowolona Pana tą odpowiedź.

- Tedy nauczysz się używać Mocy - postanowił. - Co chciałabyś robić najpierw?

- Chcę nauczyć się latać - odparła. - Ale nie tak jak mój brat Eyrdway. On się zamienia w ptaki. Chcę pozostać sobą i latać.

- Patrz na me dłonie - powiedział ojciec.

W prawej dłoni miał kamień, w lewej skrawek papieru. Wystawił je za balustradę i puścił. Kamień spadł, a papier leniwie poleciał w dół.

- A teraz powiedz - zaczął. - Dlaczego kamień spadł, a papier poszybował?

- Bo kamień jest ciężki, a papier nie - odparła.

- Niby tak, ale nie tak. Spójrz.

I wyczarował jajko. Wystawił je na dłoni i skorupka pękła. Wypełzło z niej malutkie stworzenie i leżało tak, drżąc, przez chwilę. Pokrywał je biały puch na podobieństwo dmuchawca. Po chwili podniosło się i ruszyło kikotkami skrzydeł. Puch zmienił się w lśniące pióra, a młody ptak zatrzepotał swymi wielkimi już skrzydłami i odleciał radośnie w dal.

- A teraz powiedz - odezwał się Pan - czy to była magia?

- Nie - odparła Svnae. - Tak to już z ptakami jest.

- Niby tak, ale nie tak. Patrz.

I wyjął kolejny kamień. Uniósł go do góry i wypowiedział Słowo Mocy - z kamienia wystrzeliły jasne skrzydła i, nie do wiary, odleciał śladem ptaka.

- Jak to sprawiłeś? - wykrzyknęła Svnae.

Ojciec uśmiechnął się do niej.

- Za sprawą Mocy, ale sama Moc nie wystarczy. Mogłem zmienić kamień, bo wiem, że ptak i kamień, a nawet skrawek papieru, to jedno i to samo.

- Ale przecież tak nie jest - zdziwiła się Svnae.

- Naprawdę? - zapytał ojciec. - Kiedy zrozumiesz, że ptak i kamień to jedno, następnym krokiem jest przekonanie kamienia, że jest taki sam jak ptak. I wtedy kamień poleci.

Svnae zagryzła wargę.

- To trudne, prawda? - zapytała.

- Bardzo - odparł Pan Góry. - Pewna jesteś, że nie wolałabyś dostać farbek do malowania?

- Pewna - powiedziała Svnae z uporem w głosie. - Ja to zrozumieję.

- W takim razie dam ci do studiowania moje księgi - obiecał.

Podniósł ją i zawinął ściśle w swoją ciemną pelerynę. Zaniósł ją do alkierza matki, Świętej Świata.

Kiedy Pani zgodziła się poślubić przerażającego Pana, uzyskała od niego pozwolenie na założenie ogrodu na bazaltowym szczycie góry, w miejscu oświetlanym słońcem. Dziesięć lat po ich ślubie jej ogrody zmieniły się w kobierzec białych kwiatów, a jej odziane w białe szaty uczennice doglądały tu poletek ziół. Skłoniły się dwornie, kiedy Svnae podbiegła do matki, która objęła swoją córkę i dała jej białą różę. A Svnae oświadczyła z dumą:

- Mamo, będę zgłębiać tajniki Mocy!

Pani spojrzała pytająco na Pana.

- Skoro tego pragnie - odparł z równą dumą w głosie. - A skoro ma talent, to czemu nie miałyby się uczyć?

- Ale sama Moc nie jest początkiem i końcem, moje dziecko - powiedziała Pani do córki. - W jakim celu będziesz jej używać? Czy będziesz pomagać innym?

- Taaak - odparła Svnae, wbijając wzrok w ziemię. - Ale najpierw muszę się jej nauczyć.

- Nie chcesz być uzdrowicielką, tak jak ja?

- Kiedy posiadę Moc, będę mogła leczyć ludzi - odparła Svnae pewnym głosem.

Jej matka spojrzała nieco smutno w jej ciemne oczy, lecz nie dostrzegła w nich cienia. Tedy pobłogosławiła ją i pozwoliła się jej bawić.

*

Pan Góry dotrzymał obietnicy i dał córce księgi, by mogła poznać Trzy Zagadki Lotu. Najpierw jednak musiała się nauczyć czytać i z żarliwym zaangażowaniem rzuciła się w wir nauki liter, po czym zabrała się za pierwszy tekst Arkanów.

Uczyła się tak pilnie, że na szóste urodziny rozwikłała wszystkie trzy zagadki i mogła już sprawić, że z jej ramion wystrzeliwały motyle skrzydła, czerwone jak róża. Nie latała, a jedynie trzepotała nimi, unosząc się lekko nad ziemią jak mały ptaszek, ale miała dopiero sześć lat. Pewnego dnia wzniesie się w powietrze.

Następnie chciała poznać Mowę Zwierząt. Następnie jak prze-suwać przedmioty, nie dotykając ich. Następnie zapragnęła poznać nazwy wszystkich gwiazd na niebie i to nie tylko mianem, jakim oznaczają je ludzie, ale tak jak one same na siebie mówią. Jedno prowadziło do drugiego i dziewczynka bez końca wynajdywała sobie kolejne intrygujące zagadnienia, nowe dziedziny sztuki i nauki, które chciała poznać. Całymi dniami przesiadywała w bibliotece ojca, zanosila książki do swej komnaty i czytała je do późna.

W ten sposób nauczyła się wlatywać wysoko pod niebo na swych różanych skrzydełkach, żeby zapytać orła, co jadł na śniadanie, potrafiła też zbierać własną dłonią perły z morskiego dna.

I tak płynęły lata, Pan Góry trwał w swej twierdzy, a Święta Świata rodziła kolejnych potomków ku zgryzocie kapłanów i filozofów zatopionych w niekończących się debatach nad tym, które z dzieci należy do Dobra, a które do Zła.

Sama Święta w skrytości ducha uważała, że wszystkie są z gruntu dobre. Pan Góry uważał w skrytości ducha, choć również wobec innych, że kapłani i filozofowie to banda idiotów.

Svnae rosła, odznaczając się dumną mroczną urodą, odziedziczoną po ojcu. Ale w jej oczach nie było widać ciemnych błyskawic, tak jak u niego. Jej oczy nie były też kryształowe i przejrzyste jak u matki, lecz rozpalone żądzą wiedzy i poznania wszystkiego.

I rosła dalej, aż w końcu przerosła własną matkę i do tego swego brata Eyrdwaya. Był tym nieco poirytowany i zaczął nazywać ją Olbrzymką, aż walnęła go tak mocno, że wybiła mu zęba. On po prostu wrócił do swojej postaci sprzed uderzenia, ale od tej chwili przestał jej dokuczać.

Możecie przypuszczać, że wielu młodych gwardzistów wodziło oczami za Svnae, oddawało jej ochoczo honory, kiedy ich mijala i cierpiało pod jej oknami nocą. Macie rację. Ale ona tego nie zauważała - była zbyt zatopiona w badaniach, żeby usłyszeć wyśpiewywane pod jej oknami serenady. Nie szły one jednak na marne, bo jej młodsze siostry słyszały je aż nadto wyraźnie i zauważały, kiedy ktoś strzelał siarczyście obcasami na ich widok.

Nie znaczyło to, że Svnae nie odczuwała swej kobiecości. Kiedy była już wystarczająco duża, sama zaczęła wybierać sobie stroje i biżuterię. Jej matka obdarowywała ją delikatnymi jak pajęczyna sukniami w żywych barwach lawendy, morskiej mgły i błękitu ptasich jajek oraz srebrną biżuterią mistrzowskiej roboty, w których białe brylanty lśniły na podobieństwo gwiazd.

Niestety, chociaż Święta Świata wielokrotnie mówiła jej, jak biała oprawa podkreśla jej ciemną karnację, Svnae gustowała w karmazynach i fioletach podbijanych złotem. I chociaż była wdzięczna matce za misterne srebrne bransolety, które posłusznie zakładała na rodzinne uroczystości, to wołała masywną złotą biżuterię ze szmaragdami i rubinami. Im strojniesz, tym lepsze, choć jej matka taktownie starała się dać jej do zrozumienia, że zakładanie naręcznic w kształcie węża z topazowymi ślepiami oraz turkusowego naszyjnika w kształcie pawia z jadem i lapis lazuli nie jest oznaką najlepszego gustu.

I chociaż Svnae była zachłanną czytelniczką i doskonaliła sztukę Transmutacji Metali, Przepowiadania Przyszłości za Pomocą Kostek i Wywoływania Rzek za Pomocą Ich Tajemnych

Nazw, nie uczyła się tkąć ani szyć, nie poznała też leczniczych właściwości ziół. Jej matka czekała cierpliwie, aż Svnae zacznie się tym interesować, ale w przedziwny sposób ta wiedza nigdy nie wywoływała znanego błysku w jej oku.

Pewnego popołudnia Pan Góry podniósł wzrok znad wielkiego czarnego stołu, przy którym pracował, kiedy usłyszał, jak straż zapowiadają przybycie jego najstarszej córki. Chwilę później wkroczyła do komnaty, wystrojona w szaty o barwie szkarłatu i pawiego granatu, w cynobrowych pantoflach z zakręcanymi czubami.

- Córko - powitał ją, wstając z miejsca.

- Tatusiu. - Oddała mu pokłon. - Właśnie czytałam Siódmy Zwój Granatu, mówiący o destylacji fioletołów, które można wykorzystać do przywołania smoków. Możesz mi pokazać, jak mam to zrobić?

- Nigdy nie destylowałem, moje dziecko - odparł Pan Góry. - To bardziej dziedzina twojej matki. Z pewnością ochoczo cię poinstruuje. Może ją o to poprosisz?

- Och! - wykrzyknęła Svnae, zaczerwieniła się, zagryzła wargę i wbiła wzrok w ziemię. - Jak sądzę, jest zajęta jakimś seminarium ze swymi uczniami. Techniki Medytacyjne, czy coś takiego.

I chociaż Pan Góry nie miał nigdy pożytków z uczniów swej żony, odparł surowo:

- Dziecko, wiesz przecież, że twoja matka nigdy nie przedkładała swych uczniów nad swe dzieci.

- Nie chodzi o to - odparła Svnae, nieco posmutniała, kręcąc w palcach lok swych kruczoczarnych włosów. - Zupełnie nie o to. Chodzi o to, że... cóż... pokłócimy się o to. Przede wszystkim będzie chciała wiedzieć, do czego jest mi to potrzebne, poza tym nie pogodzi się z tym, że będę chciała nałapać smoków, i da mi to do zrozumienia, nie mówiąc ani słowa, po prostu będzie tak na mnie wymownie patrzeć...

- Wiem - odparł jej przerażający ojciec.

- Jakby to była całkowita strata czasu, skoro naprawdę powinnam poznać jej wszystkie zaklęcia przeciwko gorączkom, co jest oczywiście bardzo przydatne, ale ja mam jeszcze kilka innych zagadnień do poznania i pod żadnym względem nie jestem moją matką, jestem sobą i ona musi to zrozumieć!

- Z pewnością to rozumie, moje dziecko.

- Tak. - Svnae odrzuciła głowę do tyłu. - No tak. Dobrze. I tu muszę cię o coś prosić. Sądzę, że powinnam pogłębić swoją edukację.

- Ale... - zaczął Pan Góry.

- Zawsze chciałam, i właśnie dowiedziałam się, że jest taka szkoła w mieście, które nazywa się Konen Feyy wśród Drzew, gdzie każdy może poznać tajniki destylacji. Muszę wiedzieć wszystko na ten temat!

- Hmm. Ale... - znów zaczął Pan Góry.

Miała swoje sposoby. Nie był to upór, tupanie ze złości, ale swoje sposoby miała. Nim upłynął tydzień, wzięła toból, łuk i kołczan, po czym wspięła się na balustradę tarasu, wyciągnęła czerwone skrzydełka, które teraz sięgały od kostek do ponad metra nad czarną

czupryną. Rozciągnęła je i wzbiła się w powietrze. I poleciała jak królowa przestworzy, by badać świat.

Ojciec i matka odprowadzali ją wzrokiem.

- Myślisz, że nic się jej nie stanie? - zapytała Święta Świata.

- Mam więcej niż pewność - odparł Pan Góry, spoglądając na odległy stok góry i parę ogrów-strażników, którzy sunęli między drzewami na podobieństwo chartów w zbrojach, wkładając wiele wysiłku zarówno w dotrzymanie kroku panience, jak i w maskowanie swojej obecności.

Svnae odplynęła na wietrze i odkryła, że chociaż jej bogate dziedzictwo obdarowało ją wieloma zdolnościami, to wycucie kierunku do nich nie należało. Przez dłuższą chwilę miotła się w powietrzu, starając się dostrzec jakieś miasto w lesie, i w końcu zauważyła w oddali świątynię w zalesionej dolinie.

Po wylądowaniu zorientowała się, że świątynia od dawna stoi opustoszała i że strzeże jej wielki szary potwór. Zastrzeliła stwora z łuku i poszła zobaczyć, czego takiego strzegł. Na ołtarzu stała złota skrzynia, zabezpieczona przed intruzami ochronną magią. Ale знаła zaklęcia pozwalające jej na otwarcie okowów i w skrzyni natrafiła na księgę przedstawiającą historię rasy, która wzniosła świątynię. Wyniosła ją na zewnątrz i przez kilka kolejnych godzin czytała, siedząc na kamieniu w ruinach i podpierając brodę pięścią.

Z tekstu dowiedziała się o istnieniu kryształowego pierścienia, który zapewniał posiadaczowi zdolność zrozumienia Mowy Wody. Księga kierowała ją do fontanny znajdującej się o godzinę lotu na południe i na całe szczęście na posadzce świątyni rozpościerała się róża wiatrów, ułatwiająca orientację - poleciała więc na południe bez wahania w chwili, w której jej strażnicy, dysząc ciężko, dotarli w końcu do świątyni. Skomentowali jej odlot słowami, które były paskudne nawet dla ogrów.

Dokładnie po godzinnym locie na południe Svnae dostrzegła fontannę wznoszącą się na posadzce w szachownicy na zrujnowanym podwórku. Tam właśnie wylądowała i zbliżyła się ostrożnie do fontanny, w której czasie czaił się niezwyklej piękności wąż, posiadający najbardziej śmiertcionośny jad na świecie. Zastanawiała się, co zrobić z migotliwym gadem, który leniwie krążył w cembrowinie. Spojrzała na pierścień, kółko z czystego kryształu, trudny do zauważenia na szczycie strumienia fontanny, który znajdował się poza jej zasięgiem, nawet gdyby zdołała uniknąć kłów węża. Cofnęła się o kilka kroków, wyciągnęła strzałę z kołczanu, napięła cięciwę i wymierzyła. Brzdęk!

Jej strzała drżała jeszcze w pniu starego dębu trzydzieści kroków dalej, a na jej drzewcu wciąż obracał się pierścień. Pospiesznie podeszła do drzewa, nałożyła pierścień i momentalnie zrozumiała Mowę Wody.

Fontanna opowiedziała jej niezwykle interesującą historię. Szczegóły jej jednak znał tylko niewielki, błękitny człowieczek, który mieszkał na podejrzanym wzniesieniu daleko na zachód. I poleciała, by go odszukać...

Spotkało ją jeszcze kilka innych przygód i jedynie przypadkiem, wznosząc się któregoś poranka nad światem, zatopiona w konwersacji z pewnym bielikiem, dostrzegła miasto skryte głęboko wśród olbrzymich drzew. Bielik wyjaśnił jej, że to jest miasto Konen Feyy.

Podziękowała mu i obniżyła lot nad oddalonym od miasta zagajnikiem, w którym mogła się przystroić, nie wzbudzając niczyjej uwagi. Podążający za nią w sporym oddaleniu, zdyszani strażnicy padli pokotem na ziemię, składając dzięki każdemu, kto mógł ich tam słyszeć.

*

Dzieci Słońca mieszkali głównie w zbudowanych z kamienia miastach, spod których rzadko kiedy wychynęło źdźbło trawy nie większe niż doniczkowe geranium, bo jego mieszkańcy woleli kamienne ogrody pełne obelisków i posągów. Ale w każdej rasie są jednostki opierające się powszechnie przyjętym normom i tak samo też było w Konen Feyy. Tutaj kolonia artystów i rzemieślników założyła miasto w zielonej puszczy, nie stawiając wokół nawet krzepiącego muru obronnego. I właśnie dlatego na początku istnienia miasta większość z nich uśmierciły zatrute strzały i dzikie zwierzęta, lecz to jedynie wywołało jeszcze większą determinację do pozostania w tym miejscu.

Malowali pejzaże, lepili garnki z miejscowej gliny i pletli tkaniny, wykorzystując rosnące wokół rośliny - uświadomili sobie nawet, że jeśli będą dalej wycinać drzewa, by robić urocze wiejskie meble, to wkrótce zostanie wokół tylko łysa polana. Dla Dzieci Słońca, które tradycyjnie miały zadziwiająco mało szacunku dla środowiska naturalnego, odkrycie to stanowiło spory przełom.

I tak inne nacje z całego świata ciągnęły do Konen Feyy. Mieszkający w kniei Yendri, lud Świętej, otwierali sklepiki i zakłady, w których sprzedawali zioła i słodkowodne perły, kosze wiklinowe i produkty rolne. Pojawili się też inni - pojedyncze osoby, które prze-trwały zagładę swoich ras, tajemniczy przybysze szukający spokojnego miejsca na założenie sklepu. I tak właśnie powstała Nocna Szkoła.

Svnae wędrowała główną ulicą Konen Feyy i rozglądała się bacznie wokół, dlatego też znalazła to miejsce od razu. Choć wyglądało na zwykły sklep z pachnidłami, na ścianach i nad drzwiami widniały pewne znaki, dostrzegalne wyłącznie dla adeptów nauk tajemnych. Rozstrzelone, zielone litery układały się w regulamin i godziny otwarcia Szkoły, a także informację, w jaki sposób i gdzie można się do niej zapisać oraz gdzie można znaleźć miejsce w stacji wraz z innymi uczniami.

Pod tym względem miała szczęście, gdyż natrafiła na trzy inne córki magów, które zajmowały lokum nad zakładem wytwórcy lalek i nie miały tyle pieniędzy, by wystarczyło im na miesięczne opłaty, więc szukały czwartej współlokatorki, kogoś, kto mógłby stać się Ziemią wobec ich Powietrza, Ognia i Wody. Były to miłe dziewczyny, choć Svnae poczuła się nieco niezręcznie, kiedy okazało się, że góruje nad wszystkimi wzrostem, poza tym zirytował ją fakt, że wszystkie trzy obdarzają jej matkę nabożną czcią.

- Jesteś córką samej Świętej Świata? - wykrzyknęła Seela, której ojciec był Naczelnym Taumaturgiem miasta Górski Płomień. - No to co ty tutaj robisz? Ona jest najlepsza na świecie, jeśli chodzi o destylację i esencje. Każdy ci to powie! Wszystko bym dała, byle się tylko od niej czegoś nauczyć.

Przez kolejne cztery lata edukacji Svnae co chwila słyszała takie deklaracje, które różniły się od siebie tylko nieznacznie w formie. Nauczyła się to ignorować, ponieważ połowę jej uwagi przykuwały studia, drugą zaś poznawanie obcego świata, gdzie nie było strażników (przynajmniej takich, o których by wiedziała), a jej wzrost wyróżniał ją spośród wszystkich mieszkających tu panien.

Wspaniale się bawiła. Złożyła się ze współlokatorkami na kanapę do dziennej komnaty i we czwórkę wspólnie wciągnęły ją na piętro, chichocząc i drąc się wniebogłose, choć sama Svnae mogła ją wziąć pod pachę i bez wysiłku zanieść na górę. Jadała posiłki ze współlokatorkami w smażalni ryb na rogu, gdzie zawsze zajmowały miejsce w osobnej łoży, choć Svnae uważała, że jest tu zbyt tłoczno.

Słuchała ze współczuciem zwierzeń miłosnych najpierw jednej, potem drugiej współlokatorki, które poznały młodych wróżbitów i czarowników, i sprzątała po dzikich imprezach, a raz rozbiła na głowie glinianą wazę jednemu z tych zmiennokształtnych, który, miły i uprzejmy na trzeźwo, okazał się nieprzyjemnym gburem po kilku głębszych. Musiała go sobie zarzucić na ramię i znieść po schodach, a jej współlokatorki dziękowały jej przez łzy, przyznając zgodnie, że nie wiedziałyby, jak sobie bez niej poradzić.

Ale dziwnym trafem Svnae nie zakochała się w nikim.

Nie znaczyło to, że nikt nie zabiegał o jej względy. W Nocnej Szkole było kilku młodych galantów, którzy pobłyskując biżuterią i demonstrując dziwaczne obyczaje, szukali przygody z Svnae. Jednym z nich był żywiołak ognia z płonąca czupryną, drugim pan powietrza z olbrzymimi fioletowymi skrzydłami. Kolejnym pewien syren, pojawiający się zawsze w otoczeniu sług, którzy podążali za nim, niosąc perfumowaną wodę w nieprzeźroczystych flaszkiach, by zapobiec wysychaniu jego skóry.

Ale każdy z nich dawał jasno do zrozumienia, że pragnie ożenić się z Svnae, by scementować dynastyczne więzy z Panem Góry. A Svnae już dawno zawyrokowała, że miłość, prawdziwa miłość, jest jedynym powodem, dla którego można rzucić się na główkę w dole i niedole romansowania. Dlatego też bardzo grzecznie odprawiała wszystkich z kwitkiem, a młodzi panicze, dąsając się, znajdowali inne bogate panny, które mogli adorować.

Jej studia dobiegły końca. Współlokatorki pożegnały się po raz ostatni i rozeszły. Svnae wróciła do domu w orszaku pomocnych duchów, które niosły prezenty dla jej wszystkich małych kuzynek i kuzynków. Nie zagrzała tam długo miejsca, bo usłyszała o odległej wyspie, na której napisano olbrzymimi srebrnymi literami na ścianie klifu formułę na odwrócenie Czasu na niewielkich i dających się poskromić polach i zapragnęła się jej nauczyć...

*

- Svnae dobrze sobie radzi - stwierdził Pan Góry, udając się pewnego wieczoru na spoczynek. - Wolalbym co prawda, żeby posiedziała trochę dłużej w domu. Wydawało mi się, że w tym wieku już wyjdzie za mąż i trochę się ustakuje, jak chłopcy.

- Jest niespożyta - stwierdziła Święta Świata, rozczesując włosy.

- A niby czemu miała by być inna? Pierwszorzędna czarodziejka z dwoma dyplomami? Nazywają ją Nieskazitelny Rubin. Czegóż więcej mogłaby pragnąć?

- Ona tego jeszcze nie wie - powiedziała Święta Świata i zdmuchnęła płomień świecy.
- Ale się dowie, kiedy ją to spotka.

*

I Svnac wciąż wiodła życie pełne przygód.

Ale pewnego dnia, podążając za mglistą wskazówką zawartą w pewnej magicznej księdze, zapragnęła popatrzeć na sztorm miotający otwartym oceanem i wsłuchać się w gniewny trzask przewalającej się wody. Pod koniec roku wyleciała w ciemną noc nad wodę i kiedy spostrzegła niewielki statek miotający się na falach, odnalazła to, czego szukała.

Nigdy w dziejach świata nie było takiego sztormu. Biała piana rozbryzgiwała się w namokłym od wody powietrzu, białe skrzeczące mewy krążyły przerażone po czarnym niebie, a fale miały wielkość gór i wąwozów.

Svnac unosiła się bezpieczna w powietrzu w bańce własnej produkcji i spoglądała na to wszystko z zainteresowaniem. Nagle poniżej dostrzegła drobną sylwetkę, trzymającą się kurczowo kawałka drewna. Rów wodny zmienił się w ścianę, która wznosiła się bardzo wysoko w górę, aż mężczyzna spojrzął jej prosto w oczy. W zaskoczeniu puścił strzaskany maszt i poszedł w wodę jak kamień.

Krzyknęła i skierowała swoją bańkę w wodę. Szła w dół przez wodę ciemną jak szkło i chwyciła tonącego za rękę, po czym wynurzyła się i otoczyła go powietrzem, obejmując silnymi ramionami. Nie mogła ulecieć, bo sztorm zmoczyłby jej skrzydła, ale wezwała na pomoc morskie bestie, by wyniosły ich na najbliższy ląd.

Była to ledwo goła skała, której białe klify walczyły z nawałnicą fal. Za pomocą magii wzniosła na niej budowlę, która miała ich obronić przed żywiołem, i zabrała nieprzytomnego mężczyznę do środka. Tu ogień strzelał płomieniami, roztaczając zbawienne ciepło, a w sali znaleźli gorącą strawę i wino. Ułożyła go do snu w wygodnym łożu i samodzielnie doglądała.

Całymi dniami pielęgnowała go, aż poczuł się na tyle dobrze, by do niej przemówić. Wtedy już posiadał jej serce.

Nie był to mężczyzna przystojny jak magiczny panicz, ani też biegły w magii, ani zrodzony ze starożytnego rodu - był jedynie rzemieślnikiem, który wytwarzał zabawki w mieście Dzieci Słońca, nazywał się Kendach. Ale tak długo z niepokojem wpatrywała się w jego śpiącą twarz, że widziała ją nawet przy zamkniętych powiekach.

I naturalnie kiedy Kendach otworzył oczy, najpierw zobaczył jej twarz, a później się zakochał. Jakże mogło być inaczej?

Zapatrzeni w siebie tkwili w swoim gniazdku, aż dotarło do nich, że ich rodziny mogą się o nich martwić. Zabrała go więc do domu, by poznał jej rodziców („Wytwórca zabawek?" - zakrzyknęli zgodnym chórem bracia), a on zawiózł ją później do siebie, do swoich rodziców („Bardzo miła dziewczyna, nieco za wysoka, ale miła" - stwierdził niczego niepodejrzewający ojciec. Postanowili nie oświecać go co do teściów).

Pobrali się podczas skromnej ceremonii w Konen Feyy.

- Mam nadzieję, że jej bracia nie przysporzą mu kłopotów - powiedział z obawą ojciec Kendacha w izbie w gospodzie. - Widziałas, jak obrzucali go wzrokiem? Szczególnie ten przystojniak. To spojrzenie zmroziło mi krew w żyłach.

- Oczywiście odziedziczyła wzrost po ojcu - stwierdziła matka Kendacha, nalewając mężowi herbaty. - Bardzo stateczny człowiek interesu, jak rozumiem. Prowadzi chyba firmę asekuracyjną. Ciekawe, czemu jej matka nosi ten welon?

Kendach otworzył sklep z zabawkami w Konen Feyy, gdzie wyrabiał latawce o kształcie owadów, okrętów i meteorów. Svnae wzniosła skromny pałac wśród drzew, gdzie cieszyli się swą bliskością. Dla Svnae życie się spełniło i niczego więcej już nie pragnęła.

I wtedy...

Pewnego dnia przebudziła się, a na obliczu słońca pojawiła się szara plama. Zamrugała i przetarła oczy. Nie chciała zniknąć. Pojawiła się na lustrze porannej herbaty. Osiadła na kartach ksiąg, które starała się czytać, i pojawiła się na twarzy jej ukochanego jak ślad kurzu. Nie była się jej w stanie pozbyć ani też nie wiedziała, skąd się wzięła.

Svnae podjęła pewne kroki, by się tego dowiedzieć. Poszła do swej pracowni i przyniosła wielką, czarną kryształową kulę, która błyskała i pławiła się w krwistych płomieniach. Poszła w ustronne miejsce i pocierała kulę, aż ta zajaśniała strzelającymi elektrycznymi ognikami. W końcu z głębi kuli na powierzchnię wypłynęły słowa:

TWOJA MATKA CIĘ NIE ROZUMIE.

Falowały na powierzchni kuli, pulsując łagodnym blaskiem. Wpatrywała się w te litery, ale nie chciały się zmienić.

Wyciągnęła więc ze skrzyni płaszcz wykonany z pawich piór i zaprzęгла grupę gryfów do podniebego rydwanu (który bywa bardzo użyteczny, gdy twój ukochany nie potrafi niczym latać i tylko puszcza latawce) i poleciała do matki z wizytą.

Święta Świata siedziała samotnie w ogrodzie przy odbijającym światło oczku wodnym. Miała na sobie prostą białą szatę. Na powierzchni wody jaśniały białe lilie, gdzieś w oddali zaśpiewał ptak. Medytowała, a w kryształowych oczach widać było jasność.

Na tafli wodnej przemknął jakiś barwny cień. Podniosła wzrok i spostrzegła, że jej najstarsza córka ląduje z nieba. Ciągnięty przez gryfy rydwan z łoskotem opadł na pobliskie lądowisko, po czym, zeskoczyła z niego Svnae, ciągnąc za sobą strojny płaszcz. Podeszła prosto do matki i przyklękła.

- Matko, muszę z tobą porozmawiać - zaczęła. - Czy to prawda, że mnie nie rozumiesz?

Święta Świata zastanowiła się przez chwilę.

- Tak, to prawda - powiedziała w końcu. - Nie rozumiem cię. Przykro mi, moja najdroższa. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Czy zawiodłam cię, mammo? - zapytała Svnae z bólem w głosie.

Pani bardzo uważnie zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Nie - odparła w końcu. - Miło by mi było, gdyby moja córka interesowała się sztuką leczenia. Byłoby to naturalne, gdyby matka mogła przekazać tę wiedzę córce. Ale twój brat Demaledon był bardzo pojętnym uczniem, a mam jeszcze wielu innych. Dlaczego więc twoje życie miałyby być takie jak moje?

- Żadna z moich sióstr nie została uzdrowicielką - odparła nieco rozdrażniona Svnae.
- To prawda. Podążały własną drogą - ukochanych, mężów i dzieci, ogrodów i tańców.
- Jak wiesz, ja też mam męża - powiedziała Svnae.
- Moje dziecko, moja Ciemnooka, cieszę się twoim szczęściem. Czy to nie wystarczy?
- Ale ja bym chciała, żebyś rozumiała moje życie! - wykrzyknęła Svnae.
- A ty moje rozumiesz? - zapytała Święta Świata.
- Twoje życie? Oczywiście, że rozumiem!

Jej matka spojrzała na nią z cierpkim rozbawieniem.

- Urodziłam twemu ojcu czternaścioro dzieci. Patrzyłam, jak wyrusza, by dokonać straszliwych czynów, i opatrywałam mu rany, kiedy wracał do domu po ich dokonaniu. Prowadziłam dom wraz z tysiącem sług, z których większość to ogry. Prowadziłam też korespondencję z moimi biednymi uczniami, którzy wykonywali moją pracę pod moją nieobecność. Co ty możesz o tym wiedzieć?

Na to Svnae zamilkła.

- Zawsze goniłaś za skarbami, moja najdroższa, i wyważałaś każde drzwi, by zobaczyć, co się za nimi kryje - stwierdziła łagodnie Święta Świata. - Ale wciąż kilku w życiu nie otwarałaś. Możemy się kochać, ty i ja, ale w jaki sposób mamy siebie zrozumieć?

- Musi być jakiś sposób - rzekła Svnae.

- Teraz bardzo mi przypominasz ojca, bo jednocześnie śmieję się przy tobie i płaczę. Nie zaprzataj sobie tym głowy, moja Ciemnooka - jesteś silna, szczęśliwa i dobra, a ja się tym raduję.

Ale Svnae wróciła tego wieczoru do domu i wkroczyła do pokoju, w którym Kendach malował krzykliwe, misterne wzory na skrzydłach latawców. Usiadła na wprost niego i wbiła w niego spojrzenie.

- Chcę mieć dziecko - powiedziała.

Podniósł wzrok i zamrugął zdziwiony. I kiedy jej słowa dotarły do niego, uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

Chciała mieć dziecko? Jakżeby inaczej, skoro osiągnęła wszystko, czego zapragnęła?

Na świat przyszła mała dziewczynka. Była silna i zdrowa. Przypominała z wyglądu ojca i matkę, ale głównie była sobą i zaskoczyła wszystkich.

Jej ojciec również pochodził z wielodzietnej rodziny, więc nie było to dla niego nic nowego. Wiedział, jak się kąpie dziecko, i z wprawą eksperta potrafił włożyć niesforne rączki w rękawy.

Svnae, która dorastała w otoczeniu tuzina piastunek, okazała się zupełnie zielona w tych zagadnieniach. Była przerażona własną bezradnością i wstrząśnięta miłością, którą czuła. Upřednio nie przejawiała zbyt dużego zainteresowania niemowlętami, małymi kluskami w

kojcach, które doglądało się od czasu do czasu i obdarowywało srebrnymi kubeczkami z imionami i wygrawerowanymi zaklęciami na wszelką pomyślność.

Ale jej dziecko...! Mogła godzinami patrzeć, jak po prostu śpi, i zachwycać się ziewającą bezzębną buźką oraz z wolna zamykaną małą łapką.

Kiedy dziecko było na tyle duże, że mogło podróżować, zawinęli ją w szatę wyszywaną perłami na rąbku i wyruszyli do dziadków ze strony mamy, obładowani prezentami. Jej ukochany zaczął pokazywać kuzynom i kuzynkom zasady działania latawców. A Svnae z dumą zaniósła swoją córkę do Świętej Świata.

- Teraz zrobiłam coś, co rozumiesz - oznajmiła.

Święta Świata wzięła wnuczkę i ucałowała między oczy.

- Mam nadzieję, że nie był to jedyny powód jej przyścia na świat - powiedziała.

- No... nie, oczywiście, że nie - zaprotestowała Svnae, czerwieniąc się. - Chciałam się przekonać, na czym polega macierzyństwo.

- I jak myślisz, na czym ono polega, moje dziecko?

- Jest wspaniałe. Święte. Dzięki niej zmieniło się całe moje życie - odparła żarliwie Svnae.

- O, tak - powiedziała Święta Świata.

- No bo to jest przejaw czystego stworzenia. To jest Moc! Wydałam na świat nową istotę. Malutki umysł, który myśli! Nie mogę się doczekać, kiedy poznam, o czym myśli, co powie czy zrobi. Czymże jest wobec tego zwykła magia?

Dziecko zaczęło płakać i Pani wstała, by przespacerować się z nią po ogrodzie. Svnae szła za nią krok w krok, szukając właściwych słów.

- Jest mnóstwo rzeczy, których mogłabym ją nauczyć, dać jej, podzielić się nimi z nią. Jej pierwsze zaklęcia. Pierwszy lot. Pierwsza transformacja. Nauczę ją wszystkiego, co wiem. Mamy dom w Konen Feyy i będzie miała stamtąd blisko do Nocnej Szkoły! Nie będzie musiała nawet szukać stancji. Może uczyć się z moich starych podręczników...

Ale dziecko wciąż płakało, wyciągając w górę małe rączki.

- Ono już ma swoje pragnienia - stwierdziła Pani.

Zerwała biały kwiat i podała go dziecku, ale nie, dziewczynka wskazywała na coś innego. Svnae wyciągnęła kryształowy wisior lśniący Mocą i rzucający świetliste blaski, ale dziecko płakało dalej i wyciągało rączki. Podniosły wzrok i zobaczyły, jak jeden z latawców jej taty tańczył wesoło i fikał kozły na wietrze.

Dwie kobiety wpatrywały się w latawiec bez słowa. Popatrzyły na dziewczynkę. Spojrzały po sobie.

- Może powinnaś się na razie wstrzymać z tą Nocną Szkołą - stwierdziła Święta Świata.

I Svnae uświadomiła sobie ze zgrozą, że pewnego dnia być może będzie musiała prosić matkę o radę.

PTASIA OPowieść

EOIN COLFER

Irlandzki pisarz Eoin Colfer jest twórcą bestsellerowego cyklu „Artemis Fowl”, na który składają się: Artemis Fowl, Artemis Fowl. Arktyczna przygoda, Artemis Fowl. Kod wieczności, Artemis Fowl. Fortel wróżki, Artemis Fowl. Zaginiona kolonia i Artemis Fowl. Paradoks czasu. Jego inne książki to m.in. Lista życzeń, Nadnaturalista, Benny i Omar, Benny i Babe, The Legend of Spud Murphy, trzy książki dla dzieci do lat sześciu: Going Potty, Ed's Funny Feet i Ed's Bed, oraz przewodnik po własnej serii, Kartoteka Artemisa Fowla. Dorastał w Wexford w Irlandii, gdzie wciąż mieszka wraz z rodziną.

W swojej zabawnej opowieści pokazuje nam, że ci, którzy pragną zasłużyć na nagrodę, muszą uważać na to, co robią...

W średniowiecznej Europie na podróżników zawsze czekała miska stawy. Pod jednym warunkiem - musieli uraczyć gospodarzy ciekawą opowieścią. W tym przypadku pewien niezwykle podróżnik dołączył do kolejki na dworze Eryka, króla-chłopca.

*

W końcu przypadła moja kolej. I bardzo dobrze, bo padałem z głodu. Pomyślałem sobie, że wcisnę im moją zwykłą gadkę. Cokolwiek, byle dostać miskę gulaszu, a może jeszcze więcej.

- Ty tam - powiedział król-chłopiec, wskazując mieczem na rycerza za mną. - Mów swoją opowieść.

- Zaraz, chwileczkę - zaprotestowałem, sfruwając na stół. - Wydaje mi się, że teraz moja kolej.

Zgromadzenie było zdziwione tym, że ptak mówi, ale nie zareagowało tak jak zwykle. Przeważnie rozlega się głośnie: „Aaaaaaa! Czary!” I ludzie gotują demona w kurzym ciele. Ale tym razem zobaczyłem jedynie kilka brwi uniesionych ze zdziwienia. Zapewne po tych wszystkich dzisiejszych opowieściach publika przywykła do niesamowitości.

Nastroszyłem pióra.

- No to co? Moja kolej czy nie moja? Odmawiacie ptakowi słusznie należnej mu stawy?

Król-chłopiec się uśmiechnął.

- Proszę, kontynuujcie, panie Kurczaku.

- Nie jestem kurczakiem - odparłem nieco urażony. - Jestem gołębiem. To zupełnie inna sprawa. Kurczaki to brudasy, które tylko gdaczą bez ustanku i paskudzą wszędzie tam, gdzie łążą. My, gołębie, jesteśmy o wiele bardziej taktowne.

- Proszę przyjąć moje najpokorniejsze przeprosiny. Mówcie dalej, panie Gołębiu.

Skłoniłem się w podziękę. A teraz moja opowieść. Oczywiście, że nie moja. Musi to być coś, co jestem w stanie wyciągnąć z pamięci z dzieciństwa. Moją musieliby ze mnie siłą wyciągać.

- Kche, kchem. No tak. Moja opowieść. Pewnego razu żył sobie szlachetny rycerz, który po całym świecie szukał świętego Graala.

Szlachetny rycerz za moimi plecami uniósł palec w kolczej rękawicy.

- To ja i to moja opowieść - oświadczył.

Pospiesznie zmieniłem taktykę:

- Pewnego pogodnego letniego dzionka trzy małe świnki postanowiły wyprowadzić się od mamusi...

- Znam - skwitował król-chłopiec.

Znów zacząłem:

- Pewnego ranka samotny sierota dostał zaproszenie do szkoły czarodziejów.

Miecz chłopca machnął mi przed dziobem.

- Ptaku, wszyscy czekają. Mów swoją historię albo ze stawy nici.

Spróbowałem obrócić wszystko w żart:

- I tak istnieje tylko siedem prawdziwych opowieści. Cóż znaczy stara opowieść, jeśli jest dobrze opowiedziana?

- Tu i teraz istnieje tylko jedna historia, panie Gołębiu - odparł król-chłopiec, marszcząc brew. - Twoja historia. Zechcesz się nią z nami podzielić?

Skubnąłem beczelną pchtę w piórach.

- Cała sprawa jest nieco wstydliva. Nie należy do takich, które opowiada się w szacownym gronie.

Rycerz prychnął.

- Opowiada się? W szacownym gronie? Wygadanyś jak na kurczaka.

- Gołębia! - rzuciłem. - A tak, szacowne grono. Bom w końcu jest królewskiej krwi. Czy też byłem, dopóki się nie zmieniłem.

Rycerz trącił łokciem pustelnika za swoimi plecami.

- Tylko mi nie opowiadaj, że jesteś zaginionym księciem Husnivarrem.

Nie powiedziałem nic, tylko skromnie zazgrzytałem dziobem.

Rycerz zabębnił palcami w opancerzone przedramię.

- Zatem mówisz, kurczaczku, że jesteś księciem Husnivarrem? Dziedzicem królestwa Mont Varr, że o górze złota nie wspomnę? Ale każdy wie, że urwis Husnivarr został zamieniony w świniaka.

- To wierutne kłamstwo - zagruchałem. - No, może byłem nieco niesforny, ale nigdy nie byłem świnią. Nigdy. Była pewna świnia w pobliżu, kiedy zaszła moja przemiana, i to stało się zarzewiem podłych plotek, tylko tyle.

- Jak tam sobie chcesz, prosiaczk - skwitował rycerz, puszczając oko do zgromadzenia.

Naprawdę zacząłem żywić wielką niechęć do tego człowieka.

- Mów, książę - ponaglił mnie król-chłopiec, kładąc kres powszechnym rechotom. - Tym razem opowiedz własną historię.

Nadszedł czas na moją opowieść. Albo ona, albo pusty dziób.

- To prawda - zacząłem smutnym głosem. - Jestem księciem Husnivarrem czy raczej nim byłem. Ten biedny, sponiewierany ptak, którego widzicie przed sobą, był niegdyś dziedzicem jednego z najbogatszych królestw na świecie. Wiodłem uprzywilejowane życie na królewskim dworze. Moje obowiązki były lekkie, a przywilejów miałem całe mnóstwo. Wyrósłem na nadąsanego i zepsutego młodzieńca. Mój ojciec, szlachetny król, postanowił, że wykonanie pewnego dobrego i sprawdzonego zadania wyprostuje trochę mój charakter. Pewnego dnia wezwał mnie do sali tronowej i posadził obok siebie.

- Pewnego dnia ty zasiądziesz na tronie, Husni - powiedział. - A ja nie sądzę, że dorosteś do tego stolca. Obserwuję cię od jakiegoś czasu i widzę, że nie masz w sobie poszanowania dla bliźniego ani dla innego stworzenia. Zanim zostaniesz królem, musisz się tego szacunku nauczyć.

Na jego kolanach leżała złota taca, a na niej kawałek zwykłej szarej skały. Była mniej więcej wielkości króliczej głowy, poprzątkana białymi żyłkami.

- To jest Kamień Karmy - wyjaśnił ojciec. - Moi magowie przywieźli go z Persji. Musieliśmy wydłubać spory kawałek złotej góry, by za niego zapłacić.

- No tak, jest bardzo, no, ładny - powiedziałem, sięgając do kamienia.

- Nie tak szybko, Husnivarze - ostrzegł mnie król, łapiąc za nadgarstek. - Kamień Karmy przeprowadza ludzi, którzy go dotkną, przez ich cykl życiowy. Przyspiesza ich reinkarnację. Patrz.

Mój ojciec położył dłoń na kamieniu i od razu się zmienił. W gronostaja, potem w wilka, w wielką kudłatą bestię, której nawet nie znałem, i ponownie w siebie. W końcu jego dłoń puściła kamień.

- Jak widzisz, każdy dostaje to, na co zasłużył. W moim przypadku po trzech reinkarnacjach znów stałem się człowiekiem. Rozumiesz, to świadczy o sile charakteru. A kiedy umrę, ponownie stanę się gronostajem. Natomiast ty, Husni, jak podejrzewam, dopiero po tysiącu lat staniesz się znów człowiekiem. Czy chcesz się dowiedzieć, ile wcieleń jest ci przeznaczonych?

- Nie - odparłem.

- Nalegam - powiedział mój ojciec, kładąc moją dłoń na Kamień Karmy.

Moja przemiana odbyła się natychmiast. Świat stał się olbrzymi, a ja mały, i jedynie umysłowość ludzka powstrzymała mnie przed odleceniem. Zostałem komarem.

- Aach - jęknął żałośnie mój ogromny ojciec. - Jest gorzej, niż myślałem. Rozpoczniesz kolejne życie w ciele komara. Bardzo nisko w hierarchii reinkarnacyjnej.

Chęć wysiania jego krwi szybko mi przeszła, bo zmieniłem się w żuka gnojaka.

- Wciąż owad - zauważył ojciec. - Mam nadzieję, że wkrótce zmienisz się w ssaka, na pamięć twojej matki.

Moja skorupka pękła i zniknęła, po bokach wyrosło mi futro i stałem się szczurem. Widziałem wyraźnie swój nos i wystające z niego wąsy.

- Owszem, ssak - stwierdził ojciec - ale niezbyt szlachetne to zwierzę.

I wtedy rozpętało się piekło. Jakaś oszalała świnia, co najwyraźniej uciekła z kuchni, wpadła do komnaty, a za nią trójca uzbrojonych w tasaki rzeźników. Wrzawa, pisk i wrzaski. Ja byłem nieco zagubiony, bo właśnie zmieniałem się w gołębia i nie śledziłem bieżących wydarzeń.

Świniak natarł na tron mego ojca tak, że padł na posadzkę jak długi. Głową walną o wystające kamienie i wyzionął ducha. Mój kontakt z Kamieniem Karmy został brutalnie zerwany, zanim zdołały to pojąć moje ludzkie zmysły. Stałem się gołębiem z gołębiim rozumkiem i słownictwem. Świnia rzuciła się do ucieczki, rzeźnicy wymachiwali tasakami, a ja odfrunąłem. Chrum, aaaaa i gruchu!

Kierując się gołębiim instynktem, znalazłem otwarte okno. W kilka chwil byłem już daleko, miotany zachodnim wichrem. Przez dwa lata przemierzałem przestworza jako prosty gołąb, nieświadomy tego, co mi się przytrafiło. Aż pewnego lata założyłem sobie gniazdo w okapie chatki i znów usłyszałem ludzkie głosy. Te głosy poruszyły coś we mnie, obudziły wspomnienia i przywróciły zmysły.

Wiedziałem, że muszę wrócić do mej pogrążonej w żałobie rodziny i zapewnić ich, że syn oraz dziedzic żyje i ma się dobrze, choć jest nieco niedysponowany. Byłem pewien, że kiedy tylko usłyszą, co mi uczynił mój biedny rodziciel, powitają mnie z otwartymi skrzydłami, eee, ramionami. I taki obrałem sobie cel, a zatrzymałem się tutaj jedynie dla smacznej strawy.

Zakończyłem moją opowieść i zanurzyłem dziób w dzbanie z wodą. Moja opowieść była wielkim sukcesem. Sługa już napełniał miskę gulaszem.

Rycerz zdjął hełm.

- Fascynująca opowieść, kurczaku. Mówisz, żeś księżę Husnivarr?

- Niestety, jam ci on - odparłem. Smutny, acz pełen godności.

- Niestychane. Kamień Karmy, powiadasz? Kłapnąłem dziobem.

- Tak, tak. A juści, tak to się stało. Rycerz zdjął jedną rękawicę.

- A powiedz mi, kurczaku... znaczy, szlachetny księżę, o swoim słynnym rodzinnym znamieniu.

Znamieniu? Ja mam jakieś słynne znamię?

- A, tak. Naturalnie. Dziedzice wzgórze złota posiadają znamię o kształcie... znamienia. Szczegółów teraz nie jestem sobie w stanie przypomnieć. Nie wydobrałem jeszcze całkiem. Rycerz ściągnął puklerz.

- To pozwól, że odświeżę ci pamięć. Znamię ma kształt pawiego ogona. Jest podobne do tego.

Rycerz miał na boku znamię o kształcie pawiego ogona. Nerwowo załopotalem skrzydłami.

- A więc oznaczałoby to, że jesteś...

- Księciem Hunsivarrem - dokończył rycerz. - Byłem na zamorskiej kampanii. Gdzie ani widu, ani słyhu po kurczakach czy gołębiach.

- To bzdura - wybuchnąłem. - Jam jest Husnivarr, prawowity dziedzic tej...

- Góry złota - dokończył rycerz. - Raczej kreciego kopca, obawiam się. Och, kiedyś to była góra, ale zanim ją opodatkowano i przed wieloma latami wojen. Byłbym zaskoczony, gdyby w skarbcu został teraz choćby jeden suweren.

Poczułem, że zaraz padnę.

- Nie ma złota?

- Ani pensa.

- Ale jest jeszcze zamek - stwierdziłem, chwytając się brzytwy.

- No jest - zgodził się rycerz. - Wspaniały zamek z moimi portretami na ścianach.

- Ach... - Czułem, że wszyscy teraz na mnie patrzą. - Może nieco podkolorowałem moją opowieść...

Król-chtópiec ponownie wyciągnął miecz z pochwy.

- A więc nie jesteś magicznym gołębiem?

- Nie. Tak w ogóle to jestem papugą. Papugą albinosem.

- A gdzie się nauczyłeś mówić?

- Zawsze to umiałem. Ale rozumieć nauczyłem się w pracowni pewnego maga. Takiego gościa, co nazywał się Marvin, jak sądzę.

- Merlin? - zapytał chłopiec.

- Właśnie. Myślę, że wdychanie wyziewów z jego naparów namieszało mi nieco w moim papuzim łbie.

Rycerz przerwał chwilę napięcia. Wybuchnął tak głośnym śmiechem, że aż mu zbroja zagrzecotała, a słone łzy zebrały się na brodzie.

- Jak mi Bóg miły, przebiegła papuga. Teraz już wiem wszystko. Chcę ci podziękować, kurczaczku. Nie ubawiłem się tak od dziesięciu lat. Od kiedy mnie w świniaka przemienili.

Teraz wszyscy się śmiali i wyczułem, że może jednak posiłek nie przejdzie mi koło dzioba. Machnąłem skrzydłem w stronę parującego kociołka.

- Opowiedziałem historię, mogę dostać michę? Taką małą, całkiem malutką. Jem jak ptaszek.

Rycerz wyrwał miskę przechodzącemu słudze.

- Oczywiście, młody książę. Twoje łgarstwa są warte przynajmniej kilku kęsów gotowanego mięsiwa.

Zerknąłem w głąb miski. Zupa miała szary kolor i nie wyglądała apetycznie.

- A cóż to za mięsiwo? - zapytałem.

Książę Husnivarr mrugnął do mnie złośliwie.

- Kurczak - odparł.

PRZEŚLIZGUJĄC SIĘ BOKIEM PRZEZ WIECZNOŚĆ

JANE YOLEN

Miliony pobożnych Żydów co roku na święto Paschy zostawiają przy stole miejsce dla Eliasza - co by się stało, gdyby się naprawdę pojawił...

Jane Yolen, jedna z najwybitniejszych współczesnych fantastek, była porównywana do Oscara Wilde'a i Charles'a Perraulta oraz doczekała się miana „Hansa Chistiana Andersena dwudziestego wieku”. Głównie znana ze swych książek dla dzieci i młodzieży, Yolen wydała ponad 270 tytułów, na które składają się powieści, antologie opowiadań, zbiory poezji, książki ilustrowane, biografie oraz książka z esejami na temat folkloru i podań ludowych. Otrzymała World Fantasy Award, Golden Kite Award, Caldecott Medal, była finalistką National Book Award, a także zdobyła dwie nagrody Nebula za opowiadania Lost Girls i Sister Emilys Lightship. Jej utwory fantasy przeznaczone dla dorosłego czytelnika to opowiadania, które pojawiły się w takich antologiach jak Tales of Wonder, Merlin's Booke, Sister Emily's Lightship, Storyteller, Dragonfield and Other Stories i Once Upon a Time (She Said), oraz takie powieści jak Cards of Grief, Sister Light/Sister Dark, White Jenna, The One-Armed Queen i Briar Rose. Do jej antologii fantasy dla dzieci należą: Twelve Impossible Things, Here There Be Dragons, Here There Be Witches, Here There Be Angels, Here There Be Ghosts, Here There Be Unicorns, Dream Weaver i The Girl Who Cried Flowers. Powieści fantastyczne dla dzieci oscylują od pozycji z gatunku high fantasy, takich jak The Magic Tree of Solatia, trylogia o młodym Merlinie, Sword of the Rightful King, Wizard's Hall i Dragon's Boy, poprzez książki o podróżach w czasie, takie jak The Devil's Arithmetic, poprzez urban fantasy, na przykład cykl „Tartan Magic”: The Wizard's Map, The Pictish Child i The Bagpiper's Ghost, do science fiction fantasy, z którego to nurtu należy przede wszystkim wymienić trylogię „Pit Dragon”. Jej ostatnie książki to Pay the Piper i Troll Brigade, napisane z Adamem Stempleem, oraz The Year's Best Science Fiction and Fantasy for Teens, opracowana z Patrickiem Nielsenem Haydenem. Wraz z rodziną mieszka przez część roku w Massachusetts i część w Szkocji.

Shanna wolno otworzyła drzwi i wyrzała na zewnątrz. Tafla jeziora marszczyła się na wietrze, ale nikogo na nim nie było. Wzruszyła ramionami i wróciła do paschalnego stołu.

- Nikogo tam nie ma - stwierdziła.

Miała w końcu tylko pięć lat, czyli była młodsza o dziesięć lat ode mnie. Ona zadawała pytania i otwierała drzwi. Ja piłam rozwodnione wino. Był to nasz swoisty kompromis.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Eliasz tu jest, tylko nie można go zobaczyć - powiedziała Nonny.

Ale myliła się. Ja go widziałam.

Eliasz stał w drzwiach, wysoki, wymizerowany, jakby skrzyżowanie ofiary obozu koncentracyjnego i poety bitnika. Czytam dużo poezji. Później maluję wiersze, a słowa wyśpiewują swoje kolory na kartce papieru. Czasami myślę, że urodziłam się w niewłaściwym stuleciu. Tak naprawdę to wiem, że urodziłam się w niewłaściwym stuleciu.

Eliasz spostrzegł, że go widzę, i skinął głową. Miał czarne oczy, a jego gęsta, falista czarna broda przypominała sierść labradora. Kiedy się uśmiechnął, niemal przymknął oczy. Ostrożnie wysunął język z ust i oblizał nim górną wargę. Był różowy jak moje baletki. Ale ja już nie tańczę. Różowe baletki i Dziadek do orzechów. To dobre dla dzieci. Teraz interesuję się końmi. Ale na tle jego czarnej brody język wydawał się tak różowy, że aż zadrżałam. Nie wiem dlaczego.

Wskazałam mu krzesło. Tylko Eliasz to zauważył.

Pokręcił głową i usta ułożyły się w nieme: „Jeszcze nie”. A potem odwrócił się i wyszedł, prześlizgując się bokiem przez wieczność.

- Poszedł sobie - zakomunikowałam.

- Nie - zaprzeczyła Nonny, kręcąc głową z hełmem niebieskich włosów, które się nigdy nie wichrzyły. - Eliasz nigdy nie odchodzi. Zawsze tu jest.

Ale popatrzyła na mnie tak dziwnie, a jej czarne oczy jak guziczki zalśniły.

Upiłam kolejny łyk rozwodnionego wina.

*

Następny raz zobaczyłam Eliasza w szulu. Była to jedyna synagoga na wyspie, więc wszyscy Żydzi tam chodzili, pomimo że była to świątynia reformowana. Siedziałam przytulona do Shanny, bardziej łaknąc ciepła niż bliskości przyjaznej osoby. Shanna jest w porządku, kiedy jest spokojna i przylepna. Ale młodsze siostry potrafią zaleźć za skórę. Szczególnie te o dziesięć lat młodsze, bo są zawstydzające i stanowią znak, że rodzice - moi rodzice, na miłość boską - wciąż uprawiają seks.

Znajdowaliśmy się w połowie gładzenia rabina Shillera na temat jednej książki. Rzadko porusza tematy religijne. Moja mama to lubi. Myśli, że to ważne. - Dzięki temu mamy kontakt z wielkim światem - mawia. To znaczy z gojami. Mam już dość pisania recenzji książek na lekcjach, gdzie nazywamy je esejami, choć to tylko streszczenia na potrzeby ogólniaka, tyle że napuszone. Poza tym rabin mówi o Maus, o którym już napisałam pracę i

dostałam piątkę, a moje spostrzeżenia były celniejsze niż jego. Wtulałam się więc mocniej w Shannę i zamykam oczy.

Czy też raczej chcę zamknąć oczy.

A tam, na podwyższeniu, stoi Elias z palcem na ustach, z tymi samymi czarnymi oczami, tą samą falującą czarną brodą i tym samym różowym językiem. Nie jestem pewna, czy ucisza mnie czy rabin, ale kogoś najwyraźniej tak.

Prostuję się na siedzeniu, odpycham od siebie Shannę, rozglądam się wokół, sprawdzając, czy ktoś jeszcze go zauważył.

Ale kongregacja skupia uwagę na rabinie, który właśnie oświadczył, że w Maus: - ...komentarz powinien zakłócić płytki liniowy rozwój narracji, wprowadzić alternatywne interpretacje, kwestionować wszelką częściową konkluzję i powstrzymać potrzebę zamknięcia... - i od razu rozpoznaję, że to cytata z Friedlandera. Rabin badał sprawę przez internet. I nie wymienił cytowanego źródła, a powinien, o czym zawsze przypomina nam nasza nauczycielka od angielskiego, pani V. Louise. Wypruła mu za to flaki i zjadła na śniadanie.

Spoglądam ponownie na Eliasza, który kręci głową, jakby on również wiedział, że rabin to plagiator. Ale może kiedy wygłasza się kazania co piątek przez całe życie, to plagiat staje się niezbędnym środkiem retorycznym.

Żeby się upewnić, że nie jestem jedyna, która to widzi, rozglądam się po kolegach. Barry Goldblatt wyciąga kozy z nosa. Nic nowego. Marcia Damashek szepcze coś do swej mamy. Nawet są tak samo ubrane. Carol Tropp, nachylona do przodu, nie słucha, co mówi rabin, tylko klepie Gordona Berlinera po ramieniu. Ma do niego słabość, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Może i jest dowcipny - jak satyryk w kabarecie - ale jest niski i brzydko pachnie.

Wciąż się rozglądam. Każde z moich kolegów zajmuje się czymś zupełnie innym, niż powinno. Wychodzi na to, że nikt oprócz mnie nie widzi Eliasza. I tym razem nie mogę zwalić tego na karb rozwodnionego wina.

Najwyraźniej, myślę sobie, przechodzę jakieś załamanie psychiczne. Uczyliśmy się o załamaniach na lekcjach psychologii. Nie wyglądają najlepiej. I albo jest to właśnie takie załamanie, albo Elias, wytrawny podróżnik w czasie, szczywany mag wieczności, naprawdę stoi za rabinem i smarka w dość brudną chustkę barwy ściółki leśnej. Nie mógłby sobie zrobić małej przerwy w podróżach w czasie i pójść do pralni samoobsługowej? Mamy kilka w mieście, mogłabym mu je wskazać.

Kręcę głową, a Elias znów podnosi na mnie wzrok, mruga do mnie, wyslizguje się bokiem w jakiś strumień czasowy i już go nie ma. Nawet nie zawirował drobinami kurzu w słońcu na przedzie arki.

Wstaję, przepycham się przez moją siostrę i mamę i wychodzę z sali. Wiem, że myślę, że idę siku, ale nie to mi w głowie. Schodzę po schodach i czekam w sali gminy wyznaniowej, aż skończy się nabożeństwo. Drzwi do klasy dla studentów średnio zaawansowanych stoją otworem i wchodzę do środka. Włączam światło i oddycham z ulgą, bo czuję się tu bezpieczna. Wiele lat uczyłam się tu hebrajskiego pod kierownictwem pani Goldin. Tu

nauczyłam się być Żydówką. Tutaj nikt mi nie mówił, że Eliaz jest prawdziwy. No bo w końcu jesteśmy Żydami reformowanymi. Takie sprawy zostawiamy chasydom. Podskakiwanie, wizje, paskudne czapy i jeszcze gorsze fryzury. Czysty dziewiętnasty wiek.

Przeglądam od niechcienia półki z książkami. Bardzo dużo ich tu jest. My, Żydzi, jesteśmy nieźli w książkach. Lud Księgi i te sprawy. Ponieważ mój ojciec jest wykładowcą literatury na uniwersytecie, nasz dom jest pełen książek. W każdej łazience stoją półki na książki. Żartujemy sobie na temat różnicy między biblioteką a bubloteką. Z pierwszej się czyta, a drugą używa w toalecie. Takie niewinne żarty.

Moja mama jest malarką, ale nawet ona czyta. Nie, żeby miała jej to za złe. Ja też jestem mołem książkowym, ale nie wgryzam się tak bardzo jak rodzice. To kolejny rodzinny dowcip!

Znajduję kawałek szarego papieru pakowego i kreślę na nim mazakiem esy-floresy. Mama mówi, że bazgranie sprzyja koncentracji umysłu. Nie rysuję tego, co zwykle - czyli koni. Kreślę kontury głowy Eliasza: falująca czarna broda, język wysunięty jak u psa. Kilka pospiesznych kresek i Eliaz zmienia się w retrievera.

- A co ty aportujesz? - pytam rysunek.

Rysunek milczy. Chyba nawet załamane nerwowe nie sięga tak daleko. Taa - to moje rodzinne poczucie humoru.

Zastanawiam się, czy w klasie nie ma jakiejś książki na temat Eliasza. Kucam i wodzę palcem po tytułach. Miałam rację. Nie jedna, ale cała masa książek. Prawdziwa żydowska gwiazda pop.

Siadam wygodnie, by zacząć lekturę pierwszej z nich, i czuję klepanie po ramieniu, które co prawda nie sprawia, że podskakuję na krześle, ale wyzwala serię ciarek w krzyżu.

Odwracam się wolno i spoglądam w pociągłą twarz Eliasza. Z bliska wydaje się młodszy, niż sądziłam, bo broda skutecznie maskuje jego wiek około dwudziestu lat. Żydowski kapitan Jack Sparrow w jarmułce zamiast trójgraniastego kapelusza.

Kiwa na mnie palcem i wyciąga dłoń.

Przez głowę przelatują mi lata ostrzeżeń o tym, że nie wolno rozmawiać z nieznanymi. Ale kto by się bał wytworu wyobraźni? Poza tym fajnie wygląda, jak jakiś bitnik czy got.

Podaję mu dłoń i wstaję. Jego dłoń wydaje się wystarczająco realna.

Skręcamy w jakiś róg w klasie, prześlizgujemy się bokiem i stajemy w długim, szarym korytarzu.

*

Czy się bałam?

Byłam zafascynowana. Jakbym znalazła się w filmie science fiction. Korytarz migotał rozblaskami gwiazdnego światła. Meteoryty pędziły gdzieś obok. A dziwaczne ruchome słońce zdawało się poruszać w przeciwną stronę wskazówek zegara.

- Dokąd idziemy...? - zaczęłam, a słowa wyływały mi z ust jak balony wody podczas podróży kosmicznej.

Położył na usta palec wolnej dłoni i zeżarł drugą część mego pytania. Czy to ważne? Byliśmy fantastycznonaukowymi wędrowcami na metafizycznej drodze.

Odgłosy wiatru nasilały się z każdą chwilą i wydawało mi się, że znajdujemy się w tunelu kolejowym, w którym wagony pędzą obok nas z zawrotną prędkością. I nagle wszystko ucichło. Szarość zniknęła, światła przygasły i wyszliśmy z korytarza do... do jeszcze bardziej szarego świata pełnego błota.

Wyciągałam szyję, żeby zobaczyć, gdzie jesteśmy.

Eliasz chwycił moją głowę obiema dłońmi i pokierował nią tak, że stanęliśmy twarzą w twarz.

- Jeszcze nie patrz, Rebecko - powiedział do mnie głosem wyciszonym jeszcze przez dziwny akcent.

Czy byłam zaskoczona, że zna moje imię? Zaskoczenie zostawiłam daleko za sobą.

- Czy to złe miejsce? - zapytałam.

- Bardzo złe.

- Jestem martwa i znalazłam się w piekle?

- Nie, choć na swój sposób jest to piekło.

Jego pociągła twarz wydłużyła się jeszcze ze smutku. Albo z gniewu. Trudno było powiedzieć.

- Dlaczego tu jesteśmy? - zapytałam drżącym głosem.

- Ach, Rebecko - to zawsze jest najważniejsze pytanie. - Jego słowa grzechotały jak imbryk zostawiony za długo na gazie. - To pytanie musimy zadawać sobie wszyscy. - Uśmiechnął się do mnie. - Jesteś tu, bo cię potrzebuję.

Przez chwilę szarość wokół jakby się nieco rozświetliła.

I dodał:

- Jesteś tu, bo mnie zobaczyłaś.

Jego dłonie opadły na moje ramiona.

- Zobaczyłam cię?

Uśmiechnął się i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że ma przerwę między przednimi zębami. I że ma nieskazitelnie białe zęby. No dobrze, może nie odwiedza pralni chemicznej, ale na temat higieny jamy ustnej wie bardzo dużo.

- Zobaczyłam cię? No i co w tym takiego niezwykłego?

Myślę, że wiedziałam, zanim mi powiedział.

Wzruszając ramionami, odparł:

- Bardzo niewielu mnie widzi, Rebecko. A jeszcze mniej osób potrafi prześliznąć się wraz ze mną bokiem przez czas.

- Przez czas? - Teraz dopiero rozejrzałam się wokół. Staliśmy na pozbawionej drzew równinie, równie szarej, co beznadziejnej. - Gdzie jesteśmy? - zapytałam.

Zaśmiał mi się we włosy.

- „Kiedy jesteśmy?” - tak raczej powinnaś zapytać.

Przełknęłam ślinę, starając się pozbyć czegoś paskudnego, co osiadło w moim gardle.

- Czy ja zwariowałam?

- Nie bardziej niż każda wielka artystka.

Wiedział, że maluję?

- Naprawdę jesteś bardzo utalentowana. Pamiętaj, Rebecko, że ja podróżuję przez czas. Przeszłość i przyszłość to dla mnie jedno i to samo.

Nawet w tym szarym świecie poczułam trzepotanie w piersiach. Moje policzki zaogniły się z radości. Wielka artystka. Utalentowana artystka. W przyszłości. Pokręciłam głową. Teraz wiedziałam, że śnię. Za dużo rozwodnionego wina podczas Paschy. Pewnie przysnęłam z policzkiem wtulonym w biały obrus Nonny. Jednakże w moim śnie odmalowałam obraz złowieszczego Eliasza w otwartych drzwiach, mrocznego i głodnego, którego usta zwilgotniały od szeptania tajemnic, a wargi wypowiadały zaproszenie w języku zarówno martwym, jak i żywym.

- Namalujesz taki obraz - powiedział do mnie, jakby czytał mi w myślach. - I dzięki temu świat cię zauważy. I ja cię zauważę. Ale jeszcze nie teraz. Teraz mamy zadanie do wykonania.

Wziął mnie za rękę.

- Jakie zadanie?

- Przyjrzyj się dokładnie.

Kiedy tym razem spojrzałam, zauważyłam, że płaska, bezdrzewna równina nie była opustoszała. Szli tędy ludzie - kobiety i dziewczęta, wszystkie odziane na szaro. Szare spódnice, szare koszule, szare chustki na głowach, szare sandały i buty. Och, widzę oczywiście, że ich ubrania nie zawsze miały takie kolory, ale znosiły się na skutek grozy, tragedii i beznadziei.

- Musisz je stąd zabrać - powiedział Eliasz. - Te, które pójdą z tobą.

- To ty jesteś wędrowcem w czasie, magiem - mówię. - Czemu ty tego nie zrobisz?

Pociągnęła twarz spojrzała na mnie z góry, a ciemnobrązowe oczy złagodniały.

- One mnie nie widzą.

- A mnie zobaczą? - zapytałam.

Ale już wiedziałam. Szły w moją stronę, wyciągając ręce.

- Eliaszu - zapytałam - jak mam do nich przemówić?

Wyciągnął dłoń i dotknął mych ust.

- Znajdziesz sposób, Rebecko. Teraz idź. Nie mogę ci więcej powiedzieć.

I nagle zniknął jak kot z Cheshire, aż zostały tylko usta, które się jednak nie uśmiechały. Po chwili nie było po nim śladu.

Odwróciłam się w stronę kobiet i pozwoliłam, żeby mnie otoczyły.

Powiedziały mi, gdzie byłyśmy i jak one się tu znalazły. Czytałam ich opowieści w książkach, więc nie miałam powodów, by im nie wierzyć. Byłyśmy w obozie.

Och, nie w obozie letnim, gdzie organizuje się tańce i pokazy makram czy zawody sportów wodnych. W takich już byłam. W obozie skautów, na plenerze artystycznym, na obozie muzycznym. Moi rodzice, jak wszyscy ich znajomi, traktowali lato jak okres, w którym

można podrzucić komuś swoje pociechy. Jedne były obozami wędrownymi, a inne przypominały sanatoria.

A to był inny obóz.

Zadałam pytanie, o którym Eliasz mówił, że powinnam je zadać.

- Kiedy tu jesteśmy?

I gdy mi powiedziały - 1943 - nie mogłam się zdobyć na wykrzesanie z siebie odrobiny zaskoczenia. Już spotkałam się z duchem spoza czasu, przeszłam z nim po fantastycznym krajobrazie i powiedziano mi o przyszłości. Dlaczego nie przeszłość?

- Dziękuję za to, Eliaszu - wyszeptałam.

Coś - ktoś - szepnął mi do ucha z miękkim akcentem to, co miał do powiedzenia:

- Dziękuję za wszystko, Rebecko.

- Przecież nic nie zrobiłam - jęknęłam.

- Ale zrobisz - odparł.

A kobiety, usłyszawszy jedynie mój głos, odpowiedziały:

- Żadna z nas nie zrobiła niczego, żeby zasłużyć na zamknięcie nas w tym miejscu.

*

I tak rozpoczął się mój pobyt w obozie. Nie było to ani Auschwitz, ani Dachau, ani Sobibór, ani Buchenwald, ani Treblinka, bo te nazwy rozpoznałabym od razu.

- Gdzie my jesteśmy?

- Koło Lublina - powiedziała mi starsza kobieta z niezwykle błękitnymi oczami, osadzonymi w szarej twarzy.

Znałam tę nazwę. Staralam się sobie ją przypomnieć, mrużąc oczy. I rzeczywiście sobie przypominałam. Moja prababcia urodziła się w Lublinie.

- Czy zna pani... - Zamilkłam. Znałam tylko nazwisko mojej prababci po mężu. Morewitz. Co to da? Poza tym i tak przyplłynęła do Ameryki jako dziecko i zmarła na długo przed moim urodzeniem. Zmieniłam zdanie. - Czy zna pani jakiś sposób, żeby stąd uciec?

Roześmiały się takim szarym śmiechem.

- A byłybyśmy tu, gdybyśmy znały? - odparła kobieta z błękitnymi oczami. Jej dłoń nakreśliła koło wokół szarego miejsca.

Omiotłam wzrokiem wskazany obszar i zobaczyłam szary budynek, szary od popiołu. Popiół. Coś tu palono. Mnóstwo czegoś. Dopiero wtedy zrozumiałam, do jakiego to miejsca przyprowadził mnie Eliasz.

- A więc to jest obóz koncentracyjny? - zapytałam, choć oczywiście już wiedziałam.

- Nie ma tu czego koncentrować, chyba że zestawi się jedną nogę z drugą - odparła błękitnooka kobieta.

- I włoży sobie kawałek ziemniaka do otwartych ust - dodała druga.

- To nie jest obóz koncentracyjny - powiedziała trzecia - ale obóz śmierci.

- Cicho - ostrzegła błękitnooka, spoglądając przez ramię.

Spojrzałam w tamtym kierunku, ale nie było tam nikogo, kto mógłby nas usłyszeć.

- Muszę się stąd wydostać - powiedziałam. Po czym zagryzłam wargę. - Wszystkie musimy się stąd wydostać.

Szare dziecko, usmolone jak kominiarz, wychyliło się zza spódnicy błękitnookiej kobiety. Dziewczynka wskazała na jeden z budynków, którego złowróżbna żelazna brama stała otworem. Jak otwarte usta czekające na ziemniaka - pomyślałam.

- To jedyna droga na wolność - powiedziała.

Miała twarz dziecka, ale głos dorosłej osoby.

Wzięłam głęboki wdech, wdychając popiół, i powiedziałam:

- Tędy nie pójdziemy. Obiecuję.

Kobiety odsunęły się ode mnie jednocześnie, zostawiając jedynie dziewczynkę. Jedna z nich wyszeptwała przez ramię ochryplym głosem:

- To miejsce złamanych obietnic. Jeśli tego nie rozumiesz, to nie pożyjesz długo. - A później zwróciła się do dziewczynki:

- Masza, czas spać. Rano trzeba wstać. - Ale kierowała te słowa też do mnie. Dziewczynka wsunęła swoją chłodną, szarą dłoń w moją.

- Wierzę ci - powiedziała.

Podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się, jakby uśmiech był dla niej czymś nowym, co musiała ćwiczyć.

Odwzajemniłam uśmiech i ucisnęłam dłoń. Ale byłabym głupia, gdybym obiecywała jej coś podobnego, a ona byłaby głupia, gdyby w to uwierzyła.

- Eliasz... - zaczęłam - Eliasz nam pomoże.

Ale on najpierw wpakował mnie w to wszystko, a potem zniknął. Uświadomiłam sobie z niepokojem, że byłam teraz zdana na własne siły. Teraz. Obojętnie kiedy.

- Mag Eliasz? - Wydawała się w ogóle nie oddychać i wpatrywała się we mnie oczami czarnymi jak paciorki.

Pokiwałam głową, zastanawiając się, jaka magia może nas oderwać od tego miejsca i czasu.

*

Idąc za kobietami jak jagnię za starymi owcami, dziewczynka zaprowadziła mnie do budynku wypełnionego szerokimi trypoziomowymi pryzkami. Nie było tam pościeli, poduszek czy koców, tylko twarde deski. Jedyne ciepło w nocy pochodziło od ludzi śpiących po bokach. Czytałam o tym, widziałam na filmach. Które żydowskie dziecko tego nie widziało?

Chłód był nie gorszy niż na wyprawie pod namiot w złą pogodę. Na deskach leżało się prawie tak jak na ziemi. Ale panował tu smród - w tym baraku tłoczyło się ponad trzysta kobiet, a jedyne przyrządy higieniczne stanowiły wiadra z zimną wodą. Nikt nie miał zmiany ubrania, niektóre z nich musiały chodzić w tych samych ciuchach od miesięcy. A były szczęściarami, bo wciąż żyły.

Masza przytuliła się do mnie, a jej ciało grzało jak piecyk, jak ciepła kulka wtulona we mnie. Z drugiej strony ułożyła się błękitnooka kobieta, która przedstawiła się jako Ewa. Ale

tej pierwszej nocy opanowały mnie dziwaczne wizje. Albo wariowałam, albo mi się to wszystko śniło. Może naprawdę miałam jakieś załamanie nerwowe - jak moja kuzynka Rachael, która pewnej nocy po imprezie rave myślała, że zamknęli ją w więzieniu i starała się uciec przez okno, znajdujące się na drugim piętrze w budynku. Nie byłam w stanie powstrzymać tych rozważań i nie spałam w ogóle. Jak się okazało, był to błąd. Rankiem byłam wyczerpana. Poza tym sen był jedyną realną ucieczką z tego miejsca. Dlatego właśnie kobiety kładły się spać koło siebie tak ochoczo, jakby wybierały się na imprezę. Po śnie przychodził czas na pracę.

*

Tak, była praca. Pokazały mi pierwszego ranka. Nie była trudna - nie tak trudna jak praca mężczyzn, którzy rozbijali kamienie po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego - ale i tak łamała ducha i serca. Miałyśmy sortować rzeczy, które przywozili ze sobą w walizkach więźniowie, i układać buty na jedną kupę, a ubranie na drugą na długich, drewnianych stołach. Biżuteria i pieniądze lądowały na trzeciej, która zostawała przekazywana blokowej - szefowej sortowaczek - na koniec dnia. Musiała oddawać je żołnierzom, którzy prowadzili ten obóz. Następnie były fotografie rodzinne i Biblie, kazania i tomiki wierszy. Stosy kobiecych peruk i stosy lekarstw, wystarczająca liczba pigułek, by zaspokoić głód armii hipochondryków. Były paczki listów i dokumentów, nawet wyglądających na oficjalne świadectwa i certyfikaty ze szkół prawniczych i medycznych. Oraz sterta z przedmiotami osobistymi: szczoteczkami do zębów, szczotkami do włosów, pilnikami do paznokci i puderniczkami. Wszystko, co ktoś zabierał z domu w pośpiechu i co miał na sobie po raz ostatni.

Starałam się pomyśleć, co ja bym zabrała z domu, gdyby ktoś zapukał do naszych drzwi i powiedział, że mamy kilka minut na spakowanie i skierowanie się do obozu przesiedleńczego, jak mówiono im wszystkim. Na pewno mój pamiętnik i iPod, bieliznę i kilka paczek tamponów, szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów, suszarkę, tomik poezji, który dostałam od chłopaka, pudełko kredek świecowych i naturalnie szkicownik, a także ostatnią powieść Holly Black, której nie miałam czasu przeczytać. Jeśli to brzmi żałośnie, to z pewnością nie tak jak zawartość bagaży, które miałyśmy za zadanie sortować.

I oczywiście cały czas, kiedy je sortowałyśmy, tylko ja wiedziałam, co to oznacza. Że w Polsce i Niemczech było pełno takich obozów. Że sześć milionów Żydów i sześć milionów obywateli innych państw w nich zginie. I że moja wiedza na ten temat nie pomoże żadnej z nich.

Ojej, ciężko będzie, jeśli kiedykolwiek jeszcze pojedę na obóz letni, pomyślałam. Jeśli wyjdę z tego cało. Wtedy zaczęłam płakać i wzywać Eliasza.

- Kto to jest Eliasz? - zapytała mnie jakaś dziewczyna, obejmując mnie ramieniem. - Twój brat? Chłopak? Czy jest tutaj? W męskim obozie?

Odwróciłam się, wytarłam nos rękawem i otworzyłam usta, by jej powiedzieć. Kiedy uświadomiłam sobie, jak to idiotycznie zabrzmiało, oznajmiłam tylko:

- Mniej więcej.

I odwróciłam się, by wrócić do pracy.

Pokusa, by zabrać szczotkę do włosów, szczoteczkę do zębów czy pilnik do baraku była przemożna.

Ale mała Masza ostrzegła mnie, że wartowniczkę robią rewizję.

- I jeśli znajdą u ciebie kontrabandę - powiedziała, nawet nie zająknąwszy się na tym słowie, którego najwyraźniej używali tutaj wszyscy - to pójdziesz z dymem.

Sposób, w jaki to powiedziała, tak zwyczajnie, ale z pełnym zrozumieniem znaczenia tego zwrotu, sprawił, że poczułam chłód na plecach. Pokiwałam głową. Nie miałam zamiaru dać się skremować za złamany paznokieć czy potargane włosy. Zostawiłam wszystko na długich stołach.

*

Dni dłużyły się niemiłosiernie, a noce były za krótkie. Przebywałam od tygodnia w obozie i zaczęłam wpadać w otępienie. Chodziłam, pracowałam, jadłam, kiedy ktoś wkładał mi ziemniaka do ręki, ale skryłam się gdzieś w głębi siebie.

Masza często brała mnie za rękę i prowadziła wszędzie, mówiąc, co mam robić. Mówiła: - Nie zmieniaj się tylko w mużłmanina.

A pewnego dnia - szarego jak popiół pokrywający budynki, kiedy szare chmury przesunęły się po niebie - usłyszałam, co do mnie mówi.

- W mużłmanina? - zapytałam.

Wzruszyła ramionami. Dziewczyna stojąca obok mnie przy pracy wyjaśniła mi to:

- To cienie w cieniu. Te, co się poddały. Które umarły przed śmiercią. - Wskazała przez brudną szybę na kobietę, która wyglądała jak chodzący szkielet w łachmanach. - Ona jest mużłmaninem i nie trzeba jej posyłać przez komin. Jej już nie ma.

Potrząsnęłam energicznie głową.

- Nie jestem taka.

Masza chwyciła mnie za rękę i pociągnęła.

- Więc się obudź. Obiecałaś.

I przypomniałam sobie moją obietnicę. Głupią obietnicę. Znów spojrzałam - za okno, ale kobiety już rzeczywiście tam nie było. Zamiast niej stał Elias i wpatrywał się we mnie. Przystawił sobie palec do nosa i wyglądał na zasmuconego. Rysy pociągłej twarzy zlewały się z konturem nosa. Pod oczami miał granatowe cienie przetykane brązami. Naszkicowałam jego rysy dłonią w powietrzu.

- Co ty wyrabiasz? - zapytała mnie Masza.

- Muszę coś namalować - odparłam.

- Głupstwa - stwierdziła dziewczyna obok mnie.

- Nie - sztuka nigdy nie jest głupia - powiedziałam jej. - Daje życie.

Wybuchnęła prostackim śmiechem i odsunęła się ode mnie, jakbym miała jakąś zakaźną chorobę.

Rozejrzałam się po stołach - pudełka tabletek, biżuteria, dokumenty, buciki dziecięce, torby staruszek. I w końcu spostrzegłam poobijane pudełko kolorowej kredy, które pewnie miało ze sobą jakieś dziecko. Podniosłam je, zabrałam też czyjeś świadectwo ślubu i poszłam w kąt.

- Co ty najlepszego wyrabiasz? - zapytała mnie blokowa. - Wracaj do pracy albo zamelduję na ciebie.

Ale nie zwracałam na nią uwagi. Usiadłam na brudnej podłodze, odwróciłam świadectwo ślubu na drugą stronę i zaczęłam rysować. Czarną kredą narysowałam kontury ciała Eliasza oraz jego długą, owalną twarz. Podkreśliłam zarys białą, aż stał się szary jak popiół. Nie miałam gumki, więc rysowałam bardzo ostrożnie, wiedząc, że dobry rysunek musi wyglądać tak, jakby ktoś go narysował bez wysiłku. W domu miałam pastele Conté. Pudełko, w którym było ich dwadzieścia cztery. Ale tu musiałam wykorzystać to, co miałam, pudełko kolorowej kredy, dwanaście kolorów, większość z nich w kawałkach. W domu, żeby zabezpieczyć rysunek przed rozmazaniem, mogłam pokryć go leciutką warstwą lakieru do włosów. Ale dom był daleko - i wiele lat - stąd. Jak mi się zdaje, nie wynaleziono jeszcze lakieru do włosów.

Blokowa zaczęła się na mnie drzeć:

- Wstawaj! Wstawaj!

I nagle wokół mnie pojawiła się gromada nóg i niektóre z kobiet też na mnie krzychały.

Masza prześliznęła się przez las nóg i usiadła koło mnie.

- Co robisz?

- Robię rysunek kogoś, kogo musisz zobaczyć - odparłam.

Dorysowałam długi nos, czarną, falistą brodę i uśmiech z półprzymkniętymi oczami. Znalazłam różową kredę na usta i celowo rozsmarowałam ją na papierze palcami, na których wciąż miałam czarne ślady.

Blokowa przestała krzycheć na mnie i teraz krzychała na kobiety, które utworzyły ścianę wokół mnie i Maszy.

Rysowałam dalej za pomocą palców, spodu dłoni i prawego kciuka. Plułam na palce i wcierałam je w kontury jego ciała. Czarną kredą wypełniłam jego długi czarny chałat. Białej kredy użyłam do półcieni i do wypełnienia jego czarnych oczu. Brązowa kreda posłużyła mi do wycieniowania barwy skóry, którą poprawiłam popielatą szarością.

- Widzę go, widzę - wykrzyknęła Masza. - Czy to jest Eliaz? Położyła na czarnym chałacie dłoń, która wraz z palcami stała się czarna.

Dwie kobiety trzymające przy nas straż wciągnęły głęboko powietrze i jedna z nich stwierdziła:

- Ja też go widzę. - To był głos Ewy. Klęknęła i dotknęła papieru. Nagle ktoś zawołał mnie po imieniu. Męski głos. Podniosłam wzrok. Eliaz stał pośród wszystkich tych kobiet, chociaż żadna z nich nie zdawała się go zauważać.

- Masza - zwróciłam się pospiesznie do dziewczynki - widzisz go? Wzięłam jej główkę w moje dłonie i delikatnie odwróciłam ją, wskazując prosto na niego. - Tam przy kobietach?

Ewa aż zachłysnęła się na jego widok.

Ale Eliasz tylko się uśmiechnął, wyciągając dłonie. Wstałam i wzięłam go za prawą rękę, a Masza wzięła go za lewą. Ewa chwyciła Maszę wpół, jakby chciała ją ode mnie odciągnąć.

- O tam są! - dobiegł nas piskliwy głos blokowej. - Tam! Pozostałe kobiety rozbiegły się do stołów z sortowanymi przedmiotami, tak że Masza, Ewa i ja znalazłyśmy się na wprost niej. Za blokową stało dwóch uzbrojonych strażników.

Wymierzili do nas z broni.

Tym razem zaśmiał się Eliasz. Przyciągnął nas do siebie, a potem zakręciliśmy za jakiś róg na środku sali, wślizgując się bokiem w znany mi już długi, szary korytarz.

Ewa znów straciła dech, po czym zamilkła, jakby już nic nie było w stanie jej zdziwić. Mocno trzymała Maszę w talii.

I już po chwili lecieliśmy przez migocące gwiazdne światło wśród pędzących meteorów. Dziwaczne słońce wciąż stało nad naszymi głowami. Równie nagle jak się pokazały, światło i dźwięki zniknęły, kiedy stanęliśmy na drugim krańcu.

Masza puściła dłoń Eliasza i rozejrzała się dookoła, ale Ewa jej nie puszczała.

Tym razem wiedziałam, jak zadać właściwe pytanie.

- Kiedy jesteśmy?

Eliasz odparł.

- Wciąż jesteśmy w tym samym roku, ale pięć tysięcy mil dalej. Jesteśmy w Ameryce.

- Jesteśmy w Ameryce w tamtym czasie - stwierdziłam.

Pokiwał głową.

- W tamtym czasie. - Dotknął mego ramienia. - Pocałuj dziewczynkę, Rebecko. Uspokój ją, że już tu się nią zaopiekują. - Jego twarz straciła już odcień szarości, ale zbladła, jakby podróż w czasie i przestrzeni zabrała mu sporo energii. - Kobieta, choć nie jest jej matką, zajmie się nią.

- Ewa - powiedziałam. - Pierwsza matka.

- Naturalnie. - Obydwoje pokiwaliliśmy głowami na to ironiczne porównanie.

- Ale nie mogę jej tak zostawić - powiedziałam, chociaż widziałam, że obydwie już znalazły stół z jedzeniem, wcinały wszystko ochoczo i pakowały sobie do kieszeni.

- Musisz. To dziecko będzie miało dostatnie życie w dobrej rodzinie.

- Czy ją jeszcze kiedyś zobaczę?

- Nie, Rebecko, umrze, zanim się narodzisz. Poza tym musisz teraz malować te obrazy. Ze mną. - Miał uwodzicielski uśmiech, jakby już zaczął mi pozować.

Chyba nawet opadła mi szczęka. Ale nie na długo.

- Ach, ty... ty.

Nagle zabrakło mi słów. Czy ta cała sprawa, ta podróż w czasie do tego straszego miejsca, miała tylko zaspokoić jego przerośnięte ego? Wpatrywałam się tylko w niego. Miał wymizerowaną twarz, a rekinie oczy, martwe oczy, nie odbijały światła. Jak mogłam pomyśleć, że jest intrygujący? Policzki płonęły mi ze wstydu.

- Nigdy nie namaluję tego obrazu. Przenigdy.

Uniósł dłonie, jakby zasłaniał się przed ciosem moich słów.

- Cicho, cicho, Rebecko. Obraz trzeba namalować. Nie chodzi tu o mnie, ale o ciebie. I nie o ciebie, ale o twój lud. O dzieci z żydowskiej diaspory. Żeby im przypomnieć, kim są. Rozpocznie renesans w judaizmie, który potrwa całe twoje życie i jeszcze będzie trwać przez życie twych prapraprawnuków do dwudziestego pokolenia.

Nie wiem, co zaskoczyło mnie bardziej - to, że obraz, jaki miałam namalować, będzie miał taką moc, czy to, że będę miała prapraprawnuki. No bo w końcu byłam piętnastolatką, a kto w tym wieku sięga tak daleko w przyszłość?

- Ale dlaczego ja? I dlaczego Masza? Dlaczego Ewa?

Zerknął przez ramię na siedzącą Maszę, teraz w otoczeniu dzieci w jej wieku. Wydawało się, że po prostu się bawią, jakby w jednej chwili powróciła cała utracona niewinność. Ewa stała wraz z nią plecami do ściany, obserwując wszystko bacznie już jako strażniczka Maszy, jej anioł stróż, jej matka. Elias odwrócił się do mnie i przekrzywił głowę.

- Myślę, że już się wszystkiego domyśliłaś.

Spojrzałam ponownie na Maszę. Popatrzyła w moją stronę i uśmiechnęła się. Był to uśmiech mojej siostry. Jak mogłam tego nie spostrzec - tylko że Masza nigdy dotąd się nie uśmiechała. Nie w obozie, gdzie nie było powodów do wesołości. Oczywiście. Moja siostra dostała imię po prababci - Mashanna.

- Gdyby zmarła w obozie, ty byś się nigdy nie narodziła - powiedział Elias i zaczął się rozpyływać. - Obraz nigdy by nie powstał. Wielki renesans nigdy nie miałby miejsca.

- Ale ja się urodziłam... - zaprotestowałam.

- Urodziłaś się, żeby malować - stwierdził, po czym złapał mnie za rękę i wciągnął bokiem do przyszłości i do domu.

RĘCE OBCEGO

TAD WILLIAMS

*Tad Williams zdobył międzynarodową sławę dzięki swej pierwszej powieści, **Pieśń Łowcy**, i od tamtej pory wysoka jakość jego prozy i wierność czytelników utrzymały go na czołowych miejscach list bestsellerów. Jego inne dzieła to cykl „Pamięć, Smutek i Czerń” (Smoczy tron, Kamień Rozstania, Wieża Zielonego Anioła), cykl „Inny Świat” (Miasto złocistego cienia, Rzeka błękitnego ognia, Góra z czarnego szkła, Morze srebrzystego światła), Czas Kalibana, Dziecko z miasta przeszłości (wraz z Niną Kiriki Hoffman) oraz Wojna kwiatów. Obecnie kończy cykl „Marchia Cienia” (Marchia Cienia, Rozgrywka Cienia i Shadowrise). Poza tym Williams pisze scenariusze komiksów dla wydawnictwa DC Comics (Aquaman, The Next, Factory). Wraz z rodziną mieszka w rejonie Zatoki San Francisco.*

W niniejszej pomysłowej opowieści sugeruje, że problem z wykorzystaniem magii w celu zdobycia Ukochanej jest taki, że naprawdę może się to udać...

Ludzie w wiosce od wielu dni szeptali między sobą na temat dwóch włóczęgów w Lesie Giermka, ale to chłopak o imieniu Tobiasz pierwszy z nimi porozmawiał. Tobiasz był nieco niesfornym młodzieńcem i fakt, że mniej więcej o tej porze powinien wypasać ojcowskie owce na wzgórzu, oznaczał, iż wbrew ojcowskim zaleceniom rzeczony owce spacerują sobie po cienistym obrzeżu lasu, a Tobiasz idzie tuż za nimi.

Dopiero kiedy zauważył, jak smuga dymu wędruje w górę między drzewami na podobieństwo szarej szarfy, przypomniał sobie o obcych w lesie. Przeżył chwilę grozy: czy jacyś bogobojni ludzie woleliby przebywać na dworze w zimne noce i podczas nawalnic jesienno-deszczu zamiast siedzieć w chacie? Jedyne rabusie i groźni szaleńcy mieszkali pod gołym niebem. Każdy to wiedział.

Gdyby Tobiasz był nieco mniej uparty, zawróciłby i pospiesznie wrócił na wzgórze, może nawet nie zapominając zabrać ze sobą stadka rodzicielskich owiec, ale jego druga natura, bardzo stanowcza i zdecydowana, szczerze nienawidziła niewiedzy. Ta druga natura popchnęła go kiedyś do urwania łapy żabie, tylko po to, by sprawdzić, co żaba robi. (Zrobiła bardzo niewiele i niebawem zdechła, obdarzając Tobiasza, jak mu się wydawało, oskarżycielskim spojrzeniem wyłupiastych oczu.) Z tych samych powodów wyszczerbił kosę ojca, kiedy chciał nią ścinać drzewo, i wysypał drogocenną zawartość koszyka z przyborami do szycia swojej mamy na ziemię - żądza wiedzy doprowadziła Tobiasza do sytuacji, w której na kolanach musiał odnaleźć każdą zagubioną igłę i szpilkę. Kiedyś jego buntownicza natura pchnęła go nawet do tego, że wyruszył z wioski i przeszedł kilkanaście mil w poszukiwaniu miasta Eaders Church, o którym słyszał, że jest tak duże, że tamtejsze ulice mają nawet swoje nazwy. Jego ojciec oraz dwaj pomocnicy dogonili go po zachodzie słońca, kiedy siedział wyczerpany i głodny na skraju drogi. Oczywiście dostał za to lanie, ale dla młodego Tobiasza pasy były kosztem wliczonym w jego dociekliwość.

I tak teraz, zamiast zawrócić, wyjść z lasu i zostawić jego niebezpiecznych mieszkańców samym sobie (choćby po to, by ustrzec ojcowski inwentarz), poszedł szlakiem strużki dymu do niewielkiego ogniska na polanie. Niewielki mężczyzna ze szczerzą twarzą doglądał ognia, a w blasku jego zmarszczki były tak głębokie i usmolone sadzą, że wyglądał jak jabłczana lalka. Jego wielki towarzysz, który siedział na kamieniu przy ognisku i nie podniósł wzroku nawet wtedy, kiedy Tobiasz stanął na gałązkę i niewielki człowiek podskoczył, był tak dziwny z wyglądu, że nawet zadziorny chłopak zdrzął. Wielki mężczyzna miał ogoloną głowę, choć gdzieś widać było niedoróbki, a czaszka pod skórą wybrzuszała się w miejscach, w których nie powinna. Koścista szczęka mężczyzny zwisała bezwładnie tak, że było widać język między zębami i chociaż nie wydawał się niewidomy, oczy w głębokich oczodołach były bez wyrazu jak powalane błotem kamyki.

Wielki mężczyzna nie zwracał na nic uwagi, ale mały owszem. Wpatrywał się w Tobiasza jak pies, który nie wiedział, czy zacząć szczekać czy rzucić się do ucieczki.

- Za mokre to drewno - odezwał się chłopak.

- Ze co?

- Z takiego drewna nie ma ognia, za to jest dym. Chcesz pan nadymić?

Mały człowiek zmarszczył brwi, choć z konsternacji, a nie z gniewu.

- Chcę upiec tę rybę. - Mówił jak prawdziwy mieszkaniec południowych prowincji, wykoślawiając i rozciągając słowa. Tobiasz zastanawiał się, dlaczego tamci nie mogą się nauczyć mówić poprawnie. Zezując, przyjrzał się kolacji małego człowieczka okiem doświadczonego wędkarza. - Mała jest.

- Lepsze to niż nic - zauważył człowieczek.

- No to pokażę panu.

Tobiasz błyskawicznie znalazł suche drewno, przerobił ognisko i wkrótce mały człowieczek już smażył rybę na długim kiju. Jego wielki towarzysz w dalszym ciągu nie poruszył się ani nie przemówił, chyba nawet nie zauważył pojawienia się przybysza w ich obozie.

- Dziękuję za uprzejmość - powiedział mały człowiek. - Jestem Feliks. To dla nas coś nowego.

- Ja mam na imię Tobiasz. - Chłopak pławił się w glorii swojej użyteczności. - Co to znaczy „nowego”?

- Mieszkaliśmy tam, gdzie było pożywienie. - Feliks wzruszył ramionami. - Tylko że się skończyło.

Tobiasz wpatrywał się w drugiego, który wciąż wbijał wzrok w pustkę, i jedynie wolno unosząca się klatka piersiowa pod znoszoną podróżną szatą świadczyła o tym, że nie jest posągiem.

- A jak on się nazywa?

Feliks zawahał się przez chwilę.

- Eli - powiedział jak prawdziwy mieszkaniec południa, windując ostatnią sylabę na podobieństwo skrzeczenia słonki - E-liiii. - Był moim panem, ale... coś mu się stało. Postradał zmysły.

Tobiasz przyjrzał się wielkiemu człowiekowi z nieskrywanym za-interesowaniem - skoro ten postradał zmysły, to przypatrywanie się chyba nie jest grubiaństwem, prawda?

- Co się stało?

- Sufit na niego spadł.

Feliks zdjął rybę z patyka, ale poparzył się i niemal ją upuścił - Tobiasz był szczerze ubawiony nieporadnością włóczęgi - po czym przeciął ją na pół nożem i podał większy kawałek milczącemu olbrzymowi. Eli poruszył się po raz pierwszy - wziął rybę, nie patrząc na nią, włożył ją sobie do ust i zaczął ją żuć z bydlęcą cierpliwością. Feliks już zabierał się do jedzenia, ale zwrócił się zawstydzony do Tobiasza:

- Powinienem zaproponować ci kawałek, za twoją uprzejmość.

Tobiasz był zbyt dorosły, by nie wiedzieć, że dla Feliksa nie będzie to małe poświęcenie.

- Nie, ja zjem w domu. I powinienem już tam iść, bo tato zdejmie pas. - Spojrzał przez drzewa na słońce, które stało zdecydowanie za nisko na niebie. - Tak czy owak dostanę za swoje. - Podniósł się. - Przyjdę jutro. Pomogę ci złapać większą rybę niż ta tutaj. - Zawahał się. - Byliście w innych miejscach? W innych wioskach, może nawet w miastach?

Feliks przytaknął wolno.

- W wielu miejscach. W wielu miastach w całej Środkowej Krainie.

- W miastach! - Tobiasz zachwiał się, oszołomiony samą myślą o takich miejscach. - W prawdziwych miastach? Wróć na pewno.

Wysoki mężczyzna o imieniu Eli nagle wyciągnął dłoń, a był to tak niespodziewany gest po godzinnym bezruchu, że Tobiasz wzdrygnął się, jakby zobaczył węża.

- On... myślę, że chce ci podziękować - stwierdził Feliks. - No dalej, chłopcze... podaj mu dłoń. Niegdyś był wielkim człowiekiem.

Tobiasz powoli wyciągnął niewielką dłoń, zastanawiając się, czy nie jest to jakaś okrutna czy nawet zbrodnicza sztuczka - może jednak był zbyt ufny. Dłoń Eliego była wielka, kostropata i uwalana brudem i zacisnęła się na smukłych palcach niczym drzwi kościelne, które po otwarciu same wracają na miejsce.

Wtedy Tobiasz zniknął.

*

Kiedy minęły dwa dni, a po chłopcu nie było ani śladu, oczywiście zaczęto podejrzewać dwóch nieznanym mieszkających w Lesie Giermka. Kiedy człowiek o imieniu Feliks przyznał, że widzieli chłopca i rozmawiali z nim, gajowi i kilku miejscowych wywlekli ich z lasu i zakuli w drewniane dyby koło studni w środku wioski, gdzie wszyscy mogli ich widzieć i napawać się ich hańbą. Feliks ze łzami w oczach wciąż powtarzał, że nie uczynili chłopcu niczego złego, że nie wiedzieli, gdzie się podział - jak się okazało, jedno i drugie było prawdą - lecz nawet jeśli obydwaj mężczyźni nie byłiby nieznanymi i tym samym idealnymi podejrzanymi, to chłopci i tak widzieli wyraźnie, że większy z nich był niespełna rozumu, ba, być może nawet opętany został przez demony i niemal wszyscy odczuwali wyłącznie zgrozę i obrzydzenie na ich widok.

Jedynym wyjątkiem był ojciec Bannity, wioskowy ksiądz, który uważał, iż to hańba, że zostali uwięzieni wyłącznie dlatego, że byli obcymi, ale nie odważył się wypowiedzieć tego na głos. Sam był obcym w wiosce, do której przybył dwadzieścia lat temu (starsi mieszkańcy wciąż mówili o nim „ten nowy ksiądz”), dlatego wciąż współczuł tym, których surowo oceniano wyłącznie dlatego, iż ich dziadowie i pradziadowie nie leżeli na miejscowym cmentarzu. Poza tym przechodził kryzys wiary wieku średniego, który objawiał się zwątpieniem w wiele powszechnych i ogólnie znanych prawd, i szczególnie niechętnie odnosił się do zaakceptowania czyjejs winy tylko dlatego, że osoby obwiniane nie należały do bożej trzódki. Tak więc ojciec Bannity wziął sobie za ambit, by dwaj więźniowie mieli dość strawy i napitku, żeby przeżyć. Długo przyjdzie czekać na przybycie królewskiego prokuratora - jego trasa obejmowała przynajmniej tuzin wiosek i trwała jeden cykl księżycowy - i nawet jeśli ci dwaj byli winni morderstwa na biednym chłopcu i ukrycia jego ciała, ojciec Bannity nie chciał, żeby zmarli, nim zostanie to udowodnione ponad wszelką wątpliwość.

Kiedy ten niewielki mężczyzna, Feliks, mu zaufał, przedstawił w końcu Bannity'emu prawdziwą wersję wydarzeń i zarzekł się, że kiedy chłopak dotknął wielkiej dłoni Eliego, rozpląnął się w powietrzu jak bańka mydlana. Ojciec Bannity nie wiedział po prawdzie, co ma

o tym myśleć, czy była to prawdziwa zagadka czy zapowiedź szczerego zeznania, stopniowego godzenia się tego człowieka ze swoją winą, jakby powolnego zanurzania się we wrzącej kąpieli, ale trwał w przekonaniu, że powinien ich uważać za niewinnych, chyba że przyznają się do tego strasznego czynu, albo też kiedy fakty zaczną potwierdzać okropną prawdę.

Pewnego dnia, kiedy trzymał chochelkę z wodą przy wyschniętych ustach Eliego, wielki człowiek spojrzął na niego niespodziewanie, jakby zobaczył go pierwszy raz, a w jego zamglonych, zwierzęcych oczach pojawił się po raz pierwszy przebłysk życia, którego Bannity wcześniej nie widział. Przestraszony ksiądz upuścił chochelkę. Wielki mężczyzna wyciągnął olbrzymią łapę tak daleko, jak się tylko dało w dybach, i rozczapierzył długie paluchy na podobieństwo rozkwitającego egzotycznego kwiatu.

- Niech ksiądz tego nie robi - wyszeptał Feliks. - To właśnie zrobił chłopiec, zanim zniknął.

Ojciec Bannity zawahał się tylko przez chwilę. Coś w uporczywym spojrzeniu wielkiego mężczyzny, ślad czegoś oddalonego i poważnego zarazem, przekonało go. Wyciągnął dłoń i pozwolił palcom Eliego zamknąć się na swej dłoni.

W jednej przerażającej chwili Bannity odniósł wrażenie, że zmienia się w trzepoczącą rybę wyciągniętą z rzeki na światło dnia, oślepioną światłem i feerią barw, oszołomioną haustami palącego powietrza. I nagle, w mgnieniu oka, uświadomił sobie, że przebywał w tym stanie od lat, bez wody, i że teraz w końcu wrzucono go do niej na powrót - wszystko, co wiodło w nim, powróciło błyskawicznie do życia, wszystkie drobne ubytki wykruszające się z monolitu dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, wróciły na swoje miejsce - barwy, uczucia, uniesienie. Wrażenie to było tak intensywne, tak obezwładniające, że zataczając się, nawet nie mógł odpowiedzieć na wołanie zaniepokojonego Feliksa.

Bannity znów wiedział. Zapomniał, jak to jest, ale teraz sobie wszystko przypomniał i przemożna siła powracającej wiary z całą dobitnością uzmysłowiła mu, ile stracił. Bóg zesłał mu cud pod postacią milczącego giganta i za jednym jego dotykem świat, który przez lata szarzał wokół niego, zapłonął żywym płomieniem.

Bóg znów był obecny w każdym przejawie życia, tak jak w dzieciństwie ojca Bannity'ego, kiedy jedynym jego pragnieniem było Jemu służyć.

Bóg ożył w jego duszy. Bannity doświadczył cudu.

I kiedy pierwsze uniesienie szczęściem, choć było to uczucie nie mniej przyjemne, spowszedniało nieco, ojciec Bannity spostrzegł, że tak naprawdę nic szczególnego się nie zmieniło. Nie był to cud boski, jakiś znak. To po prostu dotyk wielkoluda przywrócił mu niegdysiejszą żarliwą miłość do Boga, która słabła w nim od lat.

Zdał sobie sprawę, że to Eli, działając bez wątpienia jako posłaniec boży, przywrócił mu miłość do Pana, jego wiarę w Stwórcę i przede wszystkim przekonanie, że to, co było, było mu pisane.

Milczący, złamany człowiek podarował Bannity'emu spełnienie jego najskrytszego marzenia, pomimo że sam kapłan nie miał pojęcia, na czym ono polegało.

Wdzięczny, odrodzony ksiądz postanowił wstawić się za więźniami, kiedy już królewski prokurator pojawi się w wiosce, dać świadectwo prawdzie, nawet gdyby wiązało się to z przyznaniem, iż on sam na jakiś czas utracił wiarę. Ojciec Bannity byłby bez wątpienia jedynym ich obrońcą, gdyby nie fakt, że na dzień przed pojawieniem się podróżującego przedstawiciela prawa Tobiasz wrócił do wioski.

Był, jak powiedział wieśniakom (bardzo rozradowany), w mieście Eaders Church, które okazało się tak wielkie i wspaniałe, jak sobie to wyobrażał.

- Mają tam całe mnóstwo psów! - wykrzyknął z oczami wciąż lśniącymi od wspaniałości, które widział. - I domy, które pną się w górę! I tylu ludzi!

Wydawało się, że lanie, jakie dostał od ojca - dla zasady, ponieważ wciąż nikt nie wiedział, jak to się stało - było niewielką ceną, jaką zapłacił za to, co zobaczył.

Tobiasz nie wiedział, w jaki sposób znalazł się w mieście tak odległym od rodzinnej wioski - stało się to w mgnieniu oka, jak powiedział, tuż po tym, jak dotknął dłońmi Eliego i znalazł się na rynku w Eaders Church - lecz, niestety, powrót był już zupełnie niemagiczny. Minęły długie dni, zanim udało mu się dostać do domu.

Kiedy na drugi dzień przybył królewski prokurator, sprawa o morderstwo znikła sama z siebie, choć niektórzy wieśniacy mruzcili coś posępnie na temat czarów. Prokurator, niewielki, okrągły, zadufany mężczyzna z malutką brodą o kształcie grotu, nalegał, żeby zabrać go do dwóch byłych więźniów, których już zwolniono i wypuszczono do obozowiska w Lesie Giermka, gdzie powrócili do stanu zbawczej anonimowości.

Wyciągając oznakę prokuratorowskiej władzy, przedstawiciel prawa zbliżył się do Eliego i nakazał:

- W imieniu Państwa i jego Władcy, Jego Wysokości Króla, nakazuję ci ujawnić, jak wysłałeś chłopca do Eaders Church.

Wielki mężczyzna wpatrywał się niewzruszony w prokuratora. Nagle wyciągnął rękę w jego stronę. Po chwili wahania prokurator podał mu pulchną dłoń i pozwolił ją ucisnąć.

Kiedy ojciec Bannity i inni obserwatorzy przestali już mrugać oczami, zobaczyli, że zamiast prokuratorowskiej togi prokurator bezsprzecznie ma na sobie szatę sędziego z kapturem, laur na skroniach i oznakę sędziowskiej władzy, złoty, okrągły wisior na złotym łańcuchu na szyi. (Niedźwiedź sugerowali, że jego broda wysunęła się bardziej do przodu we władczym geście, a oczy stały się z opętańczych świdrująco przenikliwe.) Były prokurator, obecnie sędzia pełną gębą, zamrugał i przesunął palcami po liściastym wieńcu na skroniach, a potem padł na kolana i zaczął mamrotać dziękczynną modlitwę.

- Dwanaściami lat czekał! - wykrzykiwał raz za razem. - Dzięki ci, Panie! Pomijano mnie i pomijano - ale nareszcie się spełniło!

Po chwili wstał i ze stosowną dla swego urzędu godnością zawyrokował:

- Ci ludzie nie wykonywali żadnych zabronionych prawem praktyk magicznych. Oświadczam, że są prawdziwymi wysłannikami Boga i powinni być traktowani z szacunkiem.

Kiedy spostrzegł, że jego trzos stał się cięższy o kilka złotych monet - stanowiących różnicę między poprzednią i nową pensją - nowo mianowany sędzia od razu sprzedał stary wóz i osła Penderowi, tutejszemu kowalowi, po czym opuścił wioskę w nowym powozie z

dwoma nowymi końmi i woźnicą. Później dotarli do wioski pogłoski, że dostał od króla Czternasty Okręg Sądowy.

W dzień po niezwyklej przemianie prokuratora, Las Giermka zaczął się wypełniać ludźmi z wioski, a także mieszkańcami okolicznych wiosek - gdyż na wsi wieści krążyły bardzo szybko - a obozowisko dwóch mężczyzn stało się celem ich pielgrzymek. Las zaludniał się w tak zastraszającym tempie, że ojciec Bannity i co rozsądniejsi okoliczni wieśniacy zaczęli się martwić, że wkrótce przybysze zdeptają las na amen, ale gajowi mogli odpędzać przybyszów równie skutecznie, jak zawrócić bieg wód na Krańcu Krainy.

Chociaż nie odprawiono z kwitkiem nikogo z tej chmary postulików, to nie wszyscy też zdążyli dostąpić łaski spełnienia swych najskrytszych marzeń - dłoń Eliego otwierała się raz na trzy, cztery osoby i niemożliwe było wymuszenie na nim czegokolwiek. Jeden z nich, garncarz Keely, chciał siłą rozewrzeć palce wielkoluda i wsunąć w nie swoją dłoń i chociaż mu się to nawet udało, nie zadziałała żadna magia, a jedynie następnego dnia cierpiał na silny ból głowy.

Niektóre z życzeń pielgrzymów okazały się zaskakująco przyziemne i miłe - pewnemu człowiekowi ozdrowiała chora krowa, syn pewnej kobiety odzyskał słuch, jaki miał przed napadem gorączki. Inni byli jeszcze bardziej przewidywalni, jak mężczyzna, który po uściśnięciu dłoni Eliego odkrył garniec ze złotymi monetami, zakopany pod starożytnym, przebudowywanym murem.

Ku zaskoczeniu wielu dwójka opóźnionych w rozwoju młodych ludzi, chłopak z chromą nogą i dziewczyna z wielkim różowym znamieniem na twarzy, którzy poszli do Eliego i których dłonie uściśnął, wyglądała tak samo jak poprzednio i pozornie z nią nic się nie stało. Ale w kilka dni później zapijaczony ojciec młodzieńca zmarł na epilepsję, zostawiając mu gospodarstwo, a okrutny, skąpy wuj dziewczyny, który traktował ją jak służącą, wpadł pod koła wozu i też dokonał żywota, zostawiając jej wolną wolę w sprawie ożenku, jeśli by ktoś ją oczywiście zechciał. Ta dwójka młodych w istocie się pobrała i wydawali się żyć we względnym szczęściu, pomimo że wciąż nosili znamiona zwyrodnienia, budzące współczucie wszystkich mieszkańców wioski.

Jedynym widocznym przejawem zawodności magicznego dotyku Eliego było to, co się stało z kowalem Penderem, który wybrał się do obozowiska jako potężnie zbudowany, umięśniony mężczyzna z brodą do pasa, a wrócił jako smukła panna posiadająca wszystkie kobiece atrybuty, włącznie z głosem. Tego samego wieczoru wyniósł się z wioski do pobliskiego miasta na osiołku, by zacząć nowe życie (tak przynajmniej powiedział sąsiadom), zamieniwszy wcześniej wóz prokuratora na kilka ślicznych kiecek, ale nikt nie był w stanie stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, jak mogło do tego dojść, skoro wszyscy inni tak dobrze wyszli na spotkaniu z Elim.

Wkrótce chroma młodzież i inni wdzięczni ludkowie postawili wielki namiot w Lesie Giermka - schronienie dla Eliego i Feliksa - i zaczęli im składać codzienne ofiary w postaci jadła i napitku. Ludzie przybywali z bardzo daleka, by spotkać dwóch nieznanymi, i miejscowi wieśniacy, którzy nawet nie dostąpili łaski uścisku dłoni milczącego olbrzyma, zaczęli uświadamiać sobie, jak bezcenna jest jego obecność: wioska zappełniła się

pielgrzymami, w tym żyjącymi w dostatku obywatelami, którzy byli gotowi zapłacić słońcą cenę za strawę i dach nad głową w bliskości słynnego cudotwórcy.

Ojciec Bannity, wciąż radując się ożywym światłem nowo odzyskanej wiary, nie wątpił, że Eli i Feliks są darem od Boga, lecz nie utracił ani wrodzonej ostrożności, ani zdrowego rozsądku, i martwił się tym, co działo się w jego do niedawna spokojnej wiosce. Wysłał posłańca do Dondolana z nowinami. Był to najbliższy akredytowany czarnoksiężnik, który miał pustelnię niedaleko wierzchołka

Niebosiężnej Góry. Czarnoksiężnik nie odwiedzał wioski od lat, ale kilkakrotnie spotkał się z księdzem. Bannity lubił maga i wierzył w jego trzeźwe spojrzenie na sprawy, z całą pewnością stosowniejsze od nastawienia członków wiejskiej starszyny, którzy pragnęli pielgrzymiego złota niczym dzieci zamknięte w beczce z syropem i zajadające się nim na śmierć.

*

Dondolan Bystrooki, jak nazywano go podczas studiów na Akademii, spojrzawszy na list od kapłana, a potem zeskoczył z fotela i zaczął się pakować (co zwykle czarodziejowi zajmuje dużo mniej czasu niż zwykłemu wędrowcowi). Posłaniec zapytał, czy będzie jakaś odpowiedź, ale Dondolan odparł: - Będę tam przed tobą. Jak powiedział, tak zrobił, i po prostu zniknął. Pojawił się w wiosce u podnóża góry i zabrał konia ze stajni - nawet utalentowany czarodziej nie będzie posługiwał się magią przez całą drogę, nie wiedząc, co może go spotkać u kresu, gdyż jest to zadanie niezwykle wyczerpujące pokłady magicznych sił - i wyruszył w dalszą podróż. Jedynie nieporadna próba napadu ze strony miejscowych rzezimieszków, którzy zaczęli się na niego na Przełęczy Pijanych Książąt, wydarzenie, które zwiększyło tylko populację żab w górach, mogło opóźnić nieco podróż, ale ta i tak odbyła się błyskawicznie i trwała dwa dni. Gardząc pospolitymi posłańcami, Dondolan wysłał przodem kruka i dlatego też na rozstaju dróg przed wioską wyszedł mu na spotkanie ojciec Bannity.

Kiedy już się przywitali - serdecznie, gdyż obydwaj darzyli się szacunkiem pomimo różnic dotyczących praktycznej strony teologii - Bannity poprowadził Dondolana przez pola wokół krańców wsi, żeby nie wywoływać większej wrzawy i plotek, niż to było potrzebne, gdyż cała wioska już i tak od nich huczała, a codziennie przybywający pielgrzymi podgrzewali jeszcze atmosferę.

- Życzysz sobie porozmawiać z tymi dwoma? - zapytał Bannity. - Będzie to trochę trudne, ale mogę przekonać wioskową starszynę żeby pozwolili nam zbliżyć się do obozowiska, choć trzeba będzie przedrzeć się przez ten oczadziały ludek, który tam mieszka - założyli właściwie całkiem nową wioskę w lesie.

- Nie będziemy podejmować żadnych kroków, dopóki nie zobaczą tych cudotwórców - odparł Dondolan. - Choć muszę przyznać, że twój opis w liście wywołał u mnie nieprzyjemne sensacje w brzuchu.

- Dlaczego? - zapytał z niepokojem Bannity. - Myślisz, że chcą komuś zrobić krzywdę? Martwiłem się głównie tym, że natłok pielgrzymów spowoduje wzrost przestępczości w

wiosce, bo ściągną t rozmaici złodzieje i naciągacze. Ale z całą pewnością dobry Bóg zesłał tych dwóch - tyle dobrego uczynili!

- Być może. Dlatego właśnie powstrzymam się z wyciąganiem wniosków do chwili, kiedy ich zobaczę.

Przedzierali się przez las między rozmodlonymi i rozśpiewanymi grupami pielgrzymów, którzy zgromadzeni wokół rozlicznych niewielkich ognisk przypominali raczej armię na dzień przed bitwą niż ludność zgromadzoną w lesie przy wiosce tak niewiele znaczące że nie dorobiła się nawet własnej nazwy. W miarę zbliżania się d wielkiego, jasnego namiotu i tłumu czekających przed nim ludzi niektórzy stali cierpliwie, a inni głośno domagali się przepuszczenia ich w kolejce do cudotwórców, gdyż mieli olbrzymie potrzeby - Bannity przedzierał się przez tę ciżbę z coraz większą trudnością. Żeby unaocznić, jak wielu przebywało tu obcych, wystarczy powiedzie że szanowany wioskowy kapłan nieomal wdał się w dwie bójki i jedynie dyskretne czary uspokajające Dondolana pozwoliły im przedostać się przez tłum bez zbędnej przemocy.

Wśliznęli się przez płachtę namiotu. Dondolan spojrział przez całą jego długość na cudowną parkę siedzącą jak pomniejsi magnaci na stolcach z wysokimi oparciami, które zrobili dla nich wieśniacy, na małego Feliksa i wielkiego mężczyznę ze zniekształconą czaszką.

Feliks drapał się i śmiał z czegoś. Eli patrzył z góry na jednego z kłęzących postulantów pustym, egocentrycznym spojrzeniem ropuchy, która czeka aż mucha odpowiednich rozmiarów pojawi się w jej zasięgu. Dondolan przełknął ślinę i wycofał się z namiotu, a Bannity podążył za nim. Kapłan dostrzegł nawet w skąnym świetle pochodni, że twarz maga pobieliała jak płótno.

- W istocie jest tak, jak się obawiałem, Bannity. To nie jest biedny wędrowiec w swej niewinności namaszczony boską ręką - a przynajmniej nie taki był wcześniej. Ten wielkolud to mroczny czarnoksiężnik Elizar Pożeracz, bicz boży południowych krain, największy wróg arcymaga Kettila z Grani Gromu.

- Elizar?

Bannity nagle poczuł, że traci dech. Nawet wiejski ksiądz słyszał o Pożeraczu, który palił całe miasteczka, ponieważ uwielbiał zasnute dymem niebo, który odprawiał wszeteczne rytuały, zamieniając ludzi w zwierzęta i zwierzęta w ludzi, i którego brutalną kampanię zatrzymał sam Kettil, największy czarownik tego stulecia. By pomóc młodemu królowi, zstąpił z Grani Gromu, gdzie mieszkał w lodowych jaskiniach, i pokonał wielką armię Elizara złożoną z toczących pianę ludzi-bestii na polach Herredsburn. Sam Kettil startł się w pojedynku z Elizarem na oczach dwóch zgromadzonych armii - niebo nad Herredsburn, co każdy pamiętał, rozgorzało od pół tuzina burz z piorunami i chociaż żaden z nich nie był w stanie pokonać drugiego, to Elizar uciekł z pola walki, a jego plany legły w gruzach i skrył się w nimbie mrocznego zapomnienia, który okrywał go przez lata - do tej chwili.

- Ten Elizar? - wymamrotał ojciec Bannity. - Tutaj?

- Klnę się na życie - odparł Dondolan - i może będę musiał żyłem zaryzykować. Nawet jeśli naprawdę postradał zmysły, to sam widok takiej osoby jak ja może mu je przywrócić.

- Ale nie możemy tak po prostu tego... zostawić. Nie możemy pozwolić, żeby tak było dalej.

- Nie, ale nie odważę się zbliżyć do niego. Jak mówisz, jego cuda są prawdziwe, więc wciąż dzierży wielką moc. Nawet jeśli pozostanie bez zmysłów, nie mogę pozwolić sobie na to, żeby spełnił moje najskrytsze marzenie. - Dondolan pokręcił głową, machając przy tym siwą brodą. - Serce czarodzieja, nawet względnie przyzwoitego jak ja, jest pełne mrocznych pęknięć. Wiąże się to ze światem, który zamieszkujemy, z mądrościami, które zgłębiamy, z mocami, które uczymy się okiełznywać, nawet jeśli nie w pełni je rozumiemy. - Uśmiechnął się, ale nie był to radosny uśmiech. - Szczerze mówiąc, nie znam swego najskrytszego pragnienia i nie mam ochoty poznawać go w ten sposób.

- Nie jestem... nie jestem pewien, czy wiem, o czym mówisz.

- A jeśli moim najskrytszym marzeniem jest zostać największym czarnoksiężnikiem wszech czasów? Kiedyś tego pragnąłem, kiedy jako młodzik wstępowałem do Akademii. Co będzie, jeśli to pragnienie nie zniknęło, a jedynie tkwi gdzieś ukryte w środku? - Ponownie pokręcił głową. - Nie odważę się tego sprawdzić.

- Ale co będzie, jeśli zwykły śmiertelnik - nie czarodziej - ma takie samo najskrytsze marzenie? Albo jeszcze coś gorszego, zażyczy sobie końca świata lub podobnej nedorzecznosci?

Dondolan spojrzał przenikliwie na kapłana.

- Jak dotąd nic takiego nie miało miejsca. W gruncie rzeczy moc Elizara nie skrzywdziła dotąd nikogo z wyjątkiem, jak mi przekazałeś, dwójki staruchów, którzy z rozmysłem stali na drodze szczęścia swych dzieci. Ale nawet tutaj nie możemy dowieść, że to nie przypadek ich wyeliminował. Być może są w magii Elizara jakieś ograniczenia - coś, co zakazuje mu spełniania wszelkich innych życzeń poza dobroczynnymi. Nie wiem. - Spojrzał w górę. - Wiem natomiast, że musimy dowiedzieć się więcej, zanim zdecydujemy. Nie możemy, jak mówiłeś, zostawić sprawy samej sobie, na pewno nie w obecności Elizara Pożeracza, otoczonego żarliwymi pomocnikami, zajętego czynieniem cudów, bez względu na to, jak by były zbawienne dla ludzi. - Dondolan pogładził się po długiej brodzie. - Nie wspominając już o takiej możliwości, że jest to jakaś okrutna sztuczka Elizara - że może udawać, że postradał zmysły, i knuje, żeby znów odzyskać Środkową Krainę. - Zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Kiedy kładą się spać?

- Wkrótce. Kiedy mój kościelny bije w dzwony na wieczorne nabożeństwo.

- Poczekaj, aż dzwon zacznie bić, ojcze, a potem przyrowadź mi tego Feliksa.

*

Wydawało się, że niewielki człowieczek z ulgą się dowiedział, że zostali rozpoznani.

- Tak, to prawda. Niegdyś był Elizarem, największym z czarnoksiężników.

- Oczywiście po arcymagu Kettilu - dodał Dondolan.

Feliks machnął tylko ręką.

- Mój pan wlał duszę w pięć tysięcy ludzi-bestii pod Herredsburn, kierując nimi w bitwie. Oprócz tego stał się z Kettilem Jastrzębim Obliczem i oparł się mu.

- Wcale nie tak było - przerwał niecierpliwie ojciec Bannity. - Dlaczego teraz jest taki? Czy to jakiś nowy spisek, jakaś jego nowa diabelska sztuczka?

- Gadaj prawdę, sługo, i nawet nie myśl, żeby mnie zwieść - wtrącił się Dondolan ostrym głosem. - Sam Kettil już pewnie poznał wieści. Nie zajmie mu więcej czasu niż mnie, by pojąć, że ten Eli to w istocie jego stary arcywróg.

Feliks westchnął.

- Tedy znów przyjdzie nam ruszyć w drogę. Smutne to. Podoba mi się tutaj.

- Do pioruna, człecz, jeden z najniebezpieczniejszych ludzi na świecie śpi od nas o dwadzieścia kroków! Gadaj, co wiesz!

- Być może jest niebezpieczny, ale dla was. - Feliks pokręcił głową. - Nie, nawet nie dla was - nie teraz. Nie ma w tym żadnej sztuczki, czarodzieju. To, co widzicie, to prawda. Stary Elizar zniknął, a na jego miejsce pojawił się tępy Eli. To było po Herredsburn, kiedy król i wasza rada czarnoksiężników nas wygnała. Wszyscy jego ludzie-bestie albo polegli, albo wrócili do poprzedniej formy, mój pan opuścił pole walki i wycofał się do swej tajemnej siedziby w Górach Mrocznych Stoków.

- Podejrzewaliśmy, że ma tam swoją kryjówkę - zamruczał Dondolan - ale nie mogliśmy jej znaleźć.

- Bardzo chciał się zemścić na Kettilu i innych - kontynuował Feliks. - Nigdy go takim nie widziałem. Był wściekły, ale też znużony i zrozpaczony. - Człowieczek spoglądał przez chwilę na księdza i czarodzieja. - Raz, pośrodku nocy, obudził mnie ze snu jakiś dźwięk i spostrzegłem, że on płacze.

- W to już nie uwierzę - rzekł Dondolan. - Elizar Pożeracz?

- Wierzcie, panie, w co chcecie. Zawsze było w nim coś takiego, czego nie mogli pojąć panowie z rady. Tak czy inaczej, wbił sobie do głowy, że stworzy Amulet Pragnień, który swemu posiadaczowi zapewni to, czego najbardziej pragnął. Przez wiele miesięcy - niemal rok - śledził jego legendę na wielu zapomnianych duktach, w starych księgach i zwojach. Rozmawiał z tak przerażającymi stworzeniami, że nie byłem w stanie nawet wysiedzieć z nimi pod jednym dachem. - Wspomnienia te wciąż wywoływały u Feliksa przerażenie, choć jednocześnie był dumny ze swego mężnego pana. - I w końcu nadszedł czas. Głęboko w naszych jaskiniach w Górach Mrocznych Stoków przyszykował wszystkie zaklęcia. Pomagałem mu najlepiej, jak umiałem, ale tylko sługą, a nie nekromantą. Podkładałem do ognia, polerowałem retorty, przynosiłem odpowiednie przedmioty z naszego relikwiarza. W końcu sfery niebieskie stanęły w jednej osi i wtedy rozpoczął Wezwanie Pustych Bogów. Przez całe bezsenne noce trwał w kleszczach lęku i nie widziałem go takim nawet w przeddzień bitwy pod Herredsburn, kiedy wciąż w swoim zasięgu miał panowanie nad całym światem. Błady, z oczami jak spodki, mówiący do siebie, jakby mnie tam w ogóle nie było, był jak więzień, który pragnie za wszelką cenę wyrwać się z okowów niezależnie od tego, czy miałyby to oznaczać zerwanie łańcuchów czy powrót kata.

Feliks westchnął i szybko wytarł oczy, a Dondolan tymczasem niecierpliwie bębnił palcami.

- Zakłęcie trwało godzinami - mówił dalej mały człowieczek. - W mrok wykrzykiwano imiona, które raniły mi uszy. W pewnym momencie uciekłem, przerażony cieniami kłębiącymi się w komnacie, które zdawały się płaszać wokół mnie. Wróciłem dopiero wtedy, kiedy usłyszałem chrapliwy triumfalny okrzyk mego pana. Stał w środku sali z mistycznym wykresem i unosił w dłoni coś, co ledwo mogłem dostrzec, coś, co lśniło czerwonym i czarnym poblaskiem...

- Nic nie może lśnić na czarno - stwierdził Dondolan. Nieco płaczącym głosem, jak pomyślał sobie Bannity. - To nie ma sensu.

- Niewiele z tego, co się wydarzyło, ma jakiś sens, ale nie zmienię swojej opowieści. Lśniło na czerwono i czarno. Elizar trzymał to coś nad głową, krzycząc chrapliwym głosem: - Spełniło się moje największe marzenie...! - a później sufit się zawalił.

- Zawalił? - zapytał Bannity. - Ale jak? Wydawało mi się, że byliście w górskiej jaskini.

- Ano byliśmy - potwierdził Feliks. - Wciąż jeszcze nie jestem pewien, jak to się stało - wydawało mi się, że przeżuwa nas jakaś wielka paszcza, żuje i żuje bez końca, a potem wypłuwa. Kiedy się obudziłem, obydwaj leżeliśmy na zboczu pod wejściem do kryjówki, które było zawałone skalnymi głazami. Elizar zachowywał się tak jak teraz, był złamany i milczący, a głowę miał mocno pokrwawioną, biedaczysko. Amuletu nie było. Niczego nie było. Pomogłem mu wstać, a potem potykając się i pełzając w dół, dotarliśmy do opuszczonej chaty rękawicznika, który zbiegł, kiedy góra się zatrzęsała. Ogoliłem głowę mego pana i opatrzyłem rany. Zjedliśmy wszystkie zapasy rękawicznika, ale kiedy się już skończyły, nie pozostało nam nic innego jak tylko wieść żywot wędrownych żebraków. - Mały, pomarszczony mężczyzna rozłożył ręce. - Ja nie potrafię czarować.

- Czy chłopak z wioski, ten, którego Elizar posłał do Eaders Church, był pierwszym... dotkniętym?

Feliks pokręcił głową.

- Mój pan chwycił dłonie kilku ludzi, głównie tych, którzy hojnie zapełniali nasze żebracze miski, i czasami coś się działo. Nikt nie odniósł szkody, wszyscy na tym skorzystali - dodał obronnym tonem.

- A ty? - zapytał stanowczo Dondolan. - Ty pewnie dotykałeś jego rąk wielokrotnie, od kiedy to się zdarzyło. Co z tobą?

- A cóż się mogło stać? Ja już spełniłem marzenie mego życia. Zawsze chciałem tylko mu służyć. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy przed gmachem Akademii, wiedziałem, że to moje przeznaczenie na dobre i na złe.

Dondolan westchnął.

- Niewątpliwie na złe, przynajmniej dotychczas. Nie jesteś prawdziwym łotrem, Feliks, ale służyłeś złemu człowiekowi.

- Wszyscy wielcy są przez niektórych uważani za złych ludzi.

- Ale nie wszyscy wielcy sprawiają, że wieśniakom wyrastają łby wściekłych dzików - zauważył Dondolan. - I nie wszyscy wielcy ubierają się w płaszcze zrobione ze skóry innych czarodziejów.

- Zabijał tylko tych, którzy zwracali się przeciwko niemu. - Feliks najwyraźniej szedł w zaparte. - Tylko tych, którzy mogli zabić jego.

Dondolan wpatrywał się w niego przez chwilę.

- To teraz nieistotne - rzekł w końcu. - Jak mówiłem, Kettil pewnie już usłyszał wieści i domyślił się, kto tu przebywa. Arcymag przybędzie i wszystko się zmieni.

- Tedy musimy ruszać w drogę - powiedział Feliks, podnosząc się z ciężkim westchnieniem. - Ruszymy dalej. Wciąż są jeszcze miejsca, w których możemy wieść spokojny żywot, jeśli tylko będę w stanie przekonać mego biednego pana, żeby trzymał ręce przy sobie.

- Nie ośmielę się was zatrzymywać - odparł Dondolan. - Lękam się obudzić twego pana, jeśli naprawdę drzemie pod tym poobijanym czerepem - przyznaję, że nie jestem dla niego godnym przeciwnikiem. Ale nawet jeśli uciekniecie, nie umkniecie mocy Kettila.

„Nieważne. Co ma być, to będzie” - pomyślał Bannity, ale częśćka jego nowo odzyskanego spokoju uleciała wraz z ujawnieniem tożsamości Eliego. Czy jest to zmieniony Elizar czy też wilk w owczej skórze, to i tak wszystko w rękach Boga. Któż bowiem może zaprzeczyć, że to Jego ręka sprawiła te wszystkie cuda?

*

Ale Eli nie zamierzał opuszczać lasu, pomimo nalegań Feliksa. Niemy olbrzym opierał się jak głaz wryty głęboko w błoto - nie docierały do niego ani błagania, ani przekonywania sługi - w rzeczy samej nie wykazywał oznak, że w ogóle je słyszy.

Dondolan i Bannity, zbrojni w wiedzę o prawdziwej tożsamości cudotwórcy, przekonali w końcu struchlałą wioskową starszyznę, że przynajmniej na razie należy rozpuścić tłumy w lesie. Przy wsparciu miejscowego kontyngentu żołnierzy, skuszonych otrzymaniem części dóbr pozyskanych podczas długiego sezonu cudów, oczyścili las z pielgrzymów, zmuszając ich do powrotu do wioski i na okoliczne pola, gdzie miejscowi sprzedawcy amuletów i mikstur z radością dostarczali im substytuty ukontentowania czy też przynajmniej jego obietnicę.

Kiedy jednak opustoszały obozy, ostatni przybysze przynieśli wieści, że zdąża tu sam Kettil Jastrzębie Oblicze. Niektórzy widzieli jedynie wielką burzę kotłującą się nad Granią Gromu na jasnobłękitnym niebie, inni zaś samego arcymaga, który pędził po górskim zboczu na wielkim białym rumaku, błyskając tak, jakby sam się zamienił w grom z jasnego nieba. Tak czy inaczej, ci zawróceni z Lasu Giermka spodziewali się teraz czegoś innego i ich szeroki strumień na drodze wiodącej obok bezimiennej wioski oczekiwał na największego, najbardziej cenionego czarnoksiężnika na świecie.

Ojciec Bannity zastanawiał się, czy Elizar wyczuwa nadejście swego wielkiego rywala, więc poszedł do Lasu Giermka i do stratowanego obozowiska, na którym stało teraz na straży jedynie kilku wynajętych żołnierzy.

W namiocie pomarszczony Feliks podniósł wzrok znad miski ze strawą i pomachał Bannityemu, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Natomiast na twarzy Elizara jak dawniej widać było jedynie pustkę, jakby nie zauważył on, że tłum pielgrzymów zniknął i że zostali sami. Siedział z wzrokiem wbitym w ziemię, a jego wielkie dłonie zamykały się i rozwierały bardzo wolno, tak że ojciec Bannity mógł policzyć kilka niezwykle wyraźnych uderzeń serca między rękami zaciśniętymi w pięść i rozwartymi palcami. Wygolona głowa wystająca z czarnej szaty przypominała wielkie jajo, z którego Bóg raczył wiedzieć, co mogło się wykluć. „Dlaczego tu przyszedłem?” - pytał się w myślach. „Żeby drwić z najczarniejszego maga naszych czasów?” Ale wiedział, że musi zadać to pytanie.

- Naprawdę cię tam nie ma, Elizarze? - zapytał kapłan drżącym głosem.

Modlił się do Boga, żeby dał mu siłę. Uświadomił sobie teraz, jak nigdy dotąd, że przed nim siedział człowiek o mocy tak wielkiej, że był w stanie za jej pomocą niszczyć całe miasta z taką łatwością, jak zwykły człowiek depta mrowisko. Ale Bannity musiał spytać:

- Czyś prawdziwie wyprany ze swej mocy czy też jest w tobie dawna iskra, która mnie słyszy? - Przemknęła mu pewna myśl. - Czyś sprowadził to na siebie za sprawą magicznego amuletu? Kiedy nadszedł czas na spełnienie twego najskrytszego marzenia, czy to Bóg usłyszał głos skrytej części ciebie, która była już znużona śmiercią, mękami i mroczną nienawiścią, która zapragnęła wykonywać boskie dzieło dla twych bliźnich, zamiast nieść im krew, pożogę i grozę?

Eli nie podniósł wzroku ani nie zmienił wyrazu twarzy i w końcu ojciec Bannity sobie poszedł. Feliks obserwował go ze zdziwioną miną, po czym wrócił do posiłku.

*

Pojawił się na głównym trakcie w zgiełku wiwatujących tłumów, jakby był zwycięskim bohaterem - którym w końcu naprawdę był. Bannity obserwował, jak ludzie krzyczą i skandują imię Kettila, kiedy czarodziej wjeżdżał na białym koniu do wioski, ci sami ludzie, którzy do niedawna kulili się w błocie przed namiotem Eliego, błagając, by ich wpuścić do środka. I zadumał się kapłan nad niezbadanymi ścieżkami Opatrzności.

Kettil Jastrzębie Oblicze był młodszy, niż ojciec Bannity przypuszczał, albo też sprawiły to jego czary. Wyglądał na mężczyznę w kwiecie wieku ze złotymi lokami jedynie nieznacznie przyprószonymi siwizną, a wyraziste rysy męskiej twarzy wciąż opierały się upływającym latom. Największe wrażenie jednak robiły jego oczy: nawet ze znacznej odległości błyskały lodowatym błękitem, a z bliska trudno było w nie spojrzeć - taka była moc jego chłodnego spojrzenia.

Bannity i Dondolan wyszli na spotkanie arcymaga na skraju lasu. Kettil skinął głową czarnoksiężnikowi, ale zdawał się w ogóle nie dostrzegać kapłana, chociaż Dondolan go przedstawił.

- On jest... - zaczął Dondolan, ale Kettil uniósł tylko dłoń i pomniejszy mag zamilkł.

- Wiem, gdzie jest. - Miał głos, który doskonale pasował do oczu, mroźny i władczy. - I wiem, czym jest. Ścierałem się z jego podłością przez pół mego długiego życia. Nie trzeba mi mówić, gdzie się znajduje - wyczuwam go jak ogar swą zdobycz.

„No to dziwne, żeś nie znalazł go wcześniej” - pomyślał Bannity, ale zaraz pożałował swej małostkowej złośliwości.

- Ale nie jest to ten sam potwór, którego znałeś, arcy maga...

Kettil dopiero wtedy zaszczycił go spojrzeniem, ale krótkim, po czym znów odwrócił wzrok.

- Takie stwory się nie zmieniają - rzucił do Dondolana.

Bannity znów spróbował:

- Uczynił wiele dobrego...!

Kettil uśmiechnął się zgryźliwie.

- Czy wskrzesił tych wszystkich, których zabił? Odbudował spalone przez siebie miasta? Nie mów o rzeczach, których nie rozumiesz, klecho. - Zsunął się ze swego masywnego konia. - Pójdę tam i zobaczymy, jakie diabelstwo tam się czai.

Bannity musiał przyznać, że arcy mag był godzien swej legendy. Wkroczył do lasu bez broni, jeśli nie liczyć różdżki z poskręcane go korzenia brzozy, powiewając długą czupryną, a jego błękitna szata sunęła za nim, jakby wciąż stał na wyżynach Grani Gromu. Bannity spojrzał na Dondolana, który przybrał wystudiowaną, nieprzeniknioną minę. Obydwaj poszli w ślad za Kettilem do Lasu Giermka.

Ku zaskoczeniu Bannity'ego Eli stał samotnie u wejścia namiotu, spoglądając na szeroką polanę.

- Ejże, Pożeraczu! - Głos Kettila odbił się echem głośnym jak dźwięk rogu myśliwskiego, ale Eli spojrzał tylko na niego obojętnie, a jego wielkie ramiona zwiślały mu z rękawów jak wiszące na grzędzie nietoperze. - W końcu znów cię naszedł!

Bezwłosy olbrzym zamrugnął, odwrócił się i zniknął w namiocie. Kettil poszedł w ślad za nim, przemierzając polanę sprężystymi, długimi krokami. Bannity chciał iść w jego ślady, ale Dondolan złapał go za ramię i powstrzymał.

- To wykracza poza twoje i moje kompetencje.

- Nic nie wykracza poza kompetencje Boga! - wykrzyknął Bannity, ale Dondolan Bystrooki miał najwyraźniej wątpliwości.

W kilka chwil potem z namiotu wygramolił się Feliks, który machał rękami, jakby opadł go rój wściekłych pszczoł.

- Stanęli na wprost siebie! - zaskrzeczał, po czym potknął się, padł jak długi i potoczył się wprost pod stopy Bannity'ego. Książd pomógł mu wstać, wciąż spoglądając na namiot. - Nie odzywają się do siebie, a tylko wlepiają w siebie wzrok. Powietrze zgęstniało niemożliwie!

- Wygląda na to... - zaczął Dondolan, ale nie skończył, bo w tej samej chwili cała polana - a w zasadzie cały las i niebo nad nim - jakby zaczerpnęła tchu. Nagły, potworny ból w uszach cisnął Bannity'ego na kolana i później nagle wszystko się rozstało na boki -

światło, kolory, żar, powietrze jakby umknęły na wszystkie strony, rozciągając kaptana na ziemi i obtaczając go kilkakrotnie.

Kiedy ucichł ten potworny wicher, Bannity leżał jeszcze długo, niezmiernie zadziwiony, zastanawiając się nad nieskończonymi umiejętnościami Boga, który potrafił stworzyć cały wszechświat, a teraz, co było aż nadto widoczne, zamierzał wszystko ponownie rozebrać na czynniki pierwsze. I nagle potężny wybuch płomieni i ryk pędzącego powietrza sprawiły, że podniósł się na kolana i, wbrew zdrowemu rozsądkowi, usiadł, by zobaczyć, co się dzieje.

Namiot spowijały płomienie, a drzewa wokół straciły liście i całe poczerniały. Ojciec Bannity wpatrywał się w to wszystko, a dwie postacie jakby z gęstniejącego dymu zapierały się przed naporem żaru, jedna przypominająca słup mroźnego, niebieskiego światła z płomykami tańczącymi wokół jasnych włosów i brody, a druga rosnąca, unosząca się jak cień wirującej czerni.

- Wiedziałem, żeś tylko udawał, demonie! - zakrzyknął Kettil Jastrzębie Oblicze, machając rękami w powietrzu i strzelając snopami światła z końców palców. - Pożeraczu! Od dawna znam twoją przebiegłość!

Cień, który wcześniej zdawał się spowijać postać arcymaga jak płonący całun, teraz zaczął wzbijać się w górę i unosił się tuż nad głową Kettila. W tej kłębiącej się, wirującej mgłę można było dostrzec twarz i Bannity nie mógł się nadziwić, opętany szaleńczą zgrozą, że była ona i jednocześnie nie była odzwierciedleniem oblicza milczącego Eliego.

- Będziesz zdychał przez stulecia, moja w tym głowa, Jastrzębie Oblicze! - zaskrzeczał czarny kształt głosem, który wydawał się nieść echem aż do odległych wzgórz, po czym wzniósł się w górę jak wielki nietoperz z dymu i iskier i odleciał na południe.

- Panie! - krzyknął Feliks, po czym potykając się, wybiegł z lasu w ślad za szybko znikającą plamą ognistej czerni i również zniknął z pola widzenia.

Kettil Jastrzębie Oblicze w jasnych szatach usmarowanych popiołem, z nadpalonymi bokobrodami i włosami, pomaszerował w przeciwną stronę, w kierunku wioski, wystudiowanym krokiem osoby, która właśnie wykonała niebezpieczne i niewdzięczne zadanie i nie zamierza czekać na słusznie należące się jej oklaski.

Kiedy wyłonił się z lasu, stanął przed setkami gapiów i uniosł ręce do góry w triumfalnym geście.

- Odkryliśmy i pokonali zło niesione przez Elizara Pożeracza, który pokonany odleciał na ciemnogrodzkie południe! - wykrzyknął arcymag. - Wy, mieszkańcy Środkowej Krainy, możecie odetchnąć z ulgą, mając świadomość, że niecny plan Pożeracza spalił na panewce.

Tłum zaczął wiwatować, ale wielu ze zgromadzonych nie wiedziało, co ma o tym myśleć i ich reakcja na to, co się stało, nie była tak jednoznaczna, jak być może spodziewał się Kettil. Nie zaszczycił nawet słowem swego kolegi Dondolana, ale wsiadł na konia i pogalopował na północ w kierunku Grani Gromu w otoczeniu grupki maluchów, które oczekiwały od niego deszczu drobniaków i odrobiny cudów.

Bannity i Dondolan obserwowali w milczeniu, jak wyprostowana jak struna sylwetka robi się coraz mniejsza, aż w końcu niknie w oddali. Tłum nie rozszedł się od razu, ale do

wielu z nich dotarło, że nie ma sensu już się tu tłoczyć, o czym świadczyły stłumione i żałosne nawoływania sprzedawców pożywienia, handlarzy odpustami i wędrownych alchemików.

- A więc wszystko dobrze się skończyło - stwierdził ojciec Bannity na poły do siebie. - Zło, jakie rozsiewał Elizar, zostało ujarzmione i pokonane.

- Może i tak - odparł Dondolan. - Ale w głębi duszy zastanawiam się, czyje najskrytsze marzenie zostało dzisiaj spełnione.

- Co masz na myśli? Myślisz, że oni... podali sobie dłonie?

Dondolan westchnął.

- Nie zrozum mnie źle. Jest całkowicie prawdopodobne, że dziś świat uniknął wielkiego zła - Elizar zawsze był podstępny i spiskował, a niektóre z jego intryg były niezwykle misterne. Ale jeśli ich dłonie zetknęły się naprawdę, to myślę, że można stwierdzić, że tylko jednemu z nich dane było spełnić swoje najskrytsze marzenie.

- Nie pojmuję.

- Elizar może nie był najszcześliwszym z ludzi jako tępy cudotwórca Eli - odparł Dondolan - ale wydawał się pogodzony ze sobą. Teraz jednak znów zmienił się w Pożeracza i Kettil znów ma wroga godnego swej dumy i mocy.

Bannity zamilkł na dłużej, obserwując, jak niebo ciemnieje, a słońce chowa się za Las Giermka.

- Ale z pewnością Bóg nie dopuści, żeby zło Elizara ponownie zagościło na świecie tylko dlatego, że jego wrogowi go brakuje - Bóg z pewnością ma inny plan wobec ludzkości!

- Może i ma - odparł Dondolan Bystrooki. - Może. Przemyslimy to wspólnie, kiedy wrócimy do kościoła, a ty wyciągniesz tę butelczynę okowity, którą trzymasz na specjalne okazje.

Ojciec Bannity pokiwał głową, zrobił kilka kroków i odwrócił się.

- A skąd wiesz o tej okowicie?

Kapłan odniósł wrażenie, że Dondolan uśmiecha się nieco zgryźliwie.

- Jestem czarownikiem, zapomniałeś? My wiemy prawie wszystko.

DZIEŃ NADANIA IMIENIA

PATRICIA A. MCKILLIP

*Patricia A. McKillip zdobyła pierwszy World Fantasy Award w 1975 roku za powieść Zapomniane bestie z Eldu i od tamtej pory stała się jedną z najwybitniejszych współczesnych pisarek fantasy. W jej pokaźnym dorobku są takie książki jak Mistrz Zagadek z Hed, Dziedziczka Morza i Ognia, Harfista na wietrze, The Book of Atrix Wolfe, The Changeling Sea, The Sorceress and the Cygnet, The Cygnet and the Firebird, Fool's Run, The House on Parchment Street, Moon-Flash, The Moon and the Face, The Throne of the Erril of Sherrill, Song for the Basilisk, Winter Rose, Wieża w kamiennym lesie, The Night Gift, Riddle of Stars, In the Forests of Serre, Alphabet of Thorn i Od Magic. Otrzymała drugą World Fantasy Award w 2003 za *Ombria in Shadow* i trzecią w 2008 roku za całokształt twórczości. Jej najnowsze książki to zbiór krótkich form literackich *Harrowing the Dragon* oraz powieści *Solstice Wood* i *The Bell at Sealey Head*. Urodzona w Salem w stanie Oregon, mieszka obecnie w North Bend w stanie Oregon.*

W przepętnionym łagodnością i współczuciem dla bliźniego poniższym opowiadaniu ukazuje, że jeśli imiona mają Moc - a mają - to lepiej jest dobrze się zastanowić, nim się jakieś dla siebie wybierze.

Averil wpatrywała się sennym wzrokiem w owsiankę i zastanawiała się nad sobą. Za dwa dni będzie Dzień Nadania Imienia w Szkole Taumaturgii Oglesby, półmetek trzyletnich studiów. Ci studenci, którzy przebrnęli przez pierwsze półtora roku z zadowalającymi ocenami z takich przedmiotów jak prestigiatorstwo, legendarne stworzenia, łacina, alfabety magiczne, wykorzystywanie i nadużywanie żywiołów oraz historia czarnoksiężstwa mogli wybrać sobie tajemne imiona, których będą potrzebować przy dalszych studiach. Averil osiągnęła najwyższe wyniki ze wszystkich przedmiotów i aż się paliła do tego, by zgłębiać szerzej i dogłębniej tajemniczą sztukę czarnoksiężską taumaturgii. Ale pod jakim imieniem? Nie potrafiła się zdecydować. Które z nich w najlepszym stopniu mogło wyrażać jej talenty, potencjał, źródła jej magii? A co ważniejsze, którym z nich będzie mogła radować swoje sekretne ja do końca życia?

Może wybrałabyś imię od twego ulubionego drzewa, zasugerowała panna Braeburn, szkolny psycholog. Albo zwierzęcia czy ptaka. Mogłabyś przyjąć imię od jednego z nich. A może od jednego z czterech starożytnych żywiołów. Może od jakiegoś atrybutu ognia. Albo wody.

Averil wyciągnęła swe długie, kształtne ciało i przyszyły jej na myśl jasne włosy. Może łabędź? - zastanawiała się. A może coś związanego z wiatrem? Bardziej pasuje do mnie powietrze niż ogień. Z całą pewnością nie ziemia. Może woda?

- Mater - zaczęła. Musiała ćwiczyć łacinę, w której starożytni czarodzieje zapisali połowę wszystkich zaklęć. - Co ci przychodzi do głowy, kiedy myślisz o mnie?

Jej matka przewracała plastry boczku na kuchence i posłała jej żałosne spojrzenie pełne niedowierzania. Znów była w ciąży, w jej wieku, i brały ją nudności w najdziwniejszych momentach. Niefortunna sytuacja, pomyślała w skrytości ducha Averil, ponieważ przeprowadzili się z domu na przedmieściach do o wiele mniejszego mieszkania w mieście specjalnie dla Averil, żeby miała bliżej do Oglesby. Gdzie, zastanawiała się, jej małe praktyczni rodzice planują umieścić noworodka? W koszu na brudną bieliznę? W pomieszczeniu na garderobę razem z Feliksem, gdzie najpewniej zostanie wciśnięte pod jego łóżeczko wśród zabawek i butów? Jej brat wybrał sobie dogodny moment, by oderwać ją od nurtujących ją pytań i walnął piąstką w zęby widelca, którego rączka z całą siłą podrzuciła leżącą na wierzchu łyżkę, a ta poszybowała wysoko w górę.

- Felix! - krzyknęła matka. - Przestań!

- Boczek, boczek, ja chcę boczku! - krzyczał Felix.

Łyżka odbiła się od jego główki i z brzękiem wylądowała na podłodze. Zmrużył oczy i szeroko otworzył buzię. Averil wstała pospiesznie, zanim zaczął wyc.

- Averil... czekaj. Zatrzymaj się.

- Mamo, muszę lecieć, bo się spóźnię.

- Proszę cię, żebyś przyszła do domu od razu po lekcjach. - Felix wydał z siebie przeraźliwy krzyk, więc matka musiała podnieść głos. - Chcę, żebyś zajęła się Feliksem.

Przerażone, fiołkowe oczy Averil spojrzały z ukosa na drącego się braciszka, któremu widać było migdałki. Właśnie skończył cztery lata i Averil szczerze wątpiła, by ten chudy, bezmyślny, psotny i nadpobudliwy szkrab miał po kolei w główce.

- Przepraszam, mam. - Pospiesznie chwyciła torbę z podręcznikami. W końcu jej matka nie miała innych zajęć. - Po szkole mam zajęcia w kółku.

- Averil...

- Mamo, to ważne! Jestem dobrą uczennicą - jedną z najlepszych w całym dziesięcioleciu, jak mówi panna Braeburn. Uważa, że jeśli utrzymam takie dobre oceny, to dostanę pełne stypendium do Uniwersytetu Pradawnych Sztuk. Właśnie po to się tutaj przeprowadziliśmy, prawda? Poza tym nie mogę zawieść przyjaciół. - Coś w wyrazie twarzy jej matki, nie tak znów odmiennego od mieszaniny podziwu i desperacji, którą okazywali mniej zdolni uczniowie w obecności Averil, sprawiło, że pospiesznie wyszła zza stołu, starając się nie potrącić Feliksa torbą, i cmoknęła mamę w policzek. - Pomogę ci po Dniu Nadania Imienia. Wtedy będę miała czas.

Omawiała tę sytuację z przyjaciółmi, Deirdre, Tamarą i Nicholausem, po drodze do szkoły.

- Moja mama powinna mnie zrozumieć. W końcu sama niemal ukończyła tę szkołę. Wie, jak ciężko jest nam się uczyć.

- Naprawdę? - zapytał ją Nicholas, błyskając dociekliwie szklami okularów bez oprawek. - Dlaczego nie ukończyła szkoły? Czy coś zawałiła?

Averil wzruszyła ramionami.

- Powiedziała mi, że rzuciła szkołę, żeby wyjść za mąż.

- Urocze!

- Cóż, nie mogła zostać w szkole ze mną w drodze, kiedy wokół wszyscy uczniowie rzucali zaklęcia na praktykach. Mogłam się urodzić jako wombat albo jeszcze coś innego.

Deirdre zachichotała i przez chwilę poprawiała zapinkę w kształcie motyla na swych niesfornych, rudych lokach.

- Młodzi bracia to prawdziwa plaga, mam rację? Z moimi jest wieczna udręka. Wkładają mi ślimaki do butów, bazgrzą po zeszytach, zawsze biadolą i podjeżdżają jak gotowane brokuły.

Tamara, najwyższa z nich wszystkich, która posuwała się tanecznym krokiem, strząsnęła długie, czarne, lśniące włosy z twarzy i uśmiechnęła się.

- Ja lubię mojego młodszego braciszka, ale wciąż z niego straszny dzieciak. Są takie słodkie, dopóki nie zaczną ząbkować i mieć swoje zdanie.

Averil wymamrotała coś pod nosem, wbijając wzrok w chłopca o białozłoty włosach, który czekał na nią przed bramą. Wzięła głęboki oddech, a powietrze wokół niej jakby się rozpałiło i zaczęło świecić.

- Jest Griffith - stwierdziła i wkroczyła do swego zaczarowanego świata pełnego przyjaciół i wyzwania za kamienistym, ciemnym murem szkoły, a Griffith o wysokich kościach policzkowych i szerokich ramionach patrzył, jak się w nim pojawia.

Obserwował ją ktoś jeszcze: nieruchoma, milcząca postać na trawniku za kutymi kratami ogrodzenia. Intensywność tego spojrzenia zdawała się wylewać z niego jak zaklęcie, przyciągając jej wzrok, aż zaskoczona oderwała oczy od Griffitha, by zobaczyć, kim był nieznajomy.

Ale nie był to nieznajomy, tylko Fitch, który zamrugał pod wpływem jej spojrzenia i schował się w sobie jak żółw. I tak mu pomachała, naśmiewając się odrobinę, choć myślami była już całkowicie gdzie indziej.

Na lekcjach Averil dostała najwyższą ocenę za koniugacje łacińskie, wymówiła runę tak poprawnie, że Dugan Lawler myślał przez jakiś czas, że jest papugą, i wraz z Griffithem dostała najlepszą ocenę za pracę domową z historii, w której prześledzili historię szkoły w Oglesby aż do czasów, kiedy rosła tu potężna knieja, a pierwsi uczniowie poznawali pod starożytnymi dębami tajniki prymitywnej magii. Wraz z Griffithem odgrywali rolę nauczycielki i ucznia i rzucili nawet kilka starych zaklęć, a od jednego z nich zajęła się ogniem dębowa laska pana Addisona i włączyły się spryskiwacze przeciwpożarowe. Ale pan Addison, kiedy już naprawił swoją laskę i wysuszył kałuże za pomocą starannie dobranych słów, pochwalił ich za twórczą interpretację historycznych wydarzeń.

Po szkole wraz z Griffithem, Nicholausem, Tamarą i Deirdre poszli uczyć się do domu Griffitha. Było to przestronne, spokojne i schludne miejsce pełne książek oprawnych w skórę i niezliczonych roślin w doniczkach. Griffith nie miał rodzeństwa, a jego oboje rodzice byli wykładowcami i rozumieli potrzebę nauki. Jego mama zostawiła ich w jadalni z tacą ziołowej mrożonej herbaty i pierniczków - wyłożyli więc swoje podręczniki na szeroki mahoniowy stół i przystąpili do nauki.

Później, kiedy odrobili już zadanie domowe i przepytali się na sprawdzian, rozmowa zeszała na niezwykle ważny Dzień Nadania Imienia.

- Nie mogę się zdecydować - westchnęła Averil, bezwładnie zsuwając się na fotelu tak, że mogła podziwiać swoje długie, jasne jak słoma włosy w wypolerowanym drewnie. - Czy ktoś z was wybrał sobie już imię?

Tamara wybrała, Nicholas również. Deirdre zawęziła listę do dwóch, a Griffith powiedział, że ma tajemne imię, od kiedy skończył siedem lat. Dlatego uwaga wszystkich skupiła się na Averil.

- Myślałam, że może coś związanego z powietrzem - zaczęła ostrożnie. - Z wiatrem?

- Może zawilec - zaproponował tak błyskawicznie Griffith, że się zarumieniła.

- Pustułka - dodała Tamara. Averil nie wiedziała, co to takiego, więc Tamara dodała: - To taki sokół.

- Chyba nie jestem sokołem. Raczej czymś... no, takim bardziej białym.

- Gęś śnieżycy? - zaproponowała praktyczna Deirdre. - Na to nikt by nie wpadł.

- Naturalnie łabędzica - rzucił Nicholas. - Ale to byłoby zbyt oczywiste. A może czapla biała? Myślę też, że jest sowa śnieżna...

Averil wyprostowała się.

- Ale to nie są prawdziwe imiona, prawda? Nie ma w nich nic naprawdę osobistego, charakterystycznego dla mnie.

- A może jakiś klejnot? - podzuciła Tamara. - Brylant?

- Perła - powiedział cicho Griffith, uśmiechając się nieznacznie tak, że Averil odwzajemniła uśmiech.

- Właśnie coś takiego - zgodziła się. - Coś w tym stylu.

Znalezienie idealnego imienia dla Averil było tak zajmujące, że nikt nie zdawał sobie sprawy z upływającego czasu. Matka Griffitha przypomniła im o tym - zaczęli się pospiesznie zbierać do wyjścia, pakując zeszyty i pióra, zawijając długie białe szale wokół szyj oraz spodziewając się zimnych kolacji i rozłoszczonych rodziców.

- Zostań - powiedział Griffith do Averil, rzucając urok swych orzechowych oczu tak, że Averil utknęła na progu.

- No...

- Zostań na kolacji. Moi rodzice wychodzą. Ugotuję coś.

- Powinam zadzwonić...

- Zadzwoń do mamy. Powiedz jej, że pracujemy nad zadaniem domowym.

- Ale nie pracujemy - zaproponowała Averil; prawdziwi czarnoksiężnicy nie muszą kłamać.

- Pracujemy - odparł ze swym czarownym uśmiechem. - Nad twym imieniem.

Averil wróciła do domu później, niż nawet sama uznawała za przyzwoitą porę. Na szczęście tato wtedy już był u mamy na dywaniku za spóźnienie i Averil była jedynie przystawką do głównego dania wszelkich narzekań. Wciąż oczarowana, prawie tego nie słyszała.

- Nie zdajesz sobie sprawy... - mówiła jej matka, a także: - Nic was nie obchodzi...

- Przepraszam cię, kochanie - odpowiedział uspokajająco ojciec. - Powinienem być zadzwonić, ale wydawało mi się, że skończymy wcześniej.

- Zimna kolacja...

- Przepraszam, mamó - Averil posłusznie powtórzyła za ojcem.

- Jeśli nie będę miała chwili dla siebie, to już naprawdę...

- Po Dniu Nadania Imienia, obiecuję.

- Słuchaj, skarbie, ma cztery lata. Wkrótce się uspokoi. Weź go do parku albo gdzieś, no wiesz.

Matka wydała z siebie dźwięk przypominający odgłos rozdieranej tkaniny, zapowiedź płaczu. Ojciec objął ją czule. Averil upuściła torbę z zeszytami na ziemię i odplynęła, myśląc wciąż o pożegnalnym pocałunku Griffitha.

Następnego dnia rano wymknęła się bez śniadania, a jej mama zerknęła tylko przelotnie w jej stronę, prosząc przez telefon agencję niań o interwencję. Przy stole Felix wysypywał wszystkie płatki do swojej miski.

- Pa, mamó.

- Averil...

- Do zobaczenia, ale nie wiem kiedy. Później może być jakaś uroczystość. To w końcu Dzień Nadania Imienia.

- Av... Felix!

Averil zamknęła drzwi przy akompaniamencie padającego na podłogę deszczyku kropli mleka z płatkami owocowymi.

Znajdowała się w połowie drogi do szkoły i już wzrokiem poszukiwała biało-złotej grzywy Griffitha w strumieniu sunących ulicą uczniów, kiedy przypominała sobie o torbie.

Wciąż leżała na podłodze w salonie - ucieczka przed poranną sceną w kuchni pochłonęła całą jej uwagę. Zawróciła pospiesznie i starała się być niewidzialna, by mama znów nie zaczęła gadać na jej widok. Jestem wichrem, powtarzała sobie w myślach, otwierając drzwi wejściowe do domu. Jestem... bryzą!

Bryza! To dopiero imię, pomyślała triumfalnie, biegnąc po schodach, bo nie było sensu czekać na windę. Delikatna jak pióra łabędzi, powiew wiatru i biała morską pianą, zawsze pełna wdzięku, nieprzewidywalna... Otworzyła drzwi na oścież, zostawiła je w tej pozycji na wypadek pospiesznej ewakuacji i kiedy wpadła do środka, coś przemknęło obok niej, zostawiając jedynie wspomnienie kostropatych kończyn i mroczki w oczach, po czym już go nie było.

- Moja różdżka!

Skrzek usadził Averil w miejscu jak błyskawicznie rzucony urok. Zamarła. To nie było jej mieszkanie, stwierdziła z przerażeniem. Wpadła nie w te drzwi, co trzeba. I zastała tam takiego... takiego wielkiego, starego i paskudnego taumaturga, wiedźmę czy zwariowaną czarownicę, która łypała na nią zza bulgoczącego kotła ustawionego na palenisku na podłodze salonu.

- Wypuściłaś mi familiusa!

- Przepraszam - wystękała Averil.

Rośliny pięły się po ścianach, zwisały z sufitu, szeptały swymi olbrzymimi liśćmi i zdały się drzeć z przerażenia.

- No, nie stój tak z rozdziawioną buzią jak niedojda, przyprowadź mi go z powrotem!

Averil zamknęła usta, starając się odzyskać nieco godności.

- Przepraszam - powtórzyła. Chociaż starała się mówić składnie, głos jej drżał. - Muszę iść do szkoły. Wróciłam tylko po torbę, ale pomyliłam piętra. Zrobiła krok w tył w stronę drzwi. - Ja tylko... pani familius jest pewnie na dole. Pójdę i sprawdzę. Nie wypuszczę go na dwór. Obiecuję.

Gdzieś na klatce schodowej rozległ się odległy stukot zamykanych ciężkich drzwi, wracających na swoje miejsce we framudze. Stara wiedźma zdawała się pęcznić za kotłem jak balon. Jej zmierzwione białe włosy sterczały we wszystkich kierunkach, a przypominające kropki zastygłej smoły oczy na pomarszczonej twarzy z błyskiem miały się na wszystkie strony.

- Przyniesiesz mi mojego familiusa. I moją różdżkę.

- Nie mam czasu!

- Ty go wypuściłaś. I go przyprowadzisz.

- Mam lekcje! To mój Dzień Nadania Imienia! - Nawet taka stara wiedźma jak ta też musiała kiedyś z niecierpliwością czekać na nadanie imienia. Jeśli w ogóle wtedy nadawano jakieś imiona. - Na pewno pamięta pani, jakie to jest ważne.

- Masz. Przynieść. Moją. Różdżkę.

- No już dobrze. Przyniosę - zatrajkotała Averil, byle tylko znaleźć się za drzwiami.

Mroczne ślepia wiedźmy zmrużyły się i zmieniły w wąskie szparki.

- Dopóki nie przyniesiesz mi mojego familiusa i mojej różdżki, będziesz niewidzialna. Nikt nie będzie mógł cię zobaczyć. Nikt nie usłyszy twego głosu. Dopóki nie przyprowadzisz mi familiusa i nie przyniesiesz różdżki, nie będzie ci potrzebne nawet twoje imię.

- Ale ja nie mam czasu. - Averil straciła głos, mogła jedynie szeptać. - Muszę iść do szkoły.

- No to lepiej zacznij już szukać.

- Nie może mi pani tego zrobić! - Nagle wrócił jej głos, wysoki i piskliwy jak gwizd imbryka do herbaty. - Jestem najlepszą uczennicą! Moi nauczyciele będą mnie szukać! Griffith mnie uratuje!

- Idź już!

Nie była w stanie stwierdzić, czy porusza się o własnych siłach czy te słowa wypchnęły ją za drzwi. Zatrzasnęły się za nią jak echo słów wiedźmy. Stała przez chwilę drżąc w korytarzu, nie mogąc zebrać myśli. I po chwili wzięła głęboki wdech: - Familius! - i zaczęła przeskakiwać po dwa stopnie w nadziei, że kompan wiedźmy wciąż czai się gdzieś na parterze.

Oczywiście nie było po nim śladu.

Averil wypadła z domu, starając się gorączkowo rozglądać we wszystkich kierunkach. Czym konkretnie był familius? Intensywnie szukała w pamięci, ale nic nie mogła sobie przypomnieć z zajęć o legendarnych stworzeniach. Czy lubi wodę? Wysoko rosnące gałęzie? Jaskinie? Czy potrafi mówić? Nie miała pojęcia. Zapamiętała tylko bezbarwne, podobne do korzeni członki i zielonożółtą poświatę. Pierwszym musiał być familius, a drugim skradziona przez niego różdżka. Modliła się w myślach, żeby tylko familius nie posiadał zdolności posłużenia się nią.

Znana postać szła ulicą w stronę szkoły.

- Tamara! - krzyknęła za nią Averil w przypiływie ulgi.

Długie kroki Tamary nie zmieniły swego rytmu. Sama kogoś wołała, a jej głos wydawał się niezwykle cichy i zniekształcony, jakby dobiegał spod wody. Na wprost niej odwróciła się głowa z ciemnymi włosami i błysnęły okulary.

- Nicholaus! - krzyknęła Averil, biegnąc w ich kierunku. - Tamara!

Żadne z nich się nie odwróciło. Przywitali się, a potem dogoniła ich Deirdre, powiewając szopą rudych włosów. Rozprawiali o czymś z podekscytowaniem i w końcu odwrócili się, omiatając wzrokiem ulicę, gdzie niechybnie spostrzegliby, musieli spostrzec, biegnącą do nich Averil, która krzyczała i wymachiwała rękami.

Na ich twarzach zagościło zdziwienie. Zadzwoił dzwon, a pogłos wybrzmiewał w przesadnie wolnym tempie. Był to dzwon ostrzegawczy - wszyscy za bramą po pierwszym dzwonie zostaną odcięci. Trójka ruszyła ponownie przed siebie, pospiesznie. W oddali Averil dostrzegła Griffitha, który tuż przy bramie czekał na nich, na nią.

Niezależnie od tego, jak szybko się poruszała, nie mogła ich dogonić. Jakby, pomyślała sobie, pędząc bez tchu, trafiała na następną chwilę, na przesunięty moment w czasie i nie była w stanie za nimi nadążyć. W końcu zatrzymała się, wydając z siebie pełen rozpaczny okrzyk, kiedy jej przyjaciele przeszli przez bramę - wydawali się niknąć gdzieś w oddali.

Zamienili słowo z Griffithem, który nieznacznie wzruszył ramionami, wskazując na okno sali na pierwszym piętrze, gdzie miały się odbyć pierwsze zajęcia. Może Averil już tam jest - miał mówić ten gest. Pierwszy dzwon zadudnił trzy razy. Brama zaczęła się zamykać. Kiedy ostatni uczniowie wpadli do środka, Averil zauważyła, że jedna z twarzy wciąż wpatruje się gdzieś w przestrzeń za kratami, szukając kogoś na ulicy. Fitch, stwierdziła pośpiesznie. I po chwili nawet on się odwrócił i ruszył szerokimi, kamiennymi schodami do wnętrza budynku szkoły.

Coś stuknęło za jej plecami. Podskoczyła i odwróciła się na tyle szybko, że dostrzegła familiusa, który starał się utrzymać równowagę na dopiero co wywróconym koszu na śmiecie. Pośród odpadków, jakiś kot się napuszył i prychnął wściekle. Familius otworzył gębę i zasyczał na kota. Averil w końcu zobaczyła go wyraźnie - był to chochlik o tak chudym ciele, że można by było powiedzieć, że to sama skóra i kości, o wielkich uszach i głowie przypominającej rozgwiazdę. Trzymał za koniec patyka, na którego końcu widać było świetlny rozbłysk. Różdżka jak z komiksu, pomyślała zde gustowana Averil. Pasowałaby raczej do ckliwej bajki o wróżce Dzwoneczku niż do złej starej wiedźmy z powykrzywianymi kłami, która zatrzymała świat Averil.

Familius skoczył, zostawiając rozsypane śmieci i kota. Averil ruszyła za nim, biegnąc szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Kiedy się do niego zbliżyła, familius łypnął na nią wielkim, srebrzystym ślepiem, bo chyba sobie uświadomił, że ktoś go goni. Wydłużył skoki i pędził teraz chodnikami i uliczkami jak miotany wichrem pustynny krzak. Averil podążała za nim z zaciętą determinacją. Nikt inny go nie widział. Ludzie spacerowali w swoim spokojnym świecie, w którym ledwo było słychać odgłosy hamowania autobusów i klaksony aut, a odgłosy dochodzące z dziecięcych placów zabaw przywodziły na myśl odległe ćwierkanie bardzo grzecznych ptaszków.

Averil pobiegła za familiusem przez park. Chochlik wdrapał się na drzewo i robił do niej miny z góry, aż przegnała go celnymi rzutami szyszek. Powiódł ją z jednej strony małego gaju na drugi, po czym zaszył się na dobre. Odnalazła go dopiero w ogrodzie różanym, gdzie z kwiatami w uszach i pysku starał się upodobnić do krzaka. Pomachał na nią różdżką, strząsając z jej końca szczyptę światła, na którą wpadła Averil, zanim zdążyła się zatrzymać. Ale nic się nie stało. Wtedy usłyszała kilka głębokich, znanych sobie uderzeń, które rozeszły się falami w powietrzu ze złośliwą rozwlekłością, zatapiając się w zamartym z rozpaczy sercu Averil. Drugi dzwon. A gdzie ona była? Goniła za chochlikiem przez świat, w którym znajomi nie mogli nawet jej zobaczyć.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Źle stanęła, potknęła się i familius skoczył do przodu. Wpadł w gęszcz olbrzymich paproci i zniknął.

Jesteś adeptką sztuki magicznej, pomyślała. Wyczaruj coś.

Zwolniła, dysząc ciężko. Zmrużyła oczy i przeczesywała wzrokiem gęszcz paproci w poszukiwaniu poruszającego się liścia, najlżejszego przejawu ruchu w cieniach i snopach rozmytego światła. Nic. Wsłuchiwała się, nastrojając słuch tak, jak ją uczono, by móc usłyszeć tupot nóg stonogi na liściu czy stukot panczerzyka żuka o bryłkę ziemi. Słyszała nawet najcichszy oddech. A może był to odgłos skrzydeł motyla, otwierających się i zamykających na słońcu?

Przywołała intensywne, naznaczone drobinami światło do oczu i umysłu, gdzie skoncentrowała się i uformowała je we wspaniałą, ostro zakończoną literę ze starożytnego, magicznego alfabetu i wypuściła ją jednym zdecydowanym haustem, mając nadzieję, że wymawia ją poprawnie.

Paprotnik rozbłysnął mocnym światłem, jakby ktoś odpalił w nim sztuczne ognie. W kołach błyskających, obracających się kół i rozprysków światła familius wyskoczył zza pnia i wspiął się na górę jednej z drzewiastych paproci. Zawisł tam niepewnie, zawodząc żałośnie ze ślepiami wielkimi jak spodki.

Krzyknęła: - Ha! Mam cię! - i podbiegła, by zabrać różdżkę.

Odnalazła ją bez trudu, kiedy przygasły wywołane przez nią płomienie - był to jedyny jaśniejący przedmiot na ziemi. Przyjrzała mu się, nie wiedząc, co o tym myśleć, i ostrożnie dotknęła świetlistego puchu. Nie palił ani się nie zmieniał - nawet go nie czuła pod palcami. Poczwała za to dość niespotykany zapach w paprociowym zagajniku.

Wanilia?

Podniosła wzrok w samą porę, by zobaczyć, że familius składa swe pajęczne łapy i wykonuje desperacki skok z korony paproci na kogoś, kto wyłonił się znikąd i spoglądał na niego z dołu. Obaj padli na ziemię. Familius wyswobodził się i podniósł z ziemi, ale nie dość szybko. Czyjaś dłoń złapała go za kostkę i czyjś głos wykrzyknął na wdechu:

- Mam cię!

Averil zamrugowała oczami. Nowo przybyły, wstając z ziemi, chwycił familiusa za nadgarstek. Uśmiechnął się łobuzersko do Averil, która w końcu była w stanie coś z siebie wykrztusić.

- Fitch!

- Cześć.

- Co ty tu... dlaczego, na miłość boską...

Na jego twarzy pojawił się tak jaskrawy kolor, że zdawał się przenikać do atmosfery. Patrzyła na niego zafascynowana. Mógł świecić w ciemności. Jedynie palce zaciśnięte na łapie syczącego, wyrrywającego się familiusa wiedziały, co mają robić. Averil uniosła brwi tak wysoko, jak tylko mogła - jej głos również wzniósł się na wyżyny ludzkich oktaw.

- Coś ty zrobił? Śledziłeś mnie?

- Cóż. - Przełknął ślinę z wyraźną trudnością. - Widziałem cię, ale nie mogłem odnaleźć, dopóki nie zaczęłaś czarować. I wtedy ten dziwny czar przybliżył nasze chwile, przynajmniej na tyle, żebym mógł... no...

- I jesteś tutaj.

- Ta a.

- W nasz Dzień Nadania Imienia.

- Cóż - powtórzył, a jego twarz się zaczerwieniła. - Miałaś kłopoty. Myślę, że prawdziwi czarownicy nie wybierają sobie dogodnej chwili i miejsca do tego, co muszą zrobić.

Averil przyglądała mu się bez słowa. Był wyższy, niż się jej wydawało - kiedy była w pobliżu, wydawał się kurczyć na jej widok. Brązowe, spadające na oczy włosy doskonale

ukrywały jego twarz, ale to, co z niej widziała, było wystarczająco zajmujące. Na widok jego ciemnych włosów i takiej samej karnacji założyła, że jego oczy również mają ciemną barwę. Ale wcześniej skrupulatnie unikał jej wzroku i dopiero teraz dostrzegła błękitne przebłyki spod czupryny.

Jej głos znów skoczył o kilka tonów wyżej.

- Widziałeś mnie! - Skinął tylko głową, unikając kopnięcia familiusa wycelowanego w jego goleń. - Nikt inny mnie nie widział! Na tym polegało zaklęcie.

- Tak sobie właśnie pomyślałem, kiedy zobaczyłem, jak wołasz do przyjaciół, a oni nie zwracają na ciebie uwagi.

- No to jak to możliwe, że ty mnie widzisz?

Uśmiechnął się półgębkiem.

- To jedna z rzeczy, w których jestem dobry. Rozpoznaję w otoczeniu czary. Poza tym... - Urwał, dobierając ostrożnie słowa i ignorując wierzgającego familiusa. - Może zauważyłaś. Obserwuję cię.

- Jak wielu innych - powiedziała pospiesznie Averil, bojąc się, że jak się dalej będzie rumienił, to zrobi sobie krzywdę.

Jego spojrzenie wróciło do niej.

- Wiesz, co chcę powiedzieć. Zawsze chciałem z tobą porozmawiać. Ale nie sądziłem, że będziesz tego chciała.

- Więc wymknęłaś się ze szkoły w Dzień Nadania Imienia tylko po to, by ze mną porozmawiać, kiedy jestem w końcu sama?

Na te słowa na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech, zmieniając całą jego twarz, która, co stwierdziła z zaskoczeniem, stała się nagle otwarta i wyzbyta lęku.

- Oczywiście. Pomyślałem, że kiedy ganiasz tego małego goblina po śmietnikach i drzewach, możemy zamienić parę słów.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś o tym któremuś z nauczycieli? - zapytała zdumiona. - Wtedy nie przegapiłbyś swojego nadania imienia.

- Ja znam swoje imię - odparł po prostu. - Nie muszę zapisywać go w starożytnym alfabecie na korze i palić go w płomieniu dębowych polan. To tylko rytuał.

Averil otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Nagle familius obnażył zęby i chciał ukąsić Fitcha w palec. Walnęła go bezceremonialnie w łeb różdżką.

- Lepiej zabiorę go tam, gdzie jest jego miejsce, zanim mi znów ucieknie - powiedziała, a żółto-zielone światło strząśnięte z różdżki błyskało i migotało w powietrzu wokół nich.

- A gdzie jest jego miejsce?

- Przy boku takiej starej ropuchy, więdźmy, która rzuciła na mnie zaklęcie, kiedy przypadkowo wypuściłam jej familiusa.

Fitch mruknął coś, wpatrzony w rozbłyki światła przy jej nosie.

- Dziwne to światło. Nic nie wywołuje, co?

- Nie. I dziwnie pachnie. Jak...

- Wanilia.

Averil potrząsnęła głową.

- Cudaczne...

- Chcesz, żebym ci pomógł go tam zaprowadzić?

Namyślała się nad tym, kusiło ją, żeby się zgodzić, ale w końcu znów pokręciła głową - nie było sensu zapraszać wiedźmy do dalszej zabawy.

- Nie. To mój problem... Ale teraz nie będziesz mógł wrócić do szkoły.

Znów spostrzegła ten półśmiech.

- Mam swoje sposoby.

- Naprawdę?

- Przecież każdy je ma.

- Nie - odparła zadziwiona. - Ja zawsze postępuję według zasad. Przynajmniej w szkole.

- No cóż, oczywiście mogę coś powiedzieć na ten temat. - Zamilkł, a ona czekała. - I właśnie to powiedziałem.

- Zażartowałeś - wykrzyknęła. - Nie wiedziałam nawet, że potrafisz się uśmiechać. - Wzięła kościsty nadgarstek familiusa, zastanawiając się nagle, co jeszcze się dzieje w tajemnym świecie pod szopą rozczochranych włosów Fitcha. - Zawsze dostaję najlepsze oceny. Jak to jest, że wiesz coś, czego ja nie wiem?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jesteś świetną uczennicą. Wszyscy zauważają to, co robisz. Więc musisz uważać. Nikt nie zauważa tego, co ja robię.

Zamyśliła się nad tymi słowami, a familius starał się biegać wokół niej.

- Może porozmawiamy? - zaproponowała. - Niedługo?

Znów się spłonił, ale już nie tak mocno.

- Bardzo bym chciał.

- Ja chyba też. - Familius niemal ją przewrócił, ale zaplątał się w stopę, którą postawiła na jego drodze. - Lepiej skończę z tym, co zaczęłam z tą wiedźmą - powiedziała posępnie, podnosząc familiusa do góry. - Dzięki za pomoc. To było bardzo miłe z twojej strony.

- Pewna jesteś...? - zapytał Fitch z powątpiewaniem, już o kilka kroków od niej.

- Wolalabym się upewnić, że moja nauka ma jakiś sens.

- No to w porządku. Powodzenia u wiedźmy.

- Dzięki - wycodziła przez zęby i pociągnęła szalejącego familiusa w przeciwną stronę.

Familius przestał w końcu wierzgać, kiedy zamknęły się za nimi drzwi do budynku. Spokojnie szedł krokiem skazańca obok Averil, jedynie mrucząc coś od czasu do czasu, ze zwiotczałą łapą dyndającą w uścisku dziewczyny. Ledwo słyszała jego skargi - starała się dociec, w jaki sposób Fitch wróci do szkoły tak, żeby go nie złapano. Czyżby już wiedział, jak uczynić się niewidzialnym? Jakich innych rzeczy mógł się sam nauczyć, kiedy ona uczyła się tylko tych, których od niej wymagano? Czy dzięki łamaniu zasad był lepszym czarodziejem? Lepszym niż na przykład Griffith, który z pewnością opuściłby swój Dzień Nadania Imienia, by przybyć jej z odsieczą, gdyby tylko mógł. Czy rzeczywiście tak by zrobił? Najprawdopodobniej postąpiłby praktycznie i po prostu powiedział nauczycielom, że Averil wpadła w kłopoty.

Starła się, jak mogła, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że Griffith opuszcza Dzień Nadania Imienia i wymyka się ze szkoły, by pomóc jej złapać obłąkanego familiusa jakiejś wiedźmy.

Była tak zatopiona w myślach, że z przyzwyczajenia otworzyła drzwi do swego mieszkania. Jej mama siedziała na kanapie i czytała. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Averil, która z przerażeniem przypomniała sobie, co trzyma w ręku.

- Cześć, mamusiu - rzuciła pospiesznie i zaczęła się wycofywać, żeby nie musieć wyjaśniać obecności chochlika. - Ojej. Za chwilę wrócę...

- Dziękuję, Averil. - Matka westchnęła. - To najspokojniejszy poranek, jaki miałam od lat.

Familius wyrwał się Averil, podbiegł do kanapy i wspiął się na oparcie za mamą.

- Jestem zmęczony - jęknął Felix, padając bokiem na jej kolana. - Bardzo, bardzo, bardzo...

- Och, to wspaniale, kochanie.

Averil zamarła w progu, odzyskując w końcu zdolność oddychania. Czuła się, jakby miała piasek w oczach, jakby ktoś dmuchnął w nie magicznym pyłem. Z wielkim wysiłkiem skierowała wzrok na różdżkę wiedźmy w swej dłoni.

Była to drewniana łyżka.

- Mamo... - zaskrzeczała jak żaba, wciąż nie mogąc się poruszyć. - Jak ty... jak mogłaś...

- Cóż, widziałaś, w co się zmieniałam. Nikt mnie nie słuchał.

- Ale jak...

- Nauczyłam się w szkole kilku rzeczy, zanim z niej odeszłam, by cię urodzić. - Delikatnie pogładziła Feliksa po włosach, ale on już spał. - Spokój - odetchnęła ukontentowana.

- Mamo. To był mój Dzień Nadania Imienia.

Matka tylko spojrzała na nią. Averil dostrzegła w jej oczach wiedźmę, cień przebiegłości, przepętniony magią.

- I co, w końcu wybrałaś sobie imię?

Averil wróciła pamięcią do tej Averil, która bezskutecznie zastanawiała się nad uroczymi imionami i odrzucała je po kolei. W końcu się ruszyła i zamknęła za sobą drzwi. Opadła na kanapę tuż koło Feliksa.

- Nie - przyznała, drapiąc się drewnianą łyżką w głowę. - Ale teraz to już nic do mnie nie pasuje.

Jej mama odezwała się po chwili:

- Mam imię, którego nie używałam od odejścia ze szkoły aż do dzisiaj. Możesz je sobie wziąć, jeśli chcesz.

- Naprawdę? - Zciekawiona Averil przyjrzała się mamie. - A jakie to imię?

Mama pochyliła się nad Feliksem i wyszeptowała je do ucha Averil. To imię zdawało się płynąć przez nią jak powietrze i światło. Rozszerzyła oczy - wizje i uroki zawirowały jej w głowie.

- Mamo, to genialne - wykrzyknęła, prostując się jednym ruchem. - To wspaniałe! - Felix poruszył się i obie głaskaniem znów go ukołysły do snu. - Jak na to wpadłaś? - wyszeptwała Averil.

- Kiedy się zastanawiałam, po prostu przyszło mi do głowy. Chcesz je?

- Jesteś pewna? Naprawdę chcesz, żebym je przyjęła?

Matka uśmiechnęła się cierpko.

- To bardzo kuszące, ale nie chcę znów odprawiać czarów na moich dzieciach. Poza tym marzyłam o tym, by ci je dać, od kiedy tylko zainteresowałaś się sztuką magiczną. Dzięki jego znaczeniu możesz wyczarować piękne rzeczy. - Zamilkła na chwilę i odgarnęła strąk lśniących włosów z twarzy Averil. - Ostatnio nie byłam pewna, czy je zechcesz.

- Chcę - odparła cicho Averil. - Chcę bardziej niż jakiegokolwiek inne. Nie wpadłabym na to, ale jest doskonałe. Cała ja.

- To dobrze. - Mama wstała i zabrała jej drewnianą łyżkę. - Dobrze, że ją przyniosłaś z powrotem, to moja ulubiona łyżka.

- Nie dałaś mi specjalnego wyboru. - Averil patrzyła, jak mama wchodzi do kuchni i wkłada łyżkę do pojemnika na przybory kuchenne. - Straszna była z ciebie wiedźma.

- Dziękuję, kochanie. Jesteś głodna? Chcesz zjeść kanapkę, zanim pójdziesz do szkoły?

- Wiesz, że nie wpuszczą mnie po pierwszym dzwonie.

- Tak tylko mówią. - Mama zachichotała. - Ale kiedy raz człowiek pozna drogę, to zawsze pozwolą mu zostać.

Averil wpatrywała się w nią. Coś zamajaczyło jej w głowie i stało się wyrazistsze, kiedy skoncentrowała się na tym. Jej matka oddała całą wiedzę, którą zdobyła w szkole w Oglesby, cały potencjał, tylko po to, by urodzić Averil i zająć się nią. A teraz jeszcze to niesamowite imię...

Wciągnęła gwałtownie powietrze i wyszeptwała:

- Nie opuściłam tego.

Jej matka zapytała z głową w lodówce, gdzie przeglądała słoiki.

- Co takiego?

- Nadania imienia. Właśnie nadałaś mi imię.

Matka odwróciła się ze słoikami majonezu, musztardy i marynowanych warzyw oraz wędliną i sałatą w rękach.

- Co takiego, maleńka? Nie słyszałam cię.

- Nieważne - odparła Averil i zebrała całą swoją moc, żeby wypowiedzieć najtrudniejsze i najbardziej przerażające słowa magiczne: - Jeśli chcesz wyjść, to mogę popilnować Feliksa przez cały dzień.

Jej mama to usłyszała bardzo wyraźnie.

ŻONA ZIMA

ELIZABETH HAND

Elizabeth Hand, jedna z najbardziej szanowanych pisarek swego pokolenia zdobyła nagrodę Nebula i World Fantasy Award za opowiadanie Ostatnie lato na Marsowym Wzgórzu, poza tym była wielokrotną finalistką World Fantasy Award. Jej najbardziej znane powieści to Długa noc zimowa, Aestival Tide, Icarus Descending, Image of Support, Przebudzenie księżycy, Glimmering i Czarne światło. Napisała również kilka powieści z cyklu „Gwiezdne wojny”: Maze of Deception, Hunted, A New Threat i Pursuit oraz książkowe wersje scenariuszy do takich filmów jak Dwanaście małp, Anna i król, Kobieta-Kot i Afera naszyjnikowa. Jej cenione krótkie formy literackie, które pojawiły się na wszystkich większych rynkach science fiction, fantasy i horroru, zostały zebrane w tomach Last Summer at Mars Hill, Bibliomancy i Saffron & Brimstone. Jej ostatnie powieści to Mortal Love i Generation Loss. Mieszka wraz z rodziną w Lincolrwille w stanie Maine.

W tej mroźcej krew w żyłach opowieści autorka pokazuje, co się dzieje, kiedy pieniądze, wpływy i lśniące gadzety współczesnego świata wchodzą w konflikt ze starożytną magią. Magią starą, powolną, zimną i niewzruszoną jak skała.

Naprawdę nazywał się Roderick Gale Winter. Ale wszyscy w okręgu Paswegas, nie tylko ja i inni, którzy znali go osobiście, nazywali go Zimem. Mieszkał w starym szkolnym autobusie przy drodze koło mojego domu i moja mama zawsze powtarzała, że kiedy się wprowadziła, przeraził ją tak, że aż buty zgubiła. Nawet nie on sam ją przestraszył, bo wtedy go jeszcze nawet nie znała, tylko fakt, że pośrodku lasu stoi posępny stary szkolny autobus, z dostawionego komina unosi się dym, wokół pełno wielkich stert węgla na opał, starych wozów i dźwigów, ciężkiego sprzętu, a latem mnóstwo pił łańcuchowych i osprzętu, jesienią martwych jeleni i kojotów zwisających z wysokiego słupa, o którym mama mówiła, że wygląda jak szubienica, i krew na śniegu, a raz wielka głowa świni z kłami, o której mama mówiła, że wyglądała jeszcze bardziej przerażająco niż te kojoty. Co, kiedy tak się zastanović, brzmi naprawdę paskudnie, więc nie ma co się dziwić, że świrowała ze strachu. Teraz można się z tego śmiać, bo ona i Zim to najlepsi przyjaciele, choć niewiele to znaczy w innych miejscowościach takich jak Chicago, z którego mama się tu przeprowadziła, bo chyba każdy w Shaker Harbor uważa Zima za najlepszego przyjaciela.

Szkolny autobus, jak się już wejdzie do środka, jest naprawdę uroczy.

Rodzina Zima mieszkała w Shaker Harbor od sześciu pokoleń, a nawet wcześniej też mieszkali gdzieś w stanie Maine.

- Mam w sobie krew Passamaquoddy - mawia Zim. - Gdybym gdzieś się przeprowadził, to bym się wymieszał.

Jednak wcale nie wygląda na Indianina i moja mama mówi, że jeśli nawet płynęła w nim indiańska krew, to pewnie się już teraz rozcieńczyła. Zim był naprawdę wysoki i chudy, nie cherlawy, ale muskularny i kościsty, przygarbiony wskutek wieloletniego schylania się w drzwiach autobusu. Zawsze miał na głowie koszmarną czapkę z napisem WINTER - USŁUGI DRZEWNE i pamiętam, jaki byłem wstrząśnięty, kiedy raz go zobaczyłem na zgromadzeniu mieszkańców miasta bez czapki, bo w ogóle nie miał włosów. Polował i oprawiał jelenia, ale nie jadł jego mięsa - mówił, że dorastał biedny jak mysz kościelna w chacie, w której nie było nawet drewnianej podłogi, tylko klepisko z ubitej ziemi, a jego rodzina jadła wszystko, co dało się upolować, łącznie z węzami, skunksami i żółwiami jaszczurowatymi. Dlatego oddawał całe upolowane mięso, a kiedy ludzie zatrudniali go, by dla nich polował, i dawali mu trochę mięsa, to też je oddawał.

Tak właśnie moja mama go poznała tej pierwszej zimy piętnaście lat temu, kiedy była ze mną w ciąży i mieszkała samotnie. Rozszalała się groźna burza. Wyrzała przez okno i spostrzegła wysokiego mężczyznę, który przedzierał się przez śnieżycę, niosąc wielką papierową torbę.

- Pani jest wegetarianką? - zapytał, kiedy otworzyła drzwi. - Wszyscy mówią, że mieszka tu jakaś pani z daleka, która będzie miała dziecko i jest wegetarianką. Ale nie wygląda mi pani na wegetariankę.

Moja mama powiedziała, że nie, nie jest wegetarianką, że jest dyplomowaną terapeutką masażystką.

- Mnie tam bez różnicy - powiedział Zim. - Wpuści mnie pani? Matko przenajświętsza, to pani piecyk?

Widzicie, moja mama zaszła w ciążę przez dawcę spermy w klinice. Miała wszystko zaplanowane, jak przeprowadzi się na północ, urodzi dziecko i wychowa je - mnie - sama i będzie żyła z tego, co da jej natura, będzie pracować jako terapeutka i wywiesi kryształ w oknach, żeby sprowadzić pozytywną energię, i wszystko będzie wspaniale. I byłoby, gdyby przeniosła się na przykład do Huntington Beach czy choćby Bostonu, do jakiejś miejscowości, gdzie byłoby cieplej i gdzie byłyby tory dla wrotkarzy, zamiast do miejsca, z którego do toru dla wrotkarzy trzeba jechać dwie godziny i gdzie śnieg pada od listopada do końca maja. A na wiosnę nie można nawet pojechać na wrotkach na drogach, bo są to boczne drogi z tak wielkimi dziurami, że można by było w nich zamieszkać. Ale można za to jeździć na snowboardzie, szczególnie kiedy Zim pozwala nam skakać za swoim autobusem.

Ale ta część opowieści toczy się w czasach, w których jeszcze nie jeździłem na snowboardzie, ponieważ jeszcze mnie nie było na świecie, przynajmniej przez jakiś czas. Mama mieszkała w niewielkiej dwupokojowej chatce bez kanalizacji i bieżącej wody ze starym piecykiem na drewno, nazywanym piecykiem salonowym, który ładnie wyglądał, ale nie grzał i smolił. I tak właśnie Zim dowiedział się o niej, bo przyjechała ochotnicza straż pożarna i później wszyscy mówili w sklepie wielobranżowym w Shaker Harbor o tym, jak ta szalona babka z daleka kupiła zrujnowaną chatkę Martina Weeda, będzie miała dziecko i albo zamrze na śmierć, albo spali chałupę ze szczętem - pewnie jedno i drugie - co prawdopodobnie nie obesłoby ich zbytnio, gdyby nie to dziecko, któremu chyba nikt nie życzył podobnego losu.

Dlatego Zim przyszedł do mojej mamy i dał jej sarninę, spojrzął na stertę drewna i powiedział jej, że pali świeże drewno, od czego tworzy się kreozot i dlatego płomienie buchają z komina, a kiedy zapytał ją, kto jej to drewno sprzedał, to mu powiedziała. I na drugi dzień ten facet, który jej sprzedał drewno, przywiózł trzy wiązki wysezonowanego drewna, zrzucił je i odjechał bez słowa, a dwa dni później przyjechało dwóch innych z nowym piecykiem, który był bardzo brzydki, ale pięknie grzał i miał osłonę, tak żeby dziecko się nie poparzyło. A dzień po tym wydarzeniu pojawił się Zim, żeby sprawdzić, czy dobrze zamontowali piec, po czym opatulił każde z okien plastikowymi osłonami i popsikał lakierem do włosów, żeby je uszczelnić, a potem pokazał mamie, gdzie w lesie jest źródło, żeby mogła sobie napełnić zbiorniki na wodę, zamiast kupować je w sklepie w miasteczku. Podarował jej także nocnik, żeby nie musiała wychodzić do wygodki, i powiedział jej, że zna kogoś, kto może jej tanio sprzedać toaletę kompostującą.

Po tym wszystkim moglibyście pomyśleć, że kiedy mówię „żona Zima”, to myślę o swojej mamie. Ale tak nie jest. Żona Zima to ktoś zupełnie inny.

Pomimo to Zim zawsze przebywał w naszym domu, kiedy dorastałem. A kiedy podrośłem, zacząłem go odwiedzać. Zim ścinał drzewa, co nazywali zarządzaniem zasobami leśnymi - ścinał je dla ludzi, ale w przemyślany sposób, żeby las mógł się odrodzić bez strat. Następnie ciął to drewno, żeby ludzie mogli go używać na opał. Miał taki przenośny tartak - jedno z przerażających urządzeń, które mama zobaczyła na jego podwórku - oraz piły do produkcji desek, z których ludzie budowali sobie domy. Brał udział w licytacjach, a także grał na bandžo i na tarze, tak jak w starych filmach. Pokazał mi, jak odpalić samochód za pomocą

drucianego wieszaka na ubrania, jak rzeźbić w drewnie, jak wybudować domek na drzewie i jak wstawić framugi okien. Kiedy moja mama stawiała przybudówkę z łazienką, Zim wykonał większość prac stolarskich i pokazał mi, jak to robić samemu.

Zim jest też różdżkarzem. To ktoś, kto może wskazać, gdzie pod ziemią jest woda, jeśli pochodzi trochę z wyciągniętą do przodu drewnianą różdżką. Można by pomyśleć, że są to takie czary-mary, w jakie bawi się moja mama, i tak sobie od razu pomyślałem, kiedy się o tym dowiedziałem.

Ale pewnego dnia wraz z moim kolegą Codym poszliśmy zobaczyć, jak Zim to robi. Kręciliśmy się wokół posiadłości Zima i wycinaliśmy krzaki. Pozwalał nam zjeżdżać na snowboardzie na wzgórkach za szkolnym autobusem i tam właśnie wybudowaliśmy próg, a Zim dał nam trochę drewna, żebyśmy mogli ogrodzić teren pod tor na wrotki.

Ale wiosna się właśnie zaczęła, a ponieważ nie mieliśmy czym zapłacić Zimowi, przydzielił nam wycinanie krzaków. Cody ma tyle lat co ja, prawie czternaście. Więc przedzieramy się przez te chaszczki, wściekle atakowani przez meszki, i widzę, że lada chwila Cody powie, że musi odrobić zadanie domowe, co jest kłamstwem, bo niczego nam nie zadano, a tu pojawia się Zim w swoim pikapie, wychyla się przez okno i woła do nas:

- Może macie, panowie, ochotę rzucić tę partaninę i zobaczyć, jak wygląda prawdziwa praca?

I już po chwili kłócimy się z Codym, kto będzie pierwszym pomocnikiem Zima, a potem zaczynamy kolejną sprzeczkę o to, kto będzie jechał na pace, co jest o wiele bardziej fajowskie. I kłócimy się tak zażarcie, że w końcu Zim musi się na nas wydrzeć i kazać nam obu włączyć na pakę.

I tak docieramy do miejsca, w którym Zim ma fuchę. Jest to teren, na którym kiedyś stała kurza ferma, ale temu facetowi nie wyszło z nią najlepiej, więc sprzedał teren pani Whitton, nauczycielce z gimnazjum, która chciała postawić tu niewielki domek z segmentów. Kilka lat wcześniej była straszna susza i większość studni wyschła. Pani Whitton nie ma kupy forsy na kopanie w poszukiwaniu źródła wody, więc wynajęła Zima, żeby odnalazł właściwe miejsce.

- Justin! - wrzasnął na mnie Zim, wyskakując z szoferki. - Znajdź mi tę małą piłkę...

Podaliśmy mu piłkę, po czym znów zaczynamy dokazywać z Codym, a Zim obchodzi krawędź parceli i szturcha narzędziem krzaki i mizerne drzewka. Po kilku chwilach przykłada piłkę do tyczkowatego podrostu.

- Mam! - krzyknął Zim i z powrotem wszedł na pole. - Żeby znaleźć tu wodę, trzeba najpierw mieć wierzbową witkę.

Była to wczesna wiosna i drzewa nie puściły jeszcze liści, więc trzymał w ręku patyk z szarymi puchatymi baziami i zielonymi strąkami w miejscu, w którym go upiłował. Zim poodrywał bazie i zostawił tylko goły badył w kształcie litery Y. Chwytał gałązkę za dwa końce, jak się łąpie kierownicę w rowerze, i zaczął obchodzić pole.

Było to dość dziwne. Bo najpierw ja i Cody zaśmiewaliśmy się z tego - nie chcieliśmy, ale nie mogliśmy się powstrzymać. Po prostu wyglądało to zabawnie, jak Zim chodzi tam i z

powrotem z wyciągniętymi rękami z różdżką. Wyglądał jak potwór Frankensteina. Nawet pani Whitton się uśmiechała.

Ale nagle jakby wszystko stanęło w miejscu. Nie całkiem - było słychać, jak wiatr dmie w drzewach, i słyszeliśmy ptaki w lesie, i jak ktoś daleko odpala piętę spalinową - ale cicho, jakbyśmy się nagle znaleźli w filmie, gdzie wiadomo, że za chwilę coś się stanie. Słońce grzało przyjemnie, czułem zapach błota, krowiego nawozu i wiązów- ki błotnej. Cody zaczął kłąć i oganiać się przed meszkami. Ja poczułem zawrót głowy, nie nieprzyjemny, ale taki, jak szkolny autobus pędzi przez wyboje i podskakuje się na fotelu. Kilka kroków ode mnie Zim wciąż chodził po prostej z wyciągniętą wierzbową witką.

I nagle różdżka zaczęła się giąć. I to nie ramiona Zima ugięły się do ziemi - sam patyk giął się wystającym końcem, jakby był zrobiony z gumy, a niewidzialna ręka złapała za niego i przyciągała go do ziemi. Tylko że nie była to guma, a drewno i nikogo innego tam nie było - ale i tak gięła się, wskazując na pokryty mchem fragment między bruzdami ziemi.

- Jasna dupa - wyszeptałem.

Cody zamknął się i popatrzył w jego stronę. Podobnie jak pani Whitton.

- O mój Boże - powiedziała.

Zim zatrzymał się i zaczął wyginać różdżkę jak wędkę, jakby walczył z niewidzialnym przeciwnikiem. Następnie rzucił się w przód, krzyknął: - Aha! - otworzył dłonie i wypuścił witkę. Pobiegliśmy do niego z Codym.

- To tutaj - zawyrokował Zim.

Wyciągnął z kieszeni różową taśmę używaną przez geodetów i oderwał kawałek. Wpatrywałem się zaniepokojony w wierzbowy patyk, niemal oczekując, że zacznie się wić jak wąż, ale się nie poruszał. Po chwili go podniosłem.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał Cody.

- Ja tego nie zrobiłem - odparł obojętnie Zim. Zabrał mi patyk, oderwał rozwidlony koniec i odrzucił go. Przywiązał taśmę do drugiej części i wbił patyk w ziemię. - To zrobiło drewno. Jak człowiek słuca, to drewno mówi do niego.

- Bez żartów - rzuciłem. - A pokażesz mi kiedyś, jak to się robi?

- Jasne - odparł Zim. - Nie dzisiaj, muszę coś zholować. Ale któregoś dnia.

Zaczął omawiać z panią Whitton kwestie finansowe i to, kto ma najlepsze ceny na wiercenie. Następnym razem kiedy przejeżdżaliśmy z mamą koło tego pola, wiertło przedzierało się przez grunt dokładnie w miejscu, w którym Zim włożył w ziemię swój patyk, a kiedy spotkałem panią Whitton na szkolnym korytarzu, powiedziała mi, że studnia już jest wykopana i po wykopaniu fundamentów i postawieniu domu, będzie dostarczać nawet sto galonów na minutę.

Niedługo po tym Zim ogłosił, że jedzie do Rejkiawiku.

Było już po lekcjach i Zim wpadł, by pogadać.

- A gdzie jest ten Rejkiawik? - zapytałem.

- W Islandii - odpowiedziała moja mama. Otworzyła okno na oścież i usiadła w kuchni na wprost Zima i mnie. - Dlaczego, na miłość boską, jedziesz do tego Rejkiawiku?

- Zeby odebrać żonę - odparł Zim.

- Żonę? - Otworzyłem szeroko oczy. - Jesteś żonaty?

- Nie. Dlatego właśnie jadę do Islandii, żeby ją odebrać. Poznaliśmy się przez internet i pobierzemy się.

Moja mama wyglądała na wstrząśniętą.

- W Islandii?

Zim wzruszył ramionami.

- Słuchaj, z moim nazwiskiem gdzie indziej miałem szukać żony?

I pojechał do Islandii. Myślałem, że nie będzie go przynajmniej z miesiąc, ale w tydzień później zadzwonił telefon, mama odebrała i był to Zim, który powiedział, że przyjechał z żoną i naprawdę ją przywiózł.

- To niewiarygodne - stwierdziła mama. Odłożyła słuchawkę i pokręciła głową. - Był tam przez cztery dni, ożenił się i teraz wrócili. Nie mogę w to uwierzyć.

Kilka dni później wpadli do nas, żeby Zim mógł nam ją przedstawić. Zbliżał się koniec roku szkolnego i wraz z Codym wrzucaliśmy do mojego domku na drzewie różne rzeczy, celując w otwarte okno. Kijki, frisbee, zepsute jo-jo. Takie tam.

- Dlaczego chcecie zburzyć ten domek? - zapytała mnie jakaś kobieta.

Odwróciłem się. Zim stał, szczerząc zęby w uśmiechu, z rękami w kieszeniach džinsów, a czapczkę miał podciągniętą tak wysoko, że daszek niemal sterczał pionowo. Obok niego stała kobieta ledwo sięgająca mu do ramienia. Była tak drobna, że przez chwilę myślałem, że jest dzieckiem, może jedną z tych uczennic, które po przejeździe rowerowej wstawiały rowery na pakę pikapa Zima. Ale nie miała ciała dziecka i z całą pewnością nie posiadała też oczu dziewczynki.

- Justin. - Zim wyprostował ramiona, a jego głos przybrał niby oficjalny ton. - Chcę, żebyś poznał moją żonę. Vala, to Justin.

- Justin. - Sposób, w jaki wymówiła moje imię, sprawił, że ciarki przeszły mi po szyi. Jakby obróciła to słowo w ustach, jakby się nim delectowała. - *Gleour mig ao kynnast per*. To po islandzku „miło mi cię poznać”.

Nie słychać było u niej obcego akcentu, chociaż mówiła raczej jak Angielka niż Amerykanka. I z całą pewnością nie wyglądała jak ktoś z Maine, choć była ubrana bardzo zwyczajnie. Czarne džinsy, czarna podkoszulka. Jakies takie dziwne grafitowe buty na grubych podeszwach, które, jak sądzę, nosi się w Islandii, poza tym jasno-niebieska wiatrówka. Miała długie, czarne, proste włosy związane w dwa kucyki - dlatego wyglądała na dziecko - nieco skośne oczy, niewielkie usta i najbielszą skórę, jaką w życiu widziałem.

To właśnie te oczy wywołały u mnie najwięcej zamętu. Były długie, wąskie i bardzo, ale to bardzo czarne, tak ciemne, że nie dało się nawet dostrzec źrenic. A te nie były brązowe, tylko granatowe, tak ciemnogramatowe, że zdawało się, iż są czarne. Nigdy wcześniej nie widziałem u kogoś takiego koloru oczu i ich widok nie sprawiał mi przyjemności. Były zimne - nie złośliwe ani złe, ale w przedziwny sposób zimne - ale może to dlatego, że zimno mi się robiło, kiedy w nie patrzyłem.

I chociaż wyglądała młodo, ponieważ była szczupła, na jej włosach nie było widać śladu siwizny i nie miała pomarszczonej twarzy, to odnosiło się wrażenie, że tylko udaje, że

jest młoda. Jak ktoś kto udaje, że lubi dzieci, choć wiadomo, że to nieprawda. Nie wydawało mi się jednak, że Vala nie lubi dzieci. Raczej jest w kropce, bo być może wyglądaliśmy w jej oczach równie obco jak ona w naszych.

- Nie powiedziałaś mi, dlaczego chcesz zniszczyć ten domek - powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

- No, nieee. My tylko próbujemy przerzucić różne rzeczy przez okno.

Cody zerknął na Valę, po czym wrócił do wyszukiwania odpowiednich kamyczków.

Vala wpatrywała się w niego lodowatym wzrokiem.

- Twój kolega jest bardzo grubiański.

Obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głów, po czym podeszła do domku na drzewie. Został wybudowany w rozgałęzieniu wielkiego, starego klonu i był na tyle solidny, że można byłoby w nim zamieszkać, tylko że nie miał dachu.

- Co to za drzewo? - zapytała i spojrzała na Zima.

- Czerwony klon - odparł.

- Czerwony klon - wymamrotała. Przebiegła dłonią po pniu, głaszcząc go, jakby drzewo było kotem. - Czerwony klon...

Odwróciła się i wbiła wzrok we mnie.

- Ty zbudowałeś ten domek? Sam?

- Nie. - Czekala na odpowiedź, jakby grubiaństwem z mojej strony było nieudzielenie wyczerpujących wyjaśnień. Podeszedłem więc do niej i skonsternowany wbiłem wzrok w spód domku na drzewie. - Zim mi pomógł. Znaczący pan mąż - pan Zim.

- Pan Zim. - Niespodziewanie wybuchnęła śmiechem. Był to zabawny śmiech, taki dziecięcy, i ja też po chwili zacząłem się śmiać. - Więc ja jestem panią Zimą? Ale kto powinien być właściwą żoną dla Zima - może Wiosna?

Kiedy to powiedziała, zrobiła minę, jakby wiedziała, jak głupio to zabrzmiało, po czym wyciągnęła do mnie rękę. Przyciągnęła mnie bliżej, aż obydwójce stanęliśmy przy drzewie. Poczujęm się zakłopotany - może tak się ludzie zachowują w Islandii, ale nie w Maine - ale też mi to pochwaliło. Ponieważ tak na mnie patrzyła, z boku, kątem oka, i tak się uśmiechała, nie jak do dziecka, ale jak do dorosłego... jakby znała jakąś tajemnicę i zachowywała się, jakbym ja ją też znał.

Ale oczywiście nie znałem. Ale fajnie było, że tak sobie o mnie myślała. Puściła moją rękę i znów przystawiła swoją do drzewa, pocierając kępkę porostów.

- W Islandii nie ma drzew - powiedziała. - Wiedziałaś o tym? Nie ma drzew. Dawno, dawno temu wycięli je wszystkie na budowę domów i statków albo na opał. I dlatego nie mamy drzew, jedynie skały i małe krzaczkę sięgające dotąd...

Przystawiła dłoń do kolana, po czym poklepała pień.

- I takie... porosty i mech. Mamy taki dowcip, może znasz?

Wzięła głębszy wdech i powiedziała:

- Co trzeba zrobić, kiedy się człowiek zgubi w lesie w Islandii?

Pokręciłem głową.

- Nie wiem.

- Trzeba wstać.

Dopiero po chwili załapałem. Roześmiałem się, a Vala uśmiechnęła się do mnie. Znów wyglądała, jakby oczekiwała, że coś powiem. Chciałem zachować się uprzejmie, ale przychodziło mi tylko do głowy to, że musi to być bardzo dziwne, żeby przeprowadzić się z miejsca, w którym nie ma drzew, do Maine, gdzie drzewa rosną wszędzie.

Powiedziałem więc:

- Ee, nie tęskni pani za rodziną?

Spojrzała na mnie jakoś tak dziwnie.

- Moją rodziną? Są szczęśliwi wśród tych skał w Islandii. Ja skał mam dosyć.

Jakiś cień przemknął po jej twarzy. Podniosła wzrok do góry, a Zim położył jej dłoń na ramionach.

- Justin, mama w domu? - zapytał. - Jedziemy do miasteczka, chciałem tylko się przywitać i przedstawić żonę...

Pokiwałem głową i wskazałem na dom. Kiedy Zim poszedł, Vala posłała mi znów baczne spojrzenie.

- Mówi same dobre rzeczy o tobie. Ty i on jesteście *feogar* - jak ojciec i syn, mówi Zim. Więc ja będę twoją matką chrzestną.

Wskazała na mnie palcem, po czym wolno zbliżyła go do mojej twarzy, aż dotknął brody. Zachłysnąłem się - jej dotyk był tak zimny, że aż parzył.

- No i już - wymamrotała. - Teraz zawsze cię odnajdę.

I poszła za Zimem do środka. Kiedy zniknęli, podszedł do mnie Cody.

- Ale odpał, nie? - rzucił. - Wpatrywał się w domek. - Wygląda jak ta szurnięta wokalistka, Brzdąk.

- Chyba Bjork, ty idioto.

- A co mi tam. A w ogóle to gdzie jest ta Islandia?

- Nie mam pojęcia.

- Ja też nie. - Cody wskazał na moją brodę. - Ej, krwawisz, chłopie.

Zmarszczyłem brwi, następnie ostrożnie dotknąłem miejsca, w którym Vala przycisnęła palec. Nie krwawiłem, ale kiedy później obejrzałem sobie brodę, zobaczyłem czerwone znamię w kształcie odcisku palca. Nie strupek czy pęcherz, ale punkcik jak krwisto-czerwone znamię. Po kilku dniach wyblakło i w końcu zniknęło, ale nawet teraz wciąż je tam czuję, jakby tępy ból, który nasila się, kiedy na zewnątrz jest zimno czy kiedy pada śnieg.

*

Tego samego miesiąca Thomas Tierney wrócił do okręgu Paswegas. Był prawdopodobnie najbardziej znaną osobą w całym stanie, za Stephenem Kingiem, ale wszyscy tutaj uwielbiają Stephena Kinga, a nigdy nie słyszałem, żeby ktoś powiedział coś dobrego o Thomasie Tierneyu, chyba że tuż po jego zniknięciu, kiedy mówili: Dobrze, że już ta cholera wyjechała. Nawet moja mama, która się wścieka, kiedy się mówi o kimś coś złego, nawet jeśli ktoś taki komuś dopiecie, nie lubiła Thomasa Tierneya.

- To jeden z tych ludzi, którym się wydaje, że mogą kupić wszystko. A jeśli nie może, to zniszczy, żeby nikt inny tego nie dostał.

Chociaż prawda była taka, że niewiele rzeczy nie mógł kupić, szczególnie w Paswegas. Ludzie nie mają tu za wiele pieniędzy. Mieli więcej po tym, jak firma telemarketingowa Tierneya przeniosła się tutaj i jak założył wszędzie swoje telefoniczne centra, jedno nawet w pobliżu Shaker Harbor, które znajduje się właściwie na końcu świata. Następnie ludzie, którzy kiedyś pracowali jako rybacy, rolnicy, nauczyciele czy pielęgniarki, ale nie mogli się z tego utrzymać, zaczęli pracować dla International Corporate Enterprises. ICE nie płaciło kroci, ale, jak sądzę, w miarę, jeśli pracownikowi nie przeszkadzało siedzenie w niewielkim przepierzeniu i wydzwanianie do nieznanomych, kiedy siadali właśnie do obiadu i byli źli, po czym klęli na takiego intruza albo po prostu odkładali słuchawkę.

Kiedy moja mama usłyszała, że z Codym drzemy sobie łacha z ludzi pracujących w ICE, wzięła nas na bok i powiedziała, żebyśmy uważali, co mówimy, bo choć nie cierpieliśmy tej firmy, to dawała pracę ludziom i nie było się z czego nabijać. Oczywiście wielu pracowników ICE skończyło tak, że nie stać ich już było na mieszkanie w okolicy, bo Tierney dawał swoim kolegom z daleka dobre stanowiska i kupowali sobie ziemię, która niegdyś była tania, i budowali na niej swoje wielkie szpanerskie domy. I tak zwykłych ludzi nie stać było na mieszkanie w okolicy, chyba że mieli tyle szczęścia, że mieszkali już na swoim gruncie w swoich domach, jak moja mama czy Zim.

Ale wtedy przyłapano Tierneya na jakimś przekręcie, że niby podbierał pieniądze ze swojej firmy czy coś takiego, i ICE została kupiona przez większą firmę, a ta zamknęła wszystkie oddziały w Maine i wszyscy pracownicy zostali wyrzuceni, a wielu z nich za-brano domy czy ziemię, bo nie stać ich było na opłatę rachunków. Wtedy ludzie zaczęli naprawdę nienawidzić Thomasa Tierneya, ale na nic się to zdało, bo nigdy nie odpokutował za to, co zrobił. To znaczy, nie poszedł do więzienia ani nic, nie stracił ani pieniędzy, ani domu w Kennebunkport, ani jachtu, ani własnego samolotu.

W gruncie rzeczy stało się coś wręcz przeciwnego - kupił ziemię koło posesji Zima. Zim wpadł kiedyś do nas i powiedział, czego się dowiedział.

- Ten sukinkot kupił starą farmę Lonniego Packarda! - wykrzyknął.

Ja i Cody spojrzeliśmy po sobie i uśmiechnęliśmy się złośliwie półgębkiem, ale nie skomentowaliśmy tego. Widziałem, że Cody'emu chce się śmiać, tak jak mnie - kto teraz mówi o kimś „sukinkot”? - ale było to jednocześnie przerażające, bo nigdy wcześniej nie widzieliśmy, żeby Zim się wściekał.

- Nie mam Lonniemu za złe - podjął Zim, przestępując z nogi na nogę i ściskając czapkę w dłoniach. - W zeszłym roku musiał sprzedać swój kuter do połowu homarów, bo nie mógł opłacić podatków, a później miał ten wypadek i nie był w stanie zapłacić za leczenie w szpitalu. A do tego bardzo jest zasolona ta jego parcela nad oceanem, więc niewiele z niej miał poza pięknym widokiem.

Cody zapytał:

- Dlaczego tobie jej nie sprzedał?

Zim wałnął dłonią w ścianę.

- No właśnie! Mówiłem Lonniemu już dawno, że jeśli kiedykolwiek będzie chciał sprzedać parcelę, to ja ją biorę. Ale wczoraj powiedział mi: - Zim, nie masz takich głębokich kieszeni. - A ja na to: - Cóż Lonnie, a jakie musiałbym mieć głębokie? - On wskazał na Ocean Atlantycki i powiedział: - Widzisz to? Popłynąłbyś do Grand Banks i odnalazł największą głębię, a ja ci powiadam, że przy kieszeniach Thomasa Tierneya to płyiczna.

No i klamka zapadła. Po prawdzie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Tam, gdzie jeździliśmy na snowboardzie w lesie, byliśmy na posiadłości Zima, tyle wiedziałem - poza tym wiosna rozkwitła na dobre i wraz z Codym byliśmy zajęci tym torem za domem Zima, a kiedy już powstał, zaczęliśmy tam jeździć.

Czasami żona Zima wychodziła na zewnątrz i przyglądała się nam. Zim zrobił dla niej ławkę z dębowego pnia, przymocował oparcie, a na siedzeniu wyrzeźbił napis VALA, z którego wychodziły kunsztowne liście i winoroślą. Ławka została ustawiona na niewielkim wzniesieniu, tak by można było spoglądać nad koronami drzew i widać stamtąd było nawet fragment oceanu, srebrzystobłękitnego nad zielenią. Vala była tak drobna, że wyglądała jak dziecko, które obserwowało nas i śmiało się, kiedy ktoś upadł, choć zawsze bez złośliwości. Jej śmiech był taki jak jej oczy: był w nim jakiś taki chłód, ale nie wredny, tylko taki, jakby nigdy nie widziała, jak ktoś pada, i tak za każdym razem (czyli często) była tym szczerze zaskoczona. Pomimo że było teraz cieplej, zawsze miała na sobie tę granatową wiatrówkę, a także bluzę Zima, tak wielką, że wyglądała jak sukienka. Mogło być nawet upalnie na skraju lasu, ale ja nigdy nie widziałem jej bez tej bluzy.

- Nie jest pani gorąco? - zapytałem ją kiedyś.

Przyniosła nam trochę wody i ciasteczek własnego wypieku, pierniczków, które były tak cienkie i kruche jak lód i tak ostre w smaku, że aż piekły oczy.

- Gorąco? - Potrząsnęła głową. - Nigdy nie jest mi ciepło. Chyba że przy Zimie.

Uśmiechnęła się tym swoim niesamowitym uśmiechem, od którego robiłem się nerwowy.

- Mówię mu, że w zimie jest ciepło tylko wtedy, kiedy leży przy mnie.

Poczułem, jak się czerwienię. Na brodzie miejsce, w którym mnie dotknęła, zatętniło, jakby ktoś przystawił żar z papierosa do skóry. Vala uśmiechnęła się jeszcze szerzej i zrobiła wielkie oczy. Wybuchnęła śmiechem.

- Wciąż dzieciak z ciebie. - Przez chwilę zabrzmiało to tak, jakby mówiła do mnie moja mama. - Dobrzy z was chłopcy, ty i twój kolega. Wyrósniacie na dobrych mężczyzn. Nie takich jak ten cały Tierney, który myśli, że może mieć morze na własność, bo kupił sól. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż człowiek, któremu wydaje się, że ma władzę. - Uniosła głowę, by spojrzeć w drzewa, po czym odwróciła się i wbiła wzrok we mnie. - Poza jednym.

Ale nie powiedziała, co to takiego.

*

Zawsze słyszałem mnóstwo różnych rzeczy o Thomasie Tierneyu i chociaż nigdy go nie widziałem, ślady jego bytności były aż nadto widoczne w Shaker Harbor. Przybudówka

biblioteki, przybudówka szkoły, stary, wielki nieczynny młyn - nazwany młynem ICE - który kupił i wypełnił tysiącem miniaturowych przepierzeń, wyposażonych w komputer i telefon. ICE zatrudniało tak wielką liczbę ludzi, że niektórzy musieli dojeżdżać dwie godziny do pracy - w pobliżu Shaker Harbor nie było wystarczającej liczby osób.

Ale teraz stał pusty i wisiały na nim wielkie tablice z napisem NA SPRZEDAŻ. Zim mówił, że będzie dalej stał pusty, bo nikogo w okręgu Paswegas nie stać było na niego.

- A nikt spoza okręgu nie chciałby tego kupić - dodał. - Uważaj, żeby nie ciekło...

Pomagałem Zimowi lakierować drewniane dziecinne łódeczko z wiązu, który padł od zarazy. Nie mówił, dla kogo to, nawet kiedy zapytałem go wprost, ale domyśliłem się, że to prezent dla Vali. Nie wyglądała, jakby była w ciąży, a ja wciąż nie znałem szczegółów zachodzenia w ciążę pomimo przejrzenia pewnych materiałów na ten temat, które znaleźliśmy z Codym w internecie pewnego wieczoru. Ale wydawało się, że wyjazd do Islandii po żonę nie miałby sensu, gdyby Zim nie chciał mieć dzieci. Tak przynajmniej mówił tato Cody'ego, a ten musiał się znać na rzeczy, bo Cody miał pięciu braci i dwie siostry bliźniaczki.

- Myślę, że powinni przerobić młyn na kryty tor dla wrotkarzy - zawyrokowałem, ciągnąc pędzlem po fragmencie łódeczka, który przeoczyłem. - To byłoby piękne.

Pracowaliśmy na dworze, więc ominęło mnie wdychanie oparów lakieru w cieniu góry pni drzewa, które Zim sprzedawał na opał. Musiałem uważać, żeby trociny albo robaki nie przylepiły się do świeżego lakieru.

Zim zaśmiał się.

- Nie ma wielkiego zysku z torów dla wrotkarzy.

- Ja bym płacił.

- No właśnie. - Zim zsunął czapkę z czoła. - Robimy przerwę na lunch?

Zwykle to Zim robił kanapki z serem szwajcarskim, pomidorem i chrzanem. Czasami Vala przygotowywała nam lunch i wtedy kłamałem, mówiąc, że nie jestem głodny albo że już jadłem, ponieważ jej kanapki były przeważnie z rybą - nawet nie z tuńczykiem - i składały się z małych kromeczek o smaku kartonu.

Ale dzisiaj powiedział, że pojedziemy do miasteczka i weźmiemy coś od Shelley z budki z hot dogami przy porcie. Było ciepło - połowa sierpnia - zbliżał się początek roku szkolnego. Lato przeszło mi na włóczeniu się z Codym i kilkoma innymi kolegami, oprócz kilku ostatnich tygodni, kiedy Cody pojechał na obóz biblijny.

Wtedy właśnie Zim zagonił mnie do pracy. Oprócz łódeczka Zim miał jeszcze do wybudowania dom - prawdziwy dom, a nie przybudówkę do autobusu. Pomagałem mu wykarczować krzaki, a następnie pomagałem przy zbijaniu szalunków na fundamenty. Kiedy cement stwardniał, zaczęliśmy stawiać szkielet. Czasami pomagała nam Vala, aż w końcu Zim wydarł się na nią, żeby sobie odpuściła. Wtedy poszła pielęgnować ogródek, który założyła pod lasem.

Teraz nie miałem pojęcia, gdzie się znajduje. Odłożyłem więc puszkę z lakierem, wskoczyłem do pikapa Zima i pojechaliśmy do miasta. Większość letników zdążyła się wynieść, choć w porcie stało jeszcze kilka żaglówek, włącznie z olbrzymim jachtem, Królowe} Lodu, trzymasztowym szkunerem należącym do Thomasa Tierneya. Według Zima, miał

dziesięcioosobową załogę, nie tylko kapitana, matę i marynarzy, ale także kucharza i gosposię - wszystkich na usługach Tierneya. Jacht posiadał też grotzagieli w czerwono-białe pasy, choć i tak nie można było go pomylić z żadną inną łodzią w okolicy.

Kiedy Zim zobaczył Królową Lodu, nachmurzył się. Ale ja przynajmniej nie widziałem żadnego innego śladu bytności Tierneya. Kilku letników stało przed budką Shelley, starając się zachowywać tak jak miejscowi, choć jedynymi miejscowymi tutaj byli robotnicy budowlani.

I Lonnie Packard. Stał na początku kolejki i płacił właśnie za hot doga z cebulą i kiszoną kapustą, zawiniętego w papierowy ręcznik. Po raz pierwszy zobaczyłem Lonniego, od kiedy usłyszałem, że sprzedał farmę Thomasowi Tierneyowi, a z miny Zima wnosiłem, że on również nie widział go wcześniej. Wykrzywił się tak, że nie wiadomo było, czy się uśmiechnie czy coś wypluje, ale wtedy Lonnie odwrócił się i skinął mu głową.

- Zim - powiedział. - Zabrzmiało to jak „Sim” przy jego sposobie mówienia, jakby sam sobie żartował ze swego silnego akcentu. - Jak leci?

Zim pyknął w daszek czapeczki i lekko skinął głową.

- Nie jest źle. - Spojrzał na hot doga Lonniego, po czym powstał mi uśmiech półgębkiem. - To jest dopiero wyżerka, prawda, Justin?

I wtedy już wiedziałem, że Zim nie miał zamiaru wściekać się na Lonniego za sprzedaż posiadłości, co przyjąłem z pewną ulgą.

Ale Lonnie nie wyglądał, jakby mu ulżyło. Był zmieszany, choć Lonnie zawsze taki się wydawał. Był wielkim facetem z szorstką cerą, i choć nie dorastał do rozmiarów Zima, to był zdecydowanie większy, niż ustawa przewiduje, z gęstą, brązową brodą i workowatymi dżinsami upchniętymi w gumowe rybaczkę, co mnie nieco zaskoczyło, bo wiedziałem, że przecież sprzedał łódź. I wtedy przypomniało mi się, że przecież dostał górę forsy od Thomasa Tierneya, co pewnie wystarczyło na kupno nowej łodzi. Wystarczyłoby, żeby kupił sobie, co tylko wymarzył.

- Muszę lecieć - rzucił Lonnie. - Dobrześ sobie nieźłego pomocnika, co, Zim?

- Justin ciężko pracuje - odparł Zim i podszedł do okienka, żeby złożyć zamówienie. Przez chwilę Lonnie wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Zim już rozmawiał z Shelley.

Lonnie zatem znów obrzucił mnie wzrokiem. Było to dziwne spojrzenie, jakby nie zamierzał się do mnie odezwać, ale coś połączyć w jedną całość. Lonnie nie jest głupi, co to, to nie. Celowo mówi z silnym akcentem i zachowuje się, jakby nigdy nie wyjechał na południe od Bangor, ale mama mówiła, że ma dyplom prawniczy, a łowi ryby, bo woli to od bycia prawnikiem, i ja chyba też bym tak wolał. Odczekałem trochę, ciekawy, czy się do mnie odezwie, ale on odwrócił się tylko i poszedł szybkim krokiem do nowiutkiego furgonu zaparkowanego na jednej z kopert zarezerwowanych dla rybaków, wsiadł do środka i odjechał. Patrzyłem za nim, po czym podszedłem do Zima, by odebrać mój posiłek.

Shelley posłała mi pospieszny uśmiech i wróciła do rozmowy z Zimem.

- Widzę, że stawiasz u siebie dom - powiedziała i podała mu papierowy ręcznik z dwoma hot dogami w środku, pojemnik ze smażonymi małżami dla Zima oraz dwie butelki moxie. Zim pokiwał głową, ale nic nie powiedział i tylko podał jej pieniądze.

- Mamy u nas prawdziwy boom budowlany - dodała Shelley, po czym spojrzała na kolejnego klienta. - Czym mogę służyć?

Pojechaliśmy do Zima i zjedliśmy na dworze, siedząc na ogrodowych krzesłach i wsłuchując się w uderzenia dzioba dzięcioła w sosnowym zagajniku. Pachniało przyjemnie, trocinami, lakierem i smażonymi małżami. Kończyłem już, kiedy ze szkolnego autobusu wyłoniła się Vala i podeszła do mnie.

- *Ertu buinn?* - zagadnęła przekornie. - Skończyłeś? I nic mi nie zostawiłeś?

Spojrzałem niepewnie na wciąż przeżuującego Zima.

- Mmmhmmm - wymruczał, machając do mnie dłonią. - Dla niej nic! Nic niezdrowego!

- Phi! - Vala odrzuciła głowę do tyłu i zamachała kucykami. - Nawet bym nie chciała - sam tłuszcz.

Patrzyła z dezaprobatą, jak ostatni smażony małż niknie w ustach Zima, po czym spojrzała na mnie.

- Chodź ze mną, Justin. Chcę ci coś pokazać.

- Ejże! - zawołał kpiarsko Zim, kiedy Vala prowadziła mnie na skraj lasu. - On tu pracuje!

- Teraz ma przerwę - odparowała Vala i pokazała mu język. - No chodź.

Vala była dziwna. Czasami zachowywała się jak moja mama i zrzędziła, że zapomniałem zdjąć buty po wejściu do szkolnego autobusu albo że za bardzo hałasujemy z Codym. Kiedy indziej, tak jak teraz, zachowywała się raczej jak dziewczyna w moim wieku, droczyła się i zaskakiwała mnie.

Zmieniał się również jej wygląd. I nie mówię tu o ubraniu - przez cały czas nosiła mniej więcej to samo - ale o tym, że czasami wyglądała staro, jak moja mama, a kiedy indziej tak jak ja i moi rówieśnicy. Cierpła mi od tego skóra, szczególnie kiedy zachowywała się również jak smarkula.

Na szczęście wtedy właśnie zachowywała się jak podłotek, ale wyglądała starzej, jak ktoś, kto wyszedł za mąż za Zima. Po pierwsze, miała na sobie jego ubranie, o wiele na nią za duże dżinsy i tak podwinięte, że nie było nawet widać jej butów, oraz powypychaną bluzę, choć było wtedy szczególnie gorąco.

- Powiedziałam „chodź” - powtórzyła i trzepnęła mnie po ramieniu.

Wstałem pospiesznie i poszedłem za nią, zastanawiając się, czy wszyscy w Islandii są tacy czy tylko Vala.

Pod drzewami wszystko było zielone, złote i ciepłe - nie gorące jak w pełni słońca, ale też nie chłodne. Spociłem się i mój pot w połączeniu z przyćmionym światłem wywabił skądś roje komarów, całe mnóstwo, te jednak najwyraźniej nie niepokoiły Vali i po kilku minutach już je ignorowałem i prawie o nich zapomniałem. Grunt był miękki i pachniał dżdżownicami, dobrym zapachem, wskutek którego pomyślałem o wędkowaniu i za każdym razem kiedy

przechodziliśmy obok drzewa, które wydzielalo tak przyjemny zapach, zatrzymywałem się na chwilę - to drzewo Zim nazywa balsamowcem z Gileadu, bo pachnie kadzidłem.

Zim był właścicielem kawałka gruntu, który miał ponad sto akrów. W niektórych miejscach wycinał drzewa, ale nie stąd. Tę część zostawił w naturalnym stanie, bo łączyła się z posesją Lonniego - a teraz Thomasa Tierneya - i również dlatego, że był to starodrzew. Ludziom wydaje się, że wszystkie lasy w Maine są dzikie i stare, ale większość z nich nie jest starsza od tych z New Jersey - te drzewa były wycinane przez setki, a może nawet tysiące lat przez Passamaquoddy czy inne indiańskie plemiona, a kiedy odrosły, wycinali je wikingowie, a kiedy znów odrosły, wycinali je Anglicy, Francuzi i wszyscy inni, aż do dziś.

Dlatego też nie ma tu naprawdę dziewiczych kniei, pomimo że drzewa wyglądają na przedpotopowe, tak jak w kinie, gdy chcesz wierzyć, że patrzysz na coś rzeczywiście dzikiego, kiedy tymczasem są to drzewa, powiedzmy, czterdziesto-, pięćdziesięcioletnie. Niemowlaki.

Ale te tutaj takie nie były. To były stare drzewa - w tym wilcze drzewa, które Zim zwykle wycinał. Wilcze drzewo to takie wielkie poskręcane kłębowisko z olbrzymią koroną, które zabiera pozostałym światło oraz glebę i wypiera inne drzewa. Wilcze drzewa to drzewne chwasty, ponieważ są poskręcane i tak rozłożyste, że nie da się ich przerobić na deski, żerują na innych, mniejszych drzewach i powstrzymują ich przyrost, tak że nie nadają się już do niczego.

Kiedy byłem mały, chodziłem z Zimem do lasu, przyglądałem się mu przy pracy i zawsze bałem się tych wilczych drzew. Nie dlatego, że było w nich coś groźnego - wyglądały jak zwykłe drzewa, tyle że były duże.

Ale myślałem, że mieszkają w nich wilki. Kiedy pewnego razu powiedziałem to Zimowi, wybuchnął śmiechem.

- Też tak myślałem, kiedy miałem tyle lat, co ty. - Oliwił swoją piłę, przygotowując ją na spotkanie z jednym z wilczych drzew. Był to czerwony dąb. Czerwone dęby cuchną straszliwie, kiedy się je ścina, surowe drewno po prostu śmierdzi - dają jak psia kupa. -

Chcesz się dowiedzieć, dlaczego tak się je nazywa?

Pokiwałem głową, oddychając przez usta.

- Dlatego że tysiąc lat temu w Anglii i okolicach na takich drzewach wieszano banitów. Były to drzewa wilków, tak ich nazywali, bo banici byli jak wilki żerujące na słabszych.

Tam, gdzie wyrastało wilcze drzewo, zaciaśniało inne. Kilkakrotnie widywałem starą przerośniętą jabłoń, oplecioną dzikimi pnączami winogron, co stanowiło pozostałość po rodzinnej farmie Lonniego. Bo chociaż był to starodrzew, ptaki i zwierzęta tego nie wiedziały. Zjadały owoce z farmy i zostawiały nasiona gdzie bądź - i dlatego pośrodku lasu można natrafić na jabłonie i inne drzewa owocowe.

Robiło mi się już gorąco i szczerze miałem dość tego spacerowania. Vala nie odezwała się ani razu, od kiedy poszliśmy do lasu, nawet nie obejrzała się w moją stronę i zacząłem się zastanawiać, czy nie zapomniała, że tu w ogóle jestem. Moja mama mówiła, że kobiety w ciąży są bardziej postrzelone niż zwykle. Zacząłem się już zastanawiać nad wymówką, żeby się stamtąd zmyć, kiedy Vala się zatrzymała.

- Tutaj - powiedziała.

Dotarliśmy do kotliny na zboczu wzgórza nad farmą. Rozpoznałem budynek mieszkalny, stodołę i zabudowania gospodarcze, kilka jabłoni i zapuszczone pole ciągnące się aż do oceanu. Nie było tu zwykłej plaży, tylko wybrzeże z olbrzymimi granitowymi głazami i długi metalowy dok, którego nawet wcześniej nie widziałem.

Wciąż był to piękny zakątek przy lesie. Kilka metrów od budynku mieszkalnego drzewa wyrastały na klifie nad kamienistą plażą. Małe, poskręcane od wichrów - poza trzema olbrzymimi sosnami, które wyrastały na wysokość ponad trzydziestu metrów.

Zim nazywał te drzewa królewskimi sosnami i były naprawdę olbrzymie.

- Te drzewa są bardzo stare - powiedział kiedyś, wskazując na nie. - Widzisz tam na górze?

Zmrużyłem oczy. Wiedziałem, że bieliki amerykańskie zakładają gniazda w pobliżu oceanu, ale nie zobaczyłem niczego, co przypo-minałoby gniazdo. Pokręciłem głową.

Zim położył mi dłoń na ramieniu i obracał mną, aż skierowałem spojrzenie wprost w górę.

- Tam, na pniu - widzisz znak na korze?

Wtedy to zobaczyłem, trzy znaki od topora w kształcie strzały.

- To znak królewski - wyjaśnił Zim. - Prawdopodobnie z około 1690 roku. Oznacza, że są to drzewa królewskie do budowy masztów w królewskiej flocie. To były duże drzewa już ponad trzysta lat temu. A od tego czasu rosły dalej.

Teraz, w towarzystwie Vali, widziałem, jak królewskie sosny górują nad innymi drzewami, jak maszty szkunera wznoszące się nad taflą zielonkawego oceanu. Pomyślałem, że to właśnie Vala chciała mi pokazać, więc przygotowałem się odpowiednio, by grzecznie udać zaskoczonego.

Ale ona dotknęła mego ramienia, wskazując coś o kilka metrów dalej przy polance, gdzie drzewa otaczały fragment pastwiska.

- Niech mnie - wyszeptałem.

Pośrodku polany rósł krzak. Wielki krzak, pigwowiec, z długimi, cienkimi gałązkami, obsypanymi zielonymi liśćmi i niewielkimi czerwonymi kwiatkami - jasnoczerwonymi jak walentynki i tak jaskrawię odcinającymi się od szarej ściany drzew, że nie mogłem nie zamrugać.

A potem, kiedy już sobie pomrugałem, pomyślałem, że mam coś z oczami, ponieważ krzak zdawał się poruszać. Nie na wietrze - powietrze stało - krzak jakby się rozpadał i ponownie składał w całość, liście unosiły się z gałęzi i trzepotały, zmieniając barwę z ciemnozielonej na połyskliwie zieloną jak metaliczny lakier, a tu i ówdzie wykwitał przebłysk czerwieni, jakby jakiś kwiat nagle rozwinął swoje pąki.

Ale najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że krzak wydawał dźwięk. Było to bzyczenie, nie pszczele, ale takie, jak bzyczy piła spalinowa czy kosiarka do żywopłotu, wysoki dźwięk, który się nasilał, później cichł i znów był głośniejszy. Przetarłem oczy i spojrzałem na zarośnięte pole, myśląc, że to może Thomas Tierney wynajął kogoś do prac porządkowych i stąd się wziął ten odgłos.

Ale nikogo i niczego tam nie było poza wysoką trawą, jabłoniami, skałami i oceanem za klifem.

- Widzisz, co to takiego?

Głos Vali zabrzmiał tak blisko mego ucha, że aż podskoczyłem, i dostałem gęziej skórki od jej oddechu, tak zimnego, jakby ktoś nagle otworzył drzwi od zamrażarki. Pokręciłem głową, a ona dotknęła mojej ręki przez materiał i poczułem chłód jej dłoni. Poprowadziła mnie na polanę, aż krzak wyrósł przed nami jak czerwona chmura.

- Widzisz? - wyszeptała.

Krzak był pełen kolibrów - setki kolibrów wlatywały i wylatywały z krzaka, który na podobieństwo miasta gościł je w swych liściastych ulicach i alejkach. Niektóre unosiły się nad kwiatami, by zaspokoić głód, choć większość fruwała zbyt szybko dla ludzkiego oka. Niektóre siedziały na gałązkach całkowicie nieruchomo i to było najdziwniejsze ze wszystkiego, jakby człowiek patrzył na kroplę deszczu zawieszoną w powietrzu.

Ale nie pozostawały długo w takiej pozycji - przysiadły na swoich grzędach jedynie na tyle długo, żebym mógł je zobaczyć, ich zielone skrzydła i czerwoną plamkę gardła, o tak intensywnym kolorze, że wydawało się, iż ktoś za mocno ścisnął ich kruche ciała. Pomyślałem, że może uda się jednego z nich potrzymać albo przynajmniej dotknąć.

Więc spróbowałem. Stałem z otwartą dłonią, wstrzymałem oddech i zamarłem w bezruchu. Kolibry śmigały wokół, jakbym nagle zamienił się w krzak pigwy, ale nie siadały na mnie.

Zerknąłem na Valę. Robiła to samo, co ja, z tym zdumionym uśmiechem na twarzy - wyciągnęła ramiona przed siebie i przypominała mi trochę Zima, kiedy z różdżką zasuwiał po polu. Kolibry zaczęły bzyceć wokół niej, ale nie siadały na niej. Może gdyby jedno z nas miało na sobie coś czerwonego, to by siadły. Kolibry lubią kolor czerwony.

Vala nie miała na sobie nic czerwonego, tylko starą szarą wyświechtaną bluzę Zima i dzinsy. Ale dziwnie wyglądała, kiedy tak tam stała, nawet można powiedzieć, że niesamowicie, i przez chwilę miałem takie dziwne wrażenie, że wcale nie patrzę na Valę, że ona znikła, a ja stoję obok dużego szarego gązdu.

To wrażenie było tak silne, że spanikowałem. Otworzyłem usta i chciałem już zaproponować powrót do domu Zima, kiedy jeden koliber zaczął trzepotać tuż przy twarzy Vali. Tuż przed jej okiem.

- Ej! - krzyknąłem.

W tej samej sekundzie krzyknęła też Vala, było to głębokie burknięcie, które zawierało w sobie słowo, ale nie w języku angielskim. Machnęła dłonią przed twarzą, zobaczyłem tylko zielonkawy rozmazany kontur i ptak zniknął.

- Nic ci nie jest? - zapytałem. Myślałem, że ostry dzióbek kolibra zahaczył o jej oko. - Czy coś ci...?

Vala przystawiła dłoń do twarzy, jęknęła i zamrugnęła.

- Przepraszam! Wystraszył mnie - był tak blisko, że zaskoczona...

Opuściła dłoń. Spojrzała na ziemię pod swoimi stopami.

- O, nie.

Kolibier leżał bez ruchu koło kalosza jak jasnozielony listek.

- Och, tak mi przykro, Justinie! - wykrzyknęła Vala. - Ja chciałam tylko, żebyś zobaczył ten krzak pełen ptaków. Ale wystraszył mnie i...

Kucnąłem koło martwego kolibra. Wzrok Vali powędrował w stronę lasu.

- Powinniśmy już iść - oznajmiła. Wypowiedziała te słowa jak osoba nieszczęśliwa, nawet zdenerwowana. - Zim pomyśli, że zabłądziliśmy, i będzie się złościł, że cię zabrałam do lasu. Musisz wracać do pracy - dodała i posłała mi wątpy uśmiech. - Chodźmy już.

Odeszła. Ja zostałem na miejscu. Po chwili podniosłem jakiś kijek i ostrożnie pchnąłem nim martwego ptaszka. Nie ruszał się.

Leżał z łapkami do góry i ten widok jeszcze bardziej szarpał za serce. Chciałem go przewrócić na brzusek. Znow trąciłem go kijkiem, mocniej.

Nawet nie drgnął.

Cody potrafi ruszać martwe zwierzęta. Ja nie. Ale koliber był tak mały, długi na mój palec. I był też piękny, z czarnym dziobkiem, czerwoną kropką na szyjce i małutkimi piórkami, które przypominały łuskę. Więc go podniosłem.

- Jasna dupa - wyszeptalem.

Był ciężki. Nie tak ciężki jak jakiś większy ptak, wróbel czy sikorka, ale bezwładny i ciężki jak kamyk. Nawet nie to - przypominał taki ciężarek ze starego zegara w kształcie szyszki czy żołędzia, które w dotyku są cięższe, niż się wydają, jak kula do kręgli, tylko mniejsze.

Taki był koliber - tak małutki, że mogłem go zacisnąć w pięści, i już zimny. Pomyślałem, że zaczął się *rigor mortis*, tak jak kiedy się wiesza jelenia. Bardzo delikatnie dotknąłem skrzydła ptaszka. Nawet spróbowałem je poruszyć, ale się nie dało.

Więc przewróciłem go na brzusek w dłoni. Miał podkurczone łapki jak mucha i niewidzące ślepka. W dotyku nie był miękki, nie był to dotyk piór. Zdawał się bardzo twardy, jak z granitu, i tak jak granit zimny.

Ale wyglądał tak samo jak żywy koliber, szmaragdowozielony w promieniach słońca, z nieco zakrzywionym dziobkiem i białym paskiem pod czerwonym gardziółkiem. Przesunąłem palcem po dziobku i zakląłem.

- Co jest, do jasnej ciasnej?

Jasnoczerwona kropka napęczniała w miejscu, w którym dziobek ptaka, ostry jak szpilka, przekłuł moją skórę.

Rozejrzawszy się, czy Vala nie widzi, zacząłem ssać palec. Dostrzegłem ją z oddali, jak przechodziła między drzewami. W kieszeni odnalazłem zmiętą papierową chusteczkę, zwinąłem w nią kolibra i bardzo ostrożnie włożyłem do kieszeni. Później pognałem za Valą.

Wracaliśmy w milczeniu. Dopiero kiedy wyłonił się przed nami szkielet nowego domu, Vala zwróciła się do mnie.

- Widziałeś tego ptaszka? - zapytała.

Spojrzałem na nią niepewnie. Bałem się skłamać, ale jeszcze bardziej bałem się, co może zrobić, kiedy dowie się, że mam go w kieszeni.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, sięgnęła i dotknęła mojej płamki na brodzie. Kiedy wbiła we mnie swoje ciemne, smutne choć nie nieprzyjazne oczy, poczułem przebłysk bolesnego chłodu.

- Nie chciałam mu zrobić krzywdy - powiedziała cicho. - Nigdy nie widziałam takiego ptaka, nie z tak bliska. Przestraszyłam się. Może nie przestraszyłam - byłam zaskoczona. Za szybko zareagowałam - powiedziała ze smutkiem.

Potem uśmiechnęła się i jej wzrok poszybował w kierunku kieszeni moich dżinsów.

- Zabrałeś go - stwierdziła.

Odwróciłem wzrok, a Vala wybuchnęła śmiechem. Przed domem Zim spojrzał na nas ze sterty sześciociałowych słupków.

- No chodź tu, Justin! - ryknął na mnie. - Kobieto, odciągasz go od pracy!

Vala znów pokazała mu język i odwróciła się do mnie.

- On wie - stwierdziła po prostu. - Ale może zachowasz to w tajemnicy przed twoim przyjacielem? I mamą.

I podeszła do Zima, żeby pocałować go w ogorzały od słońca policzek.

Wymamrotałem: - Jasne, pewnie - i podszedłem do miejsca, w którym zostawiłem puszkę z lakierem. Vala stanęła obok męża i westchnęła, patrząc na bezchmurne niebo i dywan drzew rozpościerający się do samej zatoki. Kilka żaglowych łodzi majestatycznie sunęło po błękitnej wodzie. Jedną z nich był trójmasztowy szkuner z grotzagle w czerwone pasy - jacht Thomasa Tierneya.

- No, Vala - zaczął Zim. Mrugnął do żony. - Przekazałaś Justinowi dobre wieści?

Uśmiechnęła się.

- Jeszcze nie. - Podciągnęła bluzę do góry, żebym mógł zobaczyć jej wystający brzusek. - Proszę...

Przywołała mnie do siebie, wzięła moją dłoń i położyła sobie na brzuchu. Pomimo upału miała lodowatą dłoń. Tak samo lodowaty był jej brzuch, ale pod palcami poczułem coś gorącego, a potem kilka delikatnych uderzeń ze środka. Spojrzałem na nią zaskoczony.

- Będziesz miała dziecko!

- *Eg veit* - powiedziała i wybuchnęła śmiechem. - Wiem.

- Nie strasz go tylko gadaniem o dzieciach - wtrącił Zim. Objął żonę. - Potrzebuję go do pomocy przy skończeniu tego cholernego domu, zanim zacznie padać śnieg.

Wróciłem do lakierowania. Tak naprawdę cieszyłem się, że mam coś do roboty, bo mogłem zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Kiedy tego samego wieczoru wróciłem do domu, włożyłem zawiniętego w moją koszulkę kolibra do szuflady. Przez jakiś czas oglądałem go codziennie, po tym, jak mama całowała mnie na dobranoc, ale po tygodniu niemal zapomniałem, że tam leży.

*

Kilka dni później Cody wrócił z obozu biblijnego. Był już wrzesień. Święto pracy nadeszło i odeszło, podobnie jak większość letników. Zaczęła się szkoła. Wraz z Codym chodziliśmy już

do ósmej klasy - mieliśmy serdecznie dość tych wszystkich kolegów, których znaleźliśmy od przedszkola, ale nie narzekaliśmy zbyt. Czasami po szkole jeździliśmy na wrotkach u Zima. Zaczęło się tam robić ciasno, bo wszędzie rosły sterty drewna na opał oraz desek na budowę nowego domu i czasami Zim wrzeszczał na nas, że mu przeszkadzamy.

Ale wszystko było mniej więcej takie jak do tej pory, jeśli nie liczyć rosnącego brzuszka Vali i zwyczajowych przygotowań mieszkańców do nadchodzącej zimy.

Może nie wierzycie, że ludzie naprawdę martwią się śniegiem przez cały czas, ale tak u nas jest. Moja mama wzięła opał od Zima już w sierpniu, podobnie jak większość jego stałych klientów. Dzień po dniu ubywało stert drewna, bo Zim je regularnie rozwoził.

I dzień po dniu rósł ich nowy dom i przestał przypominać domek z rysunku przedszkolaka, zmieniając się w bajkową chatkę ze spadzistym dachem i mnóstwem okien. Niektóre z nich były prostokątne, a niektóre okrągłe jak bulaje, a gonty w kształcie sercówek przybrały barwę żurawin. Pomagałem mu przy pracy nad tym, a także w środku, i było to wspaniałe zadanie.

Bo wewnątrz było oszałamiające. Zim potrafił robić niesamowite rzeczy z drewna, wszyscy to wiedzieli. Ale do tej pory widziałem jedynie przedmioty, które wyrabiał za pieniądze, na przykład meble czy różne użyteczne rzeczy, takie jak szafki, które zrobił dla mojej mamy.

Teraz zobaczyłem, co zrobił dla siebie i Vali. I jeśli można powiedzieć, że dom na zewnątrz wyglądał jak z bajki, to wewnątrz przypominał marzenie ze snu.

Zim zwykle rzeźbił w sośnie, która jest bardzo miękkim drewnem. Ale tu dźwigary zrobił z dębu i wyrzeźbił na nim różne twarze - oblicza wiatru z wydętymi ustami, lisy i wilki szczerzące kły w rogach, smoki i ludzi, których nie znałem, ale o których Vala mówiła, że to są duchy z Islandii.

- *Huldufolk* - powiedziała, kiedy zapytałem. - Ukryty lud.

Ale tutaj się nie ukrywali. Zostali wyrzeźbieni na głównym dźwigarze, który biegł przez sufit w głównym pomieszczeniu, oraz na dębowych słupach i w rogach, i wychylali swe oblicza z rzeźbionych liści, winorośli oraz gałęzi, dzięki czemu narożne wsporniki wyglądały niemal jak prawdziwe drzewa. *Huldufolk* przebywali też na szafkach, ławach, serwantkach, półkach na książki i nawet na wezglowiu łóżka, które Zim zrobił z jednej deski orzechowej i tak wypolerował woskiem pszczelim, że cała sypialnia pachniała miodem.

I tak chociaż dom wydawał się niewielki z zewnątrz, to w środku można się było zgubić wśród tych pięknie wyrzeźbionych detali. I wiązało się to nie tylko z rzeźbieniem, bo Zim wydobyl strukturę drewna i można było zajrzeć do środka, węzły i sęki zmieniły się w oczy i usta, porowatości zostały wypolerowane papierem ściernym, tak że były niezwykle gładkie, tak jak mogła wyglądać skóra, która stwardniała na tyle, żeby stanowić podporę ścian, sufitów i łączeń, ale pozostać w przedziwny sposób żywą skórą.

Był to najwspanialszy dom, jaki widziałem w życiu. I może najwspanialsze było w nim nie to, że chciało się w nim zamieszkać, ale to, że po tych wszystkich godzinach, które w nim spędziłem, zacząłem czuć, że ten dom żyje we mnie tak, jak dziecko żyje w brzuchu Vali.

Tylko że oczywiście nie mogłem tego nikomu powiedzieć, a już szczególnie Cody'emu. Pomyślałby, że ześwirowałem od oparów lakieru - pomimo że nosiłem maskę, podobnie jak Vala zakładała dziwną maskę, w której wyglądała jak Darth Vader.

Ona również pracowała przy budowie kamiennego kominka. Znalazła kamienie w lesie i przywiozła je na taczkach. Wielkie kamienie - byłem zaskoczony, że była je w stanie unieść.

- Nie mów Zimowi - wyszeptła, kiedy nakryłem ją kiedyś na skraju lasu, jak targała wielki kawał granitu. - Będzie się niepotrzebnie martwić i krzyczał na mnie. A wtedy ja będę krzyczeć na ciebie - dodała i zmrużyła te swoje przerażające granatowe ślepie.

Kiedy złożyła już kamienie w środku, bardzo długo nie mogła się zdecydować, jak je ułożyć w kominku. Kiedy sobie z tego żartowałem, zmarszczyła brwi.

- Nie wolno złościć kamieni, Justin. - Nie żartowała. Wyglądała na wkurzoną. - Ponieważ kamienie mają bardzo dobrą pamięć.

Był wczesny poranek, tuż po siódmej w sobotę. Moja mama podrzuciła mnie do Zima po drodze do klienta. Był piękny dzień babiego lata, kiedy liście zaczynają zmieniać barwę. Widziałem dwa jachty na wodzie, płynące na południe na zimę. Wołałem oczywiście wrotki z Codym, ale Zim gorączkowo wykańczał dom przed pierwszymi chłodami, więc poszedłem do niego, by pomóc mu osadzać okna.

Zim był na dworze. Vala nakrzyczała na mnie za kamienie i poszła na górę do sypialni, żeby coś z niej wziąć. Ziewnąłem, żałując, że nie zabrałem swego iPoda, kiedy z górnego piętra dobiegł nas krzyk Vali.

Zamarłem. Był to przerażający dźwięk, nie wysoki jak u kobiety, ale głęboki i dudniący. I ciągnął się w nieskończoność, tak jakby nie musiała nabrać oddechu. Rzuciłem się do schodów, kiedy Zim już wpadał do środka. Odepchnął mnie na bok i przeskakiwał po dwa stopnie.

- Vala!

Pobiegłem za nim przez pusty korytarz do sypialni. Vala stała przed oknem i patrzyła na zewnątrz, zakrywając dłońmi twarz. Zim chwycił ją za ramiona.

- Coś nie tak z dzieckiem? - wykrzyknął.

Starał się przyciągnąć ją do siebie, ale ona potrząsnęła głową i odepchnęła go tak mocno, że walnęła plecami o ścianę.

- Co jest? - Podbiegłem do okna. Vala zamilkła, kiedy wyrząłem na żółknący kobierzec liści. - O, nie. - Wpatrywałem się z niedowierzaniem w klif nad zatoką. - Królewskie sosny...

Przetarłem oczy, nie zdając sobie niemal sprawy z tego, że Zim odpycha mnie od okna, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Nie! - zaryczał.

Jedna z wielkich sosen znikła - największa, ta, która stała najbliżej klifu. Błękitna luka zaznaczała miejsce, w którym jeszcze niedawno stała, skrawek nieba, na widok którego zakręciło mi się w głowie i zrobiło mi się niedobrze. Jakbym podniósł rękę do oczu i zobaczył, że brakuje w niej jednego palca. Broda mi drgała i odwróciłem się, żeby nie zobaczyli, że płacę.

Zim walnął pięścią w parapet. Miał trupioblada twarz, a oczy tak przekrwione, jakby zachlapał je sobie farbą. To przerażyło mnie bardziej niż wszystko inne i wtedy podniosłem wzrok na Valę.

Opierała się plecami o ścianę - nieskończoną ścianę, szarą płytę regipsową, ledwo zaklajstrowaną na brzegach uszczelniaczem. Miała też pobladłą twarz, ale nie była biała. Była szara. Nie szara jak coś żywego, futro czy sierść, ale jednolicie szara jak cętkowana obumarła kora czy granit.

I nie tylko jej twarz przybrała tą barwę, ale cała widoczna skóra, która wydawała się teraz równie żywa, jak leżąca na parterze sterta głazów. Jej ubranie wisiało na niej, jakby ktoś je powiesił na głazie, włosy nastroszyły się jak chrobotek reniferowy. Nawet oczy zmieniły się w czarne punkciki poza ledwo widocznymi iskrami w źrenicach, jakby kropla wody uwięzła w zagłębieniu skalnym.

- Vala. - Zim stanął obok mnie. Mówił drżącym głosem, który jednak był niski i spokojny, jakby chciał osadzić w miejscu wyrwijącego się, przerażonego psa. - Vala, już dobrze...

Wyciągnął dłoń, by pogłaskać kamienną szarą płytę opartą o ścianę, a chrobotek plątał mu się pod palcami i ręka opadła niżej na zaokrąglony kamienny naciek.

- Pomyśl o dziecku - wyszeptał. - Pomyśl o naszej córeczce...

Żdźbła chrobotka zadrgały, dwie nabrzmiące łzy stoczyły się po granicie na ziemię i nagle była już tam Vala, a nie jakiś kamień, Vala, która padła w ramiona męża i załkała spazmatycznie.

- To świństwo... po prostu świństwo...

Przytulał ją, gładząc po włosach, a ja w końcu odważyłem się coś powiedzieć.

- Czy to... od burzy?

- Burzy? - Zim gwałtownie odsunął się od Vali. Twarz mu pociemniała, przyjmując mahoniową barwę. - Nie, to nie burza.

Sięgnął do okna i otworzył je energicznym ruchem. Znad klifu dobiegł nas znany odgłos piły spalinowej.

- To Tierney! - wykrzyknął Zim.

Odwrócił się i wybiegł na korytarz. Vala pognęła za nim, a ja za nią.

- Nie - wy tu zostajecie! - Zim zatrzymał się przed schodami. - Justin, czekaj tutaj razem z nią...

- Nie - rzuciłem.

Spojrzałem nerwowo na Valę, ale ku memu zaskoczeniu kiwnęła głową.

- Nie - odparła. - Idę i Justin też.

Zim wciągnął powietrze przez zęby.

- Jak sobie chcecie - odparł szorstko. - Ale nie czekam na was. I słuchaj - masz jej pilnować, Justin, rozumiałeś?

- Przypilnuję - powiedziałem, ale już go nie było.

Vala i ja spojrzeliśmy po sobie. Jej oczy były jaśniejsze niż zwykle, równie szare, jak płyta regipsowa, ale na moich oczach pociemniały, jakby ktoś spuścił kroplę atramentu do szklanki z wodą.

- Chodź - nakazała.

Dotknęła mego ramienia i ruszyła do drzwi śladem męża. Poszedłem za nią.

Chciałem tylko pobiec i dopędzić Zima. Potrafiłbym to zrobić - przez lato wyrosłem sporo i byłem teraz o kilka cali wyższy od Vali.

Ale pamiętałem, jakim tonem Zim przykazał mi: „Masz jej pilnować, Justin, zrozumiałeś?” I jak na mnie spojrzał, jakbym był obcą osobą, jakby mnie chciał uderzyć, gdybym go nie posłuchał, albo zrobić coś jeszcze gorszego. Przeraziłem się tym i poczułem mdłości, niemal tak mocne jak na widok pustego miejsca po wyrąbanej królewskiej sośnie, ale nie miałem czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać. Wciąż wwiercał mi się w uszy dźwięk piły spalinowej tam w dole, straszliwy był to odgłos, jak zgrzyt hamulca ciężarówki, która i tak nie zatrzyma się w porę. Szedłem tak szybko, jak się odważyłem, a Vala była o kilka kroków za mną. Kiedy słyszałem jej ciężki oddech, zatrzymywałem się, starając się nie spuścić z oczu Zima, daleko przed nami.

Ale po kilku minutach zaprzestałem tego wypatrywania. Zniknął nam z pola widzenia i mogłem mieć tylko nadzieję, że dotrze do klifu, zanim ktoś, kto wycinał drzewa, zetnie kolejne z nich.

- Posłuchaj - powiedziała Vala, łapiąc mnie za rękaw.

Wydawało mi się, że piła wciąż pracuje, ale uświadomiłem sobie, że to tylko echo. Ponieważ nagle zapadła głucha cisza i Vala wyczuła coś przede mną. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że wbija we mnie wzrok, jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe, przybierając jasnyniebieską barwę, jakiej wcześniej w nich nie widziałem.

- Wciąż jeszcze nie jest za późno - wyszeptała. Wydała jakiś taki dziwny dźwięk z głębi gardła, warkot, ale nie zwierzęcy, bardziej przypominający odgłos gromu czy huk osuwających się głązów. - Szybko...

Przedzieraliśmy się przez las, już nie patrząc, czy idziemy po ścieżce. Minęliśmy pigwowy krzak, szumiący zieloną mgiełką pożywiających się kolibrów. Vala nie stanęła, ale zwolniła, by się odwrócić w stronę farmy, i dopiero wtedy się zatrzymała.

Przy domu mieszkalnym na farmie stał zaparkowany ten sam nowy furgon, który widziałem przy budce Shelley z hot dogami. Wóz Lonniego Packarda. Widziałem wyraźnie, jak krępa postać gna przez pole, trzymając pod pachą dobrze znaną, pomarańczową piłę spalinową. Wskoczył do wozu, zapuścił silnik i odjechał.

Zakląłem pod nosem.

- Justin! - Niecierpliwy głos Vali nawoływał mnie gdzieś z lasu. - Chodź już!

Odnalazłem ją na szczycie ścieżki koło klifu. Przez poszarpany mur z karłowatych, poskręcanych drzew zobaczyłem dwie pozostałe sosny i jasnożółtą ranę, która była kikutem po tej, która padła. Ostry zapach sosnowej żywicy i trocin wisiał w powietrzu wraz ze spalinami od piły.

Ale po Lonniem nie było już ani śladu, ani po nikim innym.

- Patrz - wyszeptwała ochryple Vala. Chwyciła mnie i przyciągnęła do siebie, a jej dotyk był tak zimny, że poczułem się jak po zastrzyku z nowokainy. Całe ramię miałem zdrętwiałe. - Tam! Na łodzi...

Wskazywała na usianą głazami plażę, z której w zatokę wbijał się żelazny dok. Przy jego końcu kołysała się niewielka motorówka, boston whaler. Dalej na szarej toni unosiła się zwałista sylwetka Królowej Lodu z wydętymi od wiatru żaglami.

Stała na kotwicy. Kilka miniaturowych postaci krzątało się po pokładzie. Zmrużyłem oczy, by rozpoznać którąś z nich. Ostry spazm zimna przeszył moje ciało w okolicach żeber, kiedy Vala dała mi kuksańca, wskazując na kamienie w dole.

- Czy to on? - zasyczała. - Czy to Tierney?

Zobaczyłem, jak Zim pędzi plażą w stronę doku, przeskakując z jednego kamienia na drugi. Na brzegu, tuż przy końcu doku, stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był wysoki i miał na sobie poma-rańczową kamizelkę ratunkową oraz jaskrawopomarańczową czapkę i wysokie rybaczkę. Drugi był niższy, z białą brodą, dość krępy, z okularami przeciwsłonecznymi na nosie i w czerwono-białej wiatrówce, w takie pasy jak żagiel Królowej Lodu.

- To ten - powiedziałem.

Vala wbiła we mnie intensywne jasnoniebieskie spojrzenie.

- Jesteś pewien?

- Taa. Widziałem jego zdjęcie w gazecie. I w internecie.

Stała na szczycie ścieżki i wpatrywała się w dół. Znad kamieni zaczęły się unosić gniewne głosy - najpierw Zima - później dołączył się drugi, spokojniejszy, i trzeci, z początku spokojny, po czym prześmiewczy. Słyszałem, jak Zim klnie - nie wiedziałem, że w ogóle zna takie słowa. Trzeci mężczyzna, Tierney, zaśmiał się jeszcze głośniej.

Spojrzałem na Valę, która wciąż wpatrywała się w scenę rozgrywającą się pod nami. Jedną dłonią chwyciła gałązkę brzozy rosnącej przy ścieżce. Zdawała się nad czymś zastanawiać, niemal jakby śniła na jawie, wydawała się taka spokojna, jakby w przedziwny sposób zapomniała, co się stało i gdzie jesteśmy. W końcu pokręciła głową. Nie patrząc na mnie, urwała gałązkę z drzewa, upuściła ją i ruszyła ścieżką w stronę plaży.

Ruszyłem za nią, ale się zawahałem.

Gałązka leżała na wąskiej ścieżce u moich stóp. Liście, których dotknęła Vala, zwiędły i wyblakły, z żółto-zielonych stały się szare jak porosty, a biała kora brzozy szerniała i złuszczyła się jakby pod wpływem ognia.

Starałem się unieść gałązkę. Była zbyt ciężka, żeby ją podnieść.

- To teraz jest moja ziemia - głos Thomasa Tierneya odbił się echem od ściany klifu. - Więc może byś zabrał swoją dupę w troki!

Spojrzałem na ścieżkę w dole, na drobną postać Vali, która przeskakiwała bez wysiłku z kamienia na kamień, kierując się w stronę doku. Ruszyłem niezgrabnie w jej ślady.

Ale nie byłem w stanie poruszać się szybko. Z jakiegoś powodu, może dlatego że najpierw szedł tędy Zim, a potem Vala, kamienie toczyły się po całym wąskim szlaku. Nie wielkie, ale na tyle duże, że trzeba było uważnie stąpać, żeby nie spaść.

I jeszcze jedno - w niektórych miejscach pojawiły się białe ślady mrozu, więc moje stopy zaczęły się ślizgać i raz byłem bliski rozbicia sobie głowy. Zatrzymałem się na chwilę, dysząc ciężko. Kiedy już złapałem oddech, oderwałem wzrok od plaży i spojrzałem tam, gdzie klif opadał w granitową przepaść.

Tam dostrzegłem ściętą sosnę, która wpadła w wielką szczelinę i wyglądała, jakby wyrastała ze skały. Nachylała się w stronę wody, czarna w cieniu klifu z wielkimi, wciąż zielonymi, mocnymi gałęziami, a zapach sosnowej żywicy był silniejszy nawet niż zapach morza. W jej najwyższych gałęziach coś się poruszało, a po chwili oderwało od gałęzi i wzleciało nad zatokę - był to młody orzeł z brązowo-czarnym upierzeniem.

Nie mogłem się powstrzymać. Zacząłem płakać. Bez względu na to, jak zdrowo i mocno wyglądało drzewo, wiedziałem, że już jest martwe. Nic go nie przywróci do życia. Żyło sobie, kiedy mieszkali tu jedynie plemiona Passamaquoddy, widziało żeglarzy zza morza i turystów w łodziach z okręgu Paswegas, a może nawet widziało dzisiaj, jak Królowa Lodu przypląwa na czerwono-białym żaglu z Thomasem Tierneyem na pokładzie, który patrzył, jak Lonnie Packard przykłada piłę do wielkiego pnia, i w końcu drzewo padło, wydając trzask, którego nie słyszałem.

Ale słyszała go Vala.

„Masz jej pilnować, Justin, zrozumiałeś?”

Wzięłem głęboki wdech i przetarłem oczy, żeby dobrze widzieć Valę na skałach poniżej, po czym ruszyłem dalej w dół. Kiedy w końcu dotarłem do podnóża klifu i tak musiałem uważać, bo wszędzie natrafiałem na zamrożone kałuże wody morskiej między granitowymi głazami, niektóre skute lodem, a niektóre śliskie od krasnorostów i morskiego zielska. Biegłem w stronę doku tak szybko, jak mogłem.

- Nie masz pan na własność tych drzew - wrzeszczał Zim tak głośno, że aż uszy puchły.
- To sosny królewskie - żaden człowiek nie ma do nich prawa.

- Cóż, jestem właścicielem tego terenu - odparował Tierney. - I jeśli nie jestem tu cholernym królem, to niby kto nim jest?

Wspiąłem się po ostatnim skalnym odcinku i podbiegłem do Vali. Zim stał o kilka jardów od nas, a jego wysoka sylwetka górowała nad Thomasem Tierneyem. Drugi mężczyzna stał niespokojnie na brzegu doku. Rozpoznałem go - to Al Alford, który kiedyś pracował jako przewodnik dla letników na łodziach. Teraz wyglądało na to, że pracuje dla Tierneya.

- Królem? - powtórzyła Vala. - *Hann er klikkapor*. - Zerknęła na mnie kątem oka. - Zwariował.

Może pod wpływem jej słów, a może dlatego, że byłem wściekły na siebie za te moje łzy, zrobiłem krok w stronę Tierneya i krzyknąłem:

- Ścinanie tych drzew jest sprzeczne z prawem! Nie wolno wycinać tu niczego bez specjalnego pozwolenia!

Tierney odwrócił się i spojrzał na mnie. Po raz pierwszy wyglądał, jakby się spieszył, może nawet był zażenowany czy zawstydzony. Nie z powodu tego, co zrobił, tego byłem pewien, ale dlatego, że ktoś inny - jakiś szczeniak - wiedział, co Tierney zrobił.

- Kto to jest? - odezwał się cukierkowatym głosem, jaki przybierają dorośli, kiedy się ich na czymś przyłapie, na przykład na paleniu, piciu czy biciu żony. - Zim, to twój syn?

- Nie - odparłem.

- Tak - powiedziała Vala i pod nosem wypowiedziała słowo, które usłyszałem po raz pierwszy, kiedy się poznaliśmy: *feogar*.

Ale Zim nic nie powiedział, a Tierney już zdążył się odwrócić.

- Sprzeczne z prawem? - Obciągnął sobie z przodu czerwono- białą wiatrówkę, po czym wzruszył ramionami. - Zapłacę grzywnę. Nikogo nie wsadzają do więzienia za ścinanie drzew.

Potem Tierney się uśmiechnął, jakby przypomniał sobie dowcip, którego nie jest w stanie zrozumieć nikt poza nim, i dodał:

- A mnie już na pewno nie.

Spojrzał na Ala Alforda i skinął głową. Al odwrócił się pospiesznie i odszedł, właściwie pobiegł do miejsca, w którym boston whaler ocierał się o metalowe ogrodzenie przy końcu doku. Tierney poszedł za nim, ale wolniej, zatrzymując się raz, by spojrzeć w stronę kamienistego brzegu - nie na królewskie sosny, ale na zabudowania farmy, które błyszcząły w świetle słońca. Następnie poszedł tam, gdzie Alford czekał na niego w małej motorówce z wyciągniętą dłonią, by pomóc mu wejść na pokład.

Spojrzałem na Zima. Twarz mu sflaczała, ale usta były wciąż spięte. Wyglądał, jakby usilnie się nad czymś zastanawiał.

- On wytnie też dwie pozostałe - stwierdził. Nie brzmiało to tak, jakby wypowiadał te słowa ze smutkiem czy złością, ale jakby ujawniał prawdę, o której wszyscy wiedzą, jakby mówił „w zimie spadnie śnieg” albo „jutro będzie niedziela”. - Zapłaci grzywnę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, tak jak to zrobił w Kennebunk- port. Poczekaj i zrobi to w nocy, kiedy mnie tu nie będzie. I będzie po drzewach.

- Nie, nie zrobi tego - odparła Vala. Mówiła teraz równie spokojnie jak Zim.

Rozległ się stłumiony ryk silnika i motorówka wystrzeliła z doku w stronę Królowej Lodu.

- Nie - powtórzyła Vala i stanęła, by podnieść kamień.

Mały, szary kamyk, który dał się zamknąć w jej dłoni, z jednej strony upstrzony przez pąkle. Wyprostowała się ze wzrokiem utkwionym w ocean, a jej oczy z błękitnych stały się głęboko szare, jak otoczek wygładzony morskimi falami, bez źrenicy, i lśniły jak oceaniczna toń w słońcu.

- *Skammastu pei, Thomas Tierney. Farthu til fjandanns!* - wykrzyknęła i cisnęła kamień w stronę wody. - *Farthu! Lvttu peog hverfa!*

Patrzyłem, jak kamyk szybuje w powietrzu, a później spada i trafia z głuchym stukotem w plażę daleko od wody. Zacząłem już odwracać się ku Vali, ale nagle zamarłem.

Z wody dobiegł zgrzytliwy odgłos, ogłuszający huk, który przypominał grzmot, tyle że był głośniejszy i trwał krócej, ledwo ułamek sekundy. Odwróciłem się i przestroniłem oczy, kierując wzrok na boston whalera, zmierzającego wprost w stronę jachtu Tierneya. Nagły

powiew wiatru sychnął mi morską mgiełką w oczy, zamrugałem raz i drugi, tym razem ze zdumienia.

Ze dwa jardy od motorówki wyrosła ostra czarna skała, rzucając cień na wodę. Nie była duża - mogła mieć rozmiar płetwy delfina albo rekina, ale się nie poruszała.

Z ohydny trzaskiem boston whaler nadział się na kamienny kiel. Zim zakrzyknął ze zgrozy, kiedy odziana w pomarańcz postać Alforda została ciśnięta w wodę. Przez sekundę Thomas Tierney stał jeszcze wyprostowany, machając rękami, jakby chciał pochwycić Alforda. I nagle, jakby się pod nim kłapa otworzyła, wypadł przez dno łodzi i zniknął.

Zim podbiegł do brzegu. Ja za nim.

- Zostań z Valą!

Zim złapał mnie za ramię. Na skalnym zębie, odcinała się ostro pomarańczowa kamizelka ratunkowa uczeponego tam Alforda. Z pokładu *Królowej Lodu* ktoś wołał coś przez megafon i zobaczyłem, jak inna łódka, mały, dmuchany zodiac, spada na szarą toń. Zim potrząsnął mną mocno.

- Justin! Mówiłem ci, pilnuj jej...

Spojrzał ponownie na plażę. Ja też.

Nigdzie nie było widać nawet śladu Vali. Zim puścił mnie, ale zanim cokolwiek powiedział, zobaczyliśmy jakiś ruch wśród kamieni.

To Vala wyszła z ukrycia jak gęstniejąca mgła. Nawet z dali widać było jej błyszczące oczy, czarno-granatowe jak niebo w zimie, i zauważyłem, że się uśmiecha.

*

Załoga *Królowej Lodu* szybko wyłowila Alforda z wody, dużo wcześniej niż przyplłynęła jednostka straży przybrzeżnej. Wraz z Zimem spędziliśmy na tej plaży kilka godzin, kiedy ekipy poszukiwawcze przeczesywały plażę i nadleciały falcony z marynarki wojennej, na wypadek gdyby Tierney płynął do brzegu albo gdzieś zmyło jego ciało.

Ale tak się nie stało. Skalny ząb wyrzył sporą dziurę w kadłubie boston whalera, większą niż można by przypuszczać, ale nikt nie winił Alforda za wypadek. Wystarczyło tylko spojrzeć na mapy nawigacyjne, żeby się przekonać, że nie było tam żadnej skały, nigdy, przenigdy. Jednak teraz była aż nadto widoczna, mogę zaświadczyć. Widzę ją codziennie, kiedy wyglądam przez okno domu Zima.

Nie pytałem Vali, co się właściwie stało. Zim pojawił się wreszcie w domu późnym popołudniem z posępną miną. Pamiętajcie, że Thomas Tierney był multimilionerem, i nawet ja wiedziałem, że rozpocznie się śledztwo i pojawią się ekipy telewizyjne z kamerami i dziennikarze.

Ale wszyscy na pokładzie *Królowej Lodu* widzieli, co się stało, tak samo jak Alford, i oświadczyli, że kiedy Zim kłócił się z Tierneyem, nie okładali się pięściami, nie było nawet przepychanki i Zim nie odgrażał się ich pracodawcy - Alford tak właśnie zeznał. Sosna królewska została ścięta, ale dwie pozostały i grupa ludzi z Audubon Society, Sierra Club i

innych podobnych organizacji od razu wystąpiła do sądu przeciw spadkobiercom Tierneya, żeby zamienić całą parcelę farmy Packarda na rezerwat przyrodniczy.

Co pewnie jest dobre, ale i tak nie przywróci życia ściętemu drzewu.

Pewnego dnia po szkole, kilka tygodni po zatonięciu łodzi, pomagałem przy ostatnich pracach w domu Zima. Kiedy skończyliśmy, wszystko było gotowe z wyjątkiem kominka - wciąż wszędzie walały się sterty kamieni, plastikowe kubły z zaprawą oraz płaskie kamienie na palenisko.

- Justin. - Vala pojawiła się za mną niczym duch, aż podskoczyłem. - Proszę cię, możesz pójść ze mną?

Wstałem i pokiwałem głową. Wyglądała teraz jak prawdziwa ciężarna kobieta i to do tego bardzo poważna.

Ale też była szczęśliwa. Z sąsiedniego pokoju słyszeliśmy odgłosy szlifierki Zima. Vala spjrzała na mnie i uśmiechnęła się, po czym przystawiła palec do ust i dotknęła mojej brody. Tym razem nie zabolalo z zimna.

- Chodź - powiedziała.

Na zewnątrz było szaro i zimno, jak to w połowie października, a większość drzew stała łysa, bo ich liście zostały zerwane przez sztorm, który rozszalał się kilka dni temu. Ruszyliśmy do lasu za domem, minęliśmy krzak pigwowy, który stał tam jak zwykle, tym razem pozbawiony liści oraz kolibrów, które poleciały przez zimować w cieplejsze regiony. Vala miała na sobie te same jasnoniebieskie gumowce i podwinięte dżinsy Zima.

Ale teraz nawet olbrzymia bluza była za mała, żeby ukryć wystający brzusek, więc moja mama zrobiła jej na drutach ładny, duży sweter i dała jej ciepły pledowy płaszcz, w którym Vala jeszcze bardziej przypominała dziecko, poza oczami i sposobem, w jaki na mnie czasami patrzyła, jakbyśmy obydwójce byli strażnikami wielkiej tajemnicy. Poszedłem za nią wijącą się jak żmija ścieżką na plażę, starając się nie spoglądać na podstawę klifu. Królewska sosna w końcu padła i zakleszczyła się w szczelinie między głazami, tak że teraz oplatały ją wodorosty i wypłukane przez wodę gałęzie, a na skałach pełno było żółtych sosnowych igieł.

- Zim musi pojechać do miasta na kilka godzin - odezwała się Vala, jakby odpowiadała na moje niezadane pytanie. - Potrzebuję twojej pomocy w jednej sprawie.

Dotarliśmy do końca ścieżki i szliśmy między głazami, aż dotarliśmy do brzegu. Nad naszymi głowami unosiło się kilka mew, które darły się niemiłosiernie, a wiatr mocno bił w moją twarz i nagie dłonie. Poszedłem za Valą bez kurtki. Spojrzałem w dół i zauważyłem, że mam czerwone palce. Ale chłodu nie czułem w ogóle.

- Tutaj - zamruczała Vala.

Podeszła wolno do miejsca, gdzie z morskich kamyków wystawała szara skała. Miała mniej więcej kształt ludzkiego ramienia.

Przysunąłem się do Vali i zobaczyłem, że to naprawdę było ramię - przynajmniej jego część z gładkiego szarego kamienia, takiego jak marmur, ale ciemniejszego - tylko, że było bez dłoni i ułamało się tuż powyżej łokcia. Vala wpatrywała się w skałę, wydymając usta, po czym nachyliła się, by ją podnieść.

- Weźmiesz to ode mnie, proszę? - zapytała.

Nie powiedziałem nic, tylko wyciągnąłem ramiona, jakbym czekał, aż nałoży mi na nie chrustu. Kiedy położyła mi na nie kamień, aż się zachwiałem - nie dlatego, że było ciężkie, chociaż raczej było, ale dlatego, że wyglądało jak prawdziwe ramię. Widziałem ślady po żyłach w zgięciu łokcia i pomarszczoną od zginania skórę.

- Justin - odezwała się Vala. Podniosłem wzrok do jej utkwionych we mnie czarno-granatowych oczu. - Chodź. Wkrótce zacznie się ściemniać.

Poszedłem za nią wolno po plaży, a ona wyglądała jak dziewczyna, która przyszła nad morze w poszukiwaniu muszelek czy kamyków do kaczek. Co kilka kroków schylała się i podnosiła coś z ziemi - dłoń, stopę, długi kamień, który był fragmentem nogi - następnie wszystko ostrożnie kładła mi na ręce. Kiedy już miałem za ciężko, podniosła ostatni kawałek skały - zaciśniętą pięść - i wolnym krokiem wróciła na ścieżkę.

Tego dnia wykonaliśmy jeszcze kilka kursów, tak samo jak na drugi dzień. Za każdym razem wracaliśmy do domu, a Vala umieszczała poszczególne elementy w niedokończonym kominku, przykrywając je innymi kamieniami, by je skryć przed wzrokiem ciekawskich. Nawet jakby ktoś cokolwiek zobaczył, to pomyślałby, że to fragmenty jakiejś potrzaskanej rzeźby albo też skała, która bardzo przypomina stopę, łopatkę czy potrzaskany czerep.

Nie mogłem się zdobyć na zadanie jej właściwego pytania. Ale pamiętałem, jak wyglądał boston whaler, kiedy straż przybrzeżna wyciągnęła go na brzeg, miał poszarpaną dziurę na dziobie i dużo, dużo większą dziurę w dnie, jakby coś dużego i ciężkiego przebiło się przez kadłub. Może meteoryt. Albo wielki głaz. Albo jakby ktoś zrzucił do motorówki granitowy posąg.

Nikt jednak dokładnie nie widział, co się stało. Wmawiałem sobie, że może to naprawdę był jakiś posąg - może spadł ze szkunera albo ktoś go zrzucił z klifu, ja wiem?

Ale wreszcie pewnego dnia poszliśmy na plażę, była to nasza ostatnia wyprawa, i Vala kazała mi wejść po kolana do wody. Wskazała na coś tuż pod powierzchnią, coś okrągłego i białego jak przedziurawiona piłka do nogi.

Tyle że to nie była piłka. To była głowa Thomasa Tierenya - właściwie przód głowy, ostatnia część, której Vala nie wmurowała jeszcze w kominek.

Jego twarz.

Wyciągnąłem ją z wody i przyjrzałem się jej. Zielona alga przesłaniała mu szeroko rozwarte i patrzące z zaskoczeniem oczy. Miał otwarte usta i widać było, gdzie znajdował się język, zanim go odgryzł, zostawiając poszarpany kikut w otwartej do krzyku gębie.

- *Loksins* - stwierdziła Vala. Wzięła ją bez trudu ode mnie, pomimo iż była tak ciężka, że nie mogłem jej utrzymać. - W końcu...

Odwróciła się i poszła z powrotem do domu.

*

To wydarzyło się trzy miesiące temu. Teraz dom Zima jest skończony, a sam Zim mieszka w nim wraz ze swoją żoną.

I dzieckiem. Kominiek jest wykończony i z wielkim trudem można się w nim doszukać ukruszonego, okrągłego kamienia na szczycie. Można go zauważyć, jak się zmruży oczy i popatrzy we właściwym świetle, na przykład w nocy, kiedy ogień daje jedyne światło w pomieszczeniu, i można by wtedy przysiąc, że ów kamień bardzo przypomina ludzką twarz.

Zim jest szczęśliwy jak nigdy i często ich odwiedzamy z mamą, odwiedzamy jego, Valę i maleństwo, które ma dopiero kilka tygodni i jest tak słodkie, że trudno w to uwierzyć i malutkie, takie malutkie, że pierwszy raz bałem się je wziąć na rękę, ale Vala powiedziała, żebym się nie przejmował - może i jestem jej starszym bratem, ale pewnego dnia, kiedy dziecko dorośnie, to ona będzie się mną zawsze opiekować. Nazwali ją Gerda, czyli Obrończyni, i muszę powiedzieć, że jest niezwykle silna jak na niemowlę.

DIORAMA KRAIN PIEKIELNYCH, CZYLI DZIEWIĄTE PYTANIE DIABLA

ANDY DUNCAN

Oto przygoda, jaką chcielibyście przeżyć, zabawna, bajeczna, przerażająca i mądra opowieść o dziewczęciu, co od jednej magii uciekając, na łeb, na szyję rzuca się w objęcia złowieszczej magii innego rodzaju, zaprzyjaźnia się z duchami, mieszka w nawiedzonym domu i staje w szranki z samym diabłem...

Andy Duncan zadebiutował w „Asimov's Science Fiction” w 1995 roku i szybko zagościł w innych pismach, „Starlight”, „Sci Fiction”, „Dying For It”, „Realms of Fantasy” i „Weird Tales”, a także jeszcze kilkakrotnie w „Asimov's”. Na początku nowego stulecia był najlepiej rozpoznawalnym autorem dzięki swemu oryginalnemu, błyskotliwemu i barwnemu stylowi. W roku 2001 zdobył dwie World Fantasy Awards, jedną za opowiadanie Pottawatomie Giant i drugą za pierwszą antologię Beluthahatchie and Other Stories. W 2002 roku za opowiadanie The Chief Designer zdobył Theodore Sturgeon Memorial Award.

Najnowsze jego książki to opracowana wraz z F. Brettem Coksem antologia Crossroads: Tales of the Southern Literary Fantastic i należąca do literatury faktu Alabama Curiosities. Absolwent warsztatów pisarskich Clarion West w Seattle, dorastał w Batesburgu w Karolinie Południowej, a teraz wraz z Żoną Sydney mieszka we Frostburgu w stanie Maryland, gdzie prowadzi czasopismo „Overdrive”, „głos amerykańskiego kierowcy ciężarówki”.

Nazywam się Pearleen Sunday, choć zawsze nazywali mnie Perełką, i to jest moja opowieść o tym, jak poznałam wdowę z Domu na Równinie i jej czterystu siedemdziesięciu trzech martwych przyjaciół, śpiewałam w duecie z zięciem diabła i wzbudziłam gniew w czarowniku za uwolnienie tegoż czarownika.

Kiedy to wszystko zrobiłam, nie byłam ani dzieckiem, ani kobietą, ni to psem, ni wydrą. Byłam jak kot chory na chorobę drzewiową. Drapie taki, jak chce wyjść i jak chce wejść, ale kiedy otworzy mu się drzwi, stoi tylko w progu, przekrzywia łepkę i zamyśla się po kocjemu tak mocno, że można go bez problemu utopić. Gdybym znalazła się tego lata po drugiej stronie drzwi, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, ale nie mogłam się zdecydować, więc drzwi stały otwarte na przeciagi i inne cuda.

Dorastałam w Chattanoodze w Ogromnym Kosmopolitycznym Musee i Pawilonie Nauki i Sztuki profesora Van Der Asta. Musee to po francusku muzeum, kosmopolityczne oznacza umiastowione, a profesor Van Der Ast urodził się jako Hasil Bowersox w Rising Fawn w Georgii. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy była to ta dobra rodzina Bowersoksów, którzy wymawiali „Bower”, jakby rymowało się z „pofer”, czy też ta bardziej pospolita odnoga, która wymawiała „Bower”, jakby rymowało się z „pafer”, bo sam profesor Van Der Ast nigdy nie reagował na żadną z tych wersji. Reszta nazwy Ogromnego Kosmopolitycznego Musee i Pawilonu Nauki i Sztuki profesora Van Der Asta mówi sama za siebie, chociaż o istocie nauki i sztuki można by długo debatować, i nie był to żaden pawilon, tylko dwupiętrowy budynek z cegły. Poza tym nie nazwałabym go również ogromnym, chociaż rzeczywiście zawierał spory zbiór różnych rzeczy.

Gdybyście dzisiaj szukali, to trudno byłoby odnaleźć to muzeum. Było położone w cieniu Walnut Street Bridge, przecinającego rzekę Tennessee. Lata wcześniej generał Sherman wybudował most, który Bóg od razu zmył z powierzchni ziemi, choć zdaje się, że toleruje ten nowy od jakiegoś już czasu.

Powiedziano mi, że moi rodzice zostawili mnie w pudle na kapelusze w uliczce między muzeum i magazynem tytoniu. Znalazło mnie dwóch kanibali z Fidżi podczas przerwy na papierosa, ulitowali się nade mną i zabrali do profesora, który zrobił ze mnie atrakcję, która przynosiła kokosy, zanim jeszcze skończyłam dwa lata. Jak mi powiedziano, tablica informowała PRZEZROCZYSTA LUDZKA GŁOWA! ŻYWA I WIDAĆ ŚRODEK! A w środku byłam ja, ssąca gałganek z cukrem z mocną lampą za głową, tak że widać było mój mały mózdzek i naczynia krwionośne. Każde słowo na tablicy było prawdą.

Młoda dziewczynka taka jak ja, bez matki, ojca czy szkoły, mogła w tamtych czasach skończyć o wiele gorzej niż w muzeum edukacyjnym, które oferowało rozliczne szanse, nawet dla dziewcząt bez tatuaży czy brody i ze wszystkimi członkami. Prace dla dziewcząt u profesora Van Der Asta były następujące - można było pracować jako Żyjąca Syrena Neptuna, która czesała sobie włosy i przez cały dzień machała tylko ogonem w sadzawce, Niewidzialna Dziewczyna, która chowała się za prześcieradłem i wróżyła, mówiąc przez trąbkę, czy Zalumma Agra, Czerkieska Księżniczka, Najczystszy Przykład Białej Rasy, która, wyrwana z rąk łowców niewolników z Konstantynopola, zostawiła u nich większość ciuchów, choć nie tyle, żebyśmy byli zmuszeni do ogłoszenia bankructwa. Naszym Najczystszy Przykładem Białej

Rasy w lecie 1895 roku była moja koleżanka Sally Ann Rummage z Mobile w Alabamie, której matka była niewolnicą, choć nie z Konstantynopola. Sally Ann tak bardzo wstydziła się muzeum, że napisała do rodziców, iż pracuje jako nauczycielka, co w gruncie rzeczy nie było kłamstwem.

Nie podjęłam żadnej z tych prac tego lata, bo byłam w przejściowym wieku, a zwłaszcza posada Czerkieskiej Księżniczki wymagała odrobiny stateczności. Nie, byłam całkowicie nieprzystosowana i profesor Van Der Ast zupełnie odizolował mnie od płacącej za bilety publiczności, umieszczając mnie za Dioramą Krain Piekielnych.

W tamtych czasach diorama była wyłącznie malowidłem, ale tak olbrzymim, że nie można było zobaczyć całego naraz. Było to malowidło na długim pasie płótna wysokiego na trzy i pół metra i żeby je zobaczyć, należało je przewijać z jednej szpuli na drugą, oddaloną o jakieś dziesięć metrów. Widzowie stali ramię w ramię przed obrazem i podziwiali widoki, jakie przesuwali się przed ich oczami.

Szpule obracał silnik, ale ktoś z tyłu musiał pilnować, żeby wszystko szło jak należy i by płótno przesuwano się gładko bez zaginania i rozdierania. Może w waszym mieście Piekło było nowe i schludne, ale to w Chattanoodze było postrzępione i wyświechtane jak rodzinna Biblia. Tym kimś z tyłu byłam ja. Musiałam również obsługiwać efekty specjalne. Kiedy diorama się przesuwała, a profesor Van Der Ast stał przy publiczności i nawijał, ja otwierałam i zamykałam lampy, które oświetlały płótno od tyłu - żeby ognie piekielne buzowały, nietoperze przelatowały nad głowami, chochliki i satyry pojawiały się i znikwały tak jak moje złe myśli, kiedy tak zasuwalam i pociłam się jak strażak w piecu hutniczym. Codziennie w moim upstrzonym lustrze wiszącym nad miejscem do mycia w pokoju na górze nacierałam ręce i ramiona, zastanawiając się, jaki mężczyzna zechciałby kobietę z muskułami i jakiego mężczyzny ona mogła oczekiwać w zamian.

Dotąd widziałam tylko naszą dioramę, ale profesor Van Der Ast mówił, że jest taka słynna diorama w Nowym Jorku z widokiem całego brzegu Missisipi, od Minnesoty do Nowego Orleanu. Park Avenue roiła się od słomkowych kapeluszy, których właściciele mogli delectować się wygodą i chłodnym powietrzem i oglądać, jak się wszystko przesuwa przed ich oczami: urwiska z szybującymi nad ni-mi orłami, knieje pełne Indian, przystanie na palach, uwieńczone tyłkami bosonogich młodzieńców w ogrodniczkach, zadziorne nad-rzeczne miasteczka, które na wiele mil krwawiły brudem ściekającym do wody. Sam profesor Van Der Ast nie wyjechał na północ poza Cleveland w stanie Tennessee, ale opisywał Missisipi z Nowego Jorku z równą swadą jak Krainy Piekielne z Chattanoogi. Człowiek się czuł, jakby tam był.

- Patrzcie uważnie, przyjaciele, z waszego idealnie bezpiecznego miejsca, w którym uchylę rąbka tajemnicy, jak upiorne cuda Krain Piekielnych przesuwają się przed waszym wzrokiem. Mówię: przesuwają się przed waszym w z r o k i e m! - Maszynaria była stara i czasem się zacinała. - Na początku ten starożytny zwój, przekazany nam przez chaldejskich męczenników, ukazuje siarkowe wy-ziewy jeziora Averno, nad którym nie przeleci żaden rozsądny ptak. Oto Briareus z setką ramion, ciągnący z mozołem łańcuch o grubości pasa krzepkiego mężczyzny, a na końcu tej potężnej smyczy rzuca się i kłapie zębiskami

pięćdziesięciogłowy Cerber, na którego każdej szyi wiją się obroże z węży. Oto srogi przewoźnik, który odprawia wszystkich niegodziwców pochowanych bez chrześcijańskiego obrządku. Dalej łkający kochankowie z dłońmi w krzaku mirtowym, którzy nigdy nie połączą się ze swymi bratnimi duszami. Madame, proszę, oto chusteczka. Pani żal świadczy o wielkim sercu. Następnie bicz ze skorpionów, smagający ludzi, którzy wierzyli, że mogą ukryć swe grzechy za życia. A tutaj dziewięcioakrowy gigant Tytios, przykuty do dna rowu otchłani. Tym pokutnikom zanurzonym po brodę w wodzie nie będzie dane zaspokoić pragnienia, a inni skazani są na czerpanie wody sitem.

Szlochająca surowa nauczycielka mogła zapytać:

- Ale gdzie są krainy błogostawionych? Gdzie pola elizejskie? Gdzie laurowe gaje?

- Aby doznać tego rodzaju pocieszenia, madame, należy obejrzeć inne płótna. A tutaj widzimy kłębiące się pandemonium rozkoszy, gdzie zapomniano o wszystkich szlachetnych i duchowych celach w prymitywnym zaćmieniu doznań i żądz. Następnie wielka...

- Ej, kolego, możemy poprosić trochę więcej światła na to pandemonium rozkoszy?

- To jest pokaz dla całych rodzin, przyjacielu, proszę wrócić o dziesiątej. Tutaj widzimy wielką prasę do wina, w której setki potępionych są ściskane razem. A oto ohydni zaprzańcy, dzieci nie-wdzięczności, które plują jadem, nawet kiedy są unoszone na widłach nad ogniem. Proszę zauważyć, panie i panowie, że wszystkie rośliny umieszczone na tej strasznej panoramie są kolczaste i obrzydliwe, stwory mają kły i są jadowite, klejnoty są zniekształcone i bezwartościowe, mężczyźni i kobiety ogarnięci chorobami, słabi, zniszczeni i zapomniani, a ich muzyką jest wyłącznie Niewysłowiony Piekielny Lament! Tam wszyscy cierpią niewysłowione męki nie przez minutę, nie przez jeden dzień, nie przez wiek, nie przez dwa wieki, nie przez sto wieków, nie przez dziesięć tysięcy milionów wieków, ale na zawsze, bez końca, i nigdy nie zaznają ukojenia! Uwaga na stopień przy drzwiach, następny pokaz o wpół do drugiej, dobrowolne datki mile widziane.

Tak wyglądało płótno od strony profesora Van Der Asta, od strony widowni. Ja nie mówiłam nikomu, co widzę od mojej strony, o łatach i plamach, odwróconych malowidłach i sztuczkach, jakie potrafi robić światło. Ja też widziałam obrazy, ale w zarysach, jak te w chmurach i na szczytach drzewa latem. Obrazy po mojej stronie nie były przerażające. Widziałam mężczyznę mocującego się z piorunochronem podczas burzy i wielkiego suma śpiewającego dla załogi w gondoli nisko lecącego balonu, kobietę w okularach puszczającą pojedyncze koło po drodze i salę balową pełną tańczących duchów. Mężczyznę z żelazną dłońią, który przywoływał mnie osadzonymi na zawiasach palcami, i rolnika, który machał na do widzenia swojej szczęśliwej rodzinie na ganku przed zniknięciem, ale po chwili pojawiał się znowu i znów machał, tym razem na powitanie, albo gniewną twarz wyglądającą z buta, wielką kobietę z wąsami wyrzucającą mężczyznę przez burtę statku rzecznoego, albo uśmiechniętego mężczyznę w becce, wokół której jak zły omen unosiła się setka butelek, a w każdej była zwinięta wiadomość od Marie Leveaux, i ogara z pistoletem, który rabował pociąg, jednookiego, który mieszkał w jamie aligatora, żebraka, który prezentował fotoplastikon królowej Saby, goryla w słomkowym kapeluszu, siedzącego na składanym krzeselku i oglądającego nowojorską dioramę z Missisipi, oraz tysiąc innych cudów. Moje

Krainy Piekielne były po stokroć bardziej interesujące niż Krainy profesora Van Der Asta i czasami pojawiały się i poruszały całkowicie bez jego udziału.

Drugi mój kontakt z magią w tym okresie zawdzięczam Wendellowi Krzyżyknadrogę, czarodziejowi Błękitnej Grani, magowi z góry Yandro w Karolinie Północnej, który występował u profesora Van Der Asta przez trzy tygodnie każdego lata. Nigdy nie miałam sposobności zobaczyć jego pokazów, bo, jak to przypominał nam często profesor, płaciło się nam za występowanie, a nie za to, żeby oglądać występy innych, ale powiedziano mi, że w kulminacyjnym momencie łapał zębami kulę wystrzeloną przez kryształowy dzbanek z lemoniadą. Wierzę, że tak było, bo czasami, kiedy nie było innego frajera, profesor prosił mnie, żebym po występie poszła na scenę, startła lemoniadę i zebrała ostre drzazgi z kryształu.

Sztuczki w wykonaniu czarodzieja Krzyżyknadrogę widziałam po godzinach, kiedy wszyscy mieszkańcy muzeum schodzili do piwnicy, żeby się napić, zjeść jakieś kanapki z wędliną, no i żeby jeszcze się napić. Przedzierałam się przez tłum skupiony wokół chwiejnego stolika, zrobionego ze skrawków drewna, i patrzyłam, jak wyciąga królową karo znikąd i jak przesuwa monety po kłykciach oraz puszcza w powietrze dolarowe banknoty.

- Zupełnie jak nasz rząd - mawiał, kiedy puszczał banknot, i zawsze wybuchał śmiechem. Pokazał nam pięćdziesiąt siedem sposobów na tasowanie talii i siedemnaście sposobów na umieszczenie asa na górze na życzenie, nawet pięć razy pod rząd.

- Zróbcie tak w jakiejś szulerni - mawiał - a zarobicie kulkę. Ale wśród dobrych ludzi to tylko sposób na przyjemne spędzenie czasu, coś, co sprawi, że Małe Galoty się uśmiechną. Tak właśnie mnie nazywał, Małe Galoty. Tylko on tak do mnie mówił. Duży Fred, który prowadził u nas zgadywanki, spróbował raz, ale rozwaliłam mu nos.

Kiedy zabawa trwała dłużej i Krzyżyknadrogę wypił za dużo, wpadał w podły nastrój i mówił o wojnie i o przyjacielu, starszym mężczyźnie, którego imienia nigdy nie wymieniał.

- Dwudziesty Szósty Pułk Karoliny Południowej zebrał się w Raleigh i nie mogłem spać pierwszej nocy, bo nie było gór w pobliżu, więc wtuliłem twarz w postanie i płakałem. Nie wstydziłem się tego. Inni śmiali się albo mnie uciszali, ale ten człowiek powiedział: - Chłopcze, pokazać ci sztuczkę? Jaki chłopak nie chce zobaczyć sztuczki? A po tym nie chce się dowiedzieć, jak to się robi?

Kiedy to mówił, wpatrywał się w przestrzeń, ale jego dłonie cały czas pokazywały różne sztuczki, jakby żyły własnym życiem niezależnie od niego.

- W New Bern nauczył mnie palmowania wierzchem dłoni, palcem i kciukiem, w Wilderness hinduskiej przekładanki i jajka Stodarta, w Spotsylvanii wykładanki Biseaute, snu Misera, ciernia i odzyskanego. Nauczyłem się sztuczek zwanych szkocką z wodą i dżinem z tonikiem, zanim w naturze napiłem się tych trunków. I przez całą wojnę codziennie ćwiczyłem trzy główne zniknięcia: weź, włóż, wyjmij. - Kiedy to powiedział, trzy monety jedna po drugiej znikły w jego dłoni. - I tak wyglądała nasza wojna. Dzięki temu nie myślałem o innych sprawach i myślę, że on też to robił, by zapomnieć. Pod koniec wojny rozwinęła się u niego zaawansowana gruźlica. Ostatnią rzeczą, której mnie nauczył tuż przed śmiercią, było łapanie kuli, w fortyfikacjach Appomattox. Dostałem po nim jednego buta. Resztę

przedmiotów spalili. Kiedy przetrząsali mu kieszenie, znaleźli tylko monety, karty i dokumenty. Już nie miały magicznego wyglądu. Wyglądały... wyglądały jak śmieci. Magia zniknęła wraz z nim, poza tą odrobiną, którą się ze mną podzielił.

Ktoś zapytał:

- A czego nauczyłeś się pod Gettysburgiem?

Krzyżkna drogę odpowiedział:

- Tego, czego nauczyłem się pod Gettysburgiem, nie przekażę nikomu. Ale pewnego dnia, żywy czy martwy, rozliczę diabła z moich doświadczeń.

Zaczął potem pokazywać rozmaite sztuczki z nożem, a ja poszłam na górę spać.

Moje zastępcze lato skończyło się pewnego dnia po ostatnim sobotnim pokazie. Kiedy przewijałam dioramę do początku, usłyszałam, jak profesor klaruje coś komuś, może jakiemuś gościowi? Ten drugi mówił coraz głośniej:

- Po prostu zachowujesz się jak stara baba. Poradzi sobie koncertowo, sam zobaczysz.

Nie słyszałam więcej przez skrzywienie szpuli, a nie chciałam przestać, bo bałam się, że mnie złapią na podsłuchiwanie. I wtedy za dioramą pojawił się profesor w towarzystwie czarodzieja Krzyżkna drogę.

- Wyłącz silnik, Małe Galoty. Możesz dokończyć później. Teraz mi pomożesz. - Trzymał coś w dłoni, zwój, który błyszczał w świetle lamp. Wcisnął mi to do ręki. - No, wkładaj. Przedstawienie miało się rozpocząć pięć minut temu.

- O czym ty mówisz?

Była to niewielka, błyszcząca sukienka z piórami, kapelusik i buty na obcasach. Spojrzałam na Krzyżkna drogę, który pociągał z piersiówki, i na profesora gładzącego się po srebrnej brodzie.

- Proszę, Perełko, bądź grzeczną dziewczynką, posłuchaj pana Krzyżkna drogę. Rób, co mówi, włóż to i spotkamy się za kulisami. - Podniosłam kostium: widziałam już, co jest grą światła, a co kostiumem. - Sukie jest niedysponowana i nie może wystąpić z panem Krzyżkna drogę o dziesiątej. Jest chora.

- Raczej zalana w pestkę - zaryczał Krzyżkna drogę, unosząc piersiówkę.

Profesor wyrwał mu ją z ręki. Coś chlapnęło mi na policzek i za-piekło.

- Upijaj się, ile wlezie, po jedenastej - rzekł profesor. - Perełko, to będzie bułka z masłem. Masz tylko machać ręką do publiczności, wejść do kufra i tam się położyć. Pan Krzyżkna drogę załatwi resztę.

- Ostrza nawet cię nie drasną, Małe Galoty. Kufer jest sztywny, a poza tym jesteś malutka jak orzeszek. Nawet nie będziesz musiała się przekręcać w środku.

- Ale... - zaoponowałam.

- Perełko! - warknął profesor, jakby w moim imieniu było kilka głosek „r”.

Pobiegłam więc na górę.

- Co się stało? - wykrzyknęła Sally Ann, kiedy wpadłam do pokoju.

Powiedziałam jej o wszystkim, kiedy pomagała mi wydostać się z ogrodniczek oraz drelichów i włożyć wodewilowy kostium.

- Co oni sobie wyobrażają? - powiedziała Sally Ann. - Stój prosto, Perełko, bo jak tego dobrze nie przymocuję, to wyślizniesz się z tego stroju jak wężyk.

- Zimno mi w nogi! - krzyknęłam.

Kapelusz nie przypominał niczego, co mogłabym nazwać kapeluszem. Marna by była z niego osłona przed deszczem. W końcu umocowałam go na włosach i odgarnęłam strusie pióro z twarzy. Sally Ann dziwnie na mnie patrzyła.

- Ojej - westchnęła.

- Co jest?

- Nic. No chodźmy. Chcę to zobaczyć. Szata jednak zdobi człowieka, prawda?

- Nie mnie - odparłam i spadłabym ze schodów, gdyby mnie nie złapała. - Czy w ogóle można chodzić w takich butach?

Nie ma ciemniejszego miejsca niż kulisy w teatrze, ale Sally Ann udało się przeprowadzić mnie przez wszystkie liny i worki z piaskiem bez problemu. Buty niosłam w ręce. Już przed główną kurtyną profesor poganiał mnie na migi. Skakałam chwilę na jednej nodze, starając się włożyć buty, i zerknęłam przez szparę w kurtynie, ale oślepiły mnie reflektory skierowane na scenę.

Krzyżyknadrogę przekrzykiwał się przez harmider publiczności, którą zdawali się tworzyć sami pijani mężczyźni:

- A teraz moja urocza asystentka zademonstruje, że nie ima się jej stal i że potrafi uniknąć ostrza kawalerzysty, nawet jeśli jest on weteranem Wielkiej Armii Republiki...

Tłum zahuczał gniewnie i zasyczał.

- ...albo przelewał krew dla Tennessee pod wielkim Nathanem Bedfordem Forrestem!

Tłum zaczął wiwatować i tupać z aprobatą.

- Oto ona - wymamrotał profesor, odsuwając kurtynę.

Zamrugałam pod wpływem ostrego światła, bo nic nie widziałam. Wielka, stwardniała dłoń Krzyżyknadrogę chwyciła za moją rękę i pociągnęła mnie bliżej.

- Panie i panowie, oto Afrodyta, Perła Cumberlandu!

Stałam jak wbita w ziemię.

Tłum wciąż ryczał.

Na stole na wprost nas stał podobny do trumny kufer z uniesionym wiekiem. Obok leżał stos mieczy.

- Połóż się w skrzyni, kochanie - wymamrotał Krzyżyknadrogę.

Miał na sobie długą, granatową szatę i spiczasty kapelusz, a jego twarz była mokra od potu.

Podeszłam do skrzyni jak marionetka i spojrzałam na brudną poduszkę oraz postrzępiony koc w środku.

- A jeśli nie wierzycie, kiedy wam mówię, że nasza Afrodyta jest niezwykłym zjawiskiem, to kiedy już wbiję wszystkie ostrza w kufer, za dodatkową opłatą pięćdziesięciu centów możecie ustawić się tu na scenie i na własne oczy zobaczyć, że żadna stal się jej nie ima, może tylko poszarpać jej strój.

Tłum zaryczał ze śmiechu. Starając się powstrzymać łzy, nachyliłam się nad skrzynią i zzułam buty, najpierw lewy, potem prawy. Podniosłam wzrok na twarz grubasa w pierwszym rzędzie. Mrugnął do mnie.

W myślach usłyszałam głos profesora:

- To jest pokaz dla całych rodzin przyjacielu, proszę wrócić o dziesiątej.

Odwróciłam się i uciekałam.

Harmider publiczności wypchnął mnie przez kurtynę i przemknęłam obok Sally Ann i profesora. W nagłych ciemnościach potknęłam się o worek z piaskiem, upadłam, otarłam sobie kolana, następnie wstałam i na oślep rzuciłam się ku wyjściu na korytarz.

- Perełka! Wracaj tu!

Policzki mi płonęły ze wstydu i gniewu na siebie, na tłum, na Krzyżyknadrogę, profesora, Sally Ann i te głupie, koszmarnie buty. Kiedy biegłam przez korytarze na bosaka jak jakiś szympan, zarzekałam się w myślach, że już nigdy czegoś takiego nie włożę. Biegłam, jak potrafiłam najszybciej - nie na górę, nie do pokoju, w którym spałam, lecz do jedyne miejsca w muzeum, które uważałam za swoje.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi i stanęłam, dysząc ciężko, za Dioramą Krain Piekielnych. Ktoś, pewnie profesor, wykonał za mnie pracę i pogasił lampy. Z całej mojej roboty najmniej lubiłam właśnie gaszenie świec jednej po drugiej jak świeczki na torcie. Ale profesor zapomniał zwinąć dioramę do końca. W środku było ciemno, ale na wysokości wzroku pojawiła się niewielka plamka mrugającego światła.

Byłam pewna, że kiedy zniknęłam, moi przyjaciele pomyśleli, że uciekałam stąd. Ale ja nie uciekałam przed niczym. Uciekałam do czegoś, choć nie wiedziałam, co to takiego. Uciekanie do tego czegoś stanowi dalszą część mej opowieści - właściwie całą moją opowieść, jak sądzę.

Od razu podeszłam do migoczącej plamy światła po mojej stronie płótna. Czubek nosa zbliżył się na cal do farby. Kiedy wciągnęłam powietrze przez nos, poczułam zapach trocin i orzechów. Wypuściłam powietrze i jasna plama pojaśniała jeszcze odrobinę. Kiedy dmucha się delikatnie na płomień, ten nie gaśnie, ale rozświetla się jeszcze bardziej i tak właśnie zachowywała się plama na płótnie. Przez tkaninę zamajaczył mi wyłożony boazerią pokój. Za plecami usłyszałam jakiś kobiecy głos wołający mnie po imieniu, ale przede mną rozległy się stłumione dźwięki muzyki organowej.

Zamknęłam oczy i skupiłam się nie na płótnie, lecz na pokoju po drugiej stronie płótna.

Zrobiłam krok naprzód.

Czy kiedykolwiek zdarzyło się wam przechodzić przez pajęczynę? W taki właśnie sposób wyszłam z Ogromnego Kosmopolitycznego Musee i Pawilonu Nauki i Sztuki profesora Van Der Asta do miejsca, w którym nie było kasy, do mego własnego płótna, moich własnych Krain Piekielnych.

To nie był pogrzeb, lecz bal. Organista grał walca.

Otworzyłam oczy.

Znalazłam się w sali balowej pełnej duchów.

Sięgnęłam do tyłu, by dotknąć płótna, by poczuć pod palcami coś znanego i trwałego. Lecz moja dłoń natrafiła na zimną, twardą powierzchnię - pyszny witraż, który ciągnął się przez całą ścianę. Przedstawiał syreny i magów oraz dziewczynę przy dźwigni uruchamiającej jakąś piekielną maszynę. Sala i okna zawirowały wokół mnie. Ugięły się pode mną kolana i opadłam na piękną mozaikę podłogową.

Sala się nie obracała, lecz tancerze owszem. Pięćdziesiąt par wirowało na parkiecie, a przez ich półprzezroczyste ciała widać było srebrne kandelabry, mahoniową boazerię i tapetę w złote liście. Nigdy nie widziałam tak pięknego pokoju. Tancerze byli młodzi i starzy, ubrani strojnie i biednie, biali, czarni i czerwoni. Niektórzy nosili peruki i pumpy z pończochami, inni stroje z koziej skóry i futrzane czapy, a jeszcze inni suknie wieczorowe i fraki. Nie wyglądali jak aktorzy z teatru. Wszyscy poruszali się szybciej, niż niosły ich stopy. Żadne z nich nie dotykało podłogi. Tancerze płąsali w powietrzu.

Przy przeciwległej ścianie stała fisharmonia. Tyłem do mnie sie-działa drobniutka siwowłosa staruszka, której ramiona unosiły się w takt przyciskanych klawiszy i stóp naciskających na pedały. Staralam się zobaczyć przez nią nuty, ale nie byłam w stanie - ona nie była duchem - była osobą z krwi i kości. Spojrzałam na swoją dłoń i dostrzegłam przez nią ząbający się romboidalny wzór na parkiecie. Wtedy zaczęłam krzyczeć.

Muzyka ucichła.

Tancerze się zatrzymali.

Staruszka odwróciła się na ławie i spojrzała na mnie.

Wszyscy zaczęli się na mnie gapić.

Tancerze wydali stłumiony okrzyk i zrobili krok - nie, odplynęli - do tyłu w powietrzu. Obok mnie wyczułam jakiś ruch. Podniosłam wzrok i ujrzałam wychodzącą przez witraż chudą dziewczynę w stroju z piórami. Znow wrzasnęłam, a ona podskoczyła i też krzyknęła.

Była mną, i również zaczynała się robić przezroczysta.

- Mamy pięć minut przerwy, bardzo proszę - rozległ się śpiewny głos staruszki. - Po przerwie zaczniemy od Virginia reel.

Druga Perełka opadła na parkiecie tuż koło mnie. Trzecia Perełka wyszła z witraża w chwili, kiedy obok nas stanęła staruszka. Miała na sobie strojną, czarną żałobną suknię z odrzuconą woalką, spod której wyłaniały się pulchne, różane policzki i szare oczy.

- No już dobrze - powiedziała. - To nic nie pomoże. Pierwsza zasada psychicznego teleportowania mówi o zachowaniu spójności, o trzymaniu się w kupie. Czwarta Perełka wyszła z witraża, a staruszka chwyciła mnie i drugą Perełkę za ręce i przyciągnęła nas do siebie, dłoń do dłoni. Odniosłam wrażenie, że moja dłoń weszła w masło. Moja ręka zagłębiała się w jej rękę i na odwrót. Obie krzyknęłyśmy, starając się wyrwać, ale staruszka trzymała nas za nadgarstki jak w żelaznym uścisku imadła.

- Najlepiej jest zamknąć oczy, moja droga - powiedziała staruszka.

Od razu zamknęłam oczy, nie z własnej woli, ale jakby jakaś niewidzialna dłoń zasunęła je na podobieństwo żaluzji. Chwył staruszki wzmocnił się jeszcze i zaczęłam się bać, że złamie mi rękę. Od nadgarstka moje ciało ogarnęło dziwne gorąco i zaczęłam czuć się lepiej - nie byłam spokojniejsza, ale jakby pełniejsza, stawałam się na powrót całością.

W końcu staruszka puściła mój nadgarstek i powiedziała:

- Możesz teraz otworzyć oczy, moja droga.

Otworzyłam, tym razem samodzielnie. Spojrzałam na dłonie, na bruzdy i odciski, na poobgryzane paznokcie, i był to tak znajomy, tak wyrazisty wygląd, że zaczęłam płakać.

Sala balowa opustoszała i byłam w niej tylko ja - jedna ja - staruszka klęcząca przy mnie oraz samotny duch unoszący się w powietrzu za jej plecami - niewielki mężczyzna z mysią twarzą, z wąsikami, w meloniku i kamizelce w kratę, która pewnie kiedyś miała jakąś konkretną barwę, ale teraz była na niej wyłącznie szaro-szara szachownica.

- Pięknie to zrobiłaś - zawyrokował, unosząc się w powietrzu. - Masz ręce chirurga.

- Ręce są tu najmniej pomocne, panie Dellafave, ale jest pan bardzo uprzejmy. Boże, dziecko, ale mnie przestraszyłaś. Sześć was przeszło przez szkło. Dobrze, że byłam w pobliżu, by wszystko naprawić. Ale gdzie moje maniery. Nazywam się Sarah Pardee Winchester, wdowa po Williamie Wircie Winchesterze, a to jest mój przyjaciel, pan Dellafave. - Obrzuciła wzrokiem mój strój, wyciągnęła dłoń i pociągnęła mnie za strusie pióro. - Za młoda jesteś na dziewczynę z wodewilu - stwierdziła. - Jeszcze za młoda.

Zadrzałam, wytarłam nos wierzchem dłoni mojej wspaniałej starszej przyjaciółki i zapytałam:

- Jestem... Czy pani... Proszę mi powiedzieć, czy to jest piekło czy niebo?

Starsza pani i mężczyzna w meloniku wybuchnęli śmiechem. Jego śmiech przypominał syk wypuszczanej pary, ale ona śmiała się gardłowym, głośnym śmiechem, jakby była młodszą, o wiele młodszą kobietą.

- Opinie są podzielone - odparła starsza pani. - My mówimy na to po prostu - Kalifornia.

*

Nazywała swój dom Llanada Villa, co po hiszpańsku znaczyło „Dom na Równinie”. Zanim przygarnęła mnie wdowa, nigdy wcześniej nie mieszkałam w prawdziwym domu, więc można potraktować umieszczenie w Domu na Równinie jako moją inicjację mieszkania w domach w ogóle. I jakaż to była inicjacja! Żaden następny dom nie umywał się do tego.

Po pierwsze, jego rozmiary. Dom stał na sześciu akrach parceli. Wraz z pomieszczeniami zamurowanymi, dostępnymi wyłącznie dla duchów, ale bez pomieszczeń zrujnowanych czy też zamienionych w większe sale, dom posiadał sto pięćdziesiąt pokoi, w większości sypialni, plus minus tuzin.

- Sama spałam w jakichś siedemdziesięciu, osiemdziesięciu z nich - powiedziała mi wdowa - ale to wystarczy, żeby mieć ogólny pogląd.

Dom nie był jeszcze wykończony. Wszędzie uwijali się robotnicy, którzy dodawali pokoje, balkony, werandy, wieżyczki, całe skrzydła, albo też zajmowali się rozbiórką czy remontem tego, co postawili ledwo miesiąc wcześniej. Budowa przeniosła się z dala od frontu domu, gdzie mieszkała wdowa, ale dobiegały stamtąd dźwięki pił, stukot młotów i głosy nawołujące się nawzajem: - Ostrożnie! Ostrożnie! Lekko w prawo, Bill - które słyhać było dzień i noc. Pracowali na zmiany całą dobę. Raz w tygodniu majstrowie z czapkami w dłoniach zjawiali się przy głównym wejściu po wypłatę. Wdowa wyjeżdżała z domu z dziecinnym wózkiem wyładowanym ciężkimi workami, a w każdym znajdowała się odpowiednia liczba złotych monet, odpowiednik trzech dolarów dziennie dla każdego robotnika. Wszyscy majstrowie byli postawnymi mężczyznami, ale nawet oni uginali się pod ciężarem worków, kiedy je odbierali. Jednak nigdy nie narzekali.

- Nie boi się pani? - zapytałam wdowę pierwszego dnia wypłaty.

- Czego, moja droga?

- Ze jeden z nich włamie się do domu i panią obrabuje?

- Och, Perełko, ależ ty jesteś ostrożna! Nie musisz się bać włamywaczy. Nie w tym domu.

Myślę, że potencjalni intruzi bardzo szybko by zabłądzili, ponieważ wiele zakamarków domu po prostu było nie z tej ziemi. Klatki schodowe, które biegły do sufitu i tam się kończyły. Po otwarciu niektórych drzwi widać było ceglany mur, albo wręcz nic, nawet nie wychodziły na balkon, tylko korytarz urywał się w powietrzu. Cały dom przecinały tajemne przejścia nie większe niż okna, tak że wdowa mogła pojawić się gdzieś albo zniknąć nagle jak duch. Wdowa powiedziała mi, że nigdy nie otwiera drzwi frontowych, nawet nie za pomocą klucza, bo miały zawiasy na górze.

Na zewnątrz było jeszcze dziwniej. Za każdym załomem muru widać było okna zwieńczone łukami, lodzie, spiczaste dachy wieżyczek, kopułki kryte czerwoną dachówką i całe mile okapów w kształcie pierników. Na drugim rogu było to samo, tylko więcej. Wiele domów, jak słyszałam, ma tylko cztery rogi, ale Dom na Równinie miał ich mnóstwo. Widok z ogrodu również nie sprzyjał poprawie poczucia orientacji, ponieważ bez względu na kierunek, w który patrzyłam, widziałam ten sam cyprysowy żywopłot, a za nim rozciągały się wzgórza porośnięte drzewami morelowymi, śliwami i leszczyną aż po horyzont. Nigdy nie byłam w stanie obejść całego domu dookoła, więc dawałam za wygraną i wchodziłam do środka. Zawsze trafiałam do tej samej jadalni, gdzie wdowa siedziała w wiklinowym fotelu z robótką w dłoniach tam, gdzie poprzednio. Zawsze pytała:

- Udał ci się spacer, moja droga?

W żadnym ze stu pięćdziesięciu pokoi nie było ani jednego lustra. Co bardzo mi odpowiadało.

Czasami doskwierała mi samotność. Większość duchów nie miała wiele do powiedzenia - przynajmniej żywym - poza „Piękny dzień, nieprawdaż?” Kilgoro osób ze służby wydawało się mnie obawiać, a żadne z nich nie zostawało w domu po zachodzie słońca. Miałam też całkowity zakaz rozmawiania z robotnikami.

- Czy nikt pani nie odwiedza? - zapytałam wdowę. - Poza robotnikami, duchami, służbą i mną?

- Mój Boże, to chyba dość, prawda? Wiem, że przebywają tu czterysta siedemdziesiąt trzy duchy, nie licząc kotów, a Bóg jeden wie, ilu pojawia się tu tych robotników. I nie uważaj się tutaj za gościa, moja droga Perełko. Jesteś tu domowniczką, tak długo, jak będziesz tylko chciała.

Jedynym duchem, który chciał ze mną przestawać, poza oczywiście kotami, był pan Dellafave. W trzecim tygodniu mojego pobytu w Domu na Równinie, podczas spaceru wokół araukarii, zapytałam go:

- Panie Dellafave, co pan robił, zanim...

Zrobił minę, jakby spodziewał się, że ktoś zaraz zrobi mu wielką przykrość, ale próbował się z tym nie zdradzić.

- ...zanim pan się tu pojawił? - dokończyłam.

- Ach - odetchnął z uśmiechem. - Pracowałem w banku w Sacramento. Byłem wielką szyczą. Głównie dodawałem, dwa razy w tygodniu odejmowałem, a w szczególne dni mnożyłem. Dzielenie liczb wielocyfrowych było poza moim zasięgiem, bo tym zajmowało się inne piętro - ale niech cię to nie zwiedzie, byłem w stanie wykonywać tę pracę. Byłem gotów do wyznaczonych zadań. Gdyby drugie piętro znikło po pożarze czy zostało zalane w powodzi, wydział do spraw dzielenia wielkich liczb działałby dalej bez przerwy w pracy, ponieważ przeszedłem stosowne przeszkolenie. Ale kryzys, jak większość prawdziwych kryzysów, nigdy nie nastąpił. Przychodziłem do banku codziennie, punktualnie o ósmej. Codziennie w południe chodziłem na drugą stronę ulicy do saloonu na dwa jajka, pikle i sarsaparillę oraz popołudniową gazetę. Codziennie wychodziłem z banku o piątej i wracałem do pensjonatu na kolację o szóstej. Och, wszystko u mnie musiało grać. „Można sobie regulować zegarek według rozkładu Dellafave'a" - tak właśnie mówili w banku, w saloonie, pensjonacie i, cóż, to były jedyne miejsca, w których tak mówili, ponieważ tak naprawdę tylko tam mnie w ogóle zauważano. Bez wątpienia motorniczy tego tramwaju mnie nie zauważył. Gdyby mnie zobaczył, zadzwoniłby, takie mają instrukcje. Wszędzie wokół bumelanctwo, szczerze mówiąc, może to brutalne, ale tak jest. Wiem, że musiała być dokładnie 12.47, bo z saloonu wyszedłem o 12.46, a tramwaj według rozkładu miał być o 12.49. Ja byłem o czasie, ale tramwaj przyjechał wcześniej. Podniosłem wzrok i uniosłem ręce - jakby uniesienie rąk mogło mi jakoś pomóc. Kiedy je opuściłem, stałem już w ogrodowej komórce pani Winchester. Nigdy nie byłem przesadnie uduchowionym człowiekiem, droga Perełko, ale byłem całkiem nieźle zorientowany we wszelkich teoriach życia pozagrobowego... żadna z nich nie mówiła nic o szopie pani Winchester. Nawet nie wziętem ze sobą gazety.

- Ale dlaczego...

Uniósł dłoń, jak wyniosły policjant na skrzyżowaniu.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tu trafiłem, Perełko. Nikt z nas tego nie wie. I nie sugeruję wcale, że jesteśmy tu nieszczęśliwi, bo to bardzo przyjemne miejsce, a pani Winchester jest dla nas dobra, ale opuszczenie go wydaje się raczej wykluczone. Gdybym

przeszedł przez ten cyprysowy żywopłot, o tam, jednocześnie wszedłbym na posesję z drugiej strony. Nieważne, czy od przodu do tyłu, czy nawet z góry na dół.

- Myślę, że pani Winchester działa jak magnes, a pan i inni są jak...

- Opiłki, wiem. Pinezki zbierane z dywanu. Czasami stoję na wieży - jeśli w ogóle można to nazwać staniem - i spoglądam na te wszystkie dachy i kominy, wszystkie przytwierdzone do tego domu, i muszę przyznać, że jest tu więcej przestrzeni, niż dawałem sobie za życia. Gdyby mój pensjonat znajdował się w miejscu drzwi wejściowych do Llanada Villa, to bank byłby przy wjeździe dla powozów, a saloon stałby w miejscu otwartej werandy, tej, którą zamurowano przed słońcem. Co stanowi tak naprawdę niewielki wycinek domu. A jednak cały dom jest przecież drobinką na ziemi i czasami żałuję, że kiedy mogłem, nie ruszałem się nigdzie dalej.

Szliśmy obok siebie w milczeniu - cóż, powiedzmy, że ja szłam - i uświadomiłam sobie, że właścicielka domu sama nie bardzo może go opuszczać. A co ze mną? Czy mogłam opuścić Dom na Równinie i dokąd miałabym się udać? Profesor Van Der Ast wydawał się być dalej niż na drugim kontynencie.

- Lepiej wracaj do środka, Perełko. Mamy dziś wilgotną bryzę z zatoki.

Przysunęłam twarz do policzka pana Dellafave'a i kiedy zaczął się rozmywać, domyśliłam się, że jest wystarczająco blisko, i pocałowałam powietrze.

- Jasny gwint - powiedział i rozptynał się całkowicie.

Nie czułam bryzy znad zatoki, ale kiedy biegłam do domu, i tak owinęłam się szczelniej szalem.

*

Następnego dnia było trzęsienie ziemi.

Kandelabry się zakołysały. Organy westchnęły i jęknęły. Kryształły zabręczały w szafkach. Jakiś gwóźdź wyswobodził się z drewna i potoczył się po drżącym parkiecie. Harmider narastał nie spod domu, lecz z góry i z okolicy, jakby ten dźwięk nacierał na nas ze wszystkich stron. Duchy wpadły w szaleńczy wir i śmigwały po domu jak smugi dymu nad głowami, zmieszane i pozbawione rysów twarzy i sylwetek, czasami ukazując jedną czy drugą przestraszoną twarz. Przesuwałam się wzdłuż ścian, starając się zachować równowagę i szukając najbliższego wyjścia, frontowych drzwi. Raz upadłam i jęknęłam, kiedy dłonie dotknęły gorącego parkietu.

Gips wdarł mi się do oczu w głównym holu. Zrozumiałam swój błąd, kiedy zobaczyłam masywne drzwi wejściowe, oczywiście zamknięte na klucz, który już dawno gdzieś został wyrzucony, albo spoczął na dnie odległej szuflady w jakiejś komórce tego wariackiego domu. Jeśli całe domostwo miało się zawalić i mnie przygnieść, to ta decha sękatego, ciemnego dębu będzie ostatnim przedmiotem, który przetrwa kataklizm i jednocześnie stanie się mauzoleum Perełki.

Stojący zegar zachwiał się i upadł tuż za mną z łoskotem setki ciężkich dzwonów. Rzuciłam się do drzwi i przekręciłam gałkę. Obróciła się z łatwością, jakby ktoś codziennie ją

oliwił, i drzwi ustąpiły bez problemu. Nagle wszystko ucichło i uspokoiło się. Rudzik zaśpiewał w żalobnym mitrze, kiedy drzwi otworzyły się na uroczy, wiosenny dzień. Wysoki, czarny mężczyzna w ciemnym jak węgiel fraku stał na werandzie z cylindrem w dłoni i uśmiechnął się do mnie z góry.

- Dzień dobry - powiedział. - Zacząłem się obawiać, że nikogo nie ma w domu. Mam nadzieję, że moje pukanie nie przestraszyło panienki. Wiem, że trudniej przedrzeć się do tego domu niż przez terytorium Oklahomy.

- Pukanie? - Byłam zbyt oszołomiona, żeby zachować pozory uprzejmości. - To było pana pukanie?

Roześmiał się, wchodząc do środka, tak cicho, że widać było otwarte usta i rozległo się coś na kształt kaszlnięcia.

- To? Ależ nie. To po prostu moja reputacja, która mnie poprzedza. Powiedz, proszę, czy pani w domu?

- A gdzie miałabym być jak nie w domu, Plewpszenny? - zapytała wdowa nagle tuż obok mnie, jakby cały dzień szykowała się na przyjęcie gości.

- Witaj, Winchester - powiedział gość.

Patrzyli na siebie bez słowa w całkowitym bezruchu. Usłyszałam za sobą odgłos przeciągania i stłumiony brzęk. Kiedy się odwróciłam, stojący zegar właśnie zajął swoje miejsce w rogu.

Wtedy wdowa i gość roześmiali się i objęli na powitanie. Wdowa uniosła stopę do tyłu. Jej głowa nie dosięgała nawet do jego brody.

- Perełko - powiedziała - to jest pan Petey Plewpszenny.

- Pet-ER - poprawił ją, skłaniając się nieznacznie.

- Pan Plewpszenny - ciągnęła wdowa - jest łajdakiem. Mój Boże - dodała, jakby coś sobie właśnie uzmysłowiła. - Jak tu wszedłeś?

Wszyscy spojrzeliśmy na drzwi wejściowe. Znów były zamknięte, miały pozasuwane zasuwę, a na zawiasach widać było ślady rdzy. Żadna siła poniżej laski dynamitu nie otworzyłaby ich.

Ten cały Plewpszenny wskazał głową w moim kierunku.

- No, niech mnie - rzuciła wdowa. - Tak sobie poczyna w moim domu jak termit, ta mała - stwierdziła, przepychając się koło mnie i pchając go przed sobą. - Jest pół godziny za wcześnie, ale może zechcesz zasiąść z nami na herbatkę.

Plewpszenny wysunął ramię w moją stronę i mrugnął. Jak na mój gust, było to zbyt prostackie, ale byłam zbyt wstrząśnięta po tym, co niekoniecznie było trzęsieniem ziemi, żeby się tym przejąć. Kiedy wzięłam go pod ramię (dąb pod eleganckim strojem), poczułam, że moje mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa, jakbym ciężko pracowała przez cały dzień. Rzuciłam spojrzenie na zaklinowane drzwi, ale Plewpszenny pociągnął mnie przez hol.

- Słyszałem, że tu jesteś - powiedział Plewpszenny.

- Skąd?

- Och, głośna jesteś bardzo, panno Wielka Stopa, człap, człap, człap. - Znów mrugnął. -
A może to tylko twoja reputacja, o której tak wiele słyszałem?

Coś było nie tak z korytarzem, ale nie mogłam rozpoznać co.

Nagle uświadomiłam sobie, że jest pusty. Wszystko w domu wróciło do równowagi -
obrazy zawisły na gwoździach, tynk wrócił na ściany - poza duchami, po których nie było ani
śladu. Tak bardzo się przyzwyczałam do tego, jak szybowały koło mnie, nade mną i prze-
latywały przeze mnie, nawet kiedy sunęły przez moją sypialnię, po czym wycofywały się,
przepraszając, jak ktoś, kto nie był świadomy, że przedział w pociągu jest zajęty, że ich
obecność w ogóle mi nie przeszkadzała. Ale ich nieobecność wywoływała dreszcz.

- Wróć, kiedy sobie pójde - wyjaśnił Plewpszenny.

Zaśmiałam się.

- Chce mi pan powiedzieć, że pan straszy zjawy? Chce pan powiedzieć, że, ee, goście
pani Winchester nie przepadają za panem?

- Jestem pewien, że przeciwko mnie samemu nic nie mają. No bo niby dlaczego?
Kiedy ktoś mnie pozna, pojmie, że jestem miłym kompanem, wykształconym, szykownym i
dowcipnym, przywoitym tancerzem i doskonałym partnerem do wista. Nie parskam, kiedy
się śmieję, ani nie maczam mankietów w zupie. Nie, tu chodzi z pewnością o moją
działalność. O firmę, której jestem przedstawicielem. To Stara Firma. Właściwie
przedsiębiorstwo mojego teścia, więc dziedziczenie jest wykluczone. Ale w dzisiejszych
czasach wszyscy musimy pracować dla kogoś, prawda?

Pomyślałam o Czerkieskiej Księżniczce Sally Ann i o dłoni Krzyżknadrogę na mojej
ręce.

- Co prawda, to prawda - odparłam.

*

Plewpszenny postawił głośno filiżankę na spodku i powiedział:

- No, dość tych pogaduszek. Nadszedł czas pytań i odpowiedzi.

- Och, Petey - rzuciła wdowa. - Naprawdę musisz? Tak nam się dobrze rozmawia o
niczym. To z pewnością może poczekać.

- Wcale się nie spieszę, Winchester, ale mój teść to co innego. Można by powiedzieć,
że niecierpliwość to jego główna cecha. Była ona przyczyną jego, ee, obecnej drogi kariery.
Perełko, proszę cię, uważaj teraz.

Nie odezwałam się, bo właśnie wepchnęłam sobie całe czekoladowe ciasteczko do
buzi. Nigdy wcześniej nie uświadamiałam sobie, że u profesora Van Der Asta zawsze byłam
nieco głodna, dopiero tu, w Domu na Równinie, to do mnie dotarło.

Plewpszenny pogrzebał w kieszeni fraka i po chwili wyciągnął gumową gruszkę.
Otworzył usta i psiknął, sobie głąboko do gardła.

- La, la, la, la, la - zaintonował. - La, la, la, la, laaaaa. Ton jak zwykle doskonały.
Winchester? - Zaproponował jej gruszkę. - Nie, to nie. A teraz: Perełka.

Zaczął śpiewać uroczym barytonem.

*Na dziewięć mych pytań odpowiedź daj już
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Albo nie Bogaś ty, lecz jedną z mych dusz
I tkacza tyś jest kochanie.*

- Otóż, Perełko, kiedy śpiewam „jedną z mych dusz”, to pamiętaj, że nie mówię tu za siebie, ale w imieniu firmy, którą reprezentuję.

- A kiedy śpiewa pan „Bogaś ty” - zaczęłam ostrożnie - to mowa tu o firmie, której pan nie reprezentuje.

- W istocie tak właśnie jest. Jeśli już skończyłaś z przerywaniem...

- Nie przerywałam! - przerwałam. - To pan sam sobie przerwał.

Walnął dłonią w stół.

- To ci dopiero! Jakby mówiący mógł sam sobie przerwać. Można by pomyśleć, że rzeka sama mogłaby zrobić sobie bród, albo płot mógłby przeskoczyć sam siebie.

- Albo gad mógłby się sam zagadać - dodała wdowa.

- No, bardzo cię proszę - rzucił Plewpszenny.

- I nie jestem kochaniem tkacza - dodałam już rozdrażniona - cokolwiek miałyby to znaczyć.

- Cóż - odparł Plewpszenny. - Tkacz tka tkaniny, takie, z jakich robią fartuchy i kneble, a kochanie to piękność, urocze stworzenie, taki skarb.

- Nie znam żadnych tkaczy - rzuciłam - poza moją przyjaciółką Sally Ann, która nauczyła mnie przyszywać guziki. I nie jestem piękna ani urocza, nie jestem też niczym skarbem.

- Zgoda, może w tej chwili jest to nieco naciągane - zgodził się Plewpszenny. - Ale nie wolno nam wszystkiego brać dosłownie. Kiedy mówisz „jestem głupią gęsią”, nie oznacza to, że ktoś cię zaraz oskubie i upiecze, kiedy mówisz „jestem z nim związana”, nie oznacza to, że ktoś przywiązał cię do niego powrozem, a kiedy mówisz „a niech mnie diabli wezmą”, nie masz na myśli...

Jego głos ucichł. Do pokoju wkradł się chłód. Słońce przygasło w oknie w wykuszu, jakby zaszło za chmurę.

- ...nic konkretnego, słowo - dokończył Plewpszenny i uśmiechnął się, kiedy znów pokazało się słońce. - Dlatego więc tylko w tej piosence, i nigdzie więcej, kim jesteś?

Splotłam ramiona i wbiłam się, jak tylko mogłam głęboko, w oparcie sofy, wpatrując się w Plewpszennego tak intensywnie, jakbym chciała zetrzeć mu z twarzy ten jego zadowolony uśmiešek.

- Jam jest tkacza kochanie - wymamrotałam.

„Wcale nie” - dodałam w myślach.

- Świetnie - stwierdził Plewpszenny. - Zaraz, na czym to ja skończyłem? Będę musiał wrócić do potopu, jak mawiał Noe. - Odchrząknął.

*Na dziewięć mych pytań odpowiedź daj już
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Albo nie Bogaś ty, lecz jedną z mych dusz
I tkacza tyś jest kochanie.*

Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć czego? zastanawiałam się, ale trzymałam buzię na kłódkę.

*Co bielsze jest od mleka?
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Co jest gładsze niżli jedwab?
Ach, tyś jest tkacza kochanie
Co jest wyższe od sekwoi?
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Albo głębsze od morskiej toni?
Ach, tyś jest tkacza kochanie
Co głośniejsze od hejnału?
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Ostrzejsze od puginału?
Ach, tyś jest tkacza kochanie
Niewinniejsze od jagniątki?
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Podlejsze od kobieciątki?
Ach, tyś jest tkacza kochanie.*

Była to krótka piosenka, ale zdawała się trwać w nieskończoność. Kiedy siedziałam najeżona, arogancka i naburmuszona, uświadomiłam sobie, że nie chodziło tu o to, by słuchać tej piosenki, bo ona i tak mnie otaczała, cała się w niej zanurzałam. Byłam zarówno podenerwowana, jak i senna, a wzory na parkiecie zaczęły układać się w twarze, sofa zaczęła mnie wypychać i napierać na ramiona, natomiast sznurówki moich botków niknęły w ciemności jak tory kolejowe w tunelu w Lookout Mountain. Nie mogłam ocenić, czy Plewpszenny jest przyzwoitym tancerzem, jak twierdził (choć podejrzewałam, że słowo „przyzwoity” jest tu raczej nie na miejscu), ale z całą pewnością potrafił śpiewać. I gdzieś podczas drugiej godziny śpiewania (oczywiście teraz, jak sobie o tym myślę, to wiem, że wersy się powtarzały, rozbudowywały i rozciągały) do głosu Plewpszennego dołączył głos kobiety i spłoty się razem jak włókna mocnej liny. Był to głos wdowy Winchester: I tkacza tyś jest kochanie.

Wciągnęłam powietrze przez zęby i wyprostowałam się na sofie, jakbym ocknęła się gwałtownie ze snu, ale już nie czułam takiego niepokoju. Piosenka się skończyła. Wdowa udawała, że zbiera za-stawę do herbaty ze stołu, a Plewpszenny udawał, że ogląda sobie paznokcie.

- Ten wers o kobieciećku jest obraźliwy - stwierdziła wdowa.

- Ja tego nie napisałem - odparował. - Lud napisał.

- Mężczyźni - dodała.

- Osiem - powiedziałam, ale dopiero kiedy to wypowiedziałam, uświadomiłam sobie, że to zrobiłam.

- Ze co? - zapytał Plewpszenny, nie podnosząc wzroku.

Wdowa trzymała filiżankę z wygiętym brzegiem, patrząc w przestrzeń, a strużka herbaty na podobieństwo pająka schodziła na spo-dek ze ścianki.

- Osiem - powtórzyłam. - Mleko, jedwab - dwa, sekwoja, morze - cztery, hejnał, puginał - sześć, jagniątko, kobieciećku - osiem. - Bardziej zaśpiewałam, niż powiedziałam, zaskoczona własnym głosem: - Na dziewięć mych pytań odpowiedź daj już... To nie jest dziewięć, tylko osiem pytań. Jak brzmi dziewiąte pytanie?

Plewpszenny spojrzał na wdowę, a wdowa na niego.

- Może to właśnie to - wymamrotał Plewpszenny. - Jak brzmi dziewiąte pytanie? Może to jest właśnie dziewiąte pytanie.

- Nie - odparłam.

- Dlaczego nie? - zagruchał Plewpszenny.

- Bo nie - odparłam. - Bo to by było głupie.

Plewpszenny zaśmiał się i walnął w udo cylindrem. Wdowa trzasnęła dwoma talerzykami o siebie.

- W istocie byłoby - burknęła. - Petey, proszę cię, zbierz te talerze. Weź je, mówię. Nie zaszkodzi ci odrobina pracy, ty leniwy zięciuniu.

- Więc jak brzmi dziewiąte pytanie? - zapytałam ponownie.

- To ty masz nam powiedzieć - odparł Plewpszenny.

- Znaczy: ma tobie powiedzieć - dodała wdowa, wypychając go z naręczem zastawy z pokoju. - Nie wciągajcie mnie w to wszystko.

- Och, bardzo przepraszam, Lady Astor, a czyj to jest dom? Ta dziewczyna to czarownica, Sarah, i nie można kogoś takiego we-pchnąć do szafki z zastawą jak bibelotu, jak jednego z twych duchów, na przykład tego całego pana Dellafave'a! - wykrzyknął, mijając szafkę z porcelaną.

Jej drzwiczki zadrżały, a ktoś w środku pisnął.

- Znasz zasady - podjął Plewpszenny, kiedy wszyscy razem weszliśmy do kuchni. Z łoskotem cisnął naczynia do zlewu i obrócił się na pięcie w naszą stronę. Starłam się schować za wdowę, choć była ode mnie o pół głowy niższa. Plewpszenny dźgnął w jej kierunku palcem, jakby chciał wybić dziurę w powietrzu. Jego wypielęgnowany paznokieć dżentelmena był teraz długi i poszarpany, z żałobą pod spodem, a oczy były czerwone jak u pijaka. - Tylko popatrz na nią! - rzucił. - Po prostu stań koło niej, niech to piorun strzeli! Naładowana jest magią jak piec koksem, a na szerokim świecie aż roi się od zapalek. Jest teraz w innym świecie i musi się zacząć uczyć. - Odwrócił się w moją stronę. - Herbatka skończona, moja droga. Od tej pory będzie sprawdzian za sprawdzianem, a zaczniemy od zadania pierwszego - dziewięciu pytań.

- Ośmiu - odciął się.

Odrzucił głowę do tyłu i zaryczał jak wściekły byk. Przykryłam uszy dłońmi i wrzasnęłam. Nasze sukienki wyduły się jak na wietrze. Na szyi Plewpszennego wyszły grube żyły. Jego gorący chuch wypełnił całe pomieszczenie. Nagle zamknął usta i ryk ustał.

- No niech ci będzie - powiedział. - Może i osiem. Jesteś winna Starej Firmie osiem odpowiedzi - i jedno pytanie.

Wcisnął dwiema rękami cylinder na głowę aż do brwi i wskoczył do zlewu. Tam przykucnął, mrugnął i z bulgotem zniknął w kratce odpływowej. Jego cylinder opadł na porcelanę i zachybotał się w miejscu, aż on też został wciągnięty w głąb. Głos Plewpszennego zachichotał w rurach, a duchy zaczęły pierzchać przez kran.

- Pozer - stwierdziła wdowa. Ścisnęła mnie za ramię. - Ale też i kłamczuch. Fatalnie gra w wista.

- Kiedy mówił, że mam odpowiedzieć na te pytania, to kłamał czy nie?

- Ach, nie, tu akurat mówił prawdę.

- A to, że niby jestem... czarownicą?

Wdowa uśmiechnęła się.

- Najprawdziwsza prawda - odparła.

*

- Wszyscy czarownicy mają mniej więcej takie same zdolności - powiedziała wdowa, myjąc i układając niepotłuczone elementy za-stawy - jak stolarze, malarze i projektanci ogrodów. Ale poza tym każdy z nich ma swoją specjalność, jakiś talent, w którym jest szczególnie wybitny. Niektórzy z nich przez całe dziesięciolecia zajmują się sztukami magicznymi, zanim poznają ten szczególny talent. Niektórzy uświadamiają sobie to dopiero z perspektywy czasu, na łożu śmierci, albo wcale. Ale innym podaje się ich dar na tacy, niemal od urodzenia, i traktują to tak samo naturalnie jak obecność ziemi i nieba. Ja sama byłam nie większa od rzepy, kiedy uświadomiłam sobie, że moi mali przyjaciele, z którymi bawiłam się codziennie na poddaszu i w altanie skrytej w winoroślach na skraju ogrodu, są dziećmi, których inni nie widzieli. Uświadomiłam sobie też, że moi rodzice nie lubią rozmów na ich temat. „Tatusiu, ale to śmieszne! Mała Merry właśnie przeszła ci przez kamizelkę, kiedy mieszałaś herbatę”. Jakżesz on się na mnie gniewał tamtego dnia!

Malutkimi piąstkami wykręciła ściereczkę do wycierania naczyń. Ja byłam zajęta wydmuchiowaniem baniek mydlanych na pręgowanego kota, który przepływał koło nas. Bańki przelatowały przez kotka, a może na odwrót? Wdowa przetarła naczynia pumeksem, więc bańki miały czerwonawą barwę i wydawały się bardziej solidne niż całkowicie przezroczysty kocur. Ale bańki pękały, a kot dalej unosił się w powietrzu.

Wdowa ciągnęła dalej:

- I odtąd zaczęłam trzymać w tajemnicy swój talent, a kiedy człowiek zaczyna to robić, wraca na ścieżkę magii.

- Moje talenty są tajemnicą nawet dla mnie - odparłam.

- Widzisz, jak bardzo się mylisz? - zauważyła wdowa. Pacnęła mnie w ramię ściereczką. - Bawisz się z martwymi kotami. Prowadzisz rozmowy ze wszystkimi moimi lokatorami. Potrafisz odblokować frontowe drzwi i je zamknąć nawet bez przymiarek. Przybyłaś tu z Tennessee jednym krokiem, jakby świat był zwykłą składaną mapą. Mój Boże, to krok, jakiego nie potrafiłby wykonać nawet Paul Bunyan, a Paul to wielki człowiek. - Po chwili zadumy potrząsnęła głową i z wielkim pluskiem wyszarpnęła korek ze zlewu. - Niech to wszystko wleci Plewpszennemu do przełyku. - Stanęła na palcach i pocałowała mnie w policzek. Był to pospieszny pocałunek, suchy i szorstki jak dotknięcie wacika. - Nie bój się, dziecko - powiedziała, biorąc mnie za ramię i prowadząc po schodach na dół, do ogrodu. - Masz gorejący talent, jakby to powiedział pan Winchester. A teraz musisz się skoncentrować, cóż, ośmielam się twierdzić, że bardzo szybko odkryjesz swoją specjalność, jeśli nie trzy nawet.

- Pan Plewpszenny powiedział, że jestem teraz w innym świecie.

Wdowa parsknęła śmiechem.

- Dobre sobie, w innym świecie! Nie można zmieniać światów jak podwiązek, moja droga. To jest ten sam świat, w którym się urodziłaś, i ten sam świat, w którym pozostaniesz przez resztę swych dni. Nie zapominaj o tym. Ale kiedy troszkę podrośniesz i zwiedzisz trochę ten świat, to poznasz go lepiej - śmiał twierdzić, że to nieuchronne, że zaczniesz go rozumieć.

- Bo weszłam przez dioramę, o to chodzi?

- To była magiczna podróż, naprawdę. Bez wątpienia poszerzyło to twoje horyzonty. Kto to wie? Kilka tygodni temu mogłaś być równie nieświadoma świata duchów jak moi cieśle, mogłaś patrzeć na pana Dellafave'a, w ogóle go nie zauważając, że nie wspomnę o rozmowie z nim. Cóż by to była za strata - stwierdziła raczej bez przekonania.

Zastanawiałam się, czy mam jej powiedzieć, że pan Dellafave się w niej kocha, ale domyślałam się, że to już sama wie. Musiałam jednak odważyć się na zadanie innego pytania.

- Pani Winchester. Przez tyle lat od śmierci pana Winchestera, czy on kiedykolwiek, ee, no... odwiedzał panią?

- Ach, jakie to słodkie, że zadałaś to pytanie, dziecko - powiedziała wdowa, pociągając nosem i zarzucając lekko głowę do tyłu. - Nie, jeszcze nie, chociaż od dawna wypatruję go, nasłuchuję dzień i noc. Szczególnie nocą. Wyznam, że nawet wynajęłam parę mediów, by przeprowadzili seans kilka lat temu, ale była straszna chryja. - Machnęła bezwiednie dłonią, kiedy mijaliśmy bezgłowego kierownika pociągu, który uniósł latarnię w jej stronę. - Duchy całego stada bizonów mogłyby przegalopować przez salon, a ci oszuści nawet by tego nie zauważyli. A jakiego bałaganu narobili! Ektoplazmę to całymi dniami ścieraliśmy szmatą z podłogi. - Oparła się plecami o pień angielskiego cisa i spojrzała bez smutku w niebo. - W końcu doszłam do wniosku, że z panem Winchesterem - podobnie jak z tatusiem i mamusią, moją starą nianią, moim pieskiem Zipem, którego dostałam w dzień ślubu, i moją biedną córeczką Annie - połączę się, kiedy będę tak samo mglista jak tamta pani w stawie.

W milczeniu obserwowałyśmy kobietę, która wynurzała się z wody, stała przez chwilę na powierzchni, po czym z nieodgadzionym wyrazem twarzy zapadła się przy liściach lilii

wodnych. Była staro-modnie ubrana. Ciekawe, gdzie się podzieli jej wszyscy ukochani i ile pamiętała z tych związków.

- Powiem ci, co mnie naprawdę niepokoi - wyznała nagle wdowa Winchester - nie pan Winchester i nie to, dokąd po śmierci idą wszystkie psy. Martwi mnie fakt, że przez te wszystkie lata, od kiedy przyjmowałam drogich zmarłych w domu, ani razu nie widziałam kogoś, kto by był czarownikiem za życia.

*

- Sarah! - rozległ się głośny męski głos. - Sarah!

Wdowa i ja podbiegłyśmy do wykuszu w salonie. Znałam ten głos.

Wóz zaprzęgnięty w dwa konie zajechał przed dom i wielki mężczyzna w czarnym garniturze i czarnym kapeluszu właśnie z niego wychodził. Był ciepły, jesienny dzień, ale jego kapelusz i ramiona marynarki były zaprószone śniegiem, a sople lodu oblepiały szczeble i koła wozu. Sam wóz był w wyblakłym granatowym kolorze i pokrywały go namalowane gwiazdy i półksiężyce. Napis na boku głosił:

CZARODZIEJ BŁĘKITNEJ GRANI
MAG STAREGO POŁUDNIA
DOSTAWCA MAGII I RADOŚCI

Zdjął kapelusz i znów zawołał:

- Sarah! Mam go! W końcu go dopadłem!

Był to pan Krzyżyknadrogę.

Kiedy dotarliśmy do drzwi wejściowych - wdowa otworzyła je machnięciem dłoni - przygalopował pod nie jeździec na koniu. Był to Petey Plewpszenny, ubrany jak angielski myśliwy w czerwony surdut, białe bryczesy i buty jeździeckie.

- Winchester, zrób coś! - wykrzyknął, zsiadając z konia. - Krzyżyknadrogę całkiem oszalał.

- Szaleństwo to betka - odparł Krzyżyknadrogę. - Uwięziłem go jak robaka w stoiku.

- Kogo? - zapytała wdowa.

- Starego rogatego we własnej osobie! - odkrzyknął Krzyżyknadrogę. - Macie waszego diabła.

Podszedł do tyłu wozu i zaczął wyciągać coś ciężkiego, czego jeszcze nie widzieliśmy.

Wdowa spojrzała na Plewpszennego.

- Czy to prawda?

Wzniósł ręce do góry.

- A kto to może wiedzieć? Od wielu dni nikt nie widział starego.

Plewpszenny przyciągnął to coś bliżej do drzwiczek wozu i po chwili na żwir wypadł z głuchym tąpnięciem stary but. Podeszłam bliżej, wychodząc z cienia werandy.

- No, witaj, Małe Galoty - rzekł Krzyżyknadrogę. - Sarah mówiła mi, że u niej jesteś. Więc jednak zdecydowałaś się trochę poczarować? - Wyciągnął piersiówkę z marynarki, spojrzał na nią, po czym wybuchnął śmiechem i cisnął butelkę przez podwórze. Wylądowała z brzękiem w krzaku różanym.

- Powiedziała panu? - wykrzyknęłam. Stanęłam za słupkiem. Sam widok Krzyżyknadrogę wywołał u mnie rumieniec i przyptyw gniewu. - To wy się znacie?

- Cóż, on jest czarodziejem - stwierdziła wdowa Winchester.

Krzyżyknadrogę stał, podpierał się rękami pod boki i wyglądał na zadowolonego z siebie. Wdowa zerknęła do wnętrza wozu.

- Gdzie on jest? Czy to jego but?

Krzyżyknadrogę porwał ją do góry i zakręcił nią młynka.

- To nie żaden but. To on! Jest w środku! Chodź, zobacz, Małe Galoty!

- Niech pan mnie tak nie nazywa - wykrzyknęłam, ale zesłam z werandy.

Krzyżyknadrogę wziął but w swoje szorstkie dłonie i tyłem, zgarbiony, zaczął ciągnąć go w stronę domu, jakby był to jakiś wielki umarłak. But orał bruzdę w żwirze.

- Niemożliwe - zawyrokował Plewpszenny.

- Ale prawdziwe! - wykrzyknął Krzyżyknadrogę.

- Bluźnierstwo - skwitowała wdowa.

- Tak czy inaczej, to nie służy interesom - stwierdził Plewpszenny.

Krzyżyknadrogę puścił but i zrobił krok w tył, łapiąc oddech i masując sobie krzyż rękami.

- Zagoniłem go aż do gór Sierra - rzekł. - Uciekłby mi, gdyby tylko puścił tego kurczaka. Siedem dni i siedem nocy toczyliśmy walkę, tarosząc się pod górę i staczając na dół. Wszystkie gazety pisały o tych lawinach. But mam jeszcze z Appomattox. To but mojego mistrza, zaczarowany przez niego jego magią i krwią. Ósmego dnia tych zmagani udało mi się go wcisnąć diabłu na łeb i krok po kroku wlał do niego cały, a teraz ogoniasty zapłaci za wszystko!

Wszyscy zgromadziliśmy się wokół buta.

- Jest pusty - stwierdziła wdowa.

Plewpszenny zarechotał.

- A pewnie. Krzyżyknadrogę, masz nierówno pod sufitem.

Ja się nie śmiałam. Zza sznurówek buta wзираła jakaś twarz. Błękitne oczy zrobiły się ogromne na mój widok. Twarz cofnęła się odrobinę, żebym mogła ją całą zobaczyć.

W bucie siedział Krzyżyknadrogę.

Spojrzałam przez ramię. Tak, duży Krzyżyknadrogę stał za mną, szczerząc zęby w uśmiechu. Ale mały człowieczek w bucie to też był Krzyżyknadrogę, miał na sobie szatę i spiczasty kapelusz, tak jak go ostatni raz widziałam u profesora Van Der Asta.

Mały Krzyżyknadrogę objął się, jakby mu było zimno, i zaczął cichutko płakać.

- O co chodzi, dziecko? - zapytała wdowa. Strząsnęłam z ramienia jej pocieszycielską patykowatą rączkę. Przypominało to uwalnianie się z uścisku pająka.

- Co tam widzisz? - zapytał Plewpszenny.

- Powiedz im, Małe Galoty!

- Nie bierz tego do siebie, moja droga. Cóż mogłabyś tam zobaczyć? To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Może i ma - stwierdził duży Krzyżyknadrogę. - Kogo tam widzisz, dziewczyno? Co ten łapserdak dla ciebie znaczy?

- Jak się teraz nazywa? - zapytał Plewpszenny. - Stary ma więcej imion, niż jest towarów w katalogu Searsa i Roebucka.

Nie odpowiedziałam. Mały Krzyżyknadrogę wycofał się do cholewy starego, rozchodzonego buta. Podeszłam o krok, żeby go lepiej zobaczyć, a on zadrzał tak, że cały but zachybotał.

- On jest przerażony - powiedziałam głośniej i dobitniej, niż chciałam, bo w rzeczywistości bałam się jak nigdy w życiu. Nie dlatego, że stałam nad drugim Krzyżyknadrogę wielkości lalki, którą można wygrać w wesołym miasteczku, rzucając piłką do celu, ale dlatego, że byłam dla niego bardziej przerażająca niż jego większe alter ego. Za jakiego potwora on mnie brał? Przerażało mnie to, ale też złościło. Zawarczałam, wystawiłam szpony jak Boola, chłopiec pantera, i rzuciłam się w jego kierunku.

- Uaaaa!

Mały Krzyżyknadrogę obrócił się tak gwałtownie, że but się przewrócił. Podeszwę miał tak startą, że prawie można było przez nią spojrzeć, a na jej lepkim spodzie był przyklejony niedopałek papierosa i kłębek włosów.

- Jest nasz - zasyczał mi do ucha duży Krzyżyknadrogę. - Jakąkolwiek twarz by ci pokazywał, dziewczyno, kogokolwiek bliskiego, teraz jest nasz bez dwóch zdań. Całą drogę tutaj, kiedy jechaliśmy po zboczach, przez rzekę i zagajniki, mogłem tylko powstrzymać go przed kopaniem w deski wozu, ale teraz dzięki tobie jest spokojny jak baranek. A dziewczynki lubią baranki. Teraz jest już i mój, i twój.

- Nie słuchaj tego - rzuciła wdowa.

- Sarah. Zapomniałaś, z czym mamy tu do czynienia? Zapomniałaś o Gettysburgu, Cold Harbor, Petersburgu? O gruźlicy, która zabrała twego Williama, o niedożywieniu, przez które twoja biedna Annie zmarła w kołysce? Nie obchodzi cię, co to stworzenie zrobiło na świecie i do czego jeszcze jest zdolne? Niczego się nie nauczyłaś?

- Niektórych rzeczy nie można się nauczyć - odparła wdowa. - A pewni czarodzieje, którzy oddychają świeżym boskim powietrzem, są jeszcze gorzej spętani niż to stworzenie. Petey, powiedz mu. Widziałeś o wiele gorsze rzeczy niż Cold Harbor, gorsze, niż widziało każde z nas.

Plewpszenny nie odpowiedział od razu. Wydawał się nie słyszeć, co się do niego mówi. Był zajęty odkurzaniem metalowej ławki chusteczką. Wolno ją złożył, a następnie strzepnął ostatni pyłek, westchnął i usadowił się delikatnie na brzeжку, jakby taka ostrożność mogła uchronić jego bryczesy przed prasowaniem. Kiedy usiadł, przezroczyły kot wskoczył mu na kolana i się na nich ułożył. Plewpszenny zaczął go drapać za uszami, a kot, mrużąc, powoli się rozplątał w powietrzu, aż Plewpszenny drapał tylko swoją nogę.

- Z tego, co widzę - powiedział w końcu Plewpszenny - kimkolwiek jest ten zdechłak, którego tu przytargałeś, Krzyżyknadrogę, nie jest już twój. Tylko Perełki.

- Perełki! - wykrzyknęli razem Krzyżyknadrogę i wdowa.

- Perełki - powtórzył Plewpszenny. - Inaczej by go nie widziała, prawda? Więc należy do niej i może z nim robić, co zechce. I zupełnie niepotrzebnie macie miny, jak byście przyssali się do tej samej ostrygi. Ludzie mają wolną wolę - przecież stanowi to podstawę Starej Firmy, podwaliny naszego przedsiębiorstwa. A poza tym - dodał, opierając się o oparcie ławki, nasuwając filcową czapkę na oczy i krzyżując nogi w kolanach - ona i tak już się z tym pogodziła.

Kiedy to powiedział, uświadomiłam sobie, że tak jest.

- Nie - zaprotestował Krzyżyknadrogę.

Podniosłam but. Nie był dla mnie cięższy niż martwa stopa. Na samą myśl o tym zadrżałam.

- Plewpszenny - odezwał się Krzyżyknadrogę. - Co mi zrobiesz, ty łajdaku? Nie mogę się ruszyć.

- Ja nic nie zrobiłem.

- Ani ja - dodała wdowa.

- Perełko. Posłuchaj.

Podniosłam but i spojrzałam na to, oko w oczko. Drżący kształt nie przypominał już Krzyżyknadrogę - raczej jego złe wspomnienie czy jego złe odzwierciedlenie, albo też plamę na płótnie, którą można zobaczyć, kiedy się zmruży oczy. Nieważne, co to było. Powiedziałam mu:

- Wracaj do domu.

I machnąwszy trzykrotnie butem nad głową, cisnęłam nim daleko.

- Niiieeee! - wykrzyknął Krzyżyknadrogę.

But poszybował nad płótnem, minął punkt, w którym powinien był spaść na ziemię, i leciał dalej, koziółkująca czarna kropka na tle bladego nieba jak negatyw zdjęcia jakiejś gwiazdy, aż to, co, jak sądziłam, było butem, zmieniło się w mroczek wędrujący po moim oku. Zamrugałam i but zniknął.

Pan Krzyżyknadrogę wpatrywał się w niebo, zaciskając szczęki. Po jego policzku spłynęła łza. Zaczął łkać.

- Oho! Chyba nie będzie miał ochoty na kolację - stwierdził Plewpszenny.

- Wiedziałam - powiedziała wdowa. Pstryknęła palcami przy twarzy Plewpszennego. - Wiedziałam o tym w chwili, kiedy ona i jej cienie wyszły przez okno w sali balowej. Duchy przepowiedziały jej przybycie.

- Duchy przepowiedziały jej przybycie, dobre sobie - skwitował Plewpszenny. - Jest czarownicą, a nie pociągami o trzeciej pięćdziesiąt do Los Angeles.

Łkanie Krzyżyknadrogę zmieniło się w skowyt.

Nagle poczułam zawrót głowy i nudności i zabrakło mi tchu, jakby coś walnęło mnie w brzuch. Chciałam uciekać, nie wiedząc nawet dlaczego, ale Krzyżyknadrogę już rzucił się w

moją stronę. Złapał mnie za ramiona, potrząsnął mną jak szmacianą lalką i zaryczał mi prosto w twarz.

- Przepraszam! - wykrzyknęłam. - Musiałam to zrobić! Musiałam!

Wtedy mnie walnął, a ja, szlochając, padłam na trawę. Czekałam, aż znów mnie uderzy, aż mnie zabije. Ale tylko wdowa i Plewpszenny przyklękli koło mnie, gładzili mnie po włosach i mruzczyli słowa, których nie rozumiałam. Krzyżyknadrogę szedł nierówno przez dziedziniec, tak jakby chodził strach na wróble, gdyby umiał. Padł na kolana przy krzaku różanym i zaczął rozgarniać ziemię w poszukiwaniu piersiówki, a ciernie rozdzierały mu twarz.

*

Leżałam w łóżku przez kilka dni, zawinięta w warstwy gęsiego pierza. Wdowa wychodziła z pokoju tylko po to, by mi coś przynieść. Pan Dellafave usadowił się w rogu sufitu i w ogóle nie opuszczał pokoju.

Kiedy wdowa odniosła wrażenie, że mam się lepiej, pokazała mi list, który zostawił pan Krzyżyknadrogę.

Nie powinienem był cię uderzyć, Małe Galoty, i przepraszam za to, ale nie powinnaś była stawać między mną a diabłem. Wiele kobiet i dzieci w Virginii stanęło między armiami i zginęło. Posłuchaj mnie. Krzyżyknadrogę.

- Nie zmoęła cię jego pięść - powiedziała wdowa.

- Wiem - odparłam. - Zmoęło mnie to, co zrobiłam z butem. Muszę się dowiedzieć, co zrobiłam i jak zrobić to poprawnie. Pani Winchester?

- Tak, dziecko.

- Kiedy wydobrzeję, to chyba ruszę w drogę.

- Dokąd, dziecko?

- Tak w ogóle - odparłam. - W pewnym stopniu to pomysł pana Dellafave'a. Muszę sprawdzić inne rzeczy w dioramie i muszę poznać innych czarowników. Ilu się tylko da. Muszę się wiele od nich nauczyć.

Wdowa wyciągnęła chustkę z rękawa i rąbkiem przetarła oczy.

- Ja nie mogę pojechać z tobą - powiedziała.

- Ale zawsze będę wracać - odparłam. - A pani nie wolno się o mnie martwić. Nie będę sama.

*

Rozważałam wyjście przez okno w sali balowej, ale tam już byłam. Przebiegłam palcami po pofragmentowanej twarzy dziewczyny z witraża na pożegnanie.

Kiedy wychodziłam przez główną bramę Domu na Równinie, dźwigając wypchaną do granic możliwości torbę podróżną, spodziewałam się, że wrócę od tyłu, tak jak pan Dellafave. Ale nie, wyszłam na sad i drogę prowadzącą przez wzgórze do San Jose oraz na Peteya Plewpszennego, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na wysokim kikucie drzewa jak hinduski fakir.

Pomachałam mu. Też mi pomachał i zeskoczył na ziemię. Był ubrany jak włóczęga w spodnie z szorstkiego materiału i zgrzebną koszulę, a cały dobytek zgromadził w chustce na końcu kija.

- Ależ się pan wystroił - stwierdziłam.

- W przyszłości - odparł - będą to nazywać „squotowaniem”. Którędy?

- Tamtędy, na szczyt wzgórza, a potem zboczem.

Ruszyliśmy.

- Aha, panie Plewpszenny, mam dla pana odpowiedzi.

- Jesteś gotowa je wyśpiewać? Każde słowo warte zachodu, warte jest też pieśni.

- Jestem.

- Bardzo jesteś zgodna dzisiejszego poranka. To nie potrwa długo. - Zaintonował:

*Na dziewięć mych pytań odpowiedź daj już
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Albo nie Bogaś ty, lecz jedną z mych dusz
I tkacza tyś jest kochanie.*

Zaśpiewałam do niego:

*Śnieg jest bielszy od mleka
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Od jedwabiu gładszy puch
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Jam jest tkacza kochanie
Od sekwoi wyżej niebo
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Piekło głębsze niżli toń
Jam jest tkacza kochanie
Od hejnału głośniejszy grom
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Od puginału ostrzejsza śmierć
Jam jest tkacza kochanie
Dzieci niewinniejsze od jagniątki
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć,
A diabeł podlejszy od kobieciątka*

- I o d m ę ż c z y ź n i ą t k a też - dodałam, przerywając sama sobie –

Jam jest tkacza kochanie.

Plewpaszenny posłał mi na poły kpiarski salut i zaśpiewał:

*Odpowiedź na pytań dziewięć dałaś mi już
Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć
Bogaś ty, a nie jedną z mych dusz
I tkacza tyś jest kochanie.*

Potem zadałam mu dziewiąte pytanie, a on zgodził się, że było to właściwe pytanie, tak właściwe, że nie znał na nie odpowiedzi. Razem doszliśmy na szczyt wzgórza i zesliśmy po zboczu, prosto z krańca świata.

*

Dopiero w tym roku wróciłam do Chattanooga. Miasto tak bardzo się zmieniło, że ledwo je poznałam, poza zakrętem rzeki, torami wiodącymi przez tunel oraz górujące nad wszystkim Lookout Mountain.

Nowy most wciąż się trzyma, tyle że nie jest nowy i nie jeżdżą po nim już wozy - są tylko turyści, którzy się przechadzają, podziwiają widoki i robią zdjęcia. Czy można w ogóle nazywać je jeszcze zdjęciami? Nie trzeba do nich ani szklanych płyt, ani papieru, i nie trzeba stać bez ruchu, żeby je zrobić.

Pod koniec mojej wizyty spędziłam dobrą godzinę na moście, spoglądając na rzekę i na ludzi. Z radością spacerowałam po rodzinnym mieście na moich starszych, silniejszych nogach, spoglądałam na nie bystrzejszymi oczami i czułam się bardziej sobą niż wtedy, kiedy byłam dziewczynką - choć wciąż nie wyglądam tak staro, jak moglibyście się spodziewać, dzięki moim podróżom i umiejętnościom, jakich nabyłam w drodze.

Jak sądzę, spodziewalibyście się, że w moim wieku należy być już martwym, ale wciąż żyję i jeszcze długo tak będzie.

Zastanawiałam się, ilu z tych młodych-starych ludzi szurających po chodniku o lasce, dzieci o słodkich buziach, które z wraskiem pędziły obok mnie, mężczyzn i kobiet, którzy biegają wkoło w krótkich spodenkach, mój Boże, tak że ich wystające łokcie poruszają się w górę i w dół jak tłoki - ilu z nich śniło o świecie, który ja znałam. Ale cóż ja wiedziałam o niewidzialnej krainie wokół, zanim znalazłam się w Krainach Piekielnych?

Przedemną, na jednej z ławek na moście, siedziała dziewczyna, która przypominała mi moją starą przyjaciółkę z Chattanooga, Sally Ann Rummage, z rudymi włosami, długą szyją i wysokim czołem filozofa. Miała pewnie z szesnaście lat, chociaż trudno to z całą pewnością stwierdzić - teraz dziewczęta bardzo długo pozostają młode, dzięki Bogu. Nie wyglądała na zachwyconą faktem, że jest tak młoda, w ogóle sprawiała wrażenie nieszczęśliwej. Stał nad

nią chłopak, który oparł jedną stopę na ławce, jakby wbijał flagę na szczycie góry, machał jej palcem przed twarzą, tak jak miał to w zwyczaju Petey Plewpszenny, a drugą ręką wykręcił jej ramię w pięknej, brązowej kurtce - dziewczyna wyglądała na zahukaną i zbołą. Mówił coś na jej temat, albo sugerował, a kiedy spojrzał w moją stronę - tak jakbym była słupem, ptakiem czy pędzonym wiatrem papierem śniadaniowym - zobaczyłam, że to Krzyżyknadrogę. Miał klasyczne rysy twarzy, był muskularnym osiemnastolatkiem, a Krzyżyknadrogę był stary i pomarszczony, miał ostry nos w odróżnieniu od Krzyżyknadrogę i nie posiadał żadnych cech jego sylwetki czy cery, ale i tak go rozpoznałam. Krzyżyknadrogę rozpoznałabym wszędzie.

Stanęłam za nim, wpatrując się w dziewczynę, aż podniosła wzrok i spojrzała mi w oczy. To dobra sztuczka, którą mogą wykonać nie tylko czarodzieje.

Chłopak powiedział do mnie coś tak plugawego, że nawet nie zniżę się, żeby to powtórzyć, ale ja wyszeptałam „Cicho” i zamilkł. Ze wszystkich umiejętności, jakie poznałam, od kiedy opuściłam Dom na Równinie, ta wydaje się najbardziej przydatna.

Zaskoczona dziewczyna zmarszczyła brwi i objęła się mocno ramionami, jak dziewczyna, którą dawno temu poznałam w pewnym kalifornijskim salonie. Uśmiechnęłam się do niej i włożyłam jej w głowę dziewiąte pytanie diabła:

Kim jestem?

I kiedy tam byłam, w tysiącu miejsc, zasiałam odpowiedź na podobieństwo nasion gorczycy: *Jam jest tkacza kochanie.*

I poszłam dalej przez most. Słońce stało już nisko, od wody wiała ostra bryza, a na załomie rzeki zaczęła się unosić mgła, którą tylko ja widziałam. Zaczęła gęstnieć i wić się po wodzie. Tafla wody zawirowała. W środku nadciągającego tumanu dwie smugi dymu z komina przecięły wodę, potem pokazała się sterówka i górny pokład. Cały rzeczny parostatek wyłonił się z wody, która wylewała się z bulajów i pienia wokół koła napędowego. Mogłam przeczytać jasnoczerwony napis na burcie. Była to Sultana, która wybuchła w 1865 roku na północ od Memphis, przy wyspach zwanych Hen and Chickens, grzebiąc w toni tysięcy siedmiuset pasażerów. Ojej, czyż nie wyglądała wspaniale?

Przy zejściu z mostu na nabrzeże obejrzałam się - bo czarownicy zawsze się oglądają wstecz. Czyż nie oglądałam się za siebie od początku tej opowieści, czyż nie oglądaliście się wstecz wraz ze mną, żeby poznać zwyczaje czarowników? Zobaczyłam, że dziewczyna z uniesioną dumnie głową oddaliła się od chłopaka. A on tylko stał jak jedna z marionetek profesora Van Der Asta z kolejową śrubą w nosie. Dziewczyna zakręciła się w miejscu, by coś mu wykrzyknąć w twarz. Wiatr porwał wszystkie słowa oprócz jednego: „...nigdy!” I poszła sobie. Nasiona gorczycy zaczęły kiełkować. Zaśmiałam się tak głośno jak wdowa Winchester i zbiegłam po śliskich stopniach do rzeki, tak radosna jak dziewczyna dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu.

TANIEC W BARRENS

PETER S. BEAGLE

Peter S. Beagle urodził się w 1939 roku w Nowym Jorku. Choć według standardów gatunku nie jest płodnym pisarzem, to opublikował sporo dobrze przyjętych powieści fantasy, z których przynajmniej dwie, A Fine and Private Place i Ostatni jednorozec, wywarły duży wpływ i są obecnie uważane za klasykę gatunku. W istocie można Beagle'a uznać za najlepszego twórcę lirycznej i sugestywnej fantasy od Bradbury'ego. Jest wielokrotnym laureatem Mythopoeic Fantasy Award i nagrody Locusa, a także wielokrotnym finalistą World Fantasy Award i zdobywcą nagrody Hugo za opowiadanie Dwa serca, swoisty epilog Ostatniego jednorozca. Beagle napisał także takie powieści jak Kryształowy czas, Pieśń karczmarza, Sonata jednorozców i Tamsin. Jego krótkie formy pojawiały się w tak różnych czasopismach jak „The Magazine of Fantasy & Science Fiction”, „The Atlantic Monthly” i „The Ladies' Home Journal” i zostały zebrane w The Rhinoceros Who Quoted Nietzsche and Other Odd Acquaintances, The Magician of Karakosk i The Line Between. Napisał także scenariusze do kilku filmów, w tym do animowanych wersji Władcy pierścieni i Ostatniego jednorozca, libretto do opery The Midnight Angel, opartej na jego opowiadaniu Śmierć na balu, oraz popularną autobiograficzną książkę podróżniczą I See By My Outfit. Obecnie pracuje nad trzema nowymi powieściami: Summerlong, I'm Afraid You've Got Dragons i Sweet Lightning, książką fantasy o baseballu w latach pięćdziesiątych.

W tej pełnej napięcia, frapującej opowieści autor zabiera nas w ostępy Barrens podczas zimy, byśmy doświadczyli misternego splotu zależności żądzy, miłości, obsesji i poświęcenia, magii dobrej i złej, a także lojalności, która tli się gdzieś w każdym człowieku...

Nasza znajomość to bardzo dziwna sprawa, jak się nad tym zastanowić. Oto znów przechadzamy się po zielonych, bardzo zielonych wzgórzach twojej przyjaznej zachodniej krainy - jak zwykle, dziękuję ci za to, że dotrzymujesz towarzystwa staruszkowi, pomimo twego młodego wieku - rozmawiamy, zastanawiamy się nad różnymi rzeczami, śmiejemy razem i opowiadamy sobie różne historie, a ty tak naprawdę wiesz o mnie tylko to, od kiedy mnie znasz, że pochodzę z Northern Barrens. Nie, zastanów się, zanim odpowiesz. Czy nie jest tak? Zastanów się dobrze.

Posłuchaj. Czy pamiętasz stare powiedzenie - „dziwaczny jak opowieść z Barrens”? Bardzo dobrze. To jedna z nich i sam będziesz musiał zdecydować, na ile jej możesz zawierzyć. Ja wierzę we wszystko, co się w niej znajduje - ale też mam swoje powody.

Opowieść zaczyna się od czarodzieja o imieniu Carcharos. Cokolwiek wcześniej słyszałeś, wiedz, że czarodzieje przeważnie nie są ani dobrzy, ani źli. Są tacy, jacy są, i robią to, co robią, a podobne słowa mają dla nich takie znaczenie, jakie mają dla sheknath. Jedynie czarodziej ma mgliste pojęcie o tym, co drugi czarodziej myśli czy czuje. Jeśli chodzi o mnie, to nie przychodzi mi na myśl ani jeden, którego można by uznać za całkiem łagodnego - nie, nawet nie sam Kirisinja. Ale z tego samego względu, prawie nie ma czegoś takiego jak absolutnie zły czarodziej. Prawie.

Carcharos. Jedni uważają, że czarodzieje są brodaci i srodzy, inni, że brodaci i mamrotliwie uprzejmi, inni, że brodaci, mroczni i nieco złowieszczy. Carcharos wymykał się tym wszystkim teoriom. Jego przyjazną twarz okalały blond loki i nawet jeśli jego błękitne oczy były nieco przymałe, to za to całkowicie szczere. Jego włosy miały miedzianozłotą barwę w każdym świetle, jakby zawsze za jego plecami świeciło słońce. Kiedy się odzywał, jego dudniący głos przypominał śpiew gigantycznej cykady. Nie było nikogo w Barrens, kto by się nie bał Carcharosa.

Nie, ktoś był. Jedna osoba. Ale ta pojawi się później w opowieści.

Kiedy Carcharos zawędrował pod wieczór do chaty jakiegoś chłopa i poprosił całkiem grzecznie - zawsze grzecznie - o ostatni kęs strawy, ostatnią butlę wina czy nawet prosiaka tuczonego na Dzień Złodziei, cała rodzina w te pędy spełniała jego prośbę. Możesz to sobie z pewnością wyobrazić - ale co byś pomyślał, gdybym ci powiedział, że po odejściu Carcharosa wszyscy pędem wybiegali przed chatę, by spojrzeć na czerwoną ziemię na progu oraz na lichy ogródek z przodu i zobaczyć, czy naprawdę ślady czarownika ułożyły się w taki sposób, w taki wzór, który wskazywałby na to, że tańczył? A gdyby... no, gdyby tak właśnie się ułożyły, to co byś pomyślał, gdybyś zobaczył, że ci chłopi biegną w siną dal, całą rodziną, natychmiast, tak szybko, jak potrafią, i jak najdalej od domu? Nie zabierają nic - dosłownie nic - i nigdy nie wracają? Myślę, że przyjrzałbyś się tym śladom, mam rację?

Carcharos był jedynym znanym mi czarodziejem, którego moc całkowicie wyrażała się w tańcu. Większość ludzi wyobraża sobie, że czarnoksiężnicy wymuszają swoją wolę za pomocą magicznych gestów, inkantacji - nawet pieśni, jak Am-Nemil czy sam Savisu, którego mowa od niemowlęctwa była tak niewyraźna, że nie dało się go zrozumieć w żaden inny sposób. Ale taniec... o ile mi wiadomo, nie było żadnego oprócz Carcharosa. Mogę się mylić. Nie jestem tak biegły w tych zagadnieniach, jak możesz wnosić po moich wypowiedziach.

Lanak, mag z Karakosk, którego wciąż odwiedzam, kiedy pozwala mi na to czas, dla jego towarzystwa i jego ciemnego piwa, zawsze uważał, że Carcharos odkrył jakiś sposób na sprzymierzenie ciała z uniwersalnymi biegunami mocy i czerpanie nieskończonej mocy z samego ruchu. Ja tam nie mam pojęcia, czy tak było czy nie, ale przecież mogło być.

Northern Barrens to poszatkowana kraina. Ciągający się całymi milami czerwony ugór przeplatają skrawki ziemi, uprawiane przez pojedyncze rodziny, które rzadko się widują. A jednak w przedziwny sposób wieść gminna się niesie - jak się wydaje, niemal z dnia na dzień - od kamienistego wschodniego krańca, który znam najlepiej, do ciągnących się po horyzont gór gliny, przemierzanych wyłącznie przez garstkę dzikich włóczęgów, którzy i tak nie chcą uwierzyć, że nie ma czegoś takiego jak kopalnia drastu. Opowiadali o Carcharosie, kiedy jeszcze tam mieszkałem, i jestem pewien, że wciąż to robią. W Barrens opowieści krążą bardzo długo.

Na przykład słyszałem przy więcej niż jednym ognisku opowieść

O tym, jak Carcharos zgładził całą rodzinę i zniszczył ich gospodarstwo tylko dlatego, że nie smakowała mu studzienna woda, którą skwapliwie podsunęli mu, kiedy stanął pewnego wieczoru na progu ich chaty. Opowiadano, że wezwał przeciw nim takie stwory, jakich nikt nigdy nie widział, a kilkoro naocznych świadków, którzy to przeżyli, do dzisiaj modli się, żeby już ich więcej nie zobaczyć i żeby w końcu zniknęły z ich nocnych koszmarów. Poza tym pewien człowiek, poborca podatkowy jakiegoś paniątka, odmówił oddania pięknego czarnego ogiera, którego sobie czarodziej upodobał. Trzeba przyznać, że Carcharos poprosił go dwukrotnie – grzecznie i uprzejmie, według wszelkich relacji - a dopiero potem wywołał błyskawicę z jasnego nieba, która wzniosła komornika w powietrze, spowijając jego całą postać w ogniu, po czym miotnęła nim w tę i z powrotem jak suchym liściem na wietrze. Runął na ziemię, kiedy błyskawica znudziła się zabawą, i została z niego garstka szaro-czarnego popiołu. Nic ponadto.

Widzę w twoich oczach pytania, które zadają wszyscy: Dlaczego

Carcharos był taki, jaki był? Jak mógł wyglądać ten jego taniec? Dlaczego czarodziej o jego pozycji przebywał w takim zabitym dechami Northern Barrens, gdzie miał niewielkie pole do popisu, by zaspokoić swe pragnienia? Zaczynając od najprostszej odpowiedzi - Carcharosa nie zawsze można było spotkać w Barrens, wręcz przeciwnie, dużo podróżował i są relacje z jego wizyt daleko na południu, aż w Bitavie, oraz na zachodzie, aż w Grannach Harbor i Lesihai, na samym wybrzeżu. Ale zawsze, powtarzam, zawsze wracał do tej surowej głuszy, z której tak wielu uciekło od samego początku. Wcześniej czy później, zawsze wracał do Barrens.

Teraz sędzę, że powód tego tkwił w samej naturze Carcharosa. W odróżnieniu od innych czarodziejów nie zżerała go przesadna ambicja: nie był opętany przemożną chęcią dominacji, nie ulegał wszechpotężnym mrzonkom o podboju świata. Można by powiedzieć, że bardziej przypominał niezwykle silnego i okrutnego łupieżcę z rozstajnych dróg, który przemierzał rozległe czerwone wzgórza, z mocą przy boku zamiast rapiera. To, co widział i czego pożywał, zabierał i zwykle większą przyjemność czerpał z aktu odbierania niż z samego przedmiotu. Ale wypróbowanie mocy na tamtej rodzinie czy nawet na tamtym biednym

człowieku... wystarczyło mu za podbicie tuzina królestw. W pewien sposób było to minimalistyczne podejście, jak się nad tym zastanowić.

Chociaż nie wiem niczego na temat jego wychowania ani jego studiów, sam fakt, iż był bezsprzecznie zły, wciąż bardziej mnie zaskakuje, niż mną wstrząsa. Zawsze uważałem, że magia ma swoją niezmienną naturę i pod pewnymi względami opiera się przed sprzecznymi z nią praktykami. Ale Carcharos był taki, jaki był, i gdyby mógł przeciwstawić się samemu duchowi i esencji magii... cóż, w końcu drogo by za to zapłacił.

Słuchaj, spora część tej opowieści jest nieudolnie sklecona z fragmentów powszechnie uważanych za wiedzę ogólną - co nie oznacza, że choćby w pewnym stopniu jest to prawda - oraz z plotkarskich bajdurzeń, które jednakowoż mogą dać do myślenia mądrym słuchaczowi. Ale ta opowieść może się trochę różnić od innych, bo byłem tam, kiedy Carcharos - straszliwy, bezduszny Carcharos - zakochał się w żonie tresera shukrich.

Zapewne nie nazwałbyś tego w ogóle miłością, tak samo jak każdy, kto wie, co to słowo znaczy. Ponieważ ja jej nie znałem, mogę tylko powiedzieć, że Jassi Belnarak, dziedziczka wielu pokoleń treserów shukrich i żona jednego z nich - dużego, młodego Rija Belnaraka - była wystarczająco ładna i dobrego serca, ale to, dlaczego czarodziej Carcharos tak się nią momentalnie zauroczył, wykracza poza moje pojmowanie. Niemniej tak się stało.

Ponieważ pochodzisz z południa, pewnie nie wiesz wiele na temat shukrich? Ach... Cóż, podstawową ich cechą jest to, że bez względu na to, jak mogą się wydawać udomowione i łagodne, bez względu na to, czy śpią z tobą w łóżku, czy jedzą ci z ręki, shukri to dzikie stworzenia, dzikie i nieokiełznane. Drugą informacją na ich temat jest to, że kiedy nawiązują łączność z ludźmi - ale nie wszystkie, wcale nie - nie wiążą się z nimi tylko na całe życie, jest to dużo głębsza i bardziej długotrwała więź. Shukri nie ma pana - nigdy, przenigdy - ale jeśli ktoś już nawiąże z nim więź, wtedy shukri sam zaczyna nad nim dominować, tak po prostu. Nie jest to kwestia serca - czymkolwiek są shukri, nikt nie nazwałby ich stworzeniami rozkosznymi czy ostentacyjnymi w uczuciach - ale duszy.

Ludzie, którzy mają do czynienia z shukrim, są zwykle do nich podobni: szybcy, smukli i gibcy - oraz gwałtowni, dopóki nie postanowią cię jednak polubić. Jeśli jest inaczej... cóż. Jako grupa treserzy shukrich są dość życzliwi, ale nie są zainteresowani na poważnie kontaktami z osobą spoza ich bractwa i też się do niczego nie wrywają. Będą opowiadać o shukrich tak długo, jak będziesz słuchać, szczęśliwi, że mogą chętnie się inteligencją jednego, zamiłowaniem drugiego do robienia gwiazd czy fikołków. Mogą nawet uchylić nieco rąbka tajemnicy związanego z ich bogatym folklorem - nieprawdopodobne ziołowe dodatki do diety wyczynowej, najlepsze medykamenty na wyleczenie zwierzęcia zatrutego jandakiem, właściwy ton głosu, z jakim należy się zwracać do samicy w rui. Ale o tej więzi, prawdziwej więzi... co to, to nie. Wątpię, czy rozmawiają o tym nawet między sobą.

Rijo Belnarak był nietypowym przedstawicielem tej profesji. Nie był ani smukły, ani szybki, ale za to, jak już mówiłem, duży. Poruszał się ociężale, choć nie bez pewnej gracji, a zamiast dystansu i ostrożności w kontaktach z innymi cechowała go słodycz, którą uważał za niemęską i usilnie starał się ukryć. Ale nieco ponad tuzin shukrich, które wychował i którymi się zajmował, nauczył bawić się w różne gry i nosić wiadomości, spuszczać się po linie i

tańczyć na całym jego ciele na podobieństwo skwierczących czarnych płomieni - jego shukri znały go dobrze. Ci mali krwiopijcy, mordercze łajdaki, nie zapominajmy, poznali się na Riju Belnaraku.

Podobnie jak Jassi Grod, jak nazywała się w wieku lat siedemnastu, kiedy przywędrowała zza swojego załomu czerwonych wzgórz do znanej nam zmarszczki na krajobrazie i zamieszkała z Rijem. Kiedy tylko go ujrzała, wiedziała, że nie ma wyjścia: nie tylko dlatego, że kierowało nią przywiązanie do rodzinnej tradycji fachu, ale z powodu sympatii pomiędzy jej bystrą i mądrą a jego poważną i delikatną duszą. Ich małżeństwo, kiedy w końcu stało się faktem, było całkowicie nieistotnym, formalnym szczegółem w ich związku.

To podczas jarmarku na wzgórzach Rijo i Jassi po raz pierwszy zetknęli się z czarodziejem Carcharosem. Niewiele osób jest sobie w stanie wyobrazić targi w Barrens, że już o jarmarkach nie wspomnę, ale odbywa się ich całkiem sporo, bo jakże inaczej lud zdołałby przetrwać, nie handlując? Rijo i Jassi wraz ze swymi shukrimi (ona wniosła osiem od swojej rodziny - w posagu, jak zwał, tak zwał) byli obecni na wszystkich i dawali występy na prowizorycznej scenie kilkakrotnie w ciągu dnia, zawsze przy większej publiczności niż u innych, konkurencyjnych treserów. Po części ich atrakcyjność wiązała się z całą pewnością z wyglądem samych treserów. Opierała się na kontraście między wielkim, powolnym mężczyzną a szczupłą, sprężystą, białowłosą kobietą, która sama poruszała się jak shukri. (Jassi urodziła się z białymi włosami - legenda, która mówi o tym, że zbiegła jej na ślubie, jest nieprawdziwa. Byłem tam.)

Byłem też tam, kiedy Rijo Belnarak podniósł wzrok podczas występu (pokazywał, jak Shas, jego ulubiony shukri, bujał się na jego kolczyku i wskakiwał Jassi na plecy) i napotkał błękitne spojrzenie Carcharosa. Czarodziej siedział na koniu z tyłu tłumu, skryty nieco w cieniu drzewa. Ale Rijo wiedział, że obserwuje ich oboje, a nie shukri, wiedział też, że Carcharos przygląda się szczególnie uważnie jego żonie, Jassi. Nie wiedział natomiast - jeszcze nie - że Carcharos był wielkim czarodziejem, ale nie musiał tego wiedzieć. Rijo myślał równie ociężale, jak się poruszał, ale postrzegał pewne rzeczy wyraźniej niż większość ludzi. I co, jak sądzisz, dostrzegł Carcharos, co poczuł czy pomyślał na widok Jassi Belnarak? Wciąż się zastanawiam, choć szczerze w to wątpię, przy jego paskudnym charakterze, czy Carcharos poświęcił choć chwilę na znalezienie właściwych słów zdolnych oddać jego uczucia. W tej chwili po prostu jej zapragnął i przywołał ją do siebie, co było od razu bezpośrednim środkiem do objęcia jej w posiadanie i jednocześnie oznajmieniem tego całemu światu. Ja byłem wtedy w pewnym oddaleniu, ale patrzyłem na niego, kiedy jednym skokiem zsunął się z siodła, wywołując momentalnie ruch w tłumie, gdyż stojący najbliżej pospiesznie się odsunęli i zrobili mu miejsce. Rozejrzał się dookoła swymi życzliwymi błękitnymi oczami, uśmiechnął nieznacznie i zaczął tańczyć.

Jak mam ci opisać taniec Carcharosa? Nie było w nim żadnych akrobacji czy popisów, żadną miarą, bardziej przypominało to posuwisty krok, rytmiczne przesuwanie się w przód i w tył, jak poruszają się węże hipnotyzujące ofiarę. Co jakiś czas wykonywał gwałtowny obrót, co jakiś czas robił błyskawiczny krok w przód czy w tył. Niekiedy rozkładał ramiona, albo

unosił je nad głowę, albo wyrzucał je wprost przed siebie, jednocześnie wabiąc i błagając. Nic ponadto nie było w płaszcach Carcharosa.

Często klaskał w dłonie za plecami i kiedy przechodził w jedną czy w drugą stronę, zawsze wbijając oczy w ziemię, nie wyglądał ani jak czarodziej, ani jak tancerz, ale jak filozof zatopiony w rozmyślaniach nad jakąś istotną kwestią. Ani razu nie podniósł wzroku na przystojną parę występującą ze swymi zwierzątkami. Pamiętam. Byłem tam.

A Jassi Belnarak... Jassi złapała Shasa w locie - jakże wściekle ten shukri zasyczał i zajazgotał do niej, oburzony, że mu przerwała - oddała go zaskoczonemu mężowi, zeszła z zabłoconej, chwiejącej się scenki i weszła w zamilkły tłum, który rozstępował się przed nią jak woda pod burtami statku. Uśmiechała się bardzo blado, a jej ciemna, oliwkowa skóra wydawała się jaśnieć wewnętrznym blaskiem.

Czarodziej Carcharos tańczył dalej, wciąż nie podnosząc wzroku na zbliżającą się Jassi, do chwili, w której stanęła przed nim, czekając, co rozkaże. Na scenie zaś Rijo wydał z siebie taki jakiś przytłumiony, otępiaty ryk, upuścił Shasa, zdjął z siebie pozostałe shukri, które dokazywały na jego ramionach, wyłaziły i chowały mu się na powrót w kieszeniach, i ruszył w ślady żony. Świadkowie starali się usilnie go powstrzymać, choć żona przeszła bez trudu, gdyż za wszelką cenę chcieli uchronić go przed magią czarodzieja. Ale był silnym mężczyzną, do tego wściekłym, więc strząsnął ich tylko z siebie i parł dalej naprzód.

Carcharos zamykał właśnie swe długie, zgrabne dłonie na kibici zaczarowanej Jassi Belnarak, by unieść ją na siodło, kiedy doszedł do nich Rijo. Wielki mężczyzna oderwał dłonie czarodzieja od żony i uniósł pięść do ciosu, który mógłby rozbić kowadło na kawałki - ale Carcharos odwrócił się do niego i jego stopy zaczęły poruszać się w rytm innego tańca: szybszego, o gwałtowniejszych ruchach, z krokami przypominającymi cięcia ostrym nożem. I Rijo złożył się wpół, kuląc się w milczącym bólu, bo żaden krzyk nie wydostał się z otwartych ust, tak jakby rzeczywiście otrzymał cios nożem. Jassi zamrugła, potrząsnęła gwałtownie głową i zaczęła krzyczeć za oboje. Gapie cofali się i usuwali, jakby zmieceny potężną falą przyływu, która zabierała wszystko z plaży, a czarodziej Carcharos tańczył dalej.

Co by się stało - jakąż straszliwą zemstę szykował swoim tańcem... cóż, nawet nie jestem w stanie zgadywać, błogosławiony starczym niedomaganiem wyobraźni. Moja pamięć jednak funkcjonuje wyśmienicie - dlatego, pomimo tych wszystkich lat po tym wydarzeniu, wciąż hołubię we wspomnieniach wyraz jego twarzy, kiedy shukri wyskoczył z rozchylonej koszuli na sukni Jassi i ugryzł go w nos.

Ach, teraz się śmiejesz, kiedy sobie wyobrażasz tę scenę - słynny czarodziej podczas prokurowania jakiejś straszliwej klątwy aż się zatoczył, kiedy wściekle małe zwierzątko przywarło do jego nosa - ale wtedy nie byłoby ci wcale do śmiechu. Nikt się nawet nie uśmiechnął, zapewniam cię. Carcharos wydał z siebie tylko stłumione chrząknięcie. Złapał shukriego dwiema rękami i ścisnął go bezlitośnie, wykręcając jak kuchenną szmatę. Dzielne stworzenie (była to Killy, samica Shasa) otworzyła szczęki i zasyczała z bólu, ale w sekundę później znów się wgryzła, tym razem zatapiając kły w dolnej wardze czarodzieja. Carcharos oderwał ją, plując krwią, i cisnął nią w cofający się tłum, w który wmieszali się już Rijo Belnarak i jego żona. Wielkolud złapał Jassi w ramiona i zaczął uciekać - a Killy skakała za nimi

- szybciej, niż ktokolwiek go o to mógł podejrzewać. Być może jego umysł funkcjonował na zwolnionych obrotach, ale instynkt dodawał mu skrzydeł.

Carcharos nie ruszył za nimi. Musiał zająć się swoim nosem, wargą, zranioną dumą oraz - o wiele bardziej palącą sprawą - obmyśleniem zemsty. Przez całe życie wszystko, czego pożądał, brał w posiadanie. To akurat pragnienie różniło się od innych, bo już od dawna nikt mu nie odmówił. Poza tym, z powodu, którego nie był w stanie określić, chciał, by Jassi Belnarak pragnęła jego, żeby przyszła do niego z własnej woli, nieprzymuszona magią. To byłoby o wiele lepsze niż zwykłe zabicie jej męża, byłoby to, och, o wiele, wiele lepsze. Już niemal czuł pohańbienie i wstyd Rija w swych pokrwawionych ustach.

Sama Jassi dopiero po dłuższej chwili zaczęła rozumieć, co się dokładnie stało. Kiedy się w końcu otrząsnęła z uroku Carcharosa, od razu poczuła zarówno wściekłość, jak i potworny lęk. Myślę, że miała więcej doświadczenia z czarodziejami niż Rijo. Tak czy inaczej, zdawała sobie sprawę dobitniej od męża, jak blisko byli unicestwienia. Od tego momentu postanowiła, że będzie trzymać rodzinę - łącznie z shukrimi - tak daleko od Carcharosa, jak to będzie możliwe, za wszelką cenę, nawet jeśli oznaczałoby to zaniechanie występów czy opuszczenie domu przy jakimkolwiek ostrzegawczym symptomie. Postanowiła, że ani ona, ani Rijo nigdy, przenigdy nie spojrzą w te przyjazne, błękitne oczy. I Rijo już wiedział, chociaż nie byli długo małżeństwem, to, co ja wiedziałem całe życie: że Jassi Belnarak jest bardzo stanowczą kobietą.

Ale niezależnie od jej zdecydowania i sprytu, Carcharos był sprytny dłużej, niż żyła na tym świecie, a uparta odwaga często przegrywa ze złowrogą starą mądrością. Chcąc tego, czego od niej chciał, wiedział, że nie może śledzić jej poczynañ ani jej nachodzić, czego tak bardzo się bała. Powinien raczej wykorzystać całą swoją przebiegłą sztukę i pokrętne sztuczki na jej korzyść, obdarować ją wszelkimi dobrodziejstwami - o ile to słowo pasuje do tego rodzaju człowieka - nie pokazując się ani razu. Taki czarownik jak on nie może wytańczyć dla niej ani pieniędzy, ani klejnotów, ani też modnych szat, ani niczego innego, co mogłaby mu rzucić w twarz. Nie, jego darami będą światło słoneczne i gwiazdy nocą - Carcharos miał zdolność wpływania na pogodę - idealne dni, zdrowe shukri, pokazujące sztuczki z radością i dumą, wiwatująca tłuszcza, ochoczo płacąca za ich oglądanie. Irytowało go to, tego jestem pewien, że Rijo będzie dzielił z nią te nagrody, ale bez wątpienia też radował się na myśl, iż pomimo ignorancji jej nieokrzesanego małżonka, Jassi Belnarak będzie wiedzieć, komu to zawdzięcza. I oczywiście miał rację.

Jassi budził co rano widok legendarnych stworzeń pasących się w jej ogrodzie - niegdyś zapuszczony, porośły zwiędniętymi badyłami, teraz wyglądał cudownie jak witraż, zmieniając kolory co dnia - i ona wiedziała, kto to sprawił. Napawała się - bo niby czemu nie? - widokiem nieśmiertelnego kailasha, rozpościerającego potężne skrzydła na gałęzi jabłoni... napawała się, ale nie radowała, tak samo jak nie czuła radości, kiedy błękitno-szara liramaja spojrzała jej prosto w oczy i niżając róg, zagłębiła swój niezwykle miękki pysk w jej dłoni. Nie radowało jej to wszystko, bez względu na to, jak bardzo pragnęła czerpać z tego radość, bo ona wiedziała.

Carcharos był zły do czubka głowy, zły do szpiku kości, ale nie był głupi. Łatwo było przejrzeć jego zamiary nawet z oddalenia: jeśli te wspaniałości nie były w stanie przyciągnąć do niego Jassi Belnarak - niech tak będzie, znajdzie coś, co to sprawi. I rzeczywiście, po jakimś czasie, w jego głowie zrodził się nowy plan. O kobietach miał jeszcze mniejsze pojęcie niż większość mężczyzn, ale wiedział, że mają zwykle zaskakująco wielkie trudności w odruchowym odrzuceniu brzydoty (bo niby dlaczego jest tyle opowieści o księżniczkach i żabach?) i nie potrafią zapanować nad tą swoją żalosną skłonnością. Doskonale - w takim razie zbliży się do Jassi nie jako triumfujący zwycięzca, którym w końcu był, ale jako żebrak, pokorny suplikant z łamiącym się głosem, zagubiony i bezradny bez jej miłości. Może jakiś mądry przyjaciel mógłby mu poradzić, żeby tego nie robił, ale Carcharos nie miał przyjaciół.

I tak zaczął regularnie nagabywać Jassi Belnarak, najczęściej w lesie, gdzie szukała niebieskich kwiatów dalda (nie tych białych, bo często są trujące), z których robiła wywar, bo czynił cuda z sierścią i regulował trawienie shukrich. Zawsze odziany w najlichsze, znoszone szaty, ze spuszczonego wzrokiem zbitego psa, tak że potykał się co chwila, Carcharos mamrotaniem wyznawał rozpaczliwe uczucie do niej, uważając, by nie spojrzeć jej w oczy, ani nawet gwałtownie się nie poruszyć - tanecznym krokiem. Był to rzadki widok i przedziwnie poruszający.

Czy też byłby taki, gdyby nie był jednocześnie ewidentnie sztuczny. Ze wszystkich ludzkich emocji najtrudniej jest udawać - tak przynajmniej odkryłem - pokorę, a Carcharos nie miał o niej zielonego pojęcia. Jassi Belnarak robiła, co mogła, dla zachowania życia Rija, by powstrzymać się od śmiechu, ale przy piątym podobnym spotkaniu, kiedy Carcharos, zacinając się, mówił o swoim postanowieniu zaszyca się w górach i zostania saleh, świętym eremita, jeśli go nie zechce, nie wytrzymała. Cały strach i ostrożność prysły i wybuchnęła śmiechem.

Zawsze miała bardzo zaraźliwy śmiech, ta Jassi Belnarak. Nie było w nim cienia okrucieństwa, a jedynie radość i zaproszenie do zabawy.

Ach, i znów jesteśmy przy moich drzwiach, które zawsze zacinają się przy deszczowej pogodzie. Wejść, proszę, nastawię czajnik... Co? Poczekaj, poczekaj trochę. Dojdziemy do tego.

Żadna żywa istota nigdy nie śmiała się z czarodzieja Carcharosa. Przez chwilę wpatrywał się w młodą kobietę na wprost niego, rozbawioną do łez - nawet nie jego hipokryzją, ale całkowitym brakiem wdzięku - a jego błękitne oczy płonęły coraz mocniejszym ogniem, aż zrobiły się białe jak popiół z wściekłości. Jednak nie podniósł na nią ręki ani nic nie powiedział, nie zaczął też układać kroków w straszliwym pląsie, który niechybnie zakończyłby się jej unicestwieniem. Po prostu odwrócił się i odszedł.

Kiedy człowiek żyje po to, by tylko brać, jaki sens ma nauka zalotów? Obsesja Carcharosa na punkcie Jassi Belnarak pogłębiała się i stawała się coraz bardziej mroczna z każdą nieprzespaną nocą, ale czarodziej wiedział też, że ani wspaniałość, ani pokorny smutek nie zdobędą jej dla niego w uczciwy sposób. Więc jednak trzeba będzie użyć mocy i myśle, że ten jeden jedyny raz w swoim plugawym życiu Carcharos mógł prawdziwie żałować, iż konieczne będzie nagięcie woli drugiej osoby za pomocą magii. Ta chwila z

pewnością nie trwała długo, ale sądzę też, że w tamtej chwili Carcharos był najbliższym poznania miłości.

Ale, jak sobie możesz wyobrazić, swoją wiedzę obrócił w nieczny cel. Jassi Belnarak najwyraźniej nie lękała się go dłużej - nie bała się o siebie, ale czy mogła odczuwać strach o kogoś, kto znaczył dla niej więcej niż własne życie? Gdyby poświęcenie siebie dla męża miało być ostatnią rzeczą, którą zrobiłaby z własnej woli dla nowego pana... Cóż, niech tak się stanie, bez względu na to, jak gorzki smak miałyby to w ustach Carcharosa. Duma zawsze była u niego substytutem honoru, ale jego duma już tak dawno go opuściła, że ledwo pamiętał jej wspomnienie. I tak niech też będzie.

Znałem w swoim życiu kilku czarodziejów, którzy byliby zdolni do tego, co Carcharos zrobił Rijowi Belnarakowi. Nie znam jednak żadnego, który rzeczywiście zrobił coś takiego. Jassi i Rijo połączyli się w długim, powolnym miłosnym uścisku poprzedniej nocy i Jassi, nie chcąc za wcześniej wstawać rano, obudziła się w objęciach męża na powitanie nowego dnia i od razu zorientowała się, że przez noc jego dusza gdzieś uleciała. Może mężczyźni zajęłoby to trochę więcej czasu - mogę się mylić - ale chociaż Rijo odwzajemnił pieczyoty Jassi z uśmiechem, leniwie przeciągając grzbiet, to ona wiedziała od razu, bez cienia wątpliwości, że mogła równie dobrze pieścić albo szcztokować shukri. Jego oczy przepętniała błoga pustka, tak jak ślepia shukri wywracają się, gdy je drapać po brzuchu. Nie znalazła w obliczu tego słodkiego brzydala odbicia jej własnej twarzy, nie było nawet śladu po Rijem w ani jednym włosie, bliźnie czy paznokciu, w tym znanym doskonale obfitym ciele, które leżało tak blisko niej.

Nie potrafię powiedzieć ci z całą pewnością, czy leżała tak jeszcze chwilę bez ruchu w ciszy, obejmując męzkowską cielesną powłokę tak czule, jak zwykle. Ale znałem ją i myślę, że tak było. Po jakimś czasie jednak wstała z łóżka i ubrała się pospiesznie - nie w znoszone portki i tunikę, którą wkładała do codziennej pracy przy shukri, ale w ciemnozieloną suknię tkaną z hedau, którą Rijo ściągnął dla niej aż z Chun na jej ostatnie urodziny. Była to jej jedyna suknia tego rodzaju. Do tego włożyła najlepsze buciki - te w srebrną łuskę, zwane przez jej męża „parą, w której królowa chadza na wieczerzę” - oraz najprzedniejszy szal, który należał niegdyś do jej matki i był barwy niespokojnego morza na przylądku Dylee. Potem pocałowała Rija na do widzenia - znów uśmiechnął się do niej z zadowoleniem - i poszła pożegnać się z shukrimi, zwracając się do każdego po imieniu i przekazując każdemu z nich słowa pełne uczucia. Następnie poszła brukowaną kamieniami ścieżką do lasu, gdzie, jak wiedziała, czekał na nią czarodziej Carcharos na swoim czarnym rumaku, i nawet się nie obejrzała.

W pobliżu nie było żadnego człowieka, który mógłby zdać relację ze słów, jakie padły, kiedy się spotkali na pewnej polanie, a... stworzenia... które podsłuchały ich rozmowę, mówiły w języku, którego nie można było zrozumieć. Ale z całą pewnością ta konfrontacja pod drzewami musiała wyglądać wspaniale, bo Carcharos był przystojnym mężczyzną, dobrze zbudowanym, władczy, natomiast mała Jassi Belnarak z białymi włosami i głębokim spojrzaniem szarych oczu emanowała większym majestatem niż każda królowa. Przez jakiś czas stali na wprost siebie w milczeniu, aż Jassi powiedziała:

- Oddaj mojemu mężczyźnie jego duszę.

Na co Carcharos odparł:

- Oddaj mi moją.

I czekał spokojnie na odpowiedź - która z pewnością nie padła szybko, ale można się było jej spodziewać.

- Kiedy oddasz mego męża, odejdę z tobą.

Carcharos wiedział wszystko o Jassi Belnarak - wszystko z wyjątkiem tego, co zawsze umyka tak opętanym - i z całą pewnością wiedział, że jest ona osobą, która dotrzymuje słowa. Niemniej jednak, zarówno doznając porażki, jak i odnosząc zwycięstwo, nie miał w sobie ani krztyny elegancji i nawet w takiej chwili chciał się z nią targować. Powiedział:

- No to wskocz na siodło za mną. Tylko wtedy uznam twoje poddanie i wypuszczę duszę twego męża.

I Jassi poddała się. Wiem to.

Od razu podeszła do czarnego rumaka, nie wahając się ani trochę i nie oglądając się ani razu na życie, które porzucała na zawsze i które tak bardzo umiłowała. Gdyby to zrobiła - gdyby rzuciła ukradkiem spojrzenie przez ramię, wsiadając na konia Carcharosa - zobaczyłaby shukri, wszystkie shukri, które zebrały się na skraju polany. Siedziały i obserwowały wszystko, siedząc na zadkach i obejmując się ogonami - jak to shukri robią, kiedy coś wzbudza ich ciekawość - a ich małe ślepka płonęły czerwonym blaskiem jak niesforne gwiazdy. Najłagodniejszy shukri jest dziki i srogi, jak już mówiłem, a cała ich grupa potrafi niejednemu napędzić stracha, szczególnie kiedy nie syczą ani nie wydają żadnych innych dźwięków, a tylko tak siedzą w ciszy...

...ponieważ kiedy ich wola się zjednoczy, są zdolne do pewnych rzeczy.

Nie chodzi tu o kły, krew czy rozorane gardziele. W większości przypadków są to mity, legendy, czysty folklor. Nie ma wśród żywych więcej niż trzech, czterech ludzi, którzy widzieli, jak to robią.

Jestem jednym z nich.

Wiem dokładnie, co się stało, kiedy shukri Jassi i Rija Belnaraka zobaczyły, jak czarodziej Carcharos wiezie ich panią w nieznaną. Widzę to, tak jak i ty teraz, jak zbliżają się w gromadzie - tak blisko siebie, że można by pomyśleć, iż w porannej mgle przeciąga się i czai do skoku jakieś olbrzymie zwierzę. Możesz sobie wyobrazić, jak ta bestia artykułuje jedno ostre słowo - słowo, które szoruje po kościach, aż całe twoje ciało zostaje porwane na strzępy, i desperacko próbuje strząsnąć je na ziemię. I tak się właśnie stało...

Wiem to. Byłem tym shukri, który wypowiedział to słowo.

Nie, nie, możesz spokojnie pić swoją herbatę. Jest paskudna, wiem - przepraszam za to. Nigdy nie miałem drygu do parzenia herbaty. Nie, nie oszalałem i raczej nie rzucę ci się do gardła, przyrzekam. Kiedy przemiana się dokonuje, to po sprawie - nie ma żadnego sposobu na to, bym się zamienił z powrotem w shukri. Bo widzisz, wszystko ma swoją cenę.

Był to, jak sądzę, moment wielkiego triumfu Carcharosa, bo w końcu dopiął swego i siedział teraz z rękami na jej kibici, czując w nozdrzach zapach jej dziwnych, białych włosów. A że przysiągł - wszyscy czarownicy są zobowiązani dotrzymywać przysiąg w zdrowiu czy

chorobie - wymówił trzy słowa, które uwolniły duszę Rija, i ta pospieszyła do jego ciała. Tchnienie później, mgnienie oka nawet, uderzenie serca, to, co siedziało na jego siodle, dostało gęstej białej sierści, krótkiego, prostego ogona, czerwonych ślepi, okrągłych uszu i zaokrąglonego pyska błyskającego małymi, ostrymi kłami. Kły zatopiły się w nadgarstku Carcharosa, kiedy wczepił się gorączkowo w stworzenie, które niegdyś było Jassi Belnarak - a potem białe shukri zeskoczyło na ziemię i popędziło w stronę drzew. Jej towarzysze okrążyli ją, jakby chcieli zasłonić przed widokiem czarownika, ale on miał zamknięte oczy i tak ją widział: niewielką czmychającą kreskę, która przedzierała się przez mrok drzew i cienie jego własnej duszy. Uciekła mu, a on odrzucił głowę do tyłu i zawył tak, że drzewa zaczęły kłaść się pokotem.

Jeśli miałbyś kiedykolwiek pojechać do Barrens, spotkasz ludzi, którzy chętnie ci pokażą - oczywiście za kilka miedziaków - miejsce w lesie, gdzie to wszystko się zdarzyło. Możesz je też sam odszukać z łatwością, nie można go przegapić, nawet jeśli się jest przybyszem. Na miejscu powalonych drzew nie wyrosło nigdy nic więcej - leżą tam, gdzie trzasnęły o ziemię, poczerniałe, jakby strawił je ogień, tak samo jak ziemia wokół. W tym miejscu nie ma życia, żadnego, nie ma go na milę wokół - raz zaszedłem tam ostrożnie i w końcu trafiłem na kilka królików w niskich krzewach, i byłem wdzięczny za to zielsko. Cały obszar lasu został jakby wykarczowany, wybebeszony, zrównany z ziemią, zamieniony w pustkowie, które, jak powiadają okoliczni mieszkańcy, wciąż rozbrzmiewa szaleństwem Carcharosa. Bo wtedy postradał zmysły, nie miej złudzeń, bo inaczej nigdy nie zrobiłby tego, co zrobił, kiedy biała shukri rozorała mu nadgarstek i uciekła. Och, nie ma wątpliwości, że oszalał.

Ślady wyraźnie o tym świadczą.

I najbardziej przerażające jest nie to, że las został zdewastowany, nie zimne cienie w miejscu, gdzie nie ma drzew, które mogłyby je rzucać, ani obezwładniające poczucie, że jałowość tej okolicy jest niemal namacalna. Tylko ślady, wybite tak głęboko w twardym, bardzo twardym gruncie, że ani powódź, ani trzęsienie ziemi nie mogą ich zmyć czy usunąć. Są tak wyraźne, jakby zrobiono je wczoraj, znamiona pozostawione przez czarownika Carcharosa, kiedy odtańcowywał swój upiorny tan wiele lat temu. Widać smugi w miejscach, w których robił obrót czy piruet, bruzdy tam, gdzie sunął jednym długim krokiem, trójkątne znaki w miejscach, w których stawał na palcach, wznosząc ręce ku niebu. I można dokładnie prześledzić układ kroków tego pląsu, prostego jak trąba powietrzna, wprost w miejsce, w którym kiedyś było serce kniei. Prześledź je, tam, gdzie siedzisz... prześledź...

Wysoko na jednej nodze - widzisz go, prawda? - druga wyrzucona w przód pogardliwie kopie pod nim ziemię, jakby to była drabina przy szubienicy. Ale nawet stopa czarownika musi prędzej czy później dotknąć ziemi, tak jak ta, która zostawiła niewielki czteropalczasty ślad z pazurami. I jeszcze jeden, i potem kolejny, i następny, na początku zbite w kupę, kiedy odnalazł nowy punkt równowagi - później wydłużają się w skoki shukri, który widzi łup. Był szary, ciemnoszary, bez śladu jego miedzianozłotej chwały. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak musiało być.

Tego dnia pojawiły się też inne ślady. Ja je zrobiłem.

Ledwo widoczne, jestem pewien, że takie były i bez wątpienia szybko znikły, niewtańczone głęboko w ciało ziemi przez czarownika tak szaleńczo oszukanego przez zwodniczą wybrankę swego serca. Te raczej będzie trudno odczytać, nie potrafiłby tego nawet wytrawny tropiciel, ponieważ po całym życiu spędzonym na czworakach znacznie dłużej opanowywałem sztukę utrzymania równowagi na dwóch nogach. Jakoś tam jednak kuśtykam, nie ukrywając tego zbyt - zawsze byłeś bardzo miły, starając się dostosować swój krok do mego, i na tyle dobrze wychowany, by nie zadawać pytań ani mnie nie podtrzymywać. Ale to nic w porównaniu z... w porównaniu z tym, jak rzucałem się, pełzałem, drobiłem, potykałem się i znów pełzałem, żeby wyjść z tego poszarpanego, umęczonego lasu - ja, który dotychczas balansowałem w powietrzu, którego własny taniec ciskał mnie między rękami dwojga ludzi należących do mnie, tak jak moja własna latająca rodzina. Pełzałem dla Jassi i Rija Belnaraka. I pełzam teraz z tobą.

Nie, do chwili, w której się to stało, nie miałem pojęcia, na kogo padnie ta przemiana. My - o tak, wciąż mówię „my”, nawet teraz - my nie wiemy, na kogo wypadnie, ani kto się zmieni. Ale wiemy, że to zawsze jest nasz wspólny wybór. Wybór z... miłości? My, shukri, nie mamy takiego słowa, ale wiemy, że niczego nie można osiągnąć bez ponoszenia ofiar. Jeden shukri więcej, jeden człowiek więcej - zamiana, równowaga. I tak już musi być, tak działa magia. Nasza magia.

Ale czy jakkolwiek czarodziej oprócz Carcharosa kiedykolwiek dokonał zmiany kształtu na sobie, tego nie wiem. Patrzyłem prosto na niego, kiedy się zmieniał, a moja nowa powłoka nachodziła na mnie i będę przysięgał na łożu śmierci, że nawet przez chwilę nie dbał o to, czy ta transformacja jest odwracalna. Ani przez chwilę.

Od tej chwili nikt Carcharosa nie widział ani o nim nie słyszał - przynajmniej nie w Barrens. Za to mogę ręczyć. Och, były jakieś pogłoski, że gdzieś ktoś, ale to tylko bajania - jak zwykle, nawet dzisiaj - które zawsze okazywały się tylko nieprawdziwe. W przedziwny sposób trochę za nim tęsknię, naprawdę. Był złym człowiekiem, który karmił się i czerpał przyjemność ze zła, ale był nasz, był z Barrens, rozumiesz? Jest takie stare powiedzenie, że w Northern Barrens nie ma niczego poza słabym bydłem i jeszcze słabszym piwem. Carcharos był wyjątkiem. Nie powinniśmy się nim szczyć, ale co zrobić?

Co do Jassi Belnarak... no cóż, to pewnie całkiem inna opowieść. A wiesz, że Rijo wciąż żyje i wciąż tresuje, i występuje ze swoimi słynnymi shukri, pomimo wieku. Nigdy się powtórnie nie ożenił i przy całym niewątpliwym smutku, jaki odczuwał po zniknięciu żony, przez te wszystkie lata... otaczała go pewna aura, cień tajemnego uśmiechu, jakby miał coś interesującego w zanadrzu, co po ujawnieniu mogłoby wzbudzić twoją ciekawość.

I tak nieuchronnie inne plotki zaczęły kiełkować, narastać i się rozprzestrzeniać. Mówi się wszędzie, powtarzają to nawet ci, których wtedy na świecie nie byto, że Jassi Belnarak wciąż przychodzi do swego męża co miesiąc przy pełni księżyca, kiedy w jakiś sposób może - czy też wolno jej - przybrać na pewien czas ludzką postać. Mówi się też, że szare shukri, które niby miałyby być czarodziejem Carcharosem, wciąż poluje w lesie na białe shukri, dzień i noc, nie może jej schwytać, nawet nie widzi jej między drzewami, ale wciąż jest na tropie i nie daje za wygraną.

Czy ja sam wierzę w swoje opowieści? Nie, w żadną, z całą pewnością nie, wcale nie.

O tak. Ależ tak, całym swoim sercem, a jeśli nie rozumiesz, dlaczego potrafię hołubić w sercu zarówno marzenie, jak i zwątpienie... cóż, w końcu jest to serce bardzo podobne do ludzkiego. Ale chciałbym, żeby tak było, bo ja tam byłem i tak powinno być. Byłem tam, tak samo jak niedługo z całą pewnością nie będzie mnie tutaj - byłem tam, widziałem ich, znałem ich i bez żalu oddałem to, co utraciłem, i tak powinno być. Tak właśnie powinno być.

KAMIENNY CZŁOWIEK

NANCY KRESS

Będziemy tutaj świadkami spaceru po niebezpiecznych ulicach dzisiejszych wielkich miast, które mogą być jeszcze groźniejsze za sprawą walczących czarodziejów - chyba że przyjaciele nam nieco pomogą...

Nancy Kress zaczęła publikować swoje eleganckie i wnikliwe opowiadania w połowie lat siedemdziesiątych i od tamtej pory jest stałą współpracownicą „Asimov's Science Fiction”, „The Magazine of Fantasy & Science Fiction”, „OMNI”, „Sci Fiction” i innych czasopism. Wśród jej książek znajduje się między innymi powieściowa wersja opowiadania, które zdobyło nagrody Hugo i Nebula, Hiszpańscy żebracy, oraz jej kontynuacja, Żebracy nie mają wyboru, a także The Prince of Morning Bells, The Golden Grove, The White Pipes, An Alien Light, Brainrose, Oaths and Miracles, Stinger, Maximum Light, Probability Moon, Probability Sun, Probability Space, Crossfire i Nothing Human. Jej krótkie formy zostały zebrane w tomach Trinity and Other Stories, The Aliens of Earth i Beaker's Dozen. Najnowsza powieść nosi tytuł Steal Across the Sky. Poza wymienionymi nagrodami za Hiszpańskich żebraków otrzymała też nagrody Nebula za opowiadania Wśród wszystkich tych jasnych gwiazd i Kwiaty więzienia Aulit.

Jared Stoffel nie widział samochodu, który go potrącił. Sunął po betonowych schodach ośrodka rekreacji przy Randolph Street i wyjeżdżał na ulicę na desce, kiedy nagle traaach! coś walnęło go w tyłek tak mocno, że Jaredowi zagrzechotały wszystkie zęby i padł. Na sekundę przed pojawieniem się bólu zastonił się ramionami, chroniąc twarz. Birdhouse poszybowała w górę - widział ją w powietrzu z obracającymi się kółkami, zanim jeszcze jego ciało padło na ulicę. Momentalnie pokryła go *tona kamieni, tak że nie mógł oddychać i miał zaraz umrzeć, ktoś krzychał, ale były głównie kamienie - Boże, głązy leciały, lądując na nim, pod nim, wszędzie...*

Wszystko zrobiło się czarne.

*

- Nic ci nie jest, mały?

- Głązy. - Zabrzmiało to jak „płazy”. Jared przyłożył dłoń do twarzy. Zatrzymała się nieco dalej na spuchniętych ustach.

- Ile palców widzisz?

- Kto.

- Jaki mamy dzisiaj dzień?

- Prątek.

- Odpuść sobie chwilkę. Paskudnie się wywróciłeś.

Zamazana starsza pielęgniarka, ubrana w idiotyczne spodnie w żółte kacuszki, wbiła igłę w ramię Jareda i poszła sobie.

Kiedy ponownie odzyskał świadomość, wszystko było już wyraźniejsze. Telewizor na półce przy suńcie mruczał jakieś wiadomości o trzęsieniu ziemi gdzieś tam. Starszy mężczyzna w białym kitlu siedział na łóżku Jareda i czytał. Jared starał się podnieść, a mężczyzna wstał i powstrzymał go delikatnie.

- Nie ruszaj się jeszcze.

- Gdzie jestem?

- W ośrodku zdrowia przy Perry Street. Zostałeś potrącony przez samochód, kiedy jeździłeś na deskorolce, ale masz tylko dwa złamane żebra i poranioną dłoń. Masz wielkie szczęście, młody człowieku.

- No jasne. Ładne mi szczęście. - Wymówił poszczególne słowa poprawnie - nie miał aż tak spuchniętych ust. W maleńkiej salce nie było okien. Od jak dawna tu leży?

- Jestem doktor Kendall i potrzebuję od ciebie paru informacji. Jak się nazywasz, synu?

- Nie jestem pańskim synem. - Jared leżał, starając się przypomnieć sobie wypadek.

Shawn - jeździł z Shawnem. Shawn zaczął krzyżeć, kiedy wóz trzasnął Jareda. - Shawn?

- Nazywasz się Shawn? Shawn i jak dalej?

- Nie jestem Shawn, przyglupie. To mój przyjaciel, był ze mną. Gdzie jest Shawn?

Doktor skrzywił się.

- Ładny mi przyjaciel. Uciekł, kiedy tylko przyjechała karetka. Co robiliście, że nie chciały być na tym przyłapany? Nieważne, nie chcę wiedzieć. Ale muszę znać twoje nazwisko.

- Po co?

- Żeby zawiadomić rodziców, to po pierwsze.

- Daj pan spokój. Ona i tak nie przyjdzie.

W spojrzeniu lekarza widać było jakieś nagłe poruszenie. Zerknął na telewizor, w którym wciąż leciał reportaż poświęcony trzęsieniu ziemi, po czym wrócił do wnikliwej obserwacji Jareda. Zbyt wnikliwej. Facet miał jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, siwe włosy, ale nie oznaczało to od razu, że jest... czy to w ogóle jest lekarz? Jared rzucił:

- Ej, przestań się na mnie tak gapić, ty zboczku.

- Ach - westchnął smutno lekarz. - Rozumiem. Niech to szlag. Ale i tak potrzebne mi jest twoje nazwisko. Do akt...

- Nie jestem ubezpieczony. Możesz mnie pan równie dobrze wykopać na ulicę. - Jared znów starał się podnieść na łóżku.

- Leż spokojnie, synu. Nie możemy cię jeszcze wypisać. A teraz proszę cię, podaj mi swoje nazwisko.

- Jestem Jared.

- Jared i jak dalej?

- Nie twoja sprawa. - Może jak nic nie będzie mówił, to go stąd wywalą na zбитy pysk. Konował powiedział, że nie jest z nim tak źle. Przekima się u Shawna. Jak mama zobaczy go w tym stanie, to na pewno rozwali mu deskę. Ona... - Ej! Gdzie jest moja decha?

- Twoja co?

- Moja decha! Birdhouse! Moja deskorolka!

- Och. Obawiam się, że nie wiem.

- Znaczy, zostawiliście ją na ulicy? Już pewnie nie ma po niej śladu. Ile ja się napociłem, żeby ją ukraść!

Znów w oczach Kendalla pojawiło się coś dziwnego. Odezwał się bardzo cicho:

- Jared, osobiście kupię ci deskę, ale jesteś tutaj nowy i nadajesz się idealnie, więc najpierw odpowiedz na kilka moich pytań.

- Pan? Kupi mi nową dechę? Za co niby?

- Już ci powiedziałem. Wystarczy, że udzielisz mi kilku odpowiedzi.

- Nie słyszałem, żeby ktoś dawał deski za darmo!

- Ja ci dam. - Oczy Kendalla, co zauważył Jared, miały piwną barwę i przepełniały je emocje, których chłopak nie rozumiał. Ale wyczuwał, że facet nie ściemnia. Wstąpiła w niego nowa nadzieja. Nowa decha... może Abec 4...

Zdusił w sobie nadzieję. Nadzieja bardzo bofi.

Kendał sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik banknotów.

- Ile kosztuje dobra deska?

Wzrok Jareda utkwiał w pliku pieniędzy. Mógłby za to kupić hawka... dobre ośki i kółka...

- Dwieście dolców. - Może stary nie znał się na cenach.

Kendall odliczył dziesięć dwudziestek i wyciągnął je w jego kierunku w zamkniętej dłoni.

- Po odpowiedzi na trzy pytania.
- Tylko trzy? Dobra, ale lepiej nie próbuj niczego, ty zboku.
- Najpierw nazwisko i adres.
- Jared Parsell, Randolph 62.

Kendall cofnął dłoń.

- Kłamiesz.

Skąd ten stary skurwiel wiedział?

- Zaraz, chwilunia, nie zabieraj pan tej forsy... - Nazywam się Jared Stoffel i mieszkam na Center Street 489. - Kiedy w ogóle mieszkał. Mama cały czas była na prochach i zauważała go tylko wtedy, gdy coś nawywijał, a olewała, kiedy go nie było. Miała olewatorski stosunek do czasu.

Kendall pytał dalej:

- Data urodzenia?
- 6 kwietnia 1993.

Kendall zamknął oczy i bezgłośnie poruszał ustami, jakby coś sobie obliczając. W końcu, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie, stwierdził:

- Pełnia księżycy.
- A co mi tam.

- Teraz ostatnie pytanie. Jak znalazły się wokół ciebie te wszystkie kamienie tuż po wypadku?

- Ze co?

- Kiedy przyjechała karetka, leżałeś na kamieniach i byłeś nimi przykryty. Wyglądało na to, że pochodzą z kwietnika po drugiej stronie ośrodka rekreacji. Jak się na tobie znalazły? Niejasne wspomnienie zakotłowało się w umyśle Jareda. Kamienie - był pokryty głazami i ktoś - on sam - powiedział „płazy”. I Shawn coś krzyczał, kiedy Jared padał, coś, czego Jared nie mógł sobie teraz przypomnieć... Jaredowi wydawało się, że wymyślił sobie te kamienie - sam to sobie wmówił, jak ból po wypadku. Było to coś nierealnego. Ale może...

Kendall przyglądał mu się ze smutną miną. Dlaczego jest smutny? Ten stary świr wywoływał ciary na plecach Jareda.

- Ja tam nic nie wiem o żadnych kamieniach.

- Ty i Shawn nie bawiliście się czasem kamyczkami? Nie rzucaliście nimi w auta albo coś w tym stylu?

- Jezu, facet, mam trzynaście lat, a nie osiem!

- Rozumiem - odparł doktor Kendall. Podał dwieście dolarów Jaredowi, który schwycił je łąpczywie, mimo że wychylenie się wprzód wywołało ukłucie bólu w piersiach. Jared przesunął nogi ku krawędzi łóżka.

Kendall ułożył go z powrotem.

- Obawiam się, że jeszcze nie czas na to, synu. - Popatrzył na niego jeszcze smutniejszym wzrokiem.

- Zabieraj łapy! Odpowiedziałem na te debilne pytania, tak?

- Tak, i pieniądze są twoje. Ale nie możesz jeszcze pójść. Dopóki nie zobaczy cię ktoś jeszcze.

- Nie chcę już oglądać żadnych lekarzy!

- To nie jest lekarz. Ja jestem lekarzem. Larson jest... no, sam zobaczysz. Larson!

Drzwi otworzyły się i do sali wszedł drugi mężczyzna. Ten był młody, wielki, o wyglądzie twardziela, z długimi włosami i za-wiązaną na nich bandaną. Miał skórzaną kurtkę i ketę z prawdziwego złota. Diler, może członek gangu, może nawet szef. Albo gliniarz z narkotykowego. Stał przy końcu łóżka Jareda, opierając lekko dłonie na metalowym kabłąku, i spojrzał na niego bez uśmiechu.

- To ten, tak?

-Tak.

- Pewien pan jest? Nieważne, wiem, że pan się nie myli. Ale na Boga... niech pan tylko popatrzy na niego.

- Sam na siebie popatrz, głupku - rzucił Jared, ale nawet w jego uszach słowa te zabrzmiały bardzo cienko. Larson go przeraził, choć Jared nie zamierzał się do tego przyznać.

- Uważaj, co mówisz, mały - warknął Larson. - Mnie to się też nie podoba. Ale jeśli jesteś jednym z nas, to jesteś. Doktor się nie myli. A w ogóle to do diabła z tym!

- Jeśli kim jestem? Czym jestem? - zapytał Jared.

- Czarodziejem - wypalił doktor Kendall. - Jesteś czarodziejem, Jared. Od tej chwili.

*

Larson pozostawił wyjaśnienia Kendallowi. Rzuciwszy na szpitalne łóżko spojrzenie pełne obrzydzenia, Larson wypadł na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi. Jared pochwyił oburzony wzrok pielęgniarki, która przeszła korytarzem tuż przed tym, kiedy drzwi zadygotały na zawiasach.

- Czarodziej, jasne - skwitował Jared. - Niech pan uważa, bo w każdej chwili mogę pana zamienić w osła. - Nie, zaraz - już jest pan osłem, jeśli wierzy pan w te bzdury.

- Niestety, taka jest prawda - odparł Kendall. - Podczas wypadku wywołałeś deszcz kamieni. Najgładsze z nich z kwietnika przeleciały w powietrzu i spadły na ciebie, pod spód i wokół. Przeleciałeś na nich przez chodnik jak na kulkach. Złagodziły twój upadek, może nawet ocaliły ci życie.

- Jasne. Jak pan tam sobie chce.

- Urodziłeś się w pełni księżyca, to też ważny szczegół, choć nie wiemy dlaczego. Miałeś...

- A pan pewnie też jest czarodziejem, tak?

- Nie - odparł Kendall smutnym głosem. - Nie jestem czarodziejem. Potrafię tylko wypatrzeć każdego, to tyle, dlatego Bractwo korzysta z moich usług.

- Aha. Więc nie może pan, dajmy na to, pokazać mi żadnych sztuczek, a Larson już sobie poszedł. Bardzo wygodne.

- Żadnych sztuczek i tak nie można tu zrobić. Tutaj, w obecności tak wielu przedmiotów z metalu. Nie byłby zdolny tego dokonać żaden żyjący czarodziej. - Kendall nachylił się, kładąc dłonie na swoich kolanach. - Magia jest bardzo stara, Jared, o wiele starsza nawet niż najbardziej prymitywne cywilizacje. Działa tylko na materię spotykaną w naturze i nie może się udać w pobliżu przedmiotów, które nie są jej wytworem. Przywołałeś te kamienie tylko dlatego, że deska poszybowała w górę, nie miałeś komórki i włożyłeś wciągane spodnie bez zamka błyskawicznego.

- Nie mieszajmy do tego moich portek - rzucił Jared. - A niby dlaczego nigdy wcześniej nie robiłem żadnej magii, co? Może mnie pan oświeci?

- To proste. Wypadek. Umiejętność używania magii, u tych, którzy mają takie zdolności, powstaje wyłącznie w obliczu bólu.

- Bólu?

- Tak, Jared - odparł spokojnie Kendall. - Wszystko w życiu kosztuje, nawet magia. Ceną za nią jest ból.

Była to pierwsza rzecz, która zabrzmiała sensownie. Jared wiedział, co ile kosztuje. Znał ból.

Ale cała reszta brzmiała jak stek bzdur. Bzdur, które miały jakiś ukryty cel. Odezwał się:

- Więc teraz chce mi pan zaproponować zapisanie się do jednej z tych szkół dla czarodziejów, co? Jak w tej książce? Tylko wie pan co - jak znam życie, to będzie kolejny poprawczak.

- Nie ma czegoś takiego jak szkoła dla czarodziejów. Istnieje tylko Bractwo i jest to zupełnie nieadekwatna nazwa pod względem jego zadań.

- Słuchaj pań, do dupy to wszystko. Ja stąd spadam. Co mam podpisać?

- Jesteś nieletni. Twoja mama musi podpisać wypis ze szpitala.

- O, żebym się tego doczekał. Moja mama jest przeważnie na haju, a tata dawno temu sobie poszedł. Jak chce pan czekać na rodzica, to prędzej tu zakwitnę. Gdzie moje łachy?

- Nie możesz...

- No to patrz pan. Nie będę tu czekał na opiekuna społecznego, żeby mnie wsadził do jakiegoś zastępczego domu. I nie będę też słuchał tych wszystkich pierdoł.

- Jak chcesz, to potrafisz się lepiej wysławiać - stwierdził Kendall. - Sam słyszałem. Ale jeśli naprawdę chcesz iść - nie, twoje buty są w tamtej szafce - weź też to. To mój adres domowy. Możesz mnie odwiedzić o każdej porze, Jared. Pod jakimkolwiek pretekstem.

- Czekaj tatka latka.

Odnalazł buty, ubrał się i wyszedł z ośrodka zdrowia. Musiał się ze dwa razy podeprzeć o ścianę, głęboko oddychał i walczył z nudnościami, ale w końcu mu się udało.

- Witaj w Bractwie - powiedział Kendall smutnym głosem.

- Spadaj - rzucił Jared.

Dopiero po tygodniu mógł wyjść z domu. Leżał w sypialni, walczył z bólem i starał się o nim zapomnieć, słuchając muzyki w radio oraz grając na game boyu, którego świsnął trzy miesiące wcześniej. Mama opylła Xboksa, ale game boya schował, tak jak radio, za zepsutą zmywarką do naczyń, więc ich nie znalazła. Powinien był wziąć z ośrodka trochę środków przeciwbólowych. Doktorek pewnie by mu je dał, ale Jared nie pomyślał o tym. Na szczęście był to okres, w którym w domu było jedzenie. Nowy facet mamy, na którego Jared wpadł w kuchni w gaciach, lubił sobie podjeść.

Po tygodniu w łóżku, niezbyt czystym, trzeba przyznać, cuchnął, ale czuł się lepiej. Wiedział, że mu lepiej, bo zaczął się nudzić. Na drugi dzień ubrał się i wyszedł na miasto. Nie spotkał nikogo na ulicy. I wtedy przypomniał sobie, że zaczęła się szkoła.

Poszedł do gimnazjum imienia Benjamina Franklina, spojrzał gniewnie na ochroniarzy i przeszedł przez wykrywacz metali. Na przerwie tłum uczniów wysypał się na korytarz.

- Ej! Shawn!

Shawn Delancey oderwał wzrok od dziewczyny, z którą rozmawiał, i zrobił dziwną minę. Skinął mu oziębłą głową na powitanie. Jared przypadł do niego.

- Wróciłem, stary.

- Taa, widzę.

- No to co porabiasz? Do budy łazisz?

Shawn nie odpowiedział. Odwrócił się z powrotem do dziewczyny, nie przedstawiając jej. Jared poczuł gorąco na twarzy.

- Ej, Shawn, co jest, olewasz mnie?

- Jestem teraz zajęty. Nie widzisz?

To nigdy wcześniej nie miało miejsca. On i Shawn byli z sobą blisko, bardzo blisko. Dziewczyna zarżała. Jared pokuśtykał dalej.

Kutas, gnój jeden...

Ale nie mógł odpuścić. Złapał Shawna później, po czwartej lekcji, jak ten wychodził ze szkoły z deską. Jared stanął mu na drodze i powiedział:

- Shawn. Co jest nie tak, stary?

- Nic. Muszę lecieć.

Złość i ból zwielokrotniły jego desperację.

- Chłopie, to ja! Ja!

Shawn zatrzymał się, a jego zakłopotanie zmieniło się w gniew. Może, pomyślał nagle Jared, to było jedno i to samo.

- Po prostu odpuść sobie, Jared, dobra? Nie potrzebuję ciebie i twego kitu!

Jego kitu. Nie wciskał żadnego kitu... to było głupie i dziwne zarazem, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. Cichym głosem zadał pytanie sprawdzające:

- Chodzi ci o kamienie?

- Nie wiem, jak to zrobisz, ale... po prostu zostaw mnie! - Shawn pognął dalej.

A więc chodziło o kamienie. I kamienie okazały się prawdą. Najświętszą. Tyle że to był jakiś zupełnie popieprzony przypadek, jakiś wicher może, albo co innego, a nie żadna główniana magia.

- Spadaj! - wrzasnął za Shawnem, ale ten już stał na desce i błyskawicznie zniknął z pola widzenia Jareda.

*

Za dwieście dolarów od Kendalla Jared kupił nową deskę, szykownego hawka, a także zapasowe ośki i kółka. Całe dni spędzał samotnie w innej okolicy, boleśnie odzyskując sprawność ruchu. Po tym, co się stało z Shawnem, nie miał ochoty widzieć swoich innych kumpli, a poza tym nie miał ich znowu tak wielu. Głównie byli tylko on i Shawn.

Facet mamy zerwał z nią i Jareda nie ciągnęło teraz do domu, bo ciągle buczała albo wychodziła, żeby dać sobie w kanał. Kiedy zniknęło jedzenie po przyjacielu mamy, prawie nie robiła zakupów. Czasami podczas ćwiczeń żołądek Jareda aż burczał z głodu, kiedy raz za razem wykonywał skoki i ślizgi, przerzutki i nawet kilka obrotów. Włóczył się po tej dzielnicy, która była lepsza od jego własnej, mijając drzewa zmieniające barwy od zielonej do czerwonej i złotej, mijając inne dzieciaki na trajkach, mijając kwiaty o żywych barwach w kwietnikach obsypanych kamykami.

Wszystkie kamyki leżały tam, gdzie być powinny.

o głód i chłód w końcu zmusiły go do odszukania wizytówki doktora Kendalla, którą dał mu w klinice. Głód, chłód i może samotność, choć nie chciał się do tego przyznać. Nie mieszkał daleko, ledwo na Carter Street, Jared pojechał tam na desce, przygotowując w myślach jakąś sensowną wymówkę.

Dom Kendalla nie był okazały, ledwo jednopiętrowy - czy lekarze nie zarabiają kupy pieniędzy? Otaczały go schludne krzaczki, a na werandzie tańczyły radośnie ostatnie październikowe promienie słońca o zmierzchu. Jared nacisnął przycisk dzwonka i zrobił srogą minę.

- Cześć, doktorku, coś chyba nie tak z moją ręką. Pewnie coś tam mi z nią spapraliście.

- Wejdz, Jared - zaprosił go Kendall.

Dlaczego ten facet zawsze był taki smutny, kiedy go widział? Co za ramol. Ale dom był przytulny i pachniał pieczenią. Ślina napłynęła Jaredowi do ust.

- Zobaczmy tę twoją rękę... Kamienie przesunęły ci lekko lewe więzadło, ale już wygląda to nieźle. Czy zechcesz zostać na kolacji?

- Już jadłem - rzucił Jared, robiąc jeszcze sroższą minę. W brzuchu mu zaburczało.

- No to zjedz drugi raz, tak dla towarzystwa. Moja gosposia właśnie wyszła, a w poniedziałki zawsze dużo gotuje, żeby się nie musiała przepracowywać w tygodniu.

Kendall poprowadził go do malutkiej jadalni, nie dając szansy na odpowiedź, więc Jared poszedł za nim. W pokoju był duży stół, wisiały prawdziwe zasłony i stała szafka pełna zastawy z porcelany. Kendall wyciągnął drugi komplet.

Pieczona wołowina, puree ziemniaczane i groszek, a potem deser jabłkowy. Jared starał się nie tykać zbyt łapczywie. Kiedy skończył, wyrzwał przez okno. Padał zimny deszcz. Do dupy - w deszczu łatwo było się pośliznąć na desce, a poza tym drewno mogło złapać wilgoć.

Kendall, który milczał przez cały posiłek, powiedział:

- Może zagramy w *Street Fightera*?

- Pan gra w *Street Fightera*? Pan? Wiem, że to stara gra, no i w ogóle, ale... pan?

Kendall miał nowiutkie nintendo specjalnie wypuszczone na potrzeby tej gry. Jak na takiego starszego gościa, to nieźle radził sobie z kontrolkami. Jared go pokonał, ale nieznacznie. Kiedy grali, Kendall zapytał od niechcienia:

- No i jak leci?

- To znaczy, co leci... wygrałem!

- To znaczy, czy próbowałeś czarować?

- Nie do mnie te teksty.

- No dobrze. A w szkole?

Zapytał o to tak sztucznym, nadętym tonem, że Jared musiał wybuchnąć śmiechem. Ale tego nie zrobił. Cisnął konsolę w środku gry na stół i gwałtownie wstał.

- Muszę lecieć.

- Nie za dobrze w szkole, co?

- Nic mi nie idzie przez was! - wykrzyknął Jared, zanim zdołał się powstrzymać. - Shawn nie chce mnie znać, cała reszta obróciła się w gówna i...

- Shawn cię unika? - zapytał Kendall. - A inni?

- Nie pana sprawa! A teraz wypuść mnie pan stąd!

- Drzwi są tam - odparł spokojnie Kendall. - Możesz wpadać na kolację.

Ale Jared był już w połowie drogi do wyjścia i postawił kołnierz, wściekły na... na coś. Na wszystko.

- Przychodź, kiedy tylko zechcesz - zawołał za nim Kendall. - Mam jeszcze *Super Smash Brothers*.

*

Wrócił. Za pierwszym razem miał zamiar się włamać i rąbnąć to nintendo. Ale Kendall był w domu, więc tego nie zrobił i tylko zjedli razem kolację i pograli, a potem już Jared nie udawał, że coś złego dzieje się z jego ręką. Wkrótce zaczął przychodzić co wieczór. Za dnia, jeśli była ładna pogoda, jeździł na desce, a jak padał deszcz, włóczył się bez sensu po centrum handlowym albo oglądał telewizję w domu, kiedy nie było mamy. Kendall nie poruszał już kwestii magii. Jedzenie zawsze było bardzo smaczne. Po kilku tygodniach

Jared zaczął zmywać naczynia. Czasami grali w nintendo, czasami Jared oglądał telewizję, a Kendall czytał. Jared nie miał drygu do książek. Ale w domu było ciepło.

O wpół do siódmej zawsze przerywali grę i oglądali wiadomości w telewizji. Jak było jakieś trzęsienie ziemi, powódź czy reportaż o problemach w rolnictwie, Kendall przysuwał się do ekranu, wpatrując się weń bardzo uważnie, z dłońmi na kolanach.

Pewnego chłodnego listopadowego wieczoru, kiedy Jared wiedział, że w jego domu wyłączono ogrzewanie, postanowił zostać u Kendalla w pokoju gościnnym. O czwartej rano, kiedy gospodarz spał, Jared zaczął się szwendać po domu. Nie, żeby coś podprowadzić, ale żeby poszukać... czegoś.

W szufladzie w szafce na zastawę, pod stertą obrusów, natrafił na zdjęcie. Było wyjątkowo dziwne: grupa siedemnaścioro osób, które wyglądały jak z różnych bajek. Ciężka kobieta w średnim wieku w brązowych legginsach i różowej bluzce. Mężczyzna w niebieskim mundurze z kwadratową odznaką jak u ochroniarzy. Dwa brzdące, siedem, osiem lat, które wyglądały jak bliźniaki, w ciuchach ulicznych gangów, skrojonych na ich mały rozmiar. Starsza kobieta w jakiejś długiej sukni. Murzyn w szarym garniturze z teczką w ręce. Facet w jednej z tych fajansiarskich hawajskich koszul, który szczyrzył zęby jak kretyn. Jakiś mały Azjata trzymający naręczkę książek.

I Shawn.

Jared wpatrywał się w zdjęcie. To naprawdę był Shawn. Ale co to była za grupa? Jak amen w pacierzu nie była to rodzina Shawna.

- Napiłyś się kawy?

Jared zakręcił się w miejscu. Kendall stał w progu pokoju w jakiejś piżamie dla ramoli. Nie wyglądało, żeby był zły, tylko jak zwykle smutny, co bardzo dodawało mu lat.

- Kim są ci ludzie? Dlaczego tu jest Shawn?

- Nastawię tylko wodę, Jared. Chodź do kuchni.

Jared stanął przy kuchennym stole i nie chciał usiąść, a Kendall klekotał imbrykiem i puszką z rozpuszczalną kawą.

- Zadałem panu pytanie - kim są ci ludzie? Czy to jest to kretyńskie Bractwo?

- Pamiętasz, że mówiłem o nim - powiedział zadowolony Kendall. - Nie byłem pewien. Byłeś na środkach przeciwbólowych.

- Facet, nie jestem głupi!

- Wiem, że nie. I nie, to nie jest Bractwo. To Druga Strona.

- Druga strona czego? Mów pan po ludzku!

Kendall nalał wrzątku do filiżanki, zamieszał i usiadł po przeciwnej stronie stołu.

- Jared, czy nie sądzisz, że to dziwne, że Shawn zaczął cię unikać po wypadku? Zamiast stwierdzić, że to fajowsko, że możesz kierować kamieniami?

- „Fajowsko” - zakpił wściekle Jared. - „Kierować kamieniami”. Daj pan spokój, czekam na odpowiedź! Co Shawn robi z tymi ludźmi?

- Jest jednym z nich. I do tego nie miał pojęcia, że ty też jesteś czarodziejem, aż do wypadku. A teraz trzyma się od ciebie z daleka, żebyś nieopatrnie nie odkrył, kim jest. Bo widzisz, to nasz główny atut w walce z Drugą Stroną. My wiemy o nich o wiele więcej, niż oni wiedzą o nas.

- O nas? Wydawało mi się, że mówił pan, że nie jest czarodziejem!

- Bo nie jestem. Ale pracuję dla nich. Ból uwalnia moc, pamiętasz? Jestem lekarzem. Widzę wiele bólu. Czasami wyzwala on moc w jednym z nas, czasem w jednym z Drugiej Strony. Moim zadaniem w ośrodku zdrowia jest zidentyfikowanie ich wszystkich.

- Nie wierzę w te pierdoły.

- Na szczęście twoja wiara bądź niewiara nie wpływa na rzeczywistość. - Kendall upił łyk kawy. - Chciałbym, żeby za pomocą nie-wiary można było sprawić, że cała Druga Strona zniknie.

- „Druga Strona”. Daj pan spokój. I co niby takiego złego robią? Co ma pan przeciwko Shawnowi? Myśli pan, że zacznie podkładać bomby albo coś w tym stylu?

- Już ci powiedziałem, że magia nie występuje w otoczeniu przedmiotów z metalu, z których robi się bomby. Magia jest znacznie starsza niż sekret wytopu metali. Znajduje się w kręgu natury, trawy, wiatru, zwierząt i roślin. Oraz kamieni, najstarszych form naturalnych.

- Jasne. Pewnie. Shawn namiesza na świecie, siejąc złą trawę? Obudź się pan!

Kendall nagle się nachylił.

- To ty się obudź, Jared. Twoja ignorancja jest przerażająca - czego was tam uczył w tych szkołach? Tak, Druga Strona może namieszać na świecie przez zasianie złej trawy, jeśli będą mieli z tego korzyść. Korzyść w postaci pieniędzy lub władzy. Nie wiesz, że na suszy robi się fortuny, tak samo jak na głodzie, huraganach, inwazji morderczych pszczoł i zmutowanych roślin? Na katastrofach zawsze robi się pieniądze. Wywołuje się je, po czym kasuje krocie na uprzątnięciu skutków, a to tylko jeden z przykładów. Są opanowani i gotowi na ich przyście, bo wiedzą doskonale, gdzie i kiedy wystąpi kataklizm. I nikt nawet ich o to nie podejrzewa, gdyż huragany, wybuchy wulkanów, susze, wysyp agresywnych roślin są całkowicie naturalne. Do tego nikt w krajach rozwiniętych, gdzie pieniądze płyną wartkim, zielonym strumieniem, nie wierzy już w magię. Teraz zaczynasz pojmować?

- Nie! - krzyknął Jared. - Mówi mi pan, że Shawn jest bogaty, bo czaruje? Facet, on nawet nie ma przyzwoitej dechy!

- Nie ma, bo za sprawą bogactwa Druga Strona zwróciła na siebie uwagę. A do czerpania zysków z dużych kataklizmów potrzebna jest międzynarodowa koordynacja. Już im się udało wywołać kilka pomniejszych - czy czytałeś w gazetach o niespodziewanym wylewie rzeki Big Thompson w Kolorado? Nie, oczywiście, że nie, bo ty gazet nie czytasz. Ale my uważamy, że ta powódź to ich dzieło. My się też wciąż organizujemy. Pewnego dnia Shawn będzie bardzo bogaty, bardzo potężny, choć nikt na świecie nie będzie miał pojęcia, jak to osiągnął. FBI założy, że to dzięki narkotynom, i przez całe lata będzie bezskutecznie marnować pieniądze podatników, żeby tego dowieść.

- A więc teraz do tego jeszcze przepowiada pan przyszłość?

- Nie, oczywiście, że nie, ja tylko...

- Ale z pana jest ściemniacz! Sfiksował pan, wie pan o tym? Największy bajerant w historii świata, ale ja mam to gdzieś! - Jared szarpnął za drzwi kuchenne, otworzył je na oścież i wypadł na korytarz.

- Jared... poczekaj... nie...

Ale już go nie było i pędził teraz w ciemnościach po zimnym chodniku.

Facet był nie tylko stuknięty, ale zupełnie zakręcony. Psychol. Świr. Jared nie zamierzał nigdy tam wracać.

Ale gdzie indziej mógł pójść?

Zadrżał. Wieczorny deszcz przestał padać, ale na dworze było bardzo chłodno. Kaptur nie chronił dobrze przed zimnem. Musiał ruszać się szybciej, trzymać ciepło, dostać się do domu.

Dom. Bezduzne miejsce, w którym mama i jej nowy przyjaciel spali pod wszystkimi kocami, włącznie z kocem Jareda, albo - co gorsza - kłócili się, nafaszerowani prochami. A samotna droga do domu, o tej porze, kiedy wokół kręciły się tylko typy spod ciemnej gwiazdy...

Zatrzymał się pod latarnią. Przez długą, straszliwą minutę myślał, że zacznie płakać.

Olać to. I olać te wariackie brednie wariata, jakimi faszerował go Kendall. Staruszek był dla niego dobry. Co z tego, że sfiksował? Nie był groźny, a przecież Jared radził sobie nieraz i w gorszych sytuacjach. Potrafił sobie poradzić ze wszystkim, jeśli była taka konieczność. A u Kendalla było ciepło i miał jedzenie.

Dlaczego Shawn tak dziwnie się zachowywał po wypadku Jareda?

Odwrócił deskę w przeciwną stronę i usilnie rozmyślając, pojechał z powrotem.

Tylne wejście do domu Kendalla wciąż stało otworem. W kuchni zobaczył poprzewracane krzesła i kawę rozlaną na podłodze. Stół był usmarowany krwią. Jared obszedł cały dom - Kendall zniknął.

W kuchennej szufladzie znalazł latarkę i wyszedł na zewnątrz. Na podmokłym trawniku wciąż widać było świeże ślady opon samochodu. Wiodły na Carter Street - ale dokąd dalej?

Powinien zadzwonić po gliny.

Och, już widział, jak wierzą w to, że został porwany. Kiedy ginie dorosły, nie rozpoczynają poszukiwań przez parę dni. I z całą pewnością nie będą wierzyć w to, co mówi Jared, który miał kilka mandatów, niezapłaconych, za nielegalną jazdę na deskorolce w centrum administracyjnym i w bibliotece.

Dopiero wtedy Jared uświadomił sobie, co to znaczy: że zaczął wierzyć, że Kendall został porwany przez tę tak zwaną Drugą Stronę. Kiedy dotarło to do niego, zaczął się trząść. To z zimna. Pomyślał. To tylko z zimna. Tylko to.

W ciemności przejechał do rogu ulicy i spojrzał na nią. Nic. Na drugim jej końcu też nic.

Nikt nigdy nie okazał mu tyle dobroci co Kendall. Nikt, nigdy.

Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, którądy ci psychole go powieźli. Żadnego sposobu. Chyba że...

Jared omiół okolice snopem światła latarki. Dom obok domu Kendalla miał kwietnik wyłożony kamieniami. Czując się jak ostatni przygłup na tym gównianym świecie, Jared podniósł trzy kamyki i zapytał w myślach: „Którędy?”

Nic się nie zmieniło, więc zapytał na głos:

- Którędy?

Znowu nic.

Odszedł od deski z metalowymi oškami i znów spróbował.

Wciąż nic.

Bluza z kapturem miała metalowy zamek, więc drżąc na całym ciele, zdjął ją i położył na desce kilka metrów dalej.

- Którędy, wy popieprzone kamulce?

Nic.

Jego džinsy miały metalowy zamek i nity.

- Nie ma mowy - powiedział Jared na głos, ale chwilę później zdjął je i położył na bluzie z kapturem. W bieliźnie, butach, skarpetkach i koszulce rozejrzał się po ulicy. Pusto - było wpół do piątej nad ranem. Znow podniósł kamienie.

- Którędy, małe gnojki?

Kamyki zrobiły się gorące w dłoni.

Jared wrzasnął i upuścił je. Przez nadgarstek przeszła fala bólu, która po chwili zniknęła. Kamienie ułożyły się w linii prostej w kierunku północnego wylotu Carter Street. Jared spojrzął na nie z niedowierzaniem. Znow wykonał te same czynności, tym razem stając twarzą na południe. Kamienie rozgrzały się, upuścił je, a one zatoczyły koło wokół niego i znow utworzyły linię wiodącą na północ. Ostry ból zaatakował mu nadgarstek.

Zamknął oczy. Nic z tego. To wariactwo się w ogóle nie wydarzyło. I w jednej chwili oddałby wszystko, dosłownie wszystko, co było na świecie, żeby tylko móc dalej śmigać na desce z Shawnem po centrum administracyjnym, zjeżdżać po schodach i próbować ześlizgiwać się po poręczy, lądując na półtorej obrotu.

Podniósł jednak ubranie i trzy kamienie, wszedł na deskę i pojechał na północ.

Na kolejnym skrzyżowaniu znow zszedł z deski, zdjął džinsy i bluzę i zapytał:

- Którędy?

Kamienie wskazały na wschód.

Po dwóch skrzyżowaniach z ulgą powitał drogę stanową, gdzie na długim odcinku nie było żadnego skrętu. Nadgarstek palił go od ciągłych napadów bólu. Jared włożył na powrót džinsy i bluzę. Nogi zmieniły mu się w dwa sople lodu - nie nadawały się zbyt do jazdy. Ale nie będzie robił żadnych akrobacji, tylko jechał normalnie, a prędkość go rozgrzeje. Wjechał na zjazd i zaczął szusować po autostradzie, omijając ciężarówki, które trąbiły na niego gniewnie, i jednocześnie bacznie wypatrywał, czy nie ma gdzieś w pobliżu policji.

Wybrał pierwszy zjazd z autostrady i powtórzył całą procedurę, a kamienie zrobiły swoje. Powiedziały mu, że musi zawrócić. Jared spojrzął zaniepokojony na wschód - niebo już zrobiło się czerwone. Włożył ubranie i wrócił na autostradę. W brzuchu mu burczało i sklął żołądek za to, tak samo jak przeklinał Kendalla i cały świat.

Na następnym zjeździe kamienie podpowiedziały mu, że musi wjechać na pustą wiejską drogę. Jared zapamiętał jej nazwę - County Line Road.

Dom nie stał daleko: był trzeci w rzędzie tuż przy lesie. Na podjeździe stał biały furgon z zabłoconymi oponami. Widniał na nim napis AGENCJA OCHRONY McCLELLAN. Jared przypomniał sobie mężczyznę w granatowym mundurze ze zdjęcia.

Podkraść się pod dom. Wszystkie kotary były zasunięte, a okienko piwniczne zamalowane czarną farbą, ale kiedy przyłożył ucho do zakurzonej szyby, usłyszał głosy dobiegające z piwnicy.

Głuche stuknięcie. Jęk. Później:

- Pytam jeszcze raz, panie doktorze - nazwiska, bardzo proszę. Już. To zaczyna być nudne.

Cisza. Później krzyk Kendalla.

Torturowali go, żeby wydobyć z niego nazwiska członków Bractwa! A także nazwisko Jareda. „Bo widzisz, to nasz główny atut w walce z Drugą Stroną. My wiemy o nich o wiele więcej, niż oni wiedzą o nas”. Tak powiedział Kendall. Ale jak...

Nie, nie nazwisko Jareda. Oni już go znali dzięki Shawnowi. I gdyby Jared został w domu Kendalla kilka chwil dłużej, on też siedziałby w piwnicy.

Mógł odjechać. Ruszyć na autostradę, nie wracać do domu i udać się... no właśnie, dokąd?

Kendall znów krzyknął.

Fala gniewu opanowała Jareda. Pomyślał, że znał to uczucie od dawna - był zły na Shawna, na matkę, na gliny, na to całe gównno, które go otaczało i najwyraźniej miało zamiar pozostać na dłużej.

Ale nigdy nie było to uczucie tak intensywne. To był gniew nad gniewy, wielki, potężny, kosmiczny.

om stał na skraju lasu. Jared przedarł się przez zarośla i zostawił deskę pod jakimś krzakiem, tak samo jak dzinsy i bluzę. Po chwili stanął w bezruchu, gałęzie drapały go po nagich łydkach, a jakieś owady siadały mu na twarzy - zamknął oczy. W myślach przywołał obrazy kamieni. Wszelkiego rodzaju i wielkości, kanciaste, gładkie i poszarpane, wałę w zamalowane na czarno piwniczne okienko i biją po łbie każdego gnoja na dole poza Kendalllem. Wyobrazil sobie krew, rany i...

Jared krzyknął. Ból przedarł się przez całe jego ciało, aż Jared padł w krzaki. Ramiona i nogi płonęły mu żywym ogniem, zaraz umrze i już nigdy nie poszusuje na deskorolce...

Ból zniknął, zostawiając go w bezdechu. Stanął chwiejnie na nogach w tej samej chwili, w której kamienie doleciały do domu z każdej strony jak eskadra myśliwców w grze komputerowej, ale tak prawdziwe i solidne jak sam Jared. Malowana szyba rozprysła się w drzazgi i Jared usłyszał jęki i krzyki dobiegające z domu. I nagłe zapadła cisza.

Niemożliwe.

A jednak.

Wygramolił się z krzaków i podbiegł do głównych drzwi. Były zamknięte, więc spróbował od tyłu. W końcu podbiegł do najbliższego rozwalonego okienka, wybił resztki szkła wciąż tkwiącego we framudze i wśliznął się do piwnicy, uważając, by wylądować na podszwach pośród kawałków rozbitego szkła.

Dwaj mężczyźni i kobieta leżeli na podłodze we krwi, pokryci kamieniami. Kendall był przywiązany do krzesła i gapił się na niego. Miał otwartą ranę na czole i mnóstwo krwi na rękawach pizamy. Jared podniósł upuszczony przez kogoś nóż i rozciął liny krępujące Kendalla. Ten zgiął się, łapiąc oddech, i Jared zaczął się bać, że Kendall miał zawał albo coś w tym stylu. Ale po chwili wyprostował się i chwiejnie stanął na nogach.

- Jared... nic... mi... nie jest...

- Jasne, że nic. Nigdy nie czuł się pan lepiej, mam rację? Bez jaj.

Jared pomógł mu wejść po schodach, ale nie wiedział, co ma robić dalej.

Kendall wiedział. Wysapał:

- Idź na dół i zabierz któremuś komórkę. Uważaj - oni żyją. Nie zabijaj nikogo, Jared - wolelibyśmy uniknąć śledztwa w sprawie o morderstwo. Potem wróć tutaj i zamknij drzwi na klucz.

Jared wykonał polecenie, czując nagle przyptyw mdłości. Walczyły one z poczuciem oderwania od rzeczywistości - „to nie może być prawda” - które potęgował jeszcze widok kamieni leżących w piwnicy.

On to zrobił. On, Jared Stoffel.

Kendall zadzwonił do kogoś z komórki i powiedział:

- Alarm niebieski. Podaję adres...

Spojrzał pytająco na Jareda. Jared podał adres. Już po kilku minutach zapiszczały opony samochodu i wyszli mu na spotkanie. Srebrny mercedes S wart przynajmniej z siedemdziesiąt klocków. Jared zamrugał. Wyskoczyła z niego piękna czarna dziewczyna. Miała na sobie mundurek szkolny jak wszystkie dziewczyny z dobrych domów, zieloną spódniczkę, marynarkę i zielony krawat na białej bluzce. W zwykłych okolicznościach Jared pogardzał takimi pannami, dziećmi bogatych snobów, ale teraz było inaczej.

- On to zrobił? - zapytała Kendalla, nie spuszczając szeroko otwartych oczu z Jareda. - Ale jak...

- Jeszcze nie wiem - odparł Kendall.

- A co...

- Nie powiedziałem im nic. Ale powiedziałbym, Denise.

Pokiwała głową, krzywiąc się, i troskliwie zapakowała Kendalla do auta, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z tego, że może pokrwawić skórzaną tapicerkę. Jared wsiadł z tyłu. Denise musiała mieć wystarczająco dużo lat, by dostać prawo jazdy, tak sobie myślał, ale nie wyglądała na to. Czy mercedes należał do niej, do jej rodziny, a może był kradziony?

Wyjechała na drogę i mocno nacisnęła na pedał gazu. Rzuciła Jaredowi spojrzenie przez ramię, w którym dostrzegł szacunek i odrobinę lęku. Podniósł się na tylnym siedzeniu. Zapytała:

- Kamienie?

- Taa - odparł Jared.

- Nie mamy nikogo, kto znałby się na kamieniach.

Podobał mu się ton jej głosu. Dlatego też zapytał:

- A ty w czym robisz?

- We wietrze. Ale to amatorszczyzna. Ty to masz dopiero talent, chłopie.

- Jeszcze nic o mnie nie wiesz. Powinnaś mnie zobaczyć na desce.

Kendall na siedzeniu pasażera z przodu ostrożnie podparł rękę ramieniem i uśmiechnął się.

*

- Nie! - krzyknął Larson. - Absolutnie nie.

Znów miał na głowie bandanę i wyglądał, jak pomyślał Jared, tak samo głupkowato jak za pierwszym razem. Wyglądał też na rozwścieczonego.

- Myślę, że nie mamy większego wyboru - stwierdziła starsza kobieta w garsonce.

Pewnie właśnie się przebierała do pracy, kiedy przyjechali, tak jak Denise szykowała się do szkoły. To zapewne dom tej kobiety - wyglądał na domostwo biznesmanki, ładny, ale wiało z niego nudą. Jasnobrązowe dywany, brązowe meble, beżowe zastony. Pani zachowywała się, jakby ona tu rządziła. Problem w tym, że Larson również zachowywał się tak, jakby grał tu pierwsze skrzypce. Jared pomyślał, że zaraz rzucą się sobie do gardeł, ale najwyraźniej nie obowiązywały tu tego rodzaju obyczaje.

- Mam wybór, Anno - powiedział Larson. - Tak miała na imię - Anna. - Jest wiele miast, do których możemy ich wysłać.

Jared wtrącił ostrym głosem:

- Wysłać? Znaczą mnie i doktora? Nikt mnie nie będzie nigdzie wysyłał!

Anna powiedziała:

- Obawiam się, że to konieczność, Jared. Druga Strona wie o tobie i o nim. Wyeliminują was przy pierwszej okazji, a my możemy was nie obronić.

- No jasne. Nie możecie otoczyć mojego domu jakimś tam zaklęciem? Nie? No to chyba żadni z was czarodzieje!

Ktoś oznajmił za jego plecami: - To nie tak - i Jared odwrócił się na pięcie. Denise wróciła po zaparkowaniu samochodu. Gdyby wiedział, że wróci, nie gadałby tak bezczelnie.

Zwróciła się do Jareda:

- Potrafię magią zakląć wiatr, a Anna potrafi porozumiewać się z dzikimi zwierzętami i tak dalej, ale jedynie gdy jesteśmy na miejscu, Jared. Nie ma czegoś takiego jak zaklęcie, które można zostawić na straży kogoś. Chciałabym, żeby tak było.

Gdyby ktokolwiek inny wyjaśniał to Jaredowi w ten sposób, nie poczułby się tak głupio. Kendall skrył się w pokoju na tyłach domu i chyba był opatrywany. Jared skrzyżował ramiona na piersiach i zrobił srogą minę.

- Nie mogę tak po prostu wyjechać, no nie, przenieść się do innego miasta! Mam na głowie mamę, szkołę, no i w ogóle!

Larson oświadczył brutalnie:

- Jak nie wyjedziesz, to po tobie. I po niektórych z nas, ci, których potrafisz zidentyfikować, pójdą w twoje ślady.

- Ale moja mama...

- Powie się jej, że zabrała cię opieka społeczna. Uwierzy.

Jared poczuł, jak gorąca krew napływa mu do twarzy. Więc Larson wiedział wszystko o jego matce! Wściekły i zawstydzony odwrócił się, by trzasnąć drzwiami, ale na drodze stanęła mu Denise.

Larson powiedział:

- Nie musimy go wysłać do Tellerton. Wyślijmy go gdzieś indziej, do uśpionej komórki. Nie potrzebujemy takiego wściekłego dzieciaka w samym sercu Bractwa.

- Jestem innego zdania - odparła Anna.

- Nikt nie będzie w stanie go kontrolować. Narazi wszystkich na niebezpieczeństwo.
- Nie narażę nikogo, tego nie chcę! - wykrzyknął Jared.

Anna zgodziła się z nim:

- Myślę, że tak jest naprawdę, Larson. I Nick będzie z nim.

Denise wciąż stała w drzwiach i powiedziała coś tak cicho, że tylko Jared to usłyszał:

- Wiem, że jest ciężko, jak cię odsyłają. Ale Anna ma rację - będzie z tobą doktor Kendall. A tam, dokąd się udasz... wiem na pewno, że mają tam niesamowity tor dla deskorolek.

- Naprawdę?

- Najlepszy.

Wybełkotał: - A przyjedziesz do mnie, żeby zobaczyć, jak jeżdżę? - i od razu skłął się w myślach. Była dla niego za stara, pewnie myśli, że jest małym brzdącem, zaraz go zawstydzi na oczach tego Larsona...

- Jasne. Myślę, że tak czy inaczej będziemy w końcu pracować razem. Wkrótce będziemy mieli sytuację alarmową i będziemy potrzebować każdego czarodzieja, a nie mamy nikogo dobrego od kamieni. Naprawdę masz talent.

Już drugi raz to powiedziała. Jared zwrócił się do Anny, ignorując Larsona:

- Dobra, jadę. Gdzie jest to Tellerton?

- W Wirginii.

Jared zamrugął.

- Ja...

- Zack zawiezie was obu jeszcze dziś po południu. Im szybciej wyjedziecie, tym lepiej.

- Ale moje graty! Mam...

- Muszą tu zostać. W Tellerton dostaniesz wszystko, czego ci będzie trzeba. Niczym się nie przejmuj, Jared, teraz jesteś jednym z nas.

Anna wyszła. Larson zawołał:

- Poczekaj chwilę, Anno, chcę z tobą zamienić słowo na temat tego huraganu.

Poszedł za nią.

Jared został sam na sam z Denise. Mrugał, robił groźne miny i powiedział, tylko po to, żeby coś powiedzieć:

- Jakiego huraganu?

- Było o tym w porannych wiadomościach - odparła poważnie Denise. - Wielki huragan nagle zmienił kierunek i zaatakował wybrzeże Florydy, a teoretycznie minęła już pora huraganów. Jak dotąd są doniesienia o ośmiu ofiarach. Został zniszczony co najmniej jeden wielki magazyn, kupiony niedawno przez Drugą Stronę. Teraz składają wniosek o odszkodowanie, również na to, co było w środku. Anna, jedna z naszych prawniczek, wczoraj wysłedziła zakup i ubezpieczenie obiektu, ale nie miała czasu na dalsze działania.

Jared starał się zrozumieć. Denise była mądra - wszyscy oni byli mądrzy. A ta cała magia wiązała się też z zupełnie niemagicznymi polami działalności, jak odszkodowania, o czym Jared wcześniej nawet nie pomyślał. Ale jedno było jasne - wiadomość o ośmiu ofiarach. Jak dotąd.

Powiedział:

- Naprawdę tak robią? Zabijają, no, niewinnych ludzi, by zgarnąć forszę?

- Tak robili i tak robią.

Poczuł lekki zawrót głowy. Za dużo tego, za szybko. Czarodzieje, magia i przemieszczanie kamieni... Wciąż czuł w dłoni żar kamieni, które były gotowe, by ujawnić swoje sekrety. Jemu, Jaredowi Stoffelowi, któremu nikt poza Shawnem z niczego się nie zwierzał.

A Shawn... tak zwany przyjaciel, któremu ufał jak bratu...

- Shawn zapłaci za wszystko - powiedział do Denise.

- Tak - odparła i to przeważyło. Żadnego kitu, że nie można się mścić, żeby się uspokoić, albo że był zbyt mały, by się tak wściekać. Ona go rozumiała.

Momentalnie Jared poczuł się tak, jakby wykonywał dwunastostopniową kombinację i właśnie szybował w powietrzu.

Czarodziej. Był czarodziejem. Nie chciał, ale był. Kamiennym człowiekiem. I wszystko teraz się zmieniło.

Może to i dobrze.

Mógł się dowiedzieć czegoś o tych odszkodowaniach czy o czym tam jeszcze. Nie był głupi. Nauczył się półobrotu tyłem w czterostopniowej kombinacji, więc może nauczyć się wszystkiego. Może.

- Witaj w Bractwie, Jared - powiedziała cicho Denise.

- Dzięki - odparł Jared.

ZAKŁĘCIE MANTYKORY

JEFFREY FORD

Nawet przy najpotężniejszym z czarowników, co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą...

Choć Jeffrey Ford względnie niedawno rozpoczął karierę pisarską, szybko odniósł spektakularny sukces, zdobywając World Fantasy Award w 1998 roku za swoją debiutancką powieść Fizjonomika, i od tamtej pory został uhonorowany jeszcze dwiema World Fantasy Awards, w 2003 roku, za opowiadanie Dzieło stworzenia i za zbiór The Fantasy Writer's Assistant and Other Stories. Otrzymał także nagrodę Nebula w 2004 roku za opowiadanie Imperium lodów. Jego utwory pojawiały się w „The Magazine of Fantasy & Science Fiction”, „Sci Fiction”, „Lady Churchill's Rosebud Wristlet”, „Black Gate”, „Polyphony”, „Argosy”, „The Green Man” i innych czasopismach, a zostały zebrane w wyżej wymienionym The Fantasy Writer's Assistant and Other Stories, The Empire of Ice Cream i The Drowned Life. Inne książki Forda to powieści Vanitas, Memoranda, The Beyond, The Portrait of Mrs. Charbuque i kryminał The Girl in the Glass. Ostatnio opublikował The Shadow Year. Mieszka w Medford Lakes w stanie New Jersey.

Pierwsze doniesienia o tym stworzeniu, relacje naocznych świadków, były dość absurdalne - mylili liczbę i rodzaj członków oraz nie znajdowali odpowiednich słów, by opisać jego uśmiech. Miał barwę, jak mówili, płomienia, rozgrzanych węgielków czy kwiatu i każdy ze świadków starał się pokazać na migi jego sposób śpiewania, ale nikomu się to nie udało. Mój pan, czarodziej Watkin, kazał mi zapisywać każde słowo i każdy przedstawiany przez nich obraz. Nakazał nam to król, który skomentował to tak:

- Nasłuchuj pilnie tych bajdurzeń. Niech myślą, że zbierasz materiały na mój rozkaz. To tylko zwykłe bajania, mój stary przyjacielu.

Mój pan pokiwał głową i uśmiechnął się, ale kiedy król wyszedł z sali, czarodziej odwrócił się do mnie i wyszeptał:

- Mantyhora.

- Bez wątpienia ostatnia - zawyrokował Watkin.

Późnym popołudniem obserwowaliśmy, jak powracający z lasu łowczy króla idą przez pałacowy zielony trawnik, a ofiary Mantyhora zostawiają jasnoczerwone krwawe smugi na trawie. - Bardzo stara - dodał. - Można to poznać po tym, że pożera konie, ale ludzie wracają z paroma nietkniętymi członkami.

Rzucił zakłęcie ochronne na potwora, przewlekając piórko kolibra przez ucho igielne.

- Chcesz, panie, by przeżyła? - zapytałem.

- Żeby dożyła w spokoju swoich dni - padła odpowiedź. - Królewskim łowczym nie wolno jej zabić.

Zasiedliśmy z całym królewskim dworem na flankach pod księżycem i gwiazdami jesiennego nieba, wsłuchując się w podobny do dźwięku fletu trael stworzenia, wznoszący się i opadający na skali, przedzierający się przez ciemność odległych drzew. Kryształowe kielichy drżały pod wpływem tego dźwięku. Damy z upudrowanymi wysoko spiętymi włosami grały w kierki w świetle kandelabrow. Panowie, oparci wygodnie na krzesłach, palili fajki i dyskutowali między sobą, co by zrobili, gdyby to im przypadło zadanie zlikwidowania potwora.

- Czarodzieju - odezwał się król. - Myślałem, że powziąłeś odpowiednie środki.

- Tak zrobiłem - odparł Watkin. - To jednak trudne zadanie. Magia przeciw magii, a poza tym stary już jestem.

Kilka chwil później u boku króla pojawił się jego nadworny inżynier. Mężczyzna trzymał jakąś skomplikowaną broń, która strzelała bełtami z grotami z kości słoniowej.

- Końcówka grotu została zanurzona w kwasie, który przepali skórę potwora - wytłumaczył inżynier. - Należy celować ponad szyję. I należy pamiętać o dokładnym oliwieniu, żeby przekładnia działała prawidłowo.

Jego Wysokość uśmiechnął się i pokiwał głową.

Tydzień później, tuż przed wieczerzą, w codziennym rytuale, podczas którego król oceniał stan państwa, doniesiono mu, że potwór pożarł dwa konie i łowczego, oderwał prawą nogę asystentowi inżyniera i tak powyginał i ponaciągał nową broń inżyniera, że zatruty bełt po wystrzeleniu skręcił i dziabnął wynalazcę w ucho, tak że małżowina ściekła z jego głowy jak wosk z rozgrzanej świecy.

- Obawiamy się, że stwór może znieść jajka - powiedział inżynier. - Proponuję spalić knieję.

- Nie będziemy niczego palić - zawyrokował król.

Odwrócił się i popatrzył na czarodzieja. Watkin udawał, że drzemie.

Pomogłem staruszkowi zejść z krzesła i towarzyszyłem mu na dół po kamiennych schodach, do odnogi korytarza wiodącego do jego komnat. Zanim go pożegnałem, złapał mnie za kołnierz i wyszeptał:

- Zakłęcie słabnie, czuję to w mych dziąsłach. - Pokiwałem głową, a on odsunął mnie na bok i resztę drogi do siebie pokonał o własnych siłach. Idąc za nim, spojrzałem przez ramię, niemal pewny, iż król ma świadomość, że sztuka magiczna została zwrócona przeciw niemu.

Położyłem się w mojej skromnej komnacie po zachodniej stronie pracowni. Widziałem odwrócone, bezwłose zwłoki przygarbionej małpy, zwisające z sufitu w sąsiednim pomieszczeniu. Czarodziej poprosił o nią Palgerię pięć lat wcześniej, tak wynikało z zapisków. Kiedy ją przywieźli, po jego reakcji poznałem, że już nie pamięta, co ma z nią zrobić. Dwa dni później przyszedł do mnie i powiedział:

- Zrób coś z tą małpą.

Nie miałem pojęcia, co mogę z nią zrobić, więc powiesiłem ścierwo w pracowni.

Od pierwszego dnia mojej służby u Watkina co rano nalegał, żebym mu opowiadał swoje sny.

- Sny są bramą, przez którą nieprzyjazne ci osoby sprawdzają mechanizmy obronne twego jestestwa - powiedział mi podczas burzy.

Była połowa sierpnia i staliśmy pewnego popołudnia, całkowicie susi, pod rozłożystymi gałęziami cykuty, a rzęsy deszcz otaczał nas kotarą wody. Tamtej nocy, we śnie, szedłem za jakąś kobietą przez pole fioletowych kwiatów, które przy końcu spadało klifem na dół. Poniżej poruszała się olbrzymia czarna skała, jakby oddychała, a kiedy się rozdymała, przez szczeliny i pęknięcia widać było świecące z wnętrza pomarańczowe światło. Kobieta ze snu spojrzała przez ramię i powiedziała:

- Czy pamiętasz dzień, w którym zacząłeś służbę u czarodzieja?

Wtedy światło zaświeciło mi w oczy i byłem zdumiony, bo się obudziłem. Watkin, zbliżając lampę do mej twarzy, powiedział:

- Zginęła. Chodź szybko.

Obrócił się na pięcie przy łóżku, ponownie spowijając mnie cieniem. Trząśłem się cały, kiedy się ubierałem. Widziałem kiedyś, jak staruszek zębami wyciągnął ducha wierzgającego demona przez nozdrze jednej z dam dworu. Niezgłębiony. Jego kwiecista szata miała wspaniały wzór peonii na śniegu, ale ja już nie wierzyłem w słońce.

Wszedłem do pracowni, kiedy Watkin zbierał różne przedmioty z wielkiego stołu, gdzie zawsze mieszał swoje mikstury i kroił gady, których małe mózdzki miały fragment, przyspieszający po roztrzcieniu i wysuszeniu działanie napojów.

- Weź pióro i papier - nakazał. - Będziemy wszystko zapisywać.

Zrobiłem, jak mi kazał, po czym mu pomogłem. W pewnej chwili chciał unieść wielką kryształową kulę pełną niebieskiego proszku, aż jego dłonie drżały z wysiłku. Wyjąłem mu ją z rąk w chwili, kiedy wysliznęła mu się z palców.

Nagle w całym pomieszczeniu pojawił się zapach róż i cynamonu. Czarodziej węszył przez chwilę i ostrzegł mnie, że rychło się pojawi. Sześciu łowczych dźwigało ciało ułożone na noszach i przykryte poczerniałym z gorąca kobiercem przedstawiającym Wojnę Wierzb, który wcześniej wisiał w korytarzu prowadzącym ze Skarbca do Fontanny Litości. Staliśmy z Watkinem z tyłu, kiedy ciemnobrodzi mężczyźni, sapiąc i zgrzytając zębami, ułożyli nosze na stole. Zanim umknęli z naszych komnat, mój pan podał im woreczki proszku przewiązane wstążką - które, jak sądzę, zawierały jakiś afrodyzjak. Po otrzymaniu nagrody i przed wyjściem z komnaty ostatni z łowczych chwycił za brzeg koberca i obszedł pospiesznie stół, odkrywając Mantykorę.

Ledwo rzuciłem na nią okiem, musiałem odwrócić wzrok. Patrząc w drugą stronę, słyszałem, jak stary coś mruczy, popiskuje i wydaje nieartykułowane dźwięki. Gęsty tuman zapachu unoszącego się ze stworzenia ciężko osiadł mi na ramionach i wtedy usłyszałem bzyczenie pierwszej muchy. Czarodziej klepnął mnie na odlew w policzek i zmusił do patrzenia. Zobaczyłem lwie łapy, sierść, piersi i piękne długie włosy. Złożony z lśniących segmentów ogon zakończony był kolcem jadowym - wisiała tam zielona kropelka jadu.

- Zapisz - nakazał Watkin. Odszukałem pióro. - „Samica Mantykory” - powiedział. Zapisałem to na górze kartki.

Czarodziej zrobił krok, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Następnie drugi i kolejny, aż zaczął wolno chodzić wokół stołu, przyglądając się stworzeniu ze wszystkich stron. W prawej dłoni trzymał laskę zakończoną rzeźbioną główką czarodzieja. Jej koniec nie dotykał podłogi.

- Narysuj ją - nakazał.

Zacząłem wykonywać zadanie, ale nie miałem dostatecznych umiejętności. Pomimo to narysowałem - ludzką głowę i tors, ciało potężnego lwa i ogon skorpiona. Był to rysunek, który udał mi się najlepiej w życiu, ale był zbyt przerażający.

- Kiedy pierwszy raz zobaczyłem jednego z nich - powiedział Watkin - byłem jeszcze pacholęciem w szkole. Poszliśmy na przechadzkę nad jezioro, przeszliśmy przez sad na wielką łąkę z żółtymi kwiatami. Moja nauczycielka, kobieta o imieniu Levu, z myszką przy ustach, wskazała na coś w oddali, opierając drugą dłoń na moim ramieniu, i wyszeptała: - Samiec i samica Mantykory, popatrz. - Zobaczyłem je, rozmazane karmazynowe plamy, zjadające nisko wiszące owoce na obrzeżach łąki. W drodze powrotnej do miasteczka tego wieczoru usłyszeliśmy ich charakterystyczne trele i wtedy obie nas zaatakowały. Każde miało po trzy rzędy zębów poruszające się w doskonałej harmonii. Patrzyłem, jak pożerają nauczycielkę, która pospiesznie spowiadała mi się z grzechów. Kiedy modliłem się za spokój jej duszy, potwory recytowały wiersze w jakimś egzotycznym języku i zlizywały krew z warg.

Zapisałem wszystko, co mówił Watkin, chociaż nie byłem pewien, czy robię to dokładnie. Nie spoglądał na mnie, ale poruszał się bardzo wolno wokół potwora, lekko

trącając go laską i mrużąc oczy, by dokładnie przyjrzeć się ocienionym fragmentom jego ciała.

- Widzisz tę twarz? - zapytał.

Odpowiedziałem, że widzę.

- Jeśli pominąć ten diabelski uśmiech, jest piękna - stwierdził.

Starąłem się wyobrazić ją sobie bez uśmiechu, ale w myślach zobaczyłem tylko uśmiech bez twarzy. Wystarczy, że powiem, iż Mantykorą miała karmazynową skórę, tak samo jak sierść, a jej oczy przypominały żółte brylanty. Jej długie włosy żyły własnym życiem, czerwono-fioletowe strąki mogły siekać na prawo i lewo. No i do tego ten uśmiech.

- Mieszkała obok mnie, miała takie same długie włosy, ale złociste - powiedział Watkin, pokazując palcem. - Ja byłem nieco młodszy niż ty, a ona trochę starsza. Tylko raz wyszliśmy razem na pustynię i wspinaliśmy się po wydmach. Tam, w podziemiach ruin, zobaczyliśmy wyciętą w kamieniu twarz przygarbionej mały. Leżeliśmy razem przed nią, całowaliśmy się i zasnęliśmy. Nasi rodzice i sąsiedzi szukali nas wszędzie. Późno w nocy, kiedy już spała, przez wydęte kamienne usta zawiął wiatr, ostrzegając mnie przed „zdradą” i „czasem”. Po przebudzeniu opowiedziała mi, że we śnie znalazła się nad oceanem i łowiła ryby z Mantykorą. Następny raz pocałowaliśmy się na naszym ślubie.

- Narysuj to! - wykrzyknął.

Robiłem, co mogłem, ale nie wiedziałem, czy mam rysować Mantykorę czy czarodzieja siedzącego na ławie przy niej.

- I jeszcze jedno na temat tego uśmiechu - dodał. - Stale i wciąż się porusza za pomocą organicznego mechanizmu obrotowego, złożonego z dobrze nawilżonej szczęki oraz trzech rzędów kłów - nawet po śmierci, w grobie, przeżuwa trupią czern.

- Mam to narysować? - zapytałem.

Zaczął chodzić. Po kilku chwilach odpowiedział:

- Nie.

Położył laskę na skraju stołu i dwiema rękami podniósł jedną z łap.

- Spójrz na ten pazur - powiedział. - Jak myślisz, ile zerwał czerepów?

- Dziesięć - odparłem.

- Dziesięć tysięcy - poprawił mnie, upuszczając łapę i biorąc na powrót laskę w dłoń. -

A ile teraz zerwie? - zapytał.

Nie odpowiedziałem.

- Lew to sierść, mięśnie, ścięgna, pazur i szybkość, pięć najważniejszych składowych niezmiernego. Kiedyś król Dreeshy schwytał i oswoił stadko Mantykor. Poprowadził je do boju na długich, liczących tysiące ogniów, żelaznych łańcuchach. Przedarły się przez szpice nacierających Igridotów z tak kunsztowną nieustępliwością, z jaką Jego Wysokość kroi wyłącznie największe torty.

- Mam to zapisać? - zapytałem.

- Co do ostatniej głoski - odparł, kiwając głową i przemieszczając się wolnym krokiem. W końcu jego laska dotknęła podłogi. - Podobno - kontynuował - w ich jednokomorowych sercach jest zawieszony jeszcze jeden organ. W jego środku znajduje się złota kulka -

najczystsze złoto. Tak czyste, że można je zjeść. I mówią, że po jej zjedzeniu pojawiają się miliony pięknych snów o lataniu. Miałem kiedyś takiego wuja, który upolował to stworzenie, zabrał do siebie, wyciął mu złotą kulkę i ją połknął. Po tym mój wuj pozostawał przy zdrowych zmysłach jedynie pięć razy dziennie. Zawsze trzymał ręce w górze. Zawsze już wywalał język i mrugał nerwowo oczami. Pewnego razu, kiedy nikogo nie było na warcie, uciekł z domu. Poszedł w las. Pojawiły się doniesienia o świętym żebraku, ale potem pewien wędrowiec zwrócił nam jego pierścień i czasomierz i powiedział, że znaleziono tylko głowę. Kiedy umieszczono ją pod szklanym kloszem, wykonałem na niej mój pierwszy magiczny eksperyment, w którego wyniku powiedziała mi o swoim ostatnim spotkaniu z Mantykorą. Jak skończymy, to weź, proszę, chłopcze, pukiel jej włosów - powiedział. - Kiedy podrośniesz, zwiąż go na supeł i noś w kieszeni kamizelki. Uchroni cię przed niebezpieczeństwem... do pewnego stopnia.

- Jak szybko biegają? - zapytałem.

- Jak szybko? - zapytał i stanął w miejscu.

Przez okno wdarł się powiew bryzy i uderzył w portyki pracowni. Odwrócił się pospiesznie i spojrzał przez ramię za okno. Burzowe chmury, bujny żywopłot i wilgotny zapach róż oraz cynamonu. Pojawiły się roje much.

- Tak szybko - stwierdził. - Narysuj to. Zauważ, że nigdzie nie widać rany. Łowczy jej nie zabili. Zdechła ze starości i oni ją znaleźli.

Stał tak w milczeniu z rękami założonymi z tyłu. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie skończyły mu się fakty. Wtedy odchrząknął i powiedział:

- Jest taki punkt, w którym uśmiech i skrzywienie ust posiadają ten sam kształt oraz nasilenie i prawie takie samo znaczenie, choć niezupełnie. To właśnie w tym momencie, i tylko wtedy, człowiek zaczyna rozumieć skorpioniego ogon bestii. Smukły, czarny, jadowity i ostry jak igła, który porusza się z prędkością błyskawicy, przebijając ciało i kość i wstrzykując substancję chemiczną, wymazując całą pamięć. Po ukłuciu chcesz krzyknąć, uciekać, wycelować swą kuszę w serce o barwie magenty, ale niestety... zapominasz.

- Rysuję to - powiedziałem.

- Wyśmienicie - odparł i przesunął ręką po gładkim pancerzu skorpioniego ogona. - Nie zapomnij, żeby ująć to zapomnianie. - Zaśmiał się ze swojego żartu. - Jad Mantykozy był kiedyś używany do leczenia stanów melancholicznych. W przeszłości bardzo często miały miejsce przypadki depresji. Zielona trucizna, starannie odmierzona i wprowadzona do organizmu za pomocą długiej igły wbitej w kącik oka, momentalnie powoduje paraliż pamięci, usuwając przyczynę smutku. Był taki jeden człowiek, jak słyszałem, który wziął za dużo i zapomniał zapomnieć - pamiętał wszystko, nie pomijając niczego. Jego umysł wypełniały sekundy całego życia i w końcu głowa mu eksplodowała. Trucizna jednak nie zabija. Jedynie otumania cię niezdolnością przypomnienia sobie pewnych rzeczy i kły mogą przystąpić do działania. Niektórzy zostali użądleni, ale nie pożarci. W każdym przypadku opisują tę samą iluzję - trwającą mgnienie oka podróż do starego letniego domu, czteropiętrowego z pokojami gościnnymi, zachód słońca i komary. Podczas okresu działania trucizny, czyli jakieś dwa dni, ofiara mieszka w tej samotni... oczywiście w myślach. Po

zapadnięciu zmroku wieją tam chłodne wiatry, ćmy objają się o parawan, w oddali słychać fale przyboju i ofiara dochodzi do wniosku, że jest sama w tym domu. Myślę, że śmierć pod wpływem działania trucizny polega na pozostaniu w tym pięknym miejscu przy morzu na wieczność.

Odezwałem się bez zastanowienia:

- Każdy aspekt tego stworzenia przybliżył nas do wieczności - uśmiech, najczystsze złoto, żądło.

- Zapisz to - polecił Watkin. - Co jeszcze możesz powiedzieć na ten temat?

- Pamiętam, kiedy jechałem, by zacząć tutaj służbę - odparłem. - Kiedy na dużej przestrzeni porośniętej topolami mój wóz stanął, bo na drodze leżały jakieś zwłoki. Kiedy powóz je mijał, zobaczyłem krwawą miazgę na ziemi. Ty, panie, stałeś wtedy w tłumie.

- Nie jesteś w stanie pojąć mej niewidocznej więzi z tymi stworzeniami - swoistej symbiozy. Czułem to w krzyżu. Magia staje się minimalnym otworem kurczącym się ku przyszłości - odparł.

- Czy możesz, panie, przywrócić życie temu potworowi? - zapytałem go.

- Nie - odparł - to się nie uda. Ale coś innego chodzi mi po głowie. - Zatrzymał się przy jednej z ław, położył na niej laskę i podniósł siekierkę. Wrócił do zwłok potwora i zaczął wolno krążyć wokół ogona. - Tego dnia na drodze widziałeś to, co zostało z mojej żony. Została zabita przez Mantykorę - tę właśnie Mantykorę.

- Przykro mi z tego powodu - powiedziałem. - Pomyślałbym, że powinien pan bardziej się starać ją zabić.

- Nie próbuj nawet zrozumieć - odparł. Uniósł siekierkę wysoko nad głowę i jednym sprawnym cięciem odrąbał żądło od ogona bestii. - Pod działaniem czaru trucizny podążył do letniego domu i ocalę ją przed wiecznością.

- Pójdę z panem - zaproponowałem.

- Nie możesz tam iść. Zostałbyś uwięziony w wieczności wraz z moją żoną i ze mną - pomyśl o tym - rzucił Watkin. - Nie, chciałbym, żebyś zrobił coś innego, kiedy będę uśpiony pod działaniem jadu. Musisz wziąć głowę Mantykozy i zakopać ją w lesie. Ich głowy zamieniają się w korzenie drzew, których owocnia wydaje na świat małe Mantykozy. Zasiajesz ostatecznie ziarno. Za pomocą siekiery odrąbał głowę stworu, a ja włożyłem ciepłe odzienie.

Jeszcze przed przyjściem do czarodzieja na służbę nauczyłem się jeździć konno, ale knieja nocą przerażała mnie. Nie mogłem otrząsnąć się z widoku dłoni Watkina, nadzianej na koniuszek czarnego żądła, i tego, jak szybko zapadł w otępienie, krztusząc się i wywracając oczy pod powiekami. Zawiozłem głowę Mantykozy głęboko w las, w wełnianym worku przytroczonym do siodła, drżąc na całym ciele na myśl o tym, co będzie, jeśli Watkin się mylił i stworzenie bez głowy i ogona, rozciągnięte na jego stole, nie było jednak ostatnim przedstawicielem tego gatunku. Dla mej ochrony nauczył mnie zaklęcia, którego mogłem użyć, jeśli zajdzie taka konieczność - garść żółtego proszku i pół tuzina słów, których już nie pamiętałem.

Jechałem w ciemności kilka minut i bardzo szybko miałem tego dość. Zsiadłem z konia i zacząłem kopać dół przy trakcie, oświetlając sobie drogę wbitą w ziemię pochodnią. Dawała szeroki krąg światła. Wyciągnąłem łopatę i zdjąłem głowę z siodła. Po jakiejś półgodzinie kopania zacząłem słyszeć nikły odgłos mrużenia gdzieś koło mnie. Pomyślałem, że ktoś mnie szpieguje z ciemnego zakamarka lasu, ale potem zacząłem sobie wyobrażać, że jest to zgrzytanie mocno uzębionych szczęk Mantykory, i sparaliżował mnie strach. Dwie minuty później uświadomiłem sobie, że dźwięki te dobiegają z worka. Kiedy do niego zajrzałem, z worka wyjrzał znajomy uśmiech. Oczy Mantykory rozszerzyły się jak spodki, szczelina ust rozchyliła się, ukazując trzy rzędy ostrych kości, i przemówiła do mnie w obcym języku.

Wyjąłem ją z worka, ustawiłem głowę w kręgu światła pochodni, szesałem jej włosy z oblicza i wsłuchiwałem się w piękny, śpiewny język. Później, kiedy ocknąłem się z dziwnego transu, wywołanego potokiem słów, przypomniałem sobie zaklęcie Watkina. Wysypałem proszek na dłoń i dokładnie celując, dmuchnąłem nim potworowi w twarz. Mantykora zakaszła. Już zdążyłem zapomnieć właściwych słów, więc powiedziałem coś, co mogło je przypominać. Wtedy przemówiła, a ja zrozumiałem wszystko.

- Wieczność - powiedziała raz, po czym zaczęła powtarzać raz za razem z taką samą intonacją głosu...

Chwyciłem łopatę i wróciłem do kopania. Kiedy wykopałem już odpowiednio dużą dziurę, miałem nerwy napięte jak postronki od wciąż powtarzanego słowa i nie byłem w stanie odpowiednio szybko zasypać dołka. Pomimo że głowa została całkowicie zakopana, wciąż rozbrzmiewały te same słowa, stłumione przez ziemię. Uklepałem grunt i za pomocą dziwnie wyglądającego zielonego kamienia zaznaczyłem miejsce zakopania głowy.

Watkin nie wrócił już z domu nad morzem. Kiedy jad przestał działać, życie opuściło jego ciało. Wtedy ja zostałem czarodziejem. Nikogo nie obchodziło to, że nic nie wiem na temat magii.

- Będziesz próbował tak długo, aż w końcu zaskoczysz - stwierdził król. - A potem już jakoś pójdzie.

Podziękowałem mu za wnikliwą diagnozę, ale wiedziałem, że zjadł czyste złoto i obecnie, przy pięknych snach, na jawie rzadko bywał przy zdrowych zmysłach. Lata mijały, a ja robiłem, co mogłem, by nauczyć się obsługi wszystkich urzędzeń, sporządzania wywarów, wywoływania zjawisk opisanych przez Watkina. Myślę, że było w tym trochę magii, choć z trudem dawało się ją rozpoznać.

Mogłem bezpośrednio poznać los Watkina po tym, jak znalazłem w pracowni magiczne lustro i nauczyłem się nim posługiwać. Było to wysokie zwierciadło, stojące przy stoliku do pisania. Za jego pomocą można było zajrzeć wszędzie, posługując się prostymi poleceniami. Wybrałem spokojne miejsce nad morzem i przed moim wzrokiem pojawiły się dokładnie zamiecione ścieżki, kwitnąca glicynia, szare, szorstkie deski płotu. Nadciągał mrok. Kobieta o złocistych włosach siedziała w wiklinowym fotelu bujanym na zasłoniętej od wiatru werandzie, wsłuchując się w skrzypienie podłogi. Wieczorna bryza przynosiła ulgę spalonej przez słońce skórze. Dzień zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Nadeszła noc, a ona ukołysała się do snu - nakazałem zwierciadłu pokazać mi jej sen.

Śniła o tym, że jest na plaży. Po piasku delikatnie przetaczały się białe fale. Była też tam Mantykora - jej karmazynowe ciało odcinało się ostro od jasnego błękitu dnia - która łowiła ryby przy brzegu za pomocą obciążonej ciężarkami sieci. Kobieta o złocistych włosach bez lęku zbliżyła się do stworzenia. Mantykora grzecznie zapytała, posyłając jej różne wersje uśmiechu, czy kobieta nie zechciałaby jej pomóc wyciągnąć sieć. Pokiwała głową. Zarzuciły sieć daleko i czekały. W końcu pojawiło się szarpnięcie. Kobieta o złocistych włosach i Mantykora wspólnie ciągnęły mocno sieć. W końcu wyciągnęły na brzeg Watkina, zaplątanego w linki z wodorostami we włosach. Podbiegła do niego i pomogła mu się z niej wydostać. Objęli się i ucałowali.

Teraz pilnie nadstawiam ucha na wszelkie doniesienia o pojawieniu się w lesie dziwnych stworzeń. Jeśli zaginie jakiś człowiek czy koń, muszę bezzwłocznie i bez wytchnienia zbadać, co się za tym kryje. Staram się codziennie rozmawiać z łowczymi. Doniesienia o Potworze są niejasne, ale jest ich też coraz więcej i teraz uświadamiam sobie, że łączy mnie niewidoczna więź z tym stworzeniem, kiedy jego stłumiony, głuchy głos w komorze mego serca bezustannie szepcze: - Wieczność.

ZINDER

TANITH LEE

Oto dziwna, liryczna opowieść o brzydkim kaczątku, które zmienia się w coś zupełnie innego niż łabędź ...

Tanith Lee jest jedną z najbardziej znanych i płodnych współczesnych autorek fantasy i ma w dorobku ponad sto książek, w tym (oprócz wielu innych) The Brightgrave. Drinking Sapphire Wine, Biting the Sun, Demon ciemności, The Storm Lord, Sung in Shadow, Czarnoksiężnik z Volkyanu, Anackire, Night's Sorceries, The Black Unicorn, Days of Grass, The Blood of Roses, Vivia, Reigning Cats and Dogs, When the Lights Go Out, Elephantasm, The Gods Are Thirsty, Cast a Bright Shadow, Here in Cold Hell, Faces Under Water, White As Snow, Mor-tal Suns, Death of the Day i Piratika, oraz antologie Red As Blood, Tamastara, The Gorgon, Dreams of Dark and Light, Nightshades i Forests of the Night. Opowiadanie The Gorgon przyniosło jej pierwszą World Fantasy Award w 1983 roku, a inne, Elle Est Trois (La Mort), kolejną w 1984 roku. Jej ostatnie książki to No Flame But Mine i kolejna część cyklu „Piratika”, Piratica III: The Family Sea. Mieszka na południu Anglii.

Gruda ziemi, twarda, brzydka i brązowa, wyleciała w górę. Wzniosta się tak wysoko, że przesłoniła nikonące promienie dużego, gorącego słońca i przez chwilę sama też zabłyśła. Gruda stała się gładką bryłką najczystszej złota, inkrustowaną rubinami. Ale w chwilę później światło ześliznęło się po niej. Była to znów tylko gruda zwykłej ziemi, która spadła precyzyjnie na to, w co została rzucona.

Ofiara uderzona w głowę straciła równowagę pod wpływem impetu i upadła.

Młodzi mężczyźni, którzy stali na wioskowej ulicy, zgięli się wpół, rycząc z radości i zaśmiewając się do rozpuku.

Stara kobieta, ciągnąca z mozołem kozę na sznurku, przeklinała pod nosem łobuzów.

- Rozchmurz się, babciu! Powaliliśmy tylko Kwakacza.

- Bóg widzi wszystko - rzuciła babcia. - W piekle będziecie się smażyć.

Młodzi mężczyźni zmarszczyli brwi, nieco zalęknieni wspomnieniem o wściekłym i mściwym Bogu z wioskowego kościoła, którego Oko najwyraźniej było wszędzie. Ale stara kobieta już zdążyła pokuśtykać dalej. Nic sobie nie robiła z żadnego z nich, a już najmniej z Kwakacza. A poza tym Kwakacz już podnosił się z wysiłkiem z ziemi na krótkie, opuchłe nogi. Nie ucierpiał.

- No, popatrzcie na to! - zawołał syn wioskowego nadzorcy („To” oznaczało Kwakacza). Popatrzyli. Chociaż widywali go już wiele razy wcześniej.

Kwakacz miał jakieś piętnaście, szesnaście lat. Któż mógł wiedzieć ile? Tak czy inaczej, wkroczył już w wiek męski. Był synem rozwiązłej kobiety, którą wszyscy pogardzali, nawet mężczyźni, którzy od czasu do czasu lubili się z nią upić. Jednak Kwakacz nie był istotą ludzką. Każdy to widział. Nawet w niemowlęcym wieku ta odrażająca prawda była oczywista dla wszystkich i nadzorca oraz inni ważni mężczyźni z wioski chcieli go od razu udusić, albo, ponieważ właśnie nadciągała zima, zostawić głodnym wilkom na pożarcie. Z nieznanego powodu nie uczyniono tego. Nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego. Chociaż wszyscy wierzyli jak jeden mąż, że to ich sentymentalna łagodność i dobroć ocaliły życie temu głupkowi, który, kiedy podrośł i zaczął mówić, kwakał lepiej niż wioskowe kaczkę.

Głowę miał Kwakacz okrągłą i za dużą. Cienkie włosy oblepiały ją w ciemnych, tłustych strąkach. Oczy, również za duże, były wytrzeszczone, wyblakłe i mętne. Miał też nos, usta i zęby. Tyle można o nich powiedzieć. Reszta jego ciała była tłustą, bezkształtną masą, a z niej wystawały dwa tłuste ramiona ze zbyt małymi dłońmi i dwie beczkowate nogi ze stopami, które, podobnie jak głowa i oczy, były za duże.

Był ubrany mniej więcej jak wszyscy osobnicy płci męskiej w wiosce, poza tym, że nie nosił przy pasku noża do polowania czy porcjowania pożywienia.

Nie wydawał się specjalnie przejęty tym, że został przewrócony. Nigdy nie okazywał niezadowolenia, nawet podczas ostatniej wczesniej zimy, kiedy dwóch z trzech miejscowych dowcipnisiów wrzuciło go do stawu z kaczkami, na którym już pojawił się lód. Kwakacz ani nie zamarzł, ani nie utonął - czego prawdopodobnie życzyliby sobie kawalarze - ale po prostu wypłynął na powierzchnię, przełamał cienki lód swoją straszną głową i wy dostał się na brzeg. Wyszedł z wody i pocłapał w swoją stronę.

Młodych mężczyzn najwyraźniej znudziło obserwowanie Kwakacza, więc ruszyli gromadnie do tawerny.

Teraz słońce znajdowało się na krawędzi pól, zmieniając późnojesienne bogactwa w piękne złoto i szkarłat.

W tym świetle Kwakacz również wyszedł na ulicę, następnie przeszedł przez niski mur i znalazł się w kępie zagajnika. Stała tu rudera jego matki, tuż na skraju wioski.

Był to posępny widok - chylące się ku upadkowi ściany, zapadnięty dach, skrawek ogrodu, w którym można by sadzić cebulę i fasolę, choć panoszyły się tu tylko cuchnące, szczeciniaste chwasty, przesłonięte cieniem martwego drzewa owocowego.

Kwakacz zatrzymał się na chwilę przed drzwiami, słysząc, jak matka śpiewa swym monotonnym głosem jakąś żalną pieśń o utraconej miłości. Słyszał też jak garnek Życia-Wody grzechocze o filiżankę w matczyńskich rękach, raz, drugi, przerwa, i znów, i jeszcze raz. Niebo nad mrocznym lasem zmieniło barwę na krwistą czerwień i fiolet.

- Zinder? - zawołała matka drżącym głosem. - Czy to ty?

- Tak, matko - odparł Kwakacz - czy też Zinder, bo to było jego prawdziwe imię. Odgłosy, które wydawał z siebie, można było pomylić z kwakaniem, ale kobieta przywykła do nich, i najwyraźniej wiedziała, co mówił.

I zaczęła na niego wyklinać:

- A żeby ci tak niebo spadło na łeb, ty wstrętny bydlaku. Dlaczego to ty? Mam nadzieję, ciągle mam nadzieję, że się w końcu zgubisz... albo że kark skręcisz... albo że cię niedźwiedź pożre... i już tu nie wrócisz! Ale proszę, wracasz jak zły szeląg. No właźże szybciej do środka. Spodziewam się odwiedzin Wielkiego Łowczego. Jak cię zobaczy, pójdzie sobie - nie może na ciebie patrzeć, tak samo jak ja! Cóż ja mogłabym mieć za życie, gdyby nie ty.

Wielki Łowczy był jednym z najważniejszych ludzi w wiosce, tak jak sugerowało to jego przydomkowi. Niepodobna, żeby ot, tak sobie przyszedł, ale kto to wie.

Kwakacz wszedł do chaty i czmychnął na swoje miejsce za piecem.

Wisiał tam kawałek starej wilczej skóry i leżały ułożone drwa. O każdej porze zalegał tu cień, skryty przed migotaniem z pieca czy też promieniami słońca, które czasami wpadały przez drzwi czy też jedyne okno. Kiedy tylko Kwakacz - Zinder - był w swojej „jaskini” z wilczą skórą i polanami drewna, to pod warunkiem że siedział jak mysz pod miotłą, nikt inny nie wiedział, że tu właśnie przebywa.

Nie było niczego do jedzenia. Zapomniała, jak zwykle, położyć mu kawałek skórki od chleba czy boczku przy brudnym, zawszonym pościu, które było jego łóżkiem.

Duża, żółta świeca stanowiła źródło światła w głównej części chaty. Ale niewiele z niego wpadało kiedykolwiek do sypialni Zindera. Nie miał środków, żeby zapewnić sobie własne światło. Nie miał też niczego w swojej „jaskini”, co by go zajmowało. Nie posiadał niczego, jeśli nie liczyć pościu.

Usadowił się w ciszy.

Na zewnątrz, w świetle poza chatą, w wiosce, na ziemi, zniknęła nawet poświata. Nadciągnął chłodny błękit, później fiolet, następnie szarość, a po niej czerń. Przez malutką

szparkę w ścianie drewna Zinder widział migotanie srebrnych gwiazd zakwitających na niebie.

Dziś wieczór matka nie zapaliła świecy, nawet nie po to, by powitać oczekiwanego Wielkiego Łowczego. Piła i wzdychała, wzdychała i piła, i śpiewała te swoje gniewne piosenki. Aż w końcu usnęła, wypełniając chatę swoim również pełnym gniewu i smutku chrapaniem. Wtedy Zinder położył się na postaniu.

Podczas tej czynności wybuchnął śmiechem.

*

Cała wioska, poza mężczyznami w tawernie i nielicznymi, czujnymi dziećmi, zasypiała po wschodzie księżyca.

Ale była to pora, w której Zinder dopiero się naprawdę budził.

Czekał na nią, chociaż nawet za dnia jest wiele interesujących rzeczy, kiedy się chodzi i robi to, co trzeba. Napaści i figle, jakie wyrządzali mu wieśniacy, a już na pewno obelgi, nie przeszkadzały mu. Nawet obelgi ze strony matki. Nie raniły go, spływały po nim jak woda - jak woda po kacze. Nie można było dotknąć Zindera.

Ale noc była najwspanialszą porą doby.

Najpierw, bardzo ostrożnie - z kunsztem doskonalonym od dawna, od kiedy zaczął to robić świadomie w wieku czterech lat - Zinder powolutku wychodził ze swej zewnętrznej powłoki.

Gdyby ktoś to widział - ale nikt nie patrzył i nigdy nie był tego świadkiem - odniósłby wrażenie, że jego duch czy dusza unosi się z jego piersi. Zinder staje potem na Zinderze, który leży z zamkniętymi mętnymi oczami i ustami wykrzywionymi w uśmiechu. Drugi Zinder jest szesnastoletnim mężczyzną. Jest wysoki, silny, smukły i muskularny. Jego włosy czarne jak noc okalają jego twarz i kaskadą spadają mu po ramionach do pasa. Ma również wyrazistą twarz oraz poważne, smutne niebieskie oczy. Ma na sobie najprzedniejsze odzienie o barwie zmroku i księżycowej nocy, podobnie jak cała reszta.

Po wyjściu ze swej zewnętrznej zinderowej powłoki nachyla się i gładzi ją przyjaźnie, mierzwiąc cienkie włoski na czole. (Momentalnie siniak od rzuconej grudy ziemi zaczyna znikać. I tak szybko się goił, on tylko przyspieszył ten proces.) Następnie Zinder wychodzi do pokoju, gdzie jego matka siedzi na krześle i chrapie z otwartymi ustami.

Wygładza jej twarz jednym palcem, skrupulatnie usuwając z niej napięcie i złość, jakby obmywał je szmatką. Matka wzdycha przez sen i przestaje chrapać, a jej oddech staje się spokojniejszy. Następnie Zinder uderza kłykciami w pusty garnek z Życiem-Wodą. Od razu napełnia się świeżą wodą - ale jest to woda magiczna. Chociaż smakuje jak alkohol i wywołuje radość, nie szkodzi pijącemu. Potem Zinder otwiera szafkę i wpatruje się w pustą przestrzeń, aż w końcu pojawia się w niej mały bochenek chleba, kawałek sera i plaster mięsa. Zamyka szafkę.

Wychodzi na zewnątrz, rozgląda się dookoła i widzi, jak paskudne zielska zmieniają się po cichu na jego rozkaz. Pod kolczastymi liśćmi zaczynają się pojawiać jagody. Obumarła jabłonka też budzi się do życia.

Właśnie wtedy zza drzew wybiega królik, staje na skraju ogrodu i zalękniony podnosi wzrok na Zindera. Zinder cicho gwizdże. Królik podbiega wprost do niego z ufnością i pozwala się wziąć na ręce. Zinder gładzi jego futerko tak, jak gładził matkę po twarzy. Tym razem zapewnia mu ochronę przed nocą i drapieżnikami. Futerko królika ma popielatoszarą barwę i pachnie grzybami oraz wysoką trawą.

Kiedy królik już pokicał w swoją stronę, Zinder wchodzi na dach chaty. Naturalnie nie wspina się o własnych siłach. Wzlatuje. Skrzydła, które wyrastają mu z pleców, są czarne, tak jak włosy, ale mają aksamitne, gęste, splątane pióra wielkiego kruka. Biją powoli, rytmicznie za jego plecami, a on siada na dachu, po czym siłą woli przemieszcza połamane dachówki i słomę, aż w końcu wszystko wygląda lepiej, niż było wcześniej - chociaż nie doskonale, bo jeszcze ktoś mógłby zacząć podejrzewać, że zadziałała tu jakaś siła nieczysta. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje jego biedna, bezradna, głupiutka matka, jest oskarżenie o czary.

Nie jest w stanie przyjąć teraz Wielkiego Łowczego, co jest bardzo przykre, bo z góry Zinder wyraźnie widzi tego mężczyznę, jak idzie do domu ze zwierzyną ścieżką przy polnej miedzy. Pomimo to Zinder posyła mu myśl, delikatną sugestię... Może Łowczy przyjdzie jutro? Zinder wie, że uraduje tym matkę i taka wizyta nie zaszkodzi żadnemu z nich. Jedynym prawdziwym powodem odwiedzin Łowczego jest to, że podskórnie wyczuwa coś magicznego w całej chacie. Nie rozumiejąc, że tak jest, Łowczy doszedł do wniosku, że to matka jest w pewien niewyraźalny sposób magiczna. I dlatego myśli, że się w niej zakochał, tak troszeczkę. Poza tym zaczarowana Życie-Woda dobrze mu robi. W tawernie nie ma niczego tak dobrego, wie o tym.

Księżyc świeci dziś uroczo, jest okrągły i ma barwę kości słoniowej. Ale jeszcze nie pora na wyruszenie pod niebo. To jest wioska Zindera i wciąż ma tu kilka rzeczy do zrobienia. Po pierwsze, przelatuje bez wysiłku do domu starej kobiety z kozą. Kiedy szli przez wioskę, widział wyraźniej, że koza nie ma się najlepiej, a byt kobiety zależy od jej mleka oraz sierści, którą szczesuje i z której tka koce.

Leży pogrążona we śnie w swojej chacie. Zinder posyła uzdrowicielski snop przez otwór w dachu nad piecem, żeby wyleczyć jej obolałe plecy. Tymczasem koza stoi posępnie na dworze, spoglądając na księżyc ślepiami o źrenicach jak szparki. Zinder zlatuje z góry w świetle księżycy i przerażona koza meczy głośno, ale chwilę później czar Zindera okrywa ją jak chłodna, mocna wilgotna fala. Szparki w oczach otwierają się i koza czuje się tak dobrze, jak już dawno się nie czuła. Zinder przygląda się jej uważnie i widzi, że w jej ciele jakby rozgorzało na nowo delikatne światło. W takim razie załatwione. Dobrze.

Całkiem sprawnie idzie mu też z naprawą i poprawkami przy innych sprawach. Pola, sprawdzane przez niego co kilka nocy, kwitną i dadzą w tym roku niezwykle obfite plony. Znow trzeba przetkać studnie - ale to zabiera mu ledwie dwie sekundy. Koklusz u dziecka ustępuje. Kobieta z reumatyzmem oraz mężczyzna ze świerzbem dochodzą do siebie i nie trzeba im już więcej pomagać. (Syn cieśli, któremu w zeszłym miesiącu obcięto palec, wciąż

nie może sobie uświadomić, że ten odrasta i będzie jak nowy. Zinder natchnął go myślą, żeby modlił się codziennie o cud, co doskonale dopasuje się do ogólnego schematu i uraduje też małego księdza.)

Kiedy w końcu Zinder odlatuje od wioski, wciąż nisko, widzi przy wejściu do tawerny trzech, czterech swoich dręczycieli od grudy ziemi. W odróżnieniu od uzdrawiającej Zycie-Wody, którą Zinder może zrobić w domu za pomocą magii, podawany tutaj zajzajer nie tylko rujnuje zdrowie i wywraca flaki, ale do tego jeszcze wywołuje agresję. Młodzi mężczyźni szykują się do bitki.

Nie mogą zobaczyć Zindera szybującego nad ich głowami, ledwo cztery metry nad ziemią, w pełnym świetle księżyca. Żaden człowiek nie może go zobaczyć, chyba że Zinder na to pozwoli, ale zwierzęta tak. Wilk i lis, niedźwiedź, nawet psy łańcuchowe, zawsze unoszą łby, by popatrzeć, jak przelatuje.

Zinder przygląda się bójce, która jest zbyt chaotyczna i niezgrabna, by ktoś mógł odnieść poważniejsze rany.

Ale te osiaki zawsze go atakują. Teraz nadszedł czas zapłaty - co zrobi Zinder, nieznany mag?

Śmieje się bezgłośnie i ciska na nich przypominający błyskawicę pocisk, który przewraca ich wszystkich na plecy. Nikt nie odniósł większych obrażeń czy nawet się nie potłukł. Padli, lądując jakby na puchowych materacach. Sam cios znacznie poprawił ich samo-poczucie, o wiele lepiej niż alkohol. Leżą tak, patrząc na Zindera (którego nie widzą), na księżyc i migoczące gwiazdy. Przekazuje im swoje myśli.

- Jaka piękna noc - mówi jeden. - Mógłbym napisać pieśń jakąś...
- Zbyt piękna, żeby się bić - mówi drugi. - Ech, pozalecałbym się do jakiejś panny...
- Żałuję, że ukradłem tę monetę, może ją oddam... - mówi trzeci.
- Chciałbym mieć takie miękkie łóżko - dodaje ostatni.

Zinder odlatuje i kieruje się wprost pod olbrzymią otwartą kopułę nocy.

Przelatuje pod nim sowa o białych skrzydłach, które rozpościera na podobieństwo żagli, z kocią twarzą i złotymi ślepiami.

Leci na północ, młody człowiek na swoich własnych, czarnych skrzydłach. Tam jest miasto, coś, o czym we wiosce mówi się z nie-dowierzaniem, jakby było nie z tego świata.

Pod nim rozciągają się pola i lasy, przesuwiają się wzgórza i doliny. Daleko, daleko piętrzą się zapierające dech w piersiach góry, które po drodze na północ, tam, dokąd leci Zinder, kreślą zarysy swych cukrowych szczytów, odcinających się od nieba w świetle księżyca.

Płynie tam szeroka, dostojna rzeka, na której toni księżyc odmalowuje cień Zindera. (Bo Zinder ma cień. Jego drugie ciało nie jest ulotne, ale pełnokrwiste, tak jak to, którego używa w wiosce.) Łosoś wyskakuje z wody, gotów schwytać ów czarodziejski cień. Najwyraźniej nawet ryby wiedzą, że pojawienie się Zindera to dobra nowina.

Światła miasta stopniowo zaczynają się wyłaniać na długiej równinie, gdzie złote kłosa gęsto się płożą. Droga wiedzie do miasta, a na tej drodze nawet nocą panuje ruch - wozy i furmanki, jeźdźcy, patrole gwardii miejskiej oraz powozy bogaczy.

I nagle miasto wyrasta z równiny, tak jak wcześniej góry. Ukazuje krąg fortyfikacji miejskich - wysokich jak górskie ściany. Mają wieże na podobieństwo ostrych kłów, ale te wieże są podziurawione jak ucha igielne, z których padają ostre smugi światła. Na wielkich bramach płoną pochodnie. A w środku, gdzie stoją masywne budowle, wszystko wygląda tak, jakby było zrobione z czarnego papieru czy koronki trzymanej przy płomieniu świecy, za sprawą tysięcy oświetlonych drzwi i okien.

W samym środku miasta stoi wzgórze, na którego szczycie unosi się pałacowa forteca. Tak wiele tu płyt i pozłoty, wielkich okien i drzwi, że wydaje się, iż składa się wyłącznie z płomienia.

Zinder leci nad miastem nisko i pewnie, nad pojazdami i ludźmi, wieżami wartowniczymi, kościołami, domami i ogrodami, nad targiem nocnym, opasanym naszyjnikami z lamp.

Jednak często lot zostaje przerwany.

Widząc albo czując coś, Zinder od czasu do czasu pikuje w dół. Łamie drabinę typa spod ciemnej gwiazdy w alejce, łapie go i upuszcza w kałużę przedniego piwa. Podnosi dziecko, które się przewróciło, i leczy jego otarcia. Podsyca ogień pod zupą, która nie chce się zagotować, i tłumi ogień pod zupą, która niemal się wygotowała. Mężczyznę, który bił psa, ciska na ziemię i staje nad nim, tak że człowiek ten wyje ze zgrozy, gdy niewidzialny ciężar przyspila go do ziemi, a pies ucieka. Trzyma za rękę umierającego, szepcząc słowa nadziei do jego ucha. Podróż przez miasto, która zabrałaby mu ledwo kilka minut, trwa dwie godziny i dłużej.

Pozwala sobie na drobną przyjemność. Pewien starzec modli się w malutkim kościółku przy pałacowym wzgórzu. Ma poskręcane artretyzmem dłonie. Chyżo niczym złodziej, Zinder wślizguje się przez okno, chwyta staruszka za dłonie, otaczając je chłodnym ciepłem, i leczy go w okamgnieniu. Tym razem Zinder pozwala pacjentowi zerknąć na cień czarnych skrzydeł. Doskonale. No, posłuchajcie go tylko! Staruszek wierzy, że został uleczony przez anioła.

Ale czy Zinder się nie spóźnia? O nie.

Miasto, a szczególnie pałac, jest dokładną odwrotnością wioski, która budzi się o wschodzie słońca i zasypia o zmierzchu. Pałac wstaje regularnie wraz z księżycem i nie zasypia długo przez noc. Noc jest dniem. Świt jest zmierzchem.

Skrzydła Zindera lecą nad złotym dachem, który podpierają posągi dziwnych ptaków i zwierząt. One też wydają się go dostrzegać - kilka rzeźbionych kamiennych głów z chrzęstem odwraca się, kiedy przelatuje obok.

Już jest balkon. Zinder spogląda w dół.

Księżniczka z włosami białymi jak łan jęczmienia na równinie opiera swoją główkę na upierścienionej dłoni i spogląda na księżyc.

- Czy czarnoksiężnik już nigdy do nas nie wróci? - pyta. - Tak za nim tęsknimy.

Wypowiada słowo „czarnoksiężnik”, które tutaj oznacza „mądrego męża”. Jednakże go nie zobaczyła. Nie wolno jej.

Zinder zawraca, wlatuje w wielkie, jasno oświetlone okno i leci prosto do złotej sali.

*

Scena zapiera dech w piersiach - przypomina w pewnym sensie wizję ze snu, tyle że Zinder często się tu pojawia, tak jak w innych podobnych miejscach. Dlatego też Zinder jest obyty z tym bijącym w oczy przepychem. Wisi tu mnóstwo złotych kandelabrow z setkami czystych, białych świec, które płoną tak jasnym płomieniem, iż sprawia to wrażenie, jakby usiadły na nich kryształowe motyle. Na ścianach widnieją srebrne ornamenty, wokół wiszą zastony z czerwonego jedwabiu, a posadzka jest wykonana ze skrzętego się lodowego marmuru.

Król i jego dworzanie uczują.

Na salę wjeżdżają co i rusz wielkie tace z kutego złota, na których pyszną się pieczenie udekorowane kawałkami przedniejszego mięsa, owocami i warzywami. Służba stale wnosi srebrne dzbany czerwonego wina i alabastrowe wina różowego, natomiast wino białe, tak czyste, iż ma zielonkawy odcień, podawane jest w dzbanach wykonanych z przezroczystego kwarcu. Na stołach, udrapowanych białymi chustami z karmazynowymi frędzlami, piętrzą się zamki wykonane z cukru i lodu.

Sami goście siedzą wystrojeni w tak pyszne szaty z barwionego jedwabiu, wyszywane perłami, że zdają się przypominać zbroje - mężczyźni i kobiety mogą się poruszać jedynie bardzo wolno i sztywno.

A jaki harmider! Słysząc muzykę i przekrzykujące się głosy biesiadników, poszczekiwanie piesków salonowych oraz świergot i ćwierkanie ptaków w złotych klatkach.

Niewidzialny Zinder ląduje zgrabnie w środku sali. Rozpościera swoje skrzydła tak szeroko, jak tylko może.

Wtedy dopiero się ukazuje.

Hałas narasta - prawdziwa wrzawa - noże i metalowe części zastawy spadają na ziemię z głośnym brzękiem, warty krocie jadeitowy dzban rozpryskuje się na drobne kawałki.

Po czym zalega głucha cisza.

W tej ciszy Zinder odzywa się dwornie:

- Dobry wieczór.

Sam potrafi przemawiać jak król. Zawsze wiedział, jak to należy robić. Nikt nigdy go tego nie uczył, tak samo jak w jego wiosce nikt nie uczył go, jak należy kwakać.

Ale kiedy tylko przemówił (i w myślach wydał polecenie dzbanowi, by się złożył w całość), rwetes wybucha ze zdwojoną siłą. Szlachcice mocują się ze swymi sztywnymi strojami, by oklaskami nagrodzić przybysza, a damy dotykają jedwabistych, kruczych skrzydeł. Sam król wstaje od stołu i podchodzi do Zindera. Król i Zinder wymieniają pokłony jak równy z równym.

- W czym mogę waszej królewskiej mości służyć? - pyta grzecznie Zinder.

- Niczego nam nie trzeba, mój panie, zaręczam ci. Choroba mego kuchmistrza ustąpiła, dzięki twojej mocy - i oto, jaką ucztę wydał! Wiśnie, które nie chciały owocować w moim sadzie, wściekły się najwyraźniej, bo wydają owoce wielkości jabłek, które wprost pękają na gałęziach!

Jak dotąd król nie poprosił Zindera o nic, czego musiałby mu odmówić. W innych miastach często było inaczej. Wielu władców, ujrzawszy magiczną moc Zindera, obiecywało mu góry złota - jakby nie mógł ich sobie sam wyczarować, gdyby tylko zapragnął - w zamian za pomoc w wojnach czy napaściach. Głównie wyrażali życzenie posiadania jakichś odrażających machin wojennych czy specjalnie dla nich zaprojektowanej broni, wspominając, że mogłaby ona ziać niemożliwym do ugaszenia ogniem czy też wywoływać trzęsienie ziemi. Tego typu życzenia to nic dobrego. Zinder zawsze odmawiał i nie dał się przekonać. Czasami jakiś władca się wściekał, jeden czy dwóch nawet nakazywało strażę pojmać i ukarać Zindera. Wynik takiego postępowania, choć może i zabawny - zbrojni kręcą się wokół swoich mieczy, zamienieni w świeże bochenki chleba i inne podobne rzeczy - nigdy nie zakończył się pojmaniem Zindera. Królowie się dąsali. Tylko raz Zinder zaproponował pomoc w wojnie. Postawił tak wysokie mury obronne w mieście i tak silne bramy, że nie można było ich zdobyć. Stworzył również smoka, który przegnał agresora, ale smok ział zimnym ogniem, więc ofiar nie było. Smok, wysokie mury oraz bramy, przez które nie można przejść zbrojnie, rozplynęły się w powietrzu, kiedy tylko zagrożenie zniknęło.

Zinder i król spacerują po sali, a wszyscy klaszczą i się uśmiechają. I Zinder wie już, iż król będzie jednak prosił go o rzecz niemożliwą do spełnienia.

- Tak między nami - zaczyna król - moja córka...

Zinder milczy.

Stają we względnie spokojnym miejscu - podcieniu otwartego, wielkiego okna. Miasto leży u ich stóp, płózące się nocą jak złote drzazgi roztrzaskanego jodeitowego dzbanu.

- Czy rozważyłbyś, panie, zostanie moim zięciem? - pyta król. - Przy tobie sam mógłbym stać się wielkim magiem...

Zinder przerywa mu łagodnie:

- Przykro mi.

- Dostałeś lepszą propozycję?

- Żadnej.

Zinder jest zbyt taktowny, by powiedzieć królowi, ile otrzymał propozycji królewskich mariaży.

W tej samej chwili, po tym, jak służka poinformowała ją, iż czarodziej Zinder zawitał do sali jadalnej, księżniczka wpada - nieco zbyt wolno, z powodu szat, które nosi - do komnaty. Jej klejnoty tak błyszczą, że wydaje się, iż pojawia się w gwiazdnym pylenie.

W połowie sali przypomina sobie, że jest jednak księżniczką. Zaczyna poruszać się niezwykle wolno. Kiedy dochodzi do Zindera, jest blada jak jej jasne włosy i zaróżowiona jak wino w alabastrowych dzbanach.

- Dlaczegoś, panie, tak długo nas unikał? Już miesiące minęły, odkąd ja... my... widzieliśmy waszmość.

- Miałem mnóstwo pracy - odpowiada Zinder.

Uśmiecha się do niej grzecznie, chociaż na swój sposób jest to smutny uśmiech, ponieważ wie, że wzbudzi jedynie większą sympatię do swojej osoby. Każdej nocy trafia do jakiegoś miejsca, kolejnego miasta czy małej wioski, takiej jak ta, w której mieszka. Zinder

jest naprawdę zajęty w nocy, naprawiając świat, czyniąc go, tam, gdzie może, lepszym. A tam, gdzie nie może, sprowadza pocieszenie.

Ale księżniczka jest w nim zakochana.

Nachyla się do jej ucha i szepcze:

- Wybacz mi. Sprawię, że pokochasz kogoś innego. Będzie przystojny, bogaty i o wiele bardziej odpowiedni niż ja.

- Ale waszmość jesteś przystojny - mruczy księżniczka rozmarzonym głosem, zapominając o wszystkich zebranych. - Jesteś bogaty magią.

- Ten, którego tu sprowadzę, będzie bogaty jak następca tronu. I o wiele przystojniejszy. Zaufaj mi, pani.

Zaklęcie zaczyna działać. Księżniczka wzdycha. Z jej oczu spadają dwie, ciężkie łzy jak szklane paciorki i plamą rąbek jej sukni. Ale plama szybko znika pod wpływem gorąca panującego w sali.

Nikt ze zgromadzonych w sali nie widział, co zaszło. Spostrzegli jedynie, że do sali wlatuje przez okna siedemnaście łabędzi ze srebrnymi piórami w turkusowych koronach i staje w kręgu, śpiewając pieśń o radości i przyszłych bogactwach.

To prawda, że przyśle do niej księcia. Podczas podróży na wschód Zinder już napotkał odpowiedniego kawalera. Dlatego w jego umyśle Zinder rozpylił już proch myśli o jasnowłosej księżniczce - tak samo jak w jej blond myśli wtłoczył marzenie o gibkim i przystojnym księciu. Łabędzie kończą swój śpiew. Pojawiają się jednorożce, które wykonują wojenny taniec, zakończony honorowym rozejmem. Zinder zasiada po prawicy króla i spożywa swój pierwszy posiłek tego dnia, czy raczej nocy.

Kiedy jednorożce odlatują, pojawia się stado białych gęsi, które zmieniają się w grupę cnych dziewczyc, spowitych w szaty ze złotogłowa, zatopionych w płasach. Po skończonym przedstawieniu rozwijają gęsie skrzydła i również odlatują w noc. Na koniec księżyc podpływa do okien przy wtórze stłumionych okrzyków i odgłosów strachu biesiadników w sali. Ale księżyc ukazuje się jako okrągły, biały okręt z delikatnymi żaglami i strzela ze srebrnego działa, którego kula wpada do sali i obsypuje wszystkich wstążkami i łakociami. Później księżyc odpływa dalej. Pozwala to Zinderowi dokończyć posiłek. Księżniczka już też siedzi rozchmurzona. Zinder wyczarowuje błękitną różę na jej półmisku. Kiedy znów przybędzie do tego miasta, będzie już szczęśliwą narzeczoną księcia z marzeń.

Wielki pałacowy zegar o wyglądzie żółwia z kości słoniowej wybija pierwszą w nocy, potem drugą, trzecią i czwartą.

Zinder zmienia połowę płomieni świec w motyle, które migocząc, nikną w mroku nocy.

W półmroku opuszcza króla i jego dwór tak samo niespodziewanie, jak się pojawił, jak zawsze znikając na ich oczach, tak jak tego od niego oczekują.

Prawdziwy księżyc chyli się ku dołowi.

Ale z wysoka Zinder wkrótce zobaczy ogony chmur. Gonią słaby wczesny blask budzącego się słońca.

Musi teraz szybko wracać do domu.

Potężne miasto zostaje daleko w tyle, pod nim rozpościera się knieja pełna jeleni, wilków przemykających się chyłkiem jak smugi księżycowej poświaty, gronostaj z brązowym, letnim umaszczeniem, które popiskując, baraszkuje w załomie strumienia i z wysoka wyglądają jak robaczki.

Pospiesznie, zauważając gorzącą plamę, Zinder obniża lot, by jednym tchem zdmuchnąć płomień na wiejskiej chacie. Okrutnemu myśliwemu, który z łapczywości zabija więcej zajęcy, niż potrzebuje do garnka, Zinder przekazuje myśl, w której to jego własna żona zmienia się w zajęcia. (Rozpacza nad myśliwym, który też jest zajęcem, bo wpadł w zastawione przez kogoś wnyki.) Zinder szepcze słowa pocieszenia do ucha wdowy szlochającej nad mężowskim grobem w cieniu drzew. Wkłada garść monet do jej kieszeni i szczepkę rośliny, która wyrośnie na kwiecisty krzak. Wywar z jego pachnących kwiatów, po zamianie na perfumy, przyniesie jej majątek.

Ale ciężka zasłona wstającego na niebie świtu wciąż nieustępliwie pcha się w górę.

Nadchodzi poranek, starając się wygrać ten wyścig.

Zinder szybuje do wioski.

Zanim ktokolwiek otworzy oczy, musi znaleźć się w swojej zwykłej powłoce.

Udaje mu się to w ostatniej chwili i zapada się, zapada. Gotów stawić czoło kolejnemu ciekawemu dniu jako Kwakacz.

Zinder-Kwakacz nigdy nie zadawał sobie pytania, dlaczego tak jest, albo jak to mu się udaje. Najwyraźniej to, co robi, jest całkowicie normalne. Uwielbia przyjemności, podobnie jak moc. I największą jego przyjemnością w życiu, największą ze wszystkich, jest to, co robi, kiedy zmienia nieco oś ziemi. Każdy może przynieść cierpienie i rozpacz. Nie wymaga to ani krztyny wyobraźni. Jest to dziecięca igraszka i żadne wyzwanie. Ale naprawa potrząskanych dzbanów rozpaczy, niegodziwości, choroby i złego losu - to wymaga ingerencji twórczego umysłu. Moc tego jest prawdziwie oszałamiająca: by ukołysać życie, wziąć je z zaskoczenia. Poza tym dla Zindera jest to nieskończenie ciekawe.

Tak czy owak, jak on to robi? Czym jest to stworzenie skryte w ziemskiej powłoce Kwakacza?

Tego nie wie. Nie zamierza też zaprzętać sobie tym głowy. Zawsze to w nim tkwiło. Nawet kiedy leżał w kołysce - berbec znieawidzony przez całą wieś, która chciała go rzucić wilkom na pożarcie. Tak, nawet kiedy wlatywał w nocy w niebo, kreśląc kręgi w powietrzu, nie większy niżli ćma, niewidzialny, kiedy scalał powyginane dachówki, albo łaskotał myszki, by znalazły się w bezpiecznym miejscu. Sam zaśmiewając się przy tym do rozpuku. Kiedy raczkował, a rozum zaczął układać już jego myśli w słowa, wtedy wiedział już, co robi. Tylko tyle. Po prostu wiedział. Jego umiejętności rosły z wiekiem, co zwykle się dzieje, kiedy ktoś lubi to, co robi, i ponadto ma do tego talent.

Na razie zasypia na chwilę. Zinder, czy też Kwakacz, potrzebuje tylko chwili na wypoczynek.

I wtedy nagle koralowy sznur porannych promieni słonecznych, jak zwykle, przebija się przez jaskinię z porąbanymi pniakami i kładzie się na jego powiekach na podobieństwo gorących łyżeczek, więc je otwiera.

Teraz znów jest Kwakaczem. Ale Kwakacz za dnia również doświadcza szczęścia - i nigdy się nie boi. Bez zastanawiania się, podobnie jak nie zastanawia się nad wszystkimi za i przeciw, kiedy jest Zinderem, Kwakacz wie, że nic na świecie nie jest w stanie zmienić tego, kim jest, ani zawrócić go z drogi. Bo Kwakacz to Zinder i Zinder to Kwakacz. Odpowiedź jest zagadką, a zagadka odpowiedzią.

Jak zawsze, kiedy siada na pośnaniu, Kwakacz wybuchają śmiechem.

Tego ranka dwóch młodzików z wioski wlecze się na pole z obolałymi głowami, jeden gryzie się z powodu ukradzonej monety, drugi tęskni za puchowym pośnaniem. Wpadają na Kwakacza na skraju lasu.

Popychają go i kopią.

Jeden z nich słyszy, jak mu się wydaje, trzask pękającej kości.

- Wypędzimy tego ohydneho potwora! Przynosi tylko pecha! Lepiej, żeby zdechł.

Kwakacz leży na wystających korzeniach drzewa. Nic go nie boli, bo wyleczył złamaną nogę w mgnieniu oka.

Dzielni młodzieńcy nie wiedzą tego. Nachylają się nad nim, klnąc i warcząc. Zabiją go? Uda im się?

Nagle rozlega się straszny warkot.

Czyżby czarny niedźwiedź wypadł z lasu?

Napastnicy odskakują, ale nie widzą żadnego niedźwiedzia. To Wielki Łowczy stoi ze swymi kordelasami i łukiem, a jego ostrym spojrzeniem można by poszatkować ziemniaki.

- Złaźcie z niego, bydlaki! Albo zaraz sam się z wami policzę!

Młodzicy uciekają, mrucząc pod nosem, że najwyraźniej stary głupiec poczuł miętę do tej powłócznej matki Kwakacza, a Łowczy podchodzi do niego i pomaga mu stanąć na nogi.

- Pięknie dziękuję waszmości - odzywa się Kwakacz z królewską gracją.

Po raz pierwszy Wielki Łowczy rozumie, s ł y s z y Kwakacza. Zawstydzony, zaskoczony, instynktownie wykonuje lekki skłon.

- Proszę uprzejmie - mamrocze Wielki Łowczy.

BILLY I CZARODZIEJ

TERRY BISSON

Co byś zrobił, gdybyś nakrył diabła na przetrzysaniu twojego garażu...?

Terry Bisson jest autorem licznych, cenionych przez krytykę powieści, takich jak Fire on the Mountain, Wyrlldmaker, popularny Talking Man (który znalazł się w finale World Fantasy Award w 1986 roku), Voyage to the Red Planet, Pirates of the Universe, The Pickup Artist, oraz, w pośmiertnej współpracy z Walterem M. Millerem, Jr., dalszy ciąg Kantyku dla Leibowitza Millera, zatytułowany Święty Leibowitz i Dzikokonna. Często też zamieszcza swoje utwory w takich pismach jak „Sci Fiction”, „Asimov's Science Fiction”, „OMNI”, „Playboy” i „The Magazine of Fantasy & Science Fiction”. Jego słynne opowiadanie Niedźwiedzie odkrywają ogień przyniosło mu nagrodę Hugo, nagrodę Nebula, Theodore Sturgeon Memorial Award oraz Asimov's Reader's Award w 1991 roku, jako jedyne opowiadanie w historii, które zagarnęło je wszystkie. W roku 2000 zdobył kolejną nagrodę Nebula za opowiadanie Maksy. Jego krótkie formy zostały zebrane w antologiach Bears Discover Fire and Other Stories i In the Upper Room and Other Likely Stories. Ostatnio opublikował dwa nowe zbiory Numbers Don't Lie i Billy's Book. Mieszka z rodziną w Oakland w stanie Kalifornia.

Billy miał pewną tajemnicę. Lubił bawić się lalkami. Jedna z jego lalek potrafiła mówić. Miała na imię Clyde. Clyde mówił tylko wtedy, gdy Billy ciągnął za jego strunę. Pewnego dnia Billy pociągnął za strunę.

- Chciałbyś poznać czarodzieja? - zapytał Clyde.

Billy był zdumiony. Clyde nigdy nie zadawał pytań. Billy znów pociągnął go za strunę.

- No to jak? - podjął Clyde. - Ilu małych chłopców ma okazję poznać czarodzieja?

- A czego on jest czarodziejem? - zapytał Billy. Znów pociągnął za strunę.

- On jest czarodziejem wszystkiego - odparł Clyde. - I ukrywa się w garażu.

- Przed czym się ukrywa? - zapytał Billy. Znów pociągnął.

- On jest czarodziejem wszystkiego - powtórzył Clyde. Czasami Clyde powtarzał to samo raz za razem. - I ukrywa się w garażu.

*

Billy rozejrzał się po garażu. Nie było tu nic oprócz starych czasopism.

- Sprawdzam w garażu - powiedział. - Ale żadnego czarodzieja nie widziałem.

Pociągnął za strunę Clydea.

- Oczywiście, że nie - odparł Clyde. - Przecież się ukrywa. Musisz poszukać dokładniej.

Billy poszukał dokładniej.

- Wciąż nie widzę żadnego czarodzieja - stwierdził. Pociągnął za strunę.

- Oczywiście, że nie - odparł Clyde. - Ukrywa się. Musisz poszukać dokładniej.

Billy poszukał dokładniej. Przejrzał też czasopisma.

W końcu znalazł jedno zatytułowane „Współczesny Czarodziej”. Otworzył je i był tam czarodziej. Mały i płaski, ze spiczastym kapeluszem.

- Ja nie jestem żadnym czarodziejem - powiedział. - Idź sobie.

- Właśnie, że jesteś - stwierdził Billy. - Widzę po kapeluszu.

Czarodziej nie skomentował tego. Był tylko obrazkiem. Po chwili Billy odwrócił kartkę.

Znów pojawił się czarodziej.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytał.

- Clyde powiedział mi, że ukrywasz się w garażu - odparł Billy. Znów odwrócił stronę.

Na każdej stronie był ten sam czarodziej. Miał spiczastą brodę, która pasowała do spiczastego kapelusza.

- Ten Clyde - powiedział czarodziej.

- Naprawdę jesteś czarodziejem wszystkiego? - zapytał Billy.

- Odwróć kartkę - polecił czarodziej. Billy odwrócił. - A kto ci to powiedział, mój chłopcze?

- Clyde - odparł Billy.

- Ten Clyde - skwitował czarodziej. - Nie wolno tak ciągle pociągać za strunę. Odwróć kartkę.

Billy znów odwrócił kartkę.

- Nie jestem czarodziejem wszystkiego - odparł czarodziej. - Jestem czarodziejem wszystkiego innego.

Billy zastanowił się nad tym.

- Przed kim się ukrywasz? - zapytał.

- A jak myślisz? - powiedział czarodziej. Billy odwrócił kartkę.

- Poddaję się - rzekł.

- Przed diabłem - odparł czarodziej. - A teraz odłóż mnie na kupkę.

- Znów się bawisz lalkami? - zapytała mama Billy ego. Stała w drzwiach do garażu.

- Nie, mamusiu - powiedział Billy.

- No to chodź na kolację.

*

- Billy znów się bawił lalkami - stwierdziła mama Billy'ego. Kroiła indyka.

- Oczywiście - odezwał się tata Billy'ego. - Bo jest beksą.

- Wcale, że nie - zaprotestował Billy.

- A właśnie, że tak - powiedział tata. - Masz, przyniosłem ci nową lalkę.

*

Po kolacji Billy zabrał lalkę do swego pokoju. Była to lalka niemowlak. Strasznie mu się nie spodobała.

Miała strunę. Billy pociągnął za nią.

- Beksa, beksa - powiedziała lalka.

- Wcale, że nie - zaprotestował Billy. Potrząsnął lalką i znów pociągnął za strunę.

- A właśnie, że tak - powiedziała lalka.

Billy przywiązał lalkę do ołówka. Następnie wyjął zapałki i podpalił ją. Pociągnął za strunę, żeby usłyszeć krzyki.

- Co ty tu robisz? - zapytała mama Billy'ego.

- Nic - odparł Billy.

- Bawi się lalkami - skwitował tata.

*

- Lalki są głupie - stwierdził Billy. Było to następnego dnia. Bawił się Clydeem w garażu, gdzie nikt go nie widział. - Nienawidzę lalek - dodał.

- Pociągnij za moją strunę - poprosił Clyde. Billy pociągnął.

- Nawet lalki nienawidzą lalek - powiedział Clyde. - Już wolałbym być małym chłopcem, jak ty.

- Naprawdę? - zapytał Billy. Objął Clyde'a i znów pociągnął za strunę.

- No, niezupełnie - dodał Clyde. - Przecież ty jesteś beksą. Chciałbyś poznać czarodzieja?

- Już poznałem - odparł Billy. - I nie jestem beksą.

- Ile małych beks ma okazję poznać czarodzieja? - zapytał Clyde.

*

Billy wyrzucił Clyde'a na śmietnik i poszedł do garażu, by odnaleźć czarodzieja.

Otworzył „Współczesnego Czarodzieja” i znalazł tam spiczasty kapelusz.

- Gdzie Clyde? - zapytał czarodziej.

- Wzywał mnie od beks - odparł Billy i przewrócił kartkę.

- Ten Clyde - powiedział czarodziej. - Mówiłem ci, żebyś nie ciągnął go za strunę.

- Nie mam nikogo innego do zabawy - odparł Billy. Rozejrzał się po garażu. Było tu ciemno i straszno. - Mogę cię wynieść na dwór? - zapytał.

- Ani mi się waż - ostrzegł czarodziej. - Przecież się ukrywam.

- A dlaczego diabeł chce cię dopaść? - zapytał Billy.

- A jak myślisz? - powiedział czarodziej.

Billy odwrócił kartkę.

- Poddaję się - rzekł.

- Chce mi ukraść kapelusz - odparł czarodziej. - Żeby mógł panować nad światem.

Billy znów się zamyślił.

- A jak on wygląda? - zapytał. Odwrócił kartkę.

- Jest brzydki i zły - odpowiedział czarodziej. - A teraz odłóż mnie na kupkę. Nadchodzi twoja mama.

- Co ty tu robisz? - zapytała mama.

- Nic - odpowiedział Billy.

- Zostaw te lalki i chodź na kolację.

*

- No popatrzcie tylko oboje! - wykrzyknął tato Billyego. Czytał gazetę. - „Czarodziej schodzi do podziemia”.

- Ukrywa się przed diabłem - stwierdził Billy.

- Najwyraźniej nie jest to czarodziej wszystkiego - rzucił tato. - Więc o co ten cały rwetes?

- Jest czarodziejem wszystkiego innego - wyjaśnił Billy.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - zapytała mama Billy'ego. - Jedz indyka. - Indyk był codziennie.

*

Billy obudził się w środku nocy. Clyde stał mu na piersiach. Billy przestraszył się.

- Przepraszam, że wyrzuciłem cię na śmietnik - powiedział.

- Pociągnij mnie za strunę - nakazał Clyde. Billy pociągnął.

- Przepraszam, że nazwałem cię beksą - powiedział Clyde. - A teraz szybko. Chodź ze mną! To wyjątkowa sytuacja.

- Co się dzieje? - zapytał Billy i pociągnął za strunę.

- Diabeł jest w garażu i szuka czarodzieja. Sytuacja jest naprawdę groźna!

*

Była północ. Rodzice Billyego spali.

Billy wymknął się bocznymi drzwiami i wszedł do garażu.

Diabeł siedział na podłodze i kartkował czasopisma. Miał paskudny i zły wygląd. Pysk psa. Do tego nie nosił spodni.

- Co ty tu robisz? - zapytał Billy. Choć wiedział.

- Nie przeszkadzaj mi, mały - warknął diabeł. - Idź lepiej pobawić się lalkami.

- Czarodzieja tu nie ma - rzucił Billy.

- Kłamczuch - stwierdził diabeł. - To mi się podoba. Tak trzymać, a teraz wracaj do łóżka i zostaw mnie w spokoju. Mam dużo pracy.

Znów zaczął przeglądać czasopisma.

- To mój garaż - powiedział Billy.

- Wcale, że nie - rzucił diabeł. - Tylko twego ojca. A ty jesteś beksa.

- Wcale, że nie jestem - odparł Billy. - Jakbym miał spluwę, to bym cię zastrzelił.

- Proszę uprzejmie - odparł diabeł.

Powiedział coś po łacinie i magiczny pistolet pojawił się w dłoni Billyego. Był srebrny. Billy wycelował w diabła i pociągnął za spust, ale usłyszał tylko trzask.

- Chyba zapomniałem naładować - stwierdził diabeł. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. -

Tu trzeba magicznych kul. Ale popatrz, co znalazłem.

Wyciągnął czasopismo w jego stronę. Był to „Współczesny Czarodziej”.

- Dzięki za podpowiedź, Clyde - powiedział.

Billy był wstrząśnięty.

- Powiedziacieś mu! - krzyknął. Szarpnął za strunę Clyde'a.

- Przepraszam! - zawołał Clyde. - Pociągnij mnie znów za strunę. Ale tym razem nieco słabiej.

- Nie rób tego! - wykrzyknął diabeł, ale Billy pociągnął.

- *Si vis pacem para bellum* - wymamrotał Clyde. - *Bibere venenum in auro*.

Diabeł podniósł się z ziemi przerażony. Nic dziwnego: w broni Billy'ego pojawiły się trzy złote kule.

- A właśnie miałem wychodzić - rzucił diabeł. Zakrył oblicze czasopismem i starał się gdzieś schować.

Ale nic mu to nie dało. Billy wypalił trzy razy: raz w pysk i dwa razy w serce.

Diabeł zniknął. Tak jak magiczna broń. Zostało tylko czasopismo. Billy podniósł je.

Była w nim dziura od kuli na wylot.

- O nie - wykrzyknął Billy. Otworzył pismo drżącymi dłońmi.

W spiczastym kapeluszu czarodzieja widniała dziura, ale sam czarodziej nie odniósł obrażeń.

- Dobra robota, Billy - stwierdził. - Nie jesteś beksą. Ale jak ten diabeł mnie tu znalazł?

Billy powiedział mu i odwrócił kartkę.

- Ten Clyde - westchnął czarodziej. - Nie potrafi trzymać buzi na kłódkę. Pociągnij za tę strunę, zobaczymy, co ma nam do powiedzenia.

Billy pociągnął za strunę.

- Przepraszam - kajał się Clyde. - Diabeł mówił, że też mnie zamieni w diabła. Wolałbym wszystko oprócz pozostania lalką. Prawie wszystko.

- Wszyscy popełniamy błędy - stwierdził czarodziej. - Więc ci wybaczam. Poza tym, to ty nam pomogłeś.

- To prawda - dodał Billy. - Może w nagrodę czarodziej zamieni cię w małego chłopca.

- Nie, dziękuję - odparł Clyde. - Wolę już zostać lalką.

Billy zastanowił się nad tym.

- Jak tam sobie chcesz - odparł czarodziej. - Ja stąd znikam.

- A co z kapeluszem? - zapytał czarodzieja Billy. - Ma dziurę.

- Mam zapasowy - odparł czarodziej. Już zaczął się rozmywać. - I teraz nie muszę się już ukrywać.

Billy przewrócił kartkę. Wciąż widać było na niej spiczasty kapelusz, tak jak dziurę, ale po czarodzieju nie było ani śladu.

*

- Co to za piekielne hałasy? - zawołał tato Billy'ego. Stał w drzwiach. - Oddaj pismo i wracaj do łóżka.

- Tak, tatusiu - powiedział Billy. Podał ojcu magazyn.

- „Współczesny Czarodziej” - przeczytał tato Billyego. Cisnął go na stertę innych. - Spiczaste kapelusze i lalki! Ale z ciebie beksa. Wracaj do łóżka i zabieraj tę swoją lalkę.

- Dobrze, tatusiu - odparł Billy. Pociągnął za strunę Clydea, wchodząc do domu.

- Ale z ciebie beksa - stwierdził Clyde.

- Mówiłeś coś? - zapytał tato.

- Nie, nic - odparł Billy. - To nie ja.

MAGYCY

Terry Dowling

Gdybyś mógł dokonać jednego - i tylko jednego - aktu magicznego, to co by to było? Dobrze się zastanów...

Terry Dowling (www.terrydowling.com), jeden z najbardziej znanych i cenionych australijskich pisarzy, zdobywca jedenastu Ditmar Awards i trzech Aurealis Awards, zadebiutował w 1982 roku i od tamtej pory zyskał międzynarodową sławę jako twórca science fiction, dark fantasy i horroru. Początkowo pisał opowiadania i umieścił je w takich antologiach jak Rynosseros, Blue Tyson, Twilight Beach, Wormwood, An Intimate Knowledge of the Night i Blackwater Days, a także Antique Features: The Best of Terry Dowling, The Man Who Lost Red i Basic Black: Tales of Appropriate Fear. Napisał scenariusze do gier komputerowych Schizm: Prawdziwe wyzwanie, Schizm II: Kameleon i Sentinel: Strażnik Grobowca, a jako redaktor opracował The Essential Ellison, Mortal Fire: Best Australian SF (z Vanem Ikinem) i The Jack Vance Treasury (z Jonathanem Strahanem). Urodzony w Sydney, mieszka w Hunters Hill w Nowej Południowej Walii w Australii.

Dwa razy żyli sobie ludzie o nazwisku Samuel Raven Pardieu. Najpierw nazywał się tak pewien dziewiętnastowieczny kowal, który próbował się jako balwierz podczas wojen napoleońskich. Rankiem po bitwie pod Waterloo w 1815 roku podczas zbierania zębów od zabitych w celu upłynnienia ich u dentystów z wielkich miast został nakryty na tym procederze przez angielski patrol i rozstrzelany na miejscu jako szabrownik.

Drugi Samuel Raven Pardieu był potomkiem tego człowieka w piątym pokoleniu i rankiem 24 maja 2006 roku ten drugi Sam, dwa tygodnie po swoich czternastych urodzinach, jeden pełny cykl księżycowy po przyjęciu na specjalne zajęcia w Dessidzie, siedział w swoim ulubionym miejscu z widokiem na całą rozległą posiadłość, kiedy odnalazła go Bettina Anders.

- Wiedziałam, że cię tu zastanę - stwierdziła Bettina tym swoim wszechwiedzącym tonem. - Nie zapomniałeś, co dzisiaj jest?

- Jasne, że nie - odparł Sam, jakby mógł zapomnieć, jakby trzeba mu było o tym przypominać. Główna rozmowa kwalifikacyjna. Jego pierwsza rozmowa sam na sam z Luciušem Prandtem, jednym z największych magów na świecie.

Prawdziwym zaskoczeniem był fakt, że Bettina w ogóle z nim rozmawiała. Podczas czterech tygodni w Dessidzie, zarówno na zwykłych lekcjach, jak i specjalnych zajęciach dla Magyków, które odbywali wspólnie dzień po dniu, Bettina zamieniła z nim może kilka zdań. A teraz była przy nim, ta nieprzystępna czternastolatka, ta, którą pozostałych osiemnaścioro uczniów, łącznie z Samem, za jej plecami nazywało Księżniczką, i udawała życzliwość. Udawała. To nie może być szczere zainteresowanie.

Naturalnie Sam siedział w swoim specjalnym miejscu. Tuzin kamiennych cokołów otaczało starą, zdobioną bramę przed frontowymi schodami do głównego budynku Dessidy, dwanaście mar-murowych piedestałów zarośniętych całkowicie ostrokrzewami i paprociami, poza tym, który Sam oczyścił i na którym teraz siedział. Wielki dom stał za jego plecami na wzniesieniu, górując nad rozległą wiejską posiadłością.

Bettina nie odchodziła. To kolejny cud. Po prostu stała, ciemnowłosa i, jak się nad tym zastanowić, piękna jak księżniczka, i najzwyczajniej rozglądała się wokół.

- Cóż, mam nadzieję, że dobrze wypadnie - powiedziała, wprawiając go w jeszcze większe osłupienie.

Sam nie był w stanie tego pojąć. Ze Bettina Anders mówi coś takiego. I wraz z tym pojawiła się kolejna myśl: Co ona wie na temat mojej rozmowy kwalifikacyjnej, czego ja nie wiem? Co się dzieje podczas rozmowy z Luciušem? Czy powinienem ją o to zapytać?

Sam postanowił być ostrożny i nie skomentował tego. Po co pytać, skoro i tak zaraz utrze mi nosa? Wcześniej, zanim się pojawiła, wpatrywał się w to, co leżało ukryte w ostrokrzewie między cokołami. Teraz również spoglądał na posiadłość, olbrzymi teren położony pośród zielonych pofałdowanych wzgórz na tle pięknego jesiennego nieba. Bardzo starał się nie dopuścić, by Bettina dowiedziała się, czemu się wcześniej przyglądał. Była to jego tajemnica, jego własny fragment Dessidy.

Ale dziewczyna się ociągała. Wbrew wszystkim racjonalnym przesłankom i zdrowemu rozsądkowi Bettina nie miała zamiaru odejść.

- No to jak, masz już przygotowane pytanie? - zapytała.

- Co takiego?

- Dzień Głównej Rozmowy Kwalifikacyjnej jest również Dniem Pierwszego Pytania, gdybyś nie wiedział. Lucius prawdopodobnie poprosi cię, żebyś je zadał. Zwykle tak robi.

Sam nie wiedział, o czym mowa.

- Pytanie? Jakie pytanie?

- Aaaach. - W ustach Bettiny zabrzmiało to jak: „A więc nie wiesz!” - Tak jak mówiłam. Zapyta cię, czy masz jakieś pytanie. No to masz?

- Jedno pytanie. Mam mnóstwo pytań. Na przykład kiedy zaczną się zajęcia z prawdziwej magii. Zamiast tych ćwiczeń umysłu, które powtarzamy do znudzenia.

- Musisz być cierpliwy - odparła Bettina, choć sama w ogóle nie wyglądała na cierpliwą. - Warto.

Właśnie w tej chwili Sam pomyślał, że nakazano jej go odnaleźć, żeby usłyszał to wszystko. Przy dwóch miesiącach doświadczeń więcej w Dessidzie najpewniej wykonywała czyjeś polecenia, jakieś zadanie. Może sam Lucius ją posłał. Było to bardzo prawdopodobne.

- A gdzie ty chciałybyś się teraz znaleźć, Bettino? - zapytał i zobaczył, że jest zaskoczona.

- Co takiego?

- To moje miejsce. Uwielbiam tu przesiadywać, obserwować posiadłość i dom. Ale tobie przebywanie tutaj nie sprawia przyjemności. No to gdzie wolałybyś teraz być?

Jej wyzywająca postawa wróciła w okamgnieniu. Nic nie mogła na to poradzić.

- Jesteś taki mądry i nieprzystępny. Sam mi powiedz!

Nieprzystępny! Sam był wstrząśnięty. Nie może być. Kto tu jest nieprzystępny!

- Cóż, nie znamy się dobrze, ale z pewnością chciałybyś się znaleźć na szczycie tamtej wieży - powiedział Sam, wskazując na olbrzymie drzwi wejściowe w Dessidzie przy końcu zarośniętego podjazdu. Nad wielkimi drzwiami wyrastała skromna wieża główna, wysoka na trzy piętra, z wielkim brązowym dzwonem, zdobionym podium na górze i łopocącą flagą na maszcie. - Albo za jeziorem, tam, za tymi drzewami. W jakimś odległym i bezpiecznym miejscu.

Bettina wpatrywała się w niego, nie dlatego, iż niby trafnie to odgadł - skąd mógłby to wiedzieć? - ale prawdopodobnie z powodu ostatniego zdania i ostatnich dwóch słów.

Ta wymiana spojrzeń mogła być znacząca, gdyby nie fakt, że Bettina miała się na baczności, chroniąc coś bardziej, niż nawet Sam to robił. Jego ostatnia uwaga była prawdopodobnie zbyt blisko celu. Musiała powiedzieć coś, żeby poradzić sobie z poczuciem bezbronności, jakie wywołało u niej to zdanie.

- Nie wyobrażaj sobie, że ci powiem - powiedziała tonem „Księżniczki” Bettiny. - I nie myśl sobie, że nie wiem, dlaczego tu siedzisz. Widzę wyraźnie, że gapisz się na tę głupią rzeźbę. - Wskazała na krzak za cokołem, na którym siedział Sam, a potem dostojnym krokiem ruszyła w stronę domu.

Sam mógł ją zniechęcić w chwili, kiedy patrzył, jak odchodzi, ale wiedział, że to uczucie skrywałoby jedynie coś innego, tak jak nagły wybuch u Bettiny. Miała się na baczności, chroniła coś. Sam robił to samo.

- To jedyna, która została! - mógł zawołać za nią, kiedy zniknęła za dwuskrzydłowymi drzwiami. Ale nie zrobił tego. Spojrzał natomiast na powalony posąg skryty w krzaku ostrokrzewu, figurę z brudnego, białego kamienia, wykonaną z tego samego starego marmuru, co cokoły, powaloną i zapomnianą dawno temu.

Cokolwiek zdołało pozostać cokoły, dawno już tego nie było. Sam dom był wystarczająco dobrze utrzymany, choć posiadłość w Dessidzie z całą pewnością lata świetności miała za sobą.

Niech powie innym uczniom o statui. Niech powie ich trzem nauczycielom albo komuś innemu z grona pedagogicznego, niech tam nawet Luciusowi.

Nieprzystępny! Jak ona śmiała!

Sam spojrzął na zegarek - 9.45. Niemal już pora.

Główna rozmowa. W końcu sam na sam z Lucusem!

Ale Bettina nie miała powodów, by kłamać. Dzień Pierwszego Pytania. O co zapyta? O co można zapytać człowieka, który jest najpewniej największym magiem na świecie, po tym, jak zostało się sta-rannie wybranym z setek, nie, dosłownie tysięcy innych dziewcząt i chłopców z całej Australii, z całego świata, jeśli to, co mówili egzaminatorzy Prandta, było prawdą? Starannie wybranym uczniem, któremu przyznano stypendium Prandta, któremu zapłacono, by przyjechał do Dessidy w Southern Highlands w celu rozwinięcia talentów, a potem stał się Magiem czy Magykiem, cokolwiek miałyby to oznaczać. Nie było to do końca jasne.

To z pewnością to właśnie pytanie.

„Jaka jest różnica między Magiem a Magykiem?”

Sam znów zerknął na zegarek - 9.50. I dokładnie w tej samej chwili w wielkich dwuskrzydłowych drzwiach Dessidy pojawił się wiecznie zadowolony z życia, zawsze uśmiechnięty Martin. Wysoki blondyn o wyglądzie Skandynawa w płowóżółtym mundurze polowym i sandałach, który, jeśli wierzyć pogłoskom, każdego ranka stawał z rozłożonymi ramionami i odrzuconą do tyłu głową, by wdychać zapach nowego dnia. Martin zarządzał personelem szkoły, a pojawił się, żeby zabrać Sama na umówione spotkanie o dziesiątej.

Martin machnął szeroko ręką, przyzywając go do siebie.

- Już czas, Sam!

- Trzymaj się, Rufio! - zawołał Sam do kamiennej figury w krzakach. To imię nadał swemu tajemniczemu przyjacielowi. Następnie błyskawicznie się podniósł, zeskoczył z cokołu i pognął w górę po schodach.

- Rufto? - zapytał Martin, kiedy szli do przestronnego biura Luciusa Prandta w północno-zachodnim skrzydle budynku.

- Tak go nazwałem - odparł Sam. - Tylko on został. Pamiętasz pozostałych?

Sam wiedział, że może bezpiecznie pytać Martina o takie rzeczy.

- Przykro mi, Sam. Obawiam się, że już ich nie było, zanim się tu pojawiłem, ale zapytaj mistrza Luciusa. On będzie wiedział. Mieszka tu całe życie. Wolno ci poruszać tego rodzaju kwestie podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

- Czy ktoś jest jeszcze na dzisiaj umówiony, Martin? - Sam musiał o to zapytać.

Martin pokręcił przecząco głową.

- Dzisiaj nie. Dziś jest twój dzień, Sam. Lucius bardzo na to czekał.

Znaleźli się przed wielkimi, dębowymi drzwiami prywatnego biura Luciusa Prandta i Martin zapukał.

- Powodzenia, Sam - powiedział Martin, otwierając przed nim drzwi.

I Sam wszedł do środka.

Było to wspaniałe pomieszczenie, prawdziwy pokój maga, prze-stronny, z wysokim sufitem, z szafami bibliotecznymi, zajmującymi niemal wszystkie wyłożone boazerią ściany, oraz fantastycznymi miniaturowymi maszynami ze szkła i metalu, które poruszały się w jedną stronę na końcu ławy. Na przeciwległej ścianie stała średniowieczna zbroja z - o raju! - dwiema głowami, z mocno wystającymi pyskami hełmów o wąskich szczelinach, osadzonych obok siebie na najeżonych kolcach ramionach. A to skąd się tu wzięło? Sam usilnie się zastanawiał. Jak to możliwe? Na ścianach między szafami bibliotecznymi wisały przypięte mapy: walcowe odwzorowanie wie-lu wspaniałych krain o tak egzotycznych nazwach jak Sabertanis Major czy Andastaban Arcanus. Było ich tak wiele, że gdzieś tam jedno mapy były przypięte na drugich za pomocą małych pinezek, zakończonych główkami demonów.

Wielkie biurko Luciusa Prandta zostało ustawione na podwyższeniu przed czterema wysokimi oknami ze szkłem łączonym ołowiem, które wychodziły na trawniki i lasy Dessidy. Okna tworzyły ramy dla przepięknych obrazów wzgórz i puszystych cumulusów na tle niewyobrażalnie błękitnego nieba.

Na tym wspaniałym, przestronnym biurku stało wiele różnych przedmiotów, ale najbardziej widoczne były trzy planetarne globusy, które Sam poznał na zajęciach z wprowadzenia do magii. Najbliżej stała Ziemia, taka, jaką Sam znał, ale łączyło ją siedemnaście srebrnych nitek z drugim globusem, który przedstawiał Świat Niebios z wieżami zaklęć i punktami magów. Drugi globus łączył się czerwonymi drucikami z trzecim, który przedstawiał Świat Podziemi w czerni i czerwieni, z niemi z jasnej miedzi wystającymi z różnych jego punktów.

Ale Lucius Prandt nie siedział za biurkiem. Usadowił się na jednym z dwóch wielkich foteli przed kominkiem, w którym nie płonął zwykły ogień, a raczej wolno zmieniający się obraz płonącego miasta.

- Witaj, Sam - powiedział Lucius, wstając na powitanie i ściskając mu serdecznie dłoń.

Naturalnie był odziany w czerń, jaka przystoi prawdziwym czarodziejom: miękką czarną wełnianą bluzę, czarne spodnie i buty. Żadnych tam szat z gwiazdami i księżycem czy tajemniczych strojów z pentagramami, jakie wkładał podczas występów czy programów w telewizji, dzisiaj nie. Jego ciemne oczy błyszczały pod szopą srebrnosiwych włosów, które, zaczesane do tyłu, przypominały falę. Mówili Samowi, że dobiega sześćdziesiątki, ale inni dodawali, że należałoby do wieku, na który się go ocenia, dopisać zero. Lucius Prandt był

podobno obecny przy zniszczeniu starożytnego miasta, które teraz stale płonęło w jego kominku. Samowi bardzo trudno było nie rozglądać się na boki i nie przypatrywać się to jednemu, to drugiemu przedmiotowi, który przyciągał jego wzrok. Ale w końcu usiadł w drugim fotelu na wprost Luciusa, który właśnie nalewał im sok owocowy z kryształowej karafki.

- Bardzo czekałem na to spotkanie, Sam - powiedział, podając mu szklankę. - Nauka dobrze ci idzie, jak słyszałem, i pomyślałem, że nadszedł czas, by się lepiej poznać. Mamy do siebie nawzajem wiele pytań, wiem, i przez kilka kolejnych tygodni będziesz pytał o wiele rzeczy. Bez wątpienia powiedziano ci, żebyś przygotował sobie na dzisiaj pytanie specjalne, więc miejmy to za sobą, żeby się już odprężyć.

Sam poczuł, jak spada mu ciężar z piersi. Postawił szklankę na stoliku i zapytał bez wahania:

- Jaka jest różnica między Magykiem a Magiem?

- Od razu do sedna. Dobrze. To jest bardzo ważne pytanie i dziękuję ci za nie. W historii świata było wielu prawdziwych magów - utalentowanych kobiet i mężczyzn - ale w rzeczywistości niewielu z nich osiągnęło pełnię, która kryje się za tym mianem. Większość tak zwanych magów posiadała wyłącznie okruchy prawdziwego daru. Ale założę się, że ty sam potrafisz wymienić nazwiska tych prawdziwych.

- Cóż, może na początek Merlin?

- Z całą pewnością jeden z wielkich, Sam, jeden z garstki.

- Pan. Lucius Prandt. - Wypadalo tak powiedzieć.

Lucius posłał mu promienny uśmiech.

- To miłe, że tak mówisz, Sam, ale nie. Ja jestem wyłącznie iluzjonistą. Tym są właśnie magowie naszych czasów - ludźmi tworzącymi piękne iluzje, którzy bardzo sprytnie nauczyli się wykorzystywać percepcję widzów przeciwko nim samym. Naturalnie to nic w porównaniu z prawdziwą magią, jedynie udawanie i wymyślne sztuczki, wiedza z dziedziny optyki i sprawna ręka, ale czasami to musi wystarczyć. Ale byłem prawdziwym magiem przez krótki okres w moim życiu, Sam. Zdaje się, że wielu z nas ma ułamek tego talentu, ledwo ułamek i jedynie przez krótki czas, jakąś taką ewolucyjną pozostałość z okresu, kiedy ludzkie umysły funkcjonowały inaczej. Jest niemal tak, jakby ewolucja zaczęła nas prowadzić inną drogą, a później skręciła na boczny tor.

Lucius przerwał, by ponownie napełnić szklanki.

- Chodzi o to, że większość z nas traci wszelkie ślady po tym talencie, kiedy dojrzeje, i nawet nie ma pojęcia, że kiedykolwiek go miała. W większości przypadków ujawnia się on w sytuacjach kryzysowych - dziecko podnosi powalone drzewo, by ratować ранnego kolegę. Wcześniej nie było w stanie unieść takiego ciężaru. Nagle potrafi. Z kolei dziewczynka przesuwając zaparkowany samochód, by uratować uwięzione zwierzę. Nie wie, jak tego dokonała. Inne dziecko rysuje dłoń osoby zasypanej przez osuwającą się ziemię na drugim końcu świata, może mówi innym, co trzeba. Po sprawdzeniu okazuje się, że ta osoba wciąż żyje, ale nad ziemią wystaje tylko ręka. To wrodzony dar, moc, z którą nieliczni z nas się rodzą i wkrótce potem tracą.

- Ale pan go miał.

- Oczywiście. Przez siedemnaście drogocennych, niezwykłych lat. To bardzo długi okres. Miałem szczęście. Wspomnienia z tego okresu sprawiły, że zapragnąłem zostać iluzjonistą. Ale przez siedemnaście lat byłem magiem, Sam! Prawdziwym!

- A ja? - Sam musiał o to zapytać. Bo niby czemu się tu znalazł?

- Znów prosto z mostu. Dobrze. Jesteś - w niewielkim stopniu i przez krótki czas. Mogłeś tego nie wiedzieć przed przybyciem do Dessidy, ale jesteś.

- Wszystkie te testy w szkole...

- Miały tego dowieść. Zdałeś testy badające twoje uzdolnienia i cechy osobowościowe, zatwierdzone przez Radę Szkoły i Ministerstwo Edukacji. Tylko tyle wiedzą. W tym roku przebadaliśmy wszystkich uczniów w trzystu pięćdziesięciu dwóch szkołach. Wybraliśmy tylko ciebie.

Sam był zdumiony.

- Tylko mnie?

- Inni posiadali okruchy talentu, ale brakowało im właściwych cech osobowościowych albo też występowały u nich problemy rodzinne. Lepiej takich pozostawić w spokoju, z nierozwiniętymi zdolnościami i w nieświadomości. To dla ich dobra. Mam nadzieję, że rozumiesz.

- No to jak będzie z moim szkoleniem? Półrocznym kursem?

- Chcesz zostać iluzjonistą?

- Jeśli jestem Magiem, to nie!

- Doskonała odpowiedź! Widzisz, dobrze wybraliśmy. Wróćmy więc do twego pytania. Mag przez duże M ma ten dar na całe życie, tak jak Merlin, Sancreoch czy Quen Dargentis, Czarny Mag z Konstantynopola. Ale większość to, jak ich nazywamy, Magycy - ludzie z odrobiną daru, pojedynczą dawką energii, którą mogą wykorzystać raz i tylko raz, słyszysz, co mówię? W magicznym slangu nazywamy ich jednorazowcami. Magykami.

- I ja jestem takim... jednorazowcem? Magykiem?

- Tak, Sam. Masz zdolność do przeprowadzenia jednej magicznej czynności. Pojedynczego wspaniałego czaru. Wypuszczenia jednego strumienia energii. Uleci cała za pierwszym razem i zniknie na zawsze.

- No to... w takim razie powinienem zaczekać. Powinienem to zachować, aż będzie naprawdę taka potrzeba.

- To tak nie działa. Im jesteś starszy, tym szybciej zbliża się moment, w którym to z ciebie uleci, zatrze się. U większości Magyków ta umiejętność znika przed dwudziestką.

- Ale... ale panie Luciusie... - Sam nie mógł dokończyć zdania.

- Tak, Sam. Musisz uwierzyć mi na słowo, że tak właśnie jest. Całe lata strawiłem na badaniach i poszukiwaniach.

- Tych... Magyków?

- W rzeczy samej.

- Więc mówi pan, że powinienem wkrótce wykorzystać swój dar.

- Powinieneś. Jest jednak pewna alternatywa. Sugestia, którą chciałbym ci teraz przedłożyć.

- Co to takiego, panie Luciusie?

- Sam, chcę, żebyś oddał mi swoją magię.

Sam był zaskoczony.

- Oddać panu?

- Masz jej tak niewiele - najwyżej jeden czar, pojedyncze zaklęcie, prawdopodobnie mocno ograniczone - ale cokolwiek to jest, bez względu na to, jakie jest, chciałbym, żebyś mi to oddał.

Prośba ta zaszokowała Sama. Poczuł, jak nowy ciężar sadowi się na jego duszy, jak rośnie nowe poczucie przygnębienia. Szybko zrozumiał, co to było. Rozczarowanie. Zawód.

- To z tego powodu tu się znalazłem, tak? Tak jak wszyscy inni?

Lucius pokiwał głową.

- Tak, Sam, z tego powodu.

- Ale on należy do mnie - rzucił Sam. - To mój dar. Jakże mógłbym go oddać? Jak to w ogóle jest możliwe? - A między tymi pytaniami pojawiły się te niewypowiedziane: „A niby czemu? Jak możesz mnie o to prosić?”

- Nie pomogę ci, Sam. To musi być całkowicie twoja decyzja. Naprawdę wyłącznie twoja. Ja tylko chciałem, żebyś wiedział, jak się sprawy mają i czego bym sobie życzył.

Zawód sprawił, że pomieszczenie straciło wiele ze swego uroku, wykreślając uniesienie i szczęście związane z dzisiejszym dniem. Chciał pójść stąd, musiał znaleźć się gdzieś indziej.

- Więc mogę odejść, kiedy tylko zechcę? Nie muszę tu zostać?

- Dessida to nie więzienie, Sam. Możesz stąd wyjechać, kiedy tylko zechcesz. Odwieziemy cię na stację w Milton, możemy nawet dać ci zaświadczenie o ukończeniu jakiegoś niezwykle ważnego szkolenia zawodowego.

- Ale wtedy stracę swoją szansę.

- Jedynie na przebywanie tu ze mną. Szansę uczęszczania na zajęcia. Szansę pomocy we właściwym wykorzystaniu twego daru.

- Oddać mój dar. - Gorzko zabrzmiały te słowa w ustach Sama. - A to są zajęcia dla iluzjonistów. Nie prawdziwa wiedza.

- Obawiam się, że tak, Sam. Kiedy magia się zużyje, możemy się pocieszyć tylko w ten sposób.

- Pan tak nie robi.

- Zapewniam cię, że tak, Sam. Dlatego proszę cię o twoją magię. Jak iluzjonista rozmawiający z młodym człowiekiem, który sam może się nim stać za jakiś czas.

- Kiedy po mojej magii nie będzie ani śladu.

- Tak, kiedy nie będzie po niej śladu.

- Żeby mógł pan żerować na kolejnej osobie! - rzucił wściekle Sam.

Był tak zły, odczuwał tak wielkie rozczarowanie. Ten wspaniały mężczyzna, cudowne miejsce, piękne widoki na przyszłość w jednej chwili runęły jak domek z kart.

- Ja... muszę to sobie przemyśleć.

Lucius wstał.

- Naturalnie. Nawet dobrze będzie. Chciałem rozmawiać z tobą na ten temat bez ogródek. Ale proszę, Sam, pamiętaj. Jakakolwiek będzie twoja decyzja, masz do niej pełne prawo.

Zanim Sam się zorientował, znów stał na korytarzu i pędził z powrotem na dwór. Czuł odrętwienie. Musiał stąd wyjść, na cały dzień, pójść dokądś, jak najdalej. Zbiegł po schodach i ponownie usiadł na cokole, ale tym razem nie przywitał się z Rufiem. Nie mógł się na to zdobyć.

Wszystko wyglądało tak samo. Ale wszystko się też zmieniło. Dessida znajdowała się na końcu niegdyś pysznej promenady i wciąż górowała nad okolicą - imponująca, dwupiętrowa dziewiętnastowieczna posiadłość na łagodnym wzniesieniu. Ale teraz Sam zauważył, że w rzeczywistości Dessida podupadała: trawniki dawno nie widziały kosiarki, spod żwiru na ścieżce wyzierały chwasty. Ogrody po obu stronach domu zarastały wrzoścem, tak jak piedestały wzdłuż ścieżki.

I tyle może działać magia Luciusa Prandta. Nawet nie zdołał utrzymać swojej posiadłości w jako takim stanie, nawet nie umiał pokryć całości magicznym „blaskiem” ani ukryć stanu faktycznego.

Sam zszedł z cokołu i ruszył przez trawnik do zachodniego krańca posiadłości. Personel szkoły przyglądał mu się uważnie. Opierając się na grabiach i innych narzędziach ogrodniczych, śledzili jego poczynania bystrym, ciekawym wzrokiem.

To jeszcze bardziej rozzłościło Sama. Stali tak sobie, podparci na grabiach i łopatach, a jednak zamiast pracować, gadali całymi dniami i snuli opowieści o swoich marzeniach. Co tam, niech się gapią. Niech główkują.

W końcu Sam doszedł do niskiego szarobrązowego muru z polnych kamieni, który zaznaczał zachodnią granicę Dessidy. Oparł się na sięgającej mu do pasa barierze, spojrzął, jak biegła daleko w las, później popatrzył na świat za nią, jego świat, rozciągający się przez pola ku niespodziewanie kuszącej przestrzeni.

Jak on śmiał, ten Lucius! Jak śmiał!

Sam mógł z wielką łatwością przeskoczyć mur i zniknąć. Czuł, jak już mięśnie gotowały się do skoku.

- Hej! Najlepszy Samie!

Głos dobiegł go przez las i kiedy Sam się odwrócił, zobaczył, jak tyczkowata i niezgrabna starsza ogrodniczka Ren Bartay idzie w jego stronę. Była wysoka i opalona i po drodze młóciła kijem co wyższe chwasty, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha.

- Piękny mamy dziś dzień, prawda? - zawołała Ren, wciąż się uśmiechając. - Uwielbiam tę porę roku.

Kiedy stanęła koło niego, dodała:

- Chcesz się zerwać, co, Sam? Skok przez mur i już.

- Naprawdę się nad tym zastanawiam, Ren - odparł Sam.

Czemu miałbym się z tym kryć? - pomyślał sobie. Tak jak powiedział Lucius, to jego wybór.

- Nie dziwię się. - Ren zaskoczyła go następnym stwierdzeniem: - W tym miejscu nie ma już dawnej magii.

- Nie ma?

- Dzień Pierwszej Rozmowy. Wiesz już, jak to jest. Teraz jesteś jedyny z tą odrobiną.

- Jeśli to prawda. Jeśli cokolwiek z tego jest prawdą. A inni? Bettina, Susan, Crip i cała reszta? Jest jeszcze osiemnaścioro innych...

- Już to oddali. Już się pozbyli. Albo w ogóle tego nie mieli.

Ren odstawiła kij i zajęła się sprawdzaniem, czy kamienie dobrze się trzymają tego fragmentu muru.

- Niemożliwe, że jestem jedyny!

- Teraz tak - odpowiedziała, odwracając się. - Lucius pewnie cię o to poprosił, co? Dzień Pierwszej Rozmowy.

- Ale jeśli oddali mu to, co posiadali, czemu dalej tu siedzą? Jak mogą to wszystko znieść?

Ren spojrzała gdzieś między drzewa, a potem wskazała na miejsce w murze.

- Bo wyniki działania ich magii wciąż się tu znajdują - prawie wszystkie.

- Nie rozumiem.

- No to ci pokażę.

Zaczęli iść razem w stronę Dessidy, następnie skręcili na południe, wchodząc w najgęstszy rejon lasu.

W pstrokatym jesiennym świetle Sam dostrzegł różne rzeczy - konstrukcje - stojące pośród drzew. Po lewej stronie zobaczył domek, naturalnej wielkości bajkową chatkę z piernika, ze słupem dymu snującego się z komina, który nikał na sześciu metrach nad jego wylotem, rozptywając się całkowicie w powietrzu.

- To wytwór Bettiny Anders - powiedziała Ren. - Wieczny Dom. Tak wykorzystwała swój jedyny czar. Wejść do środka, poznasz jej babcię Dikę i dziadka Brenta. Zawsze tam gra muzyka, zawsze coś się gotuje i zawsze jest się miłe widzianym gościem. Nie byłaby w stanie dokonać czegoś podobnego poza Dessidą, Sam. Lucius wyjaśnił to Bettinie bardzo ostrożnie. Nie można wskrzeszać ludzi, ściągać ich z powrotem na świat, nie wywołując poważnego zawirowania. To nie byłoby stosowne. Takie sztuczki należy wykonywać bardzo dyskretnie. Następnie Ren wskazała na poskręcaną i, tak, skręcającą się wieżę po prawej stronie. W miękkim świetle padającym zza drzew lśniła jak bursztyn.

- To Żywa Wieża Sophie Ramage. Naturalnie wołała ją postawić na swoim podwórku, ale Lucius uświadomił jej, że ludzie cały czas by się na nią gapili i nie dawaliby jej spokoju. Przez cały czas chcieliby się dowiedzieć, jak to możliwe i skąd się tam wzięła. Ciągłe by ją nagabywali, a różne takie łobuzy i poszukiwacze pamiątek odłupywaliby sobie po kawałku. A tutaj stoi nienaruszona i należy do niej! Może sobie przyjść i patrzeć na nią do woli.

- I o to tu w tym wszystkim chodzi - rzucił Sam, zły jak nigdy wcześniej. - Lucius już nie może czarować, więc w ten sposób zgarnia cuda innych! Namawia ich, by je tu zostawiali.

- Sam, Sam - powiedziała Ren swoim wspaniale uspokajającym głosem. - Spójrz na to z drugiej strony. To wytwory Magyków, którzy nie oddali Luciusowi swojej magii! Przedmioty, na które ją zużyli, są tu bezpiecznie przechowywane. Jak się nad tym zastanowić, to są tu wyrzucane.

Sam starał się pojąć sens słów Ren.

- Ale Lucius z całą pewnością nie jest w stanie przekonać każdego.

- Masz rację. Więc odgrywa niezwykle ważną ochronną rolę, ma prawdziwie ważne zadanie, używa hipnozy. Po pierwsze, sprawia, że zapominają, iż w ogóle mieli jakiś dar. Nie może pozwolić, żeby wrócili do normalnego życia i tam robili te swoje cudaczne czary. Żaden nie wie o swoim darze. Więc opuszczają Dessidę, myśląc, że odbyli jakieś tam szkolenie wstępne w sztuce iluzji, i tyle. Odjeżdżają i magia w nich ginie, wtedy wszystko wraca do normy.

Sam poczuł nagły przyptyw paniki.

- Wciąż wszystko pamiętam! Mnie nie zahipnotyzował!

- Jeszcze nie wskoczyłeś na murek.

- Co? Gdybym przeskoczył murek i uciekł, tobym zapomniał?

Ren uśmiechnęła się.

- Żartuję sobie, Najlepszy Samie. Lucius dobiera swoich Magyków bardzo starannie. W większości przypadków wszystko wypada idealnie. Rzadko musi się uciekać do sztuczek z umysłem. Wciąż masz do wykorzystania swój dar. On wolałby, żebyś go raczej wykorzystał, niż utracił.

- Najbardziej toby chciał, żebym mu go oddał.

- O, tak. Tego chciałby najbardziej - powiedziała Ren z uśmiechem i zanim Sam zdołał zapytać dlaczego, dodała: - Z bardzo prostej przyczyny. Ale jest to tajemnica zawodowa, której nie wolno mi wyjawiać.

Na te słowa Sam przystanął i się zamyślił. Lubił starą Ren. Sprawiała, że gniew w nim lekko przygał.

- Ale jak ja mogę oddać mu swoją magię?

Uśmiech Ren nigdy nie zniknął z jej ust.

- Widzisz, jakim jesteś niezwykłym chłopcem, Sam? Powiedziałeś „jak mogę”, a nie „dlaczego miałbym”. To niby nic, a cieszy, szczególnie w twoim obecnym stanie.

- Pytam poważnie, Ren. W jaki sposób mógłbym mu ją oddać?

Ale Ren tylko przyłożyła palec do ust, jakby chciała powiedzieć: Nie mogę. Nie mogę. To tajemnica! Po chwili jednak wydawało się, że zmieniła zdanie.

- Cóż, Magycy, którzy wykorzystali tutaj swoje zaklęcia, nie mogli tego zrobić. Bettina uparła się na chatkę, Sophie musiała mieć tę swoją wieżę. A tam widać Magiczną Studnię Kristi Paul oraz Zmyślny Zakład Złotego Skarbu Granta Hennesseya. Oni z całą pewnością nie oddali swojej magii Luciusowi.

- Ale poprosił o to.

- Oczywiście, że tak. Za każdym razem w Dzień Pierwszej Rozmowy.

- Ale skoro to jest mój wrodzony dar, mój własny, to jak miałbym go oddać?

Zapętlali się najwyraźniej.

- No właśnie - powiedziała Ren Bartay. - Jak mógłbyś oddać obcej osobie swoją część magii?

I nagle, tak po prostu, odwróciła się bez słowa i poszła w stronę domu.

Sam odprowadzał ją wzrokiem, widział, jak wysoka, koścista kobieta zatrzymuje się, by zamienić parę słów z innymi pracownikami w ogrodzie - najpierw z Carlą, później z Jeffreyem - a później zobaczył, jak przyspiesza.

Co ona im powiedziała? No co?

Nie było żadnego sposobu, żeby się tego dowiedzieć, więc Sam odwrócił się do cudów wśród drzew: chatki Bettiny z wiecznie unoszącym się dymem z komina oraz - według słów Ren Bartay - niekończącą się szczęśliwością w środku, utraconą i odzyskaną szczęśliwością, do cudownej, skręcającej się wieży Sophie, która gięła się jak zastygający miód, i pracującego pełną parą błyszczącego zakładu Granta. Słyszał też szum wody w studni Kristi, który wtórował innym cudownym dźwiękom dochodzącym z lasu, bo kto to wie, ile jeszcze dziwów w nim się kryło? Sam uświadomił sobie, że całymi godzinami, dniami i miesiącami mógłby odkrywać to, co kryło się jeszcze wśród drzew, a co przez lata wybrali sobie inni Magycy.

Bo nie chcieli oddać swojej magii Luciusowi!

Sam zastanowił się nad tym. Od jak dawna Lucius ściągał Magyków z całego świata i prosił, by oddali mu swoją część daru?

Sam kontynuował rozważania. Na co miał nadzieję Lucius po otrzymaniu tej odrobiny magii, którą Sam nosił w sobie? Co to było takiego, skoro Ren czy Martin, czy nawet sam Lucius, nie chcieli mu powiedzieć?

Oczywiście Sam nie był w stanie przejrzeć celu, jaki się krył za tym, ale nagle coś sobie uzmysłowił. Nie poznałby tego wszystkiego, nie dowiedziałby się o Magykach ani o darze, który posiadał, gdyby nie Lucius, gdyby nie pomyślnie zdane testy i stypendium Prandta, które sprowadziły go w to miejsce.

To zawdzięczał Luciusowi i ten fakt zdmuchnął ostatnie tłuście w nim zarzewie gniewu.

I z tą świadomością rozkwitło w nim coś innego. Sam wiedział już, w jaki sposób może podarować magię Luciusowi, i było to takie oczywiste, takie proste.

Pobiegł, naprawdę wrócił biegiem do domu, burząc Samodzielnie porządek dnia. Ogrodnicy oparli się o grabie albo przerwali zamiatanie ścieżek, żeby przyjrzeć się, co robi.

Co myśleli? Sam zadawał sobie to pytanie podczas biegu. Oto magiczny chłopiec, chłopak, który miał dziś Dzień Pierwszej Rozmowy. Najlepszy Sam. Ale co myśleli, co wiedzieli, uśmiechając się i przypatrując mu w ten sposób?

Sam zobaczył, że inni uczniowie też na niego patrzą. Susan, Crip i Hagrib byli na południowym tarasie, Sanford i Nettie przy fontannie. A tam, na szczycie wieży, opierając się o balustradę, stała, tak, Księżniczka Bettina, i obserwowała go ze swego bezpiecznego miejsca.

Sam miał to gdzieś. Celowo skręcił w stronę starej promenady, celowo pokazał jej, jak biegiem mija cokoły i ostrokrzewy. Zawołał: - Cześć, Rufio! - przebiegając obok posągu, tak

jak zawsze, następnie przeskakując po trzy stopnie naraz, dopadł wejścia i rzucił się w znany, chłodny półmrok głównego holu Dessidy.

Naturalnie czekał tu na niego Martin Mayhew.

- Najlepszy Samie, co się święci? - zapytał Martin.
- Muszę jeszcze raz zobaczyć się z Luciusem, Martin! Muszę go o coś zapytać!
- Na temat rozmowy?
- Na temat mojego daru.
- W takim razie na pewno cię przyjmie.

I Lucius go przyjął, niemal z marszu. Martin musiał jedynie wejść najpierw, żeby wyjaśnić, o co chodzi, a po chwili Sam został usadzony w skórzanym fotelu i Martin ponownie zamknął za nim drzwi.

Sam siedział na wprost Luciusa, tak jak godzinę temu.

Lucius już odłożył czytaną przez siebie książkę.

- O co chodzi, Sam?
- Wiem, jak mogę oddać panu moją magię.
- Wiesz? No i?
- Chcę ją oddać.
- Dziękuję ci. No to jak będzie?
- Pan mi powie, co mam zrobić. Wtedy zrobię to dla pana.
- Ale ja nie mogę - odparł Lucius.
- Jak to?

- Nie mogę tak po prostu powiedzieć ci, Sam. Ślubowałem. Jest to warunek, który sam sobie narzuciłem. Bardzo stara zasada. Nie wolno mi powiedzieć. Wszystko musi wyjść od ciebie. Ty jesteś Magykiem z mocą. Ja jestem wyłącznie iluzjonistą.

- Ale może mnie pan zahipnotyzować. Umieścić w moim umyśle jakieś samowyzwalające się polecenie. Wtedy zamiast uczyć się całe dnie i tygodnie, w jaki sposób mam uaktywnić jednorazowo czar, wystarczy, że pan powie słowo i wtedy ja wyznam, czego chcę. Czego, jak myślę, pan chce. Przynajmniej to może pan zrobić.

- To prawda. Mogę. Robiłem już tak wcześniej.

- Wiem. Domyślałem się. Dlatego jest pan w tym ekspertem. Szybko i bezboleśnie. Z nieznaczną pomocą.

Lucius uśmiechnął się.

- No to co robimy, Najlepszy z Samów? Wciąż nie mogę powiedzieć, co chciałbym, żebyś zrobił z twoim darem.

- Panie Luciusie, myślę, że wiem, czego pan chce.

Oczy Luciusa zaślniły nieprzeniknionym blaskiem.

- Tak? Naprawdę?

- No to jazda. Niech pan zaszczepia mi to hipnotyczne polecenie.

- Zaszczepiłem je już wcześniej. Kiedy przyglądałeś się mojemu płonącemu miastu.

Sam rzucił pospieszne spojrzenie na dziwny kształt zmieniający się w kominku, po czym wrócił wzrokiem do Luciusa.

- No to niech pan zbierze cały personel Dessidy.

Brwi zaskoczonego Luciusa uniosły się wysoko.

- Personel?

- Również troje nauczycieli. Wszystkich. Niech się zbiorą przed frontowymi schodami.

Lucius włączył interkom i nacisnął guzik.

- Martin. Tu Dessida Jeden! Uderz w dzwon!

Kilka chwil później rozległy się miarowe uderzenia dzwonu. W polu, w kuchni, w pomieszczeniach gospodarskich i mieszkalnych pracownicy porzucali wykonywane czynności i spieszyli przed dom.

Zebrał się już wszyscy, kiedy Lucius i Sam wyszli przez dwuskrzydłowe drzwi i stanęli na szczycie schodów. Ludzie stali, jakby ustawili się do pamiątkowej fotografii, uśmiechnięci, skupieni i zaciekawieni, wśród nich Martin Mayhew i Ren Bartay.

Sam odpowiedział im uśmiechem. Nie mylił się. W jednej chwili policzył ich i wiedział, że się nie mylił.

Ośmioro pracowników. Troje nauczycieli. W sumie jedenaście osób.

Jedenaście z dwunastu cokołów.

Sam wykonał gest, jaki wykonywali magowie i czarodzieje na niezliczonych ilustracjach książkowych i filmach.

- Zróbcie miejsce dla numeru dwunastego! - krzyknął. - Rufio, wyłaż stamtąd! Twoja kolej!

W zaroślach rozległ się jakiś szelest i odgłos łamanych gałązek, a po chwili wyszedł z nich Rufio, już przebrany w szkolny mundur, zwinny i silny z uśmiechem szczęścia na twarzy.

- Witaj w domu, Rufio! - zawołał Sam.

- Dzięki ci, Najlepszy Samie! - odkrzyknął Rufio nowo odzyskanym głosem i tak po prostu stanął wśród innych.

Wtedy Sam zauważył, że stojący obok Lucius płacze, a łzy w przedpołudniowym jesiennym słońcu rozświetlają mu twarz.

- Dziękuję ci, Najlepszy Samie. Dziękuję ci za to.

- To znaczy, że będę musiał teraz zostać i uczyć się na iluzjonistę, prawda? - zapytał Sam.

- Och, z całą pewnością - zgodził się z nim Lucius. - I jestem pewien, że Rufio i nasi przyjaciele pragną tego z całego serca.

MAGICZNE ZWIERZĘ

GENE WOLFE

Gene Wolfe jest uważany przez wielu krytyków za jednego z najlepszych - jeśli nie za najlepszego - współczesnych pisarzy SF i fantasy. Jego najwyżej cenionym dziełem jest tetralogia „Księgi Nowego Słońca”, z której poszczególne tomy przyniosły mu Nagrodę Nebula, World Fantasy Award i John W. Campbell Memorial Award. Następnie stworzył popularną nową serię - „Księga Długiego Słońca”, na którą składają się Ciemna Strona Długiego Słońca, Jezioro Długiego Słońca, Calde Długiego Słońca i Exodus z Długiego Słońca, a ostatnio ukończył kolejny cykl, „Księga Krótkiego Słońca”, z powieściami Na wodach Błękitu, W dżunglach Zieleni i Powrót na Whorla. Wśród jego innych książek znajdziemy klasyczne powieści Peace oraz The Devil in a Forest, obie ostatnio wznowione, a także Nowojorskie odloty, Żołnierza z mgły, Żołnierza arete, There Are Doors, Miasteczko Castlevew, Pandora by Holly Hollander i Urth Nowego Słońca. Jego krótkie formy literackie zostały zebrane w zbiorach Śmierć Doktora Wyspy, Gene Wolfe's Book of Days, The Wolfe Archipelago, nagrodzonym World Fantasy Award, Storeys from the Old Hotel, Endangered Species, Strange Travelers i Innocents Aboard: New Fantasy Stories. Jego ostatnie dokonania to dwutomowy cykl Rycerz i Czarnoksiężnik, nowy zbiór Starwater Strains: New Science Fiction Stories oraz długo oczekiwana kolejna część cyklu rozpoczętego Żołnierzem z mgły - Soldiers of Sidon.

W poniższym dziwnym i sugestywnym opowiadaniu autor zabiera nas w najgłębsze ostoje mistycznego lasu i wciąga na nowo w jedną z najstarszych opowieści...

Viviane rozumiała mowę zwierząt. To musicie o niej wiedzieć, nie jest to pierwsza informacja, ani główna, ani najważniejsza. Nie jest też jedyna. To po prostu musicie wiedzieć. Musicie, bo tego nie da się zrozumieć. Viviane - oto ona, ciemna blondynka, niezbyt duża, która popęda swoją kobyłę - także tego nie rozumiała.

Nie rozumiała, choć nie ujmowała tego w ten sposób. Kiedy się nad tym zastanawiała, nie mogła zrozumieć, dlaczego inni tego nie potrafią - czyli wychodzi na to samo. Tak to już jest z talentami. Jeden ma smykałkę do muzyki, drugi do baseballu. Inna ma talent aktorski. (Na pewno ją znacie.) Kolejna potrafi wypełnić całą salę koncertową za pomocą jednej piosenki, dobywającej się z całkiem zwyczajnie wyglądającego gardziołka. I nikt nigdy nie zrozumie, dlaczego inni nie potrafią zrobić czegoś, co dla niej jest proste i naturalne.

Viviane rozumiała mowę zwierząt i czasami (w istocie całkiem często) zwierzęta rozumiały ją. To ostatnie nie jest nawet w połowie tak tajemnicze. Zwierzęta często nas rozumieją, a talent Viviane nie jest znów tak rzadki, jak wam się wydaje.

Poganiara klacz przeskoczyła wąską rozpadlinę w pięknym stylu i stanęła w miejscu bez pytania, a Viviane, zasłuchana w pieśń wiatru i rozmyślająca o rozpoczynającej się za miesiąc szkole daleko w Rio Colorado, starała się dojrzeć, co zatrzymało konia. Bezskutecznie.

- To jest wciągający las - stwierdziła Stokrotka. - Ja tam nie jadę.

- No dobrze. - Viviane starała się mówić jak najłagodniejszym głosem. - I tak tam nie jechałam.

- Ja na pewno nie - rzuciła Stokrotka.

Nie trzymało się to kupy, tak się przynajmniej Viviane wydawało.

- Mówisz - zaczęła - jakbym powiedziała, że tak. Wcale tego nie mówiłam. Mówiłam, że nie jechałam.

Stokrotka tylko zarzuciła nerwowo łbem.

Viviane ścisnęła jej boki piętami.

- Ten szlak tam nie prowadzi, a jechałaś tędy mnóstwo razy. Może kłusem.

- Ja nie ruszę.

- Kłusuj - powtórzyła Viviane.

- Ten las nie jest taki sam.

- Kłusem, mówię!

Stokrotka pokłusowała, po czym nagle ruszyła szaleńczym galopem.

Teraz, powtarzała sobie Viviane w myślach, będę musiała sobie znaleźć właściwego chłopca - nie jakiegokolwiek, tylko właściwego - bo taki będzie mój pierwszy rok na studiach. Rytmiczny pęd. Jakby...

Stokrotka znów się zatrzymała, tym razem tak gwałtownie, jak najlepszy koń w kieracie. Viviane wiedziała, że leci, okręca się i dalej już pustka.

A później, że leży w trawie w niewygodnej pozycji. Po jakimś czasie, który się strasznie ciągnął, nie była w stanie dociec, co ma teraz z tym zrobić.

W końcu usiadła i potarła potłuczoną głowę. Nie ma żadnych złamań, tak wynikało z oględzin. Jej zegarek - wielki, twardy kwarcowy zegarek, który dostała od ojca na biwak -

najwyraźniej nie odniósł żadnych uszkodzeń. Jego różową, plastikową kopertę była nienaruszona, a wskazówki pokazywały dokładnie 1.27.

- Wjedziesz w ten las - odezwał się zakurzony grzechotnik - a ja pojedę z tobą i będę cię chronił, jeśli zechcesz. Mógłbym owinąć się wokół twego prawego ramienia.

Viviane wypluła grudkę ziemi i kilka źdźbeł trawy.

- Wystraszyłeś Stokrotkę.

- A ty chciałybyś, żeby ktoś na tobie stanął? - Grzechotnik zwinął się zapobiegawczo. -

Na przykład koń?

Miał rację i Viviane postanowiła zmienić temat.

- Rozumiem zwierzęta - powiedziała. - Zawsze tak było, ale żadne nie mówiło do mnie tak jak ty.

- Szkoda - skwitował grzechotnik.

- Zwykle to „zmęczony jestem”, „boję się” albo „lubię cię”. Kiedyś Lwia Paszcza powiedziała mi, jak kocha swoje kociątko. Takie tam.

Grzechotnik oparł brodę na lśniącym kamieniu, nie patrząc na Viviane.

- Teraz będziesz mogła nas lepiej zrozumieć. A to z powodu tego, dokąd się udajesz.

- Dokąd się udaję?

- Tak.

- A nie dlatego, że jestem tu, gdzie jestem?

- Nie.

- No dobrze. - Viviane pobrudziła dżinsy, podobnie jak drelichową koszulę. Otrzeptała je. - No a dokąd się udaję?

- Do tego lasu. Ja też się mogę zabrać?

- Nie. - Starła się być stanowcza.

- Jeśli nie chcesz zabrać mnie na ramieniu, to jak sądzę, mógłbym się owinąć ci w pasie.

- Jak ci znów odmówię, to mnie ugryziesz?

- Powiem to za ciebie - odparł wąż. - Nie, ale pamiętaj, że mogłaś mieć błogosławieństwo węży. - Wpełznął w trawę i zniknął.

Viviane wstała, co przyszło jej z większą trudnością niż zwykle. Szlak rozciągał się przed nią i za nią, ale już nie pamiętała, skąd wiódł i dokąd prowadził. Las - kuszący sosnowy las z dębowymi ostojami, który piął się na górskim zboczu - wabił cieniem i chłodną wodą.

Trochę jej zajęło wysledzenie źródła niewielkiego strumyka, małego i skrytego oka wodnego, którego nurt szybko ginął wśród kamieni i korzeni drzew. Napiała się i usadowiła na głazie, wycierając usta bandaną, a wtedy za jej plecami rozległ się przenikliwy głosik:

- Tu jesteś! Mówili, że przyjedziesz. Potrzebujemy twojej pomocy. Proszę, skiń głową, żebym wiedziała, że moja mowa nie jest ci obca.

Viviane odwróciła się i popatrzyła.

- Och, kiwnij głową! Proszę, bardzo proszę, kiwnij!

Wolno Viviane skinęła głową.

- No proszę! Wiedziałam, że rozumiesz!

Głos wydobywał się z bardzo małej istotki... To kobieta? Z czterema zwiewnymi skrzydełkami, którymi nerwowo trzepotała na plecach?

- Potrzebujemy twojej pomocy - powiedziała. - Ty musisz sobie pomóc. Czy wyrażam się jasno? Kiedy mówię „potrzebujemy”, mam na myśli nas. Rozumiesz Materię Brytanii?

- Przepraszam, zagapiłam się. - Viviane robiła, co mogła, by odwrócić wzrok, ze zmiennym szczęściem. - Nigdy nie widziałam kogoś takiego jak... nikt nie widział nikogo nawet trochę podobnego do ciebie.

- Rozumiem. Ale... nie zaatakujesz mnie chyba, co?

Odpowiedź wymagała przemyślenia. Viviane zebrała kilka ciekawych pomysłów i odrzuciła je wszystkie - wszystko, doszła do wniosku, było już zbyt skomplikowane. W końcu odparła:

- Boisz się mnie? Ty się mnie boisz?

- No, duża jesteś. I jestem pewna, że potrafiłabyś szybko skoczyć... - Skrzydełka furkotały tak mocno, że przez chwilę ich posiadaczka uniosła się lekko do góry. - Gdybyś tylko chciała.

Viviane chciała pokazać zęby, ale wyszedł jej z tego uśmiech.

- Jak Lwia Paszcza? Lwia Paszcza to mój kot. Mówię na nią Paszczulka.

- Koty to te z ogonami? Ja się nazywam... nazywam się... Ojej, zapomniałam! No bo kazali mi ci coś przekazać, wiem, że tak było. Ariel? Czy to było to?

- Ona jest syreną, jak sądzę. Ma piękne, rude włosy. - Viviane uśmiechnęła się, przypominając sobie film. - Chciałabym mieć to na DVD.

- Myślisz, że to nie to?

- Chyba nie. - Viviane pokręciła głową. - Ty bardziej przypominasz wróżkę, prawda? - Jesteś dziewczynką? Jak ja?

- Tylko nie taką dużą.

- Powinnaś mieć więc imię wróżki. Co powiesz na Dzwoneczek?

Skrzydełka opadły, a ich właścicielka wydawała się nieco przybita.

- Strasznie długie. Wątpię, czy je zapamiętam.

- Cóż... - Viviane zmoczyła bandanę w strumieniu i wytarła sobie nią twarz. - Ojej, czytałam...:

Dołączył do nich kojot. Skinął lodowato (bardzo) małej uskrzydłonej kobietce, po czym zwrócił się do Viviane:

- Ta pluskiewka, czy kim tam sobie jest, ma zamiar wysłać cię z misją, pełną niebezpieczeństw, moje dziecko. Możesz potrzebować pomocy kogoś zwinnego, kogoś, kto ma ostre zęby i nie boi się ich użyć. Swoje usługi oferuję gratis. Pro bono, jak to mówią. Ja też może coś uszczknę w tej materii, rozumiesz sama. Czy będziesz na tyle mądra, że przyjmiesz moją propozycję?

- Ja... nigdy nie strzelałam do twoich braci. - Viviane zaszcło w ustach i zapragnęła znów napić się wody ze źródła. - Chciałam to powiedzieć na początek. Taka jest prawda. A były takie chwile, kiedy mogłam.

- Tak ci się tylko wydaje - skwitował to kojot.

- Ale ja... ja... - Viviane zwróciła się do małej kobietki ze skrzydełkami. - Proszę... ojejku, wciąż nie znam twego imienia. Kiedy byłam mała, czytałam książki o wróżkach. Teraz nie mogę sobie przypomnieć. Czekaj. Jedną się nazywała Ostróżka. Podoba ci się?

- To ty, jak sądzę. - Mała kobietka zachichotała.

- Nie, ja jestem Viviane.

Kojot skłonił się sztywno.

- Ja jestem Ten, Który Przeraza Wszystkie Ogary. Możesz do mnie mówić Przeraz.

- Ja nie chcę do ciebie w ogóle mówić.

- Pewnie lubisz psy - powiedział Przeraz, machając dość nie-wprawnie ogonem. - Wy, ludzie, często je lubicie, za często, jak na mój gust. Pogardzam nimi, ale będę dla ciebie psem. I tylko dla ciebie.

- Nie! - Viviane potrząsnęła energicznie głową.

- Jak sobie życzysz, Viviane. - Kojot wycofał się. - Mogłaś mieć błogosławieństwo stada. Mam szczerą nadzieję, że nie będziesz żałowała, że je odrzuciłaś. - Odwrócił się, podreptał w swoją stronę, po czym zniknął (jak się wydawało) za pierwszym gładem.

Viviane odprowadziła go wzrokiem, po czym przyklęknęła, żeby znów się napić.

Kiedy wstała, (bardzo) mała uskrzydłona kobietka wykrzyknęła:

- Viviane! Viviane! Jak ładnie!

- Dziękuję. - Viviane wykręciła bandanę tak jak wcześniej, zimna woda działała kojąco na jej rozpaloną twarz.

- Ja też będę Viviane!

- Viviane to ja. A co powiesz na Vivien? - Viviane przeliterowała imię i dodała: - I tak nikt ich nie odróżni.

- Mówiono mi o tobie, zanim się pojawiłaś - powiedziała Vivien - ale to nie była nawet połowa. Wasze umysły są takie, hmm, jak chmury. Strasznie kręci mi się w głowie.

No to mamy Alicję w krainie czarów - pomyślała Viviane. To była dobra książka i film też dobry. Jak to leciało?

- Jam jest wariat, tyś wariatka, dom wariatów to jest gratka. - Jakoś tak, mniej więcej.

- Ale ja nie jestem wariatką. - Vivien mówiła tak stanowczo, jak stanowczo mogła przemawiać mała kobietka z siatkowanymi skrzydełkami. - Jestem pełna nadziei. Nawet bardzo. Potrzebujemy ciebie. Ty potrzebujesz siebie. Nazwałaś mnie wróżką. Czy mam sobie wyhodować takie małe różki? - Przystawiła drobne paluszki, mniejsze niż u niemowlaka, do skroni.

- Cóż, jeśli o to chodzi...

- Jak u ślimaka? Myślę, że by mi się udało.

- Proszę, nie rób tego. - Viviane znów wytarła twarz namoczoną bandaną. - Bo nawet mi się to podobało, ale obawiam się, że bym się przestraszyła.

- My prawie zawsze straszymy. - Vivien zwiesiła głowę. - Nie naumyślnie. No może czasami. Ale nazywacie nas gnomami, południcami, leprachanami, podmieńcami, Marsjanami, dusiołkami i elfami, zawsze takie różne okropne nazwy, choć niesłusznie. I bez względu na to jak nas przezywacie, to się nas boicie.

- Ja się ciebie nie boję. - Viviane powiedziała to tak stanowczo, jak przystało na niemal-uczennicę ogólniaka i znaną amazonkę.

- Naprawdę?

- Tak! Zupełnie! - W jakiś przedziwny sposób uwierzyła we własne słowa.

Mała kobietka najwyraźniej wzięła głęboki wdech, nabierając w płuca przynajmniej pół łyżeczki powietrza.

- Mówicie, że kradniemy dzieci. Nigdy tego nie robimy. Słowo. Mogę przysiąc na wszystko, co chcesz. Na cokolwiek.

- Ja nie jestem dzieckiem!

- Ale czasem rekrutujemy dzieci. Musimy po prostu. Uczciwie ci mówię, Viviane. W końcu i tak oddamy go matce. Albo tobie. Kto się pierwszy trafi.

- Jestem pewna, że go nie chcę.

- Ale zechcesz. Ale... ale ty musisz go dla nas pozyskać. To pierwszy etap. Przeprowadź go do nas, ale upewnij się, że nie ma przy sobie żadnego żelaza. Ani stali. Ani niczego takiego. To zakłóca nasze pole.

- Ale ja mam... - Viviane zamilkła ze skonsternowaną miną.

- Nie, wcale nie.

- Czeka! Mój szczyryk. - Viviane wbiła dłonie w kieszenie. - Zniknął. Musiał mi wypaść przy upadku.

- Widzisz? - Vivien wyglądała na zadowoloną z siebie. - Nie założyłaś dzisiaj ostróg...

- Nie potrzebuję ich, kiedy jadę ze Stokrotką.

- A nity w tych granatowych spodniach i w koszuli są miedziane. Drobne, które masz w kieszeniach, są z miedzi i z niklu. Możesz mówić do zwierząt tak zwyczajnie, jak rozmawiasz ze mną. I zrobisz to. Wiem, że zrobisz.

- Co zrobię?

Wielki kruk wylądował pomiędzy nimi, wywołując głuchy odgłos.

- Weź dzieciaka - zakrakał do Viviane. - Ty zabierzesz, one wyuczają. A potem niech rusza w swoją drogę.

Mała kobietka powiedziała:

- Cześć, Nevermore.

- Zaraz, chwileczkę. - Viviane spoglądała to na jedno, to na drugie. - Wy się znacie?

- Jasna sprawa - rzekł Nevermore.

- On... - Delikatne skrzydełka zatrzepotały nerwowo. - Musisz go zrozumieć. Cóż... on...

- On nie pracuje za darmo. - Nevermore przechylił mądrze łepkę, spoglądając na Viviane. - To właśnie stara się powiedzieć.

Viviane pokiwała głową.

- Rozumiem.

- Spoko. Słuchaj, złotko, bo powiem to tylko raz. Ja tu już byłem, miód i wino piłem, i całe to jej gadanie o tym, co to musisz zrobić, funta kłaków niewarte, bo nie będzie to taki spacer, jak ona ci mówi. Jak weźmiesz mnie na pokład, to będzie nas dwoje, a ja już swoje

po piórach w życiu dostałem, kapujesz? Chcesz mnie, spoko. Pogadamy, ustalimy. Nie chcesz, to lecę i co złego to nie ja. Tylko nie dzwoń do mnie, jak się zrobi gorąco, bo komórki nie noszę.

- I dostanę błogosławieństwo ptaków - dodała Viviane.

- Błogosławieństwo klucza. Tak to nazywamy. A pewnie, że dostaniesz. Do tego dobre rady, poza tym pierzasty nie jest taki cycuś-głancuś, żeby nie zapuścić lipa tam, gdzie potrzeba. Tam i tu.

- Chcę cię - odparła Viviane. - Ile?

- Masz może przy sobie te nowe moniaki? Te błyszczące?

Viviane poszperała w kieszeni dżinsów i wygrzebała monetę palcem.

- Proszę bardzo. - Wyjęła ją i wytarła o koszulę. - Oregon, dwa tysiące piąty. Pasuje?

- Doskonale. - Nevermore podskoczył nieco bliżej i wyciągnął łapę. - Między szpony.

Viviane wsunęła ją tam, gdzie chciał.

- Dobra. Właśnie przyjąłem zaliczkę, kapujesz. Umowa zawarta. Muszę zanieść to do mojego banku, ale będę szybciej, niż za mną zatęsknisz. - Nevermore przełożył monetę z łapy w dziób, rozwinął niezwykle duże czarne skrzydła i odleciał.

- Poleciał sobie! - Mała kobietka aż westchnęła. - Co za ulga!

- Ale wróci?

- O, tak. W końcu cię odzuka. One latają strasznie wysoko i widzą na tysiąc lat do przodu. On ma też mnóstwo kontaktów. Wiesz, wielki boss. Nie prosiłaś mnie o radę.

Viviane kiwnęła głową.

- Chyba powinnam była. Jesteś starsza ode mnie?

- To jest ani tu, ani tam. Wiem, ile masz lat, Viviane, ale nie wiem, ile mam ja. Tak, powinnaś była poprosić mnie o radę. Gdybyś to zrobiła, ostrzegłabym cię, że chociaż w jego mniemaniu jest uczciwy... czy też... Albo może i tak. No bo...

- Masz na myśli, że nie jesteś pewna. - Viviane zaczynała się niecierpliwić.

- Ze chociaż w swoim mniemaniu jest uczciwy, to jego mniemanie jest czarne jak jego skrzydła. Idziemy? Po drodze wyjaśnię ci, co masz zrobić.

*

- To jest to miejsce. - Mała kobietka z furkotem unosiła się wokół głowy Viviane. - To musi być tu, czy też taką mam cichą nadzieję. Widzisz te dęby? Stań w kręgu.

- W czarodziejskim kręgu. Z grzybów?

- A to tak je nazywacie? Czasami wykorzystujemy je jako punkty orientacyjne w lesie.

My lubimy las.

Viviane pokiwała głową.

- Słyszałam o tym.

- Teraz posłuchaj, kiedy pojawisz się w pokoju chłopca, możesz go przestraszyć. Mam nadzieję, że nie, ale tak się może stać. Zobaczysz poblask na podłodze, jakby nagle pojawiła się

tam sadzawka. Ty wyjdiesz z wody - nie zmoczysz się - a ona spłynie. Nie patrz na nią. Patrz na chłopaka. Jakby zaczął...

- Wiem, co mam robić. - Viviane weszła do kręgu.

- Sygnałem będzie wzięcie go za rękę. Nie rób tego, zanim się nie uspokoi. Możesz teraz podnieść ręce do góry albo trzymaj je przy sobie, jak chcesz.

Viviane uniosła je do góry.

Pokój wyglądał na typową chłopięcą sypialnię, oświetloną przyćmionym nocnym światłem. Do ściany przyklejono taśmą klejącą układ okresowy pierwiastków, a pod nim wisało zdjęcie prezydenta sprzed kilku kadencji. Drobnny chłopczyk, który klęczał na łóżku, miał ciemną skórę, czarne włosy i lśniące oczy, które zdawały się widzieć przez nią na wylot.

- Cześć! - Uśmiechnęła się. - Nie bój się. Nic ci nie zrobię. Ani nikomu innemu też.

- Na mojej podłodze była woda - stwierdził chłopiec. - A potem wyszłaś z niej, jak... jak...

- Jak pływaczka na filmie - zaproponowała Viviane.

- Jak skacząca ryba - stwierdził chłopiec. I dodał po chwili: - Nie boję się. Jakbym się bał, to zawołałbym Miriam.

Viviane znów się uśmiechnęła, a uśmiech miała czarujący.

- To dobrze. A kto to jest Miriam?

- Opiekunka. Ogląda telewizję.

- A ty lubisz telewizję? - Viviane coś przyszło do głowy.

Chłopak pokręcił głową.

- No to wyjaśnię ci inaczej. Będziemy się przedstawiać, ale i n a c z e j. Najpierw powiem ci, jak mam na imię, a potem powiem ci, jak ty masz na imię.

- To taka zabawa? - domyślił się chłopiec.

- Trochę tak, ale to nie jest zabawa. Moje imię będzie prawdziwe, a twoje będzie całkiem nowe i stanie się nim na bardzo, bardzo długo. Ja jestem Viviane.

Chłopiec skwitował to pod nosem:

- Viviane, pani z wody.

- A ty jesteś Myrddin. Tak właśnie będą się zwracać do ciebie twoi nowi nauczyciele.

- Będę miał nowych nauczycieli?

Viviane kiwnęła głową.

- Myślę, że ich polubisz. Czy lubisz swoich nauczycieli?

- Nowi nauczyciele zawsze są interesujący. - Wyraz twarzy Myrddina był nieprzenikniony, oczy lśniły mu mocniej niż kiedykolwiek, pewnie z emocji.

- Pewnie, że będą fajni, ale przedmioty, których będą cię uczyć, będą o wiele bardziej interesujące niż oni. Czy kiedykolwiek chciałeś się zmienić w jakieś zwierzę?

Myrddin tylko patrzył na nią.

- W wilka, albo... albo w sokoła. - Wygląda jak pisklę sokoła, pomyślała. Zbyt małego, żeby latać. Ale wkrótce...

Odparł, jakby czytał w jej myślach:

- Będę mógł latać?

- Tak - powiedziała Viviane - i robić dużo innych wspaniałych rzeczy. - Mała kobietka latała. Czy to lubiła?

- Dlaczego mi to proponujesz?

No to już. Pomimo najusilniejszych starań Viviane westchnęła.

- Bo jesteś chłopcem, który potrafi powstrzymać mnóstwo złych rzeczy. Masz teleskop na szafce.

Jego wzrok poszybował pospiesznie w tym kierunku, po czym wrócił do niej.

- Bez ciebie nie będzie żadnych gwiazd. Już nigdy. Ludzie wciąż będą na nie patrzyli, ale nie będą wiedzieli, kim są. Nikt nie będzie wiedział, co to jest układ pierwiastków. Wcale. Większość dzieci umrze na dyfteryt i ospę, zawsze już tak będzie. Ludzie...

- Kiedy mam zacząć?

- Teraz - odparła Viviane. - Podaj mi dłoń, Myrddinie.

Wyciągnął dłoń w jej kierunku, wzięła ją i zaczęli się zapadać, aż ujrzeli, jak słońce w pełnym blasku dnia przedziera się przez dęby, opromieniając czarodziejski krąg zielonozłotym blaskiem. Mała kobietka, od której Myrddin był większy o połowę, wylądowała tuż przed nim.

Viviane wskazała na niego.

- Jest w piżamie. Żadnego żelaza, tak?

- Widzę. - Następnie mała kobietka zwróciła się do Myrddina: - Dlatego właśnie musieliśmy prosić Viviane, żeby cię przyprowadziła - dlatego sami nie mogliśmy po ciebie przyjść, Myrddinie, chociaż bardzo byśmy chcieli. Podasz mi dłoń? Musisz, bo inaczej wszystko na nic.

Podał i odeszli we dwójkę w dal, niknąc w powietrzu, zanim objął ich cień drzew. Słyszac trzepotanie delikatnych skrzydełek, Viviane odwróciła się.

- A więc tu jesteś! - wykrzyknęła mała kobietka. - Potrzebujemy cię. Pójdiesz ze mną? Wiem, że bardzo chcesz wrócić do domu, ale... no, musisz mi pomóc. Naprawdę nie masz wyjścia. Słowo.

Viviane spojrzała na zegarek, mrużąc oczy w słońcu.

- Dobra, ale najpierw coś mi wyjaśnisz. Dwie sprawy.

- Ja... czasami mi się wszystko miesza.

- Zauważyłam. Ale spróbujesz? Musisz być ze mną szczerą, jeśli mam cię wyciągnąć za uszy z kłopotów.

Mała kobietka wydawała się mocno wstrząśnięta.

- Ja... cóż...

- Zawsze jesteś szczerą i prawdomówną. Poza tymi przypadkami, kiedy nie jesteś. Ja tylko staram się pomóc.

- Cóż... zgoda.

- Ja też jestem szczerą, ale chcę, żebyś mi coś obiecała. Przysięgnij, że odpowiesz na moje pytania i nic przede mną nie zataisz.

- Obiecuję - przysięgła Vivien - jeśli będę mogła. Ale mogę nie móc. Plotę trzy po trzy, kiedy nie mam o czymś pojęcia.

- Tym razem żadnych koszałków-opałków. Jak nie będziesz mogła odpowiedzieć, to powiedz, że nie możesz.

Drobna kobietka położyła łapkę na sercu.

- Prawda, cała prawda i tylko prawda!

Naprawdę musi mnie potrzebować, pomyślała Viviane. Pięknie! Głośno powiedziała:

- Najpierw kwestia czasu. Koń mnie zrzucił i nie było go, kiedy się ocknęłam, więc jak sądzę, byłam nieprzytomna przez jakiś czas. Później weszłam w ten las. To też chwilę trwało. Musiałam odnaleźć źródło i to też mi zajęło parę minut.

- Rozumiem. - Mała kobietka uśmiechnęła się promiennie.

- Rozmawiałam z tobą, przyszliśmy tutaj i później rozmawiałam z tym miłym chłopcem...

- Tak bardzo się cieszę, że go lubisz!

- I wróciliśmy tutaj. I tak dalej, mam rację? Ale mój zegarek wciąż wskazuje pierwszą dwadzieścia siedem, więc zakładam, że stanął. Tyle że słońce też się wcale nie przesuwa. Wszystko to musiało zabrać dobrych kilka godzin. Albo i więcej.

- Nad tym się zastanawiasz. Oczywiście, że powinnaś. Możemy, no, robić kilka rzeczy naraz, Viviane. Dla ciebie czas stoi w miejscu. To wiem.

- Ale dla ciebie nie.

Vivien potrząsnęła głową.

- Wsypaliście mi piasek do zegarka. - Viviane westchnęła. - Bo inaczej nie wygralibyście z czasem. Kiedy tu skończymy, czy zabierzesz mnie do Gryfa i Żółwiciela? Zawsze chciałam ich poznać.

Viviane momentalnie rozchmurzyła się, widząc wyraz zakłopotania na twarzy małej kobietki.

- Bardzo chętnie pokażę ci gryfy - odparła Vivien - kiedy tylko skończymy z Myrddinem. Żółwiciela...? Naprawdę... Może gdzieś jakiegoś przydybię.

- Nie przejmuj się Żółwiciem - uspokoiła ją Viviane. - Później do niego dojdziemy. A oto moje drugie pytanie. Powiedz, do czego konkretnie jestem ci tym razem potrzebna? Za pierwszym razem potrzebowałam mnie, bo w pokoju Myrddina były przedmioty z żelaza. Ale teraz przecież jest u was, prawda?

Vivien przytaknęła.

- Jest. Ale teraz jest nieco, hmm, inaczej. On się zmienił. Jest starszy.

Viviane wolno pokiwała głową.

- Mów dalej.

- Jest bardziej, eee, dojrzały, bardziej od ciebie, prawdę rzekłszy. I my... no, on nie chce już... No, wiesz, uczyć się dalej. A wciąż ma jeszcze tyle materiału do opanowania.

- Chce się zerwać ze szkoły.

- No... chyba tak. To zabrzmi... On... ach...

- No co? - Viviane zacisnęła szczęki. - Powiedz mi albo już ci więcej nie pomogę.

- Chce cię odszukać. - Pajęczce skrzydełka opadły. - Ale widzisz, to jest w ogóle niemożliwe. Musi nauczyć się jeszcze bardzo wiele, zanim będzie potrafił, ach...

- Co potrafił?

- Szukać ludzi w przeszłości. Szukać ciebie. Dlatego my... to był mój pomysł, Viviane. Możesz mnie za to zniechęcić, pewnie tak będzie. Powiedzieliśmy, że jak się będzie uczył, to nastanie taki moment, w którym będzie cię widywał bardzo często. I... o, tak mi przykro! Nie powinnam była. I nie powiem! Teraz nie! Musi sam ci to powiedzieć. Ja... ja go lubię i wiem, że ty też go polubiłaś. Tak mówiłaś. Ja będę... muszę mu coś wykraść. Nigdy już nie będę mogła spojrzeć sobie w twarz. Przenigdy!

- Jak pójdę z tobą, to mi powie?

Mała kobietka w milczeniu pokiwała głową.

- Ale później mnie tu sprowadzisz? Szybko?

- Tak! Obiecuję!

Razem weszły w las.

Wszystko się zmieniło. Nie można inaczej tego ująć. Drzewa, które Viviane znała od urodzenia, kurczyły się i po chwili zniknęły. Zastąpiły je inne, dziwaczne drzewa, w większości przyjazne, choć dość tajemnicze. Niebo zrobiło się o ton ciemniejsze, a słońce większe, choć już nie tak jasne. Powietrze stało w bezruchu - bezwietrzne powietrze, które najwyraźniej oczekiwało czegoś nowego i dziwnego - i dawało orzeźwiający chłód.

- Czy to jest kraina baśni? - zapytała.

Mała kobietka wystrzeliła naprzód, odwracając się, by pośłać jej pospieszny uśmiech, i zniknęła między drzewami.

Jakiś męski głos zakrzyknął:

- Viviane?

- Tutaj jestem - odrzyknęła i od razu opadły ją wątpliwości. Naprawdę tu była? Serio?

- Wołasz mnie?

Biegł lekko i cicho, ale nie na tyle, by nie dosłyszała szmeru za plecami. I stanął tam, smagły, o haczykowatym nosie, ledwo wyższy od niej. Padł przed nią na kolana.

- Och, pani moja! Moja najdroższa, ukochana pani jeziora. Jakże długo czekałem na tę chwilę!

Kucnęła, zbliżając twarz do klęczącego mężczyzny.

- To ty. Potrafią robić różne cuda z czasem. Tak mówiła. Jesteś Myrddin?

Skinął głową. Wolno, z namaszczeniem i gracją wziął jej dłoń w swe miękkie ręce o długich palcach, które wyglądały jak dłonie pianisty.

- To ja. Jestem Myrddin, moja pani, twój ukochany i twój sługa. Niewolnik twój bez względu na to, co się stanie, i bez względu na to, co ty pani powiesz czy zrobisz.

- Nie chcę mieć niewolnika, Myrddin. - Zezłości się? - Chcę mieć przyjaciela. Dobrego, prawego przyjaciela.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się, błyskając idealnie równym i białym uzębieniem.

- Twój sługa i przyjaciel, moja pani. Zawsze wierny.

Viviane wyciągnęła dłoń, tak samo zrobił on i całkowicie bezwolnie - ani też bez sprzeciwu - wzięli się w ramiona. Pocałowali się raz i drugi i chociaż żadne z nich nie wiedziało wiele na ten temat, każdy pocałunek był słodszy od poprzedniego.

Aż usiedli kolo siebie, ona z opalonym ramieniem wokół jego talii i z głową na jego ramieniu. On z bardziej muskularnym ramieniem na jej barkach i policzkiem szorującym o jej włosy.

- Obiecali mi, że pewnego dnia znów cię spotkam - powiedział jej. - Jak się wszystkiego nauczę. No to mi ją pokażcie, powiedziałem. Pokażcie mi ją w tej chwili, a wtedy wam uwierzę.

Viviane uniosła głowę z jego ramienia tak, żeby mogła widzieć jego twarz.

Było to oblicze osoby, która złości się przez sen.

- Powiedziała, że tak będzie, i odleciała. Wkrótce wróciła. I nadeszłaś ty, a twoje imię to Viviane.

- To prawda - wyszeptła Viviane.

- Na mej podłodze pojawiło się jezioro. Na pewno pamiętasz. Lśniąca woda podnosiła się, a wkrótce ty uniosłaś się z wody. - Westchnął. - Dla mnie zawsze już będziesz panią jeziora.

- Widziałam cię na łóżku - powiedziała. - Malutkiego, brązowego sokolika, który jeszcze nie potrafi latać. Teraz jesteś większy, ale zmieniłeś się w dużego, brązowego sokoła. Zawsze nim będziesz, moim brązowym sokołem, niedużym, lecz walecznym.

Zachichotał, ale po chwili spowaźniał.

- Nawet kiedy ma broda zbieleje, Viviane?

- Tak. Nawet kiedy broda ci zbieleje. Nawet kiedy obydwójce się zestarzejemy.

- Więc nie wiesz. Widzę, że nie. Właśnie wtedy będziesz moja. Kiedy moja broda zbieleje.

- Naprawdę? - Wpatrywała się w niego. - Tak ci powiedzieli?

Pokręcił głową.

- Sam to odkryłem, i to prawda. Nauczyłem się między innymi patrzeć bystrym wzrokiem na przeszłość i na to, co nadejdzie. Przeczesałem dzieje w poszukiwaniu czasu, który spędzimy razem, i to nie kilku godzin, ale wielu lat, podczas których drzewo może urosnąć do ścięcia. Ten czas istniał daleko w przeszłości. Kiedy się rozpocznie, moja broda zbieleje.

Przez kilka sekund ciągnących się w nieskończoność Viviane starała się pojąć to, co jej powiedział - zrozumieć to dogłębnie i zaakceptować, ale nawet kiedy wiedziała, że musi coś powiedzieć, wciąż nie wierzyła, że to prawda. Zacinając się, tylko dlatego, że naprawdę musiała coś powiedzieć, odparła:

- Będziesz żył bardzo długo. Tak to wygląda.

- Tak! - Jego ramię objęło ją ściślej mocnym, sprężystym uściskiem mężczyzny, który odnalazł swój największy skarb. - Ale nie powiedziałem ci wszystkiego. To nie jest najlepsze. Najlepsze jest to, że kiedy już uratujemy przyszły świat, to będziemy żyć razem przez wiele, wiele lat. Może nawet przez dziesięciolecia.

Znów się pocałowali.

- To też powinnaś wiedzieć, Viviane. Kiedy w końcu się połączymy, w miarę upływu lat będę młodniał. Młodniał do takiego wieku, że staniemy się równolatkami.

- Naprawdę? A nie przyśniło ci się to przypadkiem?

- Nie - odparł - ale nawet gdyby się przyśniło, byłaby to prawda. Moje sny nie są już wyłącznie nocnymi bajaniami. Już od dawna nie. Ja odmłodnieję, a tobie przybędzie lat. I w końcu się spotkamy. Po tym wciąż będę młodniał. Trudno mi o tym mówić.

- No to nie mów - powiedziała. - Cieszymy się naszym szczęściem. Ja jestem szczęśliwa.

- Tak jak i ja. Ale musisz coś wiedzieć. Kiedy znów stanę się dzieckiem, musisz oddać mnie mojej mamie. Wszystko będzie przygotowane - dopilnują tego Gwelliant i inni. Moja mama nie dowie się w ogóle, że zniknąłem. Wtedy zacznę dorastać jak każde dziecko. I wtedy wezwiesz mnie ponownie.

W przedziwny sposób Viviane uwierzyła, że to wszystko prawda.

- Tak, wiem, że tak będzie.

Przeszedł go dreszcz jakby od chłodu.

- Na koniec zwyciężymy. To widziałem i to się liczy. Zbyt krótki to dzień do wschodu księżycy. Nacieszymy się nim w pełni.

*

To, co Stokrotka nazwała wciągającym lasem, nie było ani kępą sosen, ani grupą dębów. Nie był to też ów dziwaczny las, w którym doznała tyle szczęścia. Jego potężne dęby wyglądały znajomo, choć były starsze niż te, które dotąd widywała. I chociaż ich górne gałęzie były skąpane w promieniach słonecznych, czarna glina, po której stąpała, leżała w miejscu, do którego nigdy nie docierało słońce.

- Gdziekolwiek chcesz - powiedziała jej mała kobietka. - Możesz budować, gdzie tylko chcesz. Ja sama nie znam się na budownictwie...

- Ja też nie - odparła Viviane.

Drobna kobietka zignorowała ją.

- Ale gdybym już miała budować, to postawiłabym go blisko źródła materiałów budowlanych. - Delikatne skrzydełka furkotały nerwowo. - No bo nie byłabym w stanie latać z naręczem patyków, ale też nie uśmiechałoby mi się drałowanie na piechotę.

- Nie widzę tu żadnych patyków.

- Muszą tu być gdzieś w pobliżu, sama wiesz. Przy tych wszystkich drzewach? Tu muszą być patyki. No to buduj, a ja muszę lecieć.

- Czekaj! - Viviane próbowała ją złapać, ale jej się nie udało.

- Nie musi być duży. - Vivien uniosła się wyżej, pozostając poza zasięgiem. - Mówiłam już? Z całą pewnością tak. - Zniknęła wśród liści, ale wciąż słychać było jej głos: - Dwa pokoje. I jeden większy. - I już naprawdę cicho: - Sama dobrze wiesz.

- O jejku. - Viviane wykrzyknęła w pustkę. Po chwili jeszcze głośniejszym z większym dramatyzmem: - Ojejejej!

Ze szczytu jednego z pobliskich drzew wprost na gałąź zleciał kruk, głośno łopocząc skrzydłami.

- Dzwoniłaś do mnie, złotko?

Viviane wzięła głęboki wdech i zorientowała się, że się uśmiecha - był to blady uśmiech, a przynajmniej tak podejrzewała.

- Ja - zaczęła gorączkowo - bardzo, ale to bardzo się cieszę, że cię widzę, Nevermore.

- Przyda ci się doborowe towarzystwo w tej głuszy. - Nevermore przekrzywił łepkę, przyglądając się jej jednym byстрыm okiem. - Gniazdko sobie mościsz?

- Mały domek - wyjaśniła Viviane. - Budkę, szopę, chatynkę.

- Na jedno wychodzi.

- Chodzi o to, żeby mały Artur myślał, że tu mieszka Myrddin. Vivien - ta druga, ta wróżka - ma przywieźć meble i wyposażenie. Moim zadaniem jest wybudować dom. Gniazdko? Tyle że wciąż jestem w polu i nie mam pojęcia, skąd wezmę budulec.

- Kapuję. - Nevermore rozpostarł skrzydła. - Znam się na tym.

- Chcesz powiedzieć, że mi pomożesz? - Było lepiej, niż się spodziewała.

- Chcę powiedzieć, że zajmę się tym, złotko. Ale najpierw odbębniemy to Błogosławieństwo Klucza. Stój tam, gdzie stoisz.

Viviane wykonała polecenie, obserwując, jak czarny ptak wlatuje ku porośniętym mchem drzewom, wydaje odgłos podobny do uderzeń żelaznego dzwonu, głębokie, posępne krakanie, które odbijało się echem w całym lesie.

Kiedy zniknął i nie było już słycać żadnych odgłosów jego bytności, a las znów zamilkł ponurą beznadzieją, usiadła na wystającym korzeniu, objęła się rękami za głowę i myślami przeniosła się do domu. Przypomniały się jej matczyne posiłki, przygotowywane w jasnej kuchni. Leżenie na dywanie w pokoju i odrabianie lekcji przy muzyce. Sprzątanie zagrody Stokrotki i karmienie jej jabłkami. Czasami miała trudne zadania domowe, a sprzątanie stajni zawsze było ciężką pracą, ale w tej chwili z radością oddałaby swoje nowe siodło, byleby tylko wrócić do domu, w którym czekałyby na nią brudna stajnia i zaległe prace domowe...

Mały ptaszek o jasnoczerwonym upierzeniu na piersi usiadł na drzewie koło niej i pokiwał się na gałązce, przyglądając się jej. Niemal od razu w ślad za nim rozległ się wielki harmider i poruszenie za sprawą nadlatującego klucza łabędzi. Usiadły (niewprawnie) na ściółce wokół niej. Za nimi pojawiła się parka kuropatw, a potem cała chmara wirujących skrzydeł ptaków, które trudno by zliczyć.

Jako ostatni nadleciał orzeł przedni. Pod wpływem jego wagi gałąź, na której usiadł, wygięła się prawie do ziemi, a ptaszysko rozpostarło potężne skrzydła jak baldachim nad jej głową.

- Kiedy powiem „na ziemię” - wymamrotał Nevermore - to klęknieysz i rozłożysz ramiona jak skrzydła. Kapujesz?

Viviane udało się przytaknąć.

- Przyjmij tedy - zaintonował - Błogosławieństwo Klucza. - Po tym ostatnim słowie wyszeptał gorączkowo: Na ziemię!

Viviane padła na kolana i skłoniła głowę, rozpościerając szeroko ramiona. Skrzydła wszystkich ptaków, oprócz orła, skierowały się w jej stronę.

- Przyjmij tedy Błogosławieństwo Klucza! - zabrzmiało z tysiąca ptasich gardzieli wszelkich rozmiarów i maści.

Kruki to wykrakały. Wrony wyskrzeczwały. Słowiki wykląskały, a kaczki wykwakały. Łabędzie - wszystkie nieme - poruszyły tylko dziobami, ale szare gęsi z Islandii wysyczały te słowa. Zanosiło się na rosnącą kakofonię dźwięków i pod pewnymi względami tak było. A jednak było to piękne dziwną pięknnością dzikiego ptactwa, które nie musi być urodziwe, by zadowolić matkę naturę (choć przeważnie jest).

Towarzyszył temu łoskot tysięcy skrzydeł i wszystkie ptaki poza Nevermore'em odleciały.

- A teraz co? - Viviane podniosła się z kolan, otrzepując spodnie.

- Teraz uwijemy ci gniazdko, moje złotko. - Nevermore zaczął czyścić piórka. - Jesteśmy w tym co najmniej nieźli.

- Ile ci jestem winna? - Viviane ponownie wyjęła drobne z kieszeni.

- Nic. Nie wykorzystałem jeszcze zaliczki, kapujesz?

Pierwszy furkot pojawił się jeszcze, kiedy kończył to zdanie.

Osiem czy może dziesięć szpaków wróciło, zatopionych we własnej kłótni, niosąc w dziobkach gałązki i źdźbła trawy. Później wydawało się, że domek rośnie szybciej, niż przylatywały ptaki. Po jakimś czasie z płataniny skrzydełek, dziobków, piór i pazurków wyłoniły się jego ściany.

- Nieźle - zawyrokował Nevermore, kiedy jeden skrupulatny strzyżyk wykańczał dach.

- Oczywiście ja bym to zrobił lepiej, ale w pojedynkę trwałoby to dużo dłużej. Rzućmy okiem do środka.

Drzwi ze splecionych gałęzek stanęły otworem. Viviane weszła do środka i spostrzegła, że stąpa po kobiercu z siana, trawy, puchu i piór. W domu były trzy pomieszczenia, wszystkie większe, niż się spodziewała, a wchodziło się do nich przez nieco przymałe wejścia. W dwóch pyszniły się małe, okrągłe okienka.

- Trzy otwory, kapujesz? - Nevermore załopotał skrzydłami przy lądowaniu na ramieniu Viviane. - Trzy otwory i trzy pokoje. Większość z nas liczy tylko do trzech. Jeśli chodzi o mnie, to potrafię liczyć do ponad dwudziestu, ale potem robi się galimatias, więc zamiast podać dokładnie ile, mówię zawsze, że „mnóstwo”. W większości przypadków to wystarcza. Trzy czy dwadzieścia trzy to dla nich bez różnicy. Podoba się?

Viviane wolno skinęła głową.

- Naprawdę wygląda jak chatka czarnoksiężnika, prawda?

- A pewnie. Jakby kazał nam ją sobie postawić. I miał robotę z głowy.

Znów pokiwała głową.

- Słusznie. Ale ty się ze mnie troszkę nabijasz, mam rację?

- Ja? Skądże znowu! - Nevermore zawrzał szczerym oburzeniem.

- Po tym, czego dokonałeś, wolno ci trochę ze mnie pożartować, więc proszę bardzo. Myślę, że po tym nie byłbyś w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

- Kumam, złotko. Rozumiem, i myślę tak samo. Możesz mną poniewierać, tylko żebym nie spadł z gałęzi.

- W takim razie mam jedno pytanie - zaczęła Viviane. - Nie będzie zabawne. Jest całkowicie poważne. Kiedy przyleciały te wszystkie ptaki, widziałam parę brązowych jastrzębi, nieco małych i zwyczajnych, ale z wyglądu silnych i wytrzymałych.

- A pewnie. Chcesz znać ich imiona? Postaram się dowiedzieć tego dla ciebie.
Viviane pokręciła głową.

- Chciałabym się tylko dowiedzieć co to za rodzaj jastrzębiowatych. Czy to krogulce czy myszołowy? Wiem, że ani to, ani tamto, ale przypominają mi Myrddina i chciałabym wiedzieć.

- To drzemliki - powiedział Nevermore. - Tylko jak będziesz z nimi rozmawiać, nazywaj je merlinami. Tak z grzeczności.

Nagle cała chatka wypełniła się ludem o pajęczych skrzydełkach. Każdy z nich przynosił taborety, półeczki i muszle, stoły, stoliki, błyskotki, stare księgi, rozmaite proporce i setki innych przedmiotów, z których każdy był dziwniejszy i mniej użyteczny od poprzedniego.

- No i jak ci się podoba? - zapytała Vivien. Dźwigała z wielkim wysiłkiem wielką szklaną retortę wypełnioną bulgocącym, zielonym płynem.

- Dom podoba mi się bardzo - odparła Viviane. - Mam nadzieję, że tobie też. Ale te graty... Te rupiecie - ojejku!

- Ten drewniany wąż? - Vivien uśmiechnęła się życzliwie. - To wspornik ramy łóżka. Są takie cztery, każdy inny.

Ciche krakanie Nevermore'a miało niemal terapeutyczne właściwości.

- Ze wszystkich czterech rodzajów. Ptaki, węże, ryby i koty. Numer pięć to ludzie, ale przecież on tu będzie spał, rozumiesz? Więc w sumie będzie pięć.

- Tak czy owak to pomieszanie z poplątaniem.

Odezwał się skrzekliwy głos:

- Miejsce na wszystko i wszystko nie na miejscu, moim zdaniem, moje najdroższe, najdroższe kochanie.

Nowo przybyły był stary i przygarbiony, a jego długa, szara broda przybierała białą barwę. Przybliżywszy się do Viviane za pomocą powykręcanej laski, wziął ją za rękę i delikatnie przytrzymał w swojej dłoni.

- Moja pani jeziora - wyszeptał.

Viviane wzięła głęboki wdech.

- Mówili mi, że będziesz stary, więc spodziewałam się tego. Ale oczy masz takie same. W ogóle się nie zmieniły.

Objęli się. Wokół rozlegało się ustawiczne trzepotanie skrzydeł, bo z chaty ulatywali Nevermore, Vivien i jej przyjaciele o delikatnych jak pajęczyna skrzydełkach, ale Viviane nie słyszała tego - w ogóle niczego nie słyszała poza jego westchnieniami i dudnieniem własnego serca. Pocałował ją i jedna mała, gorąca łza (tylko jedna) potoczyła się jej po policzku.

- Och, Merlinie... - rozległo się ciszej od szeptu. - Och, mój ty, mój ukochany Merlinie...

Kiedy w końcu się rozstawali, powiedział:

- Usiądź. Usiądź na chwilę, cna pani. Nie chcesz? Nie chcesz mnie uszczęśliwić? Bo kiedy tak stoisz, mam wrażenie, że zaraz mnie opuścisz.

Usiadła, wybierając niewielkie krzesło rzeźbione w fantazyjne wzory.

- Jesteś wstrząśnięta, moja droga pani jeziora, której czas się nie ima, że widzisz mnie takim jak teraz, człowiekiem, co wiele lat ma za sobą. Mogę znów zmienić się w młodzika na twoich oczach, ale ta transformacja byłaby całkowicie nierealna i - niestety - tylko tymczasowa. Prawdziwa nie leży w mojej mocy. Również nie w mocy cnej pani, którą nazywam Gwelliant. A po prawdzie, pani, jej moc jest mniejsza od mojej.

Viviane wzięła głęboki wdech, wchłaniając bogatą i sycącą atmosferę przyprawioną zapachem lasu i nietkniętą dymem.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę potrafisz wyczarować coś z tego śmietnika? Nie wierzę!

Merlin uśmiechnął się, ukazując jeden złamany ząb i resztę żółtawych.

- Tego nie potrafię, moja pani. Moje moce tkwią we mnie. Widzisz moje zęby i ja wiem, co myślisz, ale patrz.

Przesunął dłonią po ustach i znów się uśmiechnął. Białe, niemal doskonałe zęby rozjaśniły jego smagłą twarz.

- Jak widzisz, moja pani, mam dwa komplety. Nie dwie sztuczne szczęki, jak myślisz, ale dwa zestawy prawdziwych zębów. Te są moje, podobnie jak tamte. I wedle zachcianki, mogę pokazywać jedno bądź drugie. Również inne części ciała mam w dwóch, a nawet w kilku przypadkach, w trzech wariantach. Nie mogę ci ich pokazać, bo tkwią we mnie, ale mogę za ich pomocą robić wiele rzeczy. Wszystko to... - Machnięciem ręki ułożył książki, dziwaczne przyrządy naukowe na miejscach, a nawet zawiesił wypchanego krokodyla u powały. - To tylko dekoracje. - Stukając się długim palcem po czole, dodał: - Magia tu jest. Zawsze. Teraz i później. Chcesz zobaczyć, jak zmieniam kształt? Albo czy zechcesz zmienić postać na godzinę? Jak mówi Gwelliant, mamy trochę czasu, zanim pojawi się Artur.

- Ja... no, bardzo bym chciała zmienić się w ptaka. W... gołębicę. Możesz to sprawić?

Viviane wcale się nie zmieniła - tak przynajmniej czuła, ale przytulny pokój z drewna nagle urósł do rozmiarów wielkiego amfiteatru, a dziwacznie rzeźbione krzesło, na którym siedziała, nagle stało się o wiele większe niż stół w domowej jadalni.

Jesteś gołębicą, moja najdroższa.

Głos w jej umyśle napływał od niewielkiego, brązowego ptaka po drugiej stronie przepastnego pokoju. Wiedziała to i nie zastanawiała się, skąd wiedziała, ani też w jaki sposób się zmieniła. Była... zapomniała tego słowa. Mogła jednak i chciała sobie polatać. Rozpościerając białe skrzydła, wyleciała przez drzwi.

Brązowy ptak poleciał za nią o wiele chyżej niż ona. Jestem merli- nem. Nie zrobię ci krzywdy, ale będę cię strzegł, jeśli napotkasz takiego jak ja.

Nie dziobać, pomyślała. Nie dziobać. Wzleciała na drzewo, strącając kilka suchych gałązek. Prawie spadła, siadając na jednej z nich. Kiedy odzyskała oddech, mogła ponownie wzbić się w górę.

Szerokie niebo wciąż miało ciemnobłękitną barwę, choć słońce wisało teraz niżej. Wzleciała w górę, ucząc się lotu podczas latania.

Są jeszcze orły. I wiele innych jastrzębi. Lepiej schowaj się między drzewa. To brązowy ptak.

Niebo pociemniało. Kiedy zaatakowała ją sowa, brązowy ptak natarł na nią nieustępliwie w powietrzu, rozwierając swoje szpony. Sowa poszybowała dalej. Niżej. Leć za mną.

Niechętnie poszła w jego ślady.

Niżej! Ląduj!

Brązowy ptak zniknął.

Ląduj! Bo zginiesz!

Wylądowała i zmieniła się w siebie - w Viviane w wysokich butach, dzinsach, płóciennej koszuli - przykucniętą na ściółce wiekowej kniei.

Kiedy się podniosła, niewielki mężczyzna z długą, szarą brodą położył jej dłoń na ramieniu.

- Artur jeszcze nie przybył, ale musimy wrócić do chaty, zanim się zjawi.

Kiwnęła głową i kiedy szli koło siebie, jej ręka odnalazła jego dłoń.

- To było wspaniałe - wyszeptwała. - Nie tak wspaniałe, jak się spodziewałam, ale i tak cudowne. Dziękuję ci.

- Możesz znów się zmienić w gołębicę - powiedział jej. - Ale bądź ostrożna. Ziemia czy bieżąca woda sprawią, że zaczniesz znów myśleć jak człowiek i znów staniesz się sobą. Czy wyraziłem się dość jasno?

- Chyba tak. - Powiedziała to tak cicho, że musiała powtórzyć.

- Kiedy zaczniesz myśleć jak człowiek, kiedy będziesz w powietrzu, to się zmienisz i spadniesz z wysoka. Uważaj na siebie.

- I nie podskakuj za wysoko - wymamrotała. - Jasne.

- Ach, jak to będzie wspaniałe - dodał - kiedy w końcu będziemy razem. Będę wtedy starszy, ale przebywanie z tobą odmłodzi mnie.

Wolno pokiwała głową.

- To już słyszałam.

- Czekają mnie lata oczekiwań i lata pracy. - Wzmocnił uścisk. - Będę pracował i czekał z radością, wiedząc, co mnie czeka.

Mała kobietka z delikatnymi skrzydełkami czekała na nich w chacie z gałązek, którą ptaki postawiły dla Viviane.

- Witajcie! - wykrzyknęła.

- Pozdrawiam cię, Gwelliant - odpowiedziała Viviane. - Nie masz nic przeciwko temu, że będę się do ciebie zwracała twoim prawdziwym imieniem? Bardziej mi się podoba.

- Możesz mnie tak nazywać - przystała mała uskrzydłona kobietka - ale my nie mamy prawdziwych imion. Tylko nieprawdziwe, jak Vivien czy Gwelliant.

- Nie macie prawdziwych imion?

Mała kobietka z pajęczymi skrzydłami pokręciła przecząco głową.

- Nie potrzebujemy ich. Poza tym wiele nas nie zostało.

- Kiedy przynosiliście książki i to okrągłe coś ze szpikulcami, to wydawało mi się, że jest was strasznie dużo.

- Nie. - Oklapłe skrzydełka opadły jeszcze niżej. - To byli wszyscy. Cała nasza populacja, a niektórych widziałas po trzy, cztery razy. Możemy jednocześnie przynosić coś i szukać czegoś innego, całymi dniami. Kiedy znajdujemy, wracamy do momentu w czasie, kiedy przynosiliśmy to pierwsze, i tamto też przynosimy. Jest nas bardzo mało.

Viviane przytaknęła swoim myślom.

- Za każdym razem, kiedy jakieś dziecko mówi: „Nie wierzę we wróżki”, to jakaś wróżka umiera. Gdzieś o tym czytałam.

- Przecież tak naprawdę to nie jesteśmy wróżkami, Viviane. Jesteśmy... No, nie mam czasu. Ale jesteśmy i musisz nam pomagać.

- Zaczyna mnie to bardzo, ale to bardzo męczyć. Czy to będzie ostatni raz? Zanim połączymy się z Merlinem na te długie lata?

- Dwa razy, ale załatwimy to w pięć minut, pod warunkiem że ci się powiedzie. Stań tam.

Był to czarodziejski krąg.

- Wokół będziesz miała jezioro, ale się nie zmoczysz. Wkrótce Artur wrzuci swój miecz do wody. Musisz go złapać tak, żeby się nie pokaleczyć, więc złap go przez...

Jakaś ryba przepłynęła obok i Viviane nie dosłyszała końcówki. Spojrzała w górę i zobaczyła spienione fale. Toń załamała się, jakby ktoś wrzucił w nią coś długiego i ciężkiego.

Był to miecz, taki wielki, jakiego w życiu nie widziała, i kiedy zagłębiał się koło niej w wodę, chwyciła go za jelec, mocząc sobie dłonie.

- Dobrze - rozległ się głosik małej kobietki koło jej ucha. - Nie możesz go zabrać. Jest ze stali i zakłóciłby tylko pole. Wymacaj grunt pod stopami. Powinna być gdzieś tam pochwa. Viviane zrobiła, co jej kazano.

- Ależ ona piękna! Słyszysz mnie? Jest wspaniała i do tego te klejnoty.

- To myśmy ją zrobili. - Głos dobiegał teraz jakby z oddali. - Dzięki za pochwałę. Zanim wsuniesz w nią miecz, wylej, proszę, całą wodę.

Wodę i muł, pomyślała Viviane, ale woda wyciekająca z pochwy była spieniona i błyszcząca, rzeka drobnych brylantów. Kiedy ostatni z niej wypadł, Viviane włożyła miecz do pochwy.

- Jeszcze jedno, Viviane, proszę. Jeszcze jedno zadanie, moja droga przyjaciółko, i kończymy. Dzięki niemu uratujesz nas - i siebie też. Siebie, twoją rodzinę i wszystkich bliskich twemu sercu. Policz do pięciu i wystaw miecz nad taflę wody. Niech Artur go weźmie. I to już będzie koniec.

Kiedy miecz zniknął, podobnie jak całe jezioro, Viviane wyszła z kręgu. W oddali wyrastały jedna po drugiej kamienne ściany, które potężniały na jej oczach. U jej stóp kwiaty rozchyłały swoje płatki. Niedaleko trysnęła fontanna. Kiedy podeszła do niej, zza cembrowiny wyłonił się wielki biały kwiat, unosząc swą dumną głowę, aż sięgnęła powyżej najwyższych

drzew. Chwilę później wokół niego zaczęły krążyć wrony - nie, nie wrony, czarne ptaki większe od wron.

Zobaczyła go, jak siedział na marmurowej ławie i przyglądał się fontannie starczymi oczami.

- Wciąż jesteś młoda. - Był to skrzekliwy głos starca. - Ja jestem stary, a Artur leży pogrążony we śnie. *Hic lacet Sepultus Inclitus Rex Arturius in Insula Avalonia*. Ja nie ośmielam się spać, najdroższa Viviane. Jeszcze nie. I jeszcze to. - Poklepał po marmurowym siedzeniu. - Chodź, usiądź przy mnie.

Usiadła, starając się, żeby nie wypadło to sztywno.

- Nie łkniesz już mych pocałunków - powiedział starzec.

Viviane wyszeptała:

- Jesteś w błędzie.

Jakby tego nie słyszał.

- Nie lękaj się. Nigdy się nie lękaj, moje kochanie, nie będziesz musiała ich znosić. Ani też moich słów, jeśli sobie tego nie życzysz. Nie musisz mnie słuchać, ale ja muszę to powiedzieć.

Kiwnęła głową.

- I posłucham cię, wystucham wszystkiego, co masz do powiedzenia, Merlinie.

- Okrągły Stół został rozbity. Artur leży u boku królowej, a jego pomniejsi rycerze walczą między sobą o schedę. Camelot wkrótce wpadnie w ręce pogan. Wszystko stracone. - Westchnął. - Poza marzeniem. Marzenie wciąż jest żywe w opowieściach przy kominkach i w pamięci oraczy. Nie może zginąć. Ludzie na całym świecie muszą wiedzieć, że niegdyś trwał czas sprawiedliwości, kiedy dzielni mężowie gięli kolana przed Bogiem i walczyli z mrocznym, złym światem. Kiedy chrobrzy woje stanęli do walki o prawość, choć ryzykowali swoim życiem i ziemią.

- Znam jednego - powiedziała Viviane.

- Masz tedy szczęście. - Dłoń starca odszukała rękę dziewczyny i zaciśnęła się na niej. - Ja muszę bacznie się przyglądać, dotykając wielu, choć samego mnie dotknąć nie można. Muszę dopilnować, by płomień tlił się cały czas, choć słabo, jakkolwiek przygaszone było jego światło.

Zamilkł. Viviane czekała.

- Nie musisz trwać przy mnie, o Pani Jeziora. Nie musisz ani ja cię do tego nie przymuszę. Ale tli się we mnie nadzieja... chciałbym, proszę, najdroższa pani... chciałbym...

- Twoje życzenie się spełni - odparła Viviane. - Zostanę.

*

Kiedy było po wszystkim, kiedy pędzące na złamanie karku lata wspólnej szczęśliwości w końcu przeminęły, drobna kobietka z pajęczymi skrzydłami znowu zawiodła Viviane do tego strumienia, w którym niegdyś moczyła ona swoją chustę.

- Pomogłaś nas uratować - rzekła. - Zawsze będziemy ci wdzięczni.

Viviane pokiwała odruchowo głową.

- Jak masz na imię? Jestem pewna, że kiedyś je znałam.

- Tak, znałaś. Jest takie samo jak twoje. Jestem Vivien.

- Pamiętam. - Było co wspominać i Viviane wiedziała, że nie będzie w stanie przypomnieć sobie wszystkiego.

- A czy pamiętasz też, jak ci mówiłam, że jest nas bardzo mało?

Mówiłaś, że za każdym razem, kiedy dziecko mówi: „Nie wierzę we wróżki”, to jakaś wróżka umiera.

- Naprawdę tak powiedziałam? - Viviane uśmiechnęła się.

- Tak, mówiłaś tak i pod pewnym względem jest to prawda. - Vivien usiadła na małym kamieniu przy stawie. - My jesteśmy twoją przyszłością, Viviane, tak samo jak jesteśmy przyszłością Brytów Artura i całej rodziny Myrddina - potomków jego brata, potomków jego siostry i jego własnych. Gdyby ludzie z czasów Artura przestali wierzyć, marzyć o tych pięknych rzeczach i starali się je urzeczywistnić, to szczęlibyśmy, stalibyśmy się coraz mniej prawdopodobni i w końcu całkiem zniknęli. Jak przestaną marzyć ludzie z twoich czasów, będzie tak samo.

- Będę musiała się nad tym głębiej zastanowić - powiedziała Viviane. - Dlaczego jesteście tacy mali i dlaczego macie skrzydła?

- Kiedyś nas była chmara - wyjaśniła Vivien, unosząc pajęczę skrzydła z radości. - Zaludnialiśmy całą Ziemię. Nie chcieliśmy, żeby wymierały zwierzęta i obumierały rośliny, by nam zrobić miejsce, więc kurczyliśmy się coraz bardziej i bardziej. Kiedy staliśmy się tego wzrostu, co ja teraz, doszliśmy do wniosku, że moglibyśmy latać, gdybyśmy tylko mieli skrzydełka. Więc wyhodowaliśmy je sobie. Widzisz?

- Naturalnie, że widzę. Cudownie jest latać, prawda?

Vivien pokiwała główką i uniosła się nieco wyżej, a jej coraz szybciej trzepoczące skrzydełka zmieniły się w szarą mgiełkę.

- Ja też kiedyś latałam. Zamienił mnie w białą gołębicę i poleciałam. - Viviane wpatrywała się w taflę stawu, przyglądając się własnemu, naznaczonemu zmarszczkami obliczu. - Teraz chyba zmieniałabym się w szarą gołębicę.

Odpowiedź nie padła. Mała Vivien odleciała na swych pajęczych skrzydłach.

Viviane westchnęła i jeszcze raz przyjrzała się swemu obliczu, spoglądając też na cienkie, błękitne żyłki na dłoniach. Powiedziała do siebie, jak to od niedawna robiła:

- Mam chyba ze sześćdziesiąt lat. Albo może więcej... powinnam była zaznaczać te lata, ale to byłoby... jak sądzę...

- Ale nieźle się trzymasz, złotko.

- Nevermore!

- Jasna sprawa. Chyba że chciałaś przez to powiedzieć, że nie chcesz mnie już znać. Niełatwo się mnie pozbyć.

Viviane wpatrywała się w ptaka, w końcu skinęła głową.

- „A ten kruk nie odlatuje, wciąż waruje, wciąż waruje, na bladym popiersiu Ateny nad drzwiami mej komnaty”. Czytaliśmy to w szkole.

Nevermore przekrzywił łeppek.

- Piękne, co?

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale niech ci będzie. Ale to, czego nie rozumiem, ten fragment układanki, którego zupełnie nie pojmuję, to wcale nie tamten kruk. Tylko ty, Nevermore. Jesteś magicznym zwierzęciem. On wrócił do swojej matki - zabrałam go... - Zapłakała.

Nevermore czekał cierpliwie, aż osuszy łzy.

- Oddałaś go. Zrobiłaś to, co należało, złotko. Wiedziałaś, że tak trzeba, i to zrobiłaś. Nie ma nad czym rozpaczać.

- Jego nie ma i ta mała ze skrzydłami też znikła. Więc już dalej nie powinno być żadnych magicznych zwierząt. Żadnych, włącznie z tobą.

- Jak widzę, muszę trochę pouczyć. - Nevermore przekrzywił główkę i przyjrzał się jej jednym bystrym oczkiem. - Tyle że nauka kosztuje. Co powiesz na honorarium w postaci tego pięknego cza-somierza na twej ręce?

- Chcesz go? - Viviane spojrzała na różowy zegarek - 1.27. - Stanął. Stoi od lat. Nie wiem, czemu w ogóle go włożyłam dzisiaj rano.

- Nieważny szczegół - odparł Nevermore. - Chcę go.

- No to proszę bardzo. - Zdjęła go z ręki i wyciągnęła w jego stronę. - Odpowiesz na moje pytania? Za to?

- A żebyś wiedziała, złotko. - Dziób Nevermore'a zacisnął się na pasku. Kruk cofnął się nieco i przełożył zegarek do łapy. - Jak tylko zaniosę go do banku. To niedaleko i zaraz wracam.

Pokręciła głową.

- Niedobrze mi tutaj. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Wiem, że w odpowiednim czasie wrócę. Wróżka - ta kobietka ze skrzydełkami - powiedziała mi to. Ale i tak mi źle, może dlatego, że jeszcze wczoraj byłam szczęśliwa. - Rozejrzała się, starając się przypomnieć sobie kierunek, z którego przybyła całe lata temu.

- Tędy, złotko. - Nevermore wskazał skrzydłem. - Idź tędy, a szyb-ko się stąd wydasz. Nie przejmuj się mną, dogonię cię.

Kiedy odleciał, poszła we wskazanym kierunku. Była już stara. Stara, i nie będzie miała żadnej emerytury ani ubezpieczenia. Czy umrze z głodu? Pomyślała, że nie ma to większego znaczenia. Życie miała za sobą i może lepiej, żeby się naprawdę skończyło. Może i świat kręcił się nadal, jak mówiła jej skrzydlata przyjaciółka, ale ona wiedziała, że nie kręci się wraz z nim. Jakże oni byli niegdyś szczęśliwi, dawno, dawno temu...

- No dobra, złotko. - Nevermore poszybował nad jej głową i wy-ładował awaryjnie na pobliskiej gałęzi. - Masz pytania? Ja znam odpowiedzi. Może nie na wszystkie, ale i tak na bardzo wiele. No to strzelaj!

- Powinnaś była sobie przemyśleć te pytania podczas twojej nieobecności. - W obliczu tego niedopatrzenia poczuła się głupia i bezradna. - Nie zrobiłam tego, tylko bujałam w obłokach. Jakie pytania zadałbyś na moim miejscu?

Nevermore zakołysał się na jednej łapie, drugą drapiąc się w głowę.

- Mówiłaś, że nie rozumiesz, o co chodzi z tymi magicznymi zwierzętami. Może coś na ten temat?

- No dobrze. - Przez chwilę Viviane stała z opuszczoną głową, zatopiona w rozmyślaniach. - Ta mała kobietka, o której mówiłam, że jest wróżką, zniknęła. Merlin był wielkim i potężnym czarodziejem, ale kiedy go widziałam po raz ostatni, zmienił się w małego chłopca, po czym zaraz zniknął. Ale wy... No, wiesz, o co mi chodzi. Dlaczego?

- Mam precyzyjniejsze pytanie w zanadrzu zamiast tego, złotko. Więc powiem to po swojemu. A potem odpowiem. Mówisz, że jesteśmy tu razem, a jedno z nas jest magicznym zwierzęciem. Jak to możliwe? Nie jest tak?

- Doskonale - odparła Viviane.

- Po prostu dlatego, że ty tu jesteś. To ty jesteś magicznym zwierzęciem, złotko. Nie ja. Możesz zmienić się w ptaka. Jak ci się wydaje, czy ja jestem w stanie zmienić się w podlotka? Nie mogę. Nie potrafię ułożyć ogniska, ani otworzyć drzwi. Lubię wszystkie błyskotki, tak jak ty. Tyle że nie potrafię ich zrobić. Muszę je znajdować, kraść, albo się o nie targować, jak to zrobiłem przed chwilą. A ta twoja koszula? Podobają mi się guziki, ale nie potrafię ich zapiąć. Ani też rozpiąć, gwoli ścisłości.

- Chyba nie nadążam.

- No to spróbuj. To proste. Ludzie są magicznymi zwierzętami, a tu jest tylko jeden człowiek. Zapytaj swoją klacz albo każdego psa, na którego wpadniesz. Masz kota?

Viviane pokiwała głową.

- Koty łapią ptaki i niewiele możemy na to poradzić, chyba że odfruniemy. Wyobraź sobie, co by było, gdyby miały łapać ludzi. Jak myślisz, ile by pociągnęły?

- Mówisz, że potrafię zmienić się w ptaka. - Viviane zamyśliła się. - Ja tego nie zrobiłam. To Merlin zamienił nas oboje w ptaki.

- Nadał ci tę postać, złotko.

- To właśnie powiedziałam.

- Więc możesz to wykorzystać, jeśli bardzo będziesz tego pragnąć. Wystarczy, że czarodziej raz nada komuś inny kształt, a ten ktoś ma już go na własność. Kapujesz? Jakby dał ci to coś, co wkładasz na nogi. Jak da, to jest twoje. Możesz to nosić albo zdjąć, rozumiesz?

- Więc mówisz, że kiedy zechcę, mogę znów zamienić się w ptaka?

- Pewnie.

- To... to był wciągający las, jak mi powiedziała Stokrotka. - Viviane zamilkła, czując opór lasu. - Już taki nie jest, przynajmniej dla mnie. Mogłabym z niego zniknąć szybciej, gdybym zmieniła się w ptaka.

- A jasne.

- Więc chcę się zmienić. Dlaczego się nie zmieniam?

- Być może dlatego, że masz sporo zdrowego rozsądku, złotko. - Nevermore przypatrzył się jej uważnie, zanim znów się odezwał: - Będziesz potrzebować kogoś, kto wie, co w trawie piszczy. Będziesz potrzebować kogoś takiego jak ten tu łobuz. Zrobię to, ale musisz robić, co każę.

- Zrobię.

- No dobra. Trzymaj się mnie. Nie będę cię gonił. Leć pode mną przez cały czas... Nigdy nie wznos się tak wysoko jak ja. Zrobisz tak, złotko?

Viviane pokiwała głową.

- Zrobię wszystko, co mi każesz.

- Nie będę ci niczego kazał poza tym, co powiedziałem. Spójrz na niebo, dobrze. A teraz zamknij oczy, ale miej cały czas niebo w pamięci. Rozłóż skrzydła... - Teraz leć!

I poleciała, a kiedy znów otworzyła oczy, unosila się w górze. Czarny ptak wzbił się wśród drzew, aż wleciał nad ich koronami, a ona wraz z nim.

Napotkali górę otoczoną lasem. Odnaleźli szlak, żółto-brązową nitkę wijącą się wśród wzgórz. A tam...

Ktoś był ranny albo nie żył, bo leżał bez ducha na szlaku. Czarny ptak też go zobaczył i wystrzelił przed nią coraz niżej i szybciej z każdym uderzeniem skrzydeł. Poleciała za nim, wiedząc, że tak należy zrobić, choć nie pamiętała dlaczego. W tym miejscu srebrna nitka przecinała szlak - oczywiście strumień. Czarny ptak był już po drugiej stronie, coraz niżej i niżej. A ona...

Zmieniła się w bezskrzydłą dziewczynę lecącą w dół.

*

Ryk nie pojawił się wyłącznie za sprawą krwi pulsującej w jej skroniach. Posiniaczona i obolała usiadła i zobaczyła, że wóz terenowy mamy wznieca tumany kurzu, przyspieszając na szlaku. Zaniemówiła, ale zobaczyła, że ma mokrą, czerwoną bandanę, owiniętą wokół szyi. Zdjęła ją i pomachała nią.

- Nic ci nie jest, Viv? - Mama nachyliła się nad nią i jej lęk nadał drzenie jej głosowi. - Stokrotka przybiegła do domu bez ciebie, dosłownie odchodziłam od zmysłów.

- Nie wiem. - Odchrząknęła i wypluła coś z buzi. - Ja... rozpoznajesz mnie, mamoo?

- Oczywiście, że cię rozpoznaję!

- Nie mam puderniczki. Mogę dostać twoją?

- Masz sińce na twarzy, Viv. - Nigdy nie słyszała takiej troski w matczynym głosie. - Nie powinnam...

Viviane znów odpluła.

- Nie chcę się malować, mamoo, chcę się tylko zobaczyć.

Z zaproszonego pudrem lusterka spoglądała na nią mocno posiniaczona czternastolatka.

Viviane zatrzasnęła pudełko, oddała je mamie i starała się podnieść.

- Mam jedno idiotyczne pytanie. Odpowiesz mi na nie? Pomimo że jest takie głupie.

- Tak. Pytaj.

Viviane wyciągnęła rękę do przodu.

- Czy mam dalej na ręce ten różowy zegarek, który dał mi tato?

- Pewnie gdzieś spadł, kiedy się wywróciłaś - odparła mama. - Później go poszukamy.

- Nie ma sensu - odparła Viviane. - Nie przepadałam za nim.

Jej mama już rozpoczęła poszukiwania.

- Oto twój szwajcarski scyzoryk. - Pomachała nim triumfująco.

- Chyba brakuje jednej monety w kieszeni. Tego też nie szukaj. - Viviane wpatrywała się w drzewa na skraju lasu. Wzięła błyszczący czerwony scyzoryk i cisnęła go w stronę wielkiego czarnego ptaka, który przysiadł na pobliskiej gałęzi. - Masz - zawołała. - I dzięki!

*

Trzeciego dnia po rozpoczęciu nowego roku szkolnego, kiedy siedziała z Joan w kafejce, spojrzała w bok i aż zamarła. Joan starała się podążyć śladem jej wzroku.

- O co chodzi, Viv?

Viviane odłożyła widelec i pokazała jej.

- Ten chłopak. Taki niewysoki.

- A ten? To Joe...

- Nieważne. - Viviane uciszyła ją gestem dłoni. - Nieważne, jak go nazywają. Ja znam jego prawdziwe imię.

Skoczyła na równe nogi i pomachała do niego.

- Merlin! Tutaj! To ja, Viviane!

Smagły, smukły chłopak odwrócił się na pięcie, a jego oczy rozszerzyły się i pojaśniały nadzieją.

OJCIEC KAMIENIA

ORSON SCOTT CARD

Orson Scott Card zaczął karierę pisarską w 1977 roku i już w 1978 otrzymał nagrodę Johna W. Campbella dla najlepszego debiutanta. W 1986 roku jego słynna powieść Gra Endera, jedna z najbardziej znanych i najlepiej się sprzedających powieści sf lat 80., przyniosła mu zarówno nagrodę Hugo, jak i nagrodę Nebula. Rok później powieść Mówca Umarłych, ciąg dalszy Gry Endera również zdobyła oba te wyróżnienia - jedyny raz w historii science fiction i pierwsza powieść, i jej kontynuacja zyskały te dwie nagrody. Autor zdobył też World Fantasy Award w 1987 roku za opowiadanie Hatrack River, które zapoczątkowało długi cykl o Alvinie Stwórcy, oraz kolejną nagrodę Hugo w 1988 roku za nowelę Eye for Eye. Jego liczne krótkie formy literackie zostały zebrane w antologiach Cardography, Tales from the Mormon Sea, Unaccompanied Sonata and Other Stories, The Folk of the Fringe, The Elephants of Posnan and Other Stories, Pierwsze spotkanie w świecie Endera oraz opastej Maps in a Mirror: The Short Fiction of Orson Scott Card. Spośród jego licznych powieści można wymienić Cień Endera, Cień Hegemona, Teatr cieni, Hot Sleep, Planetę Spisek, Mistrza cieni, Hart's Hope, Glizdawce, Siódmego syna, Czerwonego proroka, Ucznia Alviną, Alviną czeladnika, Płomień serca, Kryształowe miasto, Wezwanie Ziemi, Earthborn, Earthfall, Zalomowienie, Pamięć Ziemi, Ksenocyd oraz Dzieci umysłu. Jako redaktor opracował Dragons of Light, Dragons of Darkness, Futurę on lee, Futurę on Fire oraz Arcydziała. Najlepsze opowiadania science fiction stulecia. Ostatnie opublikował powieści Magie Street i Cień olbrzyma. Card mieszka z rodziną w Greensboro w Karolinie Północnej.

W tej barwnej i wciągającej opowieści (jej akcja rozgrywa się w fantastycznym świecie ukazany w cyklu „Mithermages”, nad którym autor obecnie pracuje), doskonałej gawędzie, Card przedstawia nam chłopca urodzonego w biedzie, który w obojętnym, a nawet wrogim świecie musi polegać wyłącznie na własnym rozumie i wrodzonych umiejętnościach - i który w końcu wykorzystuje te umiejętności, przez co zmienia się nie tylko jego życie, ale i życie wszystkich wokół.

Kiedy Ruczaj się urodził, dostał wodne imię, chociaż nie miał w rodzinie żadnego maga wody. W dawnych czasach takie imiona nadawano tylko tym dzieciom, które miały zostać złożone w ofierze Yeggutowi, bóstwu wody. Później wodne imiona nadawano tym, którzy mieli w przyszłości zostać kapłanami Yegguta. A jeszcze później imiona wodne nadawały swoim dzieciom te rodziny, które chciały za wszelką cenę udowodnić, że miały wodnego maga wśród swoich przodków.

Ale obecnie, w wiosce Farzibeck, wodne imiona nadawano dlatego, że na przykład matka lubiła przesiadywać nad okolicznym strumykiem, albo dlatego, że przyjaciel ojca też nosił takie imię. W pobliżu Mitherhome, wielkiego miasta magów wody, nie było niczego dziwnego w tym, że imiona wodne były bardziej popularne niż inne, nawet wśród nieokrzesanych wieśniaków.

Ruczaj urodził się w najbardziej nieokrzesanej rodzinie w okolicy, jako dziewiąty syn i piętnaste dziecko matki, która posiadała dar polegający na tym, że wciąż chodziła brzemienna, jakby jej lędźwie były korytem rzeki, a każdy z potomków pojawiał się jak wiosenna powódź. Matka miała rozłożyste, ciężkie biodra kobiety przygotowanej na ustawiczną ciążę, ale jej radosny uśmiech oraz zgodny charakter wciąż przyciągały do niej innych mężczyzn, więcej, niżby sobie tego życzył jej mąż.

Ruczaj miał to nieszczęście, że nie przypominał żadnego ze swych rodziców, więc w sercu jego ojca zakiełkowało mroczne podejrzenie co do jego pochodzenia. Jakież inny mógł być powód tego, że ojciec niemal otwarcie go ignorował, jeśli go właśnie nie lał czy nie tajał za śmiertelny grzech bycia niekochanym chłopcem, który uporczywie trzyma się życia.

Ruczaj nie był szczególnie uzdolniony, ale też nie był kompletnym niedojdą. Nauczył się pracy na jałowej, górskiej ziemi równie szybko jak jego rówieśnicy, ale też nie szybciej - bawił się w różne dziecięce zabawy i sprawiały mu one radość tak jak innym, ale nie większą. Był zbyt zwyczajny, aby zostać zauważonym, jeśli wyłączyć fakt, że jego bracia i siostry podchwycili ojcowską pogardę dla jego osoby, więc musiał nieco bardziej się starać, by nie dać się wypchnąć z kolejki po jedzenie z garnka, w którym matka wciąż coś pichciła na ogniu. Matka lubiła go wystarczająco - lubiła wszystkie swoje dzieci - ale myliła ich imiona, a ponieważ nie umiała dobrze liczyć, mogła nie zauważyć, kiedy jedno czy dwoje się gdzieś zapodziało.

Ruczaj przyjmował to wszystko jak dopust boży - nie znał innego życia. Rzucił się z rozmachem w każdy dzień ofiarowany mu przez los i wracał do domu śmierzący od potu po pracy czy zabawie, na której mijały mu kolejne godziny.

Jego jedyną cechą, która wyróżniała go od innych, gdyby ktoś to zauważył, było to, że był on nieustraszonym wspinaczem. W okolicy nie brakowało klifów czy grani. Dzieci podczas dorastania poznawały wszystkie porośnięte trawą ścieżki i stopnie, które pozwalały im wspiąć się tam, gdzie chciały, bez specjalnego wysiłku czy niebezpieczeństwa.

Ale Ruczajowi szybko znudziły się okrężne, łagodne podejścia i kiedy wszyscy bawili się w króla wzgórze albo wspinali się na łagodne zbocza, by spojrzeć na wioskę z góry, Ruczaj pisał się od razu po stromej ścianie klifu, palcami wyszukując załomów, pęknięć, półek i

krawędzi na skale. Zawsze je odnajdował, raczej wcześniej niż później - chociaż jaki był tego cel, skoro i tak docierał na szczyt przed wszystkimi?

Jego starsi bracia i siostry wyzywali go od głupków i mówili, że nie będą zbierać jego połamanego ścierwa, jak spadnie. „Zostawimy cię na żer dla sępów i szczurów”. Ale ponieważ nie spadał, nie mieli szansy na sprofanowanie jego ciała.

I tak mogło się to ciągnąć w nieskończoność.

Kiedy wszedł w wiek mniej więcej dwunastu lat, bo przecież nikt nawet tego nie liczył, Ruczaj miał już wzrost dorosłego mężczyzny, a jego twarz ukształtowała się do takiej postaci, jaką miał już mieć do końca życia. On oczywiście tego nie zauważył - nie było w tej górzystej krainie żadnej wody, która była w stanie utrzymać odbicie czyjejś twarzy, ale i tak by się tym nie przejął.

Wtedy wydarzyły się dwie rzeczy.

Ruczaj zaczął zauważać wioskowe dziewczyny i uświadomił sobie też, że one nie zwracają na niego uwagi, choć wodzą oczami za wszystkimi innymi chłopakami jego wzrostu. Ani nie flirtowały z Ruczajem, ani też z niego nie kpiły. Po prostu dla nich nie istniał.

Poza tym jego ojciec zaczął bić go jeszcze bardziej. Być może ojciec w końcu rozpoznał, kto naprawdę splotził Ruczaję. A może też zauważył, że Ruczaj nic sobie nie robił ze zwykłych klapsów i uświadomienie mu tego, jak bardzo się nim gardzi, wymagało większych starań. Bez względu na motywy, jakie powodowały ojcem, Ruczaj wciąż to znosił, choć teraz zawsze był cały w siniakach, a czasami też pojawiała się krew.

Znosił lekceważenie wiejskich dziewcząt - wielu chłopaków znalazło sobie narzeczone w sąsiedniej wiosce. Znosił też ból po ojcowskich ciosach.

Nie potrafił znieść natomiast ani nie rozumiał tego, jak jego bracia i siostry zaczęli go unikać. Wieczna furia ojca najwyraźniej napiętnowała go w ich oczach jako kogoś obcego i przynoszącego wstyd całej rodzinie. Ich ojciec nie mógł być niesprawiedliwy, więc Ruczaj dostawał to, na co zasługiwał. Rodzeństwo nie biło go - ale zaczęło go odrzucać i płatać mu paskudne psikusy.

Pewnego dnia wczesną wiosną, kiedy było jeszcze zimno i zeszłoroczny śnieg zalegał w północnych ocienionych miejscach, dzieci wymyśliły sobie nową zabawę i zaczęły biec jak stado gęsi w stronę najbardziej stromych skał, na które miały zwyczaj się wspinać, a kiedy Ruczaj rozpoczynał swoją samotną wspinaczkę, instynktownie wiedział, że go podpuszczają i że kiedy znajdzie się na szczycie sam, one będą już zajmować się czymś innym.

A jednak wspinał się dalej, myśląc sobie: I tak jestem za stary na takie zabawy. Powinienem robić to, co inni starsi chłopcy, czyli oddawać się lenistwu albo siłować się przy strumieniu, z którego dziewczęta nabierały wodę, gapić się na nie i dokazywać, by wywołać uśmiech na ich twarzach, a jeśli to się nie uda, to przynajmniej przyciągnąć ich obojętny wzrok lub sprowokować je do kpin.

Ale gdyby tego spróbował, to ich brak zainteresowania wywołałby tylko wstyd i ból. Poza tym uważał, że dziewczyny z wioski nie są interesujące. Nawet gdyby go któraś zauważyła, to nie obesłoby go to wcale. Nie obeszło go też to, że kiedy już wspiął się na skałę, znalazł się tam zupełnie sam.

Przed nim rozpościerał się cały świat. Wszędzie wokół wyrastały góry, ale dolina była położona tak wysoko, że skała, na której stał, była ledwo jedną z wielu i z tego miejsca przestrzeń rozciągała się długo i daleko hen za zbocza okolicznych szczytów.

Widział przełęcz prowadzącą do Mitherkame - bo w Farzibeck mieli inne nazwy na poszczególne góry i używali jedynie świętej nazwy na wielki łańcuch górski piętrzący się w linii prostej jak postrzępione zęby bojowego miecza - ostre obsydianowe krawędzie sterczące między dwiema odnogami rozwidlonej gałęzi.

Szlak wiodący między tymi ostrymi zębami nosił nazwę Drogi Utter, jeśli podróżowało się na zachód do Uhetter, i Drogi Mither, jeśli ruszyło się na wschód. Szlak, jak mówili wędrowcy, wiódł w dół, ku przepięknej dolinie Mitherhome, miastu wodnych magów, otoczonym ze wszystkich stron przez świętą wodę.

Na przełęczy Ruczaj widział wóz ciągnący w górę trawiastej drogi i chociaż było to bardzo daleko, to wiedział, że to wóz, bo jechał wolno i kołysał się na boki. Może zobaczy zwierzę ciągnące ten wóz, a może tylko zamazaną plamę w zimnym słonecznym blasku.

Pomyślał sobie: Czemu jestem tu, skoro mógłbym być tam?

I bez dłuższego zastanowienia zszedł ze skały w stronę Drogi Mither i nawet nie przeszedł przez wioskę, a do rodzinnego gospodarstwa nawet się nie zbliżył, idąc przez łąki, pola i zagajniki. Wyszedł na Drogę Mither w miejscu, w którym zaczynało się ostatnie wzniesienie górujące nad Mitherkame, i pobiegł bez wysiłku po trawiastym szlaku.

Dopiero kiedy znalazł się tam, gdzie widział wóz, zatrzymał się i spojrzął za siebie na Farzibeck. Ruczaj nigdy nie był w tym miejscu i nigdy nie oglądał swojej wioski z tak daleka. Nawet odnalezienie jej wzrokiem zabrało mu sporo czasu. A jego rodzinne gospodarstwo przybrało postać brązowej grudy domostwa pośrodku łąki. Za jakiś tydzień jego ojciec zacznie rozbijać ziemię za pomocą ciągniętego przez syna pługą i wtedy łąka zniknie, a na jej miejsce pojawi się goła gleba. Ale teraz jeszcze gospodarstwo nie różniło się wyglądem od innych rozlicznych łąk i polan. Jakby cała ich praca szła na marne.

Jestem głodny, pomyślał Ruczaj, i odwrócił się od górskiej panoramy, by poszukać trochę dzikiej cebuli i lebiody. Zwykle na przednówku opróżniano spiżarnie z zimowych zapasów, ale oczywiście podróżni na szlaku zbierali większość albo też całość żywności wygrzebanej przy drodze.

A jednak znalazł mnóstwo pożywienia, kiedy tylko zaczął szukać, i zastanawiał się, czy to dlatego, że rośliny tak bardzo obrodziły, że wystarczyło i dla niego, czy też dlatego, że podróżujący tak ciężko pracowali, by pokonać przełęcz, że aż do grani nie myśleli o posileniu się.

A może pogardzili ostrą cebulą i gorzką lebiodą. Jak wielu. Matka dodawała je do wiosennego gulaszu i chociaż Ruczaj uważał, że przydają potrawie pyszny posmak, to niektórzy z jego braci narzekali, że zatrwały całą potrawę, tak że aż robiło się im niedobrze. Jednak nie było przypadku, żeby ktoś zwymiotował, a matka ucinając wszelkie narzekania, mówiąc, że rośliny te mają właściwości lecznicze i że dzięki nim wszyscy staną się lepszymi miecznikami. Jakżesz oni się zaśmiewali z Ruczaja, jak był mały i zapytał, kiedy zaczną ćwiczyć fechtunek, teraz kiedy już zjedli przyprawiony gulasz.

Ruczaj wykopał pięć dojrzałych korzeni i z tuzin małych cebulek, po czym wytarł je z ziemi koszulą najlepiej, jak potrafił, a następnie wsypał je sobie z przodu koszuli. Przewiązał ją nad brzuchem, tak że poczuł chłód siarczystego powietrza, chociaż dochodziło południe. Ale lepiej zmarznąć, niż cierpieć głód, bo dziarski marsz rozgrzeje go i pod koniec dnia i tak zrobi się jeszcze głodniejszy. Może i czułby się głupio, gdyby noc zastała go w jakimś miejscu, w którym byłoby mnóstwo pożywienia, ale lepiej nosić jedzenie, niż gdyby noc zastała go w jakimś nieznanym lesie, w którym rosną nieznane mu jagody czy grzyby, i musiałby przeczekać o chłodzie i głodzie.

Po drugiej stronie przełęczy zobaczył świat nie różniący się zbyt od jego rodzinnych stron, poza tym, że szczyty przed nim były niższe niż te za nim. W miarę upływu dnia schodził z jednego zbocza i podchodził pod drugie, ale szczyty gór nie były już ośnieżone. W końcu droga przestała być szlakiem porośniętym gęstą trawą niekończącej się łąki, a stała się szerokim, płaskim duktem, o zwirowych poboczach wyciętym ze wzgórz przez robotników, biegnącym wzdłuż strumienia, na tyle głębokiego i wartkiego, że mógłby być rzeką, o ile oczywiście byłoby na nią miejsce w wąskiej dolinie. Woda pędziła między głazami i ryczała na niewielkich acz rwących wodospadach, więc Ruczaj stanął na samym brzegu drogi, ponieważ nie bał się, że spadnie ze skały, ale ta woda miała w sobie moc, której nie rozumiał.

Nic dziwnego, że wielcy magowie czerpali swą moc z wody. Była potężna w sposób, w jaki góry nigdy nie będą potężne. Gdyż woda mogła być mniejsza, ale była pełna życia, podczas gdy góry zawsze zdawały się odpoczywać czy drzemać. Cóż po tym, że jest się gigantem, skoro nie można nawet drgnąć, a małe strumienie ściekają przez twe ciało, wycinając kaniony w skalnych trzewiach?

A jednak to góry sobie umiłował, ich szorstkość i twardość skalnych kości wystających z ziemi, a wody się bał. Ależ to głupie bać się czegoś, od czego wzięto się imię, powtarzał sobie. Żałuję, że nie nazwali mnie Koci Łeb, Kamyk, Skała, Głaz, Występ, Kanion czy też jakimś innym słowem związanym z kamieniami. Może wtedy ojciec by mnie nie bił, bo jaki człowiek odważyłby się uderzyć w kamień?

Doszedł do miejsca, w którym droga odchodziła od rzeki i pięła się aż za górę. Ale wciąż słyszał ryk i musiał to zobaczyć, więc zszedł z trasy i wspiął się po skale wysoko nad rzeką, aż doszedł do miejsca, w którym po prostu kończył się kamień.

Wyglądało to, jakby stanął na krawędzi nowego świata. Stał tam, gdzie spędził całe życie, w wysokiej krainie twardego kamienia Mitherkame, a w dole rozpościerała się kraina miękkiej zieleni i falujących wzgórz otaczających Mitherlough, wielkie jezioro, a z tego, co Ruczaj wiedział, mogło to być samo wielkie Morze, na którym Żeglarz Skruplek przeżył wszystkie swoje przygody, o których opowiadano podczas zimowych wieczorów, kiedy były krótsze dni i ciemność zapadała szybciej, niż człowiek odczuwał senność.

Rzeka spływała ze szczytu klifu i spadała w mgiełce, która przywierała jak tuman ciśnięty wprost na skalne oblicze. Za nią rozciągały się wielkie pola upstrzone kropkami domów, z których wszystkie były wyraźnie większe niż jego rodzinna chatka, a wioski o wiele ludniejsze niż tych kilka drewnianych chat w Farzibek.

Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że skalne wzniesienie po prawej stronie jeziora otaczały domy z drewna i kamieni, aż do samej grani, a wysokie kamienne mury wznosiły się ponad szczytami drzew dzięki kniei rozciągającej się między nim a Mitherlough. Było to miasto Mitherhome.

Widział teraz, gdzie droga, którą szedł, wyłaniała się zza gór, po prawej, zakręcając pod lasem i opadając ku jezioru, jakby miała zupełnie ominąć miasto. To była dla niego zła wiadomość. Może stykała się z drogą wiodącą pod górę do miasta, a może nie. Ale on nie będzie ryzykował. Chciał iść do miasta i pójdzie do miasta, drogą czy nie drogą.

Zwiesił się z krawędzi klifu i zaczął schodzić. Zawsze trudniej schodziło się z nieznanego klifu, bo stopy musiały odnajdywać pęknięcia, szczeliny i półki, których oczy nie widziały. Ale poradził sobie i zejście zabrało mu o wiele mniej czasu, niż potrzebowałby na przebycie tego odcinka drogą.

Problem polegał na tym, że nikt tędy nie chodził, więc nawet nie było ścieżki w tym miejscu. Było to szczególnie irytujące dlatego, że wodospad wzniesiał na dole tak gęstą mgłę, że nie można było zobaczyć więcej jak krok naprzód. Ale odnalazł miejsce, w którym kamienny palec wystawał z klifu jak korzeń z drzewa, a tam, gdzie były kamienie, nie mogły rosnąć drzewa, więc przez jakiś czas miał ułatwioną drogę.

Kiedy ostatni z kamiennych palców zniknął pod ziemią, mgła ustąpiła i znów mógł widzieć. Co prawda drzewa rosły tu tak gęsto, że i tak zasłaniały cały widok, ale tutaj mógł odnaleźć ścieżkę leśnej zwierzyny i mając po lewej stronie odgłosy przetaczającej się wody górskiej rzeki, wiedział, że nie zabłądzi.

Poruszał się jednak dość wolno, a słońce zaczęło już zachodzić - nie więcej niż dwie dłonie nad horyzontem, ocenił - kiedy stanął przed kamiennym murem, który widział ze szczytu klifu.

Teraz spostrzegł, że mur chylił się ku upadkowi. Wydawało mu się, że mur wznosi się i opada wraz z gruntem, ale ten tak naprawdę był względnie płaski, natomiast kamienny mur po prostu się przewrócił - albo został zburzony. Nigdzie wokół nie dostrzegł kamieni, które by zostały z tego muru wydarte. Mógł jedynie stwierdzić, że pojawiała się tu okoliczna ludność i zbierała wielkie, ociosane głazy, które niegdyś stanowiły część muru.

Kiedy doszedł do końca ścieżki, słońce już zachodziło na czerwono. Bo zamiast poprowadzić go w górę, gdzie piętrzyło się miasto, jak to widział ze szczytu klifu, rzeka zawiodła go do odnogi jeziora. Przez wodę widział, jak w mieście zapalano pochodnie na czymś, co wyglądało na kamienny most, między którego filarami woda przelewała się z większego jeziora za miastem do mniejszego poniżej.

Jednakże na te j rzece nie było żadnego mostu. Do tego Ruczaj, który w życiu nie widział tyle wody, również nie potrafił pływać - znał to słowo, bo to robiły ryby czy gęsi. Woda w Farzibek była za zimna, za płytka i za bystra, by w niej pływać, i można tam było wyłącznie chlapać się w strumieniu na bosaka, a w innych przypadkach, kiedy strumień był za szeroki, żeby przez niego przechodzić, używali długich kijów, by przeskoczyć na drugi brzeg.

Wiedząc, że na północ nie może iść, poszedł brzegiem jeziora na południe i stanął przy kamiennej wieży. Ta nie popadła w ruinę - wręcz przeciwnie, stała na łące przyszczyżonej

przez pasące się kozy, a szerokie, kamienne stopnie biegnące od niej do jeziora były starannie zamiecione. Jednak w środku nie świeciło się żadne światło i kiedy Ruczaj chciał już zawołać, by sprawdzić, czy ktoś jest w środku, uświadomił sobie, że przecież nie zna tego miejsca i być może fakt, że nie prowadziły do niego żadne ścieżki przez las, oznacza, że jest to miejsce zakazane. Bo dostrzegł teraz, że ta wieża jest gigantyczną kopią małych ołtarzyków wzniesionych przy każdym strumieniu w okolicy Farzibeck. A czegoż mógł się spodziewać? Takie wielkie wody domagały się wielkich ołtarzy - takich kamiennych wież jak ta.

Dostrzegł też, że wieża jest zrobiona z żywej skały, z jednego bloku skalnego, jakby została wyrzeźbiona z jakiegoś olbrzymiego głazu, który tu stał wcześniej - nie składała się z pojedynczych kamieni czy kostek, jak większość małych ołtarzyków.

Ruczaj ruszył dalej brzegiem jeziora, aż doszedł do miejsca, w którym wody jeziora wylewały się na kamienny spad i leciały niżej do kanionu o stromych ścianach. Tu też nie było przejścia. Nic dziwnego, że kamienny mur, który zostawił za sobą, popadł w ruinę. Po co były mieszkańcom Mitherhome mury obronne po tej stronie? Żaden wróg nie byłby w stanie przekroczyć tej bariery.

Ale pomimo tego po drugiej stronie bystrzy stały kolejne mury, jeszcze wyższe niż te, które mijał, choć też miały pełno luk i nikt ich nie strzegł. Niegdyś to miasto zapragnęło mieć mury obronne mimo chroniących je zapór wodnych. Teraz jednak mieszkańcom najwyraźniej się odwidziało, bo nikt się nie pofatygował nawet, by je naprawić.

Cóż, nieważne, jak szczelne były mury po drugiej stronie kanionu, bo i tak nie był w stanie go przekroczyć. Mógł iść wyłącznie wzdłuż jego krawędzi, by sprawdzić, czy gdzieś dalej nie ma jakiegoś mostu.

Kiedy tylko pomyślał o moście, spostrzegł, że kiedyś rzeczywiście stał tu most. Ruczaj mógł zobaczyć w gasnącym świetle resztki mostu, który niegdyś kończył się po drugiej stronie przepaści. Mógł ocenić, że most był, podobnie jak wieża, wykuty z jednego kawałka skały, a nie z ułożonych kamieni czy drewna. Mimo to się pokruszył i padł, a Ruczaj wyobraził sobie, że niektóre z głazów leżących na dnie bystrzy są fragmentami dawnego mostu.

Robiło się ciemno. I pomimo że w szerokiej dolinie Mitherhome było ciepłej niż wysoko w górach, to i tak wiało chłodem, a nocą będzie jeszcze gorzej.

I po raz pierwszy tego dnia Ruczaj pomyślał: Co ja tu robię? Dlaczego tu przyszedłem? Czego ja chcę? Mogłem być w mojej chacie, w dającej ciepło gromadce rodzeństwa na wyłożonej słomą podłodze. A nie zagubiony wśród dwóch rzek i jeziora, w opuszczonym lesie ze zrujnowanymi murami, z wielkim miastem poza moim zasięgiem.

Nawet jeśli dotrę do miasta, nie mam tam żadnej rodziny czy przyjaciół. Nikt nie zaproponuje mi stawy czy miejsca przy ogniu.

Jutro wrócę przez ten las, wespnę się na klif i pójdę do domu.

I wtedy przypomniał mu się ojciec, który z pewnością stłucze go za to, że nie było go całą noc i że wraca do domu zmęczony i do tego z pustymi rękami. „Do czego ty się nadajesz?” - zapyta.

„Do niczego” - odpowie jak zwykle Ruczaj. I będzie to prawda.

Opowieść o jego bezsensownej wyprawie szybko się rozniesie i dziewczęta, które go do tej pory ignorowały, teraz będą nim gardzić. Będzie miał jeszcze mniej szacunku niż to nic, które miał przedtem.

Może cierpieć chłód i nie mieć przyjaciół zarówno tam, jak i tu. A jutro odnajdzie drogę do miasta.

Rozwiązał koszulę i metodycznie zaczął żuć i połykać lebiodę, zagryzając co jakiś czas cebulą, by zmniejszyć goryczkę. Nie był to dobry posiłek, szczególnie dlatego, że ciepło i pot rozmiękczyły rośliny. Ale nasycił go. Zastanawiał się, czy nie zostawić trochę na jutro, ale wiedział, że przed świtem i tak obleżą je owady, a musiał owinąć się koszulą dla ochrony przed zimnem. Jak będzie trzeba, mógł wytrzymać dzień czy dwa bez jedzenia. Już wytrzymywał bez jedzenia podczas jednej długiej zimy, kiedy starsze rodzeństwo nic nie jadło, żeby młodszy mogli zaspokoić głód. Kiedy indziej, nie mogąc znieść ojcowskiego lania, Ruczaj nie przychodził na kolację i nie prosił o nic do jedzenia, kiedy wracał do domu. W takich chwilach nie było też żadnego z braci czy sióstr, którzy zachowaliby coś dla niego.

Odgarnął zimne i wilgotne liście przy ścianie klifu, po czym zwinął się w kłębek na skale, zgarniając liście pod głowę i przykrywając się nimi. Inni, kiedy noc ich zastała na dworze, woleli spać na ziemi, ale według Ruczaja, może skała była zimna, ale nie była mokra, i nie budził się brudny i obolały, tak jak po nocy spędzonej na gołej ziemi.

W takiej niszy w nocy nie było aż tak chłodno. Było mu na tyle ciepło, że podczas snu odrzucił część swej liściastej kołdry.

Rankiem nie miał nic do jedzenia i wsłuchiwał się tylko w śpiew ptaków dobiegający go przez łoskot wody w bystrzy. Ale wyspał się i wstąpiły w niego nowe siły - nie myślał już o powrocie do domu. Poszedł za to w prawą stronę, nieco na południe, okrążając klif. Woda pluskała daleko w dole, więc nawet schodząc po zboczu, był dużo wyżej od jej poziomu.

Natrafił na mur i uznał, że jest to dalszy ciąg walących się murów, przez które przeszedł poprzedniego dnia. Tylko że ten fragment nie był zwalony i Ruczaj usłyszał czyjąś rozmowę - rozmawiali jacyś mężczyźni i chociaż wartownicy byli na tyle nieostrożni, że gadali na głos, sam fakt, że ktoś stał na warcie, oznaczał, iż było przed nim coś, czego należało pilnować.

W murze nie było ani wyrw, ani żadnej furty, więc nie było powodów, by niepotrzebnie nawoływać strażników. Ruczaj poszedł w las, w znacznej odległości od murów, i poszukał bramy.

Kiedy w końcu znalazł, zobaczył, że jest ogromna i zamknięta na potężne skoble. Zaskoczyło go to jednak - skoble znajdowały się po jego stronie bramy. Był wewnątrz strzeżonego obszaru. Na środku bramy znajdowały się niewielkie drzwi, w których mężczyzna musiał się schylić, by przejść. Ale miały jedną wspaniałą cechę - były otwarte.

Ruczaj ruszył do nich. Niemal w tym samym momencie ktoś złapał go za ramię i brutalnie rzucił na ziemię.

- A ty dokąd, głupku? - zapytał go cichym głosem.

Ruczaj przekręcił się na plecy i zobaczył, że stoi nad nim mężczyzna z oszczepem. Nie był jednak żołnierzem, ponieważ oszczep był jedyną jego bronią i miał na sobie cywilne ubranie. Myśliwy?

- Chcę przejść przez bramę - odparł Ruczaj. A niby dokąd miał iść?

- A chcesz, żeby ci ktoś poderznął gardło i upuścił całą krew do rzeki? - zapytał myśliwy.

Ruczaj był zaskoczony.

- A kto chciałby zrobić coś takiego zwykłemu wędrowcowi?

- Nikt - odparł myśliwy. - Tak się robi głupim chłopakom, którzy wałęsają się po świętym lesie, tym samym zgłaszając się na ochotnika na ofiarę, i to do tego cenną w mniemaniu tych, którzy uważają, że woda od czasu do czasu domaga się krwi.

- A skąd miałem wiedzieć, że to święty las? - zapytał Ruczaj.

- Nie widziałeś kości zmarłych wśród drzew? Wojowie, którzy padli tu od brązowych mieczy Yeryllyddu, wciąż szepczą do mnie...

Ja nie zapomniałem krwi, która uświęciła to miejsce. Ale zwierzęta, które łapię na ofiarę, są takie same jak ty - nie wiedzą, że to święty las. Chodzą sobie, a ja je wtedy łapię w sidła albo przeszywam oszczepem.

- Zabijesz mnie tedy?

- Miałem przynieść dwa zające, więc je znajdę i im przyniosę. Gdyby chcieli wioskowego głupka z gór, wtedy dopiero bym cię spętał i zaciągnął do nich.

- Ja chciałem tylko...

- Chciałeś tylko zostać kolejnym bezużytecznym, poszukującym przygód chłopakiem z gór, który będzie uprzykrzał życie wszystkim w mieście, aż się podda i wróci z powrotem tam, gdzie jego miejsce. Nie masz tu czego szukać.

- W takim razie jestem w domu - odparł wyzywająco Ruczaj - bo w domu też nie miałem czego szukać.

Myśliwy uśmiechnął się półgębkiem.

- Cięty dowcip. Przy tej niewyparzonej gębie i dumnym spojrzeniu najpewniej cię zatłuką na śmierć, zanim zdążysz zdechnąć z głodu.

Dumne spojrzenie? Jak może mieć dumne spojrzenie, leżąc na plecach w błocie i zwiędłych liściach?

- Co ma być, to będzie - odparł Ruczaj. - Chciałbym spędzić tę resztę życia, które mi zostało, w mieście Mitherhome, ale natykam się tylko na powalone mury, zwalone mosty i rzeki, których nie jestem w stanie przebyć.

Mężczyzna westchnął.

- Jak chcesz trochę pocierpieć przed powrotem do domu, to powiem ci, co masz zrobić. Dalej znajduje się kolejna brama. Nawet do niej nie podchodź. Nie powinienesz też się zbliżać do czterech domów stojących za nią. Obejdź je szerokim łukiem i idź dalej wzdłuż muru, aż natrafisz na miejsce, w którym jest wyłom. Przejdź przez niego na drugą stronę, później kieruj się prosto na południe, aż trafisz na Drogę Uhetter. Postaraj się zachowywać,

jakbyś nią szedł cały czas, ale zszedłeś z niej, żeby się wysikać, i wcale nie włączyłeś się po świętym lesie.

- Czy dojdę tą drogą do Mitherhome? - zapytał Ruczaj.

- Droga się zaraz kończy - odparł myśliwy. - Dojdiesz do Hetterferry, a tam może znajdziesz sposób, by dostać się na prom do Dolnego Mitherhome, a może nie, nie mocząc zbyt swych wsiowych łachów chłopka-roztropka.

Ruczaj był zaniepokojony.

- Dlaczego mi pan pomaga?

- Ja ci nie pomagam. Ja się ciebie pozbywam.

- Ale wkroczyłem do świętego lasu.

- Mieszkam w tym lesie. Gdyby duchy świętych zmarłych nie chciały cię przepuścić, to pewnie potknąłbyś się o ich kości albo napędziłyby ci stracha swymi szeptami, ale jakoś nie chciały ci przeszkadzać. Więc kim ja jestem, żeby stawać ci na drodze?

- Więc służysz, panie, Yeggutowi, wodnemu bóstwu, a pomimo tego puszczasz mnie wolno?

- Nie ma żadnego wodnego bóstwa - odparł myśliwy uprzejmie. - Zatrudniają mnie kapłani, którzy składają ofiary, by zadowolić wszystkich ignorantów myślących, że istnieje bóg wody. Każdy, kto ma ledwie krztynę oleju w głowie, wie, że wodni magowie robią to, co robią, nie modląc się do jakiegoś bożka, tylko przemawiając bezpośrednio do wody.

- A więc... czy to nie znaczy, że woda jest bogiem?

- Woda to woda, a magowie to magowie - stwierdził myśliwy. - A teraz idź już. I nawet nie myśl, by poprosić mnie o jakąś stawę, bo się rozmyślę i cię dźgnę, a potem dam się napić Świętemu Yeggutowi.

Na słowo „napić” Ruczajowi zaschło w gardle, ale nie poprosił o nic i odszedł, po czym pobiegł głębiej w las, trzymając się z dala od muru.

Przedzierał się na zachód, na tyle daleko od kolejnej bramy, że nie zobaczył ani jej, ani wspomnianych przez myśliwego budowli. Nieco dalej natrafił na wałący się mur i ruszył wzdłuż niego, aż znalazł wyrwę. Wtedy poszedł na południe i natrafił na następną wyrwę, czyli tę, o której wspominał myśliwy, ale nie robiło to różnicy, ledwo kilka kroków więcej. Potem dotarł do załomu muru, który skręcał na wschód, i tutaj znów zastał dobrze utrzymaną wieżę ze strażnikami, którzy rozglądali się po lesie. Jakże to głupie - pomyślał Ruczaj - mur, który można po prostu obejść, a jednak bronią jego krótkiego fragmentu. Czyżbyście mieli tak leniwych wrogów, że pozwalacie, żeby mur popadał w ruinę, a im nie chciało się nawet go obejść?

Wkrótce dotarł do drogi. Nikogo nie było w pobliżu. Wszedł na nią i ruszył na wschód wzdłuż brzegu kolejnego strumienia. Ten był płytszy i szerszy - wyglądał na taki, który można przejść. I rzeczywiście Ruczaj wkrótce dotarł do miejsca, w którym wozy z innej drogi, z południa, przecięły strumień i wjechały na Drogę Uhetter.

Nikt go nie pozdrawiał, choć kiedy zbliżył się do wozów, powitały go podejrzliwe spojrzenia. Aby nie narobić sobie kłopotów, Ruczaj obszedł ich szerokim łukiem i pobiegł

dalej, żeby było jasne, iż nie chce żebrać, kraść czy zrobić czegoś, czego się obawiali. Mam własne sprawy.

Wkrótce przy drodze wyrosły domy i warsztaty. Z jednego z domów dobiegł go zapach jedzenia i kiedy Ruczaj zobaczył, że ludzie wchodzą do niego i wychodzą, stwierdził, że jest to zajazd, i też wszedł do środka.

Od razu zatrzymał go krępy mężczyzna i zapytał:

- Masz pieniądze, chłopcze?

Zmieszany Ruczaj rozejrzał się wokół.

- A co to są te pieniądze? - zapytał.

Mężczyzna wybuchnął paskudnym rechotem i wypchnął go na zewnątrz.

- Co to są pieniądze! - wykrzyknął. - Z każdą wiosną pojawiają się coraz głupszy i bezczelniejsi!

Tak więc zdobycie posiłku będzie trudniejsze, niż Ruczaj przypuszczał. We Farzibek drzwi każdego domostwa stały otworem dla wędrowców, a gospodarze chcieli tylko usłyszeć wiadomości ze świata oraz ewentualnie otrzymać jakiś podarek, jeśli podróżny miał na to ochotę. Kto to słyszał o zajeździe, w którym domagano się konkretnej daniny - szczególnie takiej, o której Ruczaj w życiu nie słyszał! Nie mógł mieć tych ich „pieniędzy”, skoro nie wiedział, co to takiego, nie miał pojęcia, gdzie to zdobyć, i nie mógł wcześniej zgadnąć, że ktoś w ogóle będzie chciał coś takiego.

Szaleństwo. Ale skoro wszyscy w zajeździe się z niego śmiali, to mógł jedynie stwierdzić, że oni wiedzieli, co to takiego, wiedzieli, że karczmarz też się będzie tego od nich domagał. A więc było to coś związanego z miastem, o czym powinien się dowiedzieć. Ale nie tutaj.

Niedaleko w miasteczku Hetterferry natrafił na port na kolejnym jeziorze, choć nie tak wielkim jak Mitherlough. Wkrótce z podsłuchanej rozmowy dowiedział się, że jest to rzeka o nazwie Ronnyrill, która powstała z trzech strumieni płynących z górnego jeziora i dalej biegła do Ronys i Abervery oraz innych, dziwnych miejsc o obco brzmiących nazwach. Jednak nic mu po tej wiedzy. Znaczenie miało całkiem realne miasto Mitherhome, doskonale widoczne, o rzut kamieniem z najdalej wysuniętego miejsca, ale mocny prąd wody spadającej z głębokiego wąwozu skalnego był o wiele cięższą barierą do przebycia niż ten ich głupi mur.

Kiedy zapytał jakiegoś człowieka o prom, od razu ponownie usłyszał słowo „pieniądze”.

- Czy wszyscy tu domagają się tej samej daniny?

W odpowiedzi mężczyzna uśmiechnął się i sięgnął do sakiewki zawiniętej w szarfę spinającą jego koszulę. Wyjął z niej mały, poczerniały krążek z brązu.

- Pieniądże - wyjaśnił. - Dostajesz je za pracę i potem możesz sobie wymienić na to, co chcesz.

- Ale to jest takie małe - zdziwił się Ruczaj.

- Tak jak twój ptasi mózdzek - odparł mężczyzna i odwrócił się.

Przynajmniej teraz wie, jak zdobyć pieniądze - trzeba pracować.

O tym Ruczaj miał bardzo dobre pojęcie. Chodził po nabrzeżu, aż trafił na łódź, na której uwijali się mężczyźni, przenosząc skrzynki na dużą tratwę. Przy jednej ze skrzyń stał jakiś mężczyzna i najwyraźniej czekał, aż jeden z robotników przyjdzie i złapie za jej drugi koniec. Więc Ruczaj przykucnął, włożył ręce pod skrzynię i powiedział: - Do roboty.

Robotnik spojrział na niego, wzruszył ramionami i chwycił za swój koniec. Razem zatańczyli skrzynię na tratwę, która Ruczajowi wydawała się wielka jak cała jego wioska. Ruczaj uwijał się przez pół godziny, pracując równie ciężko jak dorośli mężczyźni. Ale kiedy praca została wykonana, wszyscy pozostali weszli na tratwę i odepchnęli ją od brzegu, zostawiając Ruczaja na nabrzeżu. Już miał do nich zawołać, że przecież chciał tylko przepłynąć przez tę głupią rzekę, co to by ich kosztowało? Ale wiedział, że oni wiedzieli, czego chciał, i że postanowili przyjąć jego pracę i zostawić go z niczym, a on nic na to nie mógł poradzić. Błagania tu nic nie pomogą - tylko mogą wywołać kpiny. Poza tym ci, którym pomagał, sami byli najemnikami - nie byli tymi, którzy wynagrodziliby go za pracę i pozwolili zabrać na drugą stronę. Ruczaj wiedział, że zrobił z siebie głupca.

Był już naprawdę głodny - i bardzo spragniony. Woda w rzece nie wyglądała na przesadnie czystą, pomimo że właśnie wypłynęła z kanionu. Po jej wyglądzie można było się dowiedzieć, że wszystkie nieczystości z miasta wpadały do Mitherlough i płynęły dalej z prądem. Ale Ruczaj będzie potrzebował wody, żeby zastąpić to, co zdążył wypocić.

W domu, jeśli człowiek chciał się napić, przykłękał obok strumienia czy ruczaju i pił, ile dusza zapagnie. Woda była czysta - wyżej już nie było żadnej wioski. I utrzymywali ją w czystości - nie wolno było plugawić Yegguta, zanieczyszczając płynące przez ich wioskę strumienie. Ale od podróżnych słyszeli, że w wielkich miastach nieczystości z rynsztoków wlewają się wprost do rzek, jakby nie było dla nich żadnej świętości. Teraz, kiedy Ruczaj usłyszał to, co powiedział mu o bogu myśliwy ze świętego lasu, uwierzył w te opowieści.

Oznaczało to, że musiał poszukać źródła wody nad miastem.

Oznaczałoby to powrót tą samą drogą i uświadomił sobie, że gdyby tylko postawił stopę na Drodze Uhetter, to pewnie nogi by go poniosły z powrotem do Farzibeck.

Skręcił w drugą ulicę przy porcie i niemal wpadł na fontannę z wodą, tryskającą z pysków trzech kamiennych ryb do trzech cembrowin, w których kobiety zanurzały dzbany i wiadra, żeby zanieść ją do domów i sklepów.

Wdzięczny za ten dar z niebios Ruczaj przykłęknął przy jednej z cembrowin i zaczął opłukiwać sobie twarz.

Niemal w tej samej chwili znów ktoś go złapał za ramię i powalił na ziemię, chociaż tym razem Ruczaj nie padł w błoto ani na liście, ale na twarde kocie łby ulicy. Stała nad nim wielka jejmość, która postawiła swój dzban na ziemi.

- Co ty sobie wyobrazasz, że wkładasz brudne łapska wprost do wody! A później zmywasz sobie twarz w wodzie, którą wszyscy pijemy!

- Przepraszam - wystękał Ruczaj. - Ale czy nie moczy w niej pani dzbana? A czy przypadkiem teraz, kiedy stoi na ziemi, nie brudzi się?

- Ale to mój dzban - odparła - i postawiłam go na ziemi tylko po to, by wyciągnąć twój skottuniony łeb z fontanny.

- Nie wkładałem tam głowy - bronił się Ruczaj.
- Ale mogłeś! A teraz zjeżdżaj, zanim zawołam gwardzistów!
- Jestem spragniony - zaprotestował Ruczaj. - Gdzie indziej mogę znaleźć wodę?
- W swojej wiosce! - zaryczała. - Albo nalej sobie do ręki i tego się napij!

Następnie podniosła dzban, ostentacyjnie wytarła denko i zanurzyła go w fontannie, wypinając wielkie pośladki wprost przed twarzą Ruczaja.

Upadek na kamienie posiniaczył go tak, jakby dostał lanie od ojca. Ruczaj wiedział, jak poruszać się ostrożnie i wolno, aż sprawdzi, gdzie go dokładnie boli, więc wiedział, jak ma wstać, nie powodując bólu.

- Nic ci nie jest? - zapytała jakaś młoda kobieta.
- Poza tym, że jestem spragniony, głodny, zawstydzony i posiniaczony?
- Niech ci będzie, zachowaj swoją dumę - odparła i zaniósła swój dzban do fontanny.
- Czy powiedziałem coś nie tak? - zapytał Ruczaj. - Zapytała pani, czy nic mi nie jest, a ja powiedziałem, że jestem spragniony, głodny, zawstydzony i posiniaczony. To była szczerza odpowiedź.

- I jeszcze patrzysz tak hardo - dodała, obrzucając go pobieżnym spojrzeniem. - Widzę, że myślisz, że jesteś lepszy od innych.

- Wiem, że nie jestem - odparł Ruczaj. - A jeśli na twarzy mam dumną minę, to Yeggut ją tam osadził, a ja nie mam z tym nic wspólnego. - Po raz pierwszy Ruczaj zaczął się zastanawiać, czy coś jest nie tak z jego twarzą i czy nie dlatego jego ojciec tak go nienawidził. Dzban dziewczyny był pełny. Postawiła go na dnie fontanny, a następnie odwróciła się do niego, podpierając się pod boki. Ta dziewczyna niewątpliwie ciężko pracowała, gdyż miała umięśnione ramiona i ogorzałą twarz. Ale była też bardzo czysta, podobnie jak jej odzienie. Nigdy nie widział tak czystego ubrania u dziewczyny. Pewnie nosi je tylko przez tydzień, a potem pierze.

- Nie kpisz sobie ze mnie? - zapytała.
- Dlaczego miałbym kpić? - odparł Ruczaj. - Była pani dla mnie miła, zapytała, czy nic mi nie jest, i tym samym jest pani najlepszą osobą, jaką spotkałem w tym miejscu.
- Mówisz szczerze - odparła - ale na twojej twarzy, w twoim głosie i postawie jest coś pogardliwego. Bóg był dla ciebie niezbyt łaskawy. Taka twarz powinna należeć do szlachcica albo maga - wtedy nikt nie miałby za złe tego dumnego wyglądu.
- Nikt w mojej wiosce mi tego nigdy nie powiedział - odparł Ruczaj. - Pewnie się do mnie przyzwyczaili, skoro widzieli moją twarz od dziecka.
- Och, pewnie sobie myślisz, że teraz jesteś dorosłym mężczyzną? - powiedziała, uśmiechając się nieznacznie kącikami ust.
- No i kto teraz kpi? - zapytał Ruczaj.
- To co innego - odparła - bo naprawdę gołowás z ciebie.
- Nic nie poradzę na to, że jestem młody. Ale dorosłeję - jestem wyższy, niż byłem. Potrafię ciężko pracować. Robię, co mi każą. Nic nie poradzę na wyraz mej twarzy, ale mogę schylić głowę i ją schować, o tak...

Oparł brodę na piersi.

- W tej pozycji nie popracujesz sobie długo - stwierdziła. - Ale nie ma sensu prosić mnie o pracę, nie mam niczego takiego w zanadru. Sama jestem na służbie, choć nie jestem niewolna, dzięki bogu, więc dostaję co jakiś czas monetę, a mój pan też nie może sobie ze mną folgować, nawet gdyby chciał, bo jest za stary, nawet żeby o tym pomarzyć, chwala bogu.

- No to pozwól, pani, że zaniosę twój dzban, a ty pozwolisz mi zapytać twego pana o pracę.

- To wielkie domostwo, chłopcze - powiedziała. - Nie będziesz mówił z panem, tylko z jego zarządcą, Demworem.

- Z kim?

- Człowiekiem, który zarządza pracą służby w imieniu mego pana. Człowiekiem, który pilnuje rachunków. Strażnikiem... nigdy nie słyszałaś słowa „zarządca”?

- W mojej wsi jest tylko trzech służących, a w żadnym domu nie ma dwóch.

Ruczaj przypomniał ich sobie - wszyscy byli starzy i mieszkali w domach, których właściciele wyruszyli na wojnę i wrócili bogaci. Zostali przez nich własnoręcznie pojmani w ramach reperacji wojennych i stali się niewolnymi z woli boskiej. Teraz właściciele już dawno nie żyją, a stąd są starzy, i nikt nie dbał o to, czy są wolni czy nie. Ruczaj wiedział o tym tylko dlatego, że kiedyś zapytał jednego z nich, dlaczego się nigdy nie ożenił, a wtedy tamten wyjaśnił mu, na czym polega życie sługi, i wskazał też dwóch pozostałych.

I teraz on sam zgłaszał się na ochotnika na służbę. Tylko, podobnie jak ta dziewczyna, miał zamiar być wolnym sługą i zarabiać... jak to się nazywało? Monetę raz na jakiś czas.

- Jak upuścisz dzban, to mnie za to zleją i nie będą patrzeć, czy jestem wolna czy niewolna - powiedziała. - I ty też nic nie dostaniesz ode mnie - nie mam pieniędzy na straty. I też żadnych buziaków, jakby to ci wpadło do głowy.

- Co? - zapytał, zbity z pantafyku.

- Na wszelki wypadek mówię - dodała. - Twierdzisz, że już nie jesteś dzieckiem.

- Nie mógłbym tak... Niby czemu miałbym?

Zmrużyła oczy.

- A myślałam, że jesteś naprawdę dumny - rzuciła.

- Nie chciałem...

Ale dał za wygraną i wyciągnął dzban z wody. Ciężki był. Nie używali takich wielkich dzbanów w Farzibek, ale to głównie dlatego, że woda była wszędzie wokół i w żadnym z domów nie potrzebowano tyle wody, a poza tym kogo byłoby stać na taki wielki dzban?

Przycisnął go sobie do brzucha, a dziewczyna popatrzyła na niego krytycznie.

- Wsadź rękę bardziej od przodu... tak... nie, niżej, złap za dno, o... o tak. Nie chciałbyś, żeby ci się wysliznęła i spadł pod nogi.

- Może powinienem go sobie ustawić na głowie? - zapytał Ruczaj.

- W ten sposób to można nosić kosz z pierzem - odparła. - Ale nie utrzymasz tak wielkiego dzbana na głowie. Najpierw kark ci pęknie, a potem dzban.

- Możemy już iść? - zapytał. - Bo nie będę go w stanie tak długo trzymać.

Paskudna baba, która najpierw go popchnęła, a potem mu wygrażała, najwyraźniej postanowiła poplotkować z innymi kobietami. Teraz, widząc, jak Ruczaj niesie dzban, zawołała do służącej:

- Ejże, Skowroneczku, nie wiesz, że to książętko weźmie, co zechce, i ucieknie od ciebie?

- Oni uciekają tylko od ciebie, Wesero! - odcięła się radośnie Skowronek.

- Nie wiem, jak ona sobie wyobraża, że mógłbym z czymś takim uciekać - wymamrotał Ruczaj.

Skowronek wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę przyszedłeś tu prosto ze wsi, prawda?

- Dlaczego się śmiejesz? Powiedziałem coś nie tak?

- Nie, nie, myślę, że to urocze, że nie myślisz tak jak wszyscy. Naprawdę tak jest, mam rację? I to nie dlatego, że jesteś za młody. Teraz wiesz, że mówią na mnie Skowronek, a więc powiesz mi, jak się nazywasz, bo skoro mam cię przedstawić Demworowi, to powinnam wiedzieć.

- Ruczaj.

- Czy to dlatego, że sikałeś w majty przez całe dzieciństwo? - zapytała. - Czy też w twojej rodzinie jest ktoś biegły w wodnej magii?

- Nie wybierałem sobie imienia - odparł zawstydzony i nieco zły Ruczaj. - Nikt nie kpił z mego imienia tam, gdzie mieszkałem.

- Ja z ciebie nie kpię! - odparła Skowronek. - Gdzieżbym śmiała - tylko jest to imię człowieka, który chce wstąpić na służbę u Yegguta. Takie imiona dają magowie wodni swoim dzieciom.

- Połowa dzieci w Farzibek nosi wodne imiona - odparł Ruczaj. - Ma to świadczyć o tym, że twoi rodzice należą do wodnego ludu.

- To dobre imię. Tylko że w Mitherhome nadają częściej stare imiona, albo związane z fachem, albo wystawiające jakąś cnotę. Ja też nie pochodzę stąd - moje rodzinne gospodarstwo znajduje się na wschód stąd i nieco na północ. Zostałam nazwana imieniem polnego ptaszka, którego śpiewu tak lubi słuchać moja mama. Więc możesz nosić imię od źródła, to żaden wstyd. Byłam tylko nieco zaskoczona.

- W takim razie pogódźmy się i obiecujemy, że nie będziemy z siebie kpić - odparł Ruczaj. - Nawet jeśli będzie to tak brzmiało, albo wyglądało jak kpina, to my będziemy wiedzieć, że nie ma w tym żadnych złych intencji.

- Jeśli Demwor cię zatrudni, co jest nieprawdopodobne, i jeśli będziemy mieli jeszcze okazję się spotkać - co też jest nieprawdopodobne - wtedy tak, zgadzam się, nie będę z ciebie kpiła.

- Dziękuję.

- Przynajmniej nie prosto w oczy - dodała. Tylko że uśmiechała się w taki sposób, iż było wiadomo, że nie miała niczego złego na myśli.

Będę się krył ze swoją twarzą przed wszystkimi - pomyślał Ruczaj. I z moim imieniem. Niektórych ludzi ono obraża, a inni uważają, że jest idiotyczne. A ja przebyłem tyle mil, żeby się tego dowiedzieć.

Szli przez jakiś czas w milczeniu. I nagle Ruczaj nie mógł dłużej dusić w sobie tego pytania.

- Co jest nie tak z moją twarzą?

- Nic - odparła. - Nie jesteś ani przystojny, ani brzydki.

- To dlaczego powiedziałaś, że widać na niej dumę?

- Właśnie na tym cała rzecz polega. Na wyrazie twarzy.

- Co z tym wyrazem?

- Bo ja wiem - odpowiedziała już nieco zirytowana. - Po prostu go masz. Jakbyś był statua.

- Co to jest statua?

- Jakby ci to wyjaśnić... Statua jest wykonana z kamienia, metalu czy gliny i ukazuje ludzką twarz, tylko się nie porusza, zawsze jest taka sama.

- Ja poruszam twarzą. Mówię. Uśmiecham się. Przewracam oczami. Kiwam głową.

- No to przestań, bo upuścisz dzban.

- Czy miałaś go wypełnić po brzegi?

- Chcesz, żebym go wzięła od ciebie?

Nie pozwoliliby, żeby dziewczyna nosiła coś, czego on sam nie może.

- Wytrzymam.

- Chcesz wiedzieć, co jest nie tak z twoją twarzą? Powiem ci. Teraz byłeś na mnie zły - za to, że napełniłam dzban po brzegi, a potem, że chciałam go nieść. Ale na twojej twarzy nie było tego widać.

Poruszałeś ustami, poruszałeś oczami, ale nie dałeś poznać po sobie, o czym myślisz. To wygląda tak, jakbyś myślał, że jesteś lepszy ode mnie. Jakbyś nie musiał się w ogóle mną przejmować.

- No tak, byłem zły. Nic na to nie poradzę, że nie widać tego na mojej twarzy.

- I teraz też jesteś zły i wciąż tego nie widać. Ruczaj wykrzywił i zrobił groźną minę.

- A teraz?

- Teraz jesteś tylko brzydki. Ale i tak nie widać złości. Była to wstrząsająca informacja.

- Dlaczego nikt nigdy mi tego nie powiedział?

- Pewnie dlatego, że uważali, że jesteś dumny i ich nie lubisz, więc dlaczego by mieli ci coś mówić?

- A dlaczego ty mi to mówisz?

- Bo widziałam, jak cię Wesera przewróciła - byłeś spragniony i obolały. Ale twarz pozostała dumna, więc pomyślałam sobie, że masz ikrę. A teraz mówisz, że nie jesteś dumny, więc oznaczałoby to jednak, że nie masz ikry, więc... nie, obiecaliśmy sobie, żadnych kpín, więc... wierzę ci. Wierzę, że nie możesz na to nic poradzić. Ale wiesz, co pomaga? Jak spuszczasz głowę. Przybierasz wtedy pokorny wygląd. Ukrywasz swoją sztywność. Rób tak często, a ludzie nie będą chcieli cię walić po głębie.

- A ty chcesz mnie walić po głębie?

- Mam na to dwie odpowiedzi. Nie, ponieważ niesiesz mój dzban z wodą. I nie, bo nie zależy mi na tobie, więc nie będę cię walić po głębie i nie zamierzam, więc jeśli miała to być pierwsza próba wybadania mnie, czy możesz się do mnie zbliżyć...

Miała powyżej uszu zakładania, że myśli o niej w ten sposób. Ruszył więc ostro do przodu, zostawiając ją w tyle.

- Uważaj, zwolnij! - krzyknęła. - Upuścisz, zbijesz i wylejesz! Woda rzeczywiście zachlupotała w dzbanie, zrobił więc, jak mu kazała, i znów szli obok siebie.

- A więc mnie nie lubisz - stwierdziła. - Rozumiem.

- Uważam, że jesteś w porządku - odparł. - Pomogłaś mi. Nie chcę od ciebie niczego poza możliwością zapytania o pracę, żebym mógł dostać trochę tych pieniędzy czy monet, jak wy je tam nazywacie. I może, ale tylko może, żebyś mi dała napić się trochę tej wody, którą niesiemy w nieznanym kierunku.

- Cóż, kierunek jest znany, bo już jesteśmy na miejscu.

Zaprowadziła go do furty w wielkim, wysokim, kamiennym murze.

Zatrzymała się przed furtą i zagwizdała - brzmiało to trochę jak ćwierkanie ptaszka. Uśmiechnęła się do niego szeroko:

- Skowronek.

Drzwi otworzyły się na oścież i przez chwilę Ruczaj myślał, że to jakaś magiczna sztuczka. Ale nie. Stał tam jakiś wysoki mężczyzna z głupkowatym wyrazem twarzy i to on jej otworzył i Skowronek zuchwale wdarła się do środka.

- Wpuść mojego chłopca, dobrze? - rzuciła w stronę mężczyzny.

Na chwilę Ruczaj zapłonął gniewem, ale zaraz uświadomił sobie, że tylko żartowała, poza tym była teraz jego jedyną nadzieją na zaspokojenie głodu i pragnienia. Przynajmniej wpuszczała go do środka. Mogła powiedzieć: Weź ten dzban i pogoń chłopaka, a on nie mógłby na to nic więcej poradzić niż na zachowanie mężczyzn na tratwie. Znalazł się w środku. To dobrze. Więc nie odezwał się, tylko przeszedł jej śladem przez drzwi i znalazł się na dziedzińcu.

Poprowadziła go do jakiejś kamiennej budowli wysokości półtora człowieka, po której bokach kręciły się w górę schodki. Kiwnęła na niego, żeby wszedł za nią na schody, i kiedy znalazł się na górze, ona już otwierała jakąś klapę na dachu.

- Wlej tutaj wodę.

Włał.

Zabrała pusty dzban.

- Teraz już ja go poniosę.

- Teraz jest pusty - zauważył.

- Możesz sobie wierzyć albo nie, ale to jest moment, w którym ludzie przeważnie tłuką dzbany. Kiedy jest już pusty, wydaje się lekki i przestają uważać. Tylko że wtedy ja miałabym nieprzyjemności, a nie ty. Więc ja go zniosę na dół. A teraz zejźdź mi z drogi, Ruczaj, bo sobie z ciebie zakpię.

- Wtedy złamiesz przysięgę.

- Będziesz ode mnie odwrócony plecami, więc będę mogła sobie z ciebie kpić, nie łamiąc przysięgi.

- Możesz sobie ze mnie kpić, ile wlezie, nie obchodzi mnie to.

Zszedł po schodach i skierował się do furty w murze. Wysoki głuptas wciąż tam stał.

- Czekaj - powiedziała. - Naprawdę jesteś zły?

- Nie jestem zły, tylko muszę się napić, coś zjeść, zdobyć pracę, a to oczywiste, że tu tego nie dostanę.

- Dlaczego, bo się z tobą droczyłam?

- Bo się droczyłaś po tym, jak obiecałaś, że nie będziesz - odparł Ruczaj. - Nie potrafisz dotrzymywać słowa.

Złapała go za koszulę i pociągnęła w swoją stronę. Naprawdę była silna.

Wykrzyczała mu prosto w twarz:

- To nie były kpiny. To z przyjaźni. Nigdy nie miałeś przyjaciela?

Już chciał rzucić jakąś ciętą ripostę, ale uświadomił sobie - pewnie nie miał.

- Kpi się z kogoś wtedy, gdy się go obśmiewa na oczach ludzi, na których mu zależy, więc przynosi się mu wstyd. A tego nigdy nie zrobię, bo przysięgłam, a poza tym ja się tak nie zachowuję. Jak ty dożyłeś tego wieku, skoro tak mało wiesz o ludziach? Gdzieś ty się chował, w jaskini?

Nie, wychowałem się w domu mojego ojca.

Znów pociągnęła go za koszulę i poszedł za nią na drugą stronę zbiornika, do którego przed chwilą wlał wodę.

Za niskim wejściem, tak niskim, że wchodząc, musiała się schylić, znajdował się otwór, w którym umieściła jeden z kilku kubków, które stały na stole obok. Umieściła go dokładnie w środku okręgu wyciętego w kamiennej podstawie otworu i nacisnęła kamienny blok z boku. Momentalnie woda zaczęła cieknąć do kubka. Był to miarowy strumień i ani się Ruczaj obejrzał, aż woda napełniła kubek szybciej, niż się spodziewał.

Puściła kamień, który wrócił na swoje miejsce, a woda przestała lecieć niemal natychmiast. Podała kubek Ruczajowi.

Ruczaj przyjął go z godnością. Był to dar wody, więc wymamrotał modlitwę dziękczynną i wyciągnął kubek w jej stronę.

- Och, zapomniałam, że pochodzisz z nabożnej wioski - powiedziała. - Słuchaj, ale to nie znaczy, że na przykład się pobraliśmy, ani nic takiego?

- Znaczy tylko tyle, że jestem ci wdzięczny za wodę.

Następnie Ruczaj przystawił kubek do ust i zaczął pić małymi łykami, zatrzymując wodę w ustach, by je przepłukać przed połknięciem, i pilnując, by ani kropla się nie wylała, czy nawet nie pociekła mu po brodzie. Ulga z gaszonego pragnienia była tak olbrzymia, że dopiero po chwili zauważył smak wody.

- Smakuje jak woda z górskiego źródła, prosto ze skały - stwierdził. - Jest krystalicznie czysta.

- Naturalnie - odparła. - Lejemy wodę od góry, ta przecieka przez kamień i jest jak z górskiego źródła.

- Nigdy nie słyszałem o wodnych magach, którzy czyszczą wodę za pomocą kamieni.

- Oczywiście, że nie - odparła Skowronek. - Ale mój pan nie pozwoliłby im czyścić swojej wody. Bardzo pilnuje, żeby brać wodę z tej samej studni co wszyscy, i sam ją oczyszcza bez udziału magii wody.

- Dlaczego? - zapytał Ruczaj.

- Och, przecież ty nie wiesz - powiedziała. - Mój pan nazywa się Brickel. Jest magiem kamienia z Mitherhome. - Oznajmiła to w taki sposób, jakby Ruczaj wiedział już wszystko na ten temat.

Ale Ruczaj wiedział jedno - w Mitherhome nie było magów kamienia. Powiedział jej o tym.

- To prawda, w Mitherhome nie ma - odparła Skowronek. - Jak widzisz, mieszkamy w Hetterferry, przez wodę z Dolnym Mitherhome. Ale i tak on jest magiem kamienia z Mitherhome. Jedynym, któremu pozwalają tu mieszkać, w zamian za utrzymywanie ich murów, mostów i świątyń w dobrym stanie. Za naprawianie pęknięć i rozwalających się ścian od lodu i śniegu zimą. Nawet magowie wody z Mitherhome muszą korzystać z kamieniarki, a do tego konieczny jest mag kamienia, żeby przedmioty z niego wykonane były trwałe przy tak dużej ilości wody w okolicy.

- Służysz u maga? - zapytał. - No to dlaczego nie jesteś z tego dumna?

- Bo - powiedziała, zniżając głos - on jest magiem kamienia. Potrzebują go, ale stale też obserwują, żeby nie zaczął sprowadzać tu innych magów kamienia. Bo potrzebują tylko jednego do niezbędnych prac, ale nadmiar magów kamienia mógłby sprawić, że wszystko runęłoby w gruzy i zapory świętego Mitherlough pękłyby jak łupina orzecha.

- Dlaczego magowie kamienia mieliby to zrobić?

- Może mają jakiś powód - odparła Skowronek. - Wiem tylko tyle, że ludzie schodzą mi z drogi, bo wiedzą, u kogo służę, i wiedzą, że jest potężnym czarownikiem, którego nikt nie ośmieliłby się obrazić. Ale też nikt się nie chce z nim przyjaźnić. I dlatego... nie mam zbyt wielu przyjaciół w Hetterferry.

- Poza innymi sługami z domostwa.

Wywróciła oczami.

- O tak, żyjemy tu sobie jak jedna wielka, szczęśliwa rodzinka.

- Więc dlaczego tu pracujesz?

- Ponieważ byłam taką samą naiwną dziewczyną z wioski, kiedy tu przyjechałam i nie mogłam znaleźć pracy. A pan Brickel miał stale kłopoty ze służbą, bo nie mógł znaleźć nikogo odpowiedniego. Nie wiedziałam niczego, ale byłam robotna i szybko się uczyłam. Dostaję monety, część odkładam, a część posyłam rodzinie. Z tych pieniędzy moi bracia płacą nauczycielom za naukę. No i widzisz? Ja jestem służącą tutaj, a oni mogą sobie wynająć kogoś tam u siebie i być może moi bracia będą mieli szansę dostania pracy w biurze.

- A ty jakie masz widoki?

Popatrzyła na niego tak, jakby był niespełna rozumu.

- Służąca w domu maga. Czy myślisz, że nie wiem, jakie mam szczęście?

W głowie Ruczaja pojawiło się tylko jedno pytanie: Czy ja też będę miał tyle szczęścia?

Dokończył pić w milczeniu, bacznie się jej przyglądając. Obserwował, jak przechyla głowę, patrząc, jak on pije, jak jej się twarz zmienia, kiedy myśli sobie o różnych rzeczach. Uświadomił sobie, że zawsze potrafił wyczuć nastrój drugiej osoby, spoglądając jej w twarz. Nigdy mu do głowy nie przyszło, że ktoś może oceniać jego własne oblicze.

Przypomniał mu się ten głupek przy furcie. Skąd Ruczaj wiedział, że jest głupi? Z powodu obwisłej twarzy, sposobu, w jaki się uśmiechał, jakby miał jakiś ukryty cel. Z powodu wzrostu postawiono go przy bramie, by jej strzegł. Ale z powodu ewidentnego braku pomysłu jego zadanie sprowadzało się jedynie do jej zamykania i otwierania, bo to stanowiło kres jego możliwości.

A jeśli nie był głupi? Może jego twarz po prostu jest obwisła i w rzeczywistości miał bardzo lotny umysł?

Głupie oblicze mężczyzny nie zdradzało nawet cienia mądrości, a twarz Ruczaja sugerowała dumę i wyniosłość. Twarz Skowronka znamionowała przyjazny charakter, bystrość, ale też i szczerość.

- A kiedy tak się we mnie wpatrujesz - powiedziała - co sobie myślisz?

- Myślę, że chciałbym umieć przybrać taki mądry i wspaniałomyślny wyraz twarzy jak ty.

Zarumieniła się.

- Spoliczkowałamby mężczyznę, gdyby mi coś takiego powiedział - odparła.

- Dlaczego? - zapytał szczerze zdziwiony.

- Ponieważ kiedy mężczyzna mówi takie rzeczy kobiecie, to czegoś od niej chce.

- Ja nie chcę - odparł. Uniósł opróżniony do połowy kubek. - Już dostałem, com chciałem.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i w jednej chwili zaczął osuwać się na ziemię, żeby nie upaść za mocno, kiedy ten ktoś ciśnie go na podłogę.

Ale dłoń nie popchnęła go, a Skowronek powitała jej właściciela uśmiechem.

- Demwor - odezwała się. - Chciałam, żebyś poznał tego chłopca. Nazywa się Ruczaj, pochodzi z górskiej wioski Farzibek, niósł cały dzban wody, nie wylewając ani kropli, i nie chce zajrzeć mi pod spódnicę.

- Jeszcze nie chce - rozległ się cichy, głęboki głos.

Ruczaj starał się odwrócić, by zobaczyć oblicze mówiącego, ale przekonał się, że dłoń trzyma go mocno.

- On jest zupełnie inny - stwierdziła. - Myślę, że jest wart zachodu.

- Myślę, że jest głupcem - odparł Demwor - skoro dał ci się namówić do taszczenia pełnego dzbanu.

Dopiero wtedy Ruczaj uświadomił sobie, że miała na myśli to, że musiała odlewać trochę wody, kiedy sama miała ją nieść. Spojrzał na nią, ale w tej samej chwili wiedział, że to nie wyglądało jak zwykłe spojrzenie. Być może żadne jego spojrzenie nie nosiło w sobie znaczenia. A jeśli rzeczywiście zawsze wyglądał tak samo?

Ale ona uśmiechnęła się do niego pogodnie.

- Wtedy cię nie znałam - powiedziała. - A poza tym jesteś wystarczająco silny, bo przecież go przyniosłeś.

- Kto ci powiedział, że szukamy kogoś do pomocy? - zapytał Demwor.

- A co, szukamy? - zdziwiła się Skowronek.

- Nie - odparł Demwor.

- No to dobrze, że nie obiecałam mu nic ponad kubek wody i przedstawienie go tobie.

A więc to tak. Kolejna sztuczka. Tylko że teraz już nasycił pragnienie, więc za drugim razem poszło lepiej. Niemniej czuł się coraz bardziej zmęczony, a musiał jeszcze rozejrzeć się za czymś do jedzenia i poszukać pracy.

- Nie lubisz go? - zapytał Demwor.

- Oczywiście, że go lubię - odparła. - Myślisz, że sprowadziłabym tu kogoś, kogo bym nie lubiła? A gdybyś go jednak przyjął?

- Chodzi mi o to - przerwał Demwor - czy macie mi tu zamiar sprokurować jakieś dzieciątko kosztem pana Brickela?

Skowronek spojrzała na Ruczaja z uśmiechem, znamionującym potwierdzenie jej wszystkich podejrzeń.

- A nie mówiłam ci, że facetom jedno w głowie.

- Panie - odezwał się Ruczaj - potrafię ciężko pracować, uczę się bardzo szybko i dotrzymuję słowa.

- Od kogoś uciekł?

- Od nikogo, kto by za mną zatęsknił - odparł Ruczaj.

Uścisk na ramieniu wzmocnił się.

- Jak się nazywa twój pan?

- Nie mam żadnego pana - odparł Ruczaj. - Uciekłem od ojca i matki. Ale jestem dziewiątym synem. I jak mówiłem, nikt za mną tęsknić nie będzie.

- Matka mi nie przyjdzie pod bramę i nie będzie mi szlochać w rękaw, pomstując, że porwałem jej małego chłopca?

- Nikt nawet nie zauważy, że odszedłem, proszę pana.

Poza ojcem, dodał Ruczaj w myślach. Nie będzie miał kogo bić. Nie było jednak sensu mówić o tym. Gdyby wspomniał, że był bity, Demwor pomyślałby z całą pewnością, że był krnąbrny.

- Więc dlaczego tu się zjawiłeś?

- No a co ma począć dziewiąty syn? - zapytał.

I w końcu uświadomił sobie całą prawdę. Nikt mu tego nigdy nie wyjaśnił, ale to, a także дума wypisana na twarzy, było powodem, dla którego nie chciała na niego spojrzeć żadna dziewczyna we wsi. No bo niby po co? Co on takiego miał? Gospodarka przejdzie w ręce któregoś z jego starszych braci. Jego siostry wyjdą za mąż. Jeden z jego braci już wzenił się w bogatą rodzinę - posagiem była gospodarka jej ojca. Ale kolejny brat ma widoki na otrzymanie ojcowskiej gospodarki w stosownym czasie. Co będą mieli młodszy chłopcy? Wiedział co, nawet nie wiedząc, że wie.

Czy dlatego wbił sobie do głowy, że przejdzie Mitherkame do tego miejsca? Z pewnością.

Dłoń na ramieniu zwolniła uścisk.

- Służba u maga nie jest łatwa - powiedział Demwor, kiedy Ruczaj spojrzął w końcu na niego. Zobaczył wysokiego, smagłego mężczyznę - człowieka południa, podobnego do niektórych podróżnych mijających Farzibek po drodze. - Więc nie terminowałeś nigdzie? - zapytał Demwor.

- W Farzibek wszyscy uprawiamy rolę - odparł Ruczaj.

- Ani u kowala? Ani u rymarza nie uczyłeś się robić uzdy?

- My sami robimy uzdy. Pracujemy w kamieniu i w drewnie. Pijemy wodę, jaką daje nam Yeggut, i spożywamy płody rolne, które za jego sprawą rodzi ziemia. Słyszałem o terminatorach, bo niektórzy z podróżnych ich mieli, ale nie mogłem pojąć, czym różnią się od niewolnych.

- Różnica polega na tym - wyjaśnił Demwor - że pan płaci za niewolnika, ale żeby przyjąć terminatora, to jego ojciec musi panu zapłacić. Tacy właśnie bezużyteczni są chłopcy w terminie i właśnie dlatego mistrz Brickel nigdy, przenigdy nie będzie miał terminatora.

- To dla mnie dobra wiadomość - powiedział Ruczaj. - Bo ja nigdy bym nie chciał być wzięty do terminu.

- Żebyś tylko zrozumiał - powiedział Demwor. - Przyjmemy cię tylko jako sługę. Podstawowe prace, rozumiesz. Będzie wywożenie nawozu, będzie wylewanie pomyj, będzie mozolna praca przy kamieniu i będą ciężary do noszenia.

Tak mniej więcej wyglądało życie każdego człowieka w Farzibek, łącznie z kamieniami, które trzeba było każdej wiosny wyciągać z pola, by nie złamać pługa.

- Nie boję się ciężkiej pracy, panie.

- Tedy mam jeszcze tylko jedno pytanie - powiedział Demwor. - Jak się czujesz przy kamieniu?

Czujesz się? Przy kamieniu? A co miał niby czuć?

- Jestem zwolennikiem występowania ich w ścianach - odparł Ruczaj - i przeciwny pojawianiu się na polu.

Demwor zachichotał.

- Masz dumne oblicze - stwierdził - aleś pokornego serca.

- To nie moja wina z tą twarzą - wyjaśnił Ruczaj. - Ani też z sercem, bo się już taki urodziłem, i oba są wystarczająco pokorne, proszę pana.

- Moje pytanie o kamień jest proste. Pracowałeś kiedy przy kamieniarce? Budowałeś z kamienia? Formowałeś go?

- Czy to warunek? Bo jak tak, to się nauczę. Ale nie, nie pracowałem w kamieniu. Czasami je znajdujemy i robimy murki, tamy, żeby powstrzymać letnie powodzie po ciężkiej zimie. I fundamenty naszych chat są z kamienia wciśniętego w ziemię. Ale nigdy nie pomagałem przy takich pracach, ponieważ od kiedy podrośłem, nie wybudowano we wiosce żadnej nowej chaty.

- Nie jest to konieczne - odparł Demwor - i nie chcemy, żebyś się tego uczył.

- Tedy się nie nauczę - odparł Ruczaj.

- Bo jak sobie myślisz, że możesz się nauczyć magii od mistrza Brickela, to powiem ci, że dowiemy się o tym, i wtedy będzie ciężko.

- Magii? - zadziwił się Ruczaj. - Jak mogę się uczyć magii? Nie jestem magiem.

- Dobrze to sobie zapamiętaj - ostrzegł Demwor - a nie wpędzisz tego domostwa w tarapaty.

- Domostwa? Tutejszy pan jest magiem kamienia.

- Nie, chłopcze - odparł Demwor. - Pan jest jedynym magiem kamienia. Jedynym, który ma pozwolenie wejścia do Mitherhome.

Jedynym, któremu pozwolono osiedlić się w tej dolinie. I przysiągł nigdy nie uczyć się nowej magii, poza tą, którą już znał, kiedy się tu sprowadził. Jest magiem kamienia, ale nie jest bratem skały, a już na pewno nie ojcem kamienia. Jest natomiast przyjacielem głazów i jest to jedyna moc, która jest mu tu potrzebna. Dlatego właśnie wodni magowie z Mitherhome płacą mu tak sownie i utrzymują ten dom - ponieważ on nie ma wystarczającej mocy, by nas skrzywdzić.

I nagle Ruczaj wiedział już wszystko. Demwor nie pracował dla Brickela, pracował dla magów Mither. Tak, pilnował spraw domostwa Brickela - najmował służbę i płacił za pożywienie, ale był również nadzorcą Brickela, który pilnował, by Brickel dotrzymywał przyrzeczenia. Nawet nie znając Brickela, Ruczaj go pożałował.

Ale tylko troszeczkę. Człowiek ten mieszkał w przepychu - sładzy, strzeżony dziedziniec dziesięć razy większy niż chata, w której spała cała rodzina Ruczaja, jedzenia pod dostatkiem.

- Panie - odezwał się Ruczaj - moim celem w życiu jest zarabiać wystarczająco, by się najeść, mieć miejsce do spania i może trochę tych pieniędzy, których tak wszyscy potrzebują. Więc i Skowronek jest bezpieczna, i pan jest bezpieczny, i mistrz jest bezpieczny, a wasze miasto jest bezpieczne od moich ambicji, bo jestem mały, głupi i zmęczony. Ale jeśli zajmie się pan moim głodem i zmęczeniem, to stanę się wystarczająco duży i silny, by wykonać każdą pracę, a będę tylko rósł, bo wszyscy moi starsi bracia są wysocy jak gwardziści, tak samo mój ojciec, a o matce można wszystko powiedzieć, tylko nie to, że jest drobna. Demwor wybuchnął śmiechem.

- Nigdy nie słyszałem takiego zachwalania towaru - i to do tego od kogoś z tak poważną miną. Wierzę ci na słowo, chłopcze. Powiedz jeszcze raz, jak masz na imię.

- Ruczaj, proszę pana.

- Zacznijmy od tego, na jakie byś chciał sobie je zmienić - powiedział Demwor.

- Nie zmienię go.

- Nie możemy trzymać w domu maga kamienia sługi o wodnym imieniu, choćby dlatego, że ludzie pomyślą, że z nich kpi.

- Nie jest moim ojcem, tylko pracodawcą - odparł Ruczaj. - Więc nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyśli, że jest odpowiedzialny za nadanie mi takiego imienia.

- Ale jeszcze cię nie najął i nie najmie z takim imieniem.

- Tedy dziękuję pięknie za wodę, proszę pana - powiedział Ruczaj. - Ale nie przybyłem tu, żeby zostać czymś niewolnikiem, ani też by zrezygnować ze swego imienia.

- A kto tu mówi, że masz zostać czymś niewolnikiem?

- Tylko właściciel niewolników zmienia imiona swoim sługom - odciął się Ruczaj. -
Wiem to na pewno, bo trzech starych służących w Farzibeck dostało nowe imiona po wzięciu
ich w niewolę.

Demwor pokręcił głową.

- A więc ta duma na twojej twarzy nie jest iluzją, mam rację? Jesteś zbyt dumny, by
zmienić imię w zamian za posadę.

- Nie dumny, proszę pana - odparł Ruczaj. - Ale Ruczaj z Farzibeck nie zemrze tutaj, by
ustąpić miejsca bezwodnemu tchórzowi.

- Bezwodnemu tchórzowi, powiadasz? - powtórzył Demwor. - Farzibeck - to w górach,
prawda?

- Na zachód stąd, Drogą Uhetter - odparł Ruczaj. - Tuż za przełęczą w Mitherkame.

- A więc nazwali cię Ruczaj z pobożności. Służysz Yeggutowi?

- Tutaj zacząłem podejrzewać, że jako jedyny na świecie - odrzekł Ruczaj.

Demwor ponownie położył dłoń na jego ramieniu i Ruczaj aż się skulił, ale tym razem
był to przyjacielski dotyk.

- Myślę, że się nadasz - zawyrokował Demwor. - Chłopak z górskiej wioski, z wodnym
imieniem na znak pobożności, a nie ambicji. Tak, teraz lepiej. Miałeś rację, że się uniosłeś
honorem i odmówiłeś zmiany imienia.

Demwor poklepał go po ramieniu i poszedł w stronę domu.

Skowronek nie chciała tego tak zostawić.

- Czy w takim razie jest zatrudniony, panie?

- Tak - odparł Demwor.

- A jakie będzie dostawał pobory? - zapytała.

- Takie jak twoje - odparł Demwor.

- To niesprawiedliwe! - wykrzyknęła. - Pracuję już tutaj od dwóch lat!

- Ale on przyniósł pełny dzban wody. - I z tymi słowami na ustach Demwor zniknął we
wnętrzu domu.

Skowronek była wściekła.

- Niech się utopi, a wraz z nim jego kocięta - wymamrotała pod nosem rozwścieczona.

- Zatrudnił mnie - powiedział Ruczaj.

- Za o wiele większe pieniądze, niżli jesteś wart - warknęła.

- Jak chcesz, będę ci oddawał część, bo ty mnie tu sprowadziłaś.

Przez chwilę rozbłyły jej oczy. Ale potem się opamiętała.

- Nie chcę, żeby jakiś mężczyzna myślał, że jestem mu coś winna.

Ruczaj pokręcił głową.

- Twój drogocenny skarb jest ze mną bezpieczny - rzucił. - Jestem ci coś winien za to,
że mnie tu przywiodłaś.

- Myślałam, że to już koniec, kiedy odmówiłeś zmiany imienia.

- Ale wyszło na dobre - odparł Ruczaj.

- A skąd wiedziałaś, że wyjdzie? - zapytała.

- Nie wiedziałem.

- Więc ty tak na poważnie? - Wydawała się prawdziwie zaskoczona.

- To moje imię - odrzekł Ruczaj.

- Jesteś największym ignorantem pod słońcem. Cóż to imię?

- Ty strzeżesz swej czystości - powiedział Ruczaj - a ja strzegę tego, co moje.

Zmieniła się cała na twarzy, nozdrza i oczy się jej rozszerzyły i zamachnęła się, jakby chciała go spoliczkować, ale nie zrobiła tego. On nawet nie mrugnął.

- Nie waż się nigdy więcej porównywać twojego imienia z moją czystością, jak to nazywasz. Któregoś dnia zarobię sobie na posag i wyjdę za mąż i nie będę jakimś kuchennym kocmołuchem, który dorabia sobie na boku albo zabiega o względy swego pana czy zarządcy. Czystość jest jedynym skarbem, jaki posiada biedna dziewczyna, i dlatego wzięłam tę pracę, bo ludzie zostawiają mnie w spokoju, co oznacza, że mogę mieć nadzieję. A tymczasem twoje imię - nie jest słynne, nie jest ważne, jest bezwartościowe. Więc nie waż się nigdy więcej porównywać tych dwóch spraw!

Poszła sobie dumnym krokiem i zniknęła w domu, zostawiając go z wodą, którą mógł teraz dokończyć.

To, co jest bezwartościowe dla ciebie, wcale nie musi być bezwartościowe dla mnie - wyszeptał do siebie. Ale nie potrafił się pozbyć uczucia zawodu. Jednak udało mu się w końcu stracić przyjaciółkę. Będzie dokładnie tak jak w domu.

Opart się o zbiornik i zamknął oczy. Miał pracę. Zapłacą mu. Nie miał pojęcia o wartości pieniądza, ale zarobi tyle, co Skowronek, a ona była pewna, że jak będzie oszczędzać, to uszkłada na posag.

Była młoda i mogła składać jeszcze dziesięć lat albo i więcej. Ale on był jeszcze młodszy i mógł dłużej pracować przed ślubem. Jako rolnik dopiero zaczął męską pracę, i to nie w pełni. Ale tutaj nauczył się wszystkiego i dorośnie do prac, które wcześniej były dla niego za ciężkie.

Mnóstwo ciężkiej pracy. Całe lata. Dlaczego był więc taki podniecony?

Dlatego, że będzie przebywał w domu maga kamienia. Cóż go to obchodziło, że był tylko przyjacielem głązów, a nie jednym z wielkich? Może nawet Ruczaj zobaczy, jak mistrz czaruje?

Poza tym istniało kilka praktycznych korzyści. Jak ten zbiornik na przykład. Czuł, jak pracuje w środku - woda w zbiorniku przesączała się przez porowaty kamień, który zatrzymywał wszystko, czego nie powinno w niej być. Woda wolno przeciekała przez kamień, ale ten zatrzymywał wszystkie nieczystości - to ironia losu, że najczystsza, najbardziej klarowna woda w Hetterferry znajdowała się w domu maga kamienia.

Jednak to ciekawe z tym półprzepuszczalnym kamieniem. Ruczaj nie wiedział, że istnieje taka skała, na pewno nie na tych występach, po których się wspinał. Szkoda, że nie znajduje się na zewnątrz zbiornika, żeby można było położyć na nim dłonie. Gdyby on był magiem kamienia, zrozumiałby, jak odbywa się to filtrowanie.

Niebezpieczna myśl. Nie może wypowiadać na głos takich życzeń. Przysięgał, że nie będzie się tym zajmował. Gdyby Demwor nie robił tyle ceregieli z tym, że nie może, to nie chciałby się teraz stać jednym z nich.

Nie miało to znaczenia. Magowie to lud magiczny, a nie chłopcy ze wsi. Magowie mogli ukazywać się światu pod wybraną postacią - magowie zwierzęcy pod postacią ulubionych zwierząt, magowie żywiołów pod postacią kamienia, wiatru czy wody, błyskawicy, piasku czy metalu. Nie można ich było pojmać, nie tych o prawdziwej mocy. Ruczaj wyobraził sobie siebie jako maga kamienia, jako Brickela, swego nowego pana. Mógłby chodzić po świecie w kamiennej postaci, a wtedy jaka broń mogłaby go zranić?

Mam nadzieję, że zobaczę kiedyś mego pana w kamiennej postaci. Ale czy nie powinienem zachować tego w tajemnicy, bo Demwor mnie wypatrzy?

- Ruczaj - rozległ się zniecierpliwiony głos. - Co ty wyrabiasz?

Otworzył oczy i znów zobaczył Skowronka.

- Dopijam wodę - odparł.

- Bez kubka w dłoni? Co robisz, zasysasz ją uszami?

Nie bądź na mnie zła, chciał powiedzieć. Ale się zawahał, a ona znów się odezwała:

- Myślisz, że będziesz mieszkał tu w ogrodzie? Chodź ze mną. Mam ci pokazać twoją izbę.

Ruczaj posłusznie poszedł za nią do domu. Szła szybkim krokiem, więc nie miał czasu na obejrzenie różnych pomieszczeń, ani na odgadnięcie, do jakich przeznaczone są celów. Jego rodzinna chata miała jedną izbę z kominem na końcu. Nie miał pojęcia, po co komu było potrzebne tyle pokoi, najwyraźniej nie mogłyby się nadawać do spania, tyle było w nich różnych mebli i przedmiotów o dziwnych kształtach. We wszystkich stały wysokie skrzynie od podłogi do sufitu. Na stołach leżały obrusy tak wypukłe od haftowanych wzorów, że z pewnością nie można było na nich pracować. Aż w końcu uświadomił sobie, że były to takie wielkie, szerokie krzesła, a pokryte były materiałem, żeby drewno nie wrzynało się w tyłek, kiedy się dłużej na nich siedziało. Tkanina tylko po to, żeby przystroić krzesło i żeby było miękkie! Nikt w Farzibek nawet by tego nie zrozumiał.

Poszli do góry po wąskich, drewnianych stopniach.

- Dlaczego nie weszliśmy na górę tymi szerokimi schodami od frontu? - zapytał Ruczaj.

Nie odpowiedziała mu.

Westchnął. I tak przysła nadzieja, że może przebaczy mu tę w końcu niezamierzoną obelgę.

- Zawsze wchodzi tylko tymi schodami - odezwała się wreszcie. - Główne schody są dla pana, Demwora oraz gości. Służba wchodzi schodami od tyłu.

I tak przyzwoitość i porządek zwyciężyły z impulsywnością. Nie chciała, żeby miał nieprzyjemności, więc powiedziała mu o schodach. Było w tym niemal... prawdziwe współczucie.

W górę dwie, trzy klatki, na sam szczyt domu. A potem jeszcze wyżej wąziutką klatką schodową do pokoju, gdzie sufit i ściany były z krokwi. Nigdy nie wspinał się tak wysoko w środku budynku. W Farzibek była jedna jedyna tak wysoka stodoła, ale nie mógł do niej wchodzić. I tak kiedyś tam poszedł z kilkoma braćmi, ale nie pozwolili mu wejść po drabinie, zresztą i tak sam nie chciał. Nie dlatego, że miał lęk wysokości - na dworze mógł się wspierać

tak wysoko, jak chciał. Ale kiedy wchodził po schodach, czuł się tak, jakby wspinał się w powietrzu, zostawiając daleko w dole stały grunt.

Dzieliły go trzy piętra od ziemi, każde bardziej chybotliwe od poprzedniego. Miał wrażenie jakby dom chwiały się cały. Było to okropne uczucie.

- Mamy spać tutaj?

- Duma daje znać o sobie? - zapytała uszczypliwie.

- Raczej strach - odparł. - Jak to się w ogóle trzyma?

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- Na ścianach domu, na podłogach. - Dotknęła jednej z ciężkich krokwi. - I na wielkich dźwigarach z ciężkiego drewna.

- Drży cały.

- Wcale nie - odparła, jakby właśnie o coś ją próbował oskarżyć.

Starał się dojść jakichś racjonalnych podstaw swego niezadowolenia.

- Może paść. Może się spalić. Chcę spać na zewnątrz, na kamiennych płytach na dziedzińcu.

- Chcesz zawstydzić naszego pana, żeby ludzie mówili, że nie ma izb dla całej służby?

- A kto się dowie? - zapytał Ruczaj.

Najwyraźniej na to nie miała odpowiedzi, więc tylko się na niego gapiła.

- Załatw to z Demworem. Ja cię zabrałam tam, gdzie cię miałam zabrać.

Ruszyła ku schodom.

Ruczaj nie mógł znieść, że jest na niego taka zła.

- Proszę cię, Skowronku - zaczął. - Jeśli poproszę go, bym mógł spać na dziedzińcu...

Odpowiedziała mu pogardliwie, zanim dokończył pytanie.

- Jak myślisz, co się stanie ze sługą, który sprawia kłopoty już pierwszego dnia?

Ponieważ nigdy nie pracował dla obcych za pieniądze, nie znał lęku przed utratą pracy. Mógł się obawiać dwóch, trzech kuksańców - znał je, bo mieszkał z ojcem, ale mógł się z tym łatwo pogodzić. Nie mógł jednak pozwolić sobie na utratę tej pracy.

Nie wiedział nawet, czy to jest dobre miejsce, czy dobra posada - pewnie były powody, dla których w tym domu ciągle brakowało służby i musieli co i rusz zatrudniać przybyszów z gór. To była jego sprawa, że obawiał się spać trzy piętra nad ziemią. Inni ludzie spali. Będzie musiał skończyć z tym górskim chłopakiem i zacząć uczyć się żyć w mieście.

Kiedy dotarło do niego to wszystko, wyraz twarzy Skowronka emanował taką pogardą wobec niego, że bolało tak jak policzek.

- I kto tu teraz robi hardą minę? - zapytał ją.

Odwróciła od niego gwałtownie głowę i zeszła po schodach. Słyszał delikatne szuranie jej bosych stóp po drewnie. Nie podobał mu się ten dźwięk. Przyprawiał go o dreszcze. Stopy zostały stworzone do chodzenia po ziemi czy trawie, zaschniętym błocie albo po skale, a nie po rozkawałkowanych drzewach ułożonych na boku. To było nienaturalne.

Obrzucił wzrokiem wypchany trawą siennik, który najwyraźniej miał służyć mu za postanie. Nawet w skąnym świetle wpadającym przez szczeliny w dachówkach widział, jak

skaczą po nim pchły. Nie miał nic przeciwko pchłom, po prostu nie był sobie w stanie wyobrazić, jak przeżyły bez osoby, która spałaby na tym gorącym poddaszu.

I nagle wszystko stało się jasne. Ktoś jednak mieszkał tu ostatnio. To były jego osierocone pchły. Gdyby wszystko się wydarzyło nieco później lub wcześniej, nie dostałby tej pracy.

Zastanawiał się, dlaczego zwolniono jego poprzednika. Bo poprosił, żeby mógł spać na ziemi? Albo starał się poznać magię? A może lekceważąco się wyrażał o czystości Skowronka? Zdaniem Ruczaja każde z tych przewinień mogło się źle skończyć.

Ponieważ na dworze wciąż był środek dnia, a on nie miał niczego w ustach od wczoraj, podobnie jak wszyscy pozostali, jak można było wnosić po zapachach dobiegających z kuchni znajdującej się gdzieś w okolicy, postanowił jednak nie kłaść się od razu spać, choć był wystarczająco zmęczony. Jeśli miał się tu zadomowić, musiał pokazać, jak ciężko potrafi pracować - była to chyba jedyna rzecz, która była w stanie uśmierzyć ojcowski gniew, więc postanowił spróbować jej tutaj.

Problem w tym, że nie miał pojęcia, jakie miał obowiązki. Nie chciał też nikomu zawracać tym głowy. Ale jeśli nie zapyta, to...

Nie było sensu dłużej się zastanawiać. Skierował się ku schodom i postawił stopę na drugim stopniu od góry, poczuł, jak drży pod nim, i od razu zakręciło mu się w głowie jak po zabawie z dzieciństwa, kiedy okręcało się delikwenta z tuzin razy, aż któryś zwymiotował.

Usiadł na górnym stopniu. Nie było barierki. Wspinanie się po tych schodach było dość proste - musiał tylko utkwic wzrok w Skowronku przed sobą. Był to na tyle zajmujący widok, że nie zdawał sobie sprawy ze spadku po obu stronach schodów. Teraz jednak z braku towarzystwa, poręczy czy też czegoś, co było w stanie przykuć jego uwagę, jedynym sposobem na zejście z tych schodów było siadanie na kolejnym, spuszczenie nóg i ześlizgiwanie się na poślankach niżej.

Pozostałe schody były o wiele łatwiejsze do przejścia, bo z jednej czy drugiej strony była ściana, a także poręcz. Ale dom nie przestawał się chybotać i Ruczaj bezpiecznie poczuł się dopiero na parterze.

Wiedział, że to było głupie, ponieważ pod podłogą znajdowała się jeszcze piwnica, więc nawet na parterze miał coś pod spodem. Ale znalezienie się na poziomie ziemi było wystarczającym pocieszeniem. Może dlatego, że dźwigary podłogi opierały się na kamiennych fundamentach, zamiast na drewnianych ścianach.

Gdzie powinien się dowiedzieć, jaką pracę ma wykonywać? Bez pytania Skowronka czy zawracania głowy Demworowi? Nietrudno było zgadnąć, że nie należało też wypytywać o to mistrza Brickela.

Skończyło się na tym, że wiedziony nosem odszukał kuchnię, kamienny budynek za głównym domem - dostatecznie oddalony, by, gdyby wybuchł tu pożar, dom nie ucierpiał, ale na tyle blisko, że posiłki wciąż były podawane gorące, nawet po przeniesieniu ich w chłodny dzień.

Kucharz okazał się być kucharzami: wysokim, szczupłym, czarnym mężczyzną i pokaźną kobietą ze skośnymi oczami. Kiedy zbliżał się do kuchni, Ruczaj usłyszał, że on

nazywa ją Kwaśną Studnią - co było wodnym imieniem - a ona zwraca się do niego per Nikwiz, którego to słowa Ruczaj nie znał i które znaczyło dla niego nie więcej niż imię Demwor. Mówili dość cicho i kiedy Ruczaj wszedł do rozpalonego pomieszczenia - tak rozpalonego, że stwierdził, iż piec nie jest potrzebny - zignorowali go, zajęci rozmową.

- No to siup.
- Nie przesadź z tą solą.
- Skosztuj, a się przekonasz.
- Stare.
- Ale jadalne.
- Doskonale.

Gdyby Ruczaj nie obserwował wykonywanych przez nich czynności, ta wymiana zdań nawet nie przypominałaby zwykłej rozmowy, ale widział, że po „no to siup” ona podała mu coś, co przypominało wielką łyżkę z dziurami na dnie, więc kiedy potrząsnął nią nad parującym garnkiem, wypadły z niej jakieś białe grudki. „Nie przesadź z tą solą” padło po tym, jak zrobił drugie podejście z solniczką. Po „skosztuj, a się przekonasz” Kwaśna Studnia włożyła palec do garnka Nikwiza, kiedy on zajmował się czymś innym, pokiwała z uznaniem głową, a on zrobił jeszcze trzecie podejście z solniczką.

„Stare”, powiedziała, gdy wzięła dwie rzepy i obrzuciła je sceptycznym spojrzeniem. On nawet nie zerknął na nie - był zajęty szatkowaniem cebuli - ale pewnie sam kupował te rzepy, bo jego „ale jadalne” brzmiało bardzo autorytatywnie. Wtedy ona już stała przy piecu i wyciągała długą tacę z dwoma bochenkami - „doskonale” było skwitowaniem jakości chleba.

Żadne z nich nie dało po sobie poznać, że zauważyło wejście Ruczaja, ale kiedy Nikwiz wrzucił poszatowaną cebulę na gorącą patelnię, by ją przyrumienić na skwierczącym tłuszczu, ostrzegł go:

- Jeśli przyszedłeś tu błagać o jakieś ochłapy, to odejdz w pokoju. Jeśliś przyszedł coś ukraść, to obiecuję ci czerwonkę.

- Właśnie zostałem przyjęty i przyszedłem zapytać, czy nie macie dla mnie jakiejś roboty - powiedział Ruczaj. - Na imię mam Ruczaj.

- Potrafisz gotować? - zapytała Kwaśna Studnia.

- Każdy potrafi gotować - stwierdził Nikwiz. - Wystarczy wskoczyć do pieca.

Dopiero po chwili Ruczaj zorientował się, że to był żart - Kwaśna Studnia nawet się nie uśmiechnęła, ale mimo to Ruczaj widział, jak oboje z Nikwizem aż trzęśli się z radości po tej uwadze.

- Moja mama nigdy mi nie pozwalała nawet zbliżyć się do pieca. Ani do noży. A moje siostry...

- Fascynujące - stwierdziła Kwaśna Studnia tonem, który zdradzał coś wręcz przeciwnego.

- Wsadź sowę na dach - nakazał Nikwiz - żeby odstraszała ptaki i myszy.

I obydwójce wrócili do gotowania.

Mam złapać sowę? Czy jest tu jakaś oswojona?

- Na dworze - podpowiedziała Kwaśna Studnia. - Strąciła ją ostatnia burza.

Wyszedł na zewnątrz i obszedł niemal cały budynek kuchenny dookoła, zanim znalazł kamienną rzeźbę sowy opartą o ścianę. Była bardzo zmyślnie wykonana oraz pomalowana farbą, żeby robiła na ptakach i myszach odpowiednie wrażenie, choć Ruczaj miał poważne wątpliwości, czy te zwierzęta są aż takie głupie.

Sowa była też bardzo ciężka. Od razu uświadomił sobie, że spodziewali się, że jest za mały, żeby sobie poradzić z tym zadaniem.

Ale tylne ściany kuchni były całe wykonane z kamienia, łącznie z daszkami, między którymi słoma z dachu leżała jak siano w żłobie. Sowa pewnie stała na szczycie kamiennego daszku - i teraz, kiedy się rozejrzył, zobaczył drugą taką samą sowę po drugiej stronie dachu kuchni.

Ruczaj namęczył się strasznie, opierając kamiennego ptaka o ramię i wspinając się jedną ręką na ścianę, ale bosa stopy bardzo mu pomogły w tym karkołomnym zadaniu i po dwóch minutach sowa stała na swoim miejscu, stercząc złowieszczo nad kuchnią.

Wrócił do środka.

- Co dalej? - zapytał.

- Nie prosiliśmy cię, żebyś znalazł sowę - stwierdziła Kwaśna Studnia. - Chcemy, żebyś ją wciągnął na dach.

- No i wciągnąłem - odparł Ruczaj. - Co dalej?

Kwaśna Studnia wyszła na zewnątrz, jakby wykonywała jakąś rutynową kuchenną czynność, po chwili wróciła i znów zajęła się gotowaniem. Idealnie łagodnym głosem stwierdziła:

- No niech mi się zupa wygotuje, ten chłopak umie latać.

- Ale zostawił na zewnątrz drabinę i zaraz zgnije na deszczu - stwierdził Nikwiz.

- Jaką drabinę? - zapytał Ruczaj.

Wreszcie skończył się ten ich posuwisty płas kulinarny, bo obydwójce wpatrywali się przez chwilę w Ruczaja, a potem spojrzeli po sobie.

- Często tłuczysz jajka? - zapytał Nikwiz.

- Rozlewasz różne rzeczy? - zapytała Kwaśna Studnia.

- Nie częściej niż większość ludzi - odparł Ruczaj. - Nie jestem nieuważny, ale nie jestem też ideałem.

- My chcemy mieć ideał - odparł Nikwiz, wyraźnie zawiedziony.

- Najlepiej wykonuję prace, do których potrzebny jest ktoś odrobinę mniej idealny od ideału - zadeklarował Ruczaj.

- Masz - powiedziała Kwaśna Studnia, ciskając nóż na kamień do ostrzenia, i wskazała na stertę papryczek. - Nie potnij się tylko.

Przez kolejną godzinę Ruczaj siekał i mielił papryczki oraz cebule na wygładzonych granitowych płytach. Bardzo szybko się przekonał, że nie należy trzeć oczu. Napłakał się i nakichał za wszystkie czasy. Płonęły mu oczy. Był użyteczny. Zarabiał na swoje utrzymanie.

Po godzinie wykopali go z kuchni, polecając, by umył ręce trzy razy mydłem, zanim umyje nimi twarz - również mydłem - by oczyścić pozostałości po ostatniej cebuli i ostatniej papryczce z twarzy.

- Szoruj - poleciła Kwaśna Studnia.

- Mocno - dodał Nikwiz.

- Nigdy nie ma w pobliżu mydlanego maga, jak jest potrzebny - skwitowała Kwaśna Studnia.

- Nigdy nie słyszałem o mydlanych magach - zdziwił się Ruczaj.

- Ja też nie - odparł Nikwiz. - A teraz do mycia.

Odnalazł zlew przy budynku kuchni, oczywiście zrobiony z kamienia. Przechylił mały zbiornik i napełnił zlew wodą, po czym nasmarował dłonie jednym z ogryzków twardego mydła. Szorował twarz, szczególną uwagę poświęcając zamkniętym oczom, kiedy usłyszał głosy.

- Wygląda nieszczęśliwie - stwierdził starzec.

- Bo jest nieszczęśliwy - odparł Demwor. - Ale znalazł sobie zajęcie w kuchni bez pytania i poganiania.

- Skóra i kości - zauważył starzec. - I co on takiego ma na sobie?

- Ostatni krzyk mody z górskich wiosek - wyjaśnił Demwor.

Demwor zapewne rozmawiał z samym panem Brickelem i Ruczaj chciał go zobaczyć, ale nie był w stanie tego zrobić, dopóki nie słucał bardzo dokładnie twarzy z mydła. Kiedy mógł już się wytrzeć koszulą i odwrócić, dostrzegł tylko, jak znikają w domu.

Podczas kolacji nie zobaczył go także. Pan Brickel jadł z gośćmi w jadalni, Ruczaj jadł przy wielkim stole z innymi sługami, których już wszystkich widział wcześniej. Byli tam Demwor, Nikwiz i Kwaśna Studnia, zatopieni w trójkę w niekończącej się konwersacji o sprawach tego domu oraz zajęci plotkowaniem o sąsiadach, oraz Odptyw głupek spod bramy. Odptyw nie mówił nic i tyle samo mniej więcej mówił Ruczaj.

Skowronek podawała dziś do stołu, więc krzątała się stale przy kuchni i, jak można się domyślać, nie odezwała się ani słowem do Ruczaja.

- Macie zamiar kupić nowemu jakieś przyzwoite ubranie? - zapytała Kwaśna Studnia.

- Nie pomyślałem o tym - odparł Demwor. - Nie chodzi goły. Nie będzie załatwiał żadnych spraw w mieście.

- Będzie musiał coś wrzucić na grzbiet, kiedy ona będzie prała jego ubranie - zauważyła Kwaśna Studnia.

Wspomniana „ona” to najpewniej Skowronek. Ruczaj był pewien, że Skowronek aż pali się do tego zadania.

- Sam mogę sobie uprać - stwierdził Ruczaj. - Jak mi pokażecie gdzie.

- To mówi - zauważył Nikwiz.

- Z pełną buzią - dodała Kwaśna Studnia.

Nie uśmiechali się i nikt się nie zaśmiał, ale Ruczaj wiedział, że się z nim drażnią i to po koleżeńsku. Dobrze tu było.

- Jutro zabierzecie go ze sobą na targ - nakazał Demwor - i kupicie mu coś, co będzie na niego pasować. Potrączę mu z poborów. Jeśli ucieknie, zabierając nowy strój, zanim na niego zarobi, potrączę z waszych poborów.

- Tylko spróbuj - zagroził Nikwiz.

- W końcu przygotowujemy każdy kęs waszej stawy - dodała Kwaśna Studnia.
- Co to ma być za domostwo? - Demwor załamał ręce. - Dwoje kucharzy, jedna wyszczekana panna, górski chłopiec-roztropek i rozradowany głupek.

- Zapomniałeś o Odptywie - wtrącił Nikwiz.

Ruczaj dopiero po chwili zrozumiał i wybuchnął głośnym śmiechem.

Demwor obrzucił go groźnym spojrzeniem.

- Niech ci nie przyjdzie, chłopcze, do głowy, że ty możesz się do mnie zwracać bez należytego szacunku, tylko dlatego, że daruję kucharzom.

- Wcale nie, proszę pana - odparł Ruczaj.

- I dzisiaj jeszcze wykąpiesz się cały i wypierzesz sobie ubranie. Mydłem! Bo nam tu zaraz zapchlisz cały dom.

Co tłumaczyło, dlaczego Skowronek nosiła takie czyste ubranie. Polecenie Demwora.

- Gdzie mam je wyprać? - zapytał Ruczaj. - Bo nie widziałem nigdzie żadnego strumienia.

- Umywalka znajduje się w zachodniej części ogrodu - powiedział Nikwiz.

- Trzeba sobie przynieść wody - dodała Kwaśna Studnia.

- Jest tam piec do podgrzewania wody - wtrącił Demwor - ale jak pęknie ci od żaru dzban albo jak postawisz zimny dzban na gorącym piecu, to ci potrącę.

Ruczaj nie miał pojęcia, o co chodzi z tym potrącaniem, ale był pewien, że jest to coś, czego należy unikać, zarówno w odniesieniu do osoby, jak i do zarobków. Ale nie martwił się. Nigdy w życiu nie słyszał o podgrzewaniu wody do prania ubrań. I tylko ojciec kąpał się w ciepłej wodzie w domu, do tego tylko zimą.

Po kolacji odszukał balię, obliczył, ile mniej więcej wody będzie potrzebował, by uprać i wypłukać odzienie oraz siebie przy okazji, po czym przyniósł wielki dzban wody ze zbiornika. Zdjął ubranie i włożył je do wody, po czym namydlił na tarze.

- Ty wstrętny chłopaku! - usłyszał za plecami krzyk Skowronka. Pełen obrzydzenia.

- Jeszcze się nie wykąpałem - odparł.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteś czysty czy brudny, ty głupku. Jesteś nagi.

- Wybacz mi, nie pomyślałem, że można wyprać odzienie na sobie - odparł Ruczaj.

- Czy w Farzibek zawsze pierzecie ubrania na golasa? - zapytała szyderczo.

- Tak - odrzekł. - Albo pierzemy nago, albo siedzimy jak bobasy i czekamy, aż nam ktoś wypierze. Tylko że w Farzibek dziewczęta mają tyle rozsądku, że trzymają się wtedy od chłopców z daleka, a nas, chłopaków, mogłaby spotkać gwałtowna śmierć, gdybyśmy zaskoczyli dziewczęta w takiej sytuacji, w jakiej ty zaskoczyłaś mnie.

Nie było to do końca prawdą. Kiedy chłopcy zmieniali się w mężczyzn, zatrzymywali przepaski biodrowe na sobie. Ale Ruczaj nie zaczął jeszcze takiej nosić.

- Mam pranie do zrobienia - stwierdziła Skowronek. - Dla pana.

- To możesz albo zaczekać, albo zrobisz to z zamkniętymi oczami, bo nie odejdę stąd, dopóki moje ubranie i ja sam nie będziemy czysti.

- A suszenie! Wieki potrwa, zanim wyschniesz!

- Suszenie? - zdziwił się Ruczaj. - Przecież najlepiej wyschną na mnie.

- Nie mam zamiaru kłaść się późno z tego powodu, że trafiłam na wiekopomną chwilę, w której odkryłeś zalety czystości.

- Demwor kazał mi wyprać ubranie i umyć chłopca - stwierdził Ruczaj. - A jestem taki brudny, bo długom szedł przez góry i lasy, i spałem w liściach na ściółce. Następnym razem będę pamiętał, żeby mnie ktoś zaniósł w lektycie, albo zawiózł w karecie.

Postawiła kosz pełen białej tkaniny.

- Mistrz pewnie cały czas ubiera się na biało - powiedział Ruczaj.

- To jego bielizna, chłopaku z gór - rzuciła z pogardą. - Najwyraźniej nigdy o czymś takim nie słyszałeś.

W istocie, dziwny był to świat, żeby mężczyzna nosił bieliznę jak dziecko - i to do tego cały kosz.

Skowronek wylała resztę jego wody z dzbana do balii i wrzuciła do niej kawałek mydła. Następnie zabrała tarę po jego stronie i zaczęła szorować tkaninę.

- Chyba moje ubranie jest dostatecznie czyste - stwierdził Ruczaj, wstając.

- Nie wstawaj! - wykrzyknęła. - Nie masz w sobie krzty przyzwoitości?

- Właśnie wylałaś mi wodę do splukania - powiedział Ruczaj. - Muszę jeszcze przynieść.

- Przede wszystkim powinieneś być jej przynieść więcej - zawyrokowała.

- Przyniosłem wystarczająco dużo wody do ciała i do ubrań, do mycia i splukiwania - powiedział. - Ale ty nie przyniosłaś wcale. - Wziął pusty dzban i ruszył z powrotem przez ogród na dziedziniec, gdzie stał zbiornik.

Dzban był wypełniony już niemal do połowy, kiedy nakrył go Demwor.

- W tym domu nosimy odzienie - rzucił ostro.

Ruczaj rozważał dwie możliwe odpowiedzi. Po „Ja nie jestem w tym domu” dostałby po gębie i wykopano by go z posady. „Kazał mi pan uprać ubranie, wiedząc, że nie mam drugiego na zmianę”, zaowocowałyby mniej więcej tym samym. Zatem powiedział tylko:

- Muszę nabrać jeszcze trochę wody, żeby Skowronek mogła dokończyć pranie.

- A więc paradujesz na golasa przed Skowronkiem? - Twarz Demwora wykrzywiła się z wściekłości.

Nie mógł pozostawić tego bez odpowiedzi.

- Siedziałem goły sam w balii! To ona postanowiła robić teraz pranie i zużyła całą wodę, którą przyniosłem. Muszę więc jej trochę nabrać, żeby splukać pranie, bo nawet dla pana nie włożę namydlonego ubrania!

Demwor najpierw zdenerwował się jeszcze bardziej, ale po chwili się uspokoił.

- Mogłeś przynajmniej zostawić sobie bieliznę i zdjąć ją, kiedy ubranie będzie już czyste.

Ruczaj westchnął tylko.

- Nie masz bielizny? - Teraz Demwor wyraźnie się ubawił.

- Nie jestem dzieckiem - odparł Ruczaj.

Najwyraźniej było to najzabawniejsze zdanie z całej rozmowy, ale po jednorazowym wybuchu śmiechu Demwor wrócił do potajanek.

- Nie robimy prania na filtrowanej wodzie.

Pokazał Ruczajowi kran, który czerpał wodę wprost ze zbiornika, by nie przechodziła przez porowaty kamień. Leciąca znacznie większym strumieniem i dzban napełnił się szybko.

- On jest goły! - wykrzyknął radośnie Odptyw, kiedy Demwor mijał go w drodze do domu.

I tak Ruczaj dowiedział się czegoś jeszcze - ludzie wariują, jak widzą kogoś bez ubrania. W wiosce odzienie nosiło się dla ochrony przed chłodem. Jedynie dziewczęta dbające o obyczajność nosiły je z innych powodów, ale i to też tylko wtedy, kiedy zbliżały się do odpowiedniego wieku. Latem mężczyźni często pracowali nago w polu. Tak wyglądało u nich życie - w gorący dzień mężczyzna zdejmował odzienie tak samo, jak się strzygło wtedy owce. Co oni wyprawiali tu w tym mieście? Pocili się w swoich ubraniach, żeby śmierdzieć? Nic dziwnego, że musieli się ciągle myć.

Zaniósł pełen dzban z powrotem do pralni. Skowronek wciąż szorowała płótno. Wylał całą wodę z balii na kamienne płyty. Skoczyła na równe nogi z dzikim okrzykiem i zaczęła zbierać bieliznę z kamieni.

- Teraz będę musiała je prać od nowa, ty głupcze! Ty niezdaro!

- Bez słowa zabrałaś mi wodę i tarę - powiedział Ruczaj. - Myślałem, że takie są u was obyczaje.

- Piorę bieliznę pana!

- A ja robię pranie, które kazał mi zrobić Demwor - odrzekł. - To ty postanowiłaś być wredna. Jak chcesz ze mną żyć w zgodzie, traktuj mnie uczciwie. Ja tylko zrobiłem to samo, co ty poprzednio. Ale teraz wypłuczę swoje ubranie. I umyję, i spłuczę siebie. Potem rób, co chcesz.

Dopiero wtedy zauważył, że już wyjęła jego ubranie z balii i rzuciła je nie na czyste kamienie, ale prosto na ziemię. Spostrzegła, na co patrzy, i zaczerwieniła się. Tylko tego potrzebował - wiedział, że jest jej przykro, że przysporzyła mu pracy.

- Dziękuję ci, że pomogłaś mi dostać tę pracę - powiedział. - Nawet jeśli będziesz mnie karać przez resztę mojego życia za jedno nieopatrne słowo, które mi się wysnęło, i za to, że piorę tak, jak się pierze w górach, to wciąż będę ci dziękować za to, że pomogłaś mi tutaj się dostać. Jestem twoim dłużnikiem i już więcej nie wyleję ci wody ani nie zrobię niczego podobnego. Przepraszam cię za to. To nie było w porządku.

Mówiąc to, poszedł po swoje ubranie i wrzucił je ponownie do balii. Skowronek wlewała wodę z zaciśniętymi ustami i spuszczonego wzrokiem. Włożył ubranie do balii i przyklął, by znów je uprać. Ale ona sięgnęła po tarę i sama zaczęła szorować jego odzienie.

- Ja to zrobię - powiedział.

Ale zignorowała go i szorowała dalej.

- Nie chcę, żebyś mi usługiwała - powiedział.

- Stań za czymś, dopóki nie wypiorę ci ubrania - rzuciła z irytacją. - Przynajmniej udawaj, żeś przyzwoity.

Postłuchał jej i oparł się o kamienny mur w ogrodzie przy drzewie, które oddzielało go od niej. Zastanawiał się, czy nie wspiąć się na mur, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie,

ale stwierdził, że wspinanie się po murze na golasa nie licowało z duchem przyzwoitości, którą miała na myśli. Słyszał, jak wykręca jego mokre ubranie i strzepuje wodę na kamienne płyty.

Po chwili przyniosła mu portki i tunikę, wciąż odwracając wzrok, i podała mu je. Wziął koszulę i naciągnął ją przez głowę.

- Teraz jestem zasłonięty - oznajmił.

- Weź też spodnie - powiedziała.

Wziął je, ale nie związał ich rzemieniem, doskonale się trzymały na mokro, poza tym związanie wilgotnych portek nie wróżyło nic dobrego, bo potem nie mógłby ich ściągnąć. Kiedy tylko się ubrał, znów stanął przy balii.

- Idź sobie - rzuciła.

- Skowronku - zaczął. - Nie proszę cię, żebyś się ze mną zaprzyjaźniła. Pomogę ci tylko w twojej pracy, to pójdzie szybciej, a w końcu to przeze mnie jesteś spóźniona.

- Sama wykonuję swoją pracę.

- Mógłbym wykręcać - zachęcił ją Ruczaj. - Wylewać wodę, nawet jeśli nie pozwalasz mi szorować.

W odpowiedzi podała mu parę kalesonów do wykręcania. Wykręcił i powiesił tam, gdzie mu kazała, na jednym z kilku sznurków rozpiętych między pniami drzew.

Kiedy większość bielizny już zawisła, w końcu odezwała się do niego:

- Wiesz, że marnowałeś tylko czas, ustawiając z powrotem tę głupią sowę na dachu kuchni?

- Źle coś zrobiłem?

- Myszy mieszkają w kuchni i nigdy nie oglądają tej sowy - odparła. - A żaden ptak tu nie przylatuje.

- Czy to nie znaczy, że sowa jednak straszy?

- Znaczy to tylko, że żadne ptaki nie przelatują przez ten mur, bez względu na to, czy jest sowa czy jej nie ma.

- Ale dlaczego?

- Bo oczekują ode mnie, że będę się nimi zajmować i je karmić, a ja nie mogę - odparła. - Więc poprosiłam je, żeby nie przylatywały. - Spojrzała na niego wyzywająco.

Skinął poważnie głową.

- W takim razie jesteś przyjaciółką ptaków.

- Nie jestem żadnym magiem - powiedziała. - Po prostu znajduję z ptakami wspólny język.

- Przyjaciółka ptaków - stwierdził - ale nikomu nie powiem.

- To jeden z powodów, dla których tak trudno im znaleźć kogoś do pracy. Nikt nie chce przyznać, że nie ma w sobie magii, nawet odrobiny. Pierwsze, co ludzie robią, to się popisują, a jak nie mają co pokazać, to się przynajmniej przechwalają. Pomimo że ptasia magia nie ma nic wspólnego z kamieniem i ptasim magom pozwala się wchodzić do Mitherhome. Nie ma to większego sensu i nie zrobiłoby żadnej krzywdy nikomu, ale Demwor nie będzie trzymał żadnego maga w tym domostwie.

- Ze strachu, że mogliby nauczyć się magii kamienia?

- Wszystko z powodu wielkiej wojny - zaczęła. - Kiedy przybyli woje Veryllyddu, żeby siłą zmusić Mitherhome do ponownego przyjęcia zwierzchnictwa Yllyddu, a wodni magowie odmówili, bo kiedy Yllydd było wielkim imperium, to rządzi nim Mydderllyddzi, a Veryllyddzi byli ich poddanymi.

Ruczaj widział wyraźnie, że była to opowieść długo przechowywana w ludzkiej pamięci, szczególnie po tym, jak wymawiała „I” w słowie „Yllydd” na starą modłę, wydając syknięcie spod boków języka, ułożonego do wypowiedzenia „II”. Był to język opowieści. Miał jednak nadzieję, że ta nie potrwa za długo. Był bardzo zmęczony. Poza tym, opiewszy się mocno przy kolacji, musiał zrobić siusiu.

- Armie Veryllyddów miały magów światła i magów metalu, gdyż w tamtych czasach mieszkańcy Mitherhome używali w bitwie wyłącznie mieczy z obsydianu. I tak pewnego dnia krew świętego lasu zmieszała się z krwią bohaterów. A nocą jasność tuneli magów światła robiła z nocy dzień, żeby mogli robić podkopy pod potężne zachodnie fortyfikacje Mitherhome.

Ruczaj poczuł chłód, kiedy uświadomił sobie, że to właśnie dlatego tak wyglądały mury, które widział, kiedy zbliżał się do miasta od zachodniej strony. Krew bohaterów: dlatego zachodni las był święty i nikt tam niczego nie budował.

- Starszyzna miasta wiedziała, że zachodnie podejście jest wielką słabością obrońców, więc postawili drugi mur u podnóża Mitherjut. Ten również podkopali Veryllyddzi i los narodu Mither był aż nadto wiadomy. I tu pojawili się magowie kamienia Mitherhome, którzy niegdyś władali całym Mydderllyddem, zanim długo później podbili ich wodni ludzie. „Nie chcemy, żeby rządzi nami Veryllyddzi - oświadczyli. - Możemy ich powstrzymać - my, bracia skał i przyjaciele gładów, dokonamy tego. Następnie kamienni magowie poszli na szczyt Mitherjut, gdzie niegdyś stała ich prastara świątynia. Obnażyli starą skałę z roślin i położyli się nago na kamieniach. Potem przy wtórze śpiewu przyjaciół gładów bracia skał zapadli się w kamień. Najpierw wyłoniła się ze skały świątynia, nowa i nietknięta, nie zrobiona z pojedynczych kamieni, jak świątynie wszystkich innych nacji, lecz z żywego kamienia, który wznosił się, aż przyjaciele gładów i bracia skał byli całkowicie w niej skryci, w świątyni bez drzwi czy okien w jej kopule. Otaczał ich teraz kamień, jakby byli ojcami kamieni, którzy potrafią przechodzić przez żyjącą skałę. Saperzy Veryllyddów podpalili lonty w tunelach i zadrzały mury wewnętrzne, a całe miasto zaczęło walić się w gruzy. Ale oto z jego upadkiem w ziemi pojawiła się olbrzymia rozpadlina, biegnąca od Mitherlough do rzeki poniżej, rozdzielając armię Veryllyddów na połowę. Wielu wpadło do tej szczeliny, tak jak wszyscy magowie światła, kiedy w rozpadlinę wdarła się woda z jeziora, tworząc nowy kanał, Rozpadlinę Magów Kamienia, która runęła w toń rzeki, tworząc z Mitherhome miasto na wyspie, otoczone całkowicie wodą. Nie trzeba było żadnych murów obronnych! Część armii Veryllyddów po tej stronie została odepchnięta i wrzucona w rozpadlinę, armia po drugiej stronie płakała, krzyczała i błagała o litość, bo grunt pod ich nogami tak się trząsł, że nikt nie mógł ustać na nogach. Z jednej strony Rozpadliny Magów Kamienia na drugą przerzucił się wielki kamienny most i armia Mydderllyddu przeszła na drugą stronę, by siać zniszczenie i

pożogę wśród tych, którzy chcieli ich zniszczyć. Teraz natchniony duchem magów kamienia lud Mydder ciął swymi kamiennymi mieczami brązowe ostrza potężnych Veryllyddów jak masło, a ich posoka płynęła wartkim nurtem, aż padło dziesięć razy tyle Veryllyddów, ile wysiekli oni sami wcześniej. Tak wielu było poległych między rozbitymi murami zewnętrznymi i rozpadliną, że szło się tamtędy ani razu nie stając na ziemi.

Przerwała i spuściła głowę z namaszczeniem wędrownego bazarza. Bo za taką opowieść wędrowiec mógł dostać posiłek i dach nad głową - zbyt się wczuła w rolę.

- Szedłem tamtędy nie dalej jak wczoraj, spałem tam i obudziłem się w lesie - odrzekł Ruczaj nabożnym tonem.

Popatrzyła na niego rozwartymi szeroko oczami.

- Tam, gdzie leżały ciała?

- Przykryłem się ziemią z liśćmi - odparł. - Nie widziałem żadnych ciał. Ale słuchaj, Skowronek, skoro magowie kamienia ocalili miasto, to czemu zostali wygnani? Dlaczego nie powitano ich jak braci?

- To jest smutna część tej opowieści - odparła Skowronek. - Nie lubię jej słuchać, ale znam ją, a ty musisz poznać zakończenie.

- Proszę.

- Władcy miasta poszli nad wielką rozpadliną i zobaczyli, że prąd wody utworzył małe jezioro, a potem wpadał do rzeki poniżej, więc powiedzieli: „Ten nowy odpływ wysuszy nasze jezioro i umniejszony Yeggut nie będzie nam już błogosławił”. Stało się tak, że magowie kamienia przewidzieli to i wznieśli kamienną zaporę po drugiej stronie, by nie dopuścić do obniżenia się tafli jeziora. Magowie wody wiedzieli o tym, bo tak im powiedziała woda, ale obawiali się mocy magów kamienia zdolnych ukraść im ich wodę. „Dziś okazali się naszymi przyjaciółmi - stwierdzili wodni magowie - ale co będzie jutro, kiedy przypomną sobie, że Mitherhome był niegdyś Mydderstane, które wybudowane przez magów kamienia padło pod naporem później przybyłych magów wody? Powiedzą: Mamy do niego większe prawa, i zniszczą nas tak, jak zniszczyli Veryllyddów”. I tak w strachu przed mocą magów kamienia władcy zgromadzili wielkie sterty drewna wokół ścian potężnej, żywej świątyni z wielkimi magami, którzy przynieśli im zwycięstwo, w środku, i podłożyli ogień, który tak rozgrzał świątynię, że kamień zaczął świecić na czerwono. Nikt w świątyni nie mógł przeżyć. Ogień płonął przez dwa dni, po czym zgasł, ale pomimo to przez pięć kolejnych dni nikt nie był w stanie dotknąć rozgrzanego kamienia. Kiedy kamień w końcu ostygł, władcy miasta odłupali kopułę świątyni i w środku znaleźli popioły ułożone w kształt sylwetek magów - nawet kości spaliły się na popiół. Wodni magowie nakazali wodzie trysnąć ze skały na środku świątyni i tak powstało źródło poświęcone Yeggutowi w miejsce skalnego wytworu. Świątynia rozpadła się na kawałki, a jej fragmenty usunięto i wrzucono do rozpadliny. Most z żywego kamienia rozpadł się, ponieważ mówiono, że kamienni magowie zrobili go po to, by zmienić nowy kanał w tunel otoczony żywym kamieniem. Wydano zakaz, by na wieki żaden most nie spinał dwóch brzegów rozpadliny. - Przerwała opowieść. - I tak powstało Hetterferry.

- To smutna opowieść - stwierdził Ruczaj. - Wodni magowie w tej opowieści nie zostali przedstawieni jako szlachetni mężowie, bo wymordowali tych, którzy ich ocalili.

- Dlatego nikt nie opowiada o tym w Mitherhome, jestem tego pewna - powiedziała Skowronek. - Ale opowiedziano mi ją jeszcze w...

- To stek kłamstw - wykrzyknął Demwor.

Ruczaj zakręcił się w miejscu i spojrzał na niego. Demwor był bardzo zły.

- Ona tylko opowiedziała ją tak, jak słyszała, proszę pana - bronił jej Ruczaj.

- Nie potrzebuje ciebie do obrony - rzucił Demwor. - Rozumiem teraz, dlaczego przysłała do pracy w domu maga kamienia.

- Nie, proszę pana - zaprzeczyła. - Przyszłam tu, bo tu jest dobrze i bezpiecznie. Słyszałam tę opowieść jako dziecko, to taka bajka.

- Więc posłuchajcie mnie dobrze, dzieci. Macie zakaz opowiadania jej dalej, komukolwiek. To potwarz, jaką magowie kamienia wymyślili przeciw naszemu miastu. Byli zdrajcami, taka jest prawda, kumali się z naszymi wrogami.

- No to dlaczego zrobili tę rozpadlinę, która obroniła miasto? - Ruczaj nie dawał za wygraną.

- Wcale nie zrobili! - wykrzyknął Demwor. Później dodał już ciszej: - Zawsze tu była. Ich spisek polegał na tym, żeby pogłębić ją i osuszyć jezioro i żeby wrogie wojska mogły podejść pod miasto suchą stopą. Ledwo ich zatrzymaliśmy na czas.

- Dziękuję, żeś nam wyjawiał całą prawdę, panie - rzekł Ruczaj. Cóż, wiedział doskonale, że aby uniknąć bicia, należy się od razu zgodzić z wściekającym się przeciwnikiem.

- Nigdy nie opowiemy innej wersji niż pańska. Wybacz nam, proszę, bo zachowaliśmy się jak głupie bachory z zabitej dechami wioski, gdzie w uduwnionych opowieściach rozmywa się najszczęsza prawda.

Jego matka kiedyś powiedziała, że w każdej opowieści tkwi ziarno prawdy - tyle że mówiła o plotce, jaka krążyła w wiosce, na temat tego, że pewien bóg jest sprawcą ciąży jednej kobiety z wioski, a nie podróżnik, który ściągnął ją na manowce, dając złoty owoc pełen słodkiej wody.

Demwor zerknął na twarz Ruczaja, a potem na Skowronka, szukając czegoś - być może fałszu. Ale obydwójce mieli tak potulne miny, jakie życzyłyby sobie widzieć każdy szlachcic na obliczach swych sług, i dlatego w końcu powiedział:

- Pogaduszki, a tu już dawno trzeba spać. Jutro zerwę was z łóżek tak samo wcześniej jak zwykle, rozumiano? A przecież jeszcze musicie skończyć pracę, wykręcać i wieszać odzienie pana.

- Już prawie koniec - zauważyła Skowronek. - Opowiadałam, ale wciąż jednocześnie pracowałam.

- Widziałem was z drugiego piętra i zauważyłem, że wolno pracujecie. Dlatego tu przyszedłem.

Ruczaj nie odezwał się na to, tylko się skłonił. Niemal był pewien, że dostanie parę razów od Demwora, tylko dlatego, że go rozzłościł - tak robił jego ojciec. Ruczaj nawet stanął pomiędzy Demworem i Skowronkiem, żeby to na nim zarządca mógł wyładować swoją złość, bo ciosy spadłyby tylko na Ruczaja.

Ale ciosy nie padły. Demwor odszedł, a Ruczaj i Skowronek pospiesznie dokończyli pracę przy praniu, wykręcaniu i wieszaniu. Następnie Ruczaj zaniósł wodę, która została, z powrotem do zbiornika, gdzie wlał ją od góry, aby mogła zmieszać się z wodą do filtrowania. Nic się nie mogło zmarnować - jedynie mydliny zostały wylane na kamienne płyty, a woda po płukaniu nawodniła ziemię w ogródku warzywnym.

- Hodujemy najczystsze rzodkiewki i pochrzyn - stwierdziła Skowronek, ale jej uśmiech był nieco blady.

- Nie mówmy więcej o tej twojej historii - odezwał się Ruczaj. - To złośliwe, fałszywe i straszliwe obelgi. Bo ja patrzyłem w rozpadlinę i ktoś równie złośliwy, fałszywy i obelżywy zrzucił kamienie do kanionu, żeby wyglądało, iż są tam ruiny nieistniejącego mostu, tylko po to, by ludzie myśleli, że twoja wersja opowiadania jest prawdziwa.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś skończonym idiotą, Ruczaj. Wybaczam ci, chociaż ze mnie kpisz nawet po tym, jak przysięgaliśmy.

- Nie chciałem z ciebie kpić...

Ale już jej nie było.

Ruczaj poszedł do urynału, gdzie przechowywano mocz, i oddał swój wkład w powstanie kolejnego kawałka mydła. Następnie poszedł do zbiornika i znów się napił, żeby nie obudziło go w nocy pragnienie. Ale też nie za dużo, by nie obudził go pełen pęcherz.

Głównie jednak dlatego, żeby w miarę możliwości odłożyć wchodzenie po tych schodach i spanie na szczycie tego kiwającego się, trzęsącego budynku. Wiem, jak czuli się ci Verylluddzi, kiedy grunt trząsał się pod ich stopami, a ich brązowe miecze zmieniały się w masło.

Wewnątrz domu wszystko stało w bezruchu i ciszy. Nie wiedział, gdzie spała Skowronek, ale pewnie już tam jest. Odplyw, jak wiedział, spał przy zewnętrznej bramie. Demwor mógł być jeszcze na nogach, ale nie stał na straży na dolnym piętrze.

Mogę powiedzieć, że nie chciałem nikogo obudzić, wchodząc po tych skrzypiących schodach, bo przecież wszyscy chcą spać.

Był to dość cienki plan i miał tego świadomość - ale kiedy już pojawił się w głowie, ochoczo zabrał się do wykonania. Odnalazł schody wiodące do piwnicy.

Była ciemna, nieco chmurna, bezksiężycowa noc. Nawet po jakiejś chwili jego oczy nie przywykły do ciemności na tyle, by mógł rozpoznać kształt przedmiotów.

Jednak palcami u stóp wymacał kamienne płyty podłogi z wielką łatwością. Ale coś było nie tak - kamienie drżały niemal jak deski na wyższych piętrach. Poddawały się też naciskowi jego stóp, kiedy przekładał ciężar z jednej nogi na drugą. W końcu zrozumiał, co się dzieje - były ułożone na drewnie.

Wodni magowie tak bardzo obawiali się nawet tego jednego maga kamienia, że nie tylko nasłali Demwora, by pilnował jego domu, ale również odcięli kamienie fundamentów domu od żywej skały ziemi.

Obawiali się, że nawet stąd Lord Brickel mógłby zrobić coś strasznego ze skałą, na której wybudowano miasto - czy też, konkretniej, z kanałami, przez które płynęła ich drogocenna woda.

Cóż, w końcu woda była drogocenna, pomyślał Ruczaj. Sześć godzin bez wody i pojawia się pragnienie. Ale czy kiedykolwiek potrzebowałem kamienia, by nasycić pragnienie? Gdyby człowiek miał wybierać między Tewstanem i Yeggutem, to właśnie Yeggut podtrzymywał ludzkie życie minuta po minucie i godzina po godzinie.

Ale gdyby Tewstan zapalał do człowieka nienawiścią, to gdzie ten mógłby się schronić przed jego gniewem?

Na pewno nie w tej piwnicy. Można przełożyć kamienie drewnem, odcinając je od żywej skały, ale nie mogli tego uczynić ze ścianami piwnicy, bo podtrzymywała wyższe piętra. Ściany musiały się stykać z żywą skałą, bo inaczej zawaliłby się cały budynek.

I tak samo podstawa wielkiego paleniska w izbie ogólnej piętro wyżej też musiała się stykać z żywą skałą i właśnie przy tej podstawie w piwnicy ułożył się Ruczaj, sięgając dotykiem aż do fundamentów. Tylko tutaj dom się nie trząsł. Tylko tutaj mógł dobrze wypocząć przez sen, co poczuł podobnie jak na klepisku w swojej chacie, które dzielił z całą rodziną przez całe życie.

Wczoraj w nocy spałem w lesie między rozkładającymi się ciałami bohaterów i najeźdźców. A jeszcze wcześniej z rodziną. Moja wioska jest tak blisko, niemal sąsiaduje z Mitherhome. A jednak jeśli nie liczyć żołnierzy, którzy poszli na wojnę, kto zawędrował tak daleko jak ja czy nauczył się tak wiele jak ja do tej pory?

Słyszał, jak odpowiada mu głos ojca: „Nauczyłeś? Niczego się nie nauczyłeś poza tym, jak zostać niewolnikiem w domu głupca, gdzie pomiata tobą południowiec, dziewczyna kpi z ciebie w żywe oczy, a ty nie siejesz i nie sadzisz, tylko nosisz wodę, wylewasz wodę i siekasz warzywa, by inni mogli je zjeść”.

- Zamknij się - rzucił do ojca.

Ileż to razy tak myślał, ale nie ośmielił się tego powiedzieć? Był policzkowany, popychany, bity i kopany z setką razy, albo i więcej, jakby naprawdę mówił do ojca takie rzeczy. Był najwyższy czas, by w końcu powiedzieć to, za co go karano. Mógł kłąć na ojca przez okrągły rok, a i tak jeszcze nie odpłaciłby mu za to, co był mu winien.

Kiedy układał się do snu, pomyślał o Skowronku, tak wstydlivej, a jednocześnie tak szlachetnej dziewczynie, takiej złośnicy, która jednocześnie potrafiła tak pięknie opowiadać. Rozmawiała z ptakami, ptaki jej słuchały, a jednak nie uważała się za przyjaciółkę ptaków. Cóż innego zrobiłaby prawdziwa przyjaciółka ptaków poza tym, że odganiałaby je od domu, bo nie mogła im dobrze służyć? Dziwny to świat, w którym ktoś mógłby być magiem, a jednak wyrzeka się tego całkowicie, bo nie wierzy we własną moc i tym samym w to, że nie byłby jej w stanie wykorzystać.

Pięknie być przyjacielem ptaków, bo mówi się, że magowie zwierząt mogą sobie wybrać totem, bratnią zwierzęcą duszę, która byłaby jak drugie ja. Po wybraniu totemu mogli nauczyć się wlewać swą duszę w to nowe stworzenie i patrzeć na świat jego oczami, czuć wszystko to, co ono by czuło, i słyszeć to, co by słyszało. Przyjaciel ptaków mógłby na

przykład za pomocą totemu śledzić poczynania ludzi, albo po prostu szybować nad ziemią, albo upolować zająca czy królika na obiad, jeśli byłby to ptak drapieżny. Ptasi mag nigdy nie zazna głodu.

Ale skoro Skowronek nie uważała się za maga, to nie mogła mieć też totemu i tym samym nie może ani latać, ani polować, ani śledzić, pierze tylko i odgania ptaki skuteczniej niż jakikolwiek strach na wróble.

Gdybym ja był magiem zwierząt, podróżowałbym wewnątrz swej nowej postaci co noc, kiedy moje ciało leżałoby w uśpieniu. Traktowałbym jawę jak sen, a sen jak prawdziwe życie, szybując pod chmurami, albo jako lew czy wilk przemierzałbym knieje czy stepy, wolny, silny i nieulekły.

Jednak przy moim szczęściu byłbym pewnie magiem myszy i pod tą postacią musiałbym uciekać przed wszystkimi drapieżnikami.

Spał i śnił, że jest myszką w kuchennej ścianie, która szwenda się nocą, by ukraść jakieś pożywienie.

I przez całą noc przyciskał dłoń do kamieni duszy paleniska i czuł ziemię pod spodem, wszystkie tkwiące w niej kamienie, zimne i twarde przy powierzchni ziemi, ale gorące i miękkie poniżej, aż do takich, które topniały jak miód, do przepastnego płonącego oceanu płynnej skały, tysiąc razy obszerniejszego i dziesiątki tysięcy razy cięższego niż wszystkie morza. Czuł, jakby ta właśnie magma płynęła w jego żyłach, a serce ją pompowało.

*

Nieporadności pierwszego dnia wkrótce się zatarły. Codziennie Ruczaj wstawał przed świtem i szedł do fontanny, kiedy większość gospodyń z Hetterferry jeszcze spała. Tam napełniał dzban i zanosił go do domu, wracał i napełniał go znów, i tak kilka razy - co było pracą na cały dzień. Niekiedy robił tylko dwa kursy, bo zbiornik był pełen.

Z początku Skowronek była mu za to wdzięczna, bo była to jej najcięższa praca, a ponieważ ona napełniała dzban do połowy, musiała robić sześć kursów. Ale po paru dniach i tygodniach po prostu przyjmowała to jako rzecz naturalną - tak jak Ruczaj chciał. Niech zajmie się pracami, które wymagają precyzji i zręcznych dłoni. Ruczaj nie posiadał żadnych umiejętności. Większość opanował w stopniu zadowalającym - ale przy większości prac domowych w zupełności to wystarczyło.

Potem ruszał do kuchni, bo Nikwiz i Kwaśna Studnia byli cierpliwymi nauczycielami. Wkrótce odstawił ich drogie kuchenne noże i zaczął używać kawałka obsydianu, jak wszyscy w Farzibek. Noże były wciąż tępe od płytek i trzeba je było wciąż ostrzyć, a obsydian nie tępił się i jakoś tak dobrze układał się w dłoni, lepiej niż metalowy nóż pomimo starannego owijania w skórę.

Zaprzyjaźnił się ze Skowronkiem, choć nie była to żarliwa przyjaźń. Kiedy zabierali się do czegoś, pracowali harmonijnie i nawet przekomarzali się po koleżeńsku. Ale były takie dni, w których nie widywali się w ogóle, ponieważ Skowronek pracowała głównie w domu, a Ruczaj wykonywał większość prac na świeżym powietrzu. Jedynie pranie wyganiało ją na

dwór i Ruczaj zaczął wyczekiwać dnia, w którym rozkładała się z praniem, nie dlatego, żeby jakoś szczególnie za nią tęsknił, ale ponieważ niezwykle zgrany płas kuchenny idealnie dobranej pary Nikwiza i Kwaśnej Studni wykluczał udział osób trzecich i było to dla niego najlepsze towarzystwo w domu maga kamienia.

Mniej więcej co tydzień w domu pojawiali się goście na dwa, trzy dni, po czym ruszali w swoją drogę. Wielu z nich było handlarzami i kupcami, a Lord Brickel jadał z nimi posiłki i dotrzymywał im towarzystwa na targu w Hetterferry, gdzie handlowali z tymi znad rzeki, z drugiego brzegu i z osiadłymi kupcami.

Ruczaj wkrótce zrozumiał, że Lord Brickel nie wykonywał żadnej kamieniarki ani na sprzedaż, ani w prezencie - magowie Mither płacili mu za wyłączność, więc między kolejnymi zadaniami miał czasu pod dostatkiem. Demwor zawsze musiał być czujny.

A jednak kiedy Ruczaj schodził do piwnicy podczas obiadów, jakie jego pan wydawał na cześć gości, przytulał się do duszy paleniska i wsłuchiwał się w urywki ich rozmów, ponieważ kamienie mogły przenosić dźwięki, które drewniane drzwi i podłogi skrywały przed ludzkim słuchem. Choć te rozmowy nigdy nie były zbyt wyraźne, uświadomił sobie, że prowadzono je w bardzo ostrożny sposób. Śmiech był za głośny w porównaniu z tym, co mówili, odpowiedzi w ogóle nie zgadzały się z pytaniami. W ich słowach musiało się skrywać jakieś drugie dno.

Dlaczego w domu kamiennego maga Mitherhome goście musieli rozmawiać w zawaalowany sposób? Przyszło mu do głowy, że owi kupcy i handlarze również byli czcicielami Tewstana. Może byli wśród nich także i magowie kamienia.

Ciekawość nie dawała Ruczajowi spokoju. Co oni tam mówią? A co ważniejsze: Czego nie mówią?

Gdyby tylko Demwor nie kręcił się stale po wielkiej sali. Rozmowy nigdy nie przybierały ciekawego obrotu, kiedy tam był. Nie żeby szpiegowanie Demwora było nieuzasadnione - być może magowie kamienia rzeczywiście spiskowali. Ale Demwor nigdy się o tym nie dowie, nie w sposób, w jaki się do tego zabierał. Ruczaj też przecież nigdy nie słyszał rozmowy prawdziwych magów.

Jedyna nadzieja na to opierała się na tym, by jakoś wywabić Demwora z wielkiej sali. Inaczej nigdy nie przestanie nasłuchiwać... chyba że ma pomocnika.

Ruczaj zaczął wymyślać preteksty, by znaleźć się w kuchni podczas obiadu, a później pod pozorem, że musi zanieść to czy tamto, szedł do wielkiej sali. W ten sposób mógł się przyjrzeć gościom, mimo że słyszał tu mniej, niż kiedy siedział przycupnięty w piwnicy. Stopniowo przyjmował na siebie nową rolę, aż zaczął przebywać przez cały posiłek w wielkiej sali, gdzie odbierał wiadomości do przekazania, posługiwał i odnosił brudne miski i talerze. Przez cały ten czas nie odzywał się wcale, no chyba że miał przekazać jakąś wiadomość z kuchni.

Z początku Demwor wydawał się zirytowany tą nadgorliwością, aż pewnego ranka Ruczaj przyszedł do niego i zapytał go o coś, o czym goście Lorda Brickela rozmawiali poprzedniego wieczoru. Pytając go o różne rzeczy, Ruczaj ujawnił, że zapamiętał prawie

wszystkie rozmowy - a jego pytania dotyczyły wyłącznie tych aspektów, które mogły być związane z magią kamienia.

- Możesz mnie pytać, o co tylko chcesz - powiedział Demwor.

I tak Ruczaj miał już wstęp wolny do sali - przynajmniej ze strony Demwora. Im dokładniej Ruczaj powtarzał tematy wieczornych rozmów, tym więcej dawał mu Demwor czasu sam na sam z Lordem Brickelem i jego gośćmi.

Tygodniowa moneta Ruczaja się podwoiła.

Czuł się winny tej podwójnej zdrady. Gdyż naprawdę szpiegował Lorda Brickela. Ale nie szpiegował na tyle sumiennie, jakby sobie tego Demwor życzył. Zawsze donosił Demworowi o rzeczach, które ten już słyszał. Ale nigdy nie informował go o tym, kiedy pan Brickel czy jego goście zapomnieli się i ujawnili podczas rozmowy więcej, niż zamierzali. I tak oszukiwał Demwora, biorąc za to zapłatę.

Kiedy Demwor zaczął pozwalać Ruczajowi słuchać przez cały czas, Ruczaj zauważył, że od czasu do czasu Lord Brickel przygląda mu się uważnie. Za każdym razem Ruczaj spuszczał głowę, jak przystało na służącego, ukrywając swą arogancką minę, o której wiedział, że zawsze gościła na jego twarzy. Ruczaj założył, że Lord Brickel wie, iż jest szpiegiem Demwora, wydawało mu się też, że Brickel go ocenia i zastanawia się nad tym, czy Ruczaj jest głupi i ile można przy nim powiedzieć.

Stopniowo doniesienia Ruczaja wykluczyły wszystko to, co było niezwykle podejrzane, i Lord Brickel zrobił się bardziej szczerzy w towarzystwie gości. Zerkali podejrzliwie na Ruczaja, ale Brickel tylko się uśmiechał. Nie mógł na głos mówić o nowej roli Ruczaja jako niesumiennego szpiega, na wypadek gdyby Ruczaj nie okazał się sojusznikiem, ale zwykłym tępakiem. Mimo to było jasne dla gości, że Lord Brickel nie widzi w nim specjalnego zagrożenia.

Nadeszła pełnia lata i goście przyjeżdżali coraz częściej, czasami dwóch, trzech w tygodniu, a czasami wizyty jednych nakładały się na wizyty drugich. Tymczasem Demwor często znikał wieczorami, zajęty jakimiś swoimi sprawami, ponieważ polegał na raportach Ruczaja, który następnego ranka przekazywał mu informację o tym, o czym się mówiło w wielkiej sali.

Jednym z gości był handlarz marmuru o imieniu Stokhos i było jasne, że jest ważną postacią - dwaj pozostali goście i Lord Brickel we własnej osobie wsłuchiwali się w każde jego słowo, a miał w zanadrzu pełno enigmatycznych powiedzonek, które były z pewnością zakodowanymi informacjami, jakie rozumieli tylko magowie kamieni. Gdyby Demwor przebywał w sali, samo pogmatwanie ich wymiany zdań wzbudziłoby jego podejrzania i spotkanie na drugi dzień z Lordem Brickelem byłoby trudne. Ruczaj nie przekazał żadnych z tych dziwacznych zdań. Zapamiętał je natomiast, żeby później dojść ich sensu.

W środku rozmowy Stokhos wstał od stołu, by nasikać do kominka - Demwora nie było i wszyscy poszli w jego ślady, jakby była to jakaś ofiara złożona kamieniom, albo może zaznaczenie terenu, jak to robiły psy włączące się po polach i koło płotów w Farzibeck. Ale kiedy Stokhos oparł się dłonią o kamień nad paleniskiem, nagle przestał sikać, opuścił z powrotem tunikę, by się zakryć, i odwrócił się do pozostałych.

- Kiedy to ożyło? - zapytał.

Słowa były zbyt proste i Lord Brickel zerknął nerwowo na Ruczaja. Ruczaj opuścił brodę i wbił wzrok w parkiet.

Odgłosy kroków świadczyły o tym, że wszyscy goście podchodzą do paleniska i dotykają go.

- Żyje aż do samego serca - stwierdził Stokhos. - Nie wiedziałem, że jesteś taki zdolny, przyjacielu.

Nazywali Lorda Brickela „przyjacielem”, a Ruczaj już dawno odgadł, że był to skrót od „przyjaciela głazów”, najniższego stopnia wtajemniczenia magów kamienia - niemniej jednak prawdziwego maga, a nie tylko czciciela Tewstana.

- Prąd skrywa się pod stojącą wodą, bracie - odparł Brickel, który jako jedyny nie powstał od stołu. Tytułowanie „bratem” oznaczało, że Stokhos był bratem skał, czyli miał drugi stopień wtajemniczenia maga kamienia.

- A więc pracujesz pod czujnym spojrzeniem ptaków w niebiosach? - zapytał Stokhos, co znaczyło, jak odgadł Ruczaj: Praktykujesz magię kamienia w domu pod okiem Demwora?

- Gniazdo jest z gałązek, ale ptak i tak buduje na krzepkim drzewie. - Ruczaj podejrzewał, że znaczy to: Muszę mieszkać w drewnianym domu, ale nie znaczy to, że jego kamienne elementy nie są połączone z najgłębszą żywą skałą.

Problem w tym, iż Ruczaj wiedział, że palenisko nie jest żywe. Albo przynajmniej nie było żywe do niedawna. Dotykało ziemi, nie było pod nim drewna jak pod kamieniami pod piwniczną posadzką. Małe kamienie połączone ze skalną opoką. Ale Stokhos mówił, że to żyjąca skała - z jednego kawałka.

- Sprytnie - pochwalił jeden z gości. - Z zewnątrz wygląda jak fragment, ale w głębi jest to jedna skała.

- Misternie - stwierdził kolejny. Uwielbienie w ich głosach było oczywiste.

- Nie byłeś orłem w szkole - zachichotał Stokhos, ale był to sztuczny chichot. Handlarz był naprawdę zaskoczony.

- Człowiek uczy się całe życie - skomentował Lord Brickel.

- Ale mądry człowiek nie ujawnia przed wrogami zdobytej wiedzy - dodał Stokhos. Ruczaj zrozumiał: Rzykujesz, że cię zdemaskują.

- Ryba widzi wyłącznie to, co jest w wodzie - odparł Lord Brickel. Znaczący: Wodni magowie z Mitherhome nie wiedzą, jak głęboko sięga skała.

- Ale ryba widzi, kiedy wiosenna powódź przetacza otoczaki w strumieniu. - Znaczący: Co będzie, jeśli zechcą przestawić albo naprawić któryś kamień z paleniska i odkryją prawdę?

- Żyjący kamień nie toczy się przy powodzi - odparł Brickel. - Znaczący: A kto by chciał naprawiać to palenisko, skoro żyjąca skała nie wymaga naprawy?

- Cóż - odezwał się Stokhos, wracając na miejsce. - Taki ptak jak ja potrafi ocenić, czy drzewo jest zdrowe, zanim zbuduje na nim gniazdo - ale taki jak ja nie jest w stanie przywrócić martwego drzewa do życia.

Czy to miało znaczyć, że mistrz Brickel przeskoczył poziom brata skał i wykonał zadanie, które może wykonać jedynie ojciec kamienia? Nic dziwnego, że Stokhos był

zaskoczony. Prawdziwy ojciec kamienia był rzadkością, ojciec magii był rzadkością we wszystkich rodzajach czarów. Dlatego w opowieści Skowronka o wielkiej bitwie z Veryllydami magowie kamienia byli tylko braćmi skał i przyjaciółmi głazów i musieli współdziałać nad tym, czego ojciec kamienia dokonałby samodzielnie. Ojca kamienia mogło nie być na całym świecie, podobnie jak maga, który pojawiłby się w Mitherhome na czas i je uratował.

Z zasłyszanych opowieści Ruczaj wywnioskował, że magia jest połączeniem zdolności, z którymi się człowiek rodził, nauk, jakie zdobywał, oraz tego, czego się sam dowiedział. Historie o magach wilków, które jednocześnie przerażały i fascynowały małych mieszkańców Farzibeck, mówiły o tym, jak dziecko odkrywa, że przyciąga psy, a wtedy rodzice, w obawie, że może wyrosnąć na maga wilków, trzymają go z dala od psów. W tych opowieściach dziecko to zawsze znajdowało wilcze szczenię w lesie, karmiło je i nim się opiekowało, tym samym zdobywając wilczą moc, nie z powodu wrodzonej skłonności, ale po prostu dlatego, że podjęło ryzyko i wiele godzin poświęciło na zajmowanie się wilczym potomkiem. Ale wszystkie te opowieści sugerowały, że żaden mag nie jest w stanie przeskoczyć umiejętności, z jakimi się urodził.

Nawet jeśli można było zdobyć większą moc, to niby jak Lord Brickel zdołałby ją zdobyć, skoro miał wyraźny zakaz służenia kamieniom? Oczywiście w takim przypadku mogło być tak, że każda drobna usługa, którą wykonywał, zostawała zwielokrotniona przez ryzyko. Z pewnością tak właśnie było.

Jednak to, co zastanawiało Ruczaja najbardziej, nie miało nic wspólnego z Lordem Brickelem. I kiedy Stokhos powiedział: „Taki ptak jak ja potrafi ocenić, czy drzewo jest zdrowe”, Ruczaj zrozumiał to jednoznacznie, że brat skał potrafił wyczuć, że ona żyje bądź nie.

Ale i ja to potrafię.

Na samą myśl zabrakło mu tchu. Był jak ci magowie wilków z opowieści. Był taki jak Skowronek - która miała moc maga, nie zdając sobie z tego sprawy. Kiedyś myślał, że jest najwyżej synem kamiaków, osobą, która lubiła kamienie, ale nie miała nad nimi żadnej władzy. W końcu czy nie był czcicielem Yegguta jak wszyscy mieszkańcy wioski?

A jak mógł kiedykolwiek służyć kamieniowi? Jak można służyć kamieniowi, poza umiejętnością przywrócenia go do życia? A skoro było to coś, co potrafił wyłącznie ojciec kamienia, to jak moc kamiennych magów może rosnąć w siłę? A jednak Lord Brickel tego dokonał.

Wtedy dotarło do niego. Jeśli on jest istotnie bratem skały, czy też przynajmniej ma moc takiej osoby, to kiedy przybył do tego domu, być może moc dwóch magów - jednego wyszkolonego, a drugiego nieokrzesanego i pozbawionego stosownego wykształcenia - połączyła się i ten wyszkolony, Lord Brickel, był w stanie dokonać rzeczy wykraczających poza zakres jego umiejętności.

Służę tu w sposób, na który nigdy bym nie wpadł, rozmyślał Ruczaj. Jestem dumny z tego, że pomagam, nie tylko w domu, ale także przy samej magii.

Kolacja trwała dalej, ale tematy rozmów zamieniono na bezpieczniejsze - albo też kod był trudniejszy do rozgryzienia i Ruczaj go nie rozumiał. Nieważne - zaczęli go wysyłać po więcej piwa i w końcu posłano po drugą zmianę półmisków z jedzeniem, co, jak wiedział, zirytuje Kwaśną Studnię, ale Nikwiz zdawał się nie mieć nic przeciwko temu. Było już późno i kiedy Demwor wrócił do domu i zobaczył, że biesiada trwa w najlepsze, posłał Ruczaję spać.

- Sam się nimi zajmę, aż w końcu spostrzegą, jak jest późno - powiedział zarządca. - Jak będę musiał, to sam powiem panu - ma jutro dużo pracy.

- Mogę też pójść? - zapytał Ruczaj.

- Odpływ będzie szczęśliwy za pomoc w niesieniu kamieni miernicznych.

Ruczaj pierwszy raz usłyszał o kamieniach miernicznych, więc nie mógł się już doczekać poranka. Dowiedział się wreszcie czegoś o tym, co naprawdę robią magowie kamienia - kiedy tylko zorientował się w swoim magicznym darze, od razu dotarło do niego, że mógłby odnieść korzyści z takiej nauki.

Ruczaj jak zwykle „poszedł spać”, wspinając się do pokoiku na poddaszu, siadając na środku podłogi i ćwicząc kontrolę nad lękiem przebywania z dala od kamienia. Dzisiaj poradził sobie bez trudu, ponieważ teraz już rozumiał, dlaczego tak bardzo łaknął kamienia i dlaczego bał się przebywania w budowlach, które inni ludzie uważali za bezpieczne i solidne. Tutaj czekał, aż cały dom uśnie, i ostrożnie schodził do piwnicy, by się położyć. Nie miało dla niego znaczenia, że śpi krócej niż inni. Dopóki mógł zasypiać z dłonią na duszy paleniska, wypoczywał ledwo w kilka godzin i budził się wyspany na długo przed brzaskiem. Ale jeśli musiał spać z dala od kamienia, to był żaden odpoczynek, często budził się w nocy, a rano czuł się, jakby w ogóle nie spał.

Bo jestem magiem kamienia!

Zastanawiał się, jak panu Brickelowi udawało się wyspać. W jego sypialni nie było żadnego kanału prowadzącego do ziemi. Mistrz spał na drewnianym łożu, które stało na drewnianej podłodze, a ta opierała się na drewnianych wspornikach i dźwigarach.

Ruczaj położył się na podłodze w pokoju na poddaszu i zamknął oczy, wsłuchując się w stopniowo cichnące odgłosy domu.

Obudził się w ciszy i ciemności.

Podłoga drżała pod nim. Podskoczył na równe nogi. Jakże mógł spać?

Wcześniej nigdy nie było to możliwe, żeby zasnąć na wysoko położonej, drewnianej podłodze. Ale może potrafił spać teraz, kiedy wiedział, że lęka się braku kamienia. Wszystko, czego się dziś wieczorem dowiedział, spiętrzyło mu się w myślach. Poczł się jak idiota.

Byłem jeszcze bardziej ślepy niż Skowronek, pomyślał. Ona wiedziała, że być może ma w sobie magię, i nie chciała w to uwierzyć. Mnie to nigdy nawet nie przemknęło przez myśl. Usilnie chciał zejść do piwnicy i poczuć to, co poczuł Stokhos w kamieniach paleniska. Lord Brickel musiał ożywić kamienie w dzień, wczoraj, bo Ruczaj z pewnością poczułby zmianę noc wcześniej. To dopiero musiało być przedsięwzięcie.

Ale Lord Brickel prawie przez cały dzień był w porcie Hetterferry, dotrzymując towarzystwa swym gościom i witając się ze Stokhosem, który właśnie przybył tego popołudnia. Jak mógłby tego dokonać przez te kilka godzin w domu?

Z powodu swego uniesienia Ruczaj zrobił się nieostrożny i narobił nieco hałasu na schodach. Nie było problemu z zejściem na parter - zawsze mógł powiedzieć, że wychodzi na siku. Ale poczuł, że naprawdę musi to zrobić, i odłożył zejście do piwnicy na później. Lepiej nikogo nie budzić. Dlatego był szczególnie ostrożny, schodząc dalej po schodach.

Wciąż kilka świec dopalało się w ściennych lichtarzach na parterze, ale już gasło. Ku swemu zaskoczeniu, schodząc po piwnicznych schodach, zauważył na wprost jakieś światełko. Ktoś tam był, ale na razie widać było jedynie jego stopę. Ktoś go zauważył. Więc nie pozostało mu nic innego, jak iść dalej i zdecydować, czy ma kłamać, w zależności od tego, kto tam przebywał. Jeśli był to Demwor, mógł powiedzieć, że szukał go, by mu od razu złożyć raport, ponieważ rano będzie zajęty.

Ale był to sam Lord Brickel ze świecą w dłoni, przyciskający drugą rękę do kamieni duszy paleniska. Kiedy tylko rozpoznał Ruczaja, odłożył świecę i przyzwał go do siebie gestem.

Kiedy Ruczaj zbliżył się na tyle blisko, że mogli słyszeć swój szept, Brickel wziął go za ramię i przystawił usta do ucha Ruczaja.

- Co ty mi robisz? - zapytał.

Ruczaj myślał, że chodzi o to, co mówi Demworowi.

- Nigdy nie powiedziałem mu niczego, czego nie mówił pan w jego obecności.

Dłoń ścisnęła go mocniej.

- Gdzie się kształciłeś?

Teraz Ruczaj się zdziwił.

- Nigdy nigdzie się nie kształciłem, proszę pana.

- Żeby to zrobić... staram się wyciągnąć ten kamień, którykolwiek, co powinno być proste. Oderwać, wyciągnąć, wsunąć z powrotem - to właśnie robię. Tyle że nie mogę. Kamienie scaliły się w jedną masę. Żyją, jak mówił Stokhos. I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Wiem, że nas rozumiesz. Zaufałem ci.

Nie było sensu niczego udawać.

- Kiedy pierwszy raz tu przyszedłem, były martwe - odparł Ruczaj.

- Więc potrafisz powiedzieć, które kamienie żyją, a które nie?

- Nie wiedziałem, że to magia - odparł Ruczaj. - Nikt mi nie powiedział.

- Nie możesz być aż tak głupi.

Ruczaj zezłościł się.

- Dorastałem w wiosce wiernej Yeggutowi. Kto miał mnie nauczyć czegokolwiek o kamieniach?

- I to nie tylko kamienie paleniska, ale też kamienie fundamentów. Podkładają drewno pod kamienie, ale zespoliłeś wszystkie kamienie w dużą płachtę żywego kamienia. Myślisz, że się nie poznają? Wystarczy, że on po nich przejdzie i poczuje, że nie sprężynują pod stopami.

„On”, czyli Demwor.

- On mnie tu posyła samego - powiedział Ruczaj.

- Ale pewnego dnia tu zejdziesz. Ty będziesz zajęty, więc przyjdzie tu sam i będzie wiedział, co się stało. Tyle że on pomyśli, że to ja je scalałem, i stracę moją posadę. A jeśli uświadomi sobie, że to jest żywa skała, stracę także życie.

- Ale to nie pan to zrobił? - Ruczaj sięgnął do kamienia duszy paleniska i potrząsnął głową. - Mój panie, te kamienie nie różnią się od tego, jak wyglądały wczoraj, kiedy wstałem rano. Znaczą, wczoraj rano.

- Dlaczego miałbyś je sprawdzać wczoraj, jeśli nie widziałeś, że coś się w nich zmienia?

- Ja ich nie sprawdzałem - odparł Ruczaj. - Ja tu spałem.

- Więc nie możesz powiedzieć, że to są żywe kamienie?

Ruczaj przycisnął dłoń do kamienia i celowo sprawdził go w środku, żeby zobaczyć, gdzie się kończy - nie kończył się. Schodził pionowo w ziemię w pojedynczej kolumnie. Nie opierał się na zbitej ziemi. Wszystkie drobne kamyki, które niegdyś tworzyły tysiące kamiennych łańcuszków ciągnących się do skalnego podłoża, stanowiły teraz pojedynczą, litą skałę, wyrastającą z podłoża skalnego i wydostającą się przez masy ziemi w postaci kamieni w palenisku czy w duszy paleniska poniżej, poprzecinaną pęknięciami tam, gdzie wcześniej stanowiła osobne elementy, ale obecnie scaloną razem w miejscach skrytych przed ludzkim wzrokiem.

- Ja nie... ja nie patrzyłem - bronił się Ruczaj. - Nie zauważyłem różnicy. Były takie same w dotyku codziennie.

- Spałeś tutaj? - zapytał Lord Brickel. - Pokaż gdzie.

Ruczaj położył się jak zawsze i przycisnął dłoń do kamienia.

- Och, Tewstanie, co za głupiec - westchnął Brickel. - Naturalny mag śpi co noc z rękami w kamieniu.

- Nie w kamieniu, mój panie - powiedział Ruczaj.

- Oczywiście, że zanurzasz dłoń w kamień, a kamień sphywa do twojej dłoni. Wlewałeś życie w kamień, a kamień wlewał ci siłę w twoje ciało. Popatrz na swoją twarz, już jest w połowie skamieniała.

Ruczaj dotknął twarzy dłonią. W dotyku była jak zwykła skóra.

- A Demwor mówi mi, że nosisz pełne dzbany wody, nie robiąc sobie przerwy na odpoczynek, i nie zastanawiało cię to nawet? Zastługuję na swój los.

- Dlaczego miałoby się coś tobie stać, mój panie? - zapytał Ruczaj.

- Bo złożyłem przysięgę, że zostanę tylko przyjacielem gładów, i na Tewstana, taka była prawda. Ale nigdy mi nie uwierzą, że przez czysty przypadek sprowadziłem sobie do domu... ojca kamienia.

- Co takiego? - Ruczaja przeszedł dreszcz. Nie był pewien, czy był to dreszcz strachu czy radości. Pewnie jednego i drugiego.

- A myślisz, że przyjaciele gładów i bracia skał potrafiliby zrobić coś takiego? We śnie wdarłeś się do kamienia - oczywiście, że dotarł do opoki, do całego globu żyjącej skały, na której unoszą się wszystkie kontynenty i oceany. Ty ignorancie, nie wiesz absolutnie niczego, tak oczywistego, ale moc to ty masz. Kamień cię kocha. Nie rozumiesz? Nie dał ci dowodów swej miłości przez całe twoje życie?

Ruczaj przypomniał sobie swoje wspinaczki i uświadomił sobie: Odnajdywałem szczeliny, uskoki i pęknięcia w skałach tam, gdzie inni nie mogli się wspiąć, bo kamień je dla mnie otwierał. Bo mnie kocha.

I ja go kocham. Jak młodziutki mag wilków kocha swojego wilczka. Przez całe życie uwielbiałem gładzić go dłońmi. Pracowałem przy nim, budowałem tamy, ciąłem nim, wspaniałem się na niego, spałem na nim, kiedy tylko mogłem. I nigdy mi nie przyszło do głowy, że to dlatego, że jestem magiem kamienia.

- Dał dowody - odparł Ruczaj. - Ale ich nie dostrzegałem. To była cząstka mojego życia, trzymać kamień, wspaniać się na niego.

- I nie czułeś łączności ze skałą pod ziemią?

- Myślałem, że mi się to śni.

- Gdybyś poszedł do szkoty w Cyllythu, tobyś się dowiedział. Takie sny trzeba opowiadać mistrzowi. Wiedzano by, kim jesteś.

- To niemożliwe, że jestem ojcem kamienia - wystękał Ruczaj. - Ja jestem... Ruczaj.

- Cóż, nie jesteś ojcem kamienia. Masz taką moc, ale nie masz żadnych umiejętności. Nawet nie wiesz, co robisz. Nie potrafisz tego kontrolować. Nie potrafisz się przed tym powstrzymać.

- Niech pan mnie uczy.

- Niemożliwe. Nie tutaj. Myślisz, że Demwor by nie zauważył? Nie, musisz stąd uciekać, a ja spróbuję rozdzielić trochę te kamienie jeden po drugim.

Na samą myśl o rozdzielaniu kamienia Ruczaj zatoczył się jak uderzony.

- Ale... on teraz żyje.

- A nie powinien. Nie żył, dopóki się nie wmieszałeś.

Teraz dopiero uzmysłowił sobie, co mistrz Brickel powiedział wcześniej:

- A dokąd mam pójść?

- Oczywiście do Cyllythu. Idź do świątyni Tewstana i powiedz im, co się tutaj stało. Stokhos zaświadczy, że to prawda, sprawdzą cię i wypadniesz znakomicie, masz moje słowo. Ale musisz zniknąć stąd jeszcze dzisiaj.

- Nie znam drogi. I zatrzymają mnie żołnierze czy gwardziści.

- Nie zobaczą cię. Nie rozumiesz? Po prostu musisz przycisnąć się do kamiennego muru fortecy i w ogóle cię nie zobaczą.

- Nigdy nie...

- Nie mam czasu na kłótnie. Znikasz stąd jeszcze dzisiaj w nocy.

- Czemu nie mogę poczekać do brzasku?

- Bo jeśli Demwor mnie oskarży, to ja cię zdradzę, rozumiesz? To jedyny sposób, żeby nie myślał, że to ja wszystko zrobiłem. Więc tak, powiem mu prawdę o tobie - że najwyraźniej nie wiedziałeś, co robisz, że to był wypadek. Ale myślisz, że ich to obejdzie? Ojciec kamienia, tutaj w Hetterferry, u samej podstawy Mitherjut?

- I co zrobią? - zapytał Ruczaj.

- To, co robią z magami kamienia: utopiają, spalają ciało na popiół i mieszają go z żywą wodą.

- I pozwoliłby pan, żeby mi to zrobili, tylko po to, by nie stracić posady?

- Głupi chłopcze, to nie jest moja posada. To jedyna więź, jaka jeszcze łączy lud kamienia z Mitherjut. Nawet jeśli mnie nie zabiją, nigdy nie pozwolą wejść magowi kamienia do tej doliny. Moją jedyną nadzieją na zachowanie ich zaufania jest zadencjonowanie ciebie. A teraz znikaj stąd, z tego domu, z ogrodu, z tej ulicy, a ja zajmę się tym bałaganem, który narobiłeś.

Tym „bałaganem” był żyjący kamień i na tę myśl Ruczajowi zrobiło się ciężko na sercu.

- Nie mogę odejść - powiedział. - Nie pozwolę tego panu zrobić.

- Co? - zagrział Lord Brickel.

- Nie pozwolę panu zabić skały.

- A jednak myślę, że tak - odparł Lord Brickel.

Brickel położył dłoń na kamieniu i Ruczaj poczuł, co robi - poczuł, jak w miejscach poprzednich pęknięć pojawiają się świeże i kamienie się rozdzielały. Umierały.

Bez większego wysiłku Ruczaj znów scalił kamień.

- Tewstanie! - wyszeptał Brickel. - Mówiłem, żebyś zniknął.

- I mam zostawić kamienie na pewną śmierć?

- Przestań zachowywać się jak dziecko - rzucił Lord Brickel. - Te kamienie umrą z radością, byle tylko magowie kamienia wrócili kiedyś do Mitherjut. Nie zabijam ich, pomagam im w dokonaniu ofiary. A teraz ruszaj, schodami na dwór. Rozmawialiśmy o wiele za długo.

Ruczaj starał się wyciągnąć z tego jakiś sens. Czuł śmierć kamieni pod dotykiem Brickela, ale jednak zaczynał rozumieć, że może to być konieczne. Czy przyjaciele głazów nie pracowali wyłącznie z martwymi kamieniami? Czyż nie brukuje się nimi ulic? I czy te martwe kamienie nie rozgrzewały się pod stopami Ruczaja? Martwe nie były martwe, tak jak martwi ludzie. Kamień można odciąć, ale potem można go połączyć z żywą skałą i znów ożyje. Musi na to pozwolić.

Jestem ojcem kamienia. Muszę robić to, co jest dobre dla wszystkich kamieni, tak samo jak ojciec stada z wiejskiej opowieści poświęcił totemowe wcielenie, by uratować stado.

Poszedł ku schodom i wspiął się na parter. Nie posiadał niczego - nie miał czego ze sobą zabrać poza ubraniem na grzbiecie. Może tylko jeden z obsydianowych noży z kuchni.

Ruczaj szedł bezszelestnie przez parter do tylnych drzwi, które prowadziły do kuchni. Kiedy je otworzył, zobaczył Demwora.

- Co ty robisz na nogach? - zapytał Demwor.

- Muszę zrobić siusiu - skłamał Ruczaj.

- Gdzie byłeś?

- Spałem - odparł Ruczaj.

- Poszedłem na poddasze. Nie było cię tam. Wyszedłem, żeby sprawdzić, czy się załatwiasz. Chciałem porozmawiać z tobą na temat zeszłego wieczoru. Na temat naszych gości.

- Ja teraz sikam.

- Gdzie byłeś, kiedy zaglądałem na poddasze?

Gdzie mógł być, skoro teraz jest wciąż w domu i wciąż mu się chce sikać?

Ruczaj podniósł nieco głos, wychodząc na kamienne stopnie wiodące do ogrodu.

- Lord Brickel chciał ze mną porozmawiać na temat jutrzejszej pracy - odparł.

Przycisnął stopę do kamienia i poczuł łączność z żyjącą skałą i duszą paleniska, gdzie pracował Lord Brickel. Odnalazł wciąż żywy fragment i pchnął go, ścisnął tak, że się wyrzucił. Z całą pewnością mistrz Brickel to zauważył i potraktuje jako ostrzeżenie.

- Chciał mnie zabrać zamiast Odplywu - powiedział Ruczaj na tyle głośno, że gdyby Lord Brickel wyszedł z piwnicy, toby go usłyszał. - Do pracy w mieście.

- Sam się wprosiłeś, mam rację? - zapytał Demwor.

- A niby czemu nie, proszę pana? - postawił się Ruczaj. - Już mi pan powiedział, że będę dźwigał połowę kamieni mierniczych.

Demwor rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Dlaczego niby miał o tym rozmawiać z tobą? Robisz, co ci każą.

- On nie zna mnie tak dobrze, ale ja... cóż, jestem bystrzejszy od Odplywu. Albo przynajmniej chciał się o tym upewnić. Może chce, żebym zrobił coś, czego Odplyw nie potrafi? Nie wiem, proszę pana. Ja robię, co mi każą.

- O czym rozmawiali zeszłego wieczoru? - zapytał stanowczo Demwor.

Nagle w drzwiach za Ruczajem wyłonił się Lord Brickel.

- O co przed chwilą zapytałeś mego sługę?

Demwor zakrył usta dłonią.

- Czy ty mnie szpiegujesz, Demwor?

A co, pomyślał Ruczaj, to taka wielka tajemnica? Nie, posada zarządcy była tylko przykrywką. Teraz przykrywka zniknęła.

- Czy magowie Mitheru mi grożą? Czyż nie wykonywałem wszystkich prac i nie dotrzymywałem wszystkich warunków naszej umowy?

- Byli u pana ci goście - odparł Demwor.

- Mogę przecież przyjmować moich przyjaciół - odparł Lord Brickel. - Tak mówi umowa.

Oni rozmawiali, a Ruczaj kontynuował pracę Lorda Brickela, rozdzielając kamienie w duszy paleniska, na podłodze w piwnicy. Szło mu to znacznie sprawniej niż Lordowi Brickelowi i nie musiał dotykać każdego kamienia z osobna. Jeszcze godzinę temu nawet by nie próbował robić tego, co teraz wykonywał z taką łatwością, ale wiedział, jak on to robi, i teraz wiedział, jak to jest, jak wysuwać każdy kamień i przeniknąć przez niego, dokonując separacji.

I Lord Brickel miał rację. Kamienie nie jęczały z bólu, godziły się z rozdzielaniem. Kamień wiedział, że Ruczaj robi dobrze, chroniąc go dzięki tej separacji. Kochał go za scalanie, ale nie zmieniał swych uczuć w chwili rozdzielania.

- Nie wolno panu sprowadzać tutaj magów kamienia - stwierdził Demwor.

- Właśnie - odrzekł Lord Brickel. - Ale jak myślisz, kim są moi przyjaciele? Wszyscy to tylko synowie kamyków, czciciele Tewstana.

- Kult, który jest u nas zakazany.

- Przecież nie czcimy go tutaj - wyjaśniał cierpliwie Lord Brickel. - Ale wiesz dobrze, że każdy syn strumyka ma w sobie odrobinę mocy, ponieważ służy Yeggutowi, tak samo jak syn kamyka służący Tewstanowi. Jeśli wyczujesz w nich trochę mocy, to masz wytłumaczenie. Ale to nie żadni magowie.

- Widziałem więzi między wami - stwierdził Demwor.

Więc był kluczem - nie magiem, ale człowiekiem zdolnym wyczuwać magiczne więzi.

- Oczywiście - odparł Lord Brickel. - Ale nigdy podczas mojej pracy. Nie wykonuję czynności magicznych dla miast w obecności takich więzi. Jeśli jesteś tym, kim myślę, że jesteś, to wiesz o tym. Jak wiesz, nigdy nie wiązałem się z kamieniem, chyba że magowie z Mither mnie o to prosili.

Ruczaj pojął, że to ostrzeżenie. Jeśli Demwor naprawdę jest kluczem, wyczuje łączność Ruczaja z kamieniem w chwili, kiedy spojrzy mu na stopy. Przekroczył więc drewniany próg i stanął na drewnianej podłodze, chwytając się drewnianej framugi.

Na wypadek gdyby Lord Brickel nie usłyszał, o czym była mowa wcześniej, Ruczaj wtrącił:

- Powiedziałem już panu, że mistrz chciał ze mną rozmawiać na temat jutrzejszego zadania. Mogę już iść sikać?

- A co będziecie robić jutro? - zapytał Demwor Lorda Brickela.

- Będę wypełniać moje obowiązki - odparł Brickel. - Od tej chwili nie jesteś już moim zarządcą. Jeśli tu zostaniesz, uznam oficjalnie, że mnie szpiegujesz, a wysyłanie do mnie szpiegów jest złamaniem umowy.

Kiedy Ruczaj ruszył w krzaki, gdzie sikał od czasu do czasu - chciał zachować samotnię do innych celów - wciąż słyszał, jak się kłóć.

- No to w takim razie wiesz, panie, że posyłałem chłopaka, żeby cię szpiegował - powiedział Demwor. - Czy jego też zwolnisz?

- Gdybyś go nie wypytywał, to komu by powiedział? Pracuje ciężko i jest głupi. To ty odchodzisz. Ale już. Rano wystawimy twoje rzeczy na ulicę.

- A gdzie ja mam się podziać o tej porze? - zapytał Demwor.

- Idź do swoich chlebodawców i donieś na mnie - poradził Lord Brickel. - Powiedz im, że ich mosty i bramy mogą się zawalić, bo teraz wiem, że służyłem krzywoprzysięzcom.

- Wiedziałeś, że jestem szpiegiem.

- Podejrzywałem - stwierdził Lord Brickel. - Teraz wiem. Odejdź stąd.

Co ja mam robić?, zastanawiał się Ruczaj. Nie chciałem, żeby tak wyszło.

Kiedy wrócił do domu, nigdzie nie było śladu ani po Lordzie Brickelu, ani po Demworze - ten drugi najpewniej poszedł do furty.

Ruczaj zbiegł do piwnicy i pośpiesznie dokończył rozdzielania kamieni. Starał się nie myśleć, że je zabija. Pewnego dnia znów was scalę, wciąż krążyła mu w głowie ta myśl, przysiężenie składane Tewstanowi, bogu kamienia.

Jeśli myśli się o nich jak o kamieniach, to jak można z nimi rozmawiać? Ale jeśli jest to bóg Tewstan, to można się modlić i mieć nadzieję, że mnie wysłucha.

Pomimo to czuł się nieco winny, ponieważ wzrastał w kulcie Yegguta, boga wody, pana wszechrzeczy, który przynosi życie na pustynię i burzy góry.

Jak ja się stałem magiem kamienia, kiedy wszystkie moje myśli skupiałem na Yeggucie?

Ale doszedł do wniosku, że to niezwiązane z kultem rytuały radują bogów. Czcilem Yegguta, ale wspinałem się po skałach, zagłębiałem palce w kamień. Tam, w górach, biło kamienne serce świata, które mnie ukształtowało, bez względu na to, do kogo czy do czego się modliłem.

*

Magowie wodni przybyli po Brickela, kiedy słońce było w połowie drogi do południa. Dzień był chłodny i jasny, więc wielu mieszkańców Hetterferry wyszło z domów, by popatrzeć na procesję. Lord Brickel miał na sobie zdobną szatę, którą Ruczaj uważał za idiotyczną, ale najwyraźniej na wszystkich innych robiła duże wrażenie. Co szata ma wspólnego z magią? Ale magowie wodni również przywdziali wymyślne kapelusze i szaty w jasnych barwach, poza tym byli jeszcze chłopcy z proporcami i orkiestra dudziarzy, którzy przygrywali, kiedy wszyscy kierowali się do portu.

Czekała tam na nich tratwa. Przypomniała Ruczajowi tę, którą pomagał załadować pierwszego dnia w Hetterferry. Gdyby ta tratwa zawiozła go do Mitherhome tamtego dnia, czy odkryłby swoje zdolności? Ale z kolei gdyby nigdy ich nie poznał, to czy byłby bardziej czy mniej szczęśliwy?

Oczywiście w oczach wszystkich był tylko pomagierem maga, który dźwigał na plecach wór pełen różnych kamieni - małych próbek każdego z nich, ale w masie tak ciężkich jak cała ściana. Mimo to niósł swoje brzemię i zastanawiał się, czy był w stanie to zrobić dlatego, że kamienie być może są lżejsze dla niego niż dla innych. A może już w nim było tak dużo kamienia, że stał się bardziej krzepki i mógł nosić większe ciężary. To by wyjaśniało, dlaczego nosił pełne dzbany wody, choć nie był jeszcze dorosły. A może wszystko, co było w nim istotne, wróciło do kamienia w sercu.

Zaciągnięto ich przez wodę do Mitherhome i od brzegu rozpoczęli długi marsz po niekończących się schodach do wyższego poziomu miasta. Ich szlak wiódł wokół stromych zboczy Mitherjut i idący na bosaka Ruczaj czuł pod stopami tętnienie wewnątrz góry, nie przypominające bicia serca, ale takie wolne trzepotanie skrzydeł wielkiego ptaka, który uwięziony nie mógł się z niej wydostać. Zastanawiał się nad odszukaniem źródła tego dźwięku, ale Lord Brickel ostrzegł go, żeby nic nie robił, niczego nie szukał i w ogóle nie myślał o kamieniu.

- To zbyt niebezpieczne - ostrzegł go Brickel. - Zobacz tylko, co zrobięś z kamieniami w domu - we śnie, zupełnie nieświadomie.

Tak więc Ruczaj nie badał skały. Posuwał się jedynie w górę, wciąż w górę, mając po jednej stronie dobrze utrzymane mury miasta, a po drugiej budynek wczepione w strome zbocze.

Dotarli do bramy w murze i przeszli przez nią. Po ledwie kilku krokach znaleźli się na skraju klifu - nie była to stroma Rozpadlina Magów Kamienia, którą widział pierwszego dnia, ale naturalne koryto wyżłobione przez rzekę. Nad wodą rozpięty był pojedynczy łuk kamienny mostu. To właśnie ten most miał wzmocnić Lord Brickel. I Ruczaj od razu zobaczył dlaczego. Wibracje wywołane przez przejeżdżające wozy i przechodzących przezeń ludzi rozchwieły kamienie, które zaczęły się o siebie ocierać i tym samym ścierać. Łuk mostu zapadał się, zwiększając nacisk i wypychając kamienie najbliżej brzegów. Lada chwila mogły się uwolnić i cały most zleciałby na dół, gdyż utrata masy osłabiłaby pozostałe kamienie. Może w ciągu roku. Może za miesiąc. Ale most nie był solidny już teraz.

Lord Brickel podszedł do mostu i ukląkł, a następnie położył się na nim twarzą do ziemi, jakby chciał zajrzeć w głąb kamienia. Ruczaj stał przy nim z przygotowanym workiem. Brickel oderwał dłoń od kamiennej powierzchni, a Ruczaj podsunął mu rozchylony worek. Brickel pogrzebał w środku i wyjął kostkę granitu oraz kostkę kwarcu. Trzymał je w dwóch dłoniach i przycisnął do kamieni mostu.

On nic nie robi, pomyślał Ruczaj. Most się wali, a on robi tylko z siebie widowisko. To oszustwo.

Kiedy się zawali, zginą ludzie.

Ale gdyby Ruczaj mógł scalić tylko kilka kamieni w samym środku mostu, żeby stały się całością, nikt z zewnątrz by tego nie zauważył, choć wtedy kamienie już by się o siebie nie ocierały, a naciski znów stałyby się pionowe, a nie poziome, tak jak założono w projekcie. Jeśli będzie uważał, żeby scalenie od razu nie wskrzesiło żywej skały na końcach mostu, to kamienie nie ożyją.

Było to takie proste i takie misterne zarazem, by połączyć kamień z kamieniem. Ale wymknęło mu się to spod kontroli. Ruczaj nie miał ani umiejętności, ani samokontroli, żeby zatrzymać się w porę. Scalanie przerosło jego zamiar. Most połączył się z żywym kamieniem na obu końcach.

Lord Brickel podniósł się na łokciach i zakrzyknął:

- Nie!

Pod mostem woda gwałtownie zawirowała i zaczęła pluskać, jakby czymś rozgniewana.

- Coś ty zrobił! - wykrzyknął jeden z magów wodnych.

- Stworzył tunel! - zakrzyknął drugi.

Od razu go dopadli i podnieśli na nogi. Jeden z nich zachowywał się tak, jakby miał zamiar zaciągnąć go do mostu i rzucić go z niego, ale pozostali trzymali go mocno, nie zamierzając puścić.

- Z ciebie jest żaden przyjaciel głazów! - wykrzyknął przywódca wodnych magów. - Pokryłeś ten strumień żyjącym kamieniem! Zrobiłeś tunel! Świętokradca! Przez cały czas kłamałeś. Jesteś ojcem kamienia!

Lord Brickel długo patrzył w oczy Ruczaja. Ale nie wykrzyknął: To nie ja, to ten chłopak. Nie odezwał się ani słowem, kiedy ściągnęli go z mostu, przepchnęli przez bramę i powiedli schodami do miasta.

Ruczaj poszedł za nimi, niosąc worek kamieni i przeklinając się w myślach za głupotę. Nic po tym Lordowi Brickelowi, że popełnił fatalny błąd. Nie mógł się też usprawiedliwiać tym, że nie wiedział, iż woda nie lubi płynąć pod dachem i w tunelu, że stale walczy, by się uwolnić. I przede wszystkim skąd mógł wiedzieć, że wodni magowie w jednej chwili wyczują, że most stał się żywą skałą?

Ruczaj wiedział, że nic nie pomoże zapewnianie ich, że to on jest ojcem kamienia. Ponieważ wtedy Lord Brickel zostanie oskarżony o świadome dopuszczenie innego maga kamienia do odprawiania czarów w mieście i kara byłaby taka sama. Wtedy czekałaby ich obu.

Muszę go uwolnić, myślał Ruczaj. Zrobiłem to wbrew jego zakazom, nie posłuchałem go. Teraz ja sam muszę go z tego wydostać.

Ruczaj poszedł za nimi aż do głównego miasta, które wczepiało się w południowo-zachodni brzeg Mitherlough. Większość miasta znajdowała się poza murami, które biegiły wyżej niż szczyt Mitherjut. Zabrali Lorda Brickela do osobnej wieży, która stała na najdalszym krańcu krótkiego półwyspu, wcinającego się w toń. Kiedy Ruczaj chciał wejść za nimi do wieży, zatrzymał go jeden z magów wodnych.

- Moje miejsce jest przy moim panu - powiedział Ruczaj.

- Nie chciałbyś się znaleźć tam, dokąd on się udaje - odparł mag wodny.

- Co mu zrobicie?

- To, na co się zgodził, podpisując kontrakt, kiedy tu przybył - odparł mag. - Znał karę, jaka mu grozi.

Ruczaj chciał krzyknąć, że Lord Brickel nie jest ojcem kamienia, że tylko odkrył zdolności Ruczaja zeszłej nocy, że nie było sposobu, by mógł przewidzieć lub zapobiec skutkom głupoty Ruczaja. Odkręcę to, chciał wykrzyknąć Ruczaj, przywrócę poprzedni stan rzeczy. Ale to by nic nie dało - poza tym, że Ruczaj też znalazłby się w wieży i zostałby poddany karze, jaka teraz oczekiwana Lorda Brickela.

Rozważał, czy nie wrócić do domu maga kamienia i nie poprosić Skowronka o radę. Ale co mógł tym uzyskać, poza tym, że oddaliłby się od Lorda Brickela? Skowronek mogła nie wiedzieć, co może zrobić ojciec kamienia, albo co powinien zrobić.

Wrócił myślami do jej opowieści o magach kamienia i wielkiej wojnie. Co ona powiedziała? „Obnażyli starą skałę z roślin i położyli się nago na kamieniach. Następnie przy wtórze śpiewu przyjaciół głazów bracia skał zapadli się w kamień”. Nie miał żadnych przyjaciół głazów, by dla niego śpiewali, ani też nie miał pojęcia, jakie mogłyby być to pieśni. Ale był ojcem kamienia - skoro bracia skał mogli zapadać się w kamień, to on też mógł. Zapaść się w kamienną ścianę i wyjść po drugiej stronie - we wnętrzu, gdzie trzymali Lorda Brickela. Mogę go wyciągnąć w taki sam sposób, albo rozdrzeć drzwi, gdybym chciał.

Obszedł wieżę dookoła, żeby znaleźć niestrzeżone miejsce, i przycisnął dłonie do kamienia. Ale to nie była żywa skała. Mógł się na nią wspiąć, a wtedy pod jego dłońmi i stopami otworzą się szczeliny, ale nie potrafił się w nią wtopić jak w żywą skałę.

I bardzo dobrze, że mu się to nie udało, bo kiedy tak się opierał o mur, ktoś pojawił się z za załomu wieży. Demwor.

- Zastanawiałem się, gdzie się podziałeś - powiedział były zarządca. - Widzisz, co twój głupi pan teraz nawyrabiał?

- Nie wiem, co zrobił - odparł Ruczaj.

- Ujawnił się - stwierdził Demwor. - I zginie za to. A teraz chodź ze mną - mam zająć się rozdysponowaniem własności kamiennego maga.

- Ja nie jestem jego własnością - zachnął się Ruczaj. - Jestem wolnym mężczyzną.

- Mężczyzną? - zakpił Demwor. - Jesteś chłopcem, gołowąsem. A że wolnym? Twój wybór. Wolny chłopiec nie będzie miał co jeść ani gdzie spać. Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie zjeść kamienie z tego worka. Chodź ze mną, a wciąż będziesz miał dom, zostań tutaj, a wyrzucę cię z tego miasta na podstawie prawa o włóczęgostwie, bo nie masz tu żadnego domu, ani pana, ani krewnego. - Demwor sięgnął, by chwycić Ruczaja za ramię.

Ruczaj uchylił się, po czym sięgnął do worka i wyciągnął kostkę z piaskowca.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię tym walnął w łeb - zagroził Ruczaj. - Ja nie chybiam.

- Grozisz obywatelowi?

- Bronię się przed mężczyzną, który chce położyć na mnie łapy - odparł Ruczaj.

Demwor cofnął się o krok.

- Więc tego chcesz? Doskonale. Kiedy wrócę, przyprowadzę żołnierzy, więc to oni cię wyrzucą z miasta. Nie muszę cię wcale dotykać.

Kiedy tylko Demwor odszedł, Ruczaj rzucił worek i zaczął biec. Z powrotem trasą, którą tu dotarł, aż przeszedł przez mur i znalazł się w najwyższym punkcie drogi, która okrążała Mitherjut. Ale zamiast pójść dalej w stronę mostu, Ruczaj wspiął się po stromym zboczu z drugiej strony drogi w kierunku szczytu.

Może i nie było to najrozsądniejsze posunięcie. Wkrótce bowiem spostrzegł, że blisko szczytu ze źródła wyciekał strumyk i musiało to być miejsce święte dla wyznawców Yegguta, gdyż po obu jego stronach ustawiono chaty pustelników, którzy opuszczali je kilka razy na dzień, by zanurzyć się w jego wodzie, tak by opływała ich, aż do momentu, kiedy byli tak zmarznięci, że nie mogli się poruszać.

A wokół samego źródła znajdowały się domy kapłanów i kilka chramów, a także sznur pątników ciągnących w jedną i drugą stronę.

Ale Ruczaj chciał się dostać na sam szczyt, a nie w pobliże źródła czy strumienia. A na szczycie widniał tylko wypalony krąg, który kiedyś był świątynią żywej skały, według opowieści Skowronka. Według niej magowie kamienia zostali spaleni żywcem w kamiennym piecu w podzięce za uratowanie miasta. Było to miejsce zdrady. Mitherhome zostało wybudowane przez magów kamienia, magowie wody pozbyli się ich i sami władali, a potem kiedy magowie kamienia zasłużyli sobie na prawo powrotu i zaprowadzenia równości we własnym mieście, zostali zamordowani.

W ruinach nie było nikogo. Nie było to święte miejsce dla wodnych magów.

Ale było dla Ruczaja. Tutaj znów poczuł to tętnienie, silniej niż kiedykolwiek. Odnalazłem serce góry. Być może serce świata.

Naśladowując opowieść Skowronka, Ruczaj rozebrał się do naga i położył na żywej skale, najpewniej w tym samym miejscu, w którym leżał kiedyś jeden z braci skał, kiedy rozgorzała bitwa i dla miasta nie było już żadnej nadziei.

Słońce świeciło na niego z góry - było już po południu i pomimo chłodnego powietrza grzało na potęgę. Ruczaj uświadomił sobie, że teraz, kiedy leżał nieruchomo, jego ciało zaczęło drżeć. Co ja znowu zrobiłem? Brickel zakazał mi cokolwiek robić, ale ja wiedziałem swoje. Myślałem, że ratuję most, a zamiast tego wydałem go na śmierć.

Tętnienie pod spodem nasiliło się.

Zaczął się zapadać w kamień.

To nie moja sprawka, pomyślał. Nie wciskam się w kamień. Tylko leżę i kamień mnie sam przyjmuje.

Zapadł się, kamień zamknął się nad nim. Leżał w ciemności, ale wciąż czuł, jak słońce pada na jego skórę. Nie, nie na skórę - na kamień nad nim. Na kamień Mitherjut, który teraz był jego skórą. Zapadł się w kamień, ale kamień również zagłębił się w niego. Czuł całą Mitherjut, jakby stanowiła część jego ciała.

I nie był sam.

- Ojcie kamienia - dobiegł go szept. Z różnych stron, raz za razem, aż w końcu wołały go przynajmniej dwa tuziny głosów.

- Kim jesteście? - zapytał. Tylko że nie poruszał ustami - nie mógł nimi poruszać. A jednak słyszał swój donośny głos.

- Wiesz, kim jesteśmy - odparł jeden z nich. - Bardzośmy długo na ciebie czekali.

- Jesteście braćmi skał, którzy otworzyli Rozpadlinę Magów Kamienia? Tymi, którzy wygrali bitwę, a potem ich tu spalono?

- Spalili nasze ciała - odparł jeden z nich. I drugi, i trzeci. - Nasze ziemskie powłoki zmarły. Ale nasze jestestwa błąkały się w skale, kształtując ją. Tylko ona żyje, a my nikniemy. Czekaliśmy, aż przyjdzie do nas ojciec kamienia. I oto jesteś. Uratuj miasto, Ojciec Kamienia! Uratować miasto? O co tu chodzi?

- To wy ocaliliście miasto - odparł. - Przed Veryllyddami.

- To było dawno - odparły głosy. - I byli to tylko ludzie. Teraz ratujemy miasto przed płynnym kamieniem. Czujesz, jak chce się wydostać?

Było tak, jakby go zaprowadzili, choć jego ciało się nie ruszało, poprowadzili go w podróż przez skałę.

- Czy to moją powłokę prowadzicie przez skałę? - zapytał ich.

A oni odpowiedzieli:

-Tak.

Zabrali go głęboko pod Mitherjut do miejsca, w którym gęsta kopała chłodnej skały przyciska gorącą kopułę kipiącej, płynnej magmy, napierającą do góry.

- Krwawy kamień chce popłynąć. Chce wybuchnąć na zewnątrz. Przytrzymałyśmy magmę przez tyle lat, ale urosła w siłę, a my osłabiliśmy. Wkrótce się uwolni.

- Co można zrobić? - zapytał Ruczaj.

- To, co myśmy robili. Przytrzymać ją w dole. Jak się uwolni, Mitherjut zniknie, z miasta nic nie zostanie, jezioro zmieni się w małą rzekę, a cała ta dobra ziemia zostanie pokryta popiołem i stygnącym bazaltem.

- Zabili was. Czemu nie chcecie, żeby spotkał ich taki sam los?

- Mitherstane powstało na partnerstwie kamienia i człowieka. No i co z tego, że wodni magowie będą rządzić przez chwilę? Nie możemy pozwolić, żeby to święte miasto zostało zniszczone.

- Mam tu zostać na resztę życia? Powstrzymywać wulkan?

- Wewnątrz kamienia twoje życie będzie się tylko wydłużać. Aż nadejdzie kolejny ojciec kamienia.

- Nie mogę. Muszę uratować mego mistrza, Lorda Brickela.

- On jest tylko przyjacielem gładów. Nie pomoże ci w twojej pracy.

- Nie rozumiecie. To ja go wpędziłem w kłopoty. Zabiją go. Muszę go uwolnić z więzienia, w którym siedzi. Muszę to zrobić teraz.

I z tymi słowami, uwalniając się od delikatnej presji towarzystwa, zaczął wędrować samotnie przez żywy kamień. Trudno sobie to wyobrazić, głęboko w skale, gdzie się znajdował w stosunku do miasta u góry. Dopiero kiedy zbliżył swoją powłokę do powierzchni, poczuł bruk ulic i wielkie kamienie w murach obronnych, a także napór ciężkich budynków, które wciskały się w ziemię.

Odnalazł wieżę na półwyspie i scalił jej kamienie z opoką skalną, czyniąc z niej żywy kamień. Nie dbał o pozory złożoności fasady, bo wiedział, że wieża straci wygląd budowli wykonanej z wielu kamieni, ale stanie się pojedynczą, gładką skałą, wystającą wysoko nad ziemię. Niech magowie wody zobaczą pokaz jego mocy, niech zachodzą w głowę, jak to się dzieje. Wytworzył kamień nad drzwiami wieży. Żaden mag wody nie mógł ani wyjść, ani wejść.

Teraz, kiedy ściany wieży ożyły, mógł się w nie wtopić i po chwili, tak jakby nic innego nie robił przez całe życie, uformował dla siebie nowe ciało z żyjącej skały. Dał totemowi oczy, żeby jego powłoka mogła widzieć, nogi i stopy, żeby mogła się poruszać. Wydobył swoje nowe ciało z muru i zaczął iść spiralnym korytarzem.

Magowie wodni i wartownicy starali się go powstrzymać - na jego potężnym ciele połamali sobie tylko swoją śmieszoną broń, rzucali też zaklęcia, ale w jego ciele nie było wody, która mogłaby ich posłuchać, więc zepchnął ich na bok i poszedł dalej.

Przy podstawie spiralnej rampy znajdowała się tafła wody na tym samym poziomie co jezioro. Pośrodku tego zbiornika pływał na tratwie z sitowia przywiązany do niej Lord Brickel. Ruczaj nakazał swemu kamiennemu ciału - swemu totemowi, bo wiedział już, co stworzył - podejść do krawędzi wody i uklęknąć. Jego kolana wrosły w żywą skałę rampy i przyciągając do siebie kamień, ponownie stał się jego częścią. Wyciągnął ramiona, coraz dalej i dalej, aż jedno z nich zmieniło się w pomost przerzucony przez wodę tuż nad tratwą, na której leżał spętany Brickel. Druga wydłużona ręka uwolniła Brickela z więzów.

Brickel wspiął się na most z ramienia Ruczaj a i bezpiecznie wyszedł na brzeg.

- Ruczaj - odezwał się Brickel. - I co to da? Powinieneś być pozwolić im mnie zabić.

Ruczaj nie wiedział, jak zmusić totem do mówienia. Ale przycisnął czoło do głowy Brickela i przemówił mu w myślach tak samo, jak rozmawiał z jestestwami braci skał.

- Nadszedł czas, by naprawić starą niesprawiedliwość - powiedział. - Bądź mym głosem. Nadszedł czas, by magowie kamienia wrócili do Mitherstane.

- To nasze marzenie, ale nie jesteśmy gotowi.

- Macie teraz ojca kamienia - odparł Ruczaj. - Powiedz im to.

Totem Ruczaja, jego kamienne ciało, poprowadziło ich po rampie do miejsca, w którym tłoczyli się wodni magowie oraz żołnierze i w którym wcześniej były drzwi.

- Wypuść nas! - błagali. - Nie zrobimy ci krzywdy.

Lord Brickel wyszedł zza totemu Ruczaja.

- Wydaje się wam, że myślę o ratowaniu własnej skóry? - zapytał. - Przynoszę wieści od ojca kamienia, którego totem widzicie tutaj. To jest miasto Mitherstane, wybudowane przez magów kamienia u zarania czasu. Jesteście dziećmi zdrady, wyrznięliście magów kamienia, którzy ocalili was przed wrogiem. Ale nadszedł dzień zapłaty.

- Co mamy zrobić? - zakrzyknęli wodni magowie.

Ale Ruczaj poczuł, że dzieje się coś strasznego i dziwnego zarazem. Żywy kamień więzy został zaatakowany przez coś, co przedzierało się przez skałę i zmieniało ją w odrobiny martwego pyłu. Powstała wyrwa w murze, przez którą weszła jedna, potem druga i trzecia postać wykonana z wody.

Wodni magowie wydali z siebie okrzyk triumfu.

- Ojcowie wody przynieśli ci odpowiedź, ojcie kamienia!

Trzy wodne totemy ruszyły w kierunku kamiennego totemu Ruczaja i kiedy go dotknęły, poczuł, jak skała, z której był zrobiony, zaczyna się wykruszać. Starał się uzupełnić swoje ciało żywą skałą pod stopami, ale było ich trzech i nie nadążał.

Więc skierował swój totem w dół, tam, gdzie żywy kamień pokrywał całą podłogę. Znów zostawił Brickela na łasce wodnych magów.

Jestem głupcem, pomyślał. Czułem tę moc i zapomniałem, że wodni magowie są bardzo potężni. Pokonali nas już wcześniej, dla-czego wydawało mi się, że potrafię ich zgnieść w pojedynkę?

- Zapomnij o nich - zamruczał chór braci skał. - Pomóż nam powstrzymać płynny kamień.

Ale Ruczaj nie zamierzał tak tego zostawić. Pomyślał: Jak mogę ich zranić? Jak mam zmusić, by wypuścili Brickela?

Przypomniał mu się porowaty kamień w zbiorniku wodnym w domu Lorda Brickela. Tam służył jako filtr. Ale tutaj taki kamień mógł posłużyć zgoła innym celom.

Ruczaj posłał swoją powłokę przez kamień tworzący dno jeziora. Powiększył mały kamienny występ, przydając mu takiej samej porowatości, jaką odznaczał się kamień filtrujący w zbiorniku na wodę. Poszerzył go jeszcze bardziej, aż pokrył całe dno jeziora, i szedł dalej w głąb. W miarę zwiększania się powierzchni tego kamienia i wypiętrzania w górę, malał poziom wody, wsiąkającej w jego struktury.

Aż w końcu jezioro zniknęło. Była tylko jedna olbrzymia warstwa porowatego kamienia, który zatrzymał całą wodę w sobie.

Czuł wyraźnie, jak woda przepływa przez jego kanaliki, aż się zatrzymuje. Woda wpadająca do jeziora ze strumieni i rzek wsiąkała w kamień tak szybko, jak się tylko pojawiała. Nie było jeziora. Pod Mitherjut nie było nawet rzeki.

Skąd będziecie czerpać teraz swoją moc, ojcowie wody?

Wrócił do wieży, do zbiornika pośrodku, i tam również wytworzył w dzień miliony kanalików, które wciągnęły całą wodę do ścian i dna porowatej skalnej struktury. Zbiornik wysechł. Ruczaj utworzył kolejny totem z siatkowanego kamienia i powrócił na rampę. Nie było śladu po wodnych totemach. Nikogo tu nie było.

Dokąd oni zabrali Brickela?

Wyłonił się z wieży przez otwór wybity przez wodne totemy. Na zewnątrz zastał puste ulice. Zobaczył, że słońce wisi już nisko na niebie i zbliża się do horyzontu - pochłanianie jeziora było bardziej czasochłonne, niż przypuszczał.

Gdzie się podzieli wszyscy ludzie? Zobaczył kilku, którzy klęczeli nad dawnym brzegiem jeziora - pomosty portowe wisiały teraz nad gołą skałą. Ale nigdzie nie było śladu po wodnych magach.

Oczywiście zrozumiął. Udali się do świętego miejsca. Do źródła niedaleko szczytu Mitherjut.

- Udało się - rozległy się głosy braci skał.

Ruczaj nie wiedział, co się udało - na razie nic się nie udawało.

Totem Ruczaj a zaczął kroczyć po stromym, skalistym stoku, kierując się prosto do miejsca, gdzie jego prawdziwe ciało, jego jestestwo leżało pogrzebane w skale. Czuł, jak jego totem przechodzi nad nim. Następnie skierował się wprost do źródła.

Tam zobaczył, że trzymają Brickela w nurcie strumienia. Brickel z trudem łapał powietrze.

Wodni magowie krzyczeli w kierunku totemu Ruczaja:

- Złożymy go w ofierze! Utopimy go, jeśli nam nie zwrócisz naszej wody!

W odpowiedzi na to Ruczaj pokrył dno strumienia porowatym kamieniem i wciągnął całą wodę. Źródło wyschło.

Wodni magowie zawyli.

Brickel podniósł się i stanął na nogi. Ku wielkiemu zadowoleniu Ruczaja Brickel momentalnie wrócił do roli herolda ojca kamienia.

- Nadszedł czas, abyście dopełnili warunków prastarego traktatu - wykrzyknął. - Kiedy magowie kamienia po raz pierwszy pozwolili osiedlić się tu wodnemu ludowi, złożyliście przysięgę, że kamienni magowie i wodni magowie będą wspólnie zamieszkiwać to miasto, miejsce święte dla obu naszych ludów. To wyście złamali te śluby! To wy zdradziecko wymordowaliście kwiat naszego ludu sto lat temu! Już żaden przyjaciel głązów nie będzie tu mieszkał jak więzień, by naprawiać starożytne mury i mosty wybudowane przez starożytnych magów kamienia. Albo będziemy żyć wspólnie w tym miejscu wody i kamienia, albo pozostanie ono takie, jakie teraz jest, gdzie jedynie skała może przetrwać.

- Zgadzą się! - padła odpowiedź przywódcy wodnych magów. - Ale tylko wtedy, kiedy zwrócicie nam święte Mitherlough.

- Dopiero gdy złożycie solenną, nierozzerwalną przysięgę w wieży traktatowej - odparł niewzruszony Lord Brickel.

- Ale jak mamy się tam dostać? - zapytał wodny mag. - Rozpadlina Magów Kamienia zagradza nam drogę.

- Tylko dlatego, że zburzyliście most z żywej skały, który tam postawiliśmy.

- To był tunel! - wykrzyknął wodny mag.

- To był most! - zaryczał Brickel w odpowiedzi. - Wszyscy wiemy, co to za tunel - tam teraz jest wasza woda, w milionach tunelików w kamieniu! Most, który jest oddzielony warstwą powietrza od kamienia, nie jest żadnym tunelem! Będziemy budować mosty, gdziekolwiek będziemy chcieli. Mosty z żywego kamienia, które nigdy nie padną!

Na te słowa Ruczaj ruszył przez wyschnięte dno strumienia, a Brickel za nim. Kiedy dotarli do zawalonych fortyfikacji, które niegdyś broniły przylądka od wewnątrz, a teraz stanowiły brzeg Rozpadliny Magów Kamienia, Ruczaj podążył wzdłuż murów do miejsca, w którym niegdyś stał żyjący most, umożliwiający przeprawę przez kanion - z którego to miejsca żołnierze wylali się na drugi brzeg, by wyrznąć Veryllyddów.

Jego totem stanął na powierzchni, a sam Ruczaj sięgnął w głąb żywej skały i wypuścił w powietrze szeroki most z jednego brzegu, który po jakimś czasie dotarł do drugiego. Następnie przeszedł po nim swym totemem, Lord Brickel tuż za nim, a wszyscy magowie wody poszli w ich ślady. Szli przez las, aż dotarli do wieży, którą Ruczaj widział pierwszego dnia, kiedy chciał odszukać drogę do Mitherhome. Była to prastara wieża traktatowa, która już dawno temu została zmieniona w świątynię Yegguta.

Ruczaj sięgnął do wieży i momentalnie zmieniła się ona w żywą strukturę, sięgającą głęboko do skalnej opoki.

Następnie odwrócił się i spojrzął przez kamienny obszar na miejsce, w którym było małe jezioro. Ku swemu zaskoczeniu nie dostrzegł żadnego kamienia. Tylko gruby słup pary wodnej, unoszący się z całej powierzchni.

Co to było?

Bracia skał odpowiedzieli:

- Przesączyłeś wodę do płynnego kamienia i ostudziłeś go. Teraz zmieniamy go w granit, sięgając coraz głębiej i głębiej, zalewając wrzącą magmę wodą.

- Nie wiedziałem, że tak można.

- Poziom płynnego kamienia już opadł na dawne miejsce. Wkrótce nikt nie będzie musiał pilnować, żeby nie wytrysnął na powierzchnię. Ocaliłeś święte miasto.

Ale przy wieży traktatowej wodni magowie spostrzegli słup pary wodnej i zawyli ze zgrozy.

- Przez ciebie święta woda paruje!

- Przecież spadnie deszcz - zauważył Brickel. - Kiedy ojciec kamienia przywróci dawne dno, rzeki i strumienie napełnią je ponownie. A teraz gorącą krwią, moją i waszą, mieszaną

kamienia i wody, która płynie w naszych żyłach, znów podpiszemy złamany przez was traktat.

Prastary dokument spoczywał zapieczętowany w przezroczystym kwarcu. Brickel nie potrzebował pomocy Ruczaja, by go uwolnić z litej skały i unieść. Wtedy zarówno on, jak i wodni magowie otworzyli żyły, umoczyli pióra we krwi i podpisali traktat swymi imionami.

Kiedy się to dokonało, Lord Brickel wstawił kwarcową płytę i znów ją scalił z granitowym piedestałem.

- A teraz oddaj nam nasze jezioro! - wykrzyknęli.

Ruczaj najpierw obudził do życia święte źródło i strumień, który płynął po zboczach Mitherjut. Następnie, poczynając od najdalszego brzegu Mitherlough, zaczął ścieśniać kamień dna jeziora, który opróżniał swoje kanaliki. Ale nie uwolnił wody z kamienia, sprawił, że popłynęła ku magmie, ochładzając ją jeszcze bardziej.

- Tak - zamruczeli bracia skał. - Jakby kamień nigdy się nie roztopił. Płynna skała leży teraz głęboko, tam, gdzie jej miejsce.

Kiedy dno jeziora zaczęło oddawać wodę, wciąż jeszcze unosiła się nad nim para i dopiero dobrze po zmierzchu całe jezioro zaczęło napełniać się ponownie. Teraz wody wpływających strumieni i rzek wypełniały je na nowo i jezioro z wolna wracało do dawnego kształtu. Dopiero po wielu dniach odzyska pierwotny stan. Ale w końcu się napełni.

- Przenieście moje domostwo do miasta - nakazał Lord Brickel. - Zamieszkamy w nowym domu w cieniu Mitherjut, blisko murów zbudowanych przez naszych przodków. Zaproszę do miasta tylu magów kamienia, ilu was jest. Jeden do jednego, aby liczby się zgadzały. Nasza rada będzie się składać w równych częściach z przedstawicieli naszych ludów. Każdy będzie miał równoprawny głos w tworzeniu prawa. Wszystko zgodnie z traktatem, który dzisiaj podpisaliśmy.

I wodni magowie przystali na to, widząc, że ich jezioro wraca na dawne miejsce.

Ruczaj skierował swój totem do skały wieży traktatowej.

Wysoko na grani Mitherjut jego ciało wyrosło z kamienia.

Ale nie było to to samo ciało, które wcześniej się weń zapadło. Ponieważ zbyt ściśle związał się z granitem góry, teraz miał skórę twardą i upstrzoną jak skała - kamień zaległ w nim, w całym jego ciele. Poruszał się równie zwinnie jak poprzednio, ale wiedział też, że jego stopy nigdy nie zmęczą się długim marszem i jedynie najtwardszy obsydian jest w stanie przeciąć jego skórę. Nie był czystym kamieniem jak jego totem, ale jego ciało już nie składało się z mięśni i kości.

Włożył odzienie i ruszył w dół tą samą drogą, którą przyszedł. W nocnym rozgardiaszu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy widzieli tylko chłopca spacerującego po ulicach.

Kiedy dotarł do portu na wprost Hetterferry, wystarczyło, że powiedział przewoźnikowi, iż jest sługą mistrza Brickela. Po wydarzeniach tego dnia nie musiał uiszczać opłaty, gdyż wszyscy lękali się potężnego maga kamienia. Przecież uwierzyli, że to wszystko stało się za jego sprawą. Nie mogli narazić się na jego gniew, uwłaczając jego słudze.

W domu maga kamienia już znalazł się Demwor, ale teraz zmieniała się jego rola. Zamiast rozporządzać schedą po Brickelu, nadzorował przeprowadzkę do górnego miasta.

Ruczaj od razu ruszył do pomocy przy przenosinach i jeśli nawet inni widzieli, że dźwiga ciężary, jakich nawet Odplyw nie ruszyłby z miejsca, to zachowali te spostrzeżenia dla siebie. W ciemnościach nikt nie dostrzegł jego zmienionej skóry.

Pracowali całą noc, przenosząc wszystko na prom. Po drugiej stronie grupa synów strumyka brała cały dobytek na plecy i nosiła pakunki po wysokich schodach na górę.

O świcie nowy dom Lorda Brickela był gotowy, więc wszyscy zmordowani padli na łóżka i spali przez cały dzień.

Poza Ruczajem, który nie odczuwał zmęczenia. Leżał na kamiennej płycie nowej piwnicy i scalał ściany domostwa w żyjącą skałę. To był dom ojca kamienia - musiał odpowiednio wyglądać.

Lord Brickel przyszedł do niego późnym rankiem.

- Co też ci przyszło do głowy? - zapytał cicho.

- Czy nie na to pracowałeś, panie, wraz ze swymi przyjaciółmi? - zapytał Ruczaj.

- Ale zaplanowałeś sobie to wszystko? Naprawdę wszystko?

- Wcale nie - odparł Ruczaj. - Nie miałem bladego pojęcia, co robię.

I opowiedział Lordowi Brickelowi o braciach skał i o wulkanie, który został wychłodzony wodą z jeziora.

- Nie wiedziałem, że woda to potrafi - dodał.

- Tewstan cię prowadził - stwierdził Brickel.

- Pokażę ci, panie, co ze mną zrobił - powiedział Ruczaj.

Zaprowadził Brickela po schodach i stanął w miejscu, w którym przez okno wpadało do środka światło słoneczne.

Brickel dotknął jego skóry.

- Teraz stałeś się częścią Mitherjut - stwierdził z podziwem. - Słyszałem o takich rzeczach, że człowiek przyjmuje w siebie kamień. Ale nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Czy to zniknie?

- Nie - odparł Brickel. - Jeśli przekazy ludowe mówią prawdę.

- Nic nie wiem - odparł Ruczaj. - Czy przyjmiesz mnie, panie, na swego ucznia? Będziesz mnie nauczał?

- Ja? Mam nauczać ciebie, ojca kamienia?

- Czy jest gdzieś na świecie ojciec kamienia, który by mógł cię zastąpić?

- Nie - odparł Brickel.

- Tedy muszę poznać wszystko, co wiesz, wszystkie tradycje, sekrety, muszę się ich nauczyć. Czy będziesz moim nauczycielem, panie?

- Oczywiście.

- I niech magowie wodni dalej wierzą, że ty jesteś ojcem kamienia - zaproponował Ruczaj. - Nie chcę być Lordem Ruczajem Ojcem Kamienia.

- Nie masz wyboru - odparł Brickel. - Wśród magów kamienia tak brzmi twoje miano, choć trochę je skrócimy. Ruczaj Kamień.

- Ale tu w mieście powinienem mieć jakieś takie bardziej zwyczajne. Może... Ruczaj Koci Łeb. Twój uczeń. Twój sługa. Niech moja skóra będzie świadczyła, że coś dla mnie zrobisz, żebym był silny i twardy.

- Naprawdę nie chcesz objąć należnej ci pozycji?

- Jestem dzieckiem - odparł Ruczaj.

- Ładne mi dziecko, wczoraj wykazałeś się dostatecznym męstwem, kiedy ukradłeś wodniakom jezioro i zamieniłeś je w parę wodną. - Brickel się roześmiał. - Kiedy przestałem się już trząść ze strachu, rozśmieszyło mnie to do łez.

- Gdybym wiedział, co robię, tam przy moście, nigdy by to się nie stało - stwierdził Ruczaj.

- Powinieneś być mnie słuchać. Ale wszystko skończyło się dobrze.

- Teraz będę cię słuchał, panie - obiecał Ruczaj.

Brickel znów wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście jeśli nie będę się mylił w jakiejś sprawie.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, a nowa skóra Ruczaja nie hamowała jego wzrostu, gdyż stał się teraz prawdziwym mężczyzną. Do miasta przybyli magowie kamienia, wielu z nich osiedliło się tutaj i zajęło miejsca w radzie miasta, ale większość z nich przyjechała jedynie po to, by poznać młodego terminatora, który przywrócił im całe miasto. Ruczaj poszedł z nimi i stanął w kręgu, a główni bracia skał odbudowali kopułę z żywej skały, niegdyś otaczającą ciała tych, którzy ocalili miasto przed Veryllyddami.

Nie okazywali jawnie swego poddania dla niego, bo wodni magowie zorientowaliby się, że to on jest ojcem kamienia. Ale wszyscy wiedzieli, że to moc Ruczaja była głównym źródłem kamiennej magii, że to Ruczaj wyciągnął na powierzchnię niknące jestestwa zmarłych braci skał. Utworzył z nich kamienne posągi, które ustawił wokół murów świątyni, łącząc ich stopy z żywą skałą. Dopóki ich jestestwa będą żyć, dopóty będą korzystać z tych ciał, a kiedy odejdą na zawsze, posągi te staną się ich pomnikami.

Kiedy Ruczaj Koci Łeb skończył osiemnaście lat, oczywiście jeśli to sobie w miarę precyzyjnie wyliczył, poszedł do Skowronka, która już dawno pogodziła się z tym, że jest przyjacielem ptaków, i hodowała gołębie na grani Mitherjut, roznoszące wiadomości na wszystkie strony świata. Wziął ją w ramiona, a ona przytuliła się do niego.

- Skowronku - powiedział Ruczaj. - Chcę cię tak trzymać przez wieczność, tak jak żywa skała trzyma wody Mitherlough.

- Jestem tylko słabą dziewczyną o miękkiej skórze - odparła. - Twoja skóra jest teraz twarda, za twarda dla mnie, Kamieniu. Jakże mam sobie wziąć kamień za męża?

- Łagodność może zastąpić miękkość skóry - odparł. - I nie ma takiego ciężaru, którego bym dla ciebie nie unióś.

- Latałam z moimi ptakami wysoko nad ziemią - odparła. - Ale to z tobą założę gniazdo.